

Lynn Raven
POCAŁUNEK KIER

← **Ekscytująca, dzika, pełna napiętności - najnowsza powieść autorki bestsellera „Pocałunek demona”!**

Lynn Raven

Pocałunek Kier

Ekscytująca, dzika, pełna napięcia — najnowsza powieść fantasy autorki bestselleru „Pocałunek demona"! Przy pomocy podstępny, Mordan, pierwszy dowódca armii wojowniczych Kierów, dostaje w swe ręce młodą Lijanas z ludu Nivadów. Na polecenie swojego władcy Haffrena ma dostarczyć uzdrowicielkę na dwór królewski. Lijanas myśli jednak tylko o jednym — o ucieczce. Lecz gdy poznaje bliżej Mordana — słynnego „Krwawego Wilka" — ten zaczyna ją coraz bardziej pociągać. A on odczuwa to samo w stosunku do niej. Obydwoje czeka jednak śmiertelna niespodzianka...





Wiatr, wyjąc, szarpał jej poplamioną krwią suknię, smagał twarz śniegiem i gradem. W świetle trzech księżyców na murach skrzył się lód. Wpila palce w zimne kamienie i z trudem przesuwała się dalej. Jednak już po kilku krokach załamały się pod nią nogi — ostatkiem sił podczołgała się do blanków. Przerażliwy krzyk odbijał się echem od wysokich murów:
— Oddaj mi moje dziecko!



Sługa poklonił się nisko, biorąc w ręce hełm ozdobiony potężnym ogonem z końskiego włosia, podczas gdy dwaj inni otwierali drzwi do sali władcy. Nie zwracając uwagi na tych mężczyzn, pierwszy dowódca armii króla Haffrena przeszedł między nimi. Jego skórzane spodnie i bury pokrywało błoto z drogi, długi płaszcz, obszyty na ramionach futrem wiewiórki, był na brzegach porwany i brudny. Wezwany pilnie przed oblicze króla z obozu wojennego na południowej granicy, nie szczędził ani siebie, ani swoich towarzyszy podczas jazdy konnej. Pięć dni i nocy spędzili w siodle, pozwalając swym potężnym wojennym rumakom odpocząć tylko tyle, ile było konieczne. I chociaż przez te dni nie spał, kroczył, nie okazując nawet cienia zmęczenia, wzdłuż mis z ogniem, wpuszczonych w podłogę sali. Zdawał sobie sprawę z obecności żołnierzy stojących na posterunkach wzdłuż ścian, skrywanych częściowo przez migoczące cienie. Obserwowali każdy jego ruch ze śmiertelnościami halabardami przy boku, które miały ostrza długości ramienia. Jako pierwszy dowódca armii miał przywilej noszenia miecza także w obecności króla, gdyby jednak spróbował skierować go przeciw królowi, ci ludzie nie znaliby litości.

Kiedy pokonał te kilka stopni na końcu sali, odrzucił do tyłu czarny płaszcz. Cichy brzęk zdradził obecność kolczugi, którą nosił pod ciemnym skórzanym kaftanem. Przed tronem przyklęknął na jedno kolano, czekając, aż król Haffren jako pierwszy skieruje do niego słowo. Jednak władca Kierów, który od owej nocy, gdy królowa Naisee postradała zmysły, rządził zamiast niej Telmahrem, milczał. Podbiegłymi krwią oczami mierzył wzrokiem mężczyznę, którego wielu nazywało jedynie „Krwawym Wilkiem” — a od dwóch zim, zaslaniając usta dłonią, także

„Bestią z Sajidarrah". Od kiedy ten wojownik był jednym z jego dowódców, wykonywał każdy jego rozkaz bez litości i konsekwentnie, jeszcze nigdy go nie zawiódł.

- Kazaleś mi czekać, dowódco.

Zamiast pozwolić mężczyźnie podnieść się z kolan, jak uczyniłby w przypadku każdego innego, Haffren mocniej owinął się swoim płaszczem podszytym futrem. W ciągu ostatnich tygodni marzył mimo ognia płonącego w misach. Już od ponad dwudziestu zim w jego ciele gnieździła się choroba. Od jakiegoś czasu nawet mak i wino przynosiły jedynie nieznaczną ulgę.

- Wybaczcie mi, mój władco, przybyłem tak prędko, jak mogłem.

Król zmarszczył z oburzeniem czoło. Czy usłyszał właśnie w tonie wojownika krnąbrność? Postanowił dać na razie temu spokój i uniósł niedbałym ruchem dłoni. Ze stojącego blisko ściany krzesła, wyłożonego suto kosztownymi skórami, podniósł się szczupły ciemnowłosy mężczyzna i zbliżał się powoli, skrywając dłonie w szerokich rękawach swojej szaty. Niebiesko-fioletowe oczy lśniły poniżej cienkich brwi, usta i nos sprawiały wrażenie nazbyt wąskich. Zadziwiająco trudno było określić wiek jego twarzy.

- Twój pan ma dla ciebie zadanie, dowódco - powiedział Ladakh, astrolog i uzdrowiciel króla.

Wojownik podniósł nagle wzrok. W jego postawie pojawiła się nieoczekiwane odraza, mimo to milczał.

Ladakh uśmiechnął się. Niemalże na własnej skórze czuł wściekłość wojownika, który wciąż kłęczal jak niewolny, a Ladakh zwracał się do niego w taki protekcyjalny sposób.

- Udasz się do Anschary. Mieszka tam uzdrowicielka o imieniu Li-janas. Sprowadź ją tutaj — jakby chcąc uniknąć sprzeciwu mężczyzny, Ladakh skinął lekko głową. - Wiem, dowódco, że Anschara jest stolicą Astracharu, a między ludami Kier i Nivard panuje wojna. Prawdopodobnie ta kobieta nie dotrzymanie ci więc towarzystwa z własnej woli. Ale dla kogoś takiego jak ty nie powinno stanowić problemu poradzenie sobie z niewiastą. Zrobisz wszystko, co będzie trzeba, aby ją tu sprowadzić. Masz to po prostu wykonać. Jednakże... musi być spełniony jeden warunek - ta kobieta musi być nienaruszona. Odpowiadasz za to swoim życiem!

- Także uzdrowicielka może mieć jakiegoś...

— Nikt ci nie udzielił prawa głosu, dowódco - przerwał mu ostro Ladakh.

Przez chwilę panowała cisza. We wglębieniach w podłodze trzeszczały szczapy drewna. Potem wojownik odezwał się:

— Wybaczone mi, panie - zdawał się dławić, wypowiadając te słowa. Z nieskrywanym zadowoleniem Ladakh przyjął jego przeprosiny.

— Uzdrowicielka żyje wśród kapłanek heretyckiej bogini Nivardów. Do momentu aż same nie wybiorą sobie małżonka, kobiety te pozostają nienaruszone. Niech to rozproszy twoje wątpliwości, dowódco. Następnie - jak będziesz miał tę kobietę - udasz się z nią na północny zachód. W masywie skał, po drugiej stronie Wąwozu Kassen, wysoko w górach jest źródło. Woda, którą daje, to eliksir, zwany „Łzami Białej Żmii” - wziął ze stolika rzeźbione drewniane pudełko, otworzył je i pokazał mężczyźnie jego zawartość. Na ciemnoniebieskim materiale lśniły w blasku ognia ścianki szlifowanego szkła. — Przyniesiesz eliksir w tej fiołce, razem z tą kobietą!

Ladakh zamknął pudełko zdecydowanym ruchem, podszedł do wojownika i schylił się ku niemu. — A teraz słuchaj uważnie, dowódco. Nikt poza tobą i tą kobietą nie powinien przekroczyć mostu, który jest rozpięty nad Wąwozem Kassen! I tylko uzdrowicielka może dotknąć fiołki z eliksirem! Tylko ona! W przeciwnym razie straci on swoją moc i będzie bezużyteczny. Zrozumiałeś?

— Tak, panie! - odpowiedź padła przez zaciśnięte zęby. Dowódca sklonił się sztywno, biorąc pudełko do ręki.

— Bardzo dobrze - powiedział Ladakh, wyprostował się i stanął obok tronu króla Kierów. — Masz wrócić najpóźniej trzy dni po Święcie Klosów!

Wziął ze stolika skórzaną sakiewkę i rzucił ją na ziemię przed wojownika. Zadzźwięczały monety.

— To powinno wystarczyć, żeby pokryć wszystkie wydatki. Resztę możesz zatrzymać i podzielić się tym ze swoimi ludźmi. Możesz odejść.

Bardzo powoli wzrok dowódcy powędrował od uśmiechniętej twarzy Ladakha do władcy Kierów.

— Czy to wasze rozkazy, panie?

Lodowata mina Haffrena była wystarczającą odpowiedzią. Wojownik uderzył pięścią w pierś i uklonił się.

— Rozkaz!

Podniósł sakiewkę, wstał i zaczął oddalać się twarzą skierowaną ku tronowi, aż do pierwszego wgłębienia z ogniskiem, potem odwrócił się i szybkim krokiem opuścił salę.

— Czy zauważyłeś jego buntowniczą postawę, Ladakh? Władza, jaką ma na stanowisku mojego pierwszego dowódcy, uderza mu do głowy. Zapomina, gdzie jest jego miejsce - pięść Haffrena zacisnęła się w futrze jego płaszcza.

Stojący u jego boku Ladakh pochylił się do przodu.

— To ostatnie zadanie, mój panie, potem już nie będzie wam potrzebny i będziecie mogli się go pozbyć — ostatecznie.

Wiatr niósł od morza na ulice Anschary zapach soli, kiedy ogień i złoto zachodzącego słońca igrały na mokrym od deszczu bruku i odbijały się w kałużach jak płomienny klejnot. Dzieci przeskakiwały przez wodę i ganiały rozpryskujące, skrzące się kropelki.

Po raz ostatni Lijanas omiotła wzrokiem izbę z ziołami, zanim zamknęła swoją apteczkę i przewiesiła pasek przez ramię. Była zmęczona po długim dniu, w ciągu którego nie udało jej się nawet znaleźć czasu, by skosztować *jelil*, ciasta, którym stara Idlis zapłaciła jej za leczenie artretyzmu w swych sztywnych dłoniach. Przy tym żadne owoce nie smakowały jej tak bardzo jak słodkie żółte śliwki *jelil*, tak soczyste, że sok ciekł po palcach, jak tylko wbilo się w nie zęby. Pacjenci przychodzili dziś do niej jeden za drugim, jakby w mieście nie było innych uzdrowicieli, jakby złe duchy maczały w tym swoje palce. Dzieci z rozstrojem żołądka; młoda kobieta w wieku Lijanas, opuszczona przez kochanka, ledwie dowiedział się, że nosi jego dziecko, i która potrzebowała kogoś, żeby móc się wyplakać na jego ramieniu; parobek, który odciął sobie siekierą trzy palce u nóg — i przyniósł je ze sobą święcie przekonany, że ona mu je z powrotem przyszyje; dwaj poranieni wojownicy ze straży przybocznej księcia Rusana, którzy targowali się o pewną kobietę przy pomocy miecza i nie mieli odwagi zgłosić się do medyka w swoim oddziale, gdyż ten doniósłby zaraz ich przelożonemu oficerowi.

Poprawiła pasek apteczki na ramieniu, otworzyła drzwi, wzięła kosz z ciastem i wyszła na zewnątrz, gdzie na wieczornym niebie królowała złota poświata. Kiedy ujrzała, jak Maik, najmłodszy syn kramarza z są-

siedztwa, który czasami załatwiał dla niej jakieś zlecenia, podskoczył na jej widok, mimowolnie roześmiała się.

- Czyż nie odesłałam cię do domu już ponad godzinę temu, młody panie? — skarciła go rozbawiona, zamykając za sobą drzwi na klucz. Huk fal rozbijających się o strome klify Anschary mieszał się ze śpiewem ptaków, które po deszczu znowu powoli zaczęły opuszczać swe gniazda. Jej palce musnęły delikatnie symbol Łaskawej Bogini - znak wielkości dłoni, wyryty we framudze drzwi — dwa misternie wyryte w kamieniu pióra pochylone nad położonym w ich środku owalnym okiem, wypolerowanym od częstego dotykania go. Jej myśli podążyły w kierunku Ahmeera, jak zwykle w ostatnich tygodniach. Na początku lata został wysłany na południowe wybrzeże, aby powstrzymać piratów z ludu Edari, którzy napadali tam wciąż na wioski rybackie. I naprawdę zapytał ją ostatniego wieczora w Anscharze, czy zechce zostać jego żoną.

Poprosiła o czas do namysłu aż do jego powrotu, chociaż właściwie już podjęła decyzję. Słoneczny uśmiech zamarł na jej twarzy. Nagle zrobiło jej się zimno. Edari nie biorą zazwyczaj jeńców i nigdy nie zostawiają nikogo przy życiu — wymordowali wszystkich także wtedy, gdy napadli na wioskę, w której dorastała Lijanas. Dreszcz przeszedł przez jej ciało. Wszystko to było tak dawno temu... Była małą dziewczynką, która miała za sobą dokładnie pięć zim. Zdecydowanym ruchem spięła ramiona. Ahmeer wrócił! Obiecał to. I wtedy powie mu, że chce zostać jego żoną!

Kiedy odwróciła się do Malka, napotkała jego wyszczerbiony uśmiech.

- Możliwe, że odesłaliście mnie do domu, uzdrowicielko, ale zachód słońca był tak piękny...

- Oszust! — Lijanas uśmiechnęła się. — Liczyłeś na to, że jak tu na mnie poczekaasz, to dostaniesz jeszcze kawałek placka *jellil* - wyciągnęła kosz w jego stronę. — Masz! Bierz!

Maikowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Wystarczył jeden kęs i prawie połowa kawałka zniknęła w jego ustach. Lijanas pogłaskała jego potargane włosy, schodząc po dwóch stopniach na ulicę.

- Trzeba było tylko zapytać, wiesz o tym.

Z wianuszkami okruszków wokół ust chłopiec pokiwał głową, potem sobie poszedł. Lijanas poprawiła pasek na ramieniu i chciała już iść do domu.

- Lijanas! Uzdrowicielko! Czekajcie!

Zdziwiona odwróciła się w kierunku, skąd dobiegał głos. Z jednej z bocznych uliczek zmierzał szybko w jej stronę Udelar, uzdrowiciel z północnej części miasta, w towarzystwie ubranych na ciemno obcych.

— Jakie szczęście, że was jeszcze spotkałem, uzdrowicielko — Udelar charczał jak chora na gruźlicę szkapa. — Towarzysz tego mężczyzny jest chory. Ja nie potrafię dojść, co mu dolega. Ma okropne bóleści. Kiedy dotykałem jego ciała, wrzeszczał, jakby go zarzynali. Ale nie wyczułem guzów ani obrzęku. Musicie pójść z nami i go obejrzyć, błagam was, uzdrowicielko. To wygląda bardzo poważnie, a ja nie wiem, jak mu pomóc.

Jedynie przez moment Lijanas pomyślała o ciepłym posiłku, który czekał na nią w salach kapłanek Łaskawej Bogini, potem skinęła głową.

— Prowadźcie mnie do niego!

Jasnoniebieskie oczy obcego przybysza obserwowały ją uważnie spod blond czupryny, potem skłonił się lekko i wskazał na uliczkę, którą on i uzdrowiciel dopiero co nadeszli.

— Tędy - jego głos brzmiał miękko i miał dziwny akcent. Odwrócił się i poszedł przodem. Udelar został z tyłu. Lijanas spojrzała na niego zdumiona. Uzdrowiciel wrzusił lekko ramionami.

— Zostałem wezwany do innego pacjenta. W Górnym Mieście. Musicie zrozumieć...

O tak, rozumiała. Pacjent w Górnym Mieście oznaczał honorarium, które wypłacane było w złocie, a przynajmniej w srebrze. Któż mógł winić Udelara za to, że przedkładał takiego pacjenta nad obcego, któremu najwyraźniej i tak nie mógł pomóc — bądź co bądź — musiał wykarmić żonę i troje dzieci. Skinęła głową w kierunku uzdrowiciela i poszła za przybyszem, który czekał na nią przy wejściu w uliczkę.

— Czy mogę? - wskazał na apteczkę i zdjął ją, nie czekając na odpowiedź, z jej ramienia. Potem poszedł dalej. W pierwszej chwili Lijanas musiała niemalże bieć, żeby dotrzymać mu kroku, jednak potem skrócił go i zwolnił. Z ciekawością przyglądała się mu z boku. Mógł mieć może osiemnaście lub dziewiętnaście zim. Na karku i poniżej uszu skóra złociła się mu tak jak jego długie włosy związane jedynie rzemykiem. Wydawało jej się, że wokół jego ust igra cały czas delikatny uśmiech, który można było zauważyć również w małych zmarszczkach wokół jasnych, niebieskich oczu. Miała wrażenie, że mówiąc, koncentrował się na tym, by nie zobaczyła jego zębów. - *Może są zepsute albo tak krzywe, że ich widok*

wywołuje ciarki na plecach. — Ciężki, welniany płaszcz spoczywał na jego ramionach i prawie całkowicie przysłaniał okrytą nim postać, jednak sądząc po tym, co zobaczyła, kiedy materiał rozchylił się na chwilę, był nie tylko wysoki, ale również umięśniony. Bez najmniejszego wysiłku niósł w lewej ręce jej apteczkę, prawą rękę schował w faldach płaszcza. Choć było ciepło, miał na sobie skórzane rękawice.

- Od kiedy z waszym towarzyszem jest aż tak źle?

Spojrzał na nią krótko, potem znów odwrócił wzrok.

- Od późnego popołudnia.

- Uzdrowiciel Udelar powiedział, że wasz towarzysz ma okropne bóleści. Jak to wygląda?

Przez ułamek sekundy na jego twarzy zagościło coś jakby zakłopotanie, potem wzruszył ramionami.

- Po prostu bóleści!

Bardzo pomocny. — Lijanas zagryzła wargę.

- Czy kiedyś już mu się to przydarzyło?

- Nie.

I niezbyt rozmowny.

- Czy jadł coś szczególnego?

- To samo co my wszyscy.

Ha! Prawie całe zdanie!

- Gdzie jest teraz wasz towarzysz?

- W „Czarnym Jagnięciu”.

„Czarne Jagnię” był to czysty, mały zajazd, leżący przy bocznej uliczce, niedaleko od rynku, ale jednocześnie na uboczu. Słyszała, że zatrzymywali się tam chętnie kupcy, którzy nie chcieli, aby im przeszkadzano w interesach.

- Kto jest przy nim?

Zawahał się, odchrząknął.

- Pan Ecren.

- A jak się nazywa chory?

- Corfar.

Ta rozmowa jest wyjątkowo męcząca — Lijanas westchnęła dyskretnie.

- A jak was zwał?

- Levan. Jesteśmy na miejscu - powiedział i pchnął małą furtkę.

Lijanas spojrzała ze zdumieniem na wąskie schodki prowadzące stromo w górę.

- Co to jest?

Zerknął na nią zmieszany.

- Schody.

To widzę.

- Miałam na myśli: gdzie się znajdujemy?

- To tylne schody do „Czarnego Jagnięcia”.

Tylne schody?

- A dlaczego nie wejdziemy, jak każdy normalny gość, od frontu?

- Ponieważ mój pan nie życzy sobie, by widziano, że was do niego przyprowadziłem.

Lijanas zrobiła mimowolnie krok w ryl. Gdyby Udelar nie był już wcześniej u tego chorego...

Levan dostrzegł jej wahanie.

- Nic wam nie grozi, uzdrowicielko. To tylko dlatego, że mój pan boi się... — zaciął się, wykonał jakiś niejasny gest. - Proszę, zrozumcie! On się obawia, że to może zaszkodzić jego interesom, jeśli wiadomość o jego chorobie dotrze do niewłaściwych ludzi.

O jego szczerości przekonała ją to, że mówiąc to, patrzył jej prosto w oczy. Lijanas ujęła w dłonie swoją szatę i weszła po schodach na górę, mając Levana cały czas tuż za sobą.

Schody kończyły się na drugim piętrze zajazdu. Grube świece woskowe oświetlały pobielony korytarz, na którego drugim końcu znajdowały się dużo szersze schody prowadzące do szynku. Z dołu dochodziły głosy i momentami śmiech. Levan zatrzymał się przy drzwiach z prawej strony i odwrócił się do niej. Kiedy Lijanas stanęła przy nim, zapukał, otworzył drzwi i puścił ją przodem.

Wysoki, barczysty mężczyzna o ciemnobrązowych włosach, wśród których można było zauważyć pierwsze siwe pasemka, podniósł się z krzesła przy kominku i zwrócił się w jej stronę, kiedy weszła. Kilka świec stojących na stole obok niego dawało słabe światło. Drugi mężczyzna, w podobnym wieku jak ten pierwszy, leżał w szerokim łożu po węższej stronie pokoju i jęczał cicho. Natychmiast zniknęły wszelkie podejrzenia. Lijanas podeszła szybko do chorego i dotknęła dłonią jego czoła. Było wprawdzie wilgotne, ale ani wyjątkowo rozpalone, ani zimne. Zsunęła z piersi mężczyzny kołdrę. Tunika, którą miał na sobie, była mokra. Jego dekolt pokrywały pokręcone ciemne włosy.

— Przynieście mi gorącą wodę i dopilnujcie, żeby gospodyni przyniosła tu suchą pościel. I zapalcie więcej świec! Ledwo widzę tu własną rękę!

Lijanas odwróciła się częściowo. Levan, który właśnie postawił jej apteczkę na stole, rzucił temu drugiemu mężczyźnie pytające spojrzenie. Ten skinął lekko i młodszy opuścił pomieszczenie.

Było tak, jak to opisał uzdrowiciel Udelar. Ledwie położyła dłoń na ciele mężczyzny, ten zaczął wrzeszczeć, jakby przypiekala go rozżarzonymi węglami — ale nie można było wyczuć nic, co mogło powodować ten ból. Lijanas zmarszczyła czoło i pochyliła się nad nim.

— Czy rozumiecie, co do was mówię, panie?

Oczy w kolorze orzechów laskowych otworzyły się powoli i spojrzały na nią - zaskakująco wyraźnie.

— Możecie mi powiedzieć, gdzie dokładnie... - za jej plecami stuknęły drzwi. Czyżby Levan tak szybko wrócił? Zaskoczona podniosła się.

Faktycznie stał w drzwiach, jednak ani śladu gorącej wody. Zamiast tego stali przy nim dwaj mężczyźni, obydwaj tak wysocy jak on sam. Włosy tego, który stał z przodu, musiały być kiedyś jasne, jednak teraz były siwe, miały odcień popiołu. Jasne, brązowe oczy, które przywodziły na myśl oczy jastrzębia, przyglądały jej się z uwagą. Jednak to widok tego drugiego, nowo przybyłego mężczyzny, spowodował, że Lijanas cofnęła się nieznacznie. Mógł być jakieś cztery zimy starszy od Levana i nosił swe kruczoczarne włosy związane w taki sam sposób jak ten młodszy. Jego usta okalały przerażająco surowe rysy, jedno oko, niebieskoszarego koloru, charakterystycznego dla burzowego nieba, patrzyło na nią zimno — na drugim spoczywała czarna skórzana klapka.

— Czy to ona?

Lijanas wzdrygnęła się i spojrzała na mężczyznę o oczach jastrzębia, który oddawał właśnie swój ciemny płaszcz do jazdy konnej Levanowi. On również miał na dłoniach skórzane rękawice.

— Tak - odpowiedź dobiegła z łózka, z którego jej „pacjent” właśnie przerzucił nogi przez rant i schwycił niedbalym ruchem spodnie, które rzucił mu mężczyzna stojący przy stole.

Przez kilka sekund przypatrywała mu się, aż pojęła. Przerażona patrzyła to na jednego, to na drugiego i zatrzymała wreszcie wzrok na Levanie. Uśmiechnął się, jakby prosząc o wybaczenie. Przez krótką chwilę zdawało jej się, że coś błysnęło w jego ustach. Jak mogła się dać zwieść tym niewinnym niebieskim oczom?

— Było trudno ją tu zwabić?

Nie, bo macie do czynienia z głupią gęsią.

— Nie, panie — Levan pokręcił głową. — Nic nie podejrzewała, tak jak to przewidzieliście. — Na skinienie siwego mężczyzny zapalił więcej świec, aż pokój rozbłysnął złotym światłem.

Obok Lijanas „chory” wsunął nogi w sięgające kolan buty i wyciągnął pas z bronią, ukryty w nogach łóżka pod koldrą. Zrobiła szybko krok w tył, zwiększając dystans między sobą a nim.

— Czy oprócz tego uzdrowiciela wie ktoś, że ona tu jest? — zapytał siwy mężczyzna, który zbliżał się powoli w jej stronę. Lijanas zaczęła się cofać, aż poczuła na plecach słupki łóżka.

— Nie, panie!

— Corfar się nim zajmie!

Czarnowłosy stał cały czas przy drzwiach, z założonymi pod płaszczem rękami. Chłód w jego głosie sprawił, że Lijanas przeszły po plecach ciarki. Kiedy zdała sobie sprawę ze znaczenia jego słów, wciągnęła powietrze.

— Chyba nie chcecie zabić Udelara?!

Burzowoszare oko spojrzało na nią z mieszką gniewu i zaskoczenia. Czyżby zaskoczyło je, że odważyła się mu sprzeciwić, a może chodziło o to, że w ogóle potrafi mówić? Jego wzrok spoczął z powrotem na „chorym”.

— Corfar! Do świtu!

Ten skinął głową. — Tak, panie.

— Nie! — Nikt nie zwrócił na nią uwagi.

Kiedy ręka siwego ujęła ją za podbródek, przestraszyła się. Z bliska jego oczy wyglądały jeszcze bardziej jak oczy jastrzębia - żółto-brązowe, chłodne i śmiercionośne. Przez chwilę przyglądał się jej twarzy.

— Ona jest piękna.

Lijanas odepchnęła jego rękę.

— Ona tutaj jest!

Od stołu dało się słyszeć cichy śmiech.

— Ona ma pazurki!

Czarnowłosy pozostawił Levanowi swoje miejsce przy drzwiach i również podszedł do Lijanas. Mężczyzna o oczach jastrzębia skwapliwie zrobił mu miejsce. Jego pokryte rękawiczką palce dotknęły jej twarzy, przy czym nie zwracał w ogóle uwagi na jej niechętnie cofanie się. Rękawy jego kaftana były ciasno zasnurowane wokół przedramienia i zakrywały nawet nadgarstki. Zamyślny przeciągnął kciukiem po jej policzku.

— Oczy lśniaco zielone jak szmaragdy.

Jego palce ześliznęły się po końskim ogonie, w który zawsze związywała włosy.

— A włosy jak ogień północy. Faktycznie jest piękna - powiedział i spojrzal Lijanas prosto w oczy. - Czy jesteście jeszcze dziewicą?

Plask!

Jego usta wykrzywiły się w coś, co jedynie przy dobrych chęciach można by nazwać cynicznym uśmiechem, kiedy położył dłoń na policzku, na którym zaczynały się pokazywać czerwone odciski jej palców. Z przesadną ostrożnością poruszył szczękami, jakby chciał sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

Hipokryta!

— Interpretuję to jako „tak!”.

— Zinterpretujcie to jako „to nie wasza sprawa!”, bezwstydney draniu! — I nie ważcie się jeszcze raz mnie dotknąć! — Lijanas zrobiła krok w bok, żeby nie być w zasięgu jego ręki i, zacisnąwszy pięści, odwróciła się do siwowłosego, który najwyraźniej był przywódcą tych pięciu.

— Czego chcecie ode mnie? Co to ma znaczyć?

Jego drapieżne oczy zwęziły się, kiedy odsunął czarnowłosego na bok i znowu stanął tuż przed nią. Nad kołnierzem jego kaftana skóra karku była tak samo siwa jak jego włosy.

— Wy jesteście uzdrowicielką Lijanas - nie było to pytanie, lecz stwierdzenie.

— To już przecież wiecie.

Lijanas chciała mu się wymknąć i znowu znalazła się między nim a słupkiem łóżka.

— Pojedziecie z nami do chorego! — nie była to prośba, lecz rozkaz.

— Do chorego? I po to to wszystko? Nie można było po prostu zapytać? - zdumiona patrzyła raz na jednego, raz na drugiego. Jej serce nie chciało przestać bić jak szalone. Odpowiedziało jej milczenie. Nagle poczuła ucisk w żołądku. - Gdzie jest ten chory? Kto to jest?

— Gdzie: w Turasie. Kto: tego dowiedzie się w odpowiednim czasie - przemówił czarnowłosy.

Turasie? - Lijanas wciągnęła bezgłośnie powietrze. To mogło oznaczać tylko...

— Wy... wy jesteście...! - To słowo nie chciało jej przejść przez usta.

— Kierami?

Poniżej klapki na oko kącik ust zadrżał w przyplwywie drwiny.

— Tak! - przytaknął i zsunął rękawiczki, opierając się plecami o kant stołu, potem założył znowu ramię na ramię i skrzyżował od niechcenia kostki u nóg. Grzbiet jego dłoni lśnił czarno, paznokcie były ostro zakończone i wygięte lekko w dół. Teraz patrzył na nią z uśmiechem, który ukazał jego kły.

Teraz poczuła ucisk w gardle. Przelknęła ślinę i wpila nagle swoje spocone dłonie w suknię, by powstrzymać ich drżenie. Jej wzrok skakał od jednego do drugiego. — *Oni są zwierzętami! Ludzie mawiają, że są obydnie owłosieni na całym ciele i jedzą surowe mięso!*

— Nie! — to, co miało zabrzmieć zdecydowanie, było jedynie nieporadnym szeptem. — Nie! — potrząsnęła głową. - Nie pojedę z wami!

— To tyle na temat: nie mogliście po prostu zapytać, nieprawdaż?

Dlaczego ta nagła uprzejmość w głosie czarnowłosego przerażała ją bardziej niż wcześniejszy chłód?

— Nie możecie mnie zmusić... — Lijanas uniosła podbródek w nadziei, że wygląda wystarczająco zdecydowanie.

— Czyżby? — kpiąco zapytał czarnowłosy.

— Wystarczy!

Na głos siwego Lijanas aż podskoczyła. Także w jego ustach ujrzała błyszczące kły. Czarna brew uniosła się wprawdzie niechętnie w górę, jednak mężczyzna z okiem w kolorze burzowego nieba milczał.

— Nie stanie się wam nic złego, uzdrowicielko. Prosimy was jedynie, abyście towarzyszyli nam do Turasu i zajęli się pewnym chorym. Od wielu zim trawi go choroba i teraz posłał nas, abyśmy przyprowadzili was do niego...

— Choć bardzo mi przykro z powodu choroby tego człowieka, nie pojedę z wami do Turasu! — w żołądku czuła drżenie, które przyprawiało ją o mdłości.

— Cóż, właściwie nie macie wyboru. — Dłonie czarnowłosego musnęły wieko jej pudełka z lekami, jakby podziwiał delikatne rzeźbienia, którymi było ozdobione. Potem otworzył je z namysłem.

— Jeśli mnie zmusicie, będę krzyzczeć, aż zbiegnie się tu cała gospoda. Podniósł wzrok, kpina znowu widniała na jego ustach.

— Sądzicie, że ktoś was usłyszy? Dwa piętra niżej?

Jakby z namysłem sprawdzał starannie opisane tygle i buteleczki.

— Najpóźniej przy bramie miasta... Co wy tam robicie?

Właśnie podniósł fiolkę z żółtą cieczą, patrząc na jej zawartość. Lijanas wciągnęła gwałtownie powietrze.

Skąd on wie...?

— Nie!

— Nie? — jego uśmiech zapowiadał czyste niebezpieczeństwo, kiedy wziął z jej zapasów kawałek płótna i wylał na nie kilka kropli tej żółtej cieczy.

Ponownie potrząsnęła głową. — Nie pójdę z wami!

— Ta decyzja nie należy już do was, uzdrowicielko! — wyjaśnił łagodnie, zbliżając się do niej. Poczula ostry zapach.

Lijanas rzuciła się do ucieczki, ale ledwie zrobiła dwa kroki, objął ją w pasie ramieniem, a jego dłoń przycisnęła jej kawałek płótna do ust i nosa. Walczyła jeszcze przez dwa rozpaczliwe oddechy, zanim gęsta ciemność spowila jej zmysły.

Musiała zapomnieć, zamknąć okno w swej izbie, ponieważ ptaki śpiewały dzisiaj wyjątkowo głośno. Akurat teraz, kiedy w skroniach czuła tępy ból. Wtulila policzek w miękkie futro - *Czy ktoś mógłby uciszyć te ptaki!*— i naciągnęła nakrycie na głowę. Właściwie powinien ją otaczać zapach ziół *jaloe* i prawoślazu, jednak poczula skórę, konie, stal... i jeszcze coś innego. Zerwała się i zrzuciła chustkę. Natychmiast pożałowała tego gwałtownego ruchu, ponieważ zakręciło jej się w głowie, a na języku poczula nagle gorzki smak - normalne skutki wyciągu z guryiny. Z zaciśniętymi w pięści dłońmi na skroniach zamknęła mocno oczy i oparła głowę na podciągniętych kolanach. Teraz wszystko sobie przypomniała. Kierowie i... — *Przeklęty czarnowłosy drań! Żeby zgnił w nieskończonych labiryntach!*

— Dzień dobry, uzdrowicielko!

Jeśli dobrze pamięta, ten głos należał do siwego mężczyzny o oczach jastrzębia. Lijanas nie podniosła głowy. Gdyby poruszyła nią choćby trochę, mogłoby dojść do nieszczęścia.

— Balem się już, że Mordan przesadził z guryiną i zasnęliście na wieki.

Mordan? — *w końcu jakieś imię, żebyym mogła je porządnie przeklinać!* Poczula jakiś ruch z jej prawej strony.

— Tu jest coś do jedzenia, uzdrowicielko. Mam nadzieję, że lubicie...

Pieczona słonina!

Ten zapach dobil jej żołądek. Zatkala dłonią usta, zerwała się, zaplątała w skórach leżących na łóżku, spadła, podniosła się i uciekla. Kiedy znowu była w stanie myśleć, klęczała w cieniu potężnych drzew przed jakimś krzakiem i męczył ją już tylko odruch wymiotny.

- Ty jesteś temu winien - znowu usłyszała głos siwego, tuż za nią. — Zajmij się więc i tym!

Odpowiedziało burknięcie, potem usłyszała zbliżające się kroki.

Lijanas wytarła sobie usta grzbietem dłoni, słyszała, jak ktoś się za nią schyla. Dał się słyszeć bulgot wylewanej wody.

- Tutaj! Wytrzyjcie się tym!

On!

Niemalże wyrwała mu z ręki wilgotną ścierkę, którą jej podał.

- Zostawcie mnie! - powiedziała i zanurzyła zlaną potem twarz w chłodnym materiale.

- Tego życzenia nie spełnię, uzdrowicielko.

Czy w jego głosie slychać było rozbawienie? Niech będzie przeklęty.

- Wypłuczcie sobie usta - nad jej ramieniem ukazał się bukłak z wodą.

Sięgnęła po niego i zrobiła, jak powiedział. Kiedy ten obrzydliwy smak zniknął wreszcie z jej ust, także żołądek przestał się buntować. Mimo to pozostała na kolanach, z palcami zaciśniętymi na skórzanym worku. Wziął go od niej i podniósł się.

- Wstańcie!

Kiedy Lijanas nie zareagowała, chwycił ją za ramię i postawił na nogi.

- Tam!

Zacisnęła wargi i poszła, nie patrząc na niego, w kierunku, który wskazywała jego ręka. Zatrzymała się zaskoczona, usłyszawszy trzask po swej lewej stronie. Dwa masywne cienie poruszyły się między plamami światła, które padało przez gałęzie. Usłyszała parsknięcie. Czy to były konie?

- Dalej! - Jego dłoń spoczęła na jej ramieniu. Lijanas straciła ją z obrzydzeniem.

Już po kilku krokach drzewa rozstąpiły się, otwierając polanę, na której brzegu siwowłosy zajęty był właśnie gaszeniem małego ogniska. Uniosła się cienka smużka dymu — zdusił ją, przysypując ziemią. Po pozostałych trzech mężczyznach nie było śladu. Kiedy usłyszał, że nadchodzą, wyprostował się. Oczy jastrzębia powędrowały na chwilę ku mężczyźnie za jej plecami, potem spojrzal na Lijanas.

— Mam nadzieję, że lepiej się czujecie, uzdrowicielko.

Założyła ramiona na piersi i spojrzała demonstracyjnie w bok. Westchnął ze współczuciem.

— Powiedziałem wam już w „Czarnym Jagnięciu”, że nie mamy wobec was złych zamiarów, uzdrowicielko. Ale...

— Ale odurziliście mnie i uprowadziliście!

— To prawda. — Skinął spokojnie głową.

— Będą mnie szukać.

— Liczymy się z tym.

Zmarszczyła czoło. Dlaczego zdawało się, że nic sobie z tego nie robi.

— Książę Ahmeer będzie mnie szukać — spróbowała jeszcze raz.

— Co was łączy z siostrzeńcem Rusana? Czarnowłosy chwycił ją i przyciągnął brutalnie do siebie. Zły błysk w jego spojrzeniu przestraszył ją. Z trudem zduśła w sobie strach.

— Jako kapłanka Łaskawej Bogini znajduję się pod osobistą ochroną księcia, dlatego książę Ahmeer będzie...

Znienacka w jej włosy wpila się dłoń i silnie pociągnęła jej głowę, aż oparła się na karku. Oddychając ciężko z bólu, Lijanas chwyciła jego nadgarstek. Pod palcami poczuła sierść.

W jej oczach nagle pojawiły się piekące łzy, bezradne skamlenie wy dostało się z jej gardła.

— Jest pewna zasada, o której należy pamiętać, kiedy się próbuje kogoś oszukać, kobieto — zabrzmiało to, jakby rozmawiał z nierozgarniętym dzieckiem. - Trzeba zawsze wiedzieć, ile wie ta druga osoba, zanim się otworzy usta. - Pochylił się niżej nad Lijanas - życie jedynie pośród kapłanek waszej heretyckiej bogini. Ale wy nie jesteście jedną z nich.

— Mordanie! - upomniał głos siwego tuż obok nich.

Jakby posłusznie, wyprostował się trochę i rozluźnił swój chwyt.

— Jeszcze raz, uzdrowicielko — co was łączy z Rusanem i jego siostrzeńcem? Tylko teraz zastanówcie się dobrze, co mówicie!

Lijanas zacisnęła wargi, szarpiąc jego nadgarstek. Jakby w odpowiedzi, jego palce zacisnęły się znowu mocniej na jej włosach.

Szlochając, wzięła oddech.

— Już kilka razy leczyłam księcia Rusana. Raz uratowałam mu też życie, kiedy podczas walki z..., z...

— Kierem? - podsunął, uśmiechając się złowrogo, kiedy to słowo nawet teraz nie chciało przejść jej przez usta.

Lijanas przelknęła mężnie ślinę.

— ...walki z Kierem został ciężko ranny - dokończyła zdanie drżącym głosem.

Jedynie kątem oka dostrzegła, jak siwowłosy nagle czujnie się odwrócił. Rozległ się stłumiony tętent kopyt, który zbliżał się szybko. Może byli to już ludzie Rusana. Powiedział coś w języku Kierów, którego Lijanas nie rozumiała. Jego słowa zostały skwitowane skąpym skinieniem głowy, potem niepodzielna uwaga jej dręczyciela znowu skupiła się na niej.

— Mówcie dalej, uzdrowicielko! Słucham.

- Jest przekonany, że jest moim dłużnikiem, dlatego znajduję się pod jego osobistą ochroną. Wszystko jedno czy jestem jedną z kapłanek, czy nie, on się o tym dowie, jeśli po prostu zniknę. A ponieważ nie może sam prowadzić poszukiwań, wyśle księcia Ahmeera.

— I mam wam uwierzyć?

Jego dłoń tak szybko puściła jej włosy, że straciła równowagę i wyładowała plecami na ziemi.

- Zobaczmy! - odwrócił się i, nie zwracając już na nią więcej uwagi, podszedł razem z siwowłosym do trzech jeźdźców, którzy właśnie zatrzymali swoje potężne konie pośrodku polany.

Nadzieja Lijanas prysła, kiedy rozpoznała tych mężczyzn. Podniosła się powoli. Żaden z pięciu Kierów nie poświęcił jej nawet odrobiny uwagi. Jej wzrok powędrował szybko do znajdujących się w pobliżu drzew. Po tamtej stronie stały konie! Jeszcze raz obejrzała się na wojowników, potem ruszyła powoli do tyłu. Żaden z nich nie spojrzał w jej stronę. Odwróciła się i zaczęła biec.

- Późno wracacie! — Brachan spojrzał rozgniewany na jeźdźców.

- Musieliśmy pojechać okrężną drogą - Ecren, stojący z przodu, zsiadł z konia. Pozostali dwaj poszli za jego przykładem. Wszyscy trzej unikali wzroku Mordana, kiedy podszedł do nich. Jego mina spochmurniała.

— Czy coś poszło nie tak? Mówcie!

— Zawiodłem, panie, uzdrowiciel wciąż żyje — powiedział Corfar i wystąpił przed swoich towarzyszy.

- Jak to?

- Nie mogłem go wytropić. Nie było go już u tego pacjenta w Górnym Mieście, ale do domu też jeszcze nie wrócił. Jego żona podała mi wprawdzie kilka nazwisk...

- Widziała cię?

- Jedynie mężczyznę w długiej pelerynie z głęboko naciągniętym na twarz kapturem.

Mordan naprawdę nie wyglądał na zadowolonego, kiedy kazał Corfarowi mówić dalej.

- Eren i Levan pomagali mi go szukać, bez powodzenia. Wróciliśmy do „Czarnego Jagnięcia” tuż przed świtem — wojownik zawahał się, rzucił pozostałym szybkie spojrzenie. — Żołnierze księcia szukają już uzdrowicielki, panie.

Z ostrym świstem zaczerpnął powietrza.

- Widzieli was?

- Nie, panie! — Eren stanął spokojnie obok Corfara. - Uslyszyliśmy ich w szynku, kiedy zabieraliśmy z pokoju resztę naszego ekwipunku. Oczywiście skorzystaliśmy z tylnych schodów. Nie biorąc pod uwagę uzdrowiciela, nie pozostawiliśmy żadnych śladów.

- Powinniśmy jednak... — zaczął Brachan, jednak Levan przerwał mu w pół słowa.

- Panie, gdzie jest uzdrowicielka?

Mordan odwrócił się. Polana była pusta. Jego przekleństwo przerwał przenikliwy pisk, mieszający się z przeraźliwym krzykiem.

- Ired! — Pobiegł w tamtą stronę, jakby gonily go duchy zemsty.

- Uzdrowicielka nie żyje! - Brachan podążył szybko za nim, pozostali także.

Dotarłszy do drzew, Lijanas spojrzała szybko raz jeszcze za siebie na polanę. Bardzo dobrze, wojownicy nie zauważyli jeszcze jej zniknięcia. *Aroganckie typy!* Schyliwszy się, przeszła między zwisającymi nisko gałęziami, obeszła krzak i ujrzała dwa konie, większe i masywniejsze niż konie bojowe, które pokazywał jej Ahmeer w stajniach księcia Rusana. Lejce długości kilku kroków leżały w trawie skubanej krótkimi, zdecydowanymi ruchami. Ostrożnie podeszła bliżej, opowiadając zwierzętom przymilnym głosem jakieś bzdury. Nie uszła nawet dwóch kroków, gdy stojący bliżej

niej koń podniósł nagle leb. Żółte oczy spojrzwały na nią, uszy położył po sobie, potem koń rzucił się przed siebie z przenikliwym piskiem. Podkute żelazem kopyta zawirowały przed jej nosem. Przerażona jakby z oddali usłyszała swój własny krzyk, potknęła się, robiąc krok w tył. Chwyciły ją ostre zęby. Zataczając się, przesuwiała się do tyłu, unosząc w przerażeniu ręce w beznadziejnej próbie osłonięcia się przed rozwścieczonym zwierzęciem. Schyliła się nieporadnie, znowu krzyknęła — dźwięk ten został niemal zupełnie zagłuszony przez wściekły, przeraźliwy odgłos. Uderzenie nadeszło tak niespodziewanie, że wylądowała na czworakach. Kopyta smagnęły powietrze dokładnie tam, gdzie jeszcze chwilę temu była jej głowa. Czyjaś ręka chwyciła ją, pociągnęła pod osłonę drzewa - siwowłosy wojownik. Mimowolnie jej ręce objęły go. Dopiero teraz odważyła się spojrzeć przez ramię. Odebrało jej dech.

Mordan stał przed rozwścieczonym koniem, z lejcami owiniętymi wokół pięści, i próbował ściągnąć jego tylne nogi. Z ledwością udało mu się uniknąć kopnięcia. Zaledwie zwierzę stanęło czterema nogami na ziemi, rzuciło się na wojownika swymi obnażonymi zębami i odrzuciło z rżeniem leb, kiedy mężczyzna uderzył je z zamachem pięścią w czule chrapy. Przez chwilę koń stał spokojnie, jego boki drżały; nie spuszczał wojownika z oczu. Ten pociągnął mocno lejce, burknął komendę. Koń zaczął krok po kroku ustępować - uszy miał wciąż groźnie położone po sobie, żółte oczy były jednak skierowane na podniesioną w geście groźby pięść. W końcu zwierzę spuściło leb, a czarnowłosy wojownik przywołał do siebie Levana i rzucił mu linę.

Potem odwrócił się. Lijanas przelknęła nieswojo ślinę. Jego mina stanowała maskę dla powstrzymanego z trudem gniewu.

- Czyście oszaleli, kobieto, czy też chcieliście się zabić? — chwycił ją za ramię i pociągnął do przodu, w kierunku konia, który na jej widok podniósł, parskając, leb. - To jest *asbentai*, koń wężowy! Te zwierzęta są nauczone, by zabijać każdego, kto się do nich zbliży. Jedno jego kopnięcie wystarczyłoby, żeby roztrzaskać wam czaszkę - obrócił ją w swoją stronę, żeby spojrziała na niego. - Nigdy więcej nie zbliżajcie się do żadnego z tych zwierząt, jeśli któregoś z nas przy tym nie będzie! Zrozumieliście, kobieto? - potrząsnął nią tak mocno, że jej zęby uderzyły o siebie i słowo „tak" było zaledwie oddechem.

— Dobrze! — wypuścił ją nieoczekiwanie. Niewiele brakowało, a przewróciłaby się, gdyby szybko jej nie złapał. — A teraz porozmawiamy o tym,

czego tu szukaliście. Szorstko wyciągnął ją spod drzew z powrotem na polanę. Lijanas musiała biec, żeby nadążyć za jego długimi krokami. Cisnął ją na trawę obok zgaszonego ogniska. Jego gniew jeszcze nie minął.

- U mnie każdy ma prawo do jednej próby ucieczki. Nawet, jeśli było to nieprzemyślane i niemądre z waszej strony, uzdrowicielko.

- Ach, wy zrobilibyście to oczywiście o wiele sprawniej, czy tak? — odparowała na to Lijanas, przeklinając natychmiast swój nieposkromiony język, ponieważ siwowłosa pochylił się nad nią groźnie.

- Przynajmniej poczekałbym, aż się ściemni.

Dziękuję za radę!

Spojrzała w bok i odsunęła się przestraszona, kiedy nagle ukląkł obok niej na piętach, złapał ją za podbródek i zmusił, by na niego spojrzała.

- Dajcie mi słowo, że była to wasza pierwsza i ostatnia próba ucieczki, uzdrowicielko! — zażądał niepokojąco spokojnym tonem.

Jednym gwałtownym szarpnięciem Lijanas uwolniła się z jego rąk i odsunęła kawałek od niego.

- Jeśli chcecie mieć uległego jeńca, który na wasz widok za każdym razem padnie na kolana i będzie prosić o litość... Hej! Co wy robicie? - oszołomiona, przez chwilę obserwowała, jak oderwał rąbek jej szaty, jednak gdy chciała go powstrzymać, by nie zniszczył jej jeszcze bardziej, błyskawicznie okręcił pasek materiału wokół jej nadgarstków i związał mocno. Z krzykiem oburzenia próbowała się uwolnić, gryzła, drapała, kopała go; jednak nie dalej jak dwa, trzy uderzenia serca później leżała bezradna na ziemi, z rękoma przywiązanymi do kostek. Wściekła rzuciła w jego stronę gniewne spojrzenia. — Rozwiążcie mnie! Natychmiast!

Podniósł się obojętnie. Z pewnym zadowoleniem Lijanas stwierdziła, że miał na twarzy świeże zadrapanie.

- Nie możecie mnie tu tak zostawić na ziemi jak jakiegoś tobołka. - *Łaskawa, ulituj się. Wykłócam się jak jakaś praczka... Dlaczego on patrzy na mnie tak dziwnie?*

Kiedy uniosła głowę, podążając za jego wzrokiem, zarumieniała się. Podczas rej całej szamotaniny jej suknia podwinęła się aż do kolan. Spojrzała na niego — odpowiedział na to spojrzenie, unosząc czarną brew. Potem przykucnął przy niej i wyciągnął rękę w stronę jej nóg.

Nagle znieruchomiała.

Nie, Łaskawa, proszę! Nie tak! Nie on!

Ze strachem śledziła jego ruchy — jego palce dotknęły jej tylko przez moment, kiedy obciągał jej suknię do kostek, jak przystało. Ciągłe jeszcze, siedząc w kuckach, spojrzal na nią. Lijanas przelknęła ślinę.

Wieczność minęła, zanim się raptownie podniósł.

— Macie siedzieć cicho, aż po was przyjdę, uzdrowicielko! — Z tymi słowy odwrócił się i poszedł do koni.

Lijanas oparła głowę o kark i krzyknęła.

Gbur! Cham! Drań! Bękart! Parszywiec! Prostak! Skurczybyk!

Naprawdę to zrobił. Wrócił, oderwał kolejny pasek materiału z jej sukni i zatkał jej tym usta. Potem znowu sobie poszedł. Jeszcze przez jakiś czas pyskowała za nim, mimo knebla, z tym skutkiem, że rozboleła ją gardło. W pewnym momencie skoncentrowała się na tym, by obrzucić go w myślach wszystkimi przekleństwami, jakie знаła. Szybko stwierdziła, że nie było tego zbyt wiele.

Z cichym jękiem poruszyła spętanymi nadgarstkami. Bolały ją plecy.

Podlec!

Zacisnęła dłonie w pięści, kiedy cichy brzęk uprząży i stłumiony stukot kopyt zapowiedziały jego powrót. Niech sobie tylko nie myśli, że będzie teraz posłusznie słuchać jego rozkazów.

Nie pamiętał już, kiedy ostatni raz klócił się z Brachanem i źle na tym wyszedł.

Czemu ta baba nie może zachowywać się jak wszystkie inne i robić, co się jej każe? Piękną kobietę powinno się podziwować, a nie jej słuchać! Przeklęte, smarline babsko!

— Skrępowanie i zakneblowanie uzdrowicielki nie było konieczne — odezwał się do niego siwowłosy wojownik, kiedy Mordan doszedł do drzew. - Równie dobrze mogłeś zlecić Levanowi albo komuś innemu, by jej pilnował.

Twarze Corfara i Ecrena mówiły mu, że dzielali zdanie Brachana. Musiał wysłuchać wykładu na temat zachowania wobec kobiet. On! A potem jeszcze i Levan pouczył go, że nie można traktować uzdrowi-

cielki jak dziewczki z taboru. Na duchy zemsty! Gdyby ją tak traktował, na pewno nie naciągnąłby jej sukni z powrotem do kostek. Jednak nie mógł zapomnieć wyrazu jej oczu. Przez kilka chwil widział w nich przerażenie.

Nieświadomie podniósł rękę do twarzy. Zrobił wiele rzeczy, z powodu których ludzie się go bali i go przeklinali. Ale nigdy nie zbliżył się do kobiety wbrew jej woli. Zacisnął pięści. Jeśli pragnął kobiety, płacił jej za usługi, to było proste. Warknął, odsłaniając zęby.

Ona jest z ludu Nivard, a dla nich jesteście drapieżnymi zwierzętami...

Jednym szarpnięciem cugli zatrzymał Ired. Leżała tam, jego płomienowłose przekleństwo, cały czas mocno związana. Zdziwiłby się bardzo, gdyby udało się jej wyswobodzić.

Jej spięte ramiona zdradziły mu, że usłyszała, jak się zbliżał.

A więc nadal ma zamiar się opierać.

Powstrzymał westchnienie, zatrzymał Ired, stanął przed uzdrowicielką i przykucnął. W jej szmaragdowych oczach ujrzał złowrogi blysk.

— Będziecie krzyżeć, jeśli wyjmę wam knebel? — Brachan radził mu, by był uprzejmy. Nie zaszkodzi spróbować.

Spojrzenie kobiety powiedziało mu, dokąd powinien się wynieść, a potem odwróciła głowę.

Ujął ją za podbródek i przekręcił jej głowę z powrotem w swoją stronę.

Łagodnie, Mordanie, łagodnie! Masz ją traktować jak delikatny kwiat, mówił Levan. Delikatny kwiat? Ba! Ona jest jak przeklęty oset!

— Pojedziemy teraz dalej, uzdrowicielko — mówił tak, że nie widać było jego klów, i starał się być możliwie uprzejmym. — Są dwie możliwości, jak odbędziecie tę drogę: prosto, przede mną w siodle, albo na brzuchu, przede mną na siodle. Na to pierwsze zgodzę się, jeśli obiecacie, że nie będziecie krzyżeć albo zachowywać się jak jakaś furia. Jeśli tego nie zrobicie, pozostaje druga możliwość, a wierzcie mi, na dłuższą metę jest to wyjątkowo niewygodne. A więc? Jak będzie?

Jej oczy zrobiły się wąskie, a spod knebla zaczęły dochodzić niezrozumiałe dźwięki. Kiedy po prostu dalej na nią patrzył, kiwnęła podbródkiem w jego stronę. Najwyraźniej chciała dać mu do zrozumienia, że ma ją uwolnić od tego materiału.

Mordan postarał się o uprzejmy uśmiech, nie otwierając przy tym ust, kiedy wyjmował chustkę z jej ust.

— Słucham?

— Nie sądzicie tylko, żeście wygrali, Kierze.

Popatrzył na knebel.

Żaloszny gbur!

- No już dobrze. Nie będę krzyczeć.

Czarna brew uniosła się pytająco.

- I nie będę się zachowywać jak furia.

Teraz podniosła się druga brew.

Lijanas przewróciła oczami.

- Przyrzekam.

W jego oku w kolorze burzowego nieba pojawił się na moment blysk zadowolenia, potem pochylił się, rozwiązał jej pęta i podniósł ją z ziemi. Gwałtownym szarpnięciem uwolniła się z jego rąk.

Na jego czole pojawiła się głęboka bruzda.

- Wsiadajcie!

Lijanas utkwiała wzrok w potężnym koniu bojowym, którego żółte oczy ukryte były teraz pod wstążką z cienkich skórzanych frędzli.

Jej pierwszą myślą było: *Jak mam właściwie się dam dostać? Grzbiet jest co najmniej dwa kroki nad ziemią.*

A druga myśl: *Bestia, która prawie roztrzaskała mi czaszkę! To jest jego koń? O Łaskawa!*

- Nie chcę jechać z wami!

- Wsiadajcie!

- Czy jesteście głusi? Powiedziałam...

- A ja powiedziałem: wsiadajcie! - jego głos zamienił się nagle w niebezpieczne warczenie. - I nie, nie jestem głuchy.

- Ale słyszycie tylko to, co chcecie usłyszeć — mruknęła cicho, darząc go krótkim spojrzeniem przez ramię. Z kciukiem wetkniętym za obity srebrem pas, stał nie dalej niż na długość ramienia od niej, patrząc na nią lodowato. — *Drań!* — Znowu spojrzała na konia-potwora.

Jego sierść lśniła dziwnie oleisto i wyglądało to z bliska, jakby ktoś coś w nią wtarł, tylko co? Popiół? Zmarszczyła czoło. Przez pierś konia przewieszony był szeroki, skórzany pas, ozdobiony wypalanymi zdobieniami, natomiast bardzo podobne, szerokie na dłoń paski, dekorowały zad i tylne kończyny. Na jego grzbiecie spoczywało siodło z ciemnej skóry z niewysokim rozwidleniem z tyłu i nieco wyższym rogim, który zwężał się ku górze, i którego koniec był misternie wygięty do przodu. „Siodło bojowe” - tak Ahmeer określił taki rodzaj siodła, pokazując jej pewnego razu podobny egzemplarz w stajniach swojego wuja. Tylko to tutaj przykryte

było grubą, czarną, owczą skórą. Lijanas uśmiechnęła się słodko i spojrzała znowu przez ramię, zanim powróciła do lustracji konia. Za siodłem, na przymocowanych jukach, przytroczony był zrulowany koc, a za nim - przelknęła mimowolnie ślinę - przymocowana była okrągła, czarna tarcza o średnicy około jednego kroku, w której środku lśnił groźnie w słońcu długi na palec kolec. Spod tarczy wystawał podwójny luk kuszy wraz ze skórzanym kolczanem, który zawierał zapewne pasujące do niej belty.

- Z drugiej strony znajdziecie topór wojenny *garichan* i miecz *kere-shtai*. — Usłyszała drwinę w jego głosie.

Czy ten tył zawsze ma przy sobie całą swoją zbrojownię?

- A teraz wsiadajcie! - drwina zniknęła z jego tonu.

Lijanas jeszcze raz spojrzała na olbrzymiego konia, na broń, torby juczne i różne worki umocowane pomiędzy tym wszystkim.

- A gdzie mam siedzieć?

- Tu! — pogłaskal koc rzucony na szyję konia przed siodłem.

Zamknęła oczy i westchnęła cicho. *To nic nie da.*

Ostrożnie zbliżyła się do konia, chwyciła lęk siodła tak mocno, jak mogła, próbując włożyć stopę w strzemień, ale nie udało jej się dotrzeć. Podeszła jeszcze bliżej do zwierzęcia — potężne kopyto uderzyło niebezpiecznie blisko niej w ziemię. Za jej plecami wojownik syknął czarnej bestii jakieś polecenie w języku Kierów, chwycił Lijanas ku jej przerażeniu, bez ostrzeżenia, w pasie i podniósł ją na grzbiet konia, jakby nie ważyła więcej niż kociątko; ponieważ jej szata była zbyt wąska, aby usiąść na siodle okrakiem, a nie miała zamiaru pokazywać mu więcej, niż, tak czy owak, już zobaczył, pozostawało jej jedynie usiąść bokiem. Poczekał, aż się usadowi, potem wsiadł na konia, zajmując miejsce za nią, przyciągnął kobietę bliżej siebie, wcisnął kawałek swojego płaszcza pomiędzy lęk siodła a nią, jednym ramieniem objął jej talię, a drugą ręką chwycił cugle.

Próba uwolnienia się od jego chwytu, nie udała się Lijanas. Wręcz przeciwnie, teraz trzymał ją jeszcze bliżej siebie. Równie dobrze mogłaby się bronić przed żelaznymi kajdanami. Krótkie cmoknięcie, położenie ciężaru i potężny rumak ruszył miarowym krokiem.



Woda pokrywała ziemię, ale choć nie była głębsza niż na szerokość dłoni, zmieniała ją w diamentowe iskrzenie i lśniące światło, które w jasnych cieniach skakało po smukłych kolumnach dźwigających filigranowy sufit. Tam, gdzie powinny być mury, spoglądało się z trzech stron na nieskończoność morza rozbijającego się z hukiem o strome klify, na których wzniesiona była Srebrna Sala w Anscharze. Widoczne w dali migotanie nad taflą morza pozwalało odgadnąć, że to tam jest żar, który unosząc się ze szczytów Płonących Wysp dbał o to, by stolica Astracharu nigdy nie zaznała zimy. Z czwartej strony oko obserwatora cieszyły złoto dojrzałych pól i zieleń bogatych w dziką zwierzynę lasów. Jednak całe to piękno nie cieszyło go dzisiaj. Z łokciem opartym o jedną z kolumn podpierających krużganki sali, z dłonią zaciśniętą w pięść przy ustach patrzył w morze i czekał. Wiatr morski bawił się jedwabiem z Fehanu, z którego uszyte były jego szerokie spodnie i haftowana maleńkimi srebrnymi perłkami kamizelka bez rękawów, muskał jego czoło i marszczył gładką taflę wody znajdującego się za nim basenu otoczonego białym kamieniem, w środku którego wznosił się na cokole z poprzecinanego srebrnymi żyłkami marmuru tron księcia Astracharu.

W odległości kilku kroków siedziała na stolku z kości słoniowej, między kolumnami, drobna kobieta odziana w błękit, czerń i srebro swego stanu, milcząc, z twarzą zwróconą w jego stronę. I choć Niegra, pierwsza kapłanka Rabini, była już od wielu zim niewidoma, jej wzrok zdawał się parzyć go. Warknąwszy, oderwał się od kolumny i znowu zaczął niecierpliwie chodzić.

Nie było sensu tak się martwić. Ona nie powinna mieć dla niego znaczenia, bądź co bądź, nie była członkiem dworu, a tylko młodą uzdrowicielką, która żyła pomiędzy kapłankami Rabini; nie należała nawet

do wspólnoty kapłanek. Ale, psiakrew, zdolnościom tej dziewczyny zawdzięczał, że był wciąż jeszcze przy życiu, po tym, jak przed trzema zimami przywieziono go do Anshary bardziej martwego niż żywego.

Rusan, księżę Nivardów, zacisnął mimowolnie pięści na wspomnienie tej chwili, której świadkiem był lodowaty wiatr przy Przełęczy Iseroch. Z małym oddziałem swych najlepszych ludzi znalazł się nagle naprzeciw tuzina wojowników Kier, pod sztandarem dwugłowego wilka. W pierwszej chwili Kierowie wydawali się nie mniej zaskoczeni niż sami Nivardowie, napotkawszy kogoś w tej wysoko położonej, zaśnieżonej okolicy. Jednak ich przywódca szybko otrząsnął się ze zdumienia i potem było już za późno — rzucili się na ludzi Rusana - a on stanął nagle oko w oko z „Krwawym Wilkiem”.

Bezwiednie dotknął lewego ramienia. Miecz tego wojownika był jak kłująca błyskawica przecinająca mroźne powietrze, kiedy raz za razem spadał na niego, aż wreszcie z morderczą siłą wbił mu się w ramię tuż obok gardła i roztrzaskał tam kości. Świat wokół Rusana zatonął w czerwieni. Ostatnie co usłyszał, zanim na długi czas stracił przytomność, było wściekłe wycie „Krwawego Wilka”, kiedy straży przybocznej Rusana udało się wreszcie odepchnąć go od leżącego na ziemi księcia, ponieważ przez ten jeden cios znalazł się na skraju grobu. Od tego dnia jego ramię było słabe.

Potarł wypukłą bliznę, wykrzywiając gorzko usta. Krążyła pogłoska, że pierwszy dowódca Haffrena był Kessanem. Jedną z tych bestii, które ślepo posłuszne wykonywały każdy rozkaz swego pana, bez względu na to, jak brzmiał.

Na miejscu gorzkiego grymasu zagościła drwina. Były też głosy, twierdzące, że „Krwawy Wilk” nie jest człowiekiem, lecz duchem zemsty, który przybrał ludzką postać. Wiatr od morza zawiał mu na twarz czarne włosy, poprządykane gdzieś tam pierwszymi srebrnymi pasemkami. Kimkolwiek był ów wojownik Kier — człowiekiem czy duchem zemsty — złotem zostanie nagrodzony ten, kto przyniesie Rusanowi jego głowę.

Zatrzymał się między dwoma kolumnami i spojrzął na morze, próbując przepędzić ze swych myśli wizję Kierów i uspokoić nienawiść w swym sercu. W tej chwili ważna była dziewczyna, a nie znajdujący się gdzieś daleko wróg.

Rusan odwrócił się, gdy szybkim krokiem podszedł do niego kapitan jego straży.

- I co? — jego głos był szorstki. Cierpliwość nigdy nie była jedną z jego cnót.

Mężczyzna poklonił się.

- Nic, mój książę!

- Byliście też w Dolnym Mieście? - ta młoda, naiwna dziewczyna była na tyle beztroska, by wybrać się samotnie na północ od portu, jeśli jakiś chory potrzebował tam jej pomocy.

- Tak, mój książę. Nie było jej tam! Uzdrowiciel Udelar był ostatnią osobą, która ją widziała. Powiada, że poszła z jakimś obcym do „Czarnego Jagnięcia”, by zająć się tam towarzyszem tego mężczyzny, któremu Udelar nie był w stanie pomóc. Nikt nie widział jej w „Czarnym Jagnięciu”. Wygląda na to, że tam nie dotarła.

- Czy wypytano tych obcych?

- Opuścili „Jagnię” jeszcze przed świtem, mój książę.

- Jak wyglądali?

- Gospodarz opisał ich jako wysokich i robiących wrażenie. Twierdzili wprawdzie, że są kupcami, ale on uważa, że to byli wojownicy, mój książę.

- Widział broń?

- Nie, mój książę. Jeden z tych trzech ledwo stał na nogach z bólu, kiedy przybyli. Pozostali dwaj bardzo się martwili. Zapłacili złotem, żeby gospodarz dał im jakiś pokój.

- I mimo to zniknęli jeszcze przed świtaniem.

Na czole Rusana pojawiła się złowieszcza zmarszczka.

- Znajdźcie tych ludzi i przyprowadźcie do mnie, wszystko jedno, gdzie się zatrzymają i czy zechcą z wami przyjechać, czy nie. Pospieszcie się!

Wojownik sklonił się i oddalił szybkim krokiem.

Rusan oparł zaciśniętą pięść o zimny kamień kolumny. Na oczy Rabini, ta dziewczyna nie była nawet jego krewną, powinna być mu obojętną. Dlaczego ścisnęło mu serce na myśl, że ktoś mógł jej zrobić krzywdę? Potrząsnął lekko głową. Był jeszcze ktoś, kto musiał się dowiedzieć o jej zniknięciu.

- Posłać po księcia Ahmeera!

Choć wciąż jeszcze byli niebezpiecznie blisko Anshary, postanowili, że konie będą na razie tylko szły stępa, w ten sposób nie będą wzbudzać za-

interesowania wśród podróżnych, których mogli napotkać nawet na tych bocznych drogach, a jednocześnie zwierzęta będą miały na razie trochę odpoczynku. W ostatnich dniach pędzili te potężne rumaki bojowe bezlitośnie, żeby zyskać jak najwięcej czasu na drogę powrotną. Jeden dzień spokojnej drogi pozwoli koniom trochę odpocząć po minionym trudzie.

Brachan spokojnie prowadził swego wałacha obok klaczy Mordana i spoglądał z rozbawieniem widocznym w drżących kącikach ust na uzdrowicielkę. Jej głowa spoczywała na ramieniu czarnowłosego wojownika, jedna dłoń leżała na jego piersi, druga - swobodnie na jej kolanach. Jej długie włosy były prawie całkiem rozpuszczone i spływały jak błyszczący wodospad po boku Ired.

Mordan zauważył spojrzenie jastrzębia i wzruszył lekko ramionami.

— Jak śpi, nie awanturuje się.

— Śpi unie jak małe kociątko — rozbawiona rysa wokół ust Brachana pogłębiła się.

Odpowiedziało mu parsknięcie.

— Kociątko z pazurami jak tygrys śnieżny.

Młodszy mężczyzna musiał szybko mocniej chwycić uzdrowicielkę, ponieważ poruszyła się w jego objęciach, mimowolnie mrużąc, po to tylko, żeby chwilę później dalej spokojnie drzemać.

— Działanie guryiny?

— Możliwe. Sądzisz, że w innym wypadku zasnęłaby dobrowolnie w „moich” ramionach?

— Ile mamy przewagi, jak myślisz? — Brachan powstrzymał drwiący uśmiech, poprawiając się w swym siodle.

— Jeśli to prawda, co mówi Corfar, mniej niż byśmy chcieli. Prawdopodobnie najpierw będą jej szukać w mieście. Zanim je przeczesa, może będziemy mieli półtora dnia przewagi. Mniej, jeśli dotarli do uzdrowiciela. Powinienem był sam się nim zająć.

— Słońce jest jeszcze wysoko. Nie będziemy dziś już robić postoju aż zapadnie zmrok, potem zyskamy jeszcze kilka godzin. Ale jutro musimy przyspieszyć!

— Na jutro konie będą bardziej wypoczęte — powiedział Mordan i mocnym szarpnięciem cugli powstrzymał swoją klacz przed ugryzieniem wałacha należącego do Brachana. Uzdrowicielka westchnęła na jego ramieniu i poruszyła się lekko. Zamyślony spojrzal na nią.

- jeszcze nigdy nie widziałem kobiety Nivardów o takich włosach. Ogień, a pomiędzy tym delikatne pasemka w kolorze kości słoniowej.

- Twoja matka miała takie włosy.

Młodszy mężczyzna znieruchomiał w siodle. Jego twarz stała się mentalnie jak maska.

- Ach tak? - burknął i ściągnął cugle swej lred. — Jedź przodem, Brachanie! Nasze gadanie obudzi uzdrowicielkę.

Westchnąwszy, Brachan pogonił swojego *ashentai* do szybkiego klusa. Nie było tajemnicą, że matka Mordana Thiela - niewolna służąca, w której żyłach płynęła w połowie krew Edari - nienawidziła swego syna od dnia jego narodzin i zajmowała się nim tylko tyle, ile to było niezbędne. Nie wstawiła się nawet za nim, gdy go zabrano, by wychowywać na wojownika, ledwie liczył cztery zimy.

To było nie w porządku w stosunku do tego źdźbła trawy, ale nie mogła inaczej. Paznokciami rozrywała je na małe kawałki.

O ileż chętniej zrobiłabym to z tym..., tym typem.

Zacisnąwszy usta, spojrziała na tego aroganckiego drania, który przed chwilą poinformował ją, że dzisiejszej nocy będzie z nim dzielić posłanie. Och, oczywiście nie w „ten” sposób.

Nie! Oczywiście nie!

Gdyby miało ją to uspokoić, zaproponował laskawie, że położy między nimi nagi miecz. Ale będzie spał obok niej, co do tego nie było żadnych wątpliwości.

Lijanas rzuciła resztkę źdźbła w ciemność, przyciągnęła nogi do siebie, oplótła je ramionami i oparła brodę na kolanach. Prawdopodobnie jej plecy były całe sine w miejscu, gdzie przez cały dzień wpijał się w nie łęk siodła. Przynajmniej takie miała wrażenie. Jak mogła zasnąć mu na ramieniu! Przeklęta guryňa! Jej kości cały czas były ciężkie jak z ołowiu. Kusilo ją, aby zwinąć się na miękkich futrach, na których siedziała i zasnąć. Wpiła palce w czarną wilczą sierść. Powstrzymywała ją jedynie myśl, że te futra należały do „niego”.

Słońce było już nisko, kiedy obudziła się z uczuciem przerażenia, że spada — i odkryła, że siedzi przed nim w siodle, uczepona jego ramienia. Obojętnie poprawił ją, nie zatrzymując nawet na chwilę swego konia.

Kiedy po jakimś czasie zaczęło burczeć jej w żołądku, zaspokoila głód kilkoma zaskakująco smakowitymi ciastkami owsianymi wydobytymi z jego juków i kilkoma lykami wody; znowu bez zatrzymywania się.

Dopiero gdy zapadł zmierzch, wojownicy sprowadzili swe konie z wąskiej bocznej drogi, którą się poruszali, do malej kotliny, którą odkrył Levan. Położonej w ukryciu między gęstymi drzewami i osłoniętej z dwóch stron stromymi zboczami. Lijanas została zsadzona z konia przy wąskim bloku kamiennym i pozwolono jej popatrzeć, jak mężczyźni zdejmują z koni bagaże i siodła, szybko je karmią i poją, by w końcu uwiązać je na długich postronkach między drzewami. Dopiero wtedy rozwinęli swoje skóry pod skalami, tworząc mały obóz. Corfar i Levan udali się na poszukiwanie suchego drewna, a Ecren przygotowywał w tym czasie miejsce na ognisko i wyciągał z jakichś toreb naczynia. Mordan rozkazał Lijanas usiąść na jego skórkach, a potem zniknął między drzewami ze swoją kuszą i garścią beltów. Brachan usiadł na zwałonym pniu drzewa, który tkwił pochyło między dwiema skalami, i zajął się napełnianiem swojej fajki. Z zadowoleniem pociągał ją teraz, nie spuszczać jej z oka.

W międzyczasie całkiem się ściemniło, sierp pierwszego księżyca prześwitywał blado przez wierzchołki drzew. Otoczone kamieniami płomienie tańczyły i za każdym razem, gdy trzaskalo polano, wypuszczały w nocne niebo snopy iskier. Lijanas oparła głowę na karku, spoglądając ku gwiazdom. Zrobiło jej się chłodno, więc potarła sobie ramiona, potem przytuliła policzek do kolana. Zazwyczaj siedziała o tej porze z kapłankami Łaskawej Bogini w dużej sali pogrążona w lekturze jednej z ksiąg zielarskich, bądź zajęta robótką ręczną. Nagle zaczęły ją szczypać oczy.

*Nie, Lijanas! Nie będziesz ryczeć jak głupia geś! - Złożyła dłonie. -
Ahmeer przyjedzie i zabierze mnie stąd! Na pewno!*

Wykonując niewielki ruch, wyrwała kolejne źdźbło trawy i zaczęła je torturować. Podniosła wzrok, gdy usłyszała rozkoszne jęknięcie Ecrena, i nie mogła się nie uśmiechnąć, obserwując, jak po raz kolejny kosztował coś, zanurzając chochlę. - *Tyle na temat jedzenia surowego mięsa!*— Kiedy wrócił Mordan, przyniósł ze sobą trzy rudo-brązowe jarząbki, dwa tłuste zające i kilka brunatnych bulw. Mało brakowało, by Ecren ucałował dłonie Mordana, biorąc z nich te bulwy gestem graniczącym z głęboką czcią. Wyraz zachwytu na twarzy wojownika, kiedy obiecywał swym towarzyszący posiłek, doprowadził ją prawie do śmiechu. Teraz jarząbki dusiły się w garnku obok ogniska, a zające piekły się na rożnie.

Czasem płomienie posykiwały cicho, kiedy skapnęło w nie trochę wywaru, którym Ecren polewał stale oba zwierzęta. Na zapach, który doleciał do niej, jej żołądek zaburczał pełen oczekiwania. Spojrzała ukradkiem, czy któryś z mężczyzn usłyszał ten dźwięk. Najwyraźniej nie, ponieważ żaden z nich nie przejmował się nią bardziej niż wcześniej.

Ecren właśnie odłożył chochlę do miski z sosem, który nastawił razem ze złocistym olejem, ziołami i tymi tajemniczymi bulwami. Lijanas dowiedziała się, że są to niezwykle rzadkie i wyjątkowo smaczne grzyby. Ecren wziął długi sztylet do ręki i wytarł ostrze chustką.

Po jego prawej stronie, bardzo blisko ognia, usiadł Levan, z blond czupryną głęboko pochyloną nad zwojem pisma. Jego wargi poruszały się bezgłośnie, gdy śledził palcem kolejne linijki.

Kiedy spojrzała przez płomienie, napotkała nagle żółte jastrzębie oczy - wzrok Brachana. W skórzanym kubku, który trzymał w dłoni, zagrzechotało. Kiedy wyrzucił kości na prostokątną planszę, stojącą między nim a Corfarem na jego posłaniu, ten drugi wojownik syknął jakieś przekleństwo. Krótkie skinienie głowy w jej stronę i z powrotem zajął się grą. Wyglądało na to, że Corfar może dużo przegrać i Brachan wiedział o tym. Lijanas potarła twarz dłońmi. Widocznie ten stary wojownik był przywódcą tych ludzi. On wydawał rozkazy, które zawsze wykonywano natychmiast i bez gadania, i on był jedyną osobą, która miała jakikolwiek wpływ na Mordana.

Ponownie przyjrzała się wszystkim Kierom.

Kierowie! Ile razy słyszała, także od Ahmeera, że są zwierzętami, poruszającymi się na dwóch nogach, że są obrzydliwie owłosieni od stóp do głów, mają szpony zamiast paznokci i straszne kły. To prawda, ich kły były wyraźnie dłuższe niż kły człowieka i wydawały się dużo ostrzejsze, ale wcale nie wystawały jakoś szczególnie z ust i nie było ich stale widać, wręcz przeciwnie: jeśli się starali, mogli mówić tak, że nie rzucały się w oczy. Podobnie było z paznokciami. Ani śladu szponów! Wyglądało na to, że same z siebie rosły tak, że na końcach stawały się ostre, były nieco dłuższe niż u przeciętnego człowieka i za opuszkami palców zaginały się lekko w dół. Ale pomijając to, i fakt że miały kolor jasnej kości słoniowej i były zupełnie nieprzezroczyste, nie różniły się od paznokci ludzkich. Jedynie ich owłosienie można by określić mianem rzucającego się w oczy, ale odrażające? Nie bardziej odrażające niż owłosienie normalnego mężczyzny, któremu na ramionach, nogach, klatce piersiowej i plecach rosło gęste

futro. Spojrzała ukradkiem na Levana, który siedział najbliżej ognia i był przezeń najmocniej oświetlony. Nie! Nie było w nim nic odrażającego! Tam, gdzie u człowieka są pojedyncze, dłuższe włoski, mieli delikatną, krótką sierść. U Levana była tak samo jasna jak jego włosy, a u Brachana już siwa. Poza linią od skroni, wzdłuż uszu, w dół do stawu skroniowo-zuchwowego i potem dalej ukośnie, z boku szyi, aż do ramion, ich twarze nie różniły się zarostem od zwykłych mężczyzn. Na policzkach Levana szczecina wyglądała jak złoty puszek, a Corfar już po jednym dniu wyglądał, jakby nie golił się dwa dni.

Taka sama delikatna sierść widoczna była na grzbiecie ich dłoni i kończyła się delikatnie na kostkach palców. W drugą stronę ciągnęła się prawdopodobnie w górę, przez nadgarstek, po zewnętrznej stronie ramion. Ponieważ pokrywała także kark i znikwała pod kołnierzem ubrania, musiała znajdować się także na ich ramionach i plecach. — *Wygląda jedwabiście miękko. Chciałabym tego dotknąć* — pokręciła głową, zaskoczona swoimi myślami. Poprzedniego wieczora oblewał ją pot na myśl, że jest w mocy sfory Kierów, a teraz? Oni byli wojownikami, ona ich jeńcem! Domyślała się, że Kierowie nie traktowali jej inaczej, niż robiliby to ludzie. Byli nawet zaskakująco uprzejmi, z wyjątkiem Mordana, który, wydawało się, w ogóle nie znał tego słowa. Właściwie był jedynym, którego naprawdę się bała. To wrażenie wzmacniał jeszcze fakt, że tylko on był ubrany cały na czarno; zimne spojrzenie, którym ją czasem mierzył; i to szczyrzenie zębów, które u innych było uśmiechem, a w jego przypadku wyrażało groźbę.

Zamyślona oparła głowę na dłoni, skubiąc źdźbła trawy i spojrzała jeszcze raz na Kierów.

Wszyscy byli od stóp do głów ubrani w ciemną skórę: wysokie buty, obcisłe spodnie, kaftany sięgające prawie do połowy uda, pod którymi nosili kolczugi i tuniki z długim rękawem. Do pasa zapiętego wokół bioder, na którym oprócz skórzanej sakiewki wisiał prosty sztylet, każdy z nich miał dodatkowo zaczepiony jeszcze jeden pas z krótkim mieczem długości ramienia. Drugie, o połowę mniejsze ostrze, które poza tym do złudzenia przypominało większego brata bliźniaka, przymocowane było na jego pochwie. Do tego każdy z wojowników nosił oprócz tej broni jeszcze jedną, która najwyraźniej odpowiadała jego osobistym upodobaniom. Ecren był przepasany dużym mieczem, natomiast Corfar i Brachan nosili przy pasie topory wojenne. Przy boku Levana widziała

zakrzywioną szablę, której koniec był szerszy niż właściwe ostrze. Lijanas zmarszczyła czoło, próbując sobie przypomnieć, jaką broń nosił Mordan oprócz krótkiego miecza. Nie, nie widziała przy nim żadnej innej broni, oprócz tej przy jego bagażu.

Ukręciła kolejnej słomce szyję, której nie posiadała, próbując wypatrzeć po drugiej stronie ogniska czarnowłosego wojownika, który zniknął tam w ciemności jakiś czas temu. Trwało to kilka mrugnięć powieki, nim wypatrzyła go na skale powyżej zbocza, na ukos od Levana. Przycupnęła tam na górze jak drapieżny zwierz — ciemny i zabójczy.

Jak, na Łaskawą, ten typ dostał się tam na górę, nie robiąc bałasu?

Prawdopodobnie wcale by go nie dostrzegła, gdyby nie poruszył się w momencie, gdy spojrzała w to miejsce, bo gdy zerknęła tam po raz kolejny, znowu był częścią ciemności. Wyglądziła słomkę i przerwała ją wzdłuż.

Drań!

Wyglądało na to, że jedynym jego zadaniem było pilnowanie jej, Lijanas. Czula się tak, jakby była jego osobistym jeńcem. Był dla niej okropny i sprawiał, że za każdym razem po prostu musiała mu się sprzeciwić.

Przy ognisku wśród mężczyzn nastąpiło poruszenie. Ecren zabrał się za oprawianie nożem zająca i rozdzielał szczodre porcje do misek. Lijanas uniosła się nieco na swoim miejscu. Jej żołądek coraz częściej stanowczo przypominał, że dostał dziś tylko ciastka owsiane i wodę. Z dziwnym uczuciem ulgi opadła z powrotem na skóry, kiedy zobaczyła, że Levan podchodzi do niej z miską i chlebem w rękach. W blasku ognia jego włosy lśniły złościście, gdy kucnął przed nią.

— Ecren wykroił dla was najlepsze kawalki, uzdrowicielko! — w lewej dłoni trzymał płaską drewnianą miskę z pachnącą zawartością i podał to jej razem z chlebem. Wydawało się, że wojownicy z uprzejmości w stosunku do niej umówili się, że w jej obecności będą mówić po nivarzdsku. Zaskoczyło ją, że wszyscy władali płynnie jej językiem, ale jedynie Mordan mówił zupełnie bez akcentu.

— I przywieźliśmy z miasta waszą skrzynkę z ziołami.

Dłonie Lijanas zatrzymały się na tę rewelację w powietrzu.

— To cudownie. Dziękuję.

Chwyliła chleb i mięso i spojrzała na niego speszona. Przy jego prawej dłoni brakowało dwóch zewnętrznych palców. Szybko cofnął rękę, chleb upadł na skóry.

- Ja... - powiedział niepewnie i pochylił głowę, chcąc wstać.
- Przysiągłeś mi, że nigdy nie będziesz się wstydzić z tego powodu. Lijanas krzyknęła przestraszona i odwróciła się za siebie.

On!

Jej serce nie chciało się uspokoić i biło wciąż jak szalone.

- Panie! - Levan podniósł się z wahaniem. - Pomyślałem, że uzdrowicielka... Może...

- ...obrzydza ją to? Jeśli jest dobra, to już coś takiego widziała.
- Tak, panie!
- Idź i weź sobie coś do jedzenia, zanim Corfar pochłonie pół zajęcia!
- Tak, panie!

Ku zdziwieniu Lijanas, Levan, skłoniwszy głowę, położył pięść na piersi i poszedł w stronę ogniska.

Mordan przyklęknął za nią i zaczął szukać czegoś w swoich jukach.

- Jak to się stało? - zapytała i spokojnie podniosła kawałek chleba z posłania.

- Co?

Co? Osiol!

- To z palcami Levana.
- Obcięli mu je, kawałek po kawalku.

Wpatrywała się w parę unoszącą się znad mięsa w misce i odstawiła ją na bok.

- Dlaczego? Chodzi mi o to: kto robi coś takiego?
- Dlaczego? Bo myśleli, że jest moim kochankiem i powiem im to, co chcą wiedzieć, jeśli będą dalej torturować jego zamiast mnie.

Torturować?

- A kto...?

- Nivardowie.

- Nie! To niemożliwe! — Lijanas stanowczo pokręciła głową. — Żaden Nivard nie może być tak okrutny. Musieliście się pomylić.

- Tak, możliwe! - powiedział z ironią, podszedł bliżej i podał jej mały przedmiot, który zalśnił w blasku ognia. - Możliwe, że się pomyliłem, kiedy patrzyłem, jak krew Levana splywa na chorągiew smoka morskiego. Możliwe, że pomyliłem się też, kiedy dowódczym wojsk Astracharu - zaraz, jak ona się nazywa... Eliazar? — wypaliła na mojej piersi swą osobistą pieczęć. Na pamiątkę po niej. Proszę, weźcie to!

Dowódczym wojsk Rusana chyba nigdy nie uciekłyby się do tortur, żeby wydobyc z kogoś informację?

Niezwykłe oszolomiona popatrzyła na przedmiot, który wcisnął jej do ręki i spozrzała na niego, nie kryjąc zaskoczenia.

- Dajecie mi sztylet? Nie boicie się, że mogłabym go użyć przeciw wam? — pożałowała tych słów, zanim jeszcze je wypowiedziała.

Podniósł się, parsknąwszy pogardliwie.

- Gdyby faktycznie udało się wam, choćby zadrasnąć mnie tą zabawką, znaczyłoby to, że na to zasłużyłem. Zjedzcie i połóżcie się spać. Będzie wam jutro potrzeba dużo siły.

Zanim Lijanas zdążyła cokolwiek powiedzieć, zniknął znowu w ciemności między drzewami.

Tylko on wiedział, jak często przeklinał w ostatnich zimach tego uzdrowiciela polowego, który podał mu tamtego dnia mak, wbrew jego woli i jedynie z powodu rany po strzale w udzie, i zmusił go w ten sposób, by pod wpływem narkotyku spał bezradny. Przypomnił sobie ten moment, gdy doszedł do siebie na krzyżu tortur otoczony drwiącymi Nivardami. Już wtedy jego ciało było obite od razów, których nawet nie pamiętał. Mordan zacisnął pięści. Każde uderzenie serca było wypalone w jego wspomnieniach. Jaskrawe światło pochodni — tak blisko jego zranionego oka, że ból wżerał się w jego czaszkę jak trujący kwas i niemalże oślepił go. Płomienie ognia, przed nim i obok niego, których żar powodował, że po skórze płynął mu gryzący pot, a gardło wysychało tak bardzo, że nawet oddychanie sprawiało ból. Drwiny Nivardów, gdy w ich rękach zwijał się z bólu.

I w końcu chwila, kiedy do światła przyciągnęli Levana. Nie mógł wtedy zrozumieć, dlaczego wpadli na ten szalony pomysł, że młody wojownik może być jego kochankiem i jego los będzie dla niego tak ważny, że zdradzi im to, co chcieli wiedzieć. Dopiero po wielu dniach dowiedział się, że Levan do ostatnich sił bronił go przed Nivardami.

Przywiązali chłopaka do krzyża tortur naprzeciwko niego. A kiedy Levan wisiał niemal całą wieczność, spętany i już zlany krwią, nie kto inny jak Eliazar, dowódczyni wojsk Astracharu, zaproponowała z uśmiechem, żeby odciąć temu dzielnemu kierskiemu wojownikowi palce u rąk, ka-

walek po kawalku, i zacząć od prawej ręki. Levan splunął tej czarownicy w twarz, ale Mordan widział w jego oczach przerażenie. Najpierw udało im się wydobyć z niego jedynie bolesny jęk, jednak później...

Mordan musiał oddychać powoli i głęboko, żeby wyprzeć to wspomnienie. Wciąż zdarzało się, że słyszał czasem we śnie przeraźliwy krzyk Levana.

Na długi czas świat przestał dla niego istnieć. Był tylko Levan i on... i kaźń. Próbowal dodać chłopakowi sił, choćby swym spojrzeniem, żeby dał radę to wytrzymać. Więź między nimi zerwała się dopiero wtedy, gdy Brachan i Corfar odcięli go od krzyża.

Kierowie wbiegli do obozu dowódczyni wojsk Astracharu, Eliazanar uciekla. Chorągiew ze smokiem morskim leżała na ziemi poszarpana i poplamiona krwią. Atak nadszedł tak niespodziewanie, że Nivardowie nie mieli nawet czasu, żeby zabić swych jeńców, nie mówiąc już o zabraniu ich ze sobą.

Oparł się ramieniem o drzewo i spojrzał w stronę uzdrowicielki, która zwinęła się właśnie na jego posłaniu. Kiedy zobaczył, że Levan niesie jej mięso i chleb, chciał jej dać ten mały sztylet, żeby nie musiała jeść palcami jak niewolna. Jednak gdy wyszedł z ciemności, zobaczył, jak dotknęła okaleczonej ręki Levana i cofnęła się. Pokręcił powoli głową. Spodziewał się czegoś innego po tym wszystkim, co usłyszał o niej w Anscharze.

Już dłuższą chwilę Lijanas obserwowała, jak prawie pełna tarcza drugiego księżycy wędruje po usianym gwiazdami nocnym niebie, wsłuchując się przy tym w oddech wojownika za jej plecami.

Wyłonił się z ciemności dopiero wtedy, gdy wszyscy położyli się już spać. Zamienił kilka słów z Cotfarem, który przejął pierwszą straż, i potem przyszedł do niej. Z mocno zamkniętymi oczyma udawała, że śpi, kiedy odłożył swoją broń, usiadł na skórach za nią i zdjął buty. Potem owinął się swoim płaszczem i wydawało się, że natychmiast zasnął.

Wstrzymała nieświadomie oddech, kiedy Corfar wstał spokojnie po drugiej stronie ogniska, objął leżących spojrzeniem i udał się na obchód, znikając między drzewami. Zerknęła ukradkiem w stronę pozostałych żołnierzy. Nie poruszali się.

Skoncentrowana na tym, by nie zdradzić się żadnym hałasem, Lijanas usiadła i zsunęła ostrożnie nakrycie z ramion, nie spuszczać oczu z cieni po drugiej stronie ogniska. Nic się tam nie ruszało. Bardzo powoli zaczęła się podnosić i zamarła jeszcze w kuckach, kiedy Mordan poruszył się nagle obok niej. Jednak on, pomrukując, tylko odwrócił się do niej plecami i spał spokojnie dalej.

Znowu krótkie spojrzenie przez ramię, potem podniosła się ostatecznie, podciągnęła suknię do kolan i minęła czarnowłosego wojownika. Mało brakowało, a stanęłaby na jego nagi miecz, leżący obok. Uratowała się, robiąc duży krok. Jego palce zacisnęły się tak nieoczekiwanie na jej kostkach, że wylądowała na czworakach.

Nie!

— Dokąd to, uzdrowicielko? — zapytał cicho, podpierając się łokciami, choć cały czas ją trzymał.

jakbyś tego nie wiedział, draniu.

Z trudem obróciła się do niego w tej niegodnej pozycji, gestykułując bezradnie.

— Chciałam... Chodzi o to... Ja...

— Acha!

Usiadł wreszcie.

Acha?

Lijanas starała się ukryć zmieszanie.

— Będę warn towarzyszyć!

Wypuścił w końcu jej nogę i sięgnął po buty.

— Towarzyszyć?

Dopiero, gdy było już za późno, zdała sobie sprawę, że wypowiedziała to słowo na głos.

— Oczywiście!

Niewzruszony podniósł się, wziął z posłania miecz, wsunął go do pochwy i przypasał ją.

— Nawet, jeśli musicie pójść za potrzebą, byłoby niewybaczalne, gdybym pozwolił wam iść samej.

Za potrzebą? Jak to? Och!

— To nie jest konieczne, byście mi towarzyszyli. Odejdę tylko kilka kroków między drzewa... — Podniosła się szybko.

— Nie, uzdrowicielko!

Lijanas cofnęła się, gdy stanął tuż przed nią, potknęła się o jego juki. Jego dłoń chwyciła ją za kark. Zaparła dłonie na jego piersi — *ten typ nosi swoją koleżkę nawet, gdy śpi* — próbując odepchnąć go od siebie. Na próżno.

— Nie mogę was puścić samej, uzdrowicielko. Nigdy nie wiadomo, jakie niebezpieczeństwa czyhają za najbliższymi drzewami. — Zaciśnął mocniej rękę, bardziej szorstko. - A na koniec już po tych kilku krokach zgubicie się i znajdziecie przez przypadek drogę do Anschary. — Jego oko polyskiwało w słabym świetle księżyca.

Laskawa, on nie, że chciałam uciec! — Z trudem przelknęła ślinę.

— W takim razie może będzie jednak lepiej, jeśli będziecie mi towarzyszyć.

— Cieszę się, że mówicie rozsądniej.

Skinął głową w kierunku ciemności po drugiej stronie ogniska.

— Prowadźcie, uzdrowicielko!

Lijanas ruszyła posłusznie, a czarnowłosy wojownik podążył za nią jak cień.

Między drzewami panowała głęboka ciemność. Srebrne światło obydwu księżyców ledwie przedostawało się przez gruby dach z liści. Już po kilku krokach jej szata zaczęła się o gałęzie, a kiedy chciała ją wyplątać, okazało się, że zahaczyła o ciernie. Szarpnąwszy ostro, dzięki czemu udało się jej w końcu uwolnić, drgnęła. Jak w odpowiedzi w pobliżu dał się słyszeć w krzakach trzask, a potem znów zapadła cisza. Odwróciła się do Mordana. Ten, bez słowa, dał jej znak, by szła dalej. Posłusznie ruszyła przed siebie. Pod jej stopą pękła z trzaskiem sucha gałąź. Za sobą usłyszała wściekle syknięcie swojego dwunożnego psa-stróża. Jak to możliwe, że on sam poruszał się w tej ciemności niemalże bezszelestnie?

Uszła zaledwie dziesięć kroków, kiedy chwycił ją za ramię.

— Jak daleko chcecie jeszcze iść, uzdrowicielko?

— Ja... nie wiem! - dlaczego jej głos musiał właśnie teraz tak cienko zabrzmieć?

Warknął cicho.

— Lepiej, żebyście się szybko dowiedzieli, zanim przyjdzie mi do głowy, że może wcale nie chcieliście się oddalić za potrzebą.

Jeszcze kawaleczek. Proszę! — *Co ja tu właściwie robię? Chyba nie będę*

ego obecności... I oddalacie się trochę!

wu gniewna odpowiedź.

Ten krzak tam! Liczę do pięćdziesięciu! Potem idę po was!

- Jeden!

On wie, że skłamałam i teraz rozkoszuje się, poniżając mnie. Żalony oprych! — Zaciśnęła usta, pozorując uśmiech, odwróciła się i ruszyła w stronę krzaka.

Mordan drgnął znowu mimowolnie, usłyszawszy trzask.

Na duchy zemsty, ta kobieta robi więcej balasu niż cała centuria w czasie bitwy. Czy nie może uważać, gdzie stawia stopy? Nie są przecież aż tak duże.

Patrzył za nią, obserwując, jak znika za krzakiem, nasłuchując, czy nie usłyszy kolejnego zdradzieckiego trzaśnięcia, kolejnej nierozsądnej próby ucieczki.

Jak mogła choć przez chwilę pomyśleć, że naprawdę mocno zaśnie, zostawiając swojego jeńca niestrzeżonego?

Może powinienem znowu skrepować jej ręce i nogi, a usta zakneblować. Przynajmniej byłby spokój przez resztę nocy. Przydałoby się kilka godzin snu. tak, a Brachan i Levan znowu zrobią mi nykład, jak należy się obchodzić z taką kobietą jak uzdrowicielka.

Za krzakiem zrobiło się zdumiewająco cicho. Zmarszczył czoło. Czy jednak udało się jej umknąć bezszelestnie? Ruszył, mamrocząc przekleństwa, i zatrzymał się po dwóch krokach, nasłuchując.

Tam! Nie mylił się. Znowu ten dźwięk, trochę jakby węszenie, trochę gulgotanie. Po jego lewej. Wytężając wzrok, próbował rozpoznać coś wśród cieni. Do jego nozdrzy doszedł nagle smród rozkładającej się padliny, tak intensywny, że ścisnęło mu wnętrzości. Jakiś ruch między drzewami, w odległości czterech, może pięciu kroków. Coś śmignęło zbyt szybko, by można było rozpoznać coś więcej niż tylko zarys - wielkości mniej więcej wyrosniętego charta. Teraz usłyszał hałas także z prawej strony.

Szybko popędził do krzaka, za którym zniknęła uzdrowicielka. Przycupnęła nieruchomo przy ziemi, spoglądając z przerażeniem w ciemność przed sobą. Najwyraźniej także ona dostrzegła te istoty.

Najpierw był ten smród, potem coś zaczęło przeskakiwać w ciemności, a potem nagle od tyłu spoczęła na jej ustach dłoń, która stłumiła jej

krzyk. Jego głos, który syknął jej do ucha: — Cicho! — był dla niej w tym momencie dziwnie kojący. Przeżalenie, które sparaliżowało ją jeszcze kilka mrugnięć powieki temu, ustąpiło, kiedy Mordan podnosił się powoli razem z nią, i zaczęło ustępować miejsca gniewowi, kiedy objął ją ramieniem tuż pod piersią, przyciągnął do siebie i podniósł w górę tak, że nie czuła ziemi pod stopami. Dłoń na jej ustach uniemożliwiała sprzeciw. Próbowwała obydwoma rękoma uwolnić się od niego, z tym skutkiem, że ścisnął jej pierś jeszcze mocniej, aż zabrakło jej tchu i straciła jakąkolwiek możliwość obrony. Jego „Cisza!” brzmiało w jej uszach jak drwina. Jak mogła wydobyć z siebie jakikolwiek dźwięk, jeśli odciał jej dopływ powietrza. Pięć po pięci przesuwał się tyłem w kierunku drzewa, zanurzył w absolutną czerń jego pnia i postawił Lijanas powoli na ziemi, zsuwając ją po swojej piersi.

Ten drań robi to specjalnie!

Zamarła, gdy dostrzegła na małym pagórku między drzewami kilka cieni. Mordan zabrał rękę z jej ust i przesunął Lijanas za swoje plecy, tak że znalazła się między nim a pniem drzewa. Wydawało jej się, że usłyszała, jak kilkakrotnie zaczerpnął z napięciem powietrza, potem dało się słyszeć cichy dźwięk, który towarzyszy wyciąganiu miecza z pochwy. Jeden z cieni obrócił się powoli i, węższąc, skierował dziwnie suchą czaszkę w jej stronę. Lijanas ujrzała palające bladą zielenią oczy, które wwiercały się prosto w jej oczy. Dławiące przeżalenie pelzło po jej karku jak suche nogi pająka, pozostawiając między ramionami lepki pot. W ustach zrobiło jej się nagle sucho, jej żołądek był kłębkim czystego strachu, który paraliżował jej oddech. To był szept, szepczące głosy, rwący ból w jej umyśle, pożądliwe szarpanie, jakby coś próbowało wyrwać jej duszę. Chciała chwycić dłońmi skronie, żeby te głosy zamilkły, żeby uwolnić się od tej męki. Nie mogła tego zrobić. Przed nią Mordan zamarł w pół ruchu.

Drugi cień odwrócił się w ich stronę, węższąc. Smród padliny stał się wręcz nie do zniesienia. Kolana ugięły się pod Lijanas. Ból w jej umyśle zamienił się w cierpienie nie do zniesienia. Nagle pojawiły się trzy kolejne cienie. Dało się słyszeć rżące dyszenie, warczenie i kłapanie szczęk. Mordan prawie niezauważalnie pochylił się. Dłonie Lijanas były mokre od potu, było jej niedobrze i kręciło jej się w głowie. Choć bardzo się **starła**, nie była w stanie oddychać. Ten szept - czy Mordan go nie słyszał? Kreatury krążyły, jakby czegoś szukały. Z którejś strony rozległ się skowyt; **i zniknęły po** drugiej stronie pagórka, między drzewami.

Poczuła szorstką korę drzewa, kiedy powoli osuwała się po niej na ziemię. Ta udręka podeszła wreszcie od żołądka do gardła i tkwiła w nim w postaci krzyku, ale nie wydobywał się żaden dźwięk. Jej kończyny, jej ciało — nie słuchały jej. Upadła na ziemię. Drobne gałązki i kamyki wbijały się jej w policzek, sprawiając ból. Nie mogła nawet jęknąć, i wciąż nie mogła oddychać.

Chwyciły ją czyjeś ręce, obróciły, słyszała nad sobą stłumione warczenie Mordana. Jego palce dotknęły jej szyi, tam, gdzie można wyczuć tętno. Potem nagle jego usta spoczęły szorstko na jej wargach. Wcisnął oddech w jej pierś. Kolejny raz, i znowu, i znowu, aż zwinęła się, kaszląc. Dość niedelikatnie została podniesiona z ziemi, czuła, jak oparł ją o swoje ramię i mocno przytulił, ona tymczasem nie była w stanie zrobić nic innego, niż charcząc, walczyć o powietrze. Jakby mimowolnie jej palce wodziły po jego piersi, szukając czegoś, czego mogłaby się przytrzymać, i trafiły jedynie na zimny metal kolczugi. Jego dłoń przytrzymała jej dłoń, zamknęła ją w sobie. Cicho szeptał coś nad nią. Próbowwała przelknąć ślinę, jednak kiedy Mordan, wyjątkowo nieporadnie, pogłaskał ją po głowie, wydobył się z jej ust szloch. Czarnowłosy wojownik znieruchomiał, jego mamrotanie ucichło. Odsunął ją od siebie, przyglądając się jej wnikliwie. Potem jedną ręką chwycił ją pod kolanami, a drugą złapał mocniej jej ramiona, podniósł ją, wstał i podążył długim krokiem do obozowiska. Po brodzie kapaly jej lzy.

Kiedy wyszedł z nią na rękę spośród drzew, Corfar podniósł się po drugiej stronie ogniska.

Mordan z typową dla siebie szorstkością posadził Lijanas na posłaniu ze skór.

- Połóżcie się i śpijcie.

Prawdopodobnie spojrziała na niego z przerażeniem, bo położył ją plecami do obozowiska i otulił kocami.

— Bądźcie spokojni. Bez względu na to, co to były za stworzenia, tu, przy ogniu, nic wam nie grozi! Spijcie!

Wstał i podszedł do Corfara.

Owinięta w koce tak, że było jej za gorąco, Lijanas odwróciła się na bok i obserwowała, jak mężczyźni rozmawiali ze sobą półgłosem. Kilka razy spojrzeli w jej stronę. Nagle znowu pojawił się szloch. Przycisnęła pięść do ust, żeby go stłumić.



Widziała polyskujące blade zielono w ciemności oczy. Stworzenia krążyły wokół niej. Słyszała ich pomrukiwanie. Jedno z nich miało tylko jedno oko. Podeszło do Lijanas, wyciągnęło do niej pazury i dotknęło jej ramienia...

Lijanas poderwała się z krzykiem, jej głowa uderzyła z wyraźnie słyszalnym chrzęstem o coś twardego, rozległo się ostre syknięcie, dłoń przycisnęła do bolącego czoła. Opadła z powrotem na posłanie i patrzyła zmieszana w poranne słońce, mrużąc oczy. Bardzo powoli docierało do jej zmęczonego umysłu, że Mordan klęczy obok niej i z zaciśniętym mocno okiem próbuje trzymać fason, masując sobie jednocześnie zmaltretowany nos.

Z lewej strony dał się słyszeć powstrzymywany śmiech. Czarnowłosy wojownik podniósł wzrok i obdarzył śmiejącego się spojrzeniem, które zwiastowało coś gorszego niż śmierć.

Dużo wolniej niż za pierwszym razem Lijanas usiadła, odsuwając się trochę od niego. Jego burzowe oko zwróciło się w jej stronę. Zabrał rękę z nosa, tym samym ruchem ściągnął z niej przykrycie i podniósł się.

- Wstawać! - rozkazał krótko.

Lijanas obciągnęła szybko swoją suknię, przykrywając kolana, zanim odgarnęła sobie z twarzy kilka kosmyków. Jej palce utknęły wśród poplątanych włosów. Chwilę później postawił ją brutalnie na nogi, trzymając mocno za ramię i zaczął związać swoje posłanie.

Jeszcze kilka dni w towarzystwie tego brutala i będę całutka w śniecach.

Lijanas skrzywiła się, pocierając bolące miejsce, gdzie chwycił ją kilka uderzeń serca temu, i rozejrzała się dookoła. Wschodzącemu słońcu nie udało się jeszcze spać rosy z liści. Między drzewami wisiała delikatna mgielka, która wraz z wodnymi diamentami zmieniała las w zaczarowaną k r a i n ę • Otuliła się ramionami. W krainę czarownic, w której tulają się

potwory o zielono lśniących oczach; i choć był jasny dzień, wojownicy wyglądali wciąż na dziwnie spiętych. Po plecach przeszedł jej dreszcz. Czy ci ludzie wiedzieli coś więcej na temat tych kreatur?

W nocy Mordan podłożył do ognia, aż zapłonął jasno, dopiero wtedy zbudził Brachana. Obydwaj długo rozmawiali ze sobą, zanim czarnowłosy wojownik wrócił do niej i usiadł obok, z plecami zwróconymi w stronę ognia, z cienkim mieczem o lekko wygiętym ostrzu na kolanach. Brachan i Corfar objęli wspólnie wartę, również z nagą bronią w rękach, aż zmienili ich Eren i Levan. W pewnym momencie musiała zasnąć, ponieważ pamięta, jak kilka razy przebudziła się przestraszona, a Mordan mamrotał za każdym razem cicho: - Wszystko w porządku, śpijcie!

Lijanas spojrziała w jego stronę; właśnie mocował zwinięte posłanie za siodłem.

Czy on siedział przy mnie przez całą noc?

Nie zapytała go o to, kiedy odwrócił się w jej stronę. Jego mina obwieszczała zły humor, tak jak wcześniej.

Zrobił gest ręką, przywołując ją do siebie.

- Jedziemy dalej - w jego głosie słychać było zniecierpliwienie.

- Ale... czy nie mogłabym się chociaż umyć?

Lijanas nie oczekiwała, że zwróci uwagę na jej protest, jednak jego brwi ściągnęły się groźnie, potem odwrócił się, by wyciągnąć coś z bagażu. Chwilę później w jej pierś uderzył twardo bukłak z wodą.

- Pospieszcie się! Nie możemy czekać na was cały dzień.

Trochę bezradnie spojrziała na skórzany bukłak w swoich rękach, zanim uklękła szybko, po krótkiej chwili wahania oderwała kawałek podszewki swej sukni, rozwiązała rzemień, który służył jako zamknięcie, nalala wody na szmatkę i oparła bukłak o nogę. Z cichym westchnieniem dotknęła wilgotną chustką twarzy.

Wspaniale!

- Psiakrew, kobieto, nie możecie uważać?

Lijanas zsunęła, przestraszona, chustkę z twarzy. Zdenerwowany Mordan spoglądał na nią z góry, z bukłakiem w ręku.

Co teraz znowu zrobiłam?

Poczuła wodę przy swojej nodze w tej samej chwili, gdy czarnowłosy wojownik pochylił się nad nią. Przestraszona spojrziała na ziemię. Klęczała w kałuży wody, która zaczynała powoli wsiąkać. Bukłak musiał się przewrócić i wylała się z niego część wody.

— Ja... To nie było specjalnie...

— Nie specjalnie, ba! — potrząsał jej buklakiem pod nosem. — Kiedy wam go dałem, był pełny! A teraz? Jest tylko połowa! Gdybyście byli mężczyzną, zmniejszyłbym wam rację wody za waszą bezmyślność.

— Więc dlaczego tego nie zrobicie? — Lijanas podniosła się wściekła i spojrzała na niego, z błyskiem w oczach i dłońmi zaciśniętymi w pięści.

— Bo jesteście kobietą!

— A co jedno z drugim ma wspólnego?

— Kobiety są słabsze od mężczyzn.

— To nieprawda! - Lijanas prychnęła. — Potrafię robić wszystko to, co potrafi mężczyzna.

— Ach? — nie dało się nie usłyszeć drwiny w jego głosie.

Nadęty barani

— Oczywiście! Gdybym zechciała, mogłabym..., mogłabym..., mogłabym jechać nawet na waszym przeklętym koniu!

— Oczywiście!

Zamorduję go, jeśli jeszcze raz odważy się rozmawiać ze mną takim protekcyjnym tonem!

— Zakład? — wysunęła podbródek.

— Co takiego?

— Zakład, że dam radę pojechać na waszym koniu!

— Uzdrowicielko... — prawdopodobnie chciał, by to zabrzmiało groźnie, jednak nie bardzo mu to wyszło.

Ha, tu cię mam, arogancki osle.

— Przecież nawet nie zdołacie usiąść w siodle bez czyjeś pomocy.

Mimoходом zamknął buklak.

— Poszukam pieńka albo czegoś w tym rodzaju!

— Ired roztrzaska wam czaszkę, zanim zdążycie wypowiedzieć jej imię.

Przymocował buklak do siodła, potem znowu zwrócił się twarzą do niej.

— To wykręty, Kierze! Boicie się tylko, że podolałam i przegracie zakład.

Przez chwilę przyglądał jej się w milczeniu, potem kąciki jego ust uniosły się na znak drwiącego uśmiechu.

— Jak chcecie. Dobrze, załóżmy się. Wy ustalacie stawkę, uzdrowicielko.

— Stawkę? Wicie, że nie mam pieniędzy...

— Nie przyjąłbym od was pieniędzy, kobieto. Ale coś muszę z tego mieć, prawda?

Wy? Dlaczego jesteście tak pewni swojej wygranej?

Bez słowa przeniósł wzrok z niej na swojego konia i z powrotem. Teraz uśmiechnął się pogardliwie.

Rozzłoszczona Lijanas przygryzła zębami dolną wargę.

- A więc dobrze. Będę... Będę wam prać ubrania i cerować, gdy będzie taka potrzeba, jeśli przegram.

- Ta stawka nie jest warta nawet oddechu, który jest potrzebny, by ją wypowiedzieć - powiedział i potrząsnął głową odmownie. - Macie jakąś lepszą propozycję?

- A dlaczego wy nic nie zaproponujecie, Kierze?

Przymrużył oko, a Lijanas ogarnęło nagle nieprzyjemne uczucie.

- Dobrze, uzdrowicielko, co powiecie na to: przez jeden dzień nie otworzycie ust i będziecie wykonywać każdy mój rozkaz bez szemrania!

Przez uderzenie serca patrzyła na niego przenikliwie, potem skinęła.

- A co wy zrobicie, jeśli przegram? Wasze zadanie nie może być takie samo, ponieważ jestem jedynie waszym jeńcem i na pewno nie będziecie wykonywać moich rozkazów.

- A co by się wam podobało, uzdrowicielko? - jego protekcyjny uśmiech mówił jej, że nawet przez chwilę nie liczył się z tym, że może przegrać.

Podobałoby mi się, gdyby ten przeklęty uśmiech zniknął z twojej twarzy, hal

- Przez jeden dzień będziecie mi usługiwać! - mówiąc to, Lijanas skrzyżowała ramiona na piersi.

- Co?

- Przez jeden dzień będziecie moim posłusznym sługą. Uprzejmym, oddanym, skoncentrowanym na tym, by wyczytać z moich oczu każde życzenie... — Kiedy zobaczyła jego wyraz oczu, zamilkła.

- Jestem wojownikiem! - krzyknął, a na jego policzku drgnął mięsień.

- Czy nagle obleciał was strach, że moglibyście przegrać, Kierze?

Jeśli jeszczę mocniej zacisnie zęby, będzie słycać zgrzytanie.

Wypuścił ostro powietrze.

- Oczywiście, że nie! Dobrze! Zakład stoi! - podał jej prawą dłoń. - Przybijcie!

- Czy nie powinniśmy wcześniej dokładnie ustalić, jakie są warunki?

Lijanas zatrzymała wzrok na jego dłoni.

- Na duchy zemsty, kobieto, jesteście gorsza niż handlarz jedwabiu.

Przysługują wam trzy próby okielznania mojego konia.

- Pięć!

- Cztery!

- Dobrze! Ale jako próbę liczy się dopiero wtedy, gdy siądę na jego grzbiecie.

- Chyba że nie uda się wam wsiąść w wyznaczonym czasie?

- A kto ustali, jaki ma to być czas?

- Jeden z pozostałych.

- Brachan!

- Może być Brachan. Ale twierdziliście, że potraficie jechać na moim koniu, więc samo siedzenie na nim nie wystarczy. Musicie skłonić Ired, żeby się ruszyła. Jedna rundka stępem i jedna klusem.

Przez chwilę Lijanas ssala dolną wargę, potem skinęła głową i podał mu dłoń. Pod kciukiem poczuła sierść na grzbiecie jego dłoni, miękką sierść.

- Zakład stoi!

Protekcjonalny uśmiech wrócił na jego twarz.

- Nie mogę się już doczekać dnia ciszy i spokoju. A teraz siadajcie, żebyśmy mogli jechać dalej. Pozostali czekają.

- Ale... Co z jedzeniem? Jestem głodna!

- Później coś dostaniecie. Na górę!

Tak jak poprzedniego dnia musiała pozwolić, żeby posadził ją na grzbiet konia. Zaciśnęła jedynie usta, kiedy usiadł za nią w siodle, podciągawszy się jedynie, bez użycia strzemienia.

I jak poprzedniego dnia wcisnął kawalek swojego płaszcza między jej plecy a lęk siodła, zanim objął ją w pasie ramieniem i przysunął do siebie. Zaskoczona spojrzała w dół, gdy coś nieprzyjemnie wbilo się jej w udo, i zauważyła rękojeść tego cienkiego miecza, który trzymał w nocy na kolanach. Był tak przymocowany do siodła, by Mordan mógł go, w razie potrzeby, wyciągnąć jednym ruchem z pochwy. Wczoraj jeszcze go tam nie było.

Lijanas przelknęła ślinę i spojrzała na innych wojowników. Każdy z nich tak przytroczył broń przy siodle, by dobyć jej bez trudu.

Na zastygłych twarzach zmarłych zobaczył przerażenie. Mała chłopska chatka wyglądała przerażająco. Mężczyzna, przypuszczalnie w jego wieku, kobieta w zaawansowanej ciąży i troje dzieci; najstarsze miało pewnie nie więcej niż dziewięć zim, najmłodsze mogło przeżyć dziesięć albo

jedenaste miesiące — wszyscy zamordowani. Usłyszał, jak jeden z jego ludzi wymiotował za pobliskim krzakiem. Także on czuł żółć na języku. Wysłano ich na poszukiwanie obcych, których widziano przed trzema nocami w „Czarnym Jagnięciu”. Znaleźli to tutaj. Cokolwiek to było, jego ofiary nie miały żadnych szans. Ich gardła były rozszarpane, ciała okaleczone, a mimo to było zaskakująco niedużo krwi. Odór padliny unosił się ciężko nad zwłokami, wywołując mdłości. W oborze krowa domagała się, mucząc, by uratować ją od pełnych wymion. Mordercy nie byli zainteresowani ani nią, ani chudą kozą, przywiązaną obok.

- Pochowajcie zwłoki, zanim pojedziemy dalej!

Smród padliny wypełnił jego usta. Uciekł do obory i zwymiotował.

Gęsta zasłona deszczu sprawiała, że świat wydawał się dziwnie ciemny i nierzeczywisty, obraz wałów po obu stronach rzeki był szary i rozmyty. Rosnące pochyło drzewa, których gałęzie wystawały daleko nad koryto rzeki, szukały korzeniami oparcia w pokrytym rumowiskiem mulistym podłożu. Krzaki przycupnęły nad dolami w ziemi, gałązki sięgały wody pochylane jeszcze niżej przez deszcz. Pod dużym kamieniem schroniły się jarzabki - matka z młodymi. Oczy jak czarne perelki patrzyły co rusz w stronę jeźdźców, a tymczasem ciężkie krople deszczu sprawiały, że woda w rzece bulgotała. Pojawiały się i pękały bańki, czasem posępne niebo przecięła błyskawica, której towarzyszył ogłuszający grzmot.

Już przed południem spiętrzone w oddali ciemne chmury zapowiadały burzę. Najpierw były to tylko grzmoty, którym towarzyszyła delikatna mżawka, jednak później deszcz i błyskawice runęły na nich z siłą, której nawet Kierowie nie mogli zignorować. Zrezygnowali z poszukiwania schronienia w lesie i pędzili morderczym galopem naprzód, jakby mogli uciec przed siłami natury, aż znaleźli to schronienie tutaj — kamienny łuk mostu. Mielizna, sięgająca od brzegu do wody, dawała pięciu jeźdźcom dość miejsca, by po śliskim zejściu przez szlam i rumowisko wału, móc tu przeczekać nawałnicę. Lijanas wydawało się, że trwa to już wiele godzin.

Po jej prawej stronie, najbliższej wału i brzegu, drzemał na grzbiecie swojego konia Levan. Na lewo od niej Ecren przerzucił nogę przez lęk siodła i obcinał sobie małym sztyletem swoje wygięte paznokcie. Obok Corfar przeklinał raz po raz tę zdradliwą astracharską pogodę. Brachan

tymczasem spokojnie palił fajkę i patrzył, milcząc, w deszcz. Zapach tabaki dolatywał do Lijanas. Koń pod nią poruszał się niespokojnie i tupał z głośnym pluskiem, wyraźnie niezadowolony, w wodzie sięgającej mu już do kolan. Jednak nawet teraz Mordan się nie poruszył. Lijanas zmarszczyła czoło. Już od dłuższej chwili siedział zupełnie bez ruchu. Czy drzemał w siodle tak jak Levan? Ostrożnie odsunęła się trochę od jego twardej piersi, do której przyciskał ją przez cały czas jazdy. Jego ramię spoczywało luźno na jej biodrach, nie próbował przyciągnąć jej z powrotem do siebie. Zaryzykowała i zerknęła przez ramię — i spotkała się z jego burzowym okiem. Szybko odwróciła się z powrotem.

Kiedy jego koń po raz kolejny przestąpił gniewnie z nogi na nogę i potrzęsął, parskając, głową, odważyła się pochylić nieco do przodu i pogłaskać go po szyi. Wojownik za jej plecami nie zareagował, jednak uszy czarnej klaczy poruszyły się, zastrzygła nimi kilka razy, potem zwierzę odwróciło głowę na tyle, na ile pozwalały mu cugle i wlepiło w nią wzrok. W jego oczach nie było złości, tak się przynajmniej wydawało Lijanas. Zachęcona tym sukcesem ponownie pochyliła się do przodu i podrapała zwierzę tym razem pod długą czarną grzywą. Znowu koń potrzęsął z parskaniem głową, tak że zadzwoniła jego uзда — i został zmuszony mocnym pociągnięciem cugli, by z powrotem patrzeć prosto.

— Siedźcie spokojnie! — te słowa były jedynie warknięciem, któremu towarzyszył ostrzegawczy uścisk wokół jej pasa, jednak Lijanas zabrała rękę i usiadła prosto. I ze zdziwieniem spojrzała na swoje palce. Były ubrudzone czarną, tłustą mazią, której nie udało się jej wytrzeć o suknię.

Za nią Mordan nagle podniósł głowę. Niemal w tym samym momencie Ecren wetknął swój sztylet do pochwy i wsunął stopę z powrotem w strzemię.

— Jeźdźcy! — szepnął Corfar, a Brachan przytaknął bez słowa.

— Podkute konie — oznajmił siwy wojownik i przelożył fajkę do drugiego kącika ust.

Lijanas poczuła nagle przyspieszone bicie serca. Zazwyczaj tylko żołnierze Rusana jeździli na podkutych koniach. Teraz także ona to usłyszała. Odgłos podków na kamieniach. Jeźdźcy dotarli do mostu. W tej samej chwili dłoń Mordana zamknęła jej usta. Zrozpaczona poczuła, jak zaciska się jej gardło, a do oczu napływają łzy. Chrząst podkutych kopyt odbijał się pod mostem głośnym echem. Taka okazja może się już nie nadarzyć...
Zamknęła powieki, zebrała całą swoją odwagę i uderzyła głową w tył.

Poczuła ból w czaszce, musiała odetchnąć. Na ułamek uderzenia serca chwyt Mordana rozluźnił się. Wydawało jej się, że usłyszała jego syknięcie, w którym zaskoczenie mieszało się z bólem i wściekłością. Jednak nim zdolał ją mocniej złapać, Lijanas ześliznęła się po boku konia na dół, uchwyciła dłońmi suknię i pobiegła po śliskim wale, krzycząc z całej siły. Kopyta nad jej głową przestały uderzać rytmicznie i zatrzymały się.

Kiedy wdrapała się bez tchu, pochłapana szlamem na most, jeźdźcy właśnie obracali swoje konie. Na tarczach mężczyzn lśnił astracharski smok morski.

- Pomóżcie mi! Zostałam uprowadzona! To Kierowie! - Lijanas wyrzuciła z siebie te słowa ze szlochem, zrobiła jeszcze kilka chwiejnych kroków w stronę wojowników i w tej samej chwili wyskoczyli z obu stron mostu, jak duchy zemsty, Kierowie, i rzucili się na kompletnie zaskoczonych Nivardów. Przy pierwszym starciu jeden z żołnierzy Rusana został wyrzucony przez mur mostu, koń innego wojownika stanął przestraszony na tylnych nogach, pośliznął się i przewrócił, grzebiąc pod sobą jeźdźca. Lijanas patrzyła bezradnie na klębowisko ludzi i zwierząt. Rżenie, krzyki, dźwięk stali uderzającej w mięśnie i kości, jeden z koni przebiegł obok niej w panice, tępy odgłos ciężkich ciał padających na kamień, jęk, a potem nagle zrobiło się cicho. Sparaliżowana z przerażenia Lijanas wpatrywała się w bębniący deszcz. Przez pewien czas nie słyszała nic poza biciem własnego serca, potem nagle pojawiły się kroki. Ciemna postać wyloniła się z zasłony deszczu, zbliżając się powoli w jej stronę. Uderzenie wiatru szarpnęło jego czarnym płaszczem, zamieniając jego poly w posępne skrzydła ducha zemsty. Zbliżał się ku niej bez pośpiechu.

Rozległ się przenikliwy krzyk, który wyrwał Lijanas z otępienia. Dopiero teraz rozpoznała postać, która szła do niej. Mordan! Czerwone krople perlily się na lekko zakrzywionym ostrzu jego miecza. Od jego mroźnego spojrzenia zamarzlby nawet ogień. Nie odwracał od niej wzroku. Pod nosem widać było krew.

Chciała się odwrócić i uciec, ale miałyby tyle szans, co królik uciekający przed wężem.

- Proszę... — to słowo, placzliwie i bezradnie, wydobyło się z jej gardła, kiedy podszedł do niej. Jedyne kątem oka widziała, jak podniósł rękę, niemalże pieszczotliwie położył palce na jej karku i przyciągnął ją do siebie.

— Teraz już za późno na błagania — w jego głosie slychać było odlamki lodu, widziała, jak błyszczaly końce jego klów. Brutalnie chwycił ją za włosy i zaciagnął bez słowa na drugą stronę mostu.

Uderzyła czubkiem nogi w szablę przystrojoną wstążkami w kolorach Astracharu, ta przesunęła się z brzękiem. Krew lśniła na mokrych od deszczu kamieniach, zbierając się w ciemnych kałużach pod zwłokami żołnierzy Rusana. Lijanas z przerażeniem patrzyła na leżące nieruchomo na ziemi ciała.

Nagle Mordan pchnął ją w stronę martwych wojowników, straciła równowagę, jej dłonie zatrzymały się na pozbawionej życia piersi jednego z nich, zanurzyły się w jego krwi. Kier nie pozwolił jej się podnieść, za to przycisnął ją jeszcze niżej. Patrzyły na nią martwe, ciemne oczy młodego nivardzkiego wojownika. Ostrze tkwiło w ramieniu tuż obok gardła, wbilo się w ciało prawie do połowy, jego mundur przesiąknięty był krwią. Poczula w ustach żółć. Z trudem udało jej się ją przelknąć. Jakby z oddali usłyszała, jak Brachan wydał rozkaz.

Mordan oparł swój miecz pionowo na ziemi, pochylił się nad nią.

— To jeszcze dziecko. A ponieważ was zobaczył, musiał umrzeć; wszyscy oni musieli umrzeć. Tylko dlatego, że nie uwierzyliście Brachanowi i uciekliście.

Pchnął ją jeszcze raz, podniósł się i wsunął broń do pochwy.

— Do tej pory traktowałem was pobłaźliwie. Od tej chwili będzie inaczej!

Lijanas podniosła powoli głowę, odgarnęła włosy, zobaczyła, jak kręcił głową i usłyszała, jak mruknął;

— Nienawidzę zabijać bez potrzeby!

Potem się odwrócił.

Przez uderzenie serca patrzyła za nim jak skamieniała, potem cały strach i rozpacz wyrwały się z niej w postaci przeraźliwego krzyku.

— Nienawidzicie zabijać bez potrzeby?! - chwielejąc się krzyknęła. Stała z trudem na nogi, zaciskając wysmarowane krwią dłonie w pięści. — Obludniku! Przeklęty morderco! Wy nienawidzicie zabijać? — Wy to kochacie! Jesteście potworem! Nie człowiekiem, a zwierzęciem! Bestią! Odrażającą bestią! — Przez zaslonę z lez widziała, jak zastygł na jej słowa, jak się odwrócił z grymasem niezmierzonej wściekłości na twarzy, z obnażonymi zębami i zaczął powoli iść w jej stronę, wyginając palce w szpony.

To Brachan odważył się zastąpić czarnowłosemu wojownikowi drogę. Chwycił młodszego mężczyznę za ramiona..., powiedział coś..., Mordan odepchnął go... i znieruchomiał. Nie byli sami.

Długie wąskie pyski podniosły się, wężąc z charczeniem, ukazały się ociekające śliną kły, kiedy kreatury postawiły swe łapy na moście. Warcząc, wyszczerzyły swe żółte zęby i podeszły bliżej. Bestii było siedem, każda wielkości psa gończego. Krótka, nadżarta ropiejącymi ranami sierść, napięta była na kościach, na których nie było mięsa. Unosił się nad nimi smród padliny, tak silny, że przyprawiał o mdłości. W niezwykle suchych czaszkach płonęły bladozielone oczy wodzące bez przerwy dookoła.

Z ust do ust szeptało jakieś słowo i chociaż Lijanas go nie rozumiała, usłyszała drżenie, kiedy Kierowie równocześnie sięgnęli po broń.

Mordan wyciągnął miecz tak jak pozostali, jednak wyciągnięta ręka i krótki rozkaz powstrzymały wojowników. Lijanas nie wiedziała, co powiedział, ponieważ posłużył się językiem Kierów, ale jego głos brzmiał całkiem spokojnie.

Na jej ramieniu spoczęła jakaś ręka, pociągnęła Lijanas do konia.

- Żadnych gwałtownych ruchów, dziewczyno! — ostrzegł ją Brachan. Odważyła się spojrzeć przez ramię. Mordan stał cały czas pośrodku mostu, zagradzając kreaturom drogę, a jakieś dwa kroki za nim - Levan. Młody wojownik odwrócił niezdecydowany wzrok od bestii w kierunku swojego konia. Usłyszała, jak Mordan syknął coś, szczerząc zęby, Levan drgnął - i pierwsza kreatura skoczyła. Jak błyskawica śmignęło w kierunku bestii wąskie ostrze czarnowłosego wojownika, chrupnęły kości, po ziemi potoczyła się ociekająca śliną czaszka, a ciało upadło ciężko u jego stóp.

Brachan chwycił ją wpół i wsadził na grzbiet swojego konia, potem podciągnął się i usiadł w siodle za nią. Nie mogła odwrócić wzroku od Mordana i tych potworów. Dwa zbliżyły się do niego pochylone, trzeci obwąchał odciętą czaszkę swego towarzysza i wbił w nią z gruchotem pazury.

Mordan wydał rozkaz, jedno jedyne słowo, które brzmiało jak dzikie szczeknięcie, i obie bestie rzuciły się na niego, jakby był to sygnał do ataku, trzecia kreatura rzuciła się w tym samym czasie na Levana, skacząc z muru mostu. Jej pazury wbiły się w jego plecy, upadł na ziemię pod jej ciężarem, zaślniły żółte kły. Lijanas krzyknęła, sucha czaszka bestii drgnęła, uniosła się, bladozielone oczy odnalazły jej oczy. Tak jak w nocy to spojrzenie odebrało jej oddech, pojawiło się znowu to szarpanie, szept, tym razem głośniejszy, niemalże była w stanie zrozumieć słowa. Chciała

ukryć głowę w dłoniach, ale nie mogła. Kreatura obróciła ze skowytym głowę do tyłu, gdy w jej grzbiet wbil się miecz Mordana. Usunęły jej się tylne nogi, potem pokryte bladą krwią ostrze przeniknęło jej pierś i jednym ruchem zostało wyciągnięte i wbite głęboko między żebra kolejnej bestii, która upadła, skowycząc. Głosy ucichły. Walach Brachana wspiał się, rżąc, na tylne nogi, kiedy siwowłosy wojownik wbil mu ostrogi w boki, po czym ruszył galopem, dudniąc kopytami. Eren i Corfar podążyli tuż za nimi. Lijanas jeszcze raz pochyliła się do przodu, wyjrzała przez ramię Brachana. Jedna z bestii skoczyła na Mordana w chwili, gdy czarnowłosy wojownik uklęknął na jedno kolano przy Levanie. Potem minęli pędem jakiś zakręt i most zniknął za drzewami.

- Zostawiacie ich? — w głosie Lijanas przerażenie mieszało się z niedowierzaniem.

- Mamy rozkazy! — Brachan mocniej ścisnął ją w pasie. — Nie martwcie się, ruszą za nami, jak tylko te bestie przestaną nam zagrażać!

- Ale Levan jest ranny!

- Mordan jest przy nim - te słowa zabrzmiały, jakby Levan był tak bezpieczny, jak dziecko w łonie swojej matki.

- Ale...

- Dosyć! - jego warknięcie przypomniało jej Mordana. Zagryzła wargę i zamilkła.

Miła za miłą potężne rumaki bojowe pędziły wciąż z taką samą prędkością po rozmięklej drodze, jakby wcale nie czuły zmęczenia. Dopiero przy skrzyżowaniu dróg Kierowie zatrzymali się i pokierowali konie pomiędzy drzewa, gdzie z nich zsiadli. Kiedy Lijanas zamierzała również zejść, Brachan kazał jej pozostać na koniu. Corfar zostawił swojego rumaka pod opieką Erena, a sam wrócił na drogę, by wypatrywać Levana i Mordana. Nad oczekującymi wisiała cisza przerywana jedynie oddalającymi się grzmotami i cichym pluskiem słabnącego powoli deszczu.

Lijanas otuliła się ramionami. Było jej zimno i to nie tylko dlatego, że była całkowicie przemoczona. Najwyraźniej Brachan zauważył jej drżenie, bo zdjął swój płaszcz i podał jej.

- Weźcie go, uzdrowicielko. Zadbam o to, byśmy znaleźli jakieś miejsce, gdzie spędzimy noc, jak tylko Mordan i Levan dołączą do nas. Nikomu nie posłużę, jeśli mimo wszystko pojedziemy dalej, a wy się rozchorujecie.

Lijanas otuliła się z wdzięcznością ciepłym materiałem.

- Co to były za stworzenia?

Siwy wojownik położył dłoń na grzbiecie konia i spojrzal na nią.

- *Asbk'nodaj*. Wy nazwalibyście je pożeraczami dusz - pokręcił głową.

To stworzenia z legend i koszmarów. Straszy się nimi niegrzeczne dzieci i tchórzy. Nie myślałem, że naprawdę istnieją - pogłaskał uspokajająco swojego konia po szyi, gdy ten przestąpił niespokojnie z nogi na nogę.

Niektóre legendy głoszą, że po bitwie zakradają się nocą na pole bitewne w poszukiwaniu umierających. Wysysają ich krew, kiedy cień Białej Wojowniczkki pada na tych nieszczęśników i spijają wraz z ich gasnącym życiem ich strach przed śmiercią i chwile grozy z ich wspomnień, i kradną im dusze tak, że zmarli są potem uwięzieni w nigdy niekończącej się męce **czarnej** równiny między tym, a tamtym światem, zmuszeni bezustannie tulać się, nie znajdując nigdy spokoju — odgarnął swoje siwe włosy. — Inni powiadają, że są sługami zapomnianego dawno temu boga demonów i że karmią swego pana duszami swych ofiar, ażeby mógł odzyskać swą dawną siłę; że te dusze są do niego na zawsze przywiązane i muszą mu służyć w jego armii zmarłych jako straszliwi wojownicy. Powiadają też, że ci, których dusze ukradną, sami stają się pożeraczami dusz — wzruszył ramionami. - W sumie to ta sama historia, tylko każdy opowiada ją po swojemu. Jednak nigdy nie słyszałem, żeby się pokazywały za dnia, a cóż dopiero by się odważyły zaatakować żywych.

- I mimo to tak po prostu zostawiliście Levana i Mordana?

- Kiedy ruszaliśmy, przy życiu były już tylko cztery. Mordan poradzi sobie z nimi tak samo jak z pozostałymi.

- Jak możecie być tego tacy pewni?

Brachan znowu wzruszył ramionami.

- Ze swym ostrzem Mordan jest jak czarownik, ze swym *kereshtai*. Nie ma w całym wojsku nikogo, kto byłby w stanie mu dorównać, może wśród Wielkich Mistrzów Kessananów. Możecie być spokojni, oni na pewno wrócą!

Lijanas zanurzyła nos głębiej w płaszcz. Słyszała o Kessananach — okrutni wojownicy, którzy są bezwarunkowo lojalni swemu panu i wykonują każdy jego rozkaz, bez litości, konsekwentnie. Jednocześnie opowiadano, że bardzo dobrze wykształceni, umieją czytać i pisać, znają się na rachunkach i posługują płynnie kilkoma językami. Jednak krążyła plotka, że kierują się jakimś dziwnym kodeksem honorowym, który nakazuje im odebrać sobie życie, jeśli popełnią błąd. Podciągnęła stopy tak, by

przykrył je materiał. Brachan, jako najstarszy, był najwyraźniej przywódcą wojowników, ale mimo to wydawało się czasem, że to Mordan wydaje rozkazy. Poza Brachanem wszyscy zwracali się do niego „panie”... Czy ten czarnowłosy wojownik był jednym z tych Kessananów?

Choć Brachan mówił z takim przekonaniem, wyraźnie odetchnął, kiedy dał się słyszeć tętent koni, a chwilę później między drzewami ukazał się Corfar, a tuż za nim Mordan i Levan. Młody wojownik siedział na swym koniu ze zwieszonymi ramionami i wyglądał jak zbity pies. Jego ubranie było poplamione krwią. Jego spojrzenie wędrowało wciąż niepewnie ku Mordanowi, który jednak kompletnie go ignorował.

Lijanas pochyliła się w siodle.

- Jesteście ranni?

Jak przyłapany na gorącym uczynku Levan wdrygnął się, lecz chwilę później potrząsnął głową.

- Wszystko w porządku, uzdrowicielko! - zapewnił ją cicho i spojrzał po raz kolejny na Mordana.

- Mielście problemy? - zapytał Brachan i chwycił cugle czarnej klaczy, przyglądając się, jak ciemny wojownik zsiada z konia.

- Nie! Dwie ostatnie bestie uciekły! — odpowiedział z lodowatą miną Mordan wyciągając coś ze swej torby przy siodle. Przeszedł obok starszego mężczyzny, kierując się w stronę Lijanas. — Ale nie zdążyliśmy sprzątnąć zwłok. Drogą nadjeżdżał tabor wozów. Rusan już niedługo się dowie, że jego ludzie wdali się w walkę i ponieśli śmierć.

Był już na wysokości konia Brachana i spojrzał na Lijanas.

- Zsiadać! — rozkazał szorstko. Ponieważ nie zareagowała dość szybko, chwycił ją za nogę i ściągnął brutalnie z siodła. Niezdarnie podniosła się z ziemi, uderzając w jego pierś, i szybko odepchnęła się od niego. Pobladła, rozpoznawszy, co wyciągnął ze swej torby.

Nie!

- Od tej chwili będę was traktował jak jeńca, którym jesteście! Wyciągnijcie ręce przed siebie!

Lijanas pokręciła z przerażeniem głową. Nie spuszczała wzroku z napiętych rzemieni. Szukając pomocy, spojrzała na Brachana. Ten milczał, choć skrzywił usta z dezaprobatą. Jej oczy zwróciły się z powrotem na Mordana.

- Nie możecie tego zrobić!

- Ręce przed siebie!

Lijanas ani drgnęła.

- Mam wam pomóc? — chłód zniknął z głosu Mordana, teraz była tam tylko groźba.

Bezwiednie wzdygnęła się ze strachu. Jeszcze raz popatrzyła na nich. Levan odwrócił swą zawstydzoną twarz, Ecren i Corfar sprawiali wrażenie niemilo dotkniętych. Ale żaden z nich nie sprzeciwiłby się Mordanowi. Jego dłoń zacisnęła się szorstko na jej nadgarstku i, szarpnąwszy, przyciągnął ją bliżej.

- Nie! Puśćcie mnie, przeklęty chamiel! Nie ważcie się mnie tknąć! nie bacząc na jej sprzeciw, uchwycił także jej drugą rękę, owinął rzemieniem nadgarstki i zawiązał supel. Potem nieoczekiwanie ją puścił. Lijanas straciła równowagę. — Przeklęty bękarcie! Rozwiążcie mnie! Chcę... — raptownie poczuła jego dłoń na swoim policzku, aż przekręciła jej się głowa. Zachwiała się, spojrziała na Mordana oszołomiona, podnosząc spętane dłonie do płonącej twarzy. Nie zwracając uwagi na szmer sprzeciwu, złapał za ramię między jej nadgarstkami i zaciągnął ją do swego konia. Lijanas szła za nim, potykając się, jak lunatyczka. W oczach czuła piekące lzy.

Proszę, Łaskawa, nie dopuść, żebym zaczęła przed nim płakać! — starała się pozbyć łez, mrugając powiekami. Płaszcz został zdarty z jej pleców i oddany właścicielowi, potem Mordan podsadził ją na swoją klacz i sam również wsiadł. Wydał krótki rozkaz w języku Kierów, kiedy także Brachan i Corfar wsiadali na konie, potem skierował swego konia ku drodze i ruszył klusem. Koniec jej więzów trzymał w jednej dłoni razem z cugłami.

Jego policzek leżał na twardym kamieniu. Woda dotykała jego ciała w powolnym tańcu, ochlapując mu czasem twarz. W jego czaszce dudniło, w ramieniu czuł świdrujący ból. Z trudem otworzył oczy i próbował się podnieść. Z jękiem opadł z powrotem na ziemię.

Cały czas miał przed oczami zdyszana uzdrowicielkę. Potem te bestie, Kierowie, rzucili się na nich tak nieoczekiwanie, że nawet nie zdążył wyciągnąć miecza. Prawdopodobnie zawdzięczał swe życie tylko temu, że już przy pierwszym starciu z wojownikami został ciśnięty tak, że wypadł z mostu. Aż do tego momentu nie widział jeszcze nigdy tych ludzi, jednak

wiedział, kim byli... Siwowłosy wojownik o spojrzeniu drapieżnego ptaka i ten drugi, z czarnymi włosami i skórzaną klapką na oku... Jak często opowiadali o nich żołnierze wracający z walki z Kierami.

Ci dwaj ciemnowłosi mężczyźni i ten blondyn to byli pewnie ci obcy, których widziano nocą w „Czarnym Jagnięciu”. Ci, których miał szukać ze swymi żołnierzami i doprowadzić do Anschary.

Wzdrygnął się. Podnosił się z trudem, opierając swój ciężar najpierw na dłoniach i kolanach, by w końcu stanąć na nogi i ruszyć chwiejnie przed siebie. Jego książę musi się o tym dowiedzieć! Natychmiast!

Pierwsze dwa księżycy przekroczyły już zenit, kiedy Kierowie sprowadzili swe rumaki z drogi i weszli w las, aby znaleźć miejsce na noc. Lijanas siedziała skulona przed Mordanem, na końskim grzbiecie. Przez resztę dnia nie zwracał na nią uwagi. Jej żołądek hałasował głośno i było jej potwornie zimno. Drżąc, przycisnęła ramiona do ciała, ocierając jednocześnie kilka łez. Strach siedział jej w gardle jak twarda klucha, od kiedy dostała w policzek od Mordana. Dał jej do zrozumienia, że nie będzie się bał jej uderzyć.

Wreszcie wojownicy zatrzymali swe konie na zboczu małej kotliny między drzewami. Ziemię pokrywały liście i kamienie lśniące wilgocią w słabym świetle księżyca. Po jej lewej stronie rósł wybujały krzak cierni, prawie tak wysoki, jak człowiek.

Ecren omiółł wzrokiem to miejsce, mruknął coś markotnie i poprawił się w siodle. Żaden z wojowników nie rozmawiał już po nivardzku.

Odpowiedź Mordana była szorstka i zdecydowana. Poprowadził konia jeszcze kilka kroków dalej, potem nagle zepchnął Lijanas. Ześliznęła się z krzykiem z grzbietu Ired, lądując niezgrabnie na czworakach i ocierając sobie dłonie. Potem również on zsiadł z konia, chwycił ją za ramię i podniósł brutalnie. Rozejrział się wokół, czegoś szukając, nim pociągnął ją do pobliskiego drzewa. Przez chwilę Lijanas obserwowała, kiedy przerzucal koniec jej więzów przez sękaty konar, dopiero gdy rzemień napiął się, podnosząc jej dłonie nad głowę, dotarło do niej, co robi Mordan.

- Proszę! Nie! — krzyczała i próbowała zaprzeczyć się na skórzanych rzemieniach, wskutek czego wbiły się boleśnie w jej nadgarstki. Czarnowłosy wojownik, niewzruszony, przywiązał mocno rzemień, odwrócił się i zamierzał wrócić do swojego konia.

- Nie możecie tego zrobić! Proszę! Nie! — Lijanas lkała z przerażenia. Bez słowa odwrócił się do niej, obdarzył ją lodowatym spojrzeniem. Za jego plecami pozostali wojownicy przerwali rozkulbaczenie koni, spoglądając w ich stronę. - Proszę! Nie będę już próbować uciec! Od tej pory będę robić, co każecie! Tylko rozwiążcie mnie! Proszę!

Patrzył na nią w pogardliwym milczeniu, ale ani drgnął.

- Proszę, jestem zmęczona i głodna, jest mi zimno! Ja... — zamilkła, kiedy podszedł do niej i zatrzymał się tak blisko, że poczuła jego oddech na twarzy.

- Sen, jedzenie i ciepłe miejsce przy ogniu to przywileje, na które trzeba zasłużyć. Wy nie zasłużyliście dzisiaj na żadną z tych rzeczy — złowieszcy uśmiech przemknął mu przez usta, za którymi połyskiwały blade kły. — Wykorzystajcie czas, który został do świtu i zastanówcie się, jak chcecie się od teraz zachowywać. Życzę wam przyjemnej nocy, uzdrowicielko — z tymi słowy zostawił ją i poszedł do pozostałych wojowników.

- „Sen, jedzenie i ciepłe miejsce przy ogniu to przywileje, na które trzeba zasłużyć” — kpil Brachan, stanąwszy obok niego. Mordan niewzruszenie zdejmował siodło z Ired. Nagle dłoń starego wojownika spoczęła na klamrze. — To metody kessanańskie! — Jego ton był ostry.

- Uzdrowicielka nie powinna cię obchodzić! Pilnuj siebie i swoich spraw! — Mordan odsunął tego drugiego z niechęcią na bok, ściągnął siodło z grzbietu konia i zaniósł na swoje miejsce przy ogniu. Brachan podążył za nim.

- Dziewczyna jest wyczerpana i kompletnie przemoczona! Twój policzek pozbawił ją resztek krnąbrności. Nie będzie już robić głupstw! Jaki masz w tym cel? Chcesz złamać jej wolę?

- Chcę, żeby przestała ze mną walczyć i zaczęła słuchać.

- To nie wojownik!

- To jeniec! Tak będzie teraz traktowana! Zostaw mnie w spokoju, Brachanie!

Przez moment oczy drapieżnego ptaka przyglądały się Mordanowi, potem Brachan splunął pogardliwie.

- Arkell byłby dumny ze swego ucznia! — powiedział siwowłosa, odwrócił się i poczłapał do swojego posłania. Mordan patrzył za nim, potem kopnął wściekle siodło i wrócił do konia, aby przygotować go na noc.



— Zabij go!

— Dlaczego?

— Bo to mój rozkaz.

— To tylko stary ślepy pies. Nikomu nic nie zrobi. Nie rozumiem, dlaczego mam go zabić.

— Zabij wreszcie to bydlę!

— Nie!

— To rozkaz!

— Nie!

— Nie?

— Nie!

— Już ja cię nauczę posłuszeństwa.

Lodowaty wiatr, który kąsa nagą skórę i od którego ona sinieje. Członki drżą na zimnie. Śnieg pada z nocnego nieba i kładzie się na zdrewniałe już boscie stopy, otulając je aż do kostek, przykrywając białym puchem ramiona. Chropowaty powróż kępkuje dłonie, napina brutalnie nyciągnięte nad głowę prawnie do belki ramiona, odcina dopływ krwi. Skonoyt psa, który też był do tego przywiązany, ucichł. Nie żyje. Wykrawił się albo zamarzył. Jest tak potwornie zimno. Jakiś szelest pomiędzy śmierdzącymi odpadkami, przemyskające cienie, obwąchiwanie, cichy pisk. W białym śniegu pokazuje się ostry pyszczyk, potem jeszcze jeden. I kolejne. Szczury! Zbliżają się. Wietrzą padlinę. Mięso psa będzie dla nich uczta. Zima jest sroga i trwa już o wiele za długo. Zdają się wiedzieć, że nie ma tu nic, co mogłoby im zagrażać. Pierwszy staje słupka, zaczyna wspinać się po nogach, wpija swe ostre pazury w nieostłoniętą skórę. Za nim kolejny. Próba strząśnięcia ich kończy się ugry-

zieniami. Szczury są głodne! Mięso to mięso. Jest ich coraz więcej. Piernusze dotarły już do ramion, smakują krwi i wgryzają się. Ciało trzęsie się ze wstrętu i bólu. Za nimi podążają kolejne, wspinają się po rękach, wbijają zęby w delikatne mięso pokrwanionych od sznura nadgarstków, nie oszczędzają dłoni, które z bólu próbują się chwycić pustki. Inne przycupnęły przy zwłokach psa, rozrywają je. Czerwone kawałki spadają w śnieg. Zwierzęta na ziemi rzucają się na nie, walczą o nie z piskiem. W gardle dławii odraża. Sztydery śmiech, który dźwięczy we wspomnieniach i uszach — „Już ja cie nauczę posłuszeństwa”. Niezamierzone tży zamarzają na policzkach. Nagle z ust wydobywa się skamlenie. — Proszę! — Nikt tego nie słyszy.

Zdyszany zerwał się ze snu, nie wiedząc dlaczego. Jastrzębie oczy obserwowaly go przez ogień. Burknawszy, odwrócił się do niego plecami i naciągnął koc na ramiona. W jego kościach zagnieździło się jakieś dziwne zimno.

„Arkell byłby dumny ze swego ucznia!” — do cholery! Nie mógł zapomnieć słów starego wojownika. Za nim w ognisku pękła z trzaskiem gałąź. Zerknął na uzdrowicielkę. Jej jasne, szczupłe ciało odcinało się upiornie od ciemności nocnego lasu.

„To metody kessanańskie!” — warknąwszy znowu, zrzucił z siebie przykrycie, podniósł się i podszedł do młodej kobiety. Bez sił wisiała w swych więzach. Włosy opadły jej na twarz. Drżała. Przez krótką chwilę mógł zobaczyć w świetle księżycy jej twarz, zanim odwróciła się od niego. Na jej policzkach widniały ślady lez.

- Odejdźcie! — szloch zdławił jej słowa.

„Arkell byłby dumny ze swego ucznia!”

Och, do cholery!

Wystarczył jeden ruch, by rozwiązać supel rzemienia, którym koniec jej więzów przymocowany był do drzewa. Zachwiała się i przewróciłaby, gdyby jej szybko nie złapał. Jej ciało było skostniałe. Bez sił próbowała odepchnąć go swymi skrępowanymi rękami. Niewzruszony, wziął ją na ręce i zaniósł w kierunku ogniska, gdzie posadził ją na swym posłaniu. Patrzyła na niego wystraszonymi oczyma śmiertelnie rannej sarny. Szorstko zmusił ją, żeby położyła się na skórkach, ułożył się obok niej i naciągnął na obydwójce koc. Z jej gardła wydobył się cichy płacz, kiedy przyciągnął ją do siebie. Odwróciła się, chciała się od niego odsunąć. Syknawszy, przycisnął jej nogi swoją nogą — natychmiast znieruchomiała.

— Proszę...

— Cisz! Śpijcie!

Nie wydała z siebie już żadnego dźwięku. Przez długi czas wsłuchiwał się w jej zduszony oddech. Długo trwało, zanim się wyrównał. Jeszcze dłużej — nim się rozluźniła i jej delikatne ciało zwiotczało w jego ramieniu, gdy wreszcie zasnęła. Mordan patrzył w próżnię. Dzisiejszej nocy nie uda mu się już zasnąć.

Do śpiącej, wycieńczonej kobiety powoli docierało szemranie. Ciągle jeszcze była oszołomiona zmęczeniem, ale wydawało jej się, że usłyszała cichy, pełny bólu głos, a potem przekleństwa. Wstrzymując oddech leżała cicho, zanim odważyła się ostrożnie poruszyć. Koce były jeszcze ciepłe w miejscu, gdzie leżał Mordan, ale jego nie było. Dopiero teraz zdobyła się na głębszy oddech i otworzyła powoli oczy. Mgła wisiała posępnie między drzewami, kotlina zdawała się w niej tonać. Na niebie nie było widać nawet odrobiny czerwieni, która zwiastowałaby wschód słońca. Poranne powietrze musnęło jej policzki i czoło zimnem i wilgocią. Przeszedł ją dreszcz na myśl, co zechce jej dziś zrobić Mordan. Czy da jej dzisiaj przynajmniej coś do jedzenia? Robiło jej się niedobrze z głodu. Pęta na pewno jej nie zdejmie. Mogła mieć jedynie nadzieję, że wieczorem nie przywiąże jej znowu tak brutalnie do drzewa.

Ahmeerze, proszę! Pospiesz się! Nie wytrzymam tego dłużej!

Nagle Lijanas usłyszała zbliżające się w jej stronę kroki, więc szybko zamknęła powieki, udając, że śpi. Na jej ramieniu spoczęła czyjaś dłoń i potrząsnęła nią lekko.

— Zbudźcie się, uzdrowicielko! — to był głos Brachana. — Potrzebujemy waszej pomocy!

Zaskoczona otworzyła oczy. Siwowłosy wojownik klęczał przed nią, z ręką wciąż na pół wyciągniętą, żeby potrząsnąć nią po raz drugi, gdyby było to konieczne. Na jego twarzy wyraźnie malowała się troska. Za jego plecami Corfar próbował na nowo rozniecić ogień. Wznoszący się o ciężale dym został wchłonięty przez mgłę.

— Co się stało? — zapytała i pozwoliła, by pomógł jej wstać.

— Levan jest chory! — pokazał ręką miejsce, gdzie spał młody wojownik i dal jej znak, by poszła za nim. Nadzieja, że zdejmie jej pęta, okazała się

plonna. Lijanas zatrzymała się nagle, gdy ujrzała Mordana kłęczącego u wezglowia posłania Levana i trzymającego mocno jego ręce. Ecren przykucnął w podobnej pozycji przy nogach młodego mężczyzny. Ten leżał na brzuchu, jego głowa oparta była na kilku kocach, a ciało owinięte było mocno skórą. Niespokojnie próbował rzucać się na boki. Kiedy także ona przykłęknęła obok niego, czarnowłosy wojownik pochylił się i powiedział coś cicho po kiersku do Levana. Ten zaniechał prób oswobodzenia się z trzymających go rąk. Jego powieki uniosły się, trzepocząc, błyszczące od gorączki oczy odnalazły Lijanas, przez usta przemknął delikatny uśmiech, z gardła wydobyło się ciche westchnienie, potem oczy znowu się zamknęły.

- Co mu powiedzieliście? — dotknęła czoła Levana. Było rozpalone!

- Że się nim zajmiecie.

Lijanas przyjęła te słowa w milczeniu, wykręcając z trudem nadgarstki, by położyć palce na szyi młodego wojownika, tam, gdzie można wyczuć tętno. — *Tak, zajmę się Levaniem. Ale gdybyś ty tu leżał...*

Wzdrygnęła się na tę myśl. Czy mogłaby być aż tak nieczuła? Za jej plecami Brachan powiedział coś ostro w swoim języku. Mordan podniósł wzrok i odpowiedział mu w kilku, jak się zdawało, równie gwałtownych słowach. Potem odezwał się:

- Dajcie mi ręce, uzdrowicielko!

Nieco zaskoczona Lijanas spojrzała najpierw na jednego, potem na drugiego, posłuchała jednak i ciemny wojownik rozwiązał pęta na jej nadgarstkach. Wciągnęła powietrze, gdy krew zaczęła napływać do palców, sprawiając jej ból. Nie chciała sobie nawet wyobrażać, jak bardzo będzie bolało, kiedy z powrotem założy jej rzemienie.

Odegnęła od siebie tę myśl i położyła znów palce na szyi Levana, próbując wyczuć koniuszkami palców uderzenia pod rozpaloną skórą. Były o wiele za szybkie!

- Od kiedy jest z nim tak źle?

- Ecren nie mógł go dobudzić, gdy przyszła jego warta. Wtedy zauważyliśmy, że ma gorączkę. Kiedy się zaczęło...? - Mordan wrzucił ramionami i pochylił się znowu, gdy Levan wyrzucił z siebie, dysząc, jakieś słowa. Kiedy odpowiadał, jego głos brzmiał uspokajająco. Lijanas znowu nie mogła zrozumieć, co powiedział. Usiadła, marszcząc czoło.

- Wiecie, czy jest gdzieś ranny?

Zamiast odpowiedzieć, czarnowłosy wojownik podniósł ostrożnie skóry okrywające Levana od ramion po biodra. Złota sierść na jego plecach była ciemna od potu, wyraźnie widać było kilka ran, nie większych niż miedziane monety i lśniących wściekłą czerwienią. W środku tych ran polyskiwała ropa.

— Pazury pożeraczy dusz przerwały żelazne pierścienie i przedostały się przez jego kolczugę.

Lijanas musiała z przerażenia zaczerpnąć powietrza, ale powstrzymała się, pochyliła nad młodym wojownikiem i przyjrzała się dokładnie ranom. Wydobywał się z nich zapach padliny.

— Levan mówił, że zabraliście z miasta moją apteczkę...?

Mordan przytaknął, wymamrotał jakieś polecenie, na co Ecren opuścił swe miejsce przy nogach chorego i chwilę później wrócił, niosąc apteczkę.

Podziękowała mu prędkim uśmiechem, potem otworzyła skrzynkę, szukając w pośpiechu ziół na gorączkę. Gdyby tylko wiedziała, jak wyleczyć same rany... Gangrena nie rozprzestrzeniała się nigdy tak szybko, a ten zapach padliny... To było bardzo dziwne — niemalże jakby ciało należało do rozkładających się od wielu dni zwłok. Nie! Już sama myśl była szalona! Mimo to nigdy nie widziała takich ran.

— Potrzebny wam nóż? — Głos Mordana wyrwał ją z rozważań.

— Nóż? Po co?

— Żeby wypalić rany - wydawało się niemal, że czyta w jej myślach.

Spojrzała na niego z przerażeniem. Taka barbarzyńska propozycja mogła wyjść tylko od niego. Pokręciła głową, wzięła kawałek płótna ze swej apteczki i zabrała się ostrożnie za oczyszczanie ran. Kiedy go dotykała, Levan poruszał się, słaby, zwił się z jękiem, nagle zemdlał. Jego oddech ledwo dawało się wyczuć. Lijanas zagryzła wargę, zerkając to na jednego, to na drugiego.

Jeśli zaaważają... Nie! Jak mieliby... Tylko Levan się teraz liczy!

— Czy moglibyście obrócić go trochę na bok?

Mordan wprawdzie spojrział na nią zaskoczony, ale zrobił, o co prosiła. Twarz młodego mężczyzny była szara, blady trójkąt widniał wokół ust i nosa. Ostrożnie położyła dłoń na gładkiej, niezarośniętej piersi, wyczuła ciężkie, szybkie bicie serca, dotykając jednocześnie delikatnie jego rozpalonego czoła. Przestraszona zaczerpnęła powietrza i zabrała szybko dłoń, kiedy nagle ujrzała cień, który spoczywał nad życiem młodego wojownika tak, że już prawie nie dało się go przeniknąć. Na jej nadgarstku zacisnęły

się boleśnie palce, krzyknęła cicho, próbując się uwolnić. Dopiero potem do niej dotarło, że to Mordan ją chwycił, a teraz pochylił się nad nią, mrużąc oczy.

- Co wam jest, uzdrowicielko? — oschłość w jego głosie wzmagała jeszcze drżenie jej rąk.

- Nic! — unikała jego spojrzenia, próbując wywinąć się z jego uścisku. Bez skutku.

- Nic? Jesteście biała jak wapno! Dlaczego? - brutalnie przyciągnął ją do siebie. — Tylko nie ważcie się mnie okłamywać!

- Ja..., ja tylko przestraszyłam się, że z Levaniem jest tak źle. - Jej głos brzmiał tak strasznie cienko.

- To nie jest powód! Wiedzieliście o tym już wcześniej! — Ścisnął jej rękę mocniej. — Już dość nadwerżyliście moją cierpliwość! Otwórzcie usta, kobieto, albo zmuszę was do mówienia!

W jej gardle tkwił cichy jęk.

Jak mogłam być tak głupia? Oczywiście musiał to zauważyć. Nie powinienam byłam tego robić, ale Levan... Nikomu jeszcze o tym nie mówiłam. Nawet Ahmeerowi ani Niégrze. Jak mogę powiedzieć jemu? On mnie zabije.

Znowu szarpnął jej nadgarstkiem.

- Mówcie!

Nieszczęśliwa, spuściła głowę, słowa więzły jej w gardle.

- Czasem, gdy dotknę chorego, który..., z którym jest bardzo źle, widzę... cień spoczywający nad jego życiem. Im bardziej jest nieprzenikliwy, tym..., tym większa pewność, że chory umrze. A w przypadku Levana...

Mordan wypuścił jej rękę i usiadł, nie spuszczać z niej wzroku. Zaczepnął powietrza i teraz powoli je wypuszczał.

- Widzicie cień Białej Wojowniczkii — jego głos był bardzo spokojny.

Lijanas spojrziała na niego oszołomiona. Oczekiwała zupełnie innej reakcji. Powoli zaczęła zdawać sobie sprawę z ciszy panującej za jej plecami. Znowu przygryzła wargę. Pozostali wojownicy też musieli usłyszeć jej słowa. Nagle padł na nią cień, szybko podniosła wzrok. Obok niej stał Corfar, z ręką na mieczu. Kiedy przemówił, jego głos był srogi, każde słowo brzmiało jak oskarżenie, choć Lijanas nie rozumiała, co mówił.

Mordan parsknął, w jego odpowiedzi słychać było drwinę. Jednak, kiedy Corfar znowu zaczął mówić, jeden gest i krótkie słowo syknięte przez czarnowłosego wojownika kazały mu zamilknąć. Przez uderzenie

serca, dwa, trzy, wojownicy mierzyli się wzrokiem, potem Corfar spuścił oczy i poszedł, warcząc pod nosem, w kierunku ogniska.

- Co..., co on powiedział? — z ust Lijanas dobiegł jedynie cichy szept. Mordan spojrzała na nią.

- Że tylko więdźmy dusz z ludu Edari widzą śmierć, i że powinienem wam poderżnąć gardło, zanim skierujecie przeciw nam swą zgubną moc i przywiążecie do siebie nasze dusze.

- Nie jestem...

- Wszystko mi jedno, kim jesteście! Moje rozkazy odnośnie waszej osoby są jednoznaczne! — powiedział i spojrzał na Levana. Nagle jego głos stał się dziwnie łagodny. — Zróbcie dla niego, co możecie. Jeśli czegoś wam potrzeba, powiedzcie, a ja o to się postaram.

Przez chwilę była zakłopotana. Nic, co mógł zrobić, nie zaskoczyłoby jej bardziej niż te słowa. Potem skinęła głową i wzięła się do pracy.

Przez cały czas czarnowłosa wojownik trwał przy niej w milczeniu. Podtrzymywał głowę Levana, żeby mogła mu podać lekarstwo, przytrzymywał, gdy oczyszczała rany na jego plecach i ciągle mówił do chłopaka, cicho i uspokajająco. Miała wrażenie, że Levana uspokajała pewność, że Mordan jest przy nim, i była świadoma, że Mordan obserwuje uważnie każdy jej ruch.

Skończywszy, Lijanas usiadła. Jej dłonie były umazane krwią młodego wojownika, po raz kolejny odgarnęła sobie wierzchem dłoni włosy z czoła. Kiedy podniosła wzrok, spotkała się ze spojrzeniem Mordana.

- Więcej nie mogę zrobić. Módlcie się, żeby Rabini...

- Wasza heretycka bogini raczej nie wysłucha moich modlitw - wykrzywiając twardo usta, podniósł się, wetknął kciuk za pas. — Kiedy możemy jechać dalej?

- Dalej? Ale... Levan jest strasznie słaby, rozpalony od gorączki, te rany... — gestykulowała bezradnie. — On nie może jechać dalej!

- Musi! Jeśli nie zdoła się utrzymać na swoim koniu, zbudujemy dla niego nosze, ale tutaj nie możemy zostać!

- Ale...

- Żadnego „ale”, uzdrowicielko! Ruszamy, kiedy wstanie słońce. Zróbcie wszystko, co trzeba, żeby przetrzymał transport!

- Zabijecie go! Nawet na noszach!

- Wy macie do tego nie dopuścić! — odwrócił się do pozostałych wojowników, którzy siedzieli przy ognisku, wydał szybko rozkaz, na który mężczyźni odpowiedzieli jedynie skinieniem głowy

Idąc w stronę swojego posłania, Mordan czuł na sobie spojrzenie uzdrowicielki.

Kłękął przy swoich jukach, wyjął skórzany futerał i rozłożył schowane w nim mapy na swoim posłaniu. Rzeki, równiny, góry i miasta zaznaczone były starannie czerwonym atramentem, razem z innymi szczegółami, które przydały się już w czasie niejednej bitwy. O ile było mu wiadomo, były to najdokładniejsze mapy, jakie istniały w Telmahrze, Astracharze, a nawet imperiach stepowych. Niektóre informacje ukradł on sam na rozkaz Jarata, inne pochodziły od jego własnych szpiegów, zostały kupione za złoto albo wyludzone w zamian za jeńców. Ani Jerdt ani Corden nie widzieli nigdy tych map, nawet król Haffren ich nie znalazł. Zamyślony pochylił się nad mapami. Gdyby miał dostarczyć uzdrowicielkę prosto do Turasu, przeszedłby przez Góry Słone na wschodzie, minął Sajidarrah i Tejidannar i znalazłby się na ziemi telmahrskiej, zaraz po przepłynięciu się przez Corn. Gdyby byli na swoim terytorium, droga byłaby bezpieczniejsza i przede wszystkim wygodniejsza. Jednak Wąwóz Kassen leżał daleko na północnym zachodzie, po drugiej stronie Morza Środkowego i Gór Srebrnych. Ścisnął grzbiet nosa kciukiem i palcem środkowym i zamknął na chwilę oko. W zasadzie chciał przejść przez Pustynię Słoną. Choć była nieprzewidywalna i zwłaszcza w tym czasie, pod koniec lata, uważano ją za szczególnie niebezpieczną, z wypoczętymi ludźmi ryzyko nie byłoby wielkie. Ale teraz, z rannym... Przypomniawszy sobie bladyszarą twarz Levana, Mordan zaklął przez zęby. Młody wojownik nie wyglądał tak źle nawet tamtej nocy, na krzyżu torturu u Nivardów. Mimowolnie jego dłoń zacisnęła się w pięść. To był błąd, że dał się przekonać Levanowi, by mógł zostać w wojsku! Mógł wynagrodzić go złotem za jego wierność i wysłać do domu!

Do cholery! Dlaczego musiałeś zażądać ode mnie rewanżu za wierność akurat w taki sposób! Zastużyłeś na coś lepszego!

Potarł czoło koniuszkami palców. Ubolewanie było tak samo bezsensowne, jak nadzieja. Tylko głupcy i marzyciele tracą na to swój czas. Potrząsając głową, odpędził te myśli i spojrział znów na mapy. Droga przez Góry Słone, pasmo mocno popękane, które na wschodzie łączyło się z pustynią, trwałaby ponad siedem dni, a z gorączkującym mężczyzną na noszach była właściwie nie do przejścia. Pozostała tylko droga u stóp

Gór Solnych, wzdłuż linii zewnętrznej Pustyni Słonej — nawet z noszami powinno się udać obejść pustynię w tym miejscu. Ale będą potrzebować przynajmniej ze cztery dni więcej. Przeciągnął dłonią po włosach. Jeśli nie stracą zbyt wiele czasu, uda im się dotrzeć po południu do Wież Księżycowych. Niezliczone legendy krążyły wokół tych strzelających stromo w niebo, połyskujących srebrem, skalnych urwisk, które wznosiły się po obu stronach Doliny Darachnaru. Jedna z nich stanowiła najwyższy punkt Białego Sierpa, druga była jej lustrzanym odbiciem w Górach Solnych. W zamierzchłych czasach były podobno miejscem pradawnej mocy, dziś należały do znaków granicznych Astracharu. Sama Dolina Darachnaru naznaczona była pustynią, która każdej zimy kradła kawałek żyznej ziemi, pokrywając ją warstwą soli. Musieli tu jeszcze raz napelnić swoje bukłaki przed wyruszeniem na Pustynię Słoną. Zmęczony potarł kark. Powoli zaczynał odczuwać, że przez ostatnie noce spał mało albo wcale. A kiedy pomyślał, co czekało ich na pustyni...

Aby droga nie była zbyt męcząca dla Levana i uzdrowicielki, musieli podróżować nocą. Jednak jedynie dopóki na niebie były księżycy dające dość światła, by można dostrzec zdradzieckie pęknięcia w solnej skorupie, które mogły stać się śmiertelną pułapką, dopóty można było wykorzystać zimną noc na pustyni i stosunkowo chłodne poranki. Będą odpoczywać dopiero wtedy, gdy słońce stanie w zenicie, zamieniając białą powierzchnię w okrutny blask i nieznośny żar.

W połowie drogi do prerii leży Cavallin, miasto w skale, tam będą mogli jeszcze raz uzupełnić zapasy. Może dobrze by było kupić tam jeszcze jedno zwierzę juczne, ponieważ woda i prowiant, które wezmą w tym mieście, muszą im wystarczyć na resztę drogi. Między Cavallinem a prerią nie ma nic oprócz soli. Odwrócił się, kiedy usłyszał zbliżające się do niego kroki. Zatrzymał się przed nim Corfar, z uzdrowicielką przy boku, którą trzymał mało delikatnie za ramię.

- Co jest? — zdecydowanym ruchem zwinął mapy i wsunął je do futerału.

- Ona mówi, że jest jeszcze inna możliwość, żeby pomóc Levanowi - głos wojownika był przepelniony chłodem, gdy popchnął młodą kobietę pół kroku w jego stronę, nie wypuszczając jej z ręki. Zgodnie z rozkazem Mordana, wydanym poprzedniego dnia, mówił po kiersku. Przez chwilę przyglądał się jej w milczeniu. Jej dłonie umazane były zaschniętą krwią, na jej czole widniało kilka ciemnych smug, a włosy zwisały jak strąki.

Potrzebna jej kąpiel! I grzębień! - pomyślał Mordan. Mimowolnie jego wzrok powędrował dalej. — *I nowa suknia!*

Podniósł się i gestem nakazał Corfarowi, by puścił kobietę, potem założył ramię na ramię i uniósł brew.

- A więc? Co to za możliwość, by pomóc Levanowi, uzdrowicielko?

- To trochę skomplikowane...

- W takim razie wyjaśnijcie mi!

- Jest taki rodzaj gąsienic, który mógłby pomóc wyleczyć rany Levana - musiała zauważyć wątpliwość w jego spojrzeniu, bo szybko mówiła dalej. - Jeśli trafi się na właściwy moment rozwoju tych gąsienic i włoży je w ranę, w której doszło do zapalenia, wtedy wydzielina pokrywająca nią, z której tkają swój kokon, łagodzi zapalenie i rana może się zagoić. Ale... - zamilkła niepewnie.

- Ale?

- W zasadzie jest już za późno na te gąsienice. Mielibyśmy ogromne szczęście, gdyby udało się nam znaleźć osobniki, które jeszcze nie zrobiły kokonów.

- Czy można znaleźć te zwierzęta w tej okolicy?

- Żyją zazwyczaj zagrzebane pod mchem, który lubi rosnąć w zacienionych miejscach, gdzie strumień splywa niewielką kaskadą.

Corfar chrząknął.

- Jakies pół godziny drogi na zachód stąd jest takie miejsce. Rośnie tam między innymi mech i takie różne.

- Dobrze! Będziecie mi towarzyszyć, uzdrowicielko. Bądź co bądź, najlepiej wicie, jak wyglądają te zwierzęta, a sędzę, że pod tym mchem mogą mieszkać również inne rodzaje gąsienic. Idziemy!

Kiedy wyciągnął do niej rękę, wyglądało na to, że przez ułamek uderzenia serca chciała go uniknąć. Jej oczy powędrowały, drżąc, w kierunku skórzanych rzemieni, które wsunął niedbale za pas, potem spojrzała na jego twarz. Zagryzła mocno zęby, wyraźnie starając się nie unikać jego wzroku, a potem jednak pozwoliła, by chwycił ją za nadgarstek. Bez słowa odwrócił się i pociągnął ją za sobą.

Z rękoma zanurzonymi w wodzie Lijanas kłęzczała na brzegu małej kaskady i rozkoszowała się chłodem wody na pokaleczonych od więzów nadgarstkach. Poszukiwanie gąsienic zakończyło się niepowodzeniem. Znaleźli kilka tych zwierząt, jednak już od kilku dni zawinięte były

w kokony. Mordan przyjął to do wiadomości z niewzruszoną miną i rozkazał jej, żeby zmyła sobie w potoku krew Levana z dłoni i twarzy. Zamknęła powieki, próbując zapomnieć choć na chwilę o obecności czarnowłosego wojownika, który stał jakiś krok za nią i ją obserwował. Nad nią, w wierzchołkach drzew, w mglistym świetle poranka, puszyły się w swych gniazdach ptaki, ćwierkając, witaly nowy dzień, zanim odleciały szukać śniadania z larw i chrząszczy. Przez całą drogę z obozowiska aż do tego miejsca nie odezwał się do niej ani słowem. Dopiero puścił jej nadgarstek, kiedy dotarli do tej małej kaskady. Teraz czekał milczący i ponury jak cień, żeby ją zaciągnąć z powrotem do obozu.

Usiadła na piętach, odgarnęła włosy z czoła i właśnie zamierzała rozplątać wilgotnymi palcami najbardziej potargane miejsca, kiedy ręka Mordana nieoczekiwanie zakryła jej usta. Ledwo słyszalne syknięcie nad jej uchem powstrzymało jej protest, kiedy podnosił ją powoli na nogi, przyciskając mocno do piersi.

- Tam! Spójrzcie!

W pierwszej chwili Lijanas nie wiedziała, o co mu chodzi. Ale potem... Kilka kroków od nich, ukryte niemal zupełnie pod sięgającymi daleko gałęziami stojącego na pół w wodzie drzewa i gęstwiną cierni, wybijało żwawo z pierścienia błyszczących kamieni źródło. Z gęstych krzaków na brzegu baseniku z kamieni wynurzyło się powoli stworzenie wielkości kota i skradło się czujnie do wody, niemal niewidoczne wśród zwisających nisko gałęzi, na swych małych, uzbrojonych w pazury łapach. Jego ciało było pokryte aż po czubek cienkiego, długiego prawie na krok ogona, lśniąca, zielono-niebieską, aksamitną sierścią, opinającą delikatne mięśnie. Uszy miały kolor zachodzącego słońca, poruszały się bez przerwy i były tak delikatne, że przypominały Lijanas, i to nie tylko swym kształtem, skrzydła motyla. Mały smoczy pysk zatrzymał się w powietrzu, węsząc i młoda kobieta wstrzymała mimowolnie oddech.

— Wiatr wieje w przeciwną stronę — szeptał Mordana był dziwnie ochryply. — Nie zwietrzy nas.

Istota obróciła swą szczupłą głowę jeszcze kilka razy czujnie na boki, lśniąca grzywa opadła, przykrywając całą elegancką szyję aż po grzbiet i połyskiwała we wszystkich odcieniach żółci i pomarańczy, jakie można sobie tylko wyobrazić. Potem stworzenie pochylilo się, żeby się napić i rozpostarło cienkie jak pajęczyna skrzydła we wszystkich kolorach tęczy.

Lijanas poczuła ucisk w gardle. Nigdy nawet nie śniła, że na ziemi może żyć coś tak pięknego. Mordan przyklęknął obok niej, nie wydając przy tym żadnego dźwięku, mimo swojej kolczugi i broni, zanurzył złożoną w łódkę dłoń i znieruchomiał. Z krzaków wyszły jedna po drugiej dwie, trzy, cztery takie istoty, każda wielkości męskiej pięści. Wokół źródła dało się słyszeć ciche cykanie i ćwierkanie, kiedy młode zebrały się przy matce, żeby się napić. Jedno z nich, wyjątkowo śmiałe, wskoczyło na kamień, balansując przez chwilę odważnie z rozpostartymi tęczowymi skrzydełkami, zachwiało się, matka chwyciła je ostrożnie za kark i postawiła na bezpiecznym podłożu między swymi przednimi łapami. Małeńki języczek wystrzelił i liznął pokrytą delikatnym puszkim mordkę malego, która wyciągnęła się w stronę matki.

Mordan jakby ocknął się z transu. Wyjął rękę z wody i wypił z szacunkiem dwa łyki, a potem wystawił rękę nad potok, by reszta powoli skapnęła do wody. Lijanas obserwowała go zdumiona.

- Picie tej samej wody co *sinsbalei* przynosi szczęście - wyjaśnił wciąż jeszcze tym ochryplym tonem.

Lijanas nie mogła powstrzymać się od uśmiechu, zobaczywszy jego zdumioną minę, gdy schyliła się, by tak jak on napić się tej wody. Pod jej stopami rozległ się jedynie cichy chrzęst, gdy zmieniła pozycję, ale brzeg źródelka natychmiast opustoszał.

Mordan złapał ją obcesowo za ramię, odciągnął od brzegu i długim krokiem ruszył w kierunku obozowiska.

- Przykro mi, że je spłoszyłam.

- Możemy tylko mieć nadzieję, że nie zostawi gniazda. To oznaczałoby śmierć dla młodych, a i tak niewiele jest już zwierząt tego gatunku.

- Dlaczego? Jeśli są tak płochliwe...

- Dlaczego? — odwrócił się do niej niespodziewanie. — Bo są mężczyźni i kobiety, którzy są gotowi zapłacić majątek za ich futerko i skrzydła.

Oszołomiona Lijanas również przystanęła.

- Skąd to wiecie?

- Bo ktoś mi już kiedyś zaoferował takie futerko — powiedział i ruszył dalej, pociągając ją za sobą.

- I co zrobiliście?

- Ściągnąłem temu handlarzowi jego własną skórę.

Lijanas osłupiała. Tak, on był zdolny do takiego potwornego czynu.



Lijanas wychyliła się przez ramię Mordana tak bardzo, jak się dało i spojrzała z troską na bladą twarz Levana. Faktycznie wydał rozkaz, by wyruszyć, jak tylko dotarli do obozu i wstało słońce. Był głuchy na wszelkie tłumaczenia i błagania. Wojownik położył wciąż jeszcze nieprzytomnego młodego mężczyznę ostrożnie na noszach sporządzonych przez Corfara i Ecrena, nosze przymocowano między dwoma końmi i ruszyli. Oszczędzono jej więzów na rękach, na razie, jak podkreślił ciemny wojownik, żeby mogła się lepiej zająć Levanem. Jednak skórzany rzemień wisiał u jego pasa tak jak przedtem, luźno zwinięty. Zignorowała jego niechętnie pomrukiwanie i wychyliła się jeszcze trochę, żeby dotknąć czoła Levana. Przynajmniej trzymał Ired blisko noszy, tak że miała swego pacjenta cały czas na oku, i rozkazywał pozostałym postój, kiedy tylko tego zażądała. Tymczasem zbliżało się już znowu południe. Mięśnie Mordana napięły się imponująco, gdy podciągnął ją, by znowu usiadła prosto.

— Nic mu się nie polepszyło — wyjaśniła, spoglądając przez ramię. — Ale nie mam pojęcia, dlaczego. Oczyszczałam rany, była już tylko jasna, zdrowa krew... Jego stan powinien się poprawić! Powinien przynajmniej odzyskać przytomność — pokręciła głową.

Odpowiedzią Mordana było jedynie milczące skinienie głowy, gdy zerkał na Levana. Lijanas wydawało się, że poczuła, jak jego pierś uniosła się od bezgłośnego westchnienia. Jeśli chodziło o tego młodego wojownika, Mordan zachowywał się osobliwie, niemal... troskliwie. Tak, jakby z jakiegoś powodu miał dług wobec niego. Szalona myśl, jednak nie dało się ukryć, że za każdym razem, gdy odkręcała się do chorego, na jego twarzy widać było troskę.

Uzdrowicielka wzdrygnęła się, usłyszawszy cichy odgłos. Pochyliła się tak szybko, że zaskoczonemu Mordanowi wyrwało się przekleństwo. Na jej zdumione: - Levan się obudził! - zamiast zganić ją, co miał już na końcu języka, zarządził postój. Pospiesznie ześliznęła się z końskiego grzbietu i podbiegła do noszy, gdzie Levan próbował właśnie unieść się na łokciach.

- Leżcie! - bez trudu położyła go z powrotem na konstrukcji z koców i skór.

Próbował się słabo przeciwstawić, zamilkł jednak, gdy Mordan stanął obok Lijanas i łagodnie powiedział:

- To rozkaz!

- Panie! — to słowo było jedynie tchnieniem.

- Jestem tu! - pomógł młodemu wojownikowi unieść głowę i przyłożył mu do ust buklak z wodą.

- Co się stało? - już po kilku łykach opadł z powrotem na swoje posłanie.

- Te rany po pazurach pożeracza dusz, doszło do zapalenia. Dlaczego nie powiedziałaś o nich od razu wczoraj? — łagodność zniknęła z tonu ciemnego wojownika.

- To było tylko zadrapanie! - Jeszcze nigdy Lijanas nie słyszała tyle niedoli w głosie chorego.

- Zadrapanie! - Mordan parsknął. — Zadrapanie, które teraz niepotrzebnie kosztuje nas stratę czasu! Młody głupcze!

- Przykro mi, że was zatrzymuję, panie! Ja... — Levan, wycieńczony, zamknął oczy i wciągnął kilka razy powietrze, zanim zaczął mówić dalej.

Zostawcie mnie! Ja...

- Zostawić cię! Czy gorączka odebrała ci rozum? - starszy mężczyzna pochylił się groźnie nad rannym. — Jeszcze nigdy nie zostawiłem żadnego ze swych ludzi i nie mam zamiaru dla ciebie zmieniać tego zwyczaju! Za twoją głupotę należałyby ci się baty! Ale zostawić cię... Nie! Nie ma mowy! Zrozumiano?

- Tak, panie! — odpowiedź była jedynie szeptem. — Ale jak... do Święta Kłosów został już tylko miesiąc... - głos mu się załamał.

- Zostaw ten problem mnie!

Levan przytaknął bez sił. Mordan odgarnął mu ostrożnie z bladego czoła kilka sklejonych potem kosmyków i ścisnął krótko jego ramię.

— Za trzy godziny dotrzemy do Doliny Darachnaru. Tam będziesz mógł odpocząć.

Chory już nie zareagował. Dłoń Mordana zacisnęła się w pięść.

— Wytrzymaj, mały! - kiedy podniósł wzrok, napotkał na spojrzenie Lijanas. — Co z nim? — chłód znów pojawił się w jego głosie.

Ostrożnie przykryła z powrotem kocem ramiona Levana.

— Przynajmniej nie jest gorzej. To, że odzyskał przytomność, to dobry znak. Ale koniecznie musi mieć spokój! Rany nadal ropieją i ten zapach padliny jest coraz silniejszy. Jeszcze nigdy nie widziałam takich ran. Sprawia to wrażenie, jakby... — bezradnie pokręciła głową.

— Trzeba było je wypalić, jak wam mówiłem.

Zacisnęła mocno usta.

— To barbarzyńskie i niepotrzebne, ale to już wam mówiłam!

— Jeśli rany nie będą wyglądać lepiej, kiedy dotrzemy do Doliny Darachnaru, sam mu je wypalę, jeśli nadal będziecie się wzbraniać.

Wysuwając do przodu podbródek, zrobiła krok w jego stronę.

— Kto tu jest uzdrowicielem, wy czy ja? — zapytała, a jej wzrok mimowolnie powędrował do rzemieni u jego pasa.

Chyba muszę być szalona, żeby tak z nim rozmawiać!

Kiedy znowu podniosła oczy, przyglądał się jej zaskakująco spokojnie, potem przechylił lekko głowę.

— Wy jesteście uzdrowicielką! Ale zrobię wszystko, co trzeba, jeśli będę uważał, że tak trzeba. A teraz wsiadajcie, żebyśmy mogli jechać dalej.

Z radosnym: — Witamy w domu, mój książę! — i głębokim ukłonem służący wziął przyozdobiony piórami helm i podszyty drogim jedwabiem płaszcz z rąk rosłego, młodego wojownika.

— Dziękuję ci — lśniąca, czarna czupryna skloniła się laskawie, potem książę Ahmeer wkroczył przez zdobione złotem drzwi, które otworzyli mu kolejni dwaj służący, i wszedł do spowitej słońcem komnaty swego wuja. Drzwi jeszcze się za nim nie zamknęły, kiedy zatrzymał się i uklonił z szacunkiem, dotykając jednocześnie dłonią najpierw piersi, potem czoła, w prastarym geście szacunku. Lecz ledwo zdążył się wyprostować, wuj objął go ramieniem.

- Witaj, synu mej siostry. Dobrze, że wreszcie jesteś. Mam nadzieję, że twoja podróż nie była zbyt uciążliwa.

- Dziękuję za powitanie, wuju. I przynoszę dobre wiadomości. Położyliśmy kres napadom Edari na południowym wybrzeżu i udało nam się zdobyć dwa ich statki niemal bez uszkodzeń. Kiedy wyruszałem, Eliazar kazala właśnie ukrzyżować cztery tuziny schwytych piratów jako postrach dla ich towarzyszy. Przybędzie, gdy ostatni z tych psów będzie miał już belkę pod ramionami - skinąwszy z wdzięcznością, przyjął puchar z winem, który zaproponował mu służący, podążył za gestem swego wuja i usiadł na kilku poduszkach.

- Ale nie wezwaleś mnie zapewne tylko po to, by wysłuchać mego sprawozdania. Co się stało, że posyłasz mi człowieka z twej osobistej straży, aby odwołać mnie z południowego wybrzeża? - spojrzał pytająco na wuja, a ten tymczasem usiadł naprzeciwko niego. — Czy Kierowie nadal napadają na miasta na północy?

Książę Nivardów milczał, gdy służący dolewał mu wina, potem rozkazał mężczyźnie machnięciem ręki, by ich zostawił samych.

Rusan przemówił dopiero, gdy był ze swym siostrzeńcem sam na sam.

- Nie, napady Kierów nie są powodem, dla którego kazalem cię wezwać do Anschary. Chodzi o Lijanas!

- Lijanas? - Ahmeer opuścił puchar i wyprostował się zaniepokojony. Co z nią?

- Została uprowadzona!

- Uprowadzona? Co?... Kiedy?

- Przed trzema nocami! Ostatnią osobą, która ją widziała, jest uzdrowiciel z Północnego Miasta. Opowiadał, że została wezwana do chorego w „Czarnym Jagnięciu”...

- Czy przesłuchano tego chorego? — Ahmeer odstawił wino i wstał. Niespokojnie dotknął obydwoma rękami włosów, spojrzał na swego wuja. lin pokręcił głową.

Opuścił „Czarne Jagnię” tej samej nocy, kiedy zniknęła dziewczyna. Moje straże szukały jego i jego towarzyszy.

Szukały? Czy to znaczy, że go znaleziono?

Tak!

Co powiedział? Czy Lijanas była z nim?

Rusan również podniósł się z poduszek i podszedł do okna. Słońce Zmieniło morze w złotą równinę. Ahmeer stanął obok niego.

- Wuju, proszę!

- Oddział żołnierzy natrafił na tych ludzi na północ stąd, w pobliżu Messaladjar. Z dziesięciu moich ludzi wrócił tylko jeden, a i on przeżył jedynie dzięki szczęśliwemu przypadkowi. — Podniósł rękę, powstrzymując pytanie siostrzeńca. — Widział Lijanas. Zgodnie z tym, co mówił, nie była ranna, choć brudna i wyczerpana. Ale rozpoznał mężczyzn, którzy byli z nią. To Kierowie! Ahmeerze, Lijanas znajduje się w rękach „Krwawego Wilka”!

- Co? — młody wojownik cofnął się, jakby go uderzono. — Ale... dlaczego?

- To pytanie, na które nie znam odpowiedzi. Dlaczego Haffren posyła swego pierwszego dowódcę, żeby uprowadzić jakąś uzdrowicielkę? — Rusan wzruszył krótko ramionami. — I dlaczego nie wiezie jej do Turasu prostą drogą? Najwyraźniej chce się z nią dostać na północny zachód, przecinając Astrachar. Dlaczego wybiera tę okrężną drogę, narażając się na to, że zostanie schwytany na obcej ziemi?

W geście rozpaczy Ahmeer przycisnął dłoń do czoła.

- Nie wiem, wuju. Dla mnie to też nie ma sensu! Ale proszę, byś pozwolił mi ruszyć za nimi z grupą żołnierzy.

- Nie! Zabraniam!

- Wuju...

- Nie wiesz, z kim masz do czynienia. „Krwawy Wilk” ma przy sobie grupę wybranych ludzi. Każdy z tych pięciu Kierów wart jest drugiego.

- Słyszałem o nich, ale nawet te bestie można zabić. Pozwól mi jechać, wuju! Proszę! - Ahmeer spojrzal wymownie na zwisające bezsilnie ramie wuja. — Pozwól mi sprowadzić tu z powrotem Lijanas, a ja przyprowadzę ci w zamian „Krwawego Wilka”.

- Ahmeerze...

- Wuju, proszę! Wyruszę tak czy owak! Ale nie chciałbym tego robić wbrew twej woli.

Rusan przyglądał się przez chwilę w milczeniu młodemu wojownikowi, potem powoli skinął głową.

- Ponieważ nie mogę odwieść cię od tej decyzji... będzie ci towarzyszyć dwudziestu ludzi z mej osobistej straży - nagle na ustach księcia Nivardów pojawił się lodowaty uśmiech. — Sprowadź swoją narzeczoną, chłopcze, i przyprowadź mi „Krwawego Wilka”! Żywego! Musi otrzymać sprawiedliwą karę za wszystko, co zrobił naszemu ludowi!

- Dziękuję, wuju! - Ahmeer sklonił się lekko, potem szybko opuścił salę.

Przez chwilę Rusan patrzył za nim, zaciskając palce na pucharze z winem tak mocno, że jego zdobienia odcisnęły mu się na dłoni. Słusznie postąpił, pozwalając Ahmeerowi szukać dziewczyny! Była jego narzeczoną! Nie mógł mu tego zabronić! Rusan potrząsnął głową i spojrzal w sufit. Pozwolił mu iść, ale nie oznaczało to, że zrobił to chętnie. Ahmeer był jego jedynym krewnym płci męskiej, jego dziedzicem.

Na męki nieskończonego labiryntu, jaki cel miał Haffren, zlecając uprowadzenie Lijanas, i to akurat swemu pierwszemu dowódcy, człowiekowi, który od Sajidarrah uważany był za kompletnie pozbawionego skrupułów? A może dziewczyna była tylko przynętą w jakiejś dobrze przemyślanej pułapce? Rusan tak gwałtownie odstawił puchar, że wino rozlało się, tworząc czerwoną kałużę na posadzce z białego, poprzecinanego złotymi żyłkami marmuru, i zaczął chodzić niespokojnie w tę i z powrotem. Ale na kogo była ta pułapka? Na niego samego? Na Ahmeera? Ostro wciągnął powietrze. Czy naprawdę była mu potrzebna obecność siostrzeńca, żeby otworzyły mu się oczy? Ależ głupiec z niego! Na jego zawołanie pojawił się służący i uklonił się.

- Przysłijcie do mnie dowódczynię Eliazanar, gdy tylko przybędzie! Poza tym książe Ahmeer nie może opuścić palacu, zanim jeszcze raz z nim nie porozmawiam!

Mężczyzna znowu się sklonił i pospiesznie opuścił króla.

Z dłonią zaciśniętą w pięść, Rusan podszedł z powrotem do okna i spojrzal na błyszczącą tafłę morza. Czy to był plan Kierów? Czy miało się powtórzyć to, co stało się prawie dwadzieścia pięć zim temu? Czy miało się powtórzyć to, co Kierowie zrobili jego bratu Kedarowi?!

Ściany skalne wznosiły się stromo w niebo wokół wąskiej kotliny, gdzie wojownicy rozbili swój obóz. Dotarli do Doliny Darachnaru po trzech godzinach, tak jak przewidział Mordan. Popękane, ciągnące się pionowo skały, które zdawały się sięgać aż do nieba, ograniczały z obu stron kotlinę lśniącą od soczystej zieleni i kolorowych plam niezliczonych polaci kwiatów, krzewów i małych grup drzew. Na jej końcu czekał jednak między ścianami skalnymi jaskrawy, migoczący blask. Utwardzony szlak

handlowy wiodący środkiem doliny zdawał się stale walczyć z trawą i zaroślami, które ciągle próbowały odzyskać wykradzioną im ziemię, co nie udawało się im widocznie dlatego, że drogą często poruszały się wozy.

Z pewnością ogara Brachan wyszukał tę małą położoną na uboczu kotlinę, niewidoczną ze szlaku handlowego. Nosze Levana umieszczono w cieniu zwisu skalnego. Potem Kierowie rozsiedlali konie i zaprowadzili je do wodopoju - nad strumień, który wypływał spomiędzy rozszczępionych skal i po kilku krokach zasilał małą sadzawkę, której płytką misę otaczała trzcina. Soczysta trawa porastała ziemię ponad kostki - przytkana wciąż żółcią i pomarańczą dzikich kwiatów, które rosły wszędzie małymi kępkami i błyszcząły w promieniach słońca wpadających między szczytami gór do kotliny.

Lijanas wyżeła starannie wilgotną chustkę nad płaską wypełnioną wodą miską i położyła ją Levanowi delikatnie na rozpalone czoło. Miała nadzieję, że mu się poprawi, ponieważ w czasie drogi tutaj kilka razy otworzył na krótko oczy, lecz tymczasem... jego gorączka nie chciała spaść, a rany coraz silniej czuć było padliną — coś, czego nie doświadczyła nawet przy silniejszych zapaleniach. Z godziny na godzinę wyglądały coraz bardziej, jakby..., jakby były częścią rozkładającego się ciała. Przemysła rany jeszcze raz gorącą wodą i posmarowała oczyszczającą pastą z ziół, zanim Mordan wcielił w życie swój plan i je wypalił.

Ostrożnie podniosła kubek wywaru z korzenia lodowego do ust chorego, z trudem próbując wlać mu kilka łyków. Większość lekarstwa na gorączkę spłynęła mu po brodzie, zwilżając pierś i wsiąkając w koce, i tak już przesiąknięte jego potem. Z rozpaczą Lijanas usiadła na piętach, przyglądając się bladej twarzy Levana.

Dlaczego to zapalenie nie przechodzi? Dlaczego ten zapach padliny nie zanika, lecz staje się coraz silniejszy? Skąd to się bierze? To nie mogą być rany! Są oczyszczone! Łaskawa Bogini! Powinno mu się poprawić! A jeśli to wcale nie te rany? Ale w takim razie co? Ale co wtedy? Jeśli nawet ziola nie... Wtedy pozostanie tylko nypalenie. Psiakrew! Nienawidzę, gdy muszę siedzieć bezradnie, nie wiedząc, jak można pomóc Levanowi. Dlaczego to akurat on jest pierwszą osobą, przy której nie wiem, co robić?!

Potarła ponuro kostkę pod jednym z wąskich, żelaznych pierścieni, które krępowały jej nogi. Mordan nie związał jej rąk, za to założył ten łańcuch, który pozwalał na robienie małych kroków, ale uniemożliwiał szybką ucieczkę. Kiedy przypominała sobie, jak wyciągnął kajdany na

nogi ze swej torby przy siodle i podszedł z tym do niej, wciąż jeszcze ścisł ją w gardle.

Spojrzała w stronę ciemnego wojownika, który próbował właśnie zaprowadzić swą klacz do płytkiej sadzawki. Tymczasem Ired bała się, brykała i zapierała się tylnymi nogami, jakby chciał ją zaciągnąć do ognia, **A** nie do chłodnej, czystej wody. Dlaczego użerał się z tym koniem, jeśli len, jak widać, tak bardzo go nienawidził? A może wojownicy Kier nie mają możliwości, przede wszystkim jeśli chodzi o rumaki bojowe, wymienić swego konia na jakiegoś innego albo po prostu go sprzedać?

Wreszcie udało mu się zmusić klacz, żeby weszła do wody i właśnie zaczął rozprawiać na jej matowej sierści jakiś płyn z glinianej butelki. Lijanas zmarszczyła czoło, gdy ujrzała, że Brachan i Corfar również poprowadzili swe konie do sadzawki i zaczęli robić to samo. Z jakiego powodu wojownicy akurat teraz wzięli się za kąpanie koni? Ired capnęła zębami swego pana i dostała za to w nozdrza. I dlaczego wciąż odpoczywali, skoro południe minęło kilka godzin temu, podczas gdy przez ostatnie dni jechali, dopóki nie zapadła noc. Lijanas odjęła chustkę od czoła Levana, zamoczyła w misce i znowu wycisnęła, przemyśla mu delikatnie twarz i położyła ją z powrorem na czole.

- Ruszmy dalej, gdy zajdzie słońce! Odpocznijcie! - to były słowa Mordana. To nie miało sensu!

Rząc i parszcząc, Ired minęła pas trzciny, jej lejce ciągnęły się swobodnie po trawie. Najwyraźniej była zdania, że jest dość mokra, na pewno tak było w przypadku Mordana. Lijanas uśmiechnęła się mimo wszystko, gdy wyłonił się z klaczą z sitowia. Mokre ubranie kleiło się do jego umięśnionego ciała i najwyraźniej nie był w dobrym humorze. Jego własny koń zrobił z niego pośmiewisko i to na dodatek na jej oczach. To było na pewno więcej, niż mogła znieść jego duma. Nic sobie z tego nie robiąc, Ired otrząsnęła się krótko, tak że diamentowe kropelki wody rozprysły się na wszystkie strony, potem przeszła majestatycznie między drzewami, po trawie, i zaczęła się paść, pilnując cały czas, by jej pan nie podszedł do niej zbyt blisko. W końcu wyszła z cienia, który rzucił dach z liści, stając dokładnie w smudze słońca, prześwitującego między skalami; jej sierść płonęła jak ogień.

Lijanas podniosła się bezwiednie, nie mogąc oderwać oczu od klaczy. *Ashentai*, konie wężowe — teraz wiedziała, dlaczego tak nazywano te zwierzęta. W jej sierści błyszczały drobniutkie luski, które w promieniach słońca

lśniły jak skóra węża. U Ired były krwistoczerwone, tak ciemne, że wyglądały prawie jak czarne, tylko brzegi lusek były jaśniejsze, płonęły we wszystkich możliwych odcieniach złota i miedzi. Potem klacz wyszła ze smugi światła słonecznego i jej sierść znowu zrobiła się lśniąco czarna. Nagle Lijanas zrozumiała: ta dziwna maź, którą pobrudziła dłonie, kiedy glaskala szyję Ired! Kierowie natarli tym swoje konie, żeby ukryć odmienność tych zwierząt. Ale dlaczego akurat teraz rezygnowali z tego kamuflażu? Skrupowana trochę łańcuchami, podeszła do klaczy, szurając nogami, trochę nieporadnie, ponieważ łańcuchy utrudniały jej ruchy. Koń podniósł łeb, spojrzal na nią, nastawiając uważnie uszu. Lecz gdy wyciągnęła rękę do klaczy, nagle stanął między nimi Mordan i chwycił postronek. Ired natychmiast wyszczerzyła zęby. Czarnowłosy wojownik zrobił unik, skrócił linę i podniósł pięść, grożąc. Klacz cofnęła się, parskając.

- Chcę się na niej przejechać! - Lijanas uświadomiła sobie, co właśnie powiedziała dopiero, gdy Mordan spojrzal na nią zdumiony. Wysunęła podbródek do przodu. - Czy zapomnieliście o naszym zakładzie, Kierze? Chcę spróbować dosiąść Ired! Teraz!

- Co z Levanem?

Lijanas rzuciła okiem w kierunku chorego, a potem pokręciła głową.

- Wciąż jest nieprzytomny. W tej chwili nie mogę nic więcej dla niego zrobić.

Chłodno zmierzył ją wzrokiem. Potem powiedział:

- Ona jest mokra!

- Wszystko mi jedno! A może boicie się, że dam radę?

Przymrużył oko.

- Wytrę ją do sucha i osiodlam dla was. A teraz idźcie do Levana! - Pociągnął za postronek i poszedł, zostawiając Lijanas samą.

Popatrzyła za nim.

Chyba musiałam zwarionąć — z westchnieniem poczłapała do Levana, zwilżyła znowu chustkę i położyła mu na czole. Potem oplotła rękoma nogi, które przyciągnęła do siebie, oparła brodę na kolanach i obserwowała w milczeniu, jak Brachan i Corfar wyprowadzali swoje konie z sadzawki. Wałach Brachana miał sierść lśniącą w słońcu jak złoto, natomiast zwierzę Corfara było koloru ciemnej świeżo zaoranej ziemi. Potem Ecren zaprowadził swojego rumaka do wody, a za nim poszedł Corfar z klaczą Levana. Kiedy Mordan z Ired zasłonili jej widok, podniosła głowę z kolan.

- Nadal chcecie jej dosiąść?

Lijanas podniosła się bez słowa.

- Jak chcecie! - przyklęknął, otworzył kajdany i podał jej cugle. — Jeśli strzemonia są dla was za długie, wsuńcie stopę w pętlę rzemienia, a może od razu wam je skrócić?

Nie udawaj takiego troskliwego. Przecież ucieszyłbys się, gdybym spadła. Co właściwie będzie z tobą, jak sobie złamię kark? Będziesz miał problemy?
Uśmiechnęła się do niego słodko.

- Dziękuję, ale poradzę sobie bez waszej pomocy.

- Jak chcecie, uzdrowicielko! Jest wasza! — uklonił się z kpina, potem zostawił ją samą z Ired.

Przez moment Lijanas przyglądała się klaczy, przygryzając dolną wargę, zanim odważyła się wyciągnąć rękę w stronę jej szyi i ją pogłaskać. Sierść była gładka i miękka, prawie jak misternie tkany jedwab z Fehanu. Ired, parskając, potrząsnęła swą długą, lśniąca czarną grzywą i uderzyła nozdrzami o jej ramiona. Żółte węzowe oczy zdawały się mrugać do niej. Lijanas musnęła jeszcze raz jedwabistą szyję i poprowadziła klacz na środek łąki. Potem zaczerpnęła powietrza i chwyciła zdecydowanie lęk siodła, żeby wsiąść. Przynajmniej próbowała to zrobić.

Marszcząc brwi, Brachan stanął obok Mordana, który oparł się o drzewo obok wejścia do kotliny i obserwował przez kilka chwil, jak uzdrowicielka próbuje dostać się na grzbiet Ired.

- Możesz mi wyjaśnić, co to ma znaczyć?

Czarnowłosa wojownik oparł jedną stopę o pień drzewa i dalej przyglądał się kobiecie i swojemu koniowi.

- Koniecznie chciała się przejechać. Jest wyjątkowo spokojna, nie sądzisz?

- Kto? Uzdrowicielka?

- Nie, Ired. Mnie wtedy już prawie wbiła zęby w ramię.

Brachan chrząknął. To „wtedy” miało miejsce trzy zimy temu. Ired była prezentem króla Haffrena, który przysłał ją Mordanowi, do jego obozu wojennego, w dowód uznania po zwycięstwie nad piratami Edari na bagnach, wokół ujścia Cornu. Lecz gdy tego dnia po raz pierwszy spróbował jej dosiąść, zwierzę zachowywało się, jakby miało wściekłość, nawet rzucało się do tyłu, próbując zabić swego pana. Mordan wyszedł z tej próby ze złamaną ręką, zwichniętym barkiem oraz niezliczonymi stłuczeniami i szramami. Ostatecznie udało mu się ujeździć klacz — przy

pomocy ostróg, pejcza i wędzidla. Od tego czasu nie minął ani jeden dzień, by Ired nie próbowała uprzykrzyć mu życia na wszelkie możliwe sposoby.

— Od kiedy interesuje cię, na co ma ochotę uzdrowicielka? Tu chodzi o coś innego.

Czarnowłosa wojownik zawahał się chwilę, a potem rzekł:

— Założyliśmy się, uzdrowicielka i ja.

— Założyliście? O co?

— Utrzymywała, że potrafi robić wszystko, co robi mężczyzna, także dosięść Ired. — Mordan założył ręce na piersi, obserwując z wyraźnym zadowoleniem, jak młoda kobieta próbuje dostać stopą strzemiona i podskakuje przy tym niezdarnie obok Ired, ponieważ ta ciągle ucieka jej w bok.

Brachan pokręcił głową z dezaprobatą.

— Masz świadomość, że Haffren każe cię obedrzeć ze skóry, jeśli ten potwór *ashentai* zrzuci uzdrowicielkę, a ona złamie sobie przy tym kark?

Mordan parsknął rozbawiony.

— Zrzuci? Na wszystkie duchy zemsty, Brachanie, popatrz tylko. Ona nie dosięga nawet do strzemion, nie mówiąc o grzbiecie Ired. Przegra ten zakład! - powiedział pewnie i tylko przez chwilę spojrzal na siwowłosego wojownika. — Ach tak, o mało bym nie zapomniał. Ona chce, żebyś ty zdecydował, ile ma czasu, żeby wdrapać się na Ired, jak długo może tak podskakiwać, zanim zostanie to zaliczone jako próba.

— Ile ma podejść?

— Cztery!

— A co jest stawką w tym zakładzie?

— Jeśli przegra, przez jeden dzień będzie wykonywać wszystkie moje rozkazy - bez szemrania! - Mordan oparł się ramieniem wygodniej o pień drzewa. Na brzegu sadzawki stali Corfar i Ecren, przyglądając się w zdumieniu temu widowisku.

— A co ty masz zrobić, jeśli przegrasz?

Odpowiedziało mu milczenie. Brachan zmarszczył czoło.

— Mordanie?

— Nie przegram!

— Co jest stawką? — domagał się odpowiedzi.

— Muszę jej usługiwać, przez jeden dzień! — już sama intonacja wystarczyła, by powiedzieć mu, co Mordan sądzi na ten temat.

Siwowłosy wojownik powstrzymał się od pytania, co skłoniło młodego mężczyznę, żeby zaproponować taką stawkę.

- Próba numer jeden! — powiedział Mordan. Siwowłosy spojrzal w kierunku uzdrowicielki, która się zatrzymała i właśnie obróciła w jego stronę. Najwyraźniej chciała poprowadzić Ired do skały, która wystawała z trawy. Na jej twarzy widać było rozczarowanie. Brachan pokręcił głową, ignorując wściekle spojrzenie.

- Kontynuujcie! - powiedział i został nagrodzony promiennym uśmiechem.

- Jesteś stronniczy, staruszk!

- Jeśli muszę rozsądzić między tobą a piękną kobietą, zawsze będę stronniczy, chłopcze!

Mordan mruknął tylko w odpowiedzi na jego uśmiech.

Uzdrowicielka wdrapała się właśnie na skałę i przyciągnęła Ired. Musiała się wychylić niebezpiecznie daleko, żeby chwycić lęk siodła. Właśnie chciała włożyć stopę w strzemię, kiedy klacz odsunęła się. Przez chwilę Lijanas wisiała między siodłem a skałą, a potem Ired zrobiła jeszcze jeden krok i młoda kobieta wylądowała jak długa w trawie. Obok słyszała Mordana śmiejącego się dyskretnie, gdy obserwował, jak uzdrowicielka usiadła prosto, wytarła dłonie o suknię, a potem wstała. Najwyraźniej nie zraniła się, ponieważ od razu podeszła z powrotem do Ired, wyciągając rękę i wyraźnie próbując przypochlebić się klaczy słowami.

- To była wasza pierwsza próba, uzdrowicielko! — na dźwięk jego głosu obejrzała się przez ramię i skinęła głową na znak, że zrozumiała. Potem znowu chwyciła cugle klaczy w dłoń i poprowadziła ją do skalki. Tym razem najpierw ustawiła rumaka tuż przy kamieniu, zanim sama wsiadła. Zrobiła odwrotnie niż przy pierwszym podejściu, zamiast wsunąć stopy w strzemiona, a potem usiąść, od razu przerzuciła nogę przez siodło i dopiero wtedy wsunęła stopy w rzemienie strzemienne. Przez krótką chwilę Ired stała jak posąg, tak, jakby była zaskoczona takim zuchwalstwem. Lecz wtedy młoda kobieta ścisnęła piętami jej boki. Klacz wetknęła ze rzeniem głowę między swe przednie kończyny i kopnęła do tyłu. Uzdrowicielkę zarzuciło dość niedelikatnie do przodu, wyraźnie przestraszona uchwyciła się lęku siodła i grzywy, próbując znaleźć nogami oparcie, kiedy koń bojowy wierzgnął dwukrotnie, zakręcił się wokół własnej osi, jeszcze raz kopnął, tylko po to, by w końcu stanąć na tylnych nogach, rzucając się jednocześnie w bok. Z głuchym dźwiękiem młoda kobieta wylądowała na

ziemi i przez chwilę leżała nieruchomo. Zaniepokojony Mordan oderwał się od drzewa, zatrzymał jednak w pół kroku, ujrzawszy, jak uzdrowicielka poruszyła się z trudem, a potem powoli usiadła. W końcu, lekko się chwiejąc, stanęła na nogi i pokuśtykała po kolejnej krótkiej chwili wahanias do klaczy, która parskala do niej, jakby nic się nie stało. Poklepała rumaka po jedwabistej szyi, pogłaskała jego barki i zad, aż po boki, gdzie jej dłonie zatrzymały się, a ona sama pochyliła. Po chwili wyprostowała się, kręcąc głową i odwróciła do Mordana.

— Ona ma całe pokaleczone boki! - krzyknęła do niego.

— I co? - odkrzyknął.

Wyglądało na to, że uzdrowicielka mruczy coś pod nosem, potem rzuciła czarnowłosemu wojownikowi gniewne spojrzenie, zanim się odwróciła do niego placami i utykając, pomaszzerowała ku skalom, gdzie leżał Levan.

— Myślałem, że chcecie mi udowodnić, że potraficie robić wszystko tak jak mężczyzna. Czy to już wszystko? - kpil Mordan z drwiącym śmiechem. Młoda kobieta odwróciła się.

— Nie! To jeszcze nie wszystko, ale zanim wsiądę znowu na grzbiet Ired, opatrzę jej boki. Wy i te wasze przekłete ostrogi! Biedne zwierzę!

— Dopóki to „biedne zwierzę" zachowuje się jak wściekłe, będę stosować ostrogi, żeby było mi posłuszne! To proste! I zależy wyłącznie od niej!

Odpowiedź, która dobiegła do jego uszu, brzmiała jak „oprawca bez serca!

Chwilę później kuśtykała z powrotem do klaczy z małym tygłem w rękę, dała jej powąchać, pogłaskała szyję, podrapała za uszami i pod lbem, zanim zbliżyła się do poranionych boków. Parskając, Ired zrobiła unik w bok, raz, drugi, nim wreszcie stanęła spokojnie z głową zwróconą do tyłu, by móc patrzeć, co ta młoda kobieta tam robi. A po krótkiej chwili rozluźniła się na tyle, że postawiła tylną nogę, jakby na palcach, kiedy Lijanas ostrożnie wcierała maść.

Kiedy skończyła, po raz kolejny podprowadziła rumaka do skały, postawiła na nim tygiel z maścią, potem sama wdrapała się na skałę i wskoczyła bez trudu na siodło. Ired odwróciła głowę, jakby chciała sprawdzić, kto siedzi na jej grzbiecie, potem pochyliła szyję i potrząsnęła grzywą. Zaciskając dłoń mocno na lęku, uzdrowicielka poprawiła się w siodle, poklepała ją raz jeszcze i delikatnie zasygnalizowała, że ma ruszyć, skon-

centrowana, by nie dotknąć jej boków. Ired ruszyła posłusznie. Brachan wciągnął ostro powietrze i spojrzał na Mordana. Ten oderwał się częściowo od pnia drzewa, zaciskając zęby i marszcząc groźnie górną wargę. Przymrużył oko, kiedy Ired przeszła ze stępa w lekkiego klusa, i w końcu, na znak młodej kobiety, w galop. Wszelkie samozadowolenie zniknęło z jego twarzy, teraz widniała na niej tylko nieskrywana wściekłość. Kiedy wreszcie całkiem oderwał się od drzewa, Brachan chciał go powstrzymać, ale jego ręka została odepchnięta z oburzonym warknięciem.

Zobaczywszy, że Mordan maszeruje w jej stronę, Lijanas zatrzymała klacz.

- Potrafię na niej jeździć! Popatrzcie! Przegraliście zakład, Kierze! - zaśmiała się.

- Zsiadać! - jego głos był jednym grzmotem.

- Kiedy macie zamiar wywiązać się ze swego zobowiązania i służyć mi przez cały dzień? - zapytała udając, że nie zauważyła jego złości i poklepała klacz po szyi.

- Na pewno nie wcześniej niż przejdziemy przez Pustynię Słoną. Zsiadajcie!

- Co? Nie możecie z Levanem... — Wyraziła swe oburzenie krzykiem, kiedy ściągnął ją z grzbietu Ired i wylądowała wyjątkowo nieelegancko w jego ramionach. Odepchnęła go z całej siły od siebie i cofnęła się. — Nie możecie przebyć z Levanem Pustyni Słonej! Jest zbyt słaby! Zabijecie go!

- Nie przejdziemy przez Pustynię Słoną, lecz obejdziemy ją u stóp Gór Słonych.

- Nawet tego nie przeżyje!

Z jego miny mogła wyraźnie wyczytać, że nic go nie odwiedzie od powziętej decyzji.

- Proszę! Dajcie mu jeszcze jeden dzień na odzyskanie sił. Tutaj...

- Nie!

- Ale nie możecie go...

- Powiedziałem „nie”, uzdrowicielko! Wyruszymy, jak tylko zajdzie słońce. A teraz idźcie i zajmijcie się waszym pacjentem!

- Nie mam zamiaru!

- Co takiego?

- Nie mam zamiaru!

- Róbcie, co wam mówię...

— Bo inaczej co? — oskarżająco wyciągnęła w jego stronę swe ręce. — Moje nadgarstki są jeszcze poranione od waszych pęt, uderzyliście mnie. Co jeszcze byłibyście w stanie mi zrobić?

— Jeszcze jedno słowo i posmakujecie pejcza!

— Brutalna świnia!

Zobaczyła, jak podniósł pięść, zamknęła mimowolnie oczy i skuliła się, czekając na cios, który nie nastąpił. Zamiast tego poczuła, jak ktoś chwycił ją brutalnie za ramię i pociągnął do przodu. Na jego twarzy widać było powstrzymywany z trudem gniew. Cisnął ją na ziemię w cieniu skały obok Levana i przykleknął, by założyć jej znowu kajdany.

— Nie!

Jej kopniak trafił go w bark, zachwiał się, potem jego dłoń chwyciła ją za gardło. Pełna przerażenia zacisnęła dłoń na jego ramieniu, próbując otworzyć jego palce, on zacisnął je mocniej, aż poddała się, nie mogąc oddychać.

— Dość mam waszego ciągłego sprzeciwu! — pochylił się groźnie i mówił tak, że było widać jego kły. — Od teraz jest tylko jedna reguła i jedna kara! Reguła: będziecie wykonywać każde moje polecenie, bez żadnego słowa! Jeśli złamiecie te regułę, za karę posmakujecie pejcza! Czy to jasne?

Ponieważ Lijanas nie odpowiedziała od razu, jego palce mocniej ścisnęły jej gardło.

— Czy to jasne, uzdrowicielko?

Oszołomiona była w stanie jedynie pokiwać głową.

— Bardzo dobrze! — powiedział i pchnął ją, tak że upadła plecami na trawę i zacisnął żelazne pierścienie na jej kostkach. — Zostaniecie tu, przy Levanie! Pilnujcie, żeby dużo pił, co także wy powinniście zrobić. Przyniosę wam jeszcze potem więcej wody. Jeśli będziecie czegoś potrzebować, wołajcie, ale nie wściecie się ruszyć choćby na krok! Zrozumiano? - Lijanas znowu mogła jedynie pokiwać. Mordan podniósł się i odszedł.

Kiedy słońce się obniżyło, nosze Levana zostały ponownie przymocowane między dwoma końmi. Mordan pomógł Lijanas wsiąść na grzbiet Ired i ruszyli. Można było niemal odnieść wrażenie, że rumaki *ashentai* cieszyły się z tego, że pozbyły się swego mazistego kamuflażu. Nawet spokojny wałach Brachana brykał swawolnie, potrząsając zlocistą grzywą i stawiał kopyta, jakby szedł w paradzie. Tylko Ired była wciąż uspokajana przy pomocy wędzidla, skróconych cugli i ostróg.

Na końcu Doliny Darachnaru oczekiwał ich cały czas ten biały blask Pustynia Słona. Im bardziej się do niej zbliżali, tym bardziej widoczny był jej wpływ na żyzną ziemię doliny. Zielen występowała zdecydowanie rzadziej, kolory kwiatów nie były tak wyraziste, ziemia była miejscami pokryta białym nalotem i umierała. Nieliczne drzewa, które stawały jeszcze czola soli, miały od strony pustyni skrzącą skorupę, płatki kwiatów i żdzbla nawy pokrywał solny szron. Kiedy minęli wreszcie Wieże Księżycowe, ziemia pod kopytami koni zamieniła się całkowicie w błyszczącą sól.

Choć słońce stało już nisko i powlekało wszystko miedzianym ogniem, żar w ciągu bardzo krótkiego czasu zaczął wyciskać pot ze wszystkich porów, a na sierści *ashentai* pokazała się piana. Mimo to Kierowie nie zdejmowali swych długich płaszczy podróżnych, wręcz przeciwnie, zaciągnęli kaptury jeszcze bardziej na twarz. Mordan zostawił swą pelerynę Lijajanas, a zamiast niej owinął sobie głowę chustą, której wolny koniec przymocował tak, że osłaniał mu usta i nos. Także koce Levana były zaciągnięte tak, aby osłonić jego twarz przed palącymi promieniami słońca.

Po prawej stronie Lijanas zobaczyła wznoszące się groźnie w niebo w odległości kilkuset metrów szare urwiste skały, poprzecinane iskrzącymi białą żyłkami — Góry Słone. Za nimi ledwo można było rozpoznać wejście do Doliny Darachnaru. Tam, gdzie się znajdowało, podobnie jak nad całą okolicą, powietrze drgało i migotało. Obok błyszczwały zbocza Białego Sierpa. Powietrze stało, mimo to Lijanas już po krótkim czasie poczuła sól na języku. Wiedziała, że nie ma sensu prosić Mordana o wodę. Kiedy ruszyli, wyjaśnił jej, że będą musieli ją racjonować. Każdemu wojownikowi przysługiwały dwa lyki wody, zaś ona i Levan mieli otrzymywać cztery. Gdyby młodemu mężczyźnie pogorszyło się i potrzebowałby wody, Mordan musiał się natychmiast o tym dowiedzieć.

Kiedy zrobili pierwszy postój, słońce chowało się właśnie za białym horyzontem, pogrążając sól w igrających kolorach ognia i złota. Pod czujnym okiem Mordana Lijanas wypila powoli swoją rację. Potem oddała mu bukłak, żeby sam mógł się napić. Jednak on najpierw poszedł do Levana i podał mu wodę, zanim sam wypił przysługujące mu dwa lyki. Potem napoił Ired, zamknął bukłak, uwiesił go u siodła i znowu siadł za plecami Lijanas.

Gdy słońce całkiem zniknęło, na ziemi zaczął stopniowo rozciągać się chłód. Początkowo Lijanas nie zwróciła na to uwagi, lecz potem zauważyła białe obłoki pary, wydobywające się z nozdrzy końskich, pokazywały się

one przy jej ustach przy każdym oddechu. Nagle zaczęło ją gryźć sumienie i obejrzała się krótko przez ramię. Twarz Mordana była skryta w głębokim cieniu chusty. Nie zwracał na nią uwagi. Dobrze! Lijanas owinęła się mocniej peleryną i wtuliła w ciepły materiał. Jeśli mu zimno, niech poprosi ją o płaszcz.

Od kiedy się ściemniło, jeden z wojowników szedł przodem, trzymając swego konia za uzdę, aby w porę ostrzec pozostałych przed pęknięciami w ziemi. W świetle obydwu księżyców, które właśnie wzeszły, Pustynia Słona zamieniła się w połyskującą perłście powierzchnię, która zdawała się ciągnąć przed nimi w nieskończoność. Gwiazdy lśniły jak miriady drobnych diamentów na granatowo-czarnym niebie. Tylko czasami ich blask przysłaniał welon jakiejś chmury, która przeciągała wysoko nad nimi. Było tak cicho, że słyszeli, jak sól szepcze w chłodzie. Ciszę przerywało jedynie stąpanie koni i od czasu do czasu ich parskanie.

Lijanas zauważyła, że drzemie oparta o Mordana dopiero, gdy na zawołanie zatrzymał Ired pociągnięciem cugli i zsiadł. Także Corfar i Brachan zeszli ze swych koni i podeszli do Ecrena, który szedł przodem. Przez chwilę zdawali się naradzać, potem Corfar wskoczył na swego konia i pojechał w bok, w kierunku Gór Słonych, tylko po to, by po chwili powrócić. Na pytające spojrzenia pozostałych wojowników pokręcił głową i zsunął się z konia. Ecren i Brachan zaczęli dyskutować głośno w języku Kierów, ledwie Corfar stanął obok nich, natomiast Mordan przysłuchiwał się w milczeniu. W końcu to ten ciemnowłosy wojownik ostrym słowem zarządził ciszę. Widać było, jak zadaje Corfarowi jeszcze kilka pytań, zanim krótko przytaknął i opanowanym głosem wydał instrukcje, do których pozostali zastosowali się bez szemrania i wsiedli z powrotem na swe konie. Niespokojna Lijanas odwróciła się do niego, kiedy usiadł za nią na grzbiecie Ired.

— Co się dzieje?

— Pęknięcie w solnej skorupie, tak duże, że nawet kierując się w stronę Gór Słonych nie mamy rady przejść na drugą stronę. Musimy wejść głębiej w pustynię. A ponieważ trudno przewidzieć, jak daleko odciągnie nas ta bruzda od gór, musimy znowu zmniejszyć racje wody. Od tej chwili wy i Levan dostaniecie tylko trzy lyki wody co trzy godziny.

— To niemożliwe! Levan potrzebuje swych czterech lyków co dwie godziny. Jak wszędzie słońce, może nawet więcej... Czy jednak nie da się jakoś przejść tej bruzdy?

Mordan spojrzal na nią zdumiony.

- Przejść? Jak... — potem z jego twarzy wyczytała, że coś sobie uświadomił. — Nie wiecie, że znajdujemy się na olbrzymim jeziorze solnym, prawda? Nie, niby skąd. Grunt pod naszymi nogami to skorupa solna, gruba na kilka kroków, lecz w niektórych miejscach zaledwie na palec. Pod spodem jest czysta solanka, mniej więcej tak gęsta jak muł. Jeśli tafla się pod kimś załamie, solanka go pochłonie. A nawet jeśli komuś uda się utrzymać na powierzchni, w krótkim czasie zabije go sól. Bez czyjej pomocy nie można się stamtąd wydostać. Dlatego trzeba tak bardzo uważać na pęknięcia i szczeliny w skorupie. One zdradzają, gdzie są te cienkie miejsca, te solne pułapki. Lecz im głębiej wejdzie się w pustynię, tym bardziej zdradziecki staje się ten grunt. Z tego powodu od teraz także za dnia jeden z nas będzie szedł przodem pieszo.

- A nie możemy jakoś w górach...?

- Nie! Corfar sprawdził. Możemy pójść jedynie wzdłuż tej szczeliny i przejść na drugą stronę, jak się skończy.

- A jeśli zawrócimy? — *I zawiążesz mnie do domu i zapomnimy o tym wszystkim?*

- Co byśmy w ten sposób zyskali?

Dał pozostałym znak i ruszyli, trzymając się w odległości około tuzina kroków z lewej strony szczeliny.

Co z Levanem...?

Zadbam o to, żeby otrzymał tyle wody, ile mu potrzeba — jego ramię przyciągnęło ją bliżej do piersi. — Spróbujcie jeszcze trochę odpocząć. Obudzę was, kiedy przyjdzie czas na waszą rację.

Faktycznie chwilę później zasnęła, opierając głowę na jego ramieniu.

Słońce ukazało się właśnie na horyzoncie w postaci płonącej tarczy i sół zapłonęła wszystkimi odcieniami czerwieni, ochry i złota, gdy Mordan ją obudził. Ciemne, purpurowe cienie płynęły przed nimi nad ziemią, tymczasem na jasnoniebieskim horyzoncie niebo zaczęło znowu migotać. Łagodny wiatr pędził delikatne zasłony z soli, podrywając je w górę tak, że zaczęły wirować w dzikim tańcu, zanim utonęły znowu w bieli pustyni.

Tak jak obiecał, budził ją w nocy kilkakrotnie, żeby się napiła. Choć nieźle się bawił, przytykając do ust na wpół śpiącej kobiecie bukłak z wodą, tym razem nalegał, żeby się rozbudziła i była przytomna, zanim dał jej do rąk skórzany bukłak. Kiedy piła, zsiadł z siodła, potem dał

wody Levanowi, zajął się Ired, przytroczył bukłak do siodła, chwycił cugle i ruszył. Przyszła jego kolej, by objąć prowadzenie, wypatrując szczelin.

Wraz ze słońcem pojawiły się upał i pragnienie i w ciągu krótkiego czasu jej usta zrobiły się suche i szorstkie. Podczas ostatniego postaju Lijanas usiadła na konia okrakiem, nie zważając już na to, że jej suknia podciągnęła się przy tym do kolan. Gole nogi ukryte były pod długim płaszczem, skóra siodła kleiła się do skóry, sól i pot boleśnie ją podrażniały. Zmęczona trzymała się lęku siodła obydwoma rękami, tymczasem słońce powoli zżerało jej siły. Rytmiczne ruchy uszu Ired działały na nią usypiająco. Przymykając oczy w jaskrawym świetle, zawiesiła wzrok na plecach Mordana, który od rana szedł obok swej klaczy, z cugłami luźno owiniętymi wokół dłoni, i oglądał się za siebie w równych odstępach czasu, jakby chciał się upewnić, że ona siedzi cały czas prosto na grzbiecie konia. W którymś momencie przywiązał za siodłem swój skórzany kaftan i miał teraz na tunice jedynie kolczugę oraz, tak jak wcześniej, chustkę owiniętą wokół głowy. Przez krótką chwilę Lijanas dostrzegła błysk, kiedy przeciągnął dłonią po karku.

Kiedy po raz drugi tego dnia zarządził postój, żeby się mogli napić, a konie nieco odpocząć, słońce stało na zachodnim niebie w postaci lśniącej kuli. Tak jak za pierwszym razem dał wodę najpierw jej i Levanowi, potem napoił Ired, zamknął starannie bukłak i powiesił go z powrotem przy siodle. Lijanas mrugnęła oczami. Nie widziała, żeby pił. Szybko spojrzała na pozostałych wojowników. Czy wiedzieli, co robili? Marszcząc czoło, popatrzyła na jego plecy. Pod kolczugą można się było dopatrzeć plam potu na czarnej tunice. Jak długo chce wytrzymać w tym upale bez wody? Bezwiednie podciągnął rękawy do łokci, obnażając straszne blizny na nadgarstkach odcinające się wyraźnie od jego delikatnej, czarnej sierści, a potem jeszcze raz odwrócił się i spojrzał na nią tym dziwnie badawczym wzrokiem. Jej oczy otworzyły się szeroko z zakłopotania. Czy oszczędzał swą rację wody dla Levana, czy dla niej?

Lijanas przestraszyła się, kiedy Ired się zatrzymała i podszedł do niej Mordan. Słońce nie stało jeszcze w zenicie, jednak pustynia zamieniła się już w rozgrzany piec.

— Resztę dnia spędzimy tutaj. Czy możecie sama zsiąść, uzdrowicielko? - ściągnął chustkę z ust i nosa, jego wargi były wysuszone i popękane, a twarz, tam gdzie nie była osłonięta materiałem, zaczerwieniona od soli i słońca.

Przytaknęła zmęczona, jednak nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Ugięły się pod nią, ledwie dotknęły ziemi. Podciągnęła się z trudem, przytrzymując strzemion Ired i potrzebowała jeszcze kilku ciężkich oddechów, zanim zdołała stanąć prosto. Powoli rozejrzała się dookoła. Sierść koni straciła swój jedwabisty blask pod bladą warstwą solnego pyłu. Była ciemna od potu, który tworzył białe płatki na ich pochylonych z wyczerpania szyjach. Po jej prawej stronie wojownicy byli zajęci budową niezbędnej osłony przed słońcem, używając do tego drążków, które wieźli ze sobą i swych koców. Lijanas oderwała się od boku Ired i poczłapała do noszy Levana. Od rana zaglądała do niego cztery razy — za każdym razem wyglądało na to, że jest gorzej. Gorączka wypalała go od wewnątrz, **A** upał dopelniał dzieła. Nie odzyskał przytomności od momentu, gdy poprzedniego dnia na chwilę otworzył oczy na drodze do Doliny Darachnaru. Ostrożnie uniosła koce, które były na nim tak rozpostarte, że całkowicie chroniły go przed słońcem. Jego twarz była blada, policzki nienaturalnie zaczerwienione, a usta spuchnięte i pokryte sączącym się strupem. Obróciła się, usłyszawszy za sobą kroki. Kierowie w milczeniu odwiązali nosze Levana od siodel i zanieśli je w cień prostego namiotu. Lijanas chciała pójść za nimi, jednak nagle upadła na kolana. Wciąż jeszcze próbowała wstać, kiedy Mordan wrócił do niej, podniósł ją z ziemi i także zaniósł w cień schronienia, gdzie posadził ją na rozłożonych tam skórach. Otworzył buklak i podał jej.

- Trzy lyki! — przypomniał. Jego głos brzmiał ochryple.

- Muszę się zająć Levanem!

Wypiła dwa lyki i chciała oddać buklak. Na czole Mordana pojawiła się groźna zmarszczka.

Jeszcze jeden!

Z powrotem podsunął jej buklak, nie spuszczać jej z oka, aż posłuchała, dopiero wtedy wziął od niej buklak i zamknął go.

- A kiedy wy ostatnio piliście?

Kładźcie się spać! — powiedział zniecierpliwiony i podniósł się, jakby nie usłyszał pytania.

Musicie...

Spojrzał na nią z góry, ściągając groźnie brwi.

Nie mówcie mi, co muszę, kobieto! Odpoczywajcie! Ja zajmę się Levanem!

Ale...

- To rozkaz! — z tymi słowy odwrócił się do niej plecami i podszedł do młodego wojownika. Lijanas obserwowała go w milczeniu. Wcześniej czy później jego organizm się zacznie się domagać swych praw i załamie się. Zerknęła na pozostałych Kierów. Wojownicy sprawiali wrażenie niezwykle spokojnych, jakby każdego dnia przebywali palącą pustynią, a przecież ich lud pochodził z zimnej północy. Wyczerpana Lijanas położyła się na boku, ułożyła głowę na rękach i przypatrywała się, jak Mordan próbował podać Levanowi wodę. Trwało to zaledwie kilka oddechów, potem zasnęła.

Kiedy znowu otworzyła powieki, czarnowłosy wojownik siedział obok niej ze skrzyżowanymi nogami i wyprostowanymi plecami. Jego nadgarstki spoczywały luźno na kolanach, a dłonie, których wierzch spoczywał na nogach, były otwarte i również rozluźnione. Twarz z zamkniętym okiem była zwrócona ku pustyni. W poprzek przed nim leżał na skórkach jego *kereshtai*.

- Spijcie dalej, uzdrowicielko! - jego głos złał się niemalże z chrapaniem Corfara i Brachana.

- Co z Levanem?

Czuła, że pękają jej usta i stęknęła cicho. Język w jej ustach był jak owłosiony robak.

- Bez zmian — powiedział, sięgnął za siebie i podał jej bukłak z wodą, nie zmieniając swej postawy, ani nie patrząc na nią. - Napijcie się, a potem połóżcie się i śpijcie!

Usiadła zmęczona.

- Która jest godzina?

Z wdzięcznością wypila dwa łyki i oddała bukłak.

- Za dwie godziny zajdzie słońce.

Chrząknąwszy, Ecren przewrócił się obok niej na drugi bok. Dłoń Mordana spoczęła na jej ramieniu i zmusiła ją, by się położyła.

- Spijcie!

Nigdy nie uwierzyłaby, że przyjdzie taki moment, kiedy z chęcią spełni jego polecenie.

Nie wiedziała, jak długo już potrząsano jej ramię, aż zdołała się przemóc i otworzyła oczy. Przed nią klęczał Corfar, podniósł się jednak, gdy zobaczył, że się obudziła. Obok leżały na chustce zimne mięso i kilka ciastek owsianych. Do tego stał tam kubek z wodą.

- Jedzcie! A wodę pijcie powoli — powiedział i odszedł w kierunku koni.

Zmęczona przetarła twarz i wreszcie usiadła. Słońce chowało się właśnie za horyzontem, przemieniając solną równinę w zlociste jezioro, nad którym migotało powietrze. Lijanas sięgnęła po kubek i przelknęła ostrożnie jeden łyk, lecz zaskoczona podniosła wzrok, gdy nagle dobiegł jej uszu ostry głos Brachana. Stał razem z Mordanem przy koniach, wydawało się, że obydwaj klócili się. Siwowłosy wojownik cisnął właśnie zdecydowanym ruchem buklak w pierś młodszego mężczyzny, lecz jego dłoń została odepchnięta. Brachan znowu podał mu buklak, tym razem jego słowom towarzyszył gest w stronę Ecrena i Corfara. Mordan patrzył na niego przez chwilę z przymrużonym okiem, potem, pomrukując, wziął z jego ręki buklak i napił się. Słowo, z którym wreszcie oddał buklak, brzmiało kąśliwie. Brachan zignorował jego ton, powtórzył, pozornie niewzruszony, to, co powiedział wcześniej, podobnie jak gest w stronę Ecrena i Corfara, i odwrócił się. Mordan patrzył za nim z widocznym gniewem.

Choć nie czuła głodu, Lijanas zjadła mięso i ciastka, zanim podczołgała się do Levana i pochyliła nad nim. Kiedy usłyszała jego ciężki oddech, prysła jej nadzieja, że te kilka godzin odpoczynku w cieniu zmieni coś, jeśli chodzi o jego stan — ciągle było z nim kiepsko. Mordan stanął obok niej i Lijanas podniosła wzrok. Na jego brodzie i policzkach pokazał się jak czarny cień zarost. Jedno spojrzenie w jej twarz wystarczyło, by poznać odpowiedź na niewypowiedziane pytanie.

- Jedziemy dalej! — powiedział i podniósł ją z ziemi, potem wziął razem z pozostałymi wojownikami nosze i zanieśli je do koni, gdzie znowu zostały zamocowane między dwoma zwierzętami. Następnie pomógł Lijanas wsiąść na grzbiet Ired i sam wsiadł na konia. Mały orszak ruszył w milczeniu dalej, wzdłuż szczeliny, coraz głębiej w pustynię.

Tak jak poprzedniej nocy wraz z zachodem słońca przyszedł chłód. Lijanas drzemała oparta o pierś Mordana, budzona przez niego co jakiś czas, żeby wypić swoją porcję wody. Za każdym razem miała wrażenie, że Brachan bacznie obserwuje czarnowłosego wojownika podczas tych krótkich przerw.

Wręcz nieludzkie wycie wyrwało ją w pewnym momencie ze snu. Kiedy się odwróciła, zdążyła jeszcze zobaczyć, jak Levan podnosił się na noszach. Konstrukcja zachwiała się groźnie, przechyliła, młody wojownik upadł na ziemię i zaraz stanął na nogi, by po chwili, cały czas wyjąc i warcząc jak zwierzę, ruszyć, zataczając się, w pogrążoną w mroku pustynię. Zanim zdążyła wydać jakikolwiek dźwięk, Mordan już wyskoczył

z siodła i pobiegł za Levanem. Lecz ledwie zdążył go dogonić, tamten odwrócił się i rzucił na niego z obnażonymi zębami. Z ledwością udało się czarnowłosemu wojownikowi uniknąć ugryzienia, które miało trafić jego gardło. Dobrze wycelowane uderzenie pięści udaremniło kolejne próby ataku. Levan osunął się nieprzytomny. Mordan chwycił go i zaniósł razem z Corfarem i Brachanem z powrotem na jego nosze. Lijanas szybko ześliznęła się z siodła i pospieszyła do niego. Blady jak trup leżał na kocach, ciężko dysząc, trzymając palce cały czas gotowe do ataku. Spod przymkniętych na wpół powiek widać było wytrzeszczone, nabiegłe krwią oczy. I chociaż Mordan na pewno nie uderzył delikatnie, znowu zaczął się ruszać.

— Co się z nim dzieje?

Czarnowłosa wojownik złapał nadgarstki Levana, przytrzymując je na kocach, kiedy młodszy mężczyzna próbował się rzucać i miotać się, wyjąc.

— Nie wiem.

Pochyliła się bardziej nad nim. Jego oddech pachniał jak oddech zwierzęcia, które żarło padlinę. Odskoczyła gwałtownie, gdy chciał ją chwycić.

— Czy to ma coś wspólnego z tymi ranami? Czy traci zmysły od bólu? A może to gorączka? Do cholery, mały, jeśli mnie jeszcze raz zadrapiesz, złamię ci rękę.

— Nie wiem!

— Co wy w ogóle wiecie? Dajcie mu wreszcie coś, żeby się uspokoił! Nie jesteście w stanie go okiełznać.

— Mam tylko gurynę, a to jest za mocne dla kogoś tak osłabionego. Możemy jedynie mieć nadzieję, że...

— Osłabionego? Na duchy..., Brachanie! Choć tu i przytrzymaj go!

Siwowłosa mężczyzna zmienił Mordana, a ten pospieszył do swego konia, pogrzebał chwilę w swych jukach i wrócił ze skórzanym woreczkiem, kubkiem i bukłakiem. Szybkim ruchem otworzył woreczek, wysypał do kubka niewielką ilość drobniutkich, lśniących kolorami tęczy kryształów i dołączył do tego wody.

— Co to jest?

— Biały kujan. No, mały! Teraz to polknij!

Lijanas patrzyła na niego oniemiała. Biały kujan w małych ilościach przynosił głęboki, błogi sen, w którym nie czuło się ani bólu, ani zimna czy pragnienia; jednak wystarczyła niewiele większa dawka, albo — zażyta razem z winem, a wtedy działał jak narkotyk, który upaja i jednocześnie

odurza zmysły — i uzależnia w bardzo krótkim czasie. Na rynku w An-scharze scripulum¹ czystego białego kujanu kosztuje minimum złotego karesza. A to tutaj to były przynajmniej dwie uncje.

- Skąd... Chodzi mi... Jak to...?

Obserwowała, jak Mordan przytrzymał siłą rzucającą się na wszystkie strony głowę chorego i przystawił mu do ust kubek.

Czy on jest...? Nie! Nikt, kto jest uzależniony od Kujanu, nie oddałby dobrowolnie komuś innemu swojego narkotyku.

Levan pluł i kasłał, kolejna porcja została wlana do jego gardła, tym razem ciemny wojownik zakrył mu dłonią usta, żeby nie wypluwał płynu. Lecz chwilę później zabrał ją, przekławszy, i spojrzal na krew, która płynęła po jego palcach razem z kujanową wodą. Kiedy chciał podnieść ranę do ust, za ramię chwyciła go ręka Brachana. Pokręcił ostrzegawczo głową, Mordan otworzył szeroko oczy, a potem przytaknął i wytarł krew o spodnie, kiedy stary wojownik puścił go. Lijanas patrzyła w milczeniu to na jednego, to na drugiego. Brachan miał zdecydowanie więcej sekretów z Mordanem niż z kimkolwiek innym.

Zdyszany oddech Levana uspokoił się wreszcie, zamilkło wycie, przestał zwijać się, dotykany rękoma innych, spoczął wreszcie, ciężko oddychając, tak że puścili go po ostatniej chwili wahania. Lijanas pochylała się nad nim ostrożnie. Zniknął ten grymas twarzy, w czasie którego pokazywał zęby, jego rysy rozluźniły się w głębokim śnie narkotycznym. Tak jak przedtem, jego ciało było rozpalone, w żyłe szyjnej krew uderzała niebezpiecznie szybko, tymczasem oddech był dużo za wolny. Ostrożnie przewróciła go z pomocą Mordana na brzuch, żeby obejrzeć rany. Ku jej zaskoczeniu zasklepiły się, chociaż wciąż wydobywał się smród padliny. Podniosła wzrok.

- Natę rany i wypalę. Nie jestem jednak w stanie powiedzieć, czy zmieni to coś w jego stanie - pokręciła niepewnie głową. - Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby po ranie po pazurach działały się takie rzeczy albo żeby łak głęboka i ropiejąca rana tak szybko się zasklepiła — wyznała cicho.

Mordan przyjął jej słowa skinieniem głowy.

- Co wam potrzebne poza ogniem i nożem?

- Gorąca woda?

Scripulum to rzymska jednostka wagowa, odpowiadająca 1,137 g. Uncja rzymska liczyła natomiast 27,288 g.

Gorzki uśmiech zadrgał na jednym kąciku ust.

- Zobaczą, co się da zrobić.

Chwilę później obok niej migotało małe ognisko, w płomieniach tkwił sztylet, a w garnku wrzało nawet pół kubka wody.

Pod wpływem kujanu Levan nie czuł, jak nacięła głęboko rany po pazurach, jak wycierała rozkładającą się krew i ropę i wycinała jeszcze głębiej, aż płynęła już tylko zdrowa krew; nie czuł, jak przyłożyła do rany rozżarzone ostrze noża, a następnie wysmarowała je starannie gojącym balsamem. Skończywszy, Lijanas przysiadła na stopach i przetarła wierzchem dłoni czoło. Choć było tak zimno, że jej oddech wydobywający się z ust ulatywał w białych chmurach pary, była zlana potem. Mordan, klęczący po drugiej stronie młodego wojownika, patrzył na nią zaskoczony, kiedy wstała, podeszła do niego, ujęła jego dłoń, na której wyraźnie było widać ślady po zębach Levana i oglądała ranę w świetle ogniska.

- Wypalę ją - oznajmiła mu zdecydowanie.

- Nie sądzę, by było to potrzebne... - zaczął, lecz Lijanas weszła mu w słowo.

- Ja natomiast tak! Co będzie, jeśli to wcale nie rany sprawiły, że Levan zachowywał się jak szalony, lecz jakaś choroba, którą przenoszą te stworzenia? Co, jeśli przez jego ugryzienie także wy się zaraziście? Czy wasi przyjaciele zdołaliby was okiełznać, gdybyście dostali ataku szalu?

Przez moment przyglądał się jej zupełnie bez ruchu, potem skinął spokojnie.

- Zróbcie to!

Powoli wypuściła powietrze z płuc.

- Chcecie kujanu?

- Nie!

Mordan usiadł obok niej ze skrzyżowanymi nogami, wyprostował plecy i położył nadgarstki luźno na kolanach.

- Poproszę Brachana, żeby przytrzymał waszą rękę.

- To nie będzie konieczne, uzdrowicielko.

Lijanas popatrzyła na niego z powątpiewaniem.

- Nie poruszę ręką, kiedy przyłożycie ostrze do rany. Wierście mi!

O dziwo zrobiła to. W milczeniu oczyściła nóż, potem znowu włożyła ostrze w dopalający się powoli ogień, aż ponownie się rozgrzało. Ostrożnie wsunęła swą dłoń pod jego dłoń, porośniętą na grzbiecie miękką sierścią.

Jego palce są, jak na mężczyznę, bardzo długie i eleganckie. Dlaczego wcześniej tego nie zauważyłam? Jego sierść jest cudownie delikatna. Na grzbiecie dłoni są zgrubienia.

- Jesteście gotowi?

Odpowiedziało jej skinienie głowy i Lijanas przycisnęła rozżarzone ostrze do rany. Smród spalonego mięsa ponownie zawisł w powietrzu. Jedyne kątem oka zauważyła, jak palce jego drugiej dłoni drgnęły krótko, jakby chciały się zacisnąć w pięść, jednak potem szybko znowu się rozluźniły. Dłoń spoczywająca w jej dłoni nawet nie drgnęła.

Kiedy zabrała ostrze, długo wyrównywał oddech, zanim znowu na nią spojrział.

- Odpocznijcie, zanim ruszymy dalej. Zgaszę ognisko i...

- Nie! Musicie trzymać dłoń spokojnie! — oznajmiła mu swym najlepszym rozkazującym tonem uzdrowiciela, nie zwracając uwagi na pionową bruzdę, która ukazała się na jego czole, gdy przytrzymując mu palce, posmarowała ranę gojącym balsamem. Potem owinęła ją paskiem płótna i zawiązała w nadgarstku. Nie patrząc już na niego, zabrała się za czyszczenie noża, sprzątnęła płótno oraz maść i zgasila ognisko. Przez cały czas była świadoma, że on obserwuje ją z tym nieodgadnionym wyrazem twarzy. Wreszcie wstał i zostawił ją samą, spojrzawszy po raz ostatni na Levana. Ręce Lijanas zatrzymały się nad czynnościami, które wykonywała, a oczy spojrzały w próżnię.

Przerabiałam to już ze sto razy. Każdą chorobę, jaką znam, i która przenosi się przez otwarte rany. Mogę wykluczyć wszystkie. To nie pasuje do żadnej! Zastanów się, Lijanas! Musi być coś... Jakaś choroba, przy której... Poczekaj! Jak to się nazywało? Trupi obłęd? Tak, dokładnie! Nie! Nie, to niemożliwe! Trupi obłęd to choroba z legend. Ale czy Brachan nie powiedział, że dotąd sądził, że pożeracze dusz to stworzenia z legend? Czy na trupi obłęd nie zapada się przez kontakt z rozkładającym się ciałem? A te stworzenia wyglądały, jakby były już od jakiegoś czasu martwe...

Zamyślona spojrzała na Levana. Wciąż jeszcze leżał spokojny i blady, przykryty kocami. Z wahaniem wyciągnęła do niego ręce, dotknęła delikatnie jego piersi i czoła. Jak za każdym razem w tych ostatnich dniach, był tam cień, nieprzenikniony i ciemny; ale było tam jeszcze coś innego... Myło czarne, poruszało się wolno i wilo, jak niezliczone cienkie robaki. Wzdrygnąwszy się, zabrała palce. Czegoś takiego nie widziała jeszcze nigdy przy umierającym. Delikatnie odgarnęła Levanowi kilka blond

kosmyków z rozpalonego czoła. Trupi obłęd nie zabijał od razu - ciało rozkładało się, choć jego właściciel wciąż żył. Ale chory był niebezpieczny dla każdego, kto się do niego zbliżył, ponieważ choroba zamieniała go w drapieżne zwierzę. Zerknęła na Mordana, który stał jak samotny cień w pobliżu szczeliny, zwrócony do niej plecami.

Czy wystarczy wypalić ranę, żeby zapobiec zakażeniu? Levan jest w zasadzie łagodny i dobroduszny z natury; Mordan jest z natury niebezpieczny i nieobliczalny. A jeśli ta choroba przemienia już Levana w zwierzę... - wzdrygnęła się. — *Co legendy mówią na temat leków, Lijanas? Psiakrew, pomyśli Tak, oczymieście!* — chrząknawszy, uderzyła się dłonią w czoło. — *To tak samo legenda jak pożeracze dusz i trupi obłęd. Powinam o tym powiedzieć Mordanowi.*

Kiedy podeszła do ciemnego wojownika, nawet najmniejszym ruchem nie okazał, że ją zauważył, lecz dalej patrzył, milcząc, w pustynię. W świetle trzech księżyców sól lśniła jak macica perłowa. O krok od nich rozwierała się szczelina, przez którą byli zmuszeni ciągnąć coraz dalej w głąb pustyni. W tę i z powrotem poruszała się zawieszona masa, przypominająca mieszkankę miodu i zaprawy glinianej, z której biedni ludzie w Anscharze budowali swe domy; jakby było w niej coś jak słaby nurt. Z cichym dźwiękiem pękła bańka powietrza na powierzchni. Jeszcze nigdy nie była tak blisko szczeliny.

— Muszę z wami porozmawiać, Kierze.

W pierwszej chwili wydawało się, że jej nie usłyszał, lecz potem obrócił się powoli w jej stronę i nagle zrozumiała, dlaczego pozostali Kierowie zwracali się do niego zawsze z prawej strony, nigdy z lewej, tej ślepej. Musiał stanąć całkiem przodem do niej, żeby móc na nią spojrzeć. Przełknęła nieswojo ślinę.

Jak wojownik z takim utrudnieniem może przeżyć w walce?

— Mówcie!

Uprzejmy jak zwykle.

- Jeszcze nigdy nie spotkałam się z chorobą, na którą zapadł Levana, ale w starych legendach jest mowa o chorobie zwanej trupim obłędem — aby uprzedzić sprzeciw z jego strony, podniosła uspokajająco ręce. — Wiem, że to brzmi jak szaleństwo, ale...

- Dlaczego stworzenie, które znane było dotąd jedynie z legend, nie miałoby przenosić choroby, o której donoszą jedynie legendy? Nie, uzdro-

wicielko, dla mnie nie brzmi to jak szaleństwo. Dużo ważniejsze jest, czy te legendy mówią coś na temat lekarstwa.

- Tak.

- Mianowicie? - w jego głosie nie slychać było ani zniecierpliwienia ani szorstkości.

Dlaczego jest tak dziwnie... łagodny?

- Czy znacie zielony kamień szlachetny, który daje się stopić?

- Nie! Ale poczekajcie! Tak! Murandonit robi się w bardzo gorącym ogniu ciągliwy jak miód — ale on jest czerwony.

Lijanas pokręciła głową.

- Legenda opowiada o zielonym kamieniu. Razem z pewnymi ziołami ma „przywrócić życie” ludziom dotkniętym trupim obłędem.

- A co z tymi ziołami? Są bardzo rzadkie?

- Nie, można je dostać wszędzie, ale bez tego kamienia są bezużyteczne.

Powolnym ruchem odgarnął kilka czarnych kosmyków, które wysunęły się mu z kucyka.

- Nie ma nic, czego na temat kamieni szlachetnych nie wiedzieliby rytownicy z Cavallina. Może będą mogli nam pomóc.

- Cavallina? Miasta w skale?

- Tak. Gdyby to pęknięcie nie zmusiło nas do wejścia w głąb pustyni, dotarlibyśmy tam wczoraj. To lekarstwo... Jaka jest pewność, że zadziała?

- Zgodnie z legendą chory powinien wyzdrowieć już po jednym dniu, ale to tylko legenda. Ile z tego jest prawdą...? — nie dokończyła zdania.

Jego kiwnięcie głową oznaczało, że rozumiał.

- Po tym, jak zobaczyłem wcielonych pożeraczy dusz, jestem skłonny wierzyć legendom. Jak długo Levan jeszcze wytrzyma?

- Dwa, trzy dni, cztery, a może tylko jeden. Nie potrafię wam tego powiedzieć. Dlaczego pytacie?

- Gdybyście mi powiedzieli, że dzieli go od ramion Białej Wojowniczkii już tylko godziny albo najwyżej dzień, i że nie ma nadziei, że wyzdrowieje, postaralabym się tej nocy o szybką śmierć dla niego.

Lijanas spojrziała na niego zdumiona.

- Zamordowalibyście go? — wyrwało jej się. — Jak możecie nawet myśleć o czymś takim?

- Tracę wodę dla człowieka, który może umrze, ryzykując w ten sposób życie pozostałych. Znam ludzi, którzy podcięliby mu gardło już w Dolinie Darachnaru.

- To dlaczego wy nie zrobiliście tego już wtedy? - jej głos był cichym syknieniem. — Dlaczego nie zrobiliście tego, zanim nacięłam mu plecy i wypaliłam rany?

- Ponieważ do tej pory nie powiedzieliście mi nic o tej chorobie. I dlatego, że Levan ufa wam i waszym zdolnościom!

— A wy nie?

- Nie daliście mi jeszcze żadnego dowodu waszych „zdolności”, nawet jeśli w Anscharze wychwalają was ponad miarę, ja nie ufam czystym pogłoskom.

No, przynajmniej jest szczerzy.

— Wszystko jedno, czy ufacie moim „zdolnościom” czy nie, nie dopuszczę, żebyście zamordowali Levana!

— Ta decyzja nie należy do was, uzdrowicielko! — w jego głosie dało się już słyszeć poirytowanie.

- A może do was, Kierze?

- Jeśli chodzi o Levana, tak!

Za kogo ty się właściwie uważasz? Za ducha śmierci?

— Jesteście bestią bez serca!

Jego dłoń zacisnęła się na jej gardle, zanim Lijanas zdążyła mrugnąć okiem.

- Trzymajcie język na wodzy, uzdrowicielko! Zabijałem już ludzi z powodu nie takich błahostek! - popchnął ją, aż się zachwiała. - A teraz pakujcie swoje rzeczy. Mamy przed sobą jeszcze spory kawałek drogi, zanim znów rozbijemy obóz w największym upale.

— Jest jeszcze coś, Kierze!

— Co? — wciąż jeszcze w jego głosie wyraźnie slychać było gniew.

— Jeśli Levan faktycznie zapadł na trupi oblęd, nie mam pewności, czy wypalenie rany ochroni przed zarażeniem.

Patrzył na nią przez chwilę, zanim skinął głową.

- Rozumiem! A teraz idźcie!

Lijanas posłuchała w milczeniu. Zaraz potem wyruszyli w ciemną noc. Mordan objął pieszo prowadzenie. Pod wpływem narkotyku Levan spał cały czas spokojnie.



Po raz kolejny słońce pojawiło się na horyzoncie, pogrążając sól, jak w poprzednie poranki, w błyszczącej grze płomieni — i przyniosło ze sobą skwar. W pewnej chwili Mordan zarządził wreszcie pierwszy postój, podszedł do Ired i podał Lijanas bukłak.

- Jeden lyk!

Przyjrzała mu się nieco zmieszana, zarost na jego twarzy pociemniał.

- Wody zostało nam już tylko na jeden dzień - wyjaśnił jej tak opanowanym głosem, jakby mówił o siodle swego konia.

- Ale myślałam...

- Pijcie, żebyśmy mogli jechać dalej!

Lijanas posłuchała, potem oddała mu bukłak. Spokojnie obserwowała, jak Mordan wlał do kubka trochę wody, dodał kujanu i podszedł z tym do Levana.

Wody tylko na jeden dzień? Łaskawa Bogini, nie opuszczaj nas! Jak mamy dać radę? Już od trzech dni idziemy w głąb pustyni... - Jej dłonie objęły lek siodła. — Nie może cały czas odurzać Levana kujanem, bo się od niego uzależni. Ale coż może zrobić innego? Pogodzić się z tym, że zachowuje się jak dzikie zwierzę?

Nieco później ruszyli dalej. Wojownicy prowadzili zmęczone konie za cugle, coraz głębiej w polyskującą sól.

Minęła może godzina, kiedy Mordan zatrzymał nagle Ired i podbiegł do brzegu szczeliny. Pozostali wojownicy zostawili swe konie i podążyli za nim. Lijanas widziała, jak badali coś w słonym jeziorze, potem zaczęli dyskutować w swoim języku. W końcu Mordan przyklęknął i zaczął coś rysować w soli czubkiem swego szeptetu, cały czas coś tłumacząc i wyjaśniając. Najpierw Brachan wyraził swą zgodę skinieniem głowy, potem

Corfar. Ecren nie dał się tak łatwo przekonać, lecz i on w końcu przystał na plan czarnowłosego wojownika.

Zaskoczenie Lijanas wzrosło jeszcze bardziej, gdy Kierowie odprowadzili swe konie kilka kroków na bok i zabrali się za rozbijanie południowego obozu.

Posłusznie ześliznęła się z siodła, kiedy Mordan kazał jej zsiąść i przytrzymywała się strzemion Ired, stojąc na miękkich nogach, tymczasem wojownicy wznosili w pośpiechu z drążków i koców niezbędną osłonę przed słońcem.

— Dlaczego już teraz robimy postój?

Niechętnie zrezygnowała ze swej podpory i przeszła na bok, kiedy przyszedł, by rozsiadłać klacz. Brachan i Corfar właśnie wnieśli nosze Levana w cień schronienia.

- Spróbujemy przekroczyć szczelinę w tym miejscu.

Zdumiona Lijanas otworzyła szeroko oczy.

- Jak?

— Pęknięcie w skorupie ma tu z dziesięć, najwyżej piętnaście kroków szerokości. Po jeziorze pływa wiele dużych kawałków solnej kry, połączymy je, zrobimy most i przejdziemy na drugą stronę.

- Naprawdę myślicie, że... - gestykulowała rozpaczliwie w stronę solnej szczeliny.

Zatrzymał się z siodłem Ired i pakunkami na ramionach.

- Musimy przedostać się na drugą stronę szczeliny, z każdą godziną drogi oddalamy się od Gór Słonnych, a wody starczy nam już tylko na jeden dzień - zdecydowanie pokręcił głową. - To do tej pory najwęższe miejsce. Jeśli nie spróbujemy tutaj, to już nigdzie!

Przez krótką chwilę Lijanas patrzyła, jak odchodzi, potem popędziła za nim.

— Chciałabym pomóc.

Odłożył swój ładunek tam, gdzie leżała reszta rzeczy, wyprostował się i zmierzył ją oceniającym spojrzeniem.

- Nie! - oznajmił jej potem, ściągając kolczugę przez głowę. Spod kołnierza jego tuniki wysunęła się prosta, skórzana tasiemka, obok niej, na szyi, błysnął przez chwilę rząd czarnych pereł, zanim zniknął z powrotem pod materiałem, kiedy wyciągał ze swej torby parę czarnych skórzanych rękawic.

— Ale co...

- Powiedziałem: nie! Zostaniecie tutaj i zaopiekujecie się Levanem. Wszystko pozostałe jest dla was zbyt niebezpieczne! - Zostawił ją, jak stała i poszedł z pozostałymi wojownikami na brzeg szczeliny. Lijanas nie pozostało nic innego, jak przycupnąć w cieniu namiotu obok Levana, czekać i obserwować Kierów.

Odziani tylko w swe tuniki, spodnie i buty, mężczyźni pracowali w upale w milczeniu, nie licząc krótkich zawołań i pojedynczych przekleństw. A mimo to każdy z nich zdawał się cały czas wiedzieć, co zamierza zrobić drugi.

Łapanie solnej kry było zadaniem Mordana. Z oszalamiającą zręcznością przeskakiwał z kry na krę, lecz im dłużej Lijanas mu się przyglądała, tym jaśniejsze było dla niej, co miał na myśli, mówiąc, że to „niebezpieczne”. Co chwila jakaś na pozór stabilna bryła załamywała się pod nim i tylko robiąc ryzykowny krok a czasem nawet skok, nie wpadał w solną breję. Jego buty i spodnie były pokryte białą skorupą już do kolan. Wbijał w poszczególne kawalki kry jeden z krótkich mieczy lub długich sztyletów na tyle głęboko, jak się dało - raz jedna kra przelamała się gładko na dwie połowy, kiedy wbił broń zbyt głęboko, o mały włos nie kosztowałoby go to przymusowej kąpieli w solnym jeziorze - potem owijał kawałkiem skóry lub płótna rękojeść i przywiązywał do tego linę, której koniec trzymał jeden ze stojących na skraju szczeliny wojowników. A kiedy on przygotowywał w ten sposób kolejną bryłę, Corfar, Ecren i Brachan mocowali się, by ściągnąć ten kawałek soli. Było to przedsięwzięcie niezwykle mozolne, ponieważ kry poruszały się po solance bardzo opornie i powoli.

W nierównych odstępach czasu jeden z mężczyzn odpoczywał przez chwilę w cieniu namiotu i pił swoją rację wody, zanim wrócił do pracy. Tak mijaly godzina za godziną. Dopiero gdy słońce stało już niemal w zenicie, Kierowie przerwali swą robotę i schronili się pod namiotem. Lijanas przyglądała się im ze współczuciem, gdy z trudem zdejmowali skórzane rękawice do jazdy konnej, które nosili mimo upału, by osłonić skórę przed solą. Ich twarze były poparzone od słońca, pot sphywał po nich strugami, usta były spierzchnięte i popękane, ciężko oddychali ze zmęczenia; a gotowa była ledwie połowa prowizorycznego mostu.

Jeszcze raz jej wzrok powędrował po zmęczonych wojownikach. Jeśli nie mogła im pomóc w budowie, to może było coś innego, co mogła dla nich zrobić. Zamyślona przygryzła wargę i natychmiast tego pożałowała;

przysunęła się do swej apteczki, wyciągnęła z niej mały tygiel i otworzyła go ostrożnie. Corfar spojrzal na nią nieufnie, kiedy podała mu naczynie.

— Co to jest? - podejrzliwie przyglądał się jasnej miękkiej paście wewnątrz pojemnika.

Lijanas, głupia gęś z ciebie, jako pierwszemu podajesz maść akurat temu wojownikowi, który uważa cię za wiedźmę dusz i z tego powodu najchętniej od razu poderżnąłby ci gardło. Świetny pomysł!

— Maść lniana. Łagodzi oparzenia! - wyjaśniła, starając się, by jej głos brzmiał spokojnie. Kiedy jego brwi uniosły się na znak zaskoczenia, poczuła pewną satysfakcję. Pytająco odwrócił się do Mordana, a kiedy ten skinął głową, wahając się jeszcze chwilę, wziął w ręce pojemnik, zanurzył palce w paście, powąchał ją badawczo i rozsmarował ostrożnie na czole i policzkach, a następnie podał kolejnej osobie. Lijanas przysiadła cicho na piętach i skrzyżowała ręce na kolanach. Znowu poczuła to dziwne spojrzenie, którym Mordan śledził jej ruchy. To on oddał jej wreszcie pojemnik. Jego kiwnięcie głową oznaczało zarazem podziękowanie i uznanie.

Potem zapadło wśród nich milczenie. Mężczyźni skupili się w cieniu, by odpocząć po trudach ostatnich godzin, wykorzystując to, że upał zmuszał ich do próżnowania. Mordan siedział obok niej tak, jak już kilkakrotnie widziała, ze skrzyżowanymi nogami i dłońmi na kolanach. Lijanas oparła głowę na ramionach i patrzyła w błyszczącą pustynię. Zorientowała się, że zasnęła, dopiero kiedy Kierowie wrócili do pracy i obudziły ją ich ciche rozmowy.

Słońce stało już nisko, kiedy most był wreszcie gotowy.

Mordan zbliżył się i przykleknął przy niej. Bez słowa Lijanas podała mu bukłak. Kiwnąwszy lekko, wziął go, potrząsnął, marszcząc czoło, potem wypił łyk, potrzymał go jednak kilka chwil w ustach, zanim wreszcie pozwolił, by woda spłynęła mu do gardła.

— Kiedy po raz ostatni dawaliście Levanowi kujan? - zapytał i zamknął bukłak.

— Mniej więcej godzinę temu. Dlaczego pytacie?

— Przeniecę Levana przez ten most i nie chcę, żeby się przy tym obudził. Jak sądzicie, jak długo będzie jeszcze nieprzytomny?

— Jeszcze jakieś dwie godziny. Może trochę dłużej albo krócej. — Lijanas wzruszyła ramionami i obserwowała zdziwiona, jak Mordan odrywał kawałek skraju swego płaszcza.

- To powinno wystarczyć. Posłuchajcie uważnie, to się dość mocno chwieje, dlatego na krze nie mogą znajdować się jednocześnie dwie osoby. Najpierw przeniosę Levana. Potem wrócę po was. Następnie przeprowadymy konie, broń i to, co niezbędne z naszych bagaży. Wytrzymacie jakiś czas bez namiotu?

Lijanas przytaknęła bez słowa.

- Dobrze!

Pochylił się nad Levanem i związał mu ręce paskiem materiału.

- Dlaczego to robicie? Powiedziałam wam, że będzie jeszcze dość długo spał.

- Właśnie. On nie może się przytrzymać. Ale ja może będę potrzebował w pewnym momencie mieć wolne ręce - starannie zacisnął węzeł, podniósł młodego wojownika i położył go sobie na ramionach. - Zostaniecie tu w cieniu i będziecie czekać, aż po was przyjdę! Zrozumiano?

Znowu przytaknęła bez słowa. Mordan zrobił kilka ciężkich kroków po solnej nawierzchni, odwracając się do niej jeszcze dwa razy, jakby czuł spójrzanie, którym go odprowadzała.

Bez tchu obserwowała potem, jak na skraju szczeliny założył sobie na szyję, z pomocą Corfara, ręce Levana, ujął go pod kolanami i stanął na pierwszym kawalku kry. Poruszał się wręcz żałośnie powoli. Czasem przystawał i zastygał w bezruchu, co trwało niemalże nieskończoność, czekając, aż kawalek soli, na którym właśnie stał, przestanie się chwiać, zanim zrobi kolejny krok. Zdarzało się, że przeskakiwał szybkim susem szczelinę, lądując potem szybko na czworakach, aby zapobiec przechyleniu się solnej bryły. Kiedy wyprostował się w końcu na drugim brzegu, nie mogła uwierzyć, że naprawdę mu się udało. Lecz kiedy zsunął Levana na ziemię i szykował się, by wrócić po nią, ścisnęło ją w gardle. Teraz była jej kolej. Podniosła się z wahaniem i, choć kazał jej czekać na niego pod namiotem, podeszła do skraju szczeliny, wychodząc mu naprzeciw. Pozostali wojownicy powitali go, poklepując go po plecach i kiwając z uznaniem, gdy most znowu został za nim. Pot splywał mu po czole mętnymi kroplami, szukając drogi wzdłuż łuku brwi, między czarnymi kępkami szczeciny aż po szyję, i wsiąkał w tunikę. Powoli odwrócił się do niej.

- Gotowa?

- Tak.

Przez krótką chwilę po jego napiętej twarzy przemknął uśmiech.

- W takim razie chodźcie!

Stał do niej plecami. Lijanas przelknęła ślinę. Najwyraźniej chciał ją przenieść tak samo jak Levana. Posłusznie stanęła za nim, objęła rękoma jego szyję, a potem poczuła już ręce, które unosiły ją do góry. Oparła nogi na jego biodrach, przycisnęła twarz do miękkiej sierści, która pokrywała miejsce między szyją a barkami i chwyciła się go. Wydał z siebie jęk.

- Udusicie mnie, uzdrowicielko! — jego dłoń chwyciła jej ręce, odsuwając je od swojego gardła. — Nie ściskajcie mnie tak! Luźno! Im luźniej będziecie siedzieć na moich plecach, tym łatwiej będzie mi zapanować nad równowagą. - Spróbowała kiwnąć głową, nie odrywając twarzy od jego szyi. Przez chwilę wydawało jej się, że usłyszała ciche westchnienie, potem ruszył. Od tej chwili nie istniało dla niej już nic oprócz gry jego mięśni i zapachu wilgotnej od potu sierści na jej twarzy. Już po krótkiej chwili zaczął ciężko oddychać. Kilka razy potrząsnął głową, żeby strząsnąć krople potu spływające mu do oczu. Jego włosy kleiły się jej do policzka. Krzyknęła, gdy nagle upadł na ręce i kolana i mocniej go objęła. Niemalże siłą musiał uwolnić swe gardło od jej uścisku. Ostрым tonem kazał jej się odprężyć, ale choć bardzo się starała, nie wychodziło jej to. Ostrożnie robił krok za krokiem, a potem kołysanie nagle ustało. Powoli odważyła się otworzyć oczy, poczuła, jak postawił ją na ziemi i spojrzała na niego. Ciężko dysząc, klęczał obok niej w soli. Jej suknia była mokra od jego potu. Otarł twarz dłonią i wstał.

- Nie było chyba tak źle?

Nie było źle? — Lijanas nabrała głośno powietrza. Jakby tego nie słysząc, skinął krótko głową w jej stronę, a potem odwrócił się, by kolejny raz przejść przez most z kry. Przez chwilę Lijanas patrzyła za nim, potem przysunęła się do Levana i pochyliła nad nim. Leżał cały czas pograżony w głębokim, narkotycznym śnie. Jego stan nie zmienił się. Skuliła się i czekała.

Stopniowo Kierowie przenieśli najpotrzebniejsze rzeczy. Z dwóch wbitych w podłoże drążków i koca zbudowano na nowo namiot dla niej i dla Levana. W pewnym momencie młody wojownik zaczął poruszać się, stękając i ponownie rozpuściła kujan w kilku łykach wody i wlała mu do ust. Teraz spał spokojnie.

Po drugiej stronie szczeliny słychać było rżenie. Widziała, jak koń Corfara buntował się, kiedy miał wejść na most z kry. Drobinki soli wzbily się i zaczęły wirować, gdy zwierzę brykało wokół swego pana i co chwila zarzucało łbem. W końcu odsunął je na bok i przepuścił Ecrena

z jego rumakiem. Następnie Mordan przeprowadził *ashentai* Levana przez chwiejący się most i wrócił po Ired. Kiedy zakładał swej klaczy siodło, Corfar po raz kolejny podjął próbę przeprowadzenia swego konia na drugą stronę. Jakby uspokoiło go to, że pozostałe dwa rumaki przeszły bezpiecznie po krze, pozwolił się tym razem poprowadzić. Byli już prawie na drugim brzegu, gdy rozległ się złowieszczy trzask. Rumak parsknął i zrobił krok w tył. Kawalek soli odłamał się na brzegu kry pod jego kopytem. Koń zarżał, a w następnej chwili dłoń Corfara piasnęła go w zad; przestraszony koń wykonał skok, potem drugi i trzeci i stanął na pewnym gruncie. Kawalki kry tańczyły niespokojnie na słonym jeziorze. Skórzane rzemieńce trzeszczały, napięte tak, że lada chwila mogły się zerwać. Dwaj wojownicy czekali po drugiej stronie ze swymi końmi, stojąc bez słowa w upale. Potem przyszła kolej Brachana i przeprowadził swego wałacha na drugi brzeg. Trzask pękającej soli był coraz głośniejszy, a w jednej chwili odwiązał się wbity w nią miecz i wysunął nieco z kry. Ostatni krok i także siwowłosa wojownik miał już za sobą i swym *abentai* szczelinę. Jakby nic się nie stało, Mordan ujął cugle Ired i wprowadził ją na pierwszy kawałek kry. Klacz stawiała kopyta tak rozważnie, jakby wiedziała, w jakim niebezpieczeństwie się znajduje. Kolejna bryła, a Ired poruszała się dalej spokojna i na pozór zupełnie opanowana. Corfar i Ecren wymienili spojrzenia z Brachanem i skinęli głowami. Uda się im. Teraz byli już w polowie. Skrzypienie i trzaskanie nie wyprowadzało *ashentai* z równowagi. Kiedy po drugiej stronie szczeliny zerwał się nagle z trzaskiem rzemień, którym most przymocowany był do brzegu, całą konstrukcją szarpnęło. Ired zrobiła krok w tył, trafiła w próżnię, sól pękła pod jej kopytami. Próbowowała zachować równowagę, kra solna tymczasem chwiała się, grożąc, że się wywróci. Mordan zapał się, ciągnąc całym swym ciężarem za cugle. Przednie nogi klaczy znalazły oparcie, skoczyła do przodu, uderzyła barkiem swego pana. Ten wypuścił cugle, ratując się skokiem na kolejną krę i niemal w tym samym momencie Ired zadudniła, przebiegając nad nim, zrobiła cztery potężne skoki i już była na bezpiecznym brzegu. Za nią chlupało niemrawo solne jezioro, a solanka zalewała kawalki kry. Mordan wyprostował się na kolanach, próbując teraz stanąć na nogach. Od tej gęstej cieczy wszystko było śliskie. Wydawało się, że stał tak całą wieczność, próbując cały czas zapanować nad chwiejącym się pod jego stopami kawałkiem soli i czekając, aż wszystko się uspokoi. Potem podążył w ślady konia, trochę wolniej niż jego klacz, i opadł na kolana, ledwie

dotknął stałego podłoża. Z wdzięcznością przyjął bukłak, który podał mu Corfar, gdy tymczasem Brachan i Ecren złapali Ired, by się przekonać, czy się nie zraniła. Wyraźnie wyczerpany Mordan położył się obok Lijanas w cieniu namiotu. W tym czasie pozostali wojownicy zajęli się wyciąganiem swych mieczy i sztyletów, jeden po drugim, z brył solnych, burząc w ten sposób kawalek po kawalku chwiejny most. Kiedy skończyli, słońce właśnie chowało się za horyzontem.

Ku przerażeniu Lijanas Kierowie zapakowali na swe konie to, co pozostało z ich bagaży i chwilę później siedziała znowu na grzbiecie Ired, nosze Levana wisiały między dwoma końmi, a oni ponownie wchodzili w sól, tym razem w odwrotnym kierunku, w stronę gór. I chodź wszyscy wojownicy, bez wyjątku, byli tak wyczerpani, że z ledwością powłóczyli nogami, maszerowali przez całą noc, aż do rana.

Jedynie w jakiś niejasny sposób Lijanas zdała sobie sprawę, że już nie śpi. Wszystko wokół niej wydawało się dziwnie niewyraźne, jakby spowijał to cieniutki jak pajęczyna welon. Żaden z mężczyzn spoczywających na skórach nie poruszał się. Nawet Mordan uległ wreszcie upalowi i wyczerpaniu. Z ręką wyciągniętą nawet teraz w jej stronę, leżał na boku, jego zazwyczaj tak srogie rysy twarzy, we śnie były zadziwiająco łagodne. Corfarowi, który miał trzymać straż, głowa opadła na pierś. Nie wiedząc dlaczego, Lijanas wstała i stanęła przed namiotem. Rażący blask soli oślepił ją, upał spowijał jej członki jak kajdany, ciężko dysząc, lękła powietrze, żar parzył jej płuca, kiedy próbowała osłonić dłonią oczy przed migoczącą jasnością. Przez kilka chwil stała zupełnie spokojnie, potem ruszyła po omacku przed siebie, z pewnością człowieka pogrążonego we śnie, prosto w słońce, piasek i bezkres solnej pustyni spowitej falującym powietrzem. Nie czuła ostrej, solnej skorupy pod swymi stopami. Nie czuła wiatru, który wzbijał się, delikatnie gładząc ziemię i zacierając jej ślady.

Nareszcie przyjechała! Przez ostatnie dni czuł się jak więzień. Służący doniósł mu godzinę temu, że dowódczyni wojsk Eliazanar po swym przybyciu została niezwłocznie wezwana na rozmowę z księciem Rusanem.

Polecił jej przekazać, że będzie tu na nią czekać. Od tego czasu chodził niecierpliwie w tę i z powrotem po dziedzińcu kwatery straży.

- Powinniście ćwiczyć cierpliwość, Ahmeerze! Wasz brak opanowania przyniesie wam kiedyś zgubę!

Dowódczyni Eliazanar wyszła z cienia bramy, łączącej wysypany piaskiem dziedzińiec z pałacem, i podeszła do niego powściągliwym krokiem. Pod przeplataną złotem szarfą tkwił obok zakrzywionej szabli szytlet. Jak zwykle ubrana była w bufiaste spodnie, wysokie buty, długą, szeroką koszulę i krótką kamizelkę, wszystko z kosztownego, krwistoczerwonego jedwabiu z Fehanu. Zapytał ją kiedyś, dlaczego wybrała dla siebie akurat ten kolor; uśmiechając się groźnie, wyjaśniła mu, że dzięki temu krew jej wrogów nie jest tak widoczna na jej ubraniu.

- Eliazanar! Co zatrzymało was tak długo na wybrzeżu?

- Edari, Ahmeerze, któż inny. Ledwie żeście odjechali, już próbowali uwolnić swych pojmanyh współbraci. Dałam każdemu, kto przeżył, własny krzyż — jej czarne oczy błyszczaly, kiedy odgarniała ciemny kosmyk włosów. — Wasz wuj opowiedział mi, co się stało i że pozwolił wam jechać na poszukiwanie narzeczonej. Co, moim zdaniem, jest wyjątkowo nierozsądne, Ahmeerze, ze względu na ludzi, w których rękach znajduje się dziewczyna.

- Mój wuj też już próbował odwieść mnie od tego zamiaru...

- Martwi się o was! Jesteście jego jedynym męskim krewnym i w związku z tym jego spadkobiercą. Musicie go zrozumieć!

- Rozumiem go, Eliazanar, ale nie będę tu siedział jak skamłący tchórz i przyglądał się beczynnie, jak kierska bestia porywa moją narzeczoną!

Dowódczyni wojsk Rusana pokręciła głową, uśmiechając się nieznacznie.

- Dumny i dziki. Wciąż jesteście zapaleńcem, którego ćwiczyłam we władaniu bronią. Wasz wuj nie cofnie pozwolenia, które wam dał. Ale rozkazał mi zatroszczyć się o to, byście wzięli ze sobą najlepszych i najbardziej niezawodnych ludzi, jakich ma w swej straży.

- I uważa, że sam nie potrafiłbym ich wybrać?

- Znam tych ludzi dłużej niż wy, Ahmeerze! Będziecie musieli pogodzić się z moim wyborem!

Żeby ją udobruchać, księżę Ahmeer sklonił głowę. Elizanar była wprawdzie kobietą, jeśli chodzi o pleć, ale była też jednym z najbardziej niebezpiecznych wojowników, jakich znalazł.

Gestem kazała mu pójść za sobą do kwater żołnierzy i spokojnie mówiła dalej.

- Poza tym wasz wuj kazał mi opowiedzieć wam wszystko, co wiem o „Krwawym Wilku” i jego towarzyszach.

Ahmeer obruszył się.

- Co tu jest do opowiadania? To wojownik Kier, jest pozbawiony skrupułów, nieokrzesany, dobrze włada mieczem. Jego ludzie są prawie tak dobrzy jak on! Ale przecież jest śmiertelnikiem, a może wy też myślicie, że to wcielony duch zemsty?

Eliazanar zatrzymała się nagle. Zaskoczony odwrócił się do niej. Jej brwi były gniewnie ściągnięte.

- Głupiec z was, Ahmeerze! Pozbawiony skrupułów, nieokrzesany, dobrze włada mieczem - to wszystko nic.

- Och, zapomniałem... — uśmiechając się szyderczo, Ahmeer sklonił się. - Mielicie przyjemność spędzić noc w jego towarzystwie.

Nie był przygotowany na policzek, który niespodziewanie otrzymał. Przez chwilę wpatrywał się w Eliazanar, potem z trudem zdławił swój gniew.

- Tak, miałam tę przyjemność. I tej nocy dowiedziałam się o nim więcej, niżby sobie tego życzył. Poza tym wielokrotnie widziałam go, jak walczył na polu bitwy. Powinniście być wdzięczni, że mogę wam tak wiele o nim powiedzieć, Ahmeerze. Im więcej wie się na temat swego przeciwnika, tym łatwiej znaleźć jego słaby punkt albo skłonić go do popelnienia błędu.

- Mówicie, jakbym wciąż był waszym uczniem!

- A wy przeciwstawiacie się, jakbyście nadal byli tym samym lekko-myślnym nicponiem co wtedy.

Ahmeer rozłożył ręce w łagodzącym geście.

- Wybaczcie mi, Eliazanar, niepokoję się o Lijanas. Kto wie, co strasznego może z nią robić to zwierzę w tej chwili. Powiedzcie mi, co muszę wiedzieć o nim i jego ludziach.

- Wreszcie zaczynacie mówić rozsądnie! Posłuchajcie uważnie! Na pewno słyszeliście pogłoskę, jakoby był Kessanem. Jestem skłonna się z tym zgodzić. Jest mistrzem we władaniu bronią. Każdy jego ruch jest krótki i precyzyjny, nie traci swych sił na zbędne przekomarzanie się. I dokładnie zna swe możliwości. Zazwyczaj zabija pierwszym uderzeniem, choć podejrzewam, że mógłby dłuższy czas bawić się ze swym

przeciwnikiem, gdyby miał na to ochotę. Podczas walki jest całkowicie opanowany, nie okazuje żadnych uczuć i nie daje się rozdrażnić.

- Brzmi to, jakbyście mówili o niezwyciężonym wojowniku z jakiejś starej legendy. Mimo to był waszym jeńcem.

- Tej nocy miałam szczęście, to wszystko. I śmiem wątpić, że was spotka to samo szczęście. Posłuchajcie mojej rady, Ahmeerze! Nie próbujcie mierzyć się z nim sam na sam. Nie jesteście w stanie mu sprostać. Nie, nie pryčajcie tak pogardliwie! Jeśli chcecie go pojmać, to tylko jeśli traficie go z większej odległości z kuszy albo pokonacie dzięki przewadze waszych ludzi. Żaden z tych sposobów nie jest zbyt honorowy, wiem, ale to jedyne możliwości, bo nie możecie liczyć na to, że zdradzi go jeden z jego ludzi.

- Każdego można kupić!

- Ludzi, z którymi przestaje, nie! I nawet wśród jego oddziałów musicilibyście sobie zadać dużo trudu, żeby znaleźć zdrajcę.

- W to nie uwierzę!

- Uwierzcie, Ahmeerze. Mogę wam podać przyczynę: w stosunku do swych ludzi jest absolutnie lojalny! A oni odpłacają mu swym oddaniem.

- Tego dowiedzieliście się o nim tamtej nocy?

- Między innymi. Przestańcie się drwiąco uśmiechać, Ahmeerze! Kiedy człowiek zwija się w waszych rękach z bólu, możecie się dużo o nim dowiedzieć. „Krwawy Wilk” jest człowiekiem dumnym i nieustępliwym. Moim ludziom nie udało się wydobyć z niego nic poza jękiem, niczego nie ujawnił.

Poza tym jest nieobliczalny. Przez to jest tak niebezpieczny w walce, a jego oddziały na polu bitwy. Nigdy nie można przewidzieć, jak na coś zareaguje albo jaki będzie jego następny krok. Nie próbujcie zatem planować dalej, niż możecie, Ahmeerze.

Mimo tego, co się o nim mówi, że brak mu skrupułów i mimo brutalności, nie wygląda na bezdusznego rzeźnika, choć to Kier; ma w sobie coś takiego, czym może urzec każdego, jeśli zechce.

Przez chwilę na ustach Eliazanar pojawił się delikatny uśmiech.

- Chociaż niemal miałam wrażenie, że on nie zdaje sobie sprawy z tego daru. Do tego jest wojownikiem, dla którego bardzo ważny jest honor.

- Kiedy się tak was słucha, można by sądzić, że „Krwawy Wilk” jest mężczyzną, którego przy innym układzie gwiazd przyjęlibyście do swego łóża - Ahmeer starał się, by w jego głosie nie było słychać drwiny.

Odpowiedzią było trudne do zinterpretowania spojrzenie spod uniesionej brwi, które Eliazar rzuciła mu, otwierając drzwi do kwater gwardzistów.

- Przejdźmy do jego towarzyszy. Każdy z nich cieszy się wielkim szacunkiem wśród wojsk Kier, jeden wart drugiego, nawet jeśli swemu panu nie dorastają nawet do pięt. Wszyscy są weteranami. Jedyńm, który do nich nie pasuje, jest młody trybun, na imię ma Levan. Brakuje mu dwóch palców u prawej ręki — „Krwawy Wilk” poprzysiągł, że osobiście się na mnie za to zemści. Dopóki ci ludzie są przy swym panu, nie ma do niego dostępu. Musicie go od nich oddzielić, dopiero wtedy będziecie mieć możliwość pojmania go, Ahmeerze.

I nie myślcie, że będzie łatwo. Będzie walczył do ostatnich sił i możliwe, że zrobi wszystko, byście nie dostali go w swe ręce żywcem, jeśli nie będzie już nadziei. Wie, że z rąk Nivardów czekać go może tylko śmierć, okrutna śmierć, po Sajidarrah i Tejidannarze.

- Obiecałem wujowi, że przyprowadzę mu „Krwawego Wilka” w łańcuchach. Zamierzam spełnić tę obietnicę!

- W takim razie mogę wam jedynie życzyć szczęścia, Ahmeerze - oznajmiła, otworzyła kolejne drzwi i schylając się, weszła do znajdującego się za nimi pomieszczenia. Wiele par oczu zwróciło się w jej stronę. -I zatroszczyć się o to, byście wzięli ze sobą ludzi, z którymi zdołacie osiągnąć ten cel.

Mordana obudził szept wiatru. W pierwszej chwili usiadł dziwnie zdezorientowany, nie wiedząc, co się nie zgadza. Jednak już po kolejnym uderzeniu powieki zdał sobie sprawę: nie było uzdrowicielki. Podniósł gwałtownie głowę. Naprzeciwko niego spał Corfar, choć miał trzymać straż. Przekląwszy, Mordan zerwał się, uderzył wojownika pięścią w bark i sięgnął po swój *keresbtai*. Wyraźnie zaspany Corfar wsparł się na jednym łokciu. Kiedy ujrzał nad sobą swego pana, pobladł.

- O tym jeszcze porozmawiamy! — mruknął Mordan przez zęby, potem schyliwszy się, czarnowłosy wojownik opuścił namiot. Natychmiast zar wpil w niego swe pazury jak wygłodniałe, drapieżne zwierzę. Wiatr muskał ziemię, podrywając ledwie widoczny solny pył, który wlatywał mu do oka, oślepiając je, mieszał się z potem i palil skórę. Kilka razy

mrugnął oczami, wcisnął twarz w rękaw, żeby zetrzeć słoną maź, która sprawiała, że nic nie widział. Lecz gdy wreszcie zaczął widzieć wyraźnie, przed nim rozciągała się jedynie błyszcząca solna pustynia. Odebrało mu oddech, kiedy odwrócił się za siebie. Na zachodzie piętrzyła się biała ściana - zasłaniając niebo, właśnie zaczynała pochłaniać słońce. Silny, porywisty wiatr smagnął jego twarz, szarpiąc jego ubranie, włosy i zagłuszając ostrzegawczy krzyk, który wydobył się z jego ust.

Szybko wszedł pod namiot, wsuwając przy tym swój *kereshtai* za pas. Pozostali przypinali już w pośpiechu wodę i prowiant do siodeł swych koni. Brachan i Ecren właśnie wciągali Levana na nosze. Chwycił jeden z buklaków, przerzucił swój płaszcz przez siodło i wskoczył na grzbiet Ired.

- Jedźcie już do Cavallina! Ja poszukam uzdrowicielki!

Brachan chwycił cugle.

- Poczekamy, jak długo będziemy mogli!

- Nie! Dogonię was jakoś. A jeśli nie...

Zerwał z szyi swoją skórzaną tasiemkę i wcisnął Brachanowi do ręki ciężki, złoty pierścień, który był na niej zawieszony, potem spiął Ired ostrogami i popędził prosto w słoną pustynię.



Wynurzają się z migoczącego, rozszarzonego powietrza i stają tuż przy niej. Słyszysz lament, płacz wygłodniałych dzieci, zebranie ich matek o kawałek chleba i tyk wody, szyderczy śmiech mężczyźni mieszający się z brzękiem broni i odgłosem pejcza uderzającego w skórę, a mimo to jest zupełnie cicho. Stoi pośrodku orszaku cienistych postaci, które mijają ją zmęczonym krokiem, nie widząc jej. Wojownicy w poszarpanych mundurach, z rękoma i nogami spletanymi ciężkimi łańcuchami, powłóczą nogami pomiędzy kobietami, które niosą na rękach swe wyczerpane dzieci; liczące zaledwie kilka dni niemowle zawinięte jest w chustę z herbem, na którym biały, drapieżny kot w czarne plamy szykuje się do skoku; dziewczęta i młodzi chłopcy podpierają tych, którzy nie dają rady iść sami. Na wynędzniałych twarzach widnieją głód i rozpacz. Zostali uprowadzeni ze swej ojczyzny, pędzono ich przez osnieżone góry, zabroniono zgotować laskawy koniec tym, którzy zostali bez sił przy drodze, godnie pochować ich zwłoki. Kiedyś byli wojownikami i uczonymi, wolnymi i dumnymi. Teraz są ludem pokonanym, zależnym od woli snych nonych panów, tych mężczyźni i kobiet, na których dzwinnie pozbawionych wieku twarzach błyszczą niebiesko-fioletowe oczy i których pejcze od tygodni bezlitośnie spadają na ich plecy.

Jakiś wojownik idzie obok niej, chwijając się, związany jak wszyscy pozostali dorosli mężczyźni, ale tuż przy nim jedzie na koniu jeden ze zwycięzców, prowadzi go na łańcuchu jak psa, przez krótką chwilę spotyka jego niebiesko-szare spojrzenie, dostrzega gniew płonący pod warstwą rozpacz. Lecz kiedy chce popatrzeć za nim, on i jego ludzie znikają w migoczącym, rozszarżonym powietrzu.

Kiedy znowu się odwraca, wokół niej szaleje krwawa bitwa. Słychać dźwięki skrzyżowanej broni, mężczyźni ryczą, konie rżą, ujej stóp leżą martwi

i umierający wojownicy, mimo to panuje martwa cisza. A między nimi krążą pożeracze dusz, pokrzepiają się przy ciałach, w których właśnie dogasa życie. Widzi herb nakrapianego czarnymi cętkami drapieżnego kota, gotującego się do skoku, na piersi wojownika, który siedzi na grzbiecie potężnego rumaka bojowego o żółtych oczach i właśnie wbija jakimś mężczyźnie miecz w pierś. Ten ścisła mocno chorągiew z upierzoną niebiesko czapłą nawet wtedy, gdy pada umierający na ziemię. Jego niebiesko-szare spojrzenie spotyka się z jej spojrzeniem, patrzą na nią oczy, które zna, bijący z nich drwiący chłód powoduje, że przechodzą ją dreszcze. A ponad wszystkim spoczywa ciemny cień, który zatrzyma duszę wojowników i zmusza je do nienawiści.

Po raz kolejny Ired stanęła na tylnych nogach, rżąc gniewnie, zrobiła krok w tył i parsknęła. Po raz kolejny nic nie dały ani ostrogi ani wędzidło. Mordan zaklął. Było tak już od jakiegoś czasu i dopiero, gdy pozwolił klaczy robić po swojemu, można było ją ruszyć z miejsca. Ale teraz musi wreszcie z tym skończyć. Ired opierała się cugłom, gdy chciał ją pokierować w prawo, ponownie stanęła na tylnych nogach, wierzgnąwszy, znowu wylądowała na czterech kończynach. Mordan wbił jej ostrogi w boki i pociągnął mocniej wędzidło. Klacz wierzgnęła poderwała się jeszcze raz, rżąc wściekle, tylko po to, by parskając, zakręcić się w kole.

Przeklęta szkapo! Kiedy to wszystko się skończy, garbarz ucieszy się z twojej skóry!

Kolejny raz otarł sobie rękawem twarz i poprawił chustkę osłaniającą mu usta i nos. Jeśli wkrótce nie odnajdzie uzdrowicielki... Krzyknął jej imię, ale tak jak przedtem odpowiedziało mu jedynie drwiące wycie wiatru. Pod nim Ired tańczyła jak duch piasku, zagryzła nagle wędzidło, przejęła władzę nad cugłami i ruszyła galopem.

Cholerne bydlę! Wiem, że Haffren podarował mi ciebie tylko po to, żebyś mnie zabiła, ale musisz to robić akurat teraz?

Pochylił się nad szyją klaczy, owinał cugle wokół dłoni w nadziei, że Ired wreszcie zrozumie, iż nie pozbędzie się go w ten sposób; i lepiej, żeby to nastąpiło, zanim ostatecznie rozpęta się burza.

Wokół niej wszystko blaknie, a ona stoi sama na błyszczącej, białej powierzchni. Wiatr o smaku soli tarł jej włosy, smaga ręce i przyciska odzienie do ciała. Panuje upał. Z południa i z północy idą w jej stronę z daleka milczące postacie. Na czele jednych widać chorągiew czapli, drudzy trzymają chorągiew białego, drapieżnego kota. Od wschodu zbliża się samotna sylwetka kobiety.

Na szczupłej twarzy błyszczą oczy w kolorze starego złota, porywisty wiatr bawi się jej białymi włosami, skóra na jej nagich ramionach lśni wszystkimi odcieniami bieli i srebra, a potem ta kobieta przechodzi przez nią, i ona jest nią: Aslajin, odrzucona, córka wiedźmy dusz; czuje jej ból, jej strach, jej nadzieję. Duchy wiatru i soli szepeczą do niej, mówią o tym, co było i o tym, co może się stanie. Ona wie, dlaczego przyszli ci mężczyźni i te kobiety. Przywołują jej to, czego żądała: po jednym wojowniku z każdego ludu, narodzonego w klanie władców, każdy jest dumą swej krwi. Przeprowadzają ich, żeby stali się cogenami. A potem ta kobieta przechodzi przez nią na wylot i ona stoi tak, chwiejąc się, podczas gdy Aslajin zatrzymuje się kilka kroków przed nią. Słońce odbija się w rękojeści srebrnego sztyletu u jej pasa i złoto lśni jak macica perłowa. Mężczyźni i kobiety paraliżuje strach, gdy powoli się zbliżają. Prowadzą jej wojowników spętanych jak zwierzęta ofiarne, zmuszają, by padli przed nią na kolana i oddalają się szybkim krokiem. Żaden z tych dwóch nie jest tu dobrowolnie. Przyjęli decyzję swych klanów dla dobra swych ludów, lecz czują wstręt do wiedźmy dusz, która zażądała ich życia. Boją się, kim mają się stać. Ich spojrzenia spotykają się zaledwie na krótką chwilę. Oczy jednego są jak lód, oczy drugiego ciemne jak burzowe niebo.

I nagle stoi uwięziona między dwiema popekanymi skałami. Wściekłe wycie pożeraczy dusz przyprowadzają o ból głowy, brzęk stali uderzającej o stal odbija się echem od stromych, pionowych ścian, a mimo to nie słychać żadnego dźwięku. Widzi, jak wojownicy stoją, plecy w plecy, przed wiedźmą dusz, osłaniając ją swoim życiem przed tymi, którzy przybyli, by pomścić swego przekleśtego boga. Tam, gdzie były wstręt i lęk, płonie teraz coś innego. Uwidacznia się to w spojrzeniu, geście, uśmiechu i dotyku. Jej lament miesza się z płaczem Aslajin, gdy jej cogenowie padają, ona płacze jej łzami. Potem złote oczy wmiercają się zniemalajaco w jej oczy, podczas gdy zbójcy unoszą się z nad zwłok i chwyają jej białe włosy. W rękach przywódcy lśni sznur czarnych perł schlapany krwią, zerwany z szyi zmarłego. Niepostrzeżenie coś błyszczącego pada na ziemię. Kiedy miecz oddziela głowę od szczupłych ramion, dusza już zdążyła ulecieć.

Stony wiatr szepecze do niej, gdy trwa samotnie w kuckach przy ziemi, z policzkami mokrymi od łez, które nie są jej łzami. Opowiada o przerażeniu, które na nowo jest karmione na północy, mówi o nadziei, szepecze o tym, co przewidział dla niej los, ona nie może go zrozumieć. Dwa strumienie czerwonej krwi płyną w jej stronę przez błyszczącą biel, każdy rwący i śmiercionośny, oddzielone od siebie na zawsze przekleśtą nienawiścią, aż łączą się

w jedną rzekę, nie mniej potężną i śmiertelną niż te, z których się narodziła, a mimo to osobliwie inną. Potem pada na nią cień, a ona wydaje krzyk.

Wielu rzeczy się spodziewał, ale nie tego! Ired pędziła po solnej powierzchni jak oszalała, przeskakując w galopie pęknięcia i szczeliny i w końcu nieoczekiwanie zatrzymała się tak, że lęk siodła wbil się boleśnie w jego ciało. Teraz klacz brykała, nastawiając uszu, na trzeszczącym niebezpiecznie gruncie, skrywającym nogi do kolan pod warstwą solnego pyłu. Pośrodku, na zupełnie płaskiej powierzchni najczystszej soli, przycupnęła uzdrowicielka, niezdaająca sobie najwyraźniej sprawy z naciągającej burzy. Jeszcze nieco oszolomiony morderczą jazdą Mordan poprawił się w siodle. Znał ludzi, którzy twierdzili, że *asbentai* są inteligentniejsze od normalnych koni. Do tej pory śmiał się z tego, teraz był gotów w to uwierzyć. Dopiero, gdy wypuścił cugle z rąk, zauważył, że skórzane paski wpiły mu się w skórę. Jego ręka powędrowała ukradkiem do szyi klaczy i poklepała ją.

- Cofam wszystko, co kiedykolwiek myślałem na twój temat! Ale mam nadzieję, że wiesz jeszcze, gdzie jesteśmy!

Uszy Ired poruszyły się wymownie wprzód i w tył, parsknęła, kiedy Mordan zsiadł, zdjął z siodła płaszcz i buklak z wodą i pospieszył do uzdrowicielki przez solną mgłę.

Siedziała w kucki przy ziemi, zupełnie bez ruchu, objęła się ramionami i patrzyła otwartymi szeroko oczyma w pustkę. Kiedy padł na nią jego cień, zaczęła krzyżeć.

- Uzdrowicielko! Przestańcie! Musimy stąd jechać!

Zarzucił płaszcz na jej ramiona. Nie wiadomo, dlaczego jej skóra była nienaruszona mimo upału i gryzącego, solnego pyłu. Nie przestawała krzyżeć. Zdawało się do niej nie docierać, że to on się nad nią pochylał. Cały czas siedziała zupełnie bez ruchu. Oczekiwał, że będzie się rzucać, jakoś bronić przed nim — nic. Na jej policzkach dostrzegł połyskujące lzy. Krzyżała dalej. Był to głos pelen przerażenia i zwątpienia, i przepelniony boleścią.

Dwa chłainięcia w policzki otrzeźwiły ją. Krzyk umilkł, otworzyła oczy jeszcze szerzej, mrugnęła dwa razy, trzy, wlepiła wzrok w Mordana, jak ktoś, kto właśnie obudził się ze snu, i zacerpnęła powietrza. Rozpoznała go. Potem rozejrzała się oszolomiona dookoła. Jej wzrok wrócił do niego, nie bronila się, kiedy przystawił jej do ust buklak z wodą i zmusił, żeby

się napiła. W końcu podniósł ją z ziemi; cały czas sprawiała wrażenie, jakby była odurzona.

- Nie chciałam uciec! - jej słowa były jednym belkotem. Głos był ochrypły od krzyku.

Mordan zaciągnął jej mocno na twarz kaptur peleryny.

- Wyjątkowo wierzę wam, uzdrowicielko. Szybko! Chodźcie! Nadchodzi burza solna. Musimy dotrzeć do Cavallina, zanim będzie za późno.

Popchnął ją do przodu, sól trzaskała złowieszczo pod nimi, nagle stopa Lijanas o coś się zaczepiła, przewróciłaby się, gdyby jego ramię nie podtrzymało jej ramion. Podmuchał wiatru smagnął ziemię, szarpnął płaszcz, przepędził solną mgłę i objawił to, co było pod nią ukryte. Powykrzywiane na ziemi ciała, setki - ludzie, konie. Zastygłe dłonie obejmowały jeszcze to, co sól zostawiła z mieczy i tarcz. Pokryta białą skorupą skóra pancerzy przykrywała zasuszone żebra, pod resztkami starożytnych hełmów uśmiechały się zmumifikowane w soli twarze. Przerażona Lijanas przysunęła się bliżej Mordana, który, sam zaskoczony, ciężko dysząc, cofnął się. Sól pękła pod jego stopami, załamała się. Jakieś dwa kroki od nich grunt się poruszył, usłyszeli chrzęst, pęknięcie i ze skorupy wynurzyło się kolejne ciało. Uzdrowicielka wydała z siebie przerażony krzyk, przytuliła się do niego. Chwycił ją mocno za oba ramiona, odsunął od siebie, żeby nie okazało się, że solna warstwa nie utrzyma ich łącznej wagi.

- Spokojnie! To solne zwłoki! Nic wam nie zrobią! - nie mógł nic poradzić na to, że jego głos był tak przyduszony.

Solne zwłoki, tak! Ale aż tyle? Czy tu była kiedyś jakaś bitwa? Co się stało? Czy zostawiono tu zmarłych, a może solna powłoka otworzyła się pod nogami żyjących jeszcze wojowników i po prostu ich pochłonęła? - dreszcz przebiegł mu po plecach. — *I dlaczego sól uwalnia ich akurat teraz?*

Poczuł ruch tuż przy swej stopie i cofnął się jeszcze kawałek. Przez białą masę przedarła się czaszka, błysnęły kły, zapadnięte oczodoły gapily się w niego. Syknąwszy, złapał uzdrowicielkę za rękę, pociągnął ją za sobą, między głowami, w stronę Ired, która rżąc niecierpliwie, patrzyła w ich stronę. Pod ich stopami otwierało się w solnej pokrywie coraz więcej szczelin, nagle z jednej wynurzyła się dłoń, z drugiej bark, z kolejnej głowa...

Potem dotarli do rumaka. Żółte oczy obracały się z przerażenia, tak że widać było białko. Mordan szybko przykucnął, splatając dłonie, żeby zrobić uzdrowicielce stopień, po którym mogła wsiąść na konia.

— Wsiadajcie. Pospieszcie się! Musimy stąd uciekać!

— A gdzie pozostali?

— Już pojechali, mam nadzieję!

Siadł na konia i w tym samym momencie załamała się pod nimi solna pokrywa. Kopyta Ired zakopały się w chrzęszczącym podłożu, Mordan rzucił się do przodu, przycisnął uzdrowicielkę do szyi klaczy, rozpaczliwy skok, przepelnione bólem rzenie, potem *ashentai* znalazł oparcie i ruszył galopem. Za nimi sól załamywała się z ogłuszającym trzaskiem, pochłaniając znowu mumie, które dopiero co uwolniła.

Światło słoneczne napelniło pomieszczenie, wzory na kosztownych gobelinach rozbłysły, promienie musnęły regały wypełnione błyszczącymi fiolkami, zakorkowanymi mocno butelkami i zapieczętowanymi woskiem tyglami, których tajemnicza zawartość mogła oznaczać śmierć albo życie. W szklanym więzieniu siedział owłosiony pajak, który zdawał się mieć kilka nóg za dużo, obok posykiwał ostrzegawczo czarny skorpion, unosząc kolec. Rosły wojownik rzucił niedbale na krzesło swój płaszcz podszyty śnieżnobiałym futrem, zdjął znudzony z półki ludzką czaszkę i obrócił ją w świetle. Nienawidził czekania.

— Zostawcie te starocie! Obejrzyjcie sobie lepiej moje najnowsze zdobycze!

Osoba, która wypowiedziała te słowa, wyszła przez drzwi znajdujące się w cieniu między kilkoma opartymi o ścianę osobliwościami i wskazała na szczupłą czaszkę zakończoną wąskim, smoczym pyskiem.

— Co to jest? To zwierzę nie jest chyba większe od kota — wojownik z zainteresowaniem śledził ruch dłoni.

— To czaszka *sinsbalei*. Chętnie podarowałbym wam jej futerko i skrzydła, mój wielki książę.

— Tytuł, który mi nie przysługuje.

— A mimo to jesteście synem króla.

— O czym nie wie nikt prócz ciebie, mojego ojca i mnie — wojownik pociągnął kciukiem po kości słoniowej, potem odwrócił się z uśmiechem do tego drugiego człowieka. — Jeszcze nie!

Jego rozmówca wsunął dłonie w rękawy swej szerokiej szaty i skinął głową.

- Jak słusznie powiedzieliście: „jeszcze nie"! Kiedy księżycy staną w pełni po Święcie Klosów i zasłonią się wzajemnie, zajmiecie miejsce, które należy się wam od waszego urodzenia.

- Ale nie wezwalesz mnie, żeby omówić ze mną rzeczy, które już od dawna są ustalone - niedbałym ruchem przysiadł bokiem na skraju stołu. — A więc, o co chodzi?

- Moi szpiedzy w pałacu w Anscharze donieśli mi, że ksiązę kazal szukać młodej uzdrowicielki...

- Czy kiedykolwiek wątpileś w to, że znajdzie tę kobietę i ją tu przypro-wadzi? — jasne brwi wojownika uniosły się z przeblyskiem zaskoczenia. — On jeszcze nigdy nie zawiódl, bez względu na to, jaki rozkaz otrzymał od Haffrena.

- Nie, oczywiście nie! Ale poczekajcie, co mam wam jeszcze do po-wiedzenia. Najwyraźniej ta kobieta jest w szczególny sposób powiązana z rodziną księcia. To narzeczona księcia Ahmeera.

Wojownik gwizdnał cicho.

- Tak! Ale słuchajcie dalej! Rusan pozwolił księciu, by sam ruszył na poszukiwania.

- A co to ma wspólnego z nami?

- Ksiązę Ahmeer ma przy sobie tylko dwudziestu ludzi ze straży przy-bocznej swego wuja. Nie sprawi wam trudności schwywanie go.

- Po co miałbym to robić? Powiedz wreszcie, o co ci chodzi!

- Chcę, żebyście przyprowadzili mi księcia Ahmeera! Jeśli się wam to uda, „Krwawy Wilk" będzie wasz.

- Ale myślałem...

- Czysta krew jest lepsza niż mieszana. Jeśli będę miał Ahmeera, do-wódca wojsk nie będzie mi już potrzebny.

Okrutny uśmiech zagościł na ustach wojownika.

- A co na to powie Haffren?

- Nic. Kiedy „Krwawy Wilk" wykona tę misję, Haffren pozbędzie się go. I nie będzie dla mnie trudne postarać się, by przekazał go wam. Może jako prezent? Z żelaznym pierścieniem wokół szyi?

- Z powrotem tam, gdzie jego miejsce! Jeszcze nigdy dotąd żaden do-wódca wojsk nie upadł tak nisko. - Uśmiech na ustach wojownika zrobił się szerszy, potem kiwnął głową i podniósł się. — Będiesz miał księcia Ahmeera na Święto Klosów! - Wziąwszy swój płaszcz, opuścił szybkim pomieszczenie.

Mężczyzna w todze spojrzal za nim, w jego niebiesko-fioletowych oczach widać było zimne błyski.

— Głupiec!

Ired dudniła kopytami po błyszczącym gruncie. Pot odrywał się płatkami od jej lopatek, barwił na ciemny kolor skórę cugli. Jej grzywa wpadała Lijanas do oczu jak czarny płomień, trzymała się mocno miękkich pasemek, w ustach miała sucho ze strachu i pragnienia. Klacz zaczynała coraz ciężiej dyszeć, długo nie wytrzyma tej morderczej gonitwy. W pełnym galopie przeskoczyła przez pęknięcie w soli, w następnej chwili zarżała przeraźliwie. Lijanas uderzyła twarzą o biel chropowatej skorupy, gdy ramię Mordana puściło ją raptownie. Usłyszała swój własny przerażony krzyk, poczuła straszny ból głowy, a potem był już tylko blask słonecznego światła, który nagle zgasł i zapadła ciemność.

Czuł gorzki smak soli na języku, jaskrawy żar oślepił go i nie pozwalał oddychać. Ból w każdej kości powiedział mu, że wciąż jeszcze żyje. W prawej ręce czuł płomień. Mordan z trudem uniósł głowę, zaciskając zęby, by nie jęknąć. Rękaw jego tuniki był porwany, od kostek palców do łokcia, sierść i skóra były jakby ściągnięte heblem, a sól i krew zapiekły się na mięsie, tworząc lśniąca skorupę. Próba poruszenia placami skończyła się potworną męką, mimo że udało mu się je ledwie trochę zgiąć.

Wszystko, co mógł sobie przypomnieć, to krzyk bólu Ired, potem klacz przewróciła się, siła uderzenia wyrwała mu z rąk drobne ciało uzdrowicielki i zrobiło się wokół niego ciemno. Ociężale wyprostował się, wyteżył wzrok, mrużąc oczy od gryzącego wiatru, który pędził przed sobą po ziemi sól jak bladą mgłą tak, że wszystko pokrywało się cienkim, błyszczącym calunem. Zauważył szczupłą postać młodej kobiety jakieś dwa łokcie od siebie, delikatny biały welon przykrył już jej ciało. Płaszcz zniknął, pewnie zabrał go wiatr. W niewielkiej odległości stała Ired, na trzech nogach. Z przedniej nogi wsiąkała w ziemię cienka strużka krwi. Syknąwszy, **wypuścił** powietrze, z trudem uniósł się sztywno na czworakach i podczołgał do uzdrowicielki. Leżała na boku, z policzkiem przytulonym do soli, jej nieosłonięta skóra zaczerwieniła się już od słońca. Na wysokości czoła białe kryształki zabarwione były na czerwono. Ostrożnie

odkręcił jej głowę. Skroń była otarta, powyżej widniała, na pół przysłonięta włosami, rana, a to wszystko pokrywał błyszczący strup z krwi i soli. Zatroskany przystawił palce do jej ust i nosa, oddychała jeszcze.

Dzięki niech będą duchom zemsty! Potrzebna jej woda!

Nieporadnie podniósł się wreszcie z trudem na nogi i podszedł chwiejnie do Ired. Przekleństwo wyrwało mu się z ust, kiedy zobaczył buklak przy jej boku: szorstka powierzchnia całkowicie przecięła skórę buklaka, kiedy klacz upadła. Jednocześnie zauważył, że pękły mu usta i poczuł smak sączącej się krwi.

Nawet nie spostrzegł, kiedy ugięły się pod nim nogi.

Ze skrzypnięciem, po którym rozległo się głuche gruchnięcie, zamknęły się za jeźdźcami potężne bramy Cavallina. Natychmiast wściekle wycie burzy przycichło, chociaż stare drewno jęczało w zawiasach pod jej wściekłym szturmem. Szmer przeszedł przez szeregi wartowników, gdy poznali, kogo to wpuścili w ostatniej chwili — wojowników Kier, których potężne rumaki *asbentai* tupaly niespokojnie na gliniastej ziemi stróżówki Cavallina.

— Powinniście dziękować duszom waszych przodków, że zauważyliśmy was jeszcze wśród tych solnych tumanów, obcy przybysze. Gdybyśmy was nie dostrzegli i zamknęli bramy, sól przeżarłaby wasze ciała i po burzy znaleźlibyśmy najwyżej wasze białe kości — powiedział jeden z mężczyzn i oparł się na swej halabardzie, spoglądając na jeźdźców.

Najstarszy z Kierów, siwowłosy wojownik o jasnobrązowych oczach, skinął głową w jego stronę.

— Jesteśmy wam winni podziękowanie za to, żeście nas jeszcze wpuścili. Zwlekanie z zamknięciem bram, aż je przekroczymy, nie było dla was bezpieczne.

Sklonił się w siodle. Z jego płaszcza strużkami osypywały się na ziemię kryształki soli.

— Czy możecie nam powiedzieć, czy dwoje naszych przyjaciół zdążyło tu jeszcze dotrzeć przed burzą? Mężczyzna i kobieta. On jest wojownikiem jak my, ma czarne włosy, skórzaną klapkę na lewym oku. Jeździ na czarnym *asbentai*. Kobieta jest Nivardka, szczupła, trochę niższa od niego. Ma zielone oczy i płomienne włosy.

Wartownicy wymienili spojrzenia, pokręcili głowami.

— Nie, od kiedy mamy tu wartę, a trwa to już od trzeciej po południu.

— W takim razie jeszcze przyjadą.

— Szanuję waszą pewność, wojownika, ale obawiam się, że muszę pozabawić was tej nadziei. To, co teraz znajduje się poza tymi bramami, należy do Pustyni Słonej, a ona nie oddaje tego, co dostanie się już raz w jej spony. Poza tym bramy zostaną otwarte dopiero wtedy, gdy burza minie.

Kierowie spojrzeli na siebie.

— Skażecie naszych przyjaciół na śmierć — siwowłosy wojownik wyciągnął spod płaszcza sakiewkę. — Czego żądacie w zamian za to, że otworzycie dla nich jeszcze raz bramy?

Wartownik pokręcił powoli głową.

— Choć bardzo mi przykro z powodu tego, co spotkało waszych przyjaciół, bramy zostaną otwarte dopiero wtedy, gdy minie burza! I nic nie zmienią tu wasze pieniądze. Nie otworzylibyśmy ich nawet, gdyby stała przed nimi biała wiedźma we własnej osobie.

— A co z tą mniejszą furtą tutaj? — starszy wojownik wskazał na wąskie, niskie drzwi, które wpuszczone były w potężne skrzydło bramy.

— Także one pozostaną zamknięte! Możecie zdjąć rękę z miecza, wojowniku. Nawet przemocą nic nie osiągniecie. Poszukajcie sobie kwatery i uczcijcie śmierć waszych przyjaciół zgodnie z waszymi obyczajami. Nie pozostaje wam nic innego!

„Zbyt uparty, by zdechnąć pod pejezem, niewolny psie?!“ — W powietrzu slychać było jakiś dziwny szept, brzmiał zupełnie inaczej niż drwiący śmiech żołnierzy, dźwięczał w jego uszach, gdy przywiązywali go do ukośnej belki. Nie miał siły otworzyć oczu. Palce Jerdta wpiły się w jego gardło, zmusiły, by odchylił głowę do tyłu. — „Wciąż zbyt dumny, by żebrać o śmierć?“

Z wielkim trudem udało mu się wydostać z wiru żaru i pragnienia. Faktycznie coś dotknęło jego szyi, jego włosów. Wreszcie udało mu się otworzyć oko. Wiatr podrywał drobinki soli do góry, zamieniając otaczające go powietrze w mglistą biel. Odwrócił głowę — nozdrza Ired były tuż przy jego twarzy, parsknęła na niego. Jego członki zaczęły dygotać, gdy uświadomił sobie, że nie wisi przywiązany do karnego krzyża przed

namiotem dowódcy wojsk Jarata, rozgorączkowany w palącym południowym żarze, z Jerdtem trzymającym w rękę pejcza, u boku, lecz znajduje się na Pustyni Słonej. Sam z uzdrowicielką Lijanas, bez wody!

Sól paliła go w oko, usta i nos. Jego wzrok powędrował do przedniej nogi klaczy, którą trzymała ostrożnie uniesioną. Między pęciną a kolanem było głębokie cięcie, które lekko krwawiło. Kiedy się zraniła? Czy kiedy upadli, a może już wtedy, gdy załamała się pod nimi sól, tak czy owak, nie można było na niej teraz jechać. Jak kloda podciągnął się, trzymając strzemiona, na lopatce skóra była zdarta do mięsa. Rozwiązał popręg, ściągnął siodło z grzbietu Ired i rzucił je niedbale na ziemię. Potem zdjął jej uzdę — było to trudne przedsięwzięcie, gdyż cały czas nie mógł ruszać prawą ręką - a potem klepnął ją w szyję. Sama pewnie lepiej sobie poradzi.

- Biegnij! No już!

Uszy Ired drgnęły, uderzyła go lbem w bark, przez co o mało co nie stracił równowagi, i potarła czołem jego pierś. Zdumiony patrzył na swego rumaka. Jeszcze nigdy klacz nie zbliżyła się do niego tak bardzo, nie próbując przy tym go ugryźć lub kopnąć. Z uczuciem żalu zrobił krok w tył, próbując przegnać zwierzę, odpędzając je ręką. Ired parsknęła tylko i stała sobie spokojnie dalej.

Kręcąc głową, Mordan odwrócił się i przyklęknął przy uzdrowicielce. Oddychała powoli, ciężko, jednak oprócz rany na głowie i kilku zadrapań najwyraźniej nic jej nie było, mimo to wciąż nie odzyskiwała przytomności. Nie musiał być uzdrowicielem, by wiedzieć, że nie był to dobry znak. Na chwilę zanurzył twarz w rękawie swej tuniki, potem podniósł wzrok i spojrzał w błyszczącą przestrzeń. Pomiedzy zasłonami z solnej mgły i migoczącym żarem można było rozpoznać w dali ciemny cień — Góry Słone. I gdzieś w tym kierunku leżał też Cavallin. - „*Zbyt dumny, by zdechnąć pod pejczem*” — drwił wówczas Jerdt. Zdrowa ręka Mordana zacisnęła się w pięść.

Nie po to przetrwałem ze sto uderzeń pejcza, trzy dni na krzyżu i nawet tortury Arkella, żeby teraz umrzeć na tej przeklętej pustyni!

Buntowniczym ruchem podniósł głowę, poprawił swój *kereshtai*, który miał za pasem, wrzucił sobie z trudem na plecy wiotkie ciało uzdrowicielki i ruszył w drogę. Ired podążyła za nim, kulejąc.

Nie miał pojęcia, kiedy klacz *asbentai* przejęła prowadzenie. Już od dłuższego czasu oślepią ją sól wzbijana przez wiatr. Owinąwszy jej

grzywą zranioną rękę, szedł chwiejnie obok Ired, obejmując drugą ręką szczuple nadgarstki uzdrowicielki i przytrzymując jej delikatne ciało na swych plecach. Z czasem jej ciężar coraz częściej powalał go na kolana. Do tego wszystkiego stracił orientację i poczucie czasu. Kilka razy zdawało mu się, że wśród powiewających zasłon dostrzegł słupki graniczne szlaku handlowego do Cavallina, jednak potem sól znowu całkowicie zasłoniła widok i nie był już pewien, czy to nie jego umysł zaczął mu płatać figle, więc pozwolił Ired, by dalej decydowała, w którym iść kierunku.

Sól skleiła mu oczy. Widział już tylko blade smugi. Jego język był jak spleśniały strzępek materiału. Pragnienie paliło mu zmysły, otumaniało go tak, że słyszał drwiący śmiech Jerdta, głos Arkella, który rozkazywał mu czołgać się jak pies za jeden lyk wody, i słyszał wciąż słowa Jarata: „*Krew łączy się z krwią! Od dzisiaj ten tutaj jest moim synem!*”

Przy następnym kroku potknął się o jakąś nierówność, zachwiał, uderzając w łopatkę konia, odzyskał równowagę i chwycił mocniej, gdy nadgarstki uzdrowicielki zaczęły mu się wyslizgiwać. Przeciągnął ręce Lijanas przez swoje barki do przodu, głowa kobiety spoczywała na szyi Mordana, a ciężki oddech muskał jego opaloną szyję, gdy jej nogi tymczasem zwisały luźno, uderzając od czasu do czasu w buty Mordana. Wciąż jeszcze nie odzyskała przytomności.

Przechwycił go gwałtowny, porywisty podmuch wiatru i popchnął chwiejącego się kilka kroków dalej, aż nagle uderzył kolanem w skałę, potknął się i upadając, otarł łokieć o kamień. Przez chwilę klęczał w soli, przyciskając dłoń do szorstkiej ściany, z uzdrowicielką bez życia u boku i nie mógł uwierzyć w to, co mówiły mu wodzące po omacku palce - dotarli do Gór Słonych. Jednak było jeszcze za wcześnie, by odetchnąć. Musieli znaleźć bramy Cavallina, w przeciwnym razie burza zabije ich w ciągu kilku godzin. Przetarł pokrytą solną skorupą powiekę, zmrużył oczy, wpatrując się w smagający wiatr — równie dobrze mógłby spojrzeć swym okaleczonym okiem prosto w jasne światło; było to uczucie, jakby ktoś wlał mu między powieki trujący kwas. Syknąwszy z bólu, ukrył na uderzenie serca swą twarz po raz kolejny w rękawie swej tuniki. Walcząc z bólem, zanim wciągnął uzdrowicielkę z powrotem na plecy, przemógł się, stanął na nogach i ruszył chwiejnie przed siebie, wiodąc dłonią po chropowatej skale Gór Słonych.

Kiedy ostry kamień zamienił się wreszcie pod jego palcami w drewno, stracił już nadzieję. Burza szalala już z morderczą siłą, odbierając po-

wietrze, tak że nie można było oddychać. Sól pochłonęła ostatecznie słońce, zanurzając wszystko w mętным półmroku. Jedyne czysty upór trzymał go na nogach i kazał mu cały czas stawiać nogę za nogą. A potem pod jego dłoń pojawiło się nagle gładko heblowane drewno! Bramy Cavallina! Nareszcie! Upadł na kolana i zsunął uzdrowicielkę obok, na ziemię. Wraz z ulgą pojawiło się pragnienie, by poddać się wyczerpaniu, kiedy resztką sił uderzał w bramę. Nie było słyhać nic poza wyciem wiatru. Niezdarnie wyciągnął zza pasa swój sztylet, uderzył głowicą w drewno, i jeszcze raz, i jeszcze, i jeszcze, i jeszcze. Nic się nie poruszyło. Znowu uderzył w bramę — żadnej odpowiedzi. Jego palce rozwarły się wbrew jego woli, broń upadła na ziemię, dłoń zsunęła się po drewnie w dół, ostatnie, słabe uderzenie — nie! W jego krzyku wściekłość mieszała się z rozpaczą, nawalnica pochłonęła krzyk, śmiejąc się szyderczo. W końcu osunął się, oparłszy barki o bramę, wciągnął uzdrowicielkę w swe ramiona i ukrył jej głowę na swej piersi.

Ifea podciągnęła swego kwękającego synka, opartego na biodrze, wyżej i dalej trudziła się z wyciągnięciem ciężkiego wiadra z głębokiej studni. Sznur wyśliznął jej się z rąk, kiedy nienarodzone dziecko mocno ją kopnęło. Wiadro upadło z pluskiem z powrotem do wody, a Ifea zamknęła na chwilę oczy.

— Mam ci pomóc, siostrzyczko? — niemal widziała uśmiech brata. Jej synek klasnął z piskiem w rączki i chciał do wujka na ręce. Złapała go mocniej i podniosła powieki.

— Byłabym ci niezmiernie wdzięczna, Ismarze.

Na jej ustach pojawił się uśmiech. Jak zgrabnie wyglądał w mundurze strażników bram Cavallina, gdy tak stał oparty o luk bramy domu studziennego, z krótkim płaszczem przerzuconym przez ramię i mieczem u boku. Ależ była dumna ze swego brata bliźniaka, który został przyjęty w szeregi strażników; zaszczyt, jakiego nie każdy młody mężczyzna mógł dostąpić. Odeszła na bok, podając mu sznur. Pozornie bez wysiłku wciągnął wiadro i postawił je obok studni, zaczął drugie i przerzucił je przez krawędź w czeluść. Na dole szumiała i bulgotała rzeka. Masywna krata zapobiegała, by wiadro nie zostało zerwane ze sznura przez nurt rzeki i nie popłynęło do następnego, a może i kolejnego domu studziennego.

- Kiedy zaczynasz służbę? — zapytała, huśtając syna, który koniecznie chciał na ręce do wujka i płakał oburzony, ponieważ matka mu nie ustępowała.

- Za pół godziny. Zaniosę ci tę wodę jeszcze szybko do domu. Nie, nie martw się, nikt ze starszych nic nie powie, jeśli przyjdę chwilę później. Teraz, gdy na zewnątrz szaleje nawałnica, i tak nie otwiera się bram. Właściwie straż jest zupełnie zbędna, dopóki burza nie minie. No i proszę - postawił drugie wiadro na krawędzi studni i pomachał palcem przed nosem swego siostrzeńca, który zapiszczał na to z radości. — Musisz szybko podrosnąć, Docinie, żebyś pomagał mamie nosić wodę ze studni. Co tu tak obrzydliwie cuchnie? - Jej brat rozejrzał się, w powietrzu zawisł nagle smród przypominający rozkładające się mięso.

- Hau, hau — wykonał mały Docin na jej ramieniu i pisał wesoło. Zwróciła się w kierunku, w którym wyciągnął swe rączki i przerażona wciągnęła powietrze. W łuku bramy domu studziennego stała kreatura o pobłyskujących zielono oczach, z otwartym, charczącym pyskiem, z którego ciekła ślina. Kolejna kreatura skradała się wzdłuż murowanej, półokrągłej ściany, nie spuszczać z niej oka, a tymczasem trzecia przecisnęła się obok pierwszej i weszła do pomieszczenia. Cofnęła się, aż uderzyła w krawędź studni.

- Hau, hau - cieszył się synek. Usłyszała, jak obok niej brat wyciąga miecz z pochwy. Odór padliny wypełnił pomieszczenie i stał się nie do zniesienia. Bestie nagle skoczyły do przodu. Broń Ismara drgnęła w stronę jednej z nich, jednocześnie odsunął się. Ostrze rozcięło jej bok, stworzenie nie trafiło w swój cel, zamiast tego poszybowało niesione siłą własnego rozpędu przez krawędź studni, uderzyło w przeciwległy rant, jego pazury przez chwilę drapały kamień, szukając oparcia, potem zniknęło w czeluści, z wyciem przejmującym aż do szpiku kości. Ifea przycisnęła mocniej do siebie synka, który w międzyczasie zaczął płakać, złapała uchwyt wiadra i cisnęła nim w drugą bestię. Woda rozlała się po kamiennych płytach na podłodze. Stworzenie otrząsnęło się, drugie skoczyło z boku na Ismara, powaliło go na ziemię, usłyszała tępe chrupnięcie, gdy pękł mu kark. Pełna przerażenia wycofywała się wzdłuż ściany domu studziennego, żarzące oczy dwóch bestii stale wlepione były w nią i jej dziecko. Potwory rzuciły się na nią niemal równocześnie. Ifea zrobiła unik w bok, pazury rozszarpały kamienie w murze w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą była jej głowa...

Legatka Feniar w milczeniu wpatrywała się w pergamin, który trzymała w ręku, potem przenikliwym wzrokiem spojrziała na posłańca.

- To nie jest pismo mojego dowódcy ani jego pieczęć. Podlegam jedynie „Krwawemu Wilkowi”. A jego rozkazy mówią, że mamy pozostać przy południowej granicy, aż da inne rozporządzenia. Jak dowódcy Jerdtowi mogło przyjść do głowy, że zastosuję się do jakichkolwiek jego instrukcji? Powiedzcie mu: Centurie pod chorągwią dwugłowego wilka pozostaną, gdzie są, aż „mój” dowódca rozkaże mi coś innego!

Uśmiechając się delikatnie, posłaniec wyciągnął kolejne pismo ze swej torby.

- Może powinniście przeczytać to, zanim dacie mi odpowiedź dla dowódcy Jerdta.

- Co to jest? — Feniar wzięła od niego pergamin i dziękowała w duszy duchom zemsty, że „Krwawy Wilk” nalegał, by nauczyła się czytać. Ścisnęło ją w gardle. Bądź co bądź, zawsze rozpoznałaby pieczęć szykującego się do skoku tygrysa śnieżnego, pieczęć klanu królewskiego.

- Pismo króla Haffrena, które przekazuje centurie pod chorągwią dwugłowego wilka na czas nieobecności pierwszego dowódcy pod rozkazy dowódcy Jerdta.

- I dajecie mi to dopiero teraz, człowieku? - jej brązowo-szare oczy zwęziły się. — Co to ma znaczyć? Chcieliście wystawić na próbę moją lojalność? - oddała posłańcowi pergamin przez stół. - Powiedzcie dowódcy Jerdtowi, że zastosuję się do jego instrukcji i zwinę obóz. Centurie mojego dowódcy stawiają się natychmiast na wskazanym miejscu.

Posłaniec uśmiechnął się łaskawie, chowając pismo króla za pazuchę i opuszczając namiot legatki. Gdy tylko została sama, podniosła się ze swego krzesła i zaczęła chodzić niespokojnie po namiocie. To, że król Haffren przekazał oddziały jej pana pod dowództwo Jerdta i że natychmiast odwołał ich z granicy, nie mogło oznaczać nic dobrego. „Krwawy Wilk” musi się niezwłocznie o tym dowiedzieć! Jednakże nie wiedziała, jak może mu przekazać wiadomość. Od kiedy wezwano go do Turasu, nie otrzymała od niego żadnej wiadomości oprócz pisemnego rozkazu, by jego trzydzieści centurii do odwołania pozostało przy granicy, unikając możliwie wszelkiego kontaktu z wrogiem.



Wojownicy w milczeniu wnieśli do pomieszczenia nosze. Wiedział, co kryje się pod czarną chustą, a mimo to ściągnął ją. Ciało było niemal posiekane na kawałki od uderzeń miecza, jednak twarz była nietknięta. Wyciągnął drżące palce w kierunku tak dobrze mu znanej twarzy — twarzy jego brata Kedara, która pod jego dłonią zmieniła się w rysy jego siostrzeńca. Szare, martwe oczy Ahmeera wpatrywały się w niego. Z jego gardła wydobył się bolesny jęk... i obudził go ze snu. Starając się wyrównać oddech, Rusan usiadł, wciąż jeszcze oszołomiony. Od kiedy Ahmeer wyruszył, by uwolnić swą narzeczoną z rąk „Krwawego Wilka”, co noc dręczył go ten sam koszmar, wciąż na nowo przeżywał dzień, kiedy przywieziono do Anshary zwłoki jego brata. Powoli zdał sobie sprawę, że palce trzyma mocno zacisnięte na swojej połowie amuletu; amuletu, którego drugą część posiadał Kedar i która nie odnalazła się od czasu, gdy go zamordowano. Prawdopodobnie ukradła go jedna z tych kierskich bestii, kiedy jego ciało było jeszcze ciepłe. Na krótką chwilę jeszcze raz zacisnął palce na przedmiocie, potem powoli je otworzył. Szafirowy klejnot uchwycił światło trzech księżyców i rozblysnął. Zamyślony przesunął po nim kciukiem. Od setek zim znajdował się w posiadaniu jego rodu. Złoto pociemniało od starości, misterną grawiurę ledwie można było rozpoznać od częstego dotykania palcami. Początkowo amulet miał wielkość złotej monety — okrągły, płaski, zeszlifowany szafir oprawiony szeroką na palec obwódką ze złota. Już dawno zapomniano, co oznaczały splecione ze sobą znaki, które go zdobiły. Właściwie klejnot był przekazywany przez ojca najstarszemu synowi i następcy tronu. Lecz Kedar kazał przedzielić go na pół, kiedy ich ojciec mianował jego — Rusana dowódcą wojska i wysłał na pierwszą wyprawę przeciw Kierom. Miał go chronić i przynieść mu szczęście. Jego

usta wykrzywiły się gorzko. Tego dnia Kedar odprowadził go kawalek, za granice miasta. Pamiętał jeszcze śmiech, z którym brat groził mu, że podąży za nim w bezkresne labirynty i wyrwie go stamtąd, gdyby odważył dać się zabić Kierom, nim wraz ze swą przyboczną strażą ruszył galopem w drogę powrotną do miasta - nigdy tam nie dotarł.

Jego palce ponownie zacisnęły się na amulecie. Wychowano go na wojownika, miał być tarczą swego brata, który kiedyś miał zostać księciem Nivardów — i zawiódł. Gdyby Kedar nie opuścił wówczas miasta, by w spokoju się z nim pożegnać... Powoli pokręcił głową. Ponieważ Rusan nalegał, ojciec próbował wymienić braci, jednak bez sukcesu. Kedar pozostał więźniem w Turasie.

Początkowo jedynie sporadycznie słyszeli coś na jego temat. Zazwyczaj opowieści kupców, którzy utrzymywali, jakoby widzieli go na szczytach zamku na skale, mocno strzeżonego. Jednak potem, gdy zmarł król Rayon i tron objęła jego córka Naisee, coraz częściej dostarczano listy od Kedara. Rusan nie wiedział, o czym brat pisał do ojca, lecz w wersach, które skierowane były bezpośrednio do niego, słychać było nadzieję. Zdjęto mu łańcuchy i pozwolono swobodnie poruszać się wewnątrz murów Turasu, choć w dalszym ciągu w towarzystwie straży. Czasami królowa Naisee zapraszała go, by towarzyszył jej w czasie przejażdżki konnej czy spaceru. Kedar opisywał młodą władczynię Kierów jako kobietę, która chce skończyć z zabijaniem i jest dość silna, by przeciwstawić się doradcom i zrealizować swą wolę.

Coraz częściej do siebie pisali — Kedar był ciekaw wiadomości z Anshary — a posłaniec, który dostarczał listy, donosił nawet, że wpuszczono go do księcia, który w międzyczasie otrzymał zamiast nędznego, przewiewnego lochu w wieży, komnatę odpowiadającą jego stanowi. Mijała trzecia zima jego niewoli, a wraz z upływem czasu zmieniał się ton listów Kedara. Rusan coraz częściej miał wrażenie, że brat chciał go o czymś poinformować, ale nie odważył się tego napisać w obawie, że ktoś mógłby to przeczytać. W dalszym ciągu mówił o tym, że królowa Naisee zamierza wreszcie zaprowadzić pokój między obydwojma ludami. Potem przyszedł ten list, w którym Kedar zapowiadał, że pokój jest już w zasięgu ręki i że być może do zimy będzie zastaw za niego. To był ostatni raz, gdy słyszał coś o swym bracie. Tej jesieni zmarł ich ojciec i Rusan przesłał Kedarowi, który był teraz księciem Nivardów, tę smutną wiadomość wraz z eskortą najlepszych wojowników, którzy mieli mu towarzyszyć do Anshary.

Z pięćdziesięciu ludzi wróciło trzech. Przywieźli zwłoki jego brata do domu. W drodze powrotnej do Anschary wpadli w zasadzkę Kierów, którzy wymordowali jego i pozostałych. Przy marach Kedara poprzysiągł zemstę na królowej Naisee i jej klanie. Nigdy nie będzie pokoju między Kierami i Nivardami!

Odczuł gorzką satysfakcję, gdy kilka tygodni później dowiedział się, że władczyni Kier niedługo po zamordowaniu jego brata postradała zmysły. Od tego dnia panował zamiast niej jej małżonek Haffren.

Rusan podniósł się i podszedł do okna. W dali nocne niebo rozświetlone było żarem płonących wysp. Lęk, że także Ahmeera przyniosą mu do domu przykrytego płótnem, prześladował go każdej godziny.

Umilkło wycie. Cisza!

Gdzie ja jestem?

Jej powieki były ciężkie i nie chciały się podnieść. Oczy piekły i natychmiast zaczęły łzawić. Szare, ciosane skały sklepiały się nad jej głową, tworząc sufit pokoju. Pod sobą wyczuła chłodne płótno i miękkie posianie. Wraz ze świadomością wrócił ból. Jej skóra piekła i swędziała. Gardło było szorstkie i przelykanie śliny sprawiało ból. W głowie czuła tępy huk.

Co się stało? Skąd się tu wzięłam?

Usiadła z trudem. Kołatanie nasiliło się na krótką chwilę, jednak potem znowu zelzało i zrobiło się znośne. Wciąż jeszcze trochę oszłomiona obejrzała swoje ciało, potem jej wzrok rozpoczął wędrówkę po pomieszczeniu. Miała na sobie długą koszulę z jasnobrązowego płótna, trochę za dużą, sądząc po osadzeniu rękawów. Miękką wełnianą kołdrą zsunęła się do połowy i zwisała z jednej strony łóżka. Pokój wydawał się cały wykuty w skałę; podłoga, sufit, ściany — wszystko było z szarego kamienia, tylko trochę wygładzonego, przez który prześwitywały żyłki innej skały. W wąskich, wrytych w ścianach niszach stały miedziane czarki wypełnione oliwą, zastępujące najwyraźniej świece. Nad dwiema z nich unosiły się płomyki, pograżając wszystko w łagodnym półmroku. W ścianie, po prawej stronie, od szarości skały odcinało się jasne drewno drzwi, a naprzeciw nich wykute było okno, zwieńczone łukiem, dające widok na wewnętrzny dziedziniec. Z zewnątrz dobiegały stłumione głosy

oraz parskanie i przestępowanie z nogi na nogę koni. Na trzeciej ścianie pomieszczenia znajdowało się duże półokrągłe palenisko wkute w masywną skalę; duża miedziana misa wpuszczona była w podłogę, a przy ścianie obok stała wysoka amfora. Na podłodze, pod ścianą, leżały torby juczne i worki, stal też barbarzyńsko wyglądający topór wojenny z długim, wygiętym ostrzem zwróconym do ściany, a po drugiej stronie oparte były kusza i skórzany kolczan. Szybko jeszcze raz ogarnęła wzrokiem pomieszczenie. Rzucona niedbale na trójnogi stolec tunika, zwinięty ręcznik na małym stoliku przy oknie, obok miski z wodą i dzbanka z polerowanego mosiądzu, a także używany kubek — wszystkie te rzeczy zdradzały, że ktoś jeszcze oprócz niej korzystał z tego pomieszczenia. — *Kto?* — z pragnienia drapało ją w gardle. Jej wzrok powędrował ku dzbankowi na wodę, jeszcze chwila wahania i spuściła nogi z łóżka. Poczula, jak jej bose stopy zatapiają się w gęstym wełnianym dywanie, i zatrzymała się, cicho pojękując, gdy nagle zakręciło jej się w głowie. Palce dotknęły pulsującego czoła i wyczuły płótno opatrunku.

Gdybym tylko mogła sobie przypomnieć, co się stało?! — ale w jej głowie były jedynie rozmazane strzępki obrazów. Polyskująca, oślepiająca biel, którą nagle pochłonęła ciemność. Dłonie, które chwyciły ją i podciągnęły do góry. Czerń przenikana, raz po raz, przez jaskrawą jasność. Pragnienie. Ramiona, które przyciągnęły ją do piersi i poczucie bezpieczeństwa. Ciemność, w której znowu chwyciły ją dłonie, wydawało jej się, że unosi się w powietrzu. Cisza. I potem ten pokój.

Gdy wreszcie ustąpiły zawroty głowy, wstała niepewnie i poczłapała do stołu. Dzban był pusty. Rozczarowana rozejrzała się dokoła, potem, chwiejąc się, podeszła do drzwi. Przy ścianie musiała się zatrzymać i oprzeć na kilka chwil, zanim odważyła się nacisnąć klamkę i wyjść z pokoju. Weszła w wąski korytarz. Także tutaj: szary kamień. W niszach ściennych płonęły kaganki, roztaczając przyjemną jasność, podłoga pod jej stopami była zimna. Cały czas chwiejąc się na nogach, poruszała się wzdłuż ściany do schodów na końcu korytarza. Kamiennie stopnie prowadziły w dół, skąd słychać było brzęk naczyń. Huk w głowie narastał, przeszedł we wściekle dudnienie. Bezradna obejrzała się za siebie — drzwi jej pokoju wydawały się być nieskończenie daleko, podłoga falowała pod jej stopami. Pragnienie nie pozwalało jej zawrócić do łóżka. Obróciła się z powrotem w stronę schodów i szła, przytrzymując się obydwoma rękoma ściany,

krok za krokiem na dół, bojaźliwie skoncentrowana na tym, by nie potknąć się lub nie upaść.

Kiedy dotarła wreszcie do końca schodów, było jej niedobrze i kręciło się jej w głowie. Pojękując cicho, osunęła się po ścianie na ziemię i usiadła na najniższym schodku. Wszystko wokół niej się chwiało.

Tylko na chwilę zamknę oczy! Żeby się uspokoiło!

Naciągnęła koszulę, przykrywając nogi aż po kostki i oparła głowę na splecionych ramionach.

- Na wszystkie laskawe dusze przodków, co wy też robicie tu, na dole? Jeśli wasz małżonek znajdzie was tutaj, dostanie się nam obul!

Te słowa wyrwały ją z oszłomienia i podniosła głowę.

- Chce mi się pić! — z jej ust dobiegł jedynie cichy skrzek.

- Ach, biedactwo, macie taki sam głos jak wasz mąż, kiedy po raz pierwszy otworzył usta. Uzdrowiciel powiedział, że nie obudzicie się do wieczora. Chciałam wam później zanieść świeżą wodę na górę! Usiądziemy przy ciepłym piecu, damy wam kubek źródlanej wody, a potem dostaniecie jeszcze talerz pożywnego rosolu. Chcemy przecież, żebyście szybko odzyskali siły, prawda?

Kobieta, która ostrożnie pomogła jej wstać i poprowadziła ją przez drzwi obok schodów do przestronnej kuchni w skale poruszała się jak kwoka, a jej ciało przypominało sztachtetę w płocie. Została usadowiona na kamiennej ławie przy piecu, jej bose stopy owinięto chustą, na ramionach położono koc, potem wciśnięto jej w wycięczone ręce drewniany kubek. Woda miała świeży i chłodny smak. Lijanas piła tak łapczywie, że po brodzie płynęły jej cienkie strużki, a gdy tylko opróżniła kubek, podała go znowu kobiecie.

- Jeszcze! Proszę! — otarła wierzchem dłoni usta i natychmiast tego pożałowała, ponieważ zabolalo. Kręcąc bez słowa głową, kobieta nalala jej jeszcze raz wody.

- Pijcie powoli! - upomniała ją uprzejmie i poprawiła koc. - Nie chcemy, żeby zrobiło się wam niedobrze i byście musieli wymiotować.

Gdy kubek tym razem został opróżniony, zastąpiła go drewniana misa wypełniona rozkosznie pachnącym rosolem, nad którym unosiła się para. Nie czekając, aż kobieta poda jej łyżkę, podniosła misę do ust, podmuchała i ostrożnie spróbowała. Rosół smakował jeszcze lepiej niż pachniał i obudził jej głód. Bulion zniknął bardzo szybko.

- Ile dni byłam nieprzytomna? - odważyła się zapytać, gdy kobieta zabrała miskę z jej rąk i podeszła do pieca, by ją znów napelnić.

- Prawie trzy dni.

Chochla zawisła nad garnkiem, gdy kobieta na nią spojrzała.

- I możecie się cieszyć, że jeszcze żyjecie, gdyż zazwyczaj strażę nie otwierają bram, gdy rozpęta się burza solna. Słyszałam, że przyjaciele waszego małżonka przymusili wartowników bronią, by otworzyli bramy, i wypadli na zewnątrz, prosto w zamieć, by wprowadzić jego, was i konia. Biedne stworzenie. Sól mocno zraniła jego przednią nogę. Ledwie zdołało dojść tutaj od bram.

W jej głowie pojawiła się jakaś myśl sprzeciwu, ale obolały umysł nie zdołał jej uchwycić. Z wdzięcznością wzięła miskę z rąk kobiety i znowu podmuchała rosół. Tym razem użyła łyżki.

- Przyprawdzili was i waszego męża tutaj, do mojego domu, ponieważ w innych gospodach nie było już miejsca albo nie chcieli przyjąć Kierów.

W jej głowie odezwał się jakiś głos, nie zrozumiała go.

- Jego przyjaciele sprowadzili potem uzdrowiciela, który zajął się wami obydwójmiem. Mocno uderzyliście się w głowę i bardzo się o was martwili. Nikt się nie spodziewał, że zdołacie już dzisiaj otworzyć oczy... - kobieta spojrzała na nią zamyślona i wytarła ręce ścierką. - Nie mówiąc o tym, że uda się wam opuścić łóżko. No! A teraz pójdę i powiem waszemu mężowi, że się obudziliście. On jest na nogach już od przedwczoraj. Jest z nim teraz już całkiem dobrze... Pomyśleć, jest tylko w kilku miejscach poparzony na twarzy od soli i ta rana na dłoni i ramieniu — wzdrygnęła się - okropna. Przynajmniej może już poruszać palcami. Ucieszy się...

- Nie mam męża! - zniechęta pojawiła się pewność. Jej słowa spowodowały, że kobieta nagle umilkła. Spojrzała na nią ze współczuciem.

- Ach, biedactwo! Uzdrowiciel mówił, że może się to zdarzyć, po tym uderzeniu w głowę. I można by pomyśleć, że coś się tu nie zgadza — wojownik Kier i młoda Nivardka - kobieta pokręciła głową. - Ale kiedy się popatrzy, jak on się o was troszczy. Przez całą drogę przez solną pustynię niósł was na swoich plecach. I wyobraźcie sobie, że odzyskał przytomność z waszym imieniem na ustach. Więc jeśli nie można tu mówić o miłości...

- Nie mam męża! - upierała się, dotykając dłonią bolącej czaszki.

A może?

Kobieta otuliła ją ramieniem jak matka.

— Wiecie, co teraz zrobimy? Pójdę i sprowadzę tu waszego małżonka! Poczekajcie tylko chwilę. Kiedy go zobaczycie, na pewno zaraz wszystko sobie przypomnicie.

- Nie, ja...

Tym razem kobieta pogłaskała ją uspokajająco po ramieniu.

— Bez obaw! Wszystko będzie dobrze. Poczekajcie tutaj! Zaraz będę z powrotem! — Szybkim krokiem kobieta opuściła pomieszczenie.

Podciągnęła nogi i oplotła je ramionami.

Nie jestem żamężna! A może jednak? Nie! Gdybym była, musiałabym to pamiętać! Jestem zakochana, tak, ale nie w Kierze! Dlaczego nie mogę sobie przypomnieć jego imienia? A jeśli to przez uderzenie w głowę nie pamiętam? Nie! Nie! Co się tutaj dzieje? Nie jestem żamężna! A może?

Z jękiem przycisnęła czoło do zgiętych kolan. Miała wrażenie, że zaraz pęknie jej głowa. Z bólu łzy napłynęły jej do oczu. Siedziała zupełnie bez ruchu, starając się nie myśleć, aż zbliżyły się głosy i kroki, wtedy jej kostki dotknęła czyjaś ręka.

— Lijanas?

Kiedy usłyszała swe imię, naraz wszystko przed nią stanęło. Wraz z ulgą pojawiło się w niej jeszcze inne uczucie...

Powoli podniosła głowę i spojrzała na człowieka, który klęczał przy ławce obok pieca, spoglądając na nią swym okiem w kolorze burzowego nieba — i uderzyła go z całej siły w twarz! Choć w pierwszej chwili był oszolomiony, nie pozwolił na drugi cios. Chwycił jej dłonie, powstrzymując przed kolejnym atakiem.

- Plugawy kłamco! Nie dotykajcie mnie! - wykrzyczała te słowa, próbując uwolnić się z jego rąk. Jedyne kątem oka zarejestrowała biel opatrunku na jego dłoni i to, że skóra schodziła mu na twarzy płatami. - Nie jestem waszą żoną! Co wam przyszło do głowy, by tak twierdzić? Przekłety bękarciu! Puśćcie mnie! Wiecie właściwie, coście mi zrobili? Myślałam, że postradałam zmysły! Puszczajcie, obrzydliwy draniu!

Wstał, podnosząc również ją na nogi, zupełnie niewzruszony jej wiciem się.

- Uprowadziliście mnie z Anschary! Jestem waszym jeńcem, nie żoną! Macie mnie puścić, Kierze! Chcę...

Jego dłonie otworzyły się tak nieoczekiwanie, że straciła równowagę i z krzykiem upadła na podłogę. Pochylił się nad nią, zasłaniając widok

stojącej przy drzwiach przestraszonej kobiecie. Gniew na jego twarzy spowodował, że wstrzymała oddech.

— Jeszcze słowo, uzdrowicielko, a pożałujecie tego! — syknął prawie niesłyszalnie, zanim się wyprostował i o wiele głośniej mówił dalej. - Wciąż jesteście w szoku po tych trudach i upadku. Zaniósę was na górę, żebyście mogli się położyć i odpocząć. Potem wrócimy do naszej rozmowy. Jestem pewny, że wszystko sobie znowu przypomnicie. — Wsunął pod nią ramiona i podniósł ją.

— Nie! Puszczajcie mnie! Nie chcę! Wypuście mnie!

Z całej siły zaparła się o jego klatkę piersiową, machając nogami, żeby się oswobodzić. Ścisnął ją mocniej.

— Spokój! — to słowo było jedynie sykiem. Na mrugnięcie powieki za wargami blysnęły kły.

Przeszedł przez kuchnię, mijając z przeproszającym uśmiechem stojącą wciąż jak kamień przy drzwiach kobietę i wszedł po schodach, trzymając wijącą się i krzyczącą uzdrowicielkę bardziej pod pachą niż na ramieniu. Dopiero na końcu schodów postawił ją, złapał mocno za kark, popchnął przed siebie, wzdłuż korytarza i przez drzwi jej pokoju, zamknął je energicznie za sobą i patrzył na nią w ciepłym blasku kaganków, milcząco lodowato, trwało to chwilę, dwie, trzy chwile, przeciągało się w wieczność.

— Chcę stąd wyjść! - próba przejścia obok niego skończyła się dla Lijanas żałośnie, ponieważ oparł rękę o drzwi, zagradzając jej drogę. — Pozwólcie mi przejść! Muszę zobaczyć, co z Levanem!

— Z Levanem wszystko w porządku. Najwyraźniej wypalenie ran podziałało. Kiedy doszedłem do siebie, on był już na nogach - oderwał się od drzwi i zbliżył do niej z groźną miną. — Opuśćcie ten pokój dopiero wtedy, gdy obydwójce wyjaśnimy sobie kilka rzeczy, uzdrowicielko.

Lijanas chciała zrobić unik, jego dłoń zacisnęła się na jej gardle.

— Nie chcę po raz drugi przeżyć czegoś podobnego do tego, co miało miejsce w kuchni. Nie będziecie więcej próbować mnie odpychać, kiedy was dotknę. Biada wam, jeśli zaprzeczycie, że jesteście moją żoną. Uchodzimy tu za parę małżeńską i dokładnie tak będziemy się zachowywać.

— Nie! — wyrwała się gwałtownie, jego paznokcie zadrapały jej skórę. - Nie będę grać w waszą grę! Jeśli jeszcze raz mnie dotkniecie, zacznę krzyczeć i przysięgam wam...

Przy następnym mrugnięciu powieki chwycił ją i cisnął na łóżko, potem położył się na niej, wciskając jej dłonie po obu stronach głowy

w poduszki. Jego ciężar na jej ciele uniemożliwiał jakikolwiek opór. Dysząc z przerażenia, leżała tak, nie mogąc wydobyć z siebie najmniejszego dźwięku.

— Będziecie grać w moją grę, bo jeśli tego nie zrobicie, pożałujecie. Pozwolicie, żebym was dotykał, całował, żebym poza tym pokojem robił z wami wszystko, co mąż robiłby z żoną, poza tym pokojem. Będziecie się do mnie zwracać po imieniu, patrzeć na mnie zakochanym spojrzeniem i będziecie mi posłuszną!

— Nigdy! Nie możecie mnie zmusić, bym grała waszą żonę!

— Och, ależ oczywiście, że mogę! — pochylił się nad nią bardziej. Poczula jego opięte skórą udo na swej nagiej skórze i znieruchomiała. Czula jego oddech na swej twarzy, zza warg widać było jego polyskujące kły. - Bo jeśli nie zrobicie tego, co mówię, zbiję was na kwaśne jabłko i spędzicie swe dni w Cavallinie z rękoma i nogami przywiązanymi do tego łóżka, z kneblem w waszych ślicznych ustach — do mojej nieograniczonej dyspozycji!

— Ta kobieta na dole wejdzie do tego pokoju, a kiedy zobaczy, co ze mną robicie, zacznie zadawać pytania - syknęła na to Lijanas, próbując unieść głowę nad poduszkę.

— Na pewno to zrobi. Wiecie, ona ma córkę... A nie chciałbym, żeby ta mała została sierotą po tym, jak poprzedniego lata straciła ojca. Ale jeśli mnie do tego zmusicie...

Przerażona wciągnęła powietrze.

— Nie odważycie się!

— Możecie się przekonać, jeśli jesteście tak pewni!

Drżąc na całym ciele, Lijanas odwróciła twarz. Byłby zdolny to zrobić, bez wątpienia.

— Więc, uzdrowicielko, jaka jest wasza decyzja? Chcecie spędzić czas w Cavallinie jako rozpieszczana żona wojownika czy dalej być moim jeńcem?

— Napawacie mnie wstrętem, Kierze! Kiedy jesteście blisko, świerzbi mnie skóra! Nie mogę znieść waszego dotyku... — rzucała w stronę ściany.

Jedną ręką chwycił jej nadgarstki, ujął ją za podbródek i zmusił, by spojrziała na niego.

— Może powinniśmy trochę poćwiczyć, żebyście mogli łatwiej znieść kontakt ze mną...

Jego głos ucichł, gdy swobodną ręką muskał ją od brody do gardła. Lijanas rzuciła się pod nim, chciała krzyknąć, wtedy jego wargi zamknęły szorstko jej usta, odbierając oddech. Wyla się, kopała, a on cały czas ją trzymał. Nagle puścił jej ręce, zanurzając mocno palce w jej włosach. Daremnie bębniła pięściami w jego pierś. Jego pocałunek był brutalny i bezpardonowy, aż naraz zmienił się i jego wargi stały się miękkie. Wciąż jeszcze jego usta były żadne odwzajemnienia, jednak w jakiś dziwny sposób równocześnie delikatne. Zrozpaczona wpiła mu paznokcie w kark, wbijając zęby w wargę. Oderwał się od niej raptownie i wstał szybko. Lijanas otarła z obrzydzeniem usta, patrząc na niego wściekle i przesunęła się w górny koniec łóżka, gdy on tymczasem przeciągnął sobie ręką po włosach i dziwnie zdyszany, zrobił krok w tył. Dotknął palcami ust, wpatrując się przez chwilę w krew, która została na opuszkach i wytarł ją potem niedbale.

— To nie było zbyt mile, najdroższa małżonko. Za to powinienem wam dać posmakować pejcza, nie sądzicie?

Lijanas przycisnęła plecy do ściany, naciągając koszulę jak najmocniej na nogi. Potem na jego twarzy znowu pojawił się ten drwiący grymas, który tak dobrze знаła.

- Wyjątkowo okażę wam łaskę, ponieważ musicie się dopiero przyzwyczaić do naszego małżeństwa. — Pochylił się nad nią, opierając ręce o mur po obydwu stronach jej głowy. — Ale jeśli zrobicie coś takiego jeszcze raz, poczujecie bicz. Zrozumieliśmy się? - Nie czekając na odpowiedź, wyprostował się znowu. - A teraz, droga małżonko, zostawię was samą, żebyście jeszcze trochę odpoczęli. Bądź co bądź, zraniliście się poważnie w głowę. Pozostaniecie w tym pokoju, aż po was przyjdę, i uspokójcie się, żebyście mogli pani tego domu - tak w ogóle na imię jej Fadera — opowiedzieć przy kolacji, że to wszystko to straszne nieporozumienie i że przypomnieliście sobie już mnie i nasze małżeństwo. Bylbym zapomniał, gdybyście nosili się z myślą, by stąd uciec... Nie zapominajcie, że poza murami w dalszym ciągu szaleje burza solna... — skłoniwszy się drwiąco, opuścił pokój.

Lijanas nie mogła się powstrzymać i ze złości, i z rozpaczyci rzuciła za nim poduszkę. Ta odbiła się nieszkodliwie od drzwi.

Na jej policzkach nagle pojawiły się lzy, szlochając skryła twarz w ramionach i zwinęła się w kłębek pośród skotlowanych koców. Poczucie bezradności wypełniło jej brzuch jak ogromna gruda, a złośliwy głos chi-

chotał, że, rak czy owak, zdana jest na łaskę i nielaskę tego Kiera, po co więc dalej się bronić. Przytulila się do poduszki i zapłakała cicho.

Jakiś czas później przestraszyło ją pukanie.

— Kto tam? - słowa ledwie było słyhać.

— To ja, Fadera. Chciałabym z wami porozmawiać.

Szybko usiadła i otarła policzki, by zmasać zdradzieckie ślady łez.

— Wejdźcie!

Drzwi otworzyły się powoli i do środka wsunęła się mała postać z dzbanem w rękach. Zaraz za nią weszła Fadera, trzymając jedną dłoń na delikatnym ramieniu dziewczynki stojącej przed nią, na drugiej ręce trzymała prostą brązową szatę.

— To moja córka Alejna. Alejna, postaw dzban na stole i przywitaj się z naszym gościem.

Dziecko posłuchało w milczeniu, wlepiając swe duże ciemne oczy w Lijanas. Ta uśmiechnęła się do dziewczynki.

— Alejna to piękne imię. Mam nadzieję, że to nie jest twój pokój?

Twarz dziecka pozostała zupełnie bez wyrazu. Zakłopotana spojrziała na Faderę.

— Nie gniewajcie się, że nie odpowiada — kobieta pogłaskała czule blond warkocz swej córki. — Ona nie mówi — z jej ust wymknęło się ciche westchnienie. — Od kiedy jej ojciec zginął zeszłego lata w pożarze, nie odezwała się ani słowem. Idź i poszukaj Fywuscha, Alejno. Żeby nie wpadł pod końskie kopyta.

Mała wymknęła się przez drzwi niemal bezszelestnie.

— Plakaliście! — Fadera położyła szatę na łóżku i usiadła, bez pytania, obok Lijanas. — Jest aż tak źle? — objęła młodą kobietę ramieniem, przypatrując się jej wnikliwie. — Czy on coś wam zrobił? Jesteśmy same. O czymkolwiek mi powiecie, on się o tym nie dowie. Obiecuję wam.

Och donie się, jakoś się donie, a wtedy was zabije — z trudem Lijanas powstrzymała lzy palące jej oczy i pokręciła głową.

— Nie, nic mi nie zrobił — uśmiechnęła się żałośnie. — To tylko..., to wszystko..., to trochę za dużo na raz.

— Jesteście pewni? — znowu została wnikliwie zmierzona wzrokiem, znowu pokręciła głową. Na twarzy Fadery pojawiła się ulga. - To dobrze. Kiedy zaczęliście w kuchni krzyczeć i rzucać się, naprawdę pomyślałam... Jednak tak nie jest.

Jeszcze raz mocno przytulila Lijanas, potem wstała.

— Dobrze, a teraz chcemy się trochę przygotować do kolacji. Nie możecie siąść do stołu z pięcioma Kierami jedynie w koszuli, nawet jeśli jeden z nich jest waszym mężem — podniosła suknię z łóżka i pokazała jej. — Pożyczyłam to dla was od sąsiadki. Jej najstarsza córka jest mniej więcej waszej postury. Tylko dlaczego ta dziewczyna nosi zawsze tylko brązy...

— A co się stało z moimi rzeczami? — Lijanas podniosła się powoli. Cały czas kręciło się jej w głowie.

— Wrzuciłam je do pudła z lachmanami. To były już same strzępy. Mam nadzieję, że nie była to wasza ulubiona suknia? — Fadera ujęła ją za ramię i poprowadziła ostrożnie do stolika.

Właśnie, że była. A poza tym to był prezent.

— Spójrzcie tylko! Mężczyźni! Wszędzie rozwalają swoje rzeczy — cmoknęła poirytowana, zdjęła czarną tunikę z siedzenia i odłożyła ją na bok, kręcąc głową. — Wiem, jeszcze krótko jesteście małżeństwem, ale im wcześniej zaczniecie wychowywać swego męża, tym lepiej. O, tutaj! Usiądźcie, pomogę wam wydostać się z tego worka. — Fadera ściągnęła Lijanas koszulę przez głowę, potem nalala wody do miski, sprawdziła temperaturę i pokiwała głową z zadowoleniem. — Bardzo dobrze, jeszcze ciepła. Dacie radę sami się umyć? Tak? Pięknie, ale pozwólcie, że najpierw zajmę się tym opatrunkiem.

Bardzo ostrożnie odwinęła pasek płótna z głowy Lijanas i pochyliła się do przodu, by przyjrzeć się ranie.

— Cóż, mogło być gorzej — stwierdziła, wzdychając ze współczuciem. Potem wyjęła z kieszeni małe lustro. — Tutaj. Zobaczcie sami.

Podala jej wypolerowaną srebrną płytę. Drżącymi palcami Lijanas wzięła od niej lustro, obejrzała się i zacisnęła wargi, żeby nie jęknąć. Błyszczący strup ciągnął się od skroni w dół, prawie do kości policzkowej. Zostanie blizna. Poczula na swym ramieniu pocieszającą dłoń Fadery.

— Teraz najpierw się umyć, a kiedy się ubierzecie, uczeszę wam włosy. Zobaczmy, czy uda nam się sprawić, że chłopcy otworzą usta ze zdumienia, gdy zobaczą was przy kolacji.

Jak uwięziona w jakimś koszmarze, Lijanas robiła to, co mówiła kobieta. Sukienka okazała się za szeroka, co Faderze udało się ukryć kilkoma zręcznymi ruchami. Potem siedziała spokojnie na stolku podczas czesania włosów. W jej głowie kołatały się tylko dwie myśli:

Pozostanie okropna blizna! Co powie Abmeer, kiedy mnie zobaczy?

Drgnęła, gdy Fadera znowu podała jej lusterko. Z wielkim wahaniem odważyła się spojrzeć na siebie w wypolerowanym srebrze. Po stronie, gdzie była rana, włosy zaczesane były na skroni do przodu, tak że prawie nie było jej widać. Mimo to między kosmykami prześwitywał strup.

Wygładam strasznie.

Nagle w jej oczach pojawiły się łzy. Karcącym tonem Fadera obróciła ją do siebie i ujęła delikatnie za podbródek.

- No, no! Nie jest wcale tak źle! Poczekaście, aż odpadnie strup, wtedy pod włosami nic już nie będzie widać. Wciąż ładna z was dziewczyna, wierzcie mi! Przyszykujcie się... — zamilkła, gdy otworzyły się drzwi. Mordan stał we framudze i spoglądał czujnie to na jedną, to na drugą.

- Coś się stało?

- Nie, wszystko w porządku, wojowniku. Pomogłam tylko ubrać się waszej żonie.

Lijanas poczuła, jak Fadera jeszcze raz ścisnęła jej ramię, próbując dodać jej odwagi, potem podniosła ją ze stolka i popchnęła na środek pokoju.

- No, co powiecie? - nie odważyła się spojrzeć na niego.

Mordan milczał. Wreszcie Fadera odezwała się nieswojo.

- Próbowaliśmy ukryć ranę na skroni pod włosami. Ona się boi, że nie będzie się wam teraz podobać, wojowniku. - Milczenie wróciło. Zamknęła oczy.

- Mężczyzna, który ocenia ostrze tylko ze względu na jego zewnętrzne piękno, jest głupcem. Jedyne stal, z której jest zrobione, decyduje o jego jakości. — Na te słowa Lijanas podniosła powoli głowę, patrząc na niego zaskoczona, kiedy zrozumiała, że właśnie zrobił jej swego rodzaju komplement. - *Tak! I zrobił to pewnie tylko dlatego, że jest tu Fadera.* - Zaciśnęła gorzko usta, siląc się na uśmiech.

Kobieta obdarzyła Mordana promiennym uśmiechem i popchnęła ją jeszcze kawalek w jego stronę.

- Możecie ją już sprowadzić na dół, wojowniku. Kolacja zaraz będzie na stole. — Z tymi słowy przeszła obok niego, szepnąwszy mu jeszcze: — Bądźcie dla niej delikatni! — i zniknęła w korytarzu. Bez słowa zaoferował Lijanas ramię. Ostatnia chwila wahania, potem wzięła go pod rękę i pozwoliła wyprowadzić się z pokoju.

Byłoby zbyt łatwo, gdyby faktycznie po prostu straciła pamięć — ta myśl nie opuszczała Mordana, od kiedy Fadera przyszła po niego po południu do stajni ze słowami:

— Wasza żona się obudziła! Siedzi u mnie w kuchni, ale mówi, że nie jesteście małżeństwem.

Mógł mówić o szczęściu, że uwierzyła w słowa uzdrowiciela, iż uderzenie w głowę może pozbawić daną osobę wspomnień o niezbyt oddalonych w czasie wydarzeniach. W przeciwnym razie pewnie od razu po tej scenie posłałaby po straż miejską, żeby pojmali jego i pozostałych. A po wszystkim, co Brachan, Corfar i Ecren zrobili przy bramach, prawdopodobnie strażnicy nie mieli o nich dobrego zdania. Zostać zmuszonym przez trzech wyczerpanych wojowników Kier do otworzenia malej furty wypadowej, to musiał być ciężki cios dla ich dumy. Uśmiech, który zakradł się na chwilę na jego twarz, ponownie zgasł. Ostatnim, co on sam pamiętał, był żar, gryząca sól, gładkie drewno potężnych bram pod plecami i głowa uzdrowicielki na jego piersi. Porem nastala ciemność, z której wyrwał go wściekły ból w dłoni i ramieniu. Siedział nad nim jakiś obcy człowiek i gdyby Ecren i Brachan go nie powstrzymali, półprzytomny rzuciłby się temu mężczyźnie do gardła. Uzdrowiciel wystraszył się na śmierć i odważył się znowu go dotknąć dopiero, gdy miał pewność, że jego pacjent jest całkowicie przytomny. Potem nastąpiła sama męka, która rozmyła się znowu w ciemności. Kiedy po raz kolejny odzyskał przytomność, leżał tu, w domu Fadery, w łóżku, u boku nieprzytomnej uzdrowicielki. Teraz spojrzął krótko na młodą kobietę. Wczepiła się palcami w jego ramię i przytuliła do niego, szukając oparcia, kiedy powoli schodzili po schodach. Jego brwi ściągnęły się na widok jej bladej twarzy. Może byłoby lepiej, gdyby dzisiaj jeszcze została w łóżku. Pokręcił lekko głową. Żeby wytłumaczyć, dlaczego młoda kobieta jest z nimi, Brachan udawał, że są małżeństwem. Nivardka żoną Kiera — ta myśl była tak szalona, że nawet można było w to uwierzyć. Właściwie chciał być przy niej, gdy odzyska przytomność, żeby wyjaśnić jej tę całą sytuację, mając nadzieję, trzeba przyznać, absurdalną, że uda mu się ją przekonać, by zagrała w tę grę. Niestety, wyszło inaczej.

Westchnąwszy cicho, Lijanas odetchnęła, mając wreszcie schody za sobą i ostrożnie puściła ramię Mordana. Spojrzenie, którym ją obdarzył, zdradzało wyraźnie, że przewidywał, iż nogi odmówią jej posłuszeństwa. Kiedy to nie nastąpiło, poprowadził ją do stołu ustawionego przy węższej

ścianie pomieszczenia i posadził na miejscu położonym najbliższej półokrągłego kominka. Brachan, Ecren, Corfar i Levan, którzy podnieśli się, kiedy weszła, usiedli w milczeniu, przyglądając się jej uważnie. Wydawało się, że na coś czekają. Mordan siadł obok niej na drewnianej ławie. Lijanas odsunęłaby się od niego najdalej, jak to możliwe, gdyby nie objął jej ramieniem i nie przyciągnął do siebie.

Drań!

Najchętniej uszczypalaby go pod stołem, ale przez skórę spodni i kaptana pewnie i tak by nic nie poczuł, a nawet jeśli, ściągnęłaby na siebie tylko jego gniew. Dlatego pozwoliła na to, a za karę ignorowała go, rozglądając się po pomieszczeniu. Tak jak na pierwszym piętrze, także tu wszystko było wykute w skale, w niszach ściennych płonęły kaganki, a w palenisku igrwały w dużej, wpuszczonej w podłogę, miedzianej misie ciepłe ogniki. Naprzeciw niej, po przekątnej, dwa stopnie wznosiły się do ciężkich, drewnianych drzwi, które prawdopodobnie prowadziły na dziedziniec. Lijanas podniosła wzrok, gdy przy niej pojawiła się Fadera trzymająca w rękach tacę obładowaną warzywami, pachnącą pieczenią, glinianymi miseczkami z różnymi sosami i jeszcze ciepłym chlebem, którą postawiła na środku stołu. Natychmiast ślina napłynęła jej do ust, a żołądek zakomunikował, że te dwie miski rosolu to było zdecydowanie za mało. Między Brachanem a Ecrenem, którzy siedzieli między nią a Mordanem, pojawił się blond warkocz Alejny. Dziewczynka postawiła na stole stos drewnianych talerzy, które wojownicy zaczęli sobie podawać, jakby nigdy nic, z ręki do ręki. Kiedy Fadera przyniosła potem dwa ciężkie dzbany, Alejna wniosła za nią drewniane kubki i również postawiła je na stole, znowu między Brachanem a Ecrenem. Kiedy ciemnowłosa wojowniczka pogłaskała ją krótko po głowie, podniosła ku niemu swą twarz bez wyrazu, odwróciła się i wybiegła z pomieszczenia. Z cichym westchnieniem matka popatrzyła za nią. Potem życzyła swym gościom smacznego, przypomniawszy im, że w kuchni czeka jeszcze więcej rzeczy, przygotowanych do spożycia, wystarczy tylko zawołać, i poszła za dzieckiem.

Przez chwilę panowało krępujące milczenie, potem Corfar, który siedział po jej lewej stronie, przy węższym boku stołu, zaczął kroić duże plastry pieczeni, nakładając każdemu, kto podał mu talerz, tyle, ile sobie życzył. Naprzeciwko niej Ecren rozdawał warzywa, tymczasem Mordan posunął miski z sosem na środek stołu, Brachan napełniał kubki spienionym ciemnym piwem i podawał dalej, a Levan, siedzący naprzeciw

Corfara, łamał chleb na kawałki. Wydawało się, że młody wojownik faktycznie lepiej się czuje. Jego twarz nabrała zdrowego, różowego koloru, a on poruszał się tak energicznie, jakby śmierć wcale nie wyciągnęła po niego swych pazurów. Jednak naraz ucichło ciche szemranie mężczyzn. Lijanas podniosła wzrok zmieszana. Dopiero po kilku chwilach dotarło do niej: obok talerza każdego z wojowników leżał mały sztylet, tylko obok jej talerza nie. Milczenie przedłużało się, stało się kłępujące. Kiedy poczuła, że Mordan dotknął jej łokcia, zwróciła się twarzą do niego. Trzymał swój sztylet w miejscu przejścia między ostrzem a rękojeścią i podał go jej, kiwając zachęcająco głową. Głośne wciągnięcie powietrza przez zaszokowanych Corfara i Levana, kiedy wzięła z jego ręki drobny nóż, przerwało milczenie. Jednak powróciło, wisiało w powietrzu także później, gdy Mordan pochylił się nad swym talerzem i zaczął jeść - palcami. Dopiero, gdy Brachan skosztował, pozostali odprężyli się i zaczęli jeść. Minęło jednak sporo czasu, zanim znowu rozbrzmiało ciche mamrotanie.

Zamyślona spojrzala na Mordana z boku i sięgnęła po swój kubek. - *Co jest tak złego w jedzeniu palcami?* — wzięła łyk i wypuła go, krztusząc się. Mężczyźni spojrzeli na nią zmieszani.

- Co to jest? — wykrzywiła twarz z obrzydzeniem.

Marszcząc czoło, Mordan wziął kubek z jej ręki, powąchał jego zawartość i spróbował.

- To zwykle mocne piwo! — oznajmił potem.

- To jest okropne! - wytarła sobie usta. - Pójdę do kuchni i...

Jego dłoń na jej ramieniu powstrzymała ją, nim zdążyła się podnieść.

- Ja pójdę i przyniosę wam coś innego. Co chcecie? Wino? Wodę?

- Wszystko jedno, byle nie smakowało tak obrzydliwie jak to tutaj.

Za późno uświadomiła sobie, że ci mężczyźni pili właśnie ten obrzydliwie smakujący płyn z wyraźnym upodobaniem. Poczula, jak gorąco oblewa jej policzki. Skinąwszy lekko, Mordan wstał z miejsca i zniknął w drzwiach do kuchni. Chwilę później postawił przed nią na stole cynowy dzban.

- Woda! Prosto z małego źródła na dziedzińcu. Mam nadzieję, że posmakuje mojej małżonce!

- Dziękuję! — nieco zakłopotana zerknęła do swego kubka. — A co mam zrobić z tym?

Brew Mordana uniosła się.

— Dajcie to! — wypił resztę jej piwa kilkoma łykami, napelnił kubek wodą i wcisnął jej prosto w ręce. — Proszę bardzo!

— Dziękuję bardzo, mój mężu! - starała się mówić łagodnym tonem. Gdyby tylko wreszcie ustąpił ten ból głowy.

Siadając znowu obok niej, rzucił Brachanowi nieodgadnione spojrzenie. Potem skupił się na swoim talerzu.

Jadła dalej w milczeniu, przysłuchując się mężczyznom, którzy spekulowali, jak długo może jeszcze potrwać burza; Ecren opowiadał o siodlarzu, którego znalazł niedaleko dolnego rynku w mieście i który był gotów w ciągu trzech dni zrobić nowe siodło dla Mordana. A już po chwili dyskutowali, czy powinien od razu zamówić siodło bojowe, czy lepiej zwykle siodło, na jakim jeżdżą posłańcy, w miejsce którego zamówi sobie później bojowe, kierskie siodło u wojskowego siodlarza. Decyzja została odroczone, ponieważ Mordan postanowił, że nazajutrz sam odwiedzi tego mężczyznę i zobaczy, jakie siodła ma do zaoferowania.

— Chciałabym pójść z wami!

Kawalek chleba, którym ciemny wojownik akurat czyścił swój talerz, zatrzymał się w powietrzu i mężczyzna spojrzał na Lijanas.

— Dlaczego?

— Dlaczego co?

— Dlaczego chcecie pójść ze mną?

— Chciałabym zobaczyć miasto.

Wsunął sobie chleb do ust i żuł w zamyśleniu, przelknął potem i popatrzył na nią.

— Czy macie już dość sił na taką wyprawę? Jesteśmy w starej dzielnicy Cavallina. Do dolnego rynku trzeba iść piechotą jakieś pół godziny.

Przycisnęła dłonie do blatu stołu, żeby powstrzymać drzenie.

Czy chce wykorzystać moją ranę jako pretekst, by trzymać mnie tu w domu?

— Dam radę!

Widziała wyraźnie, że nie rozwiała jeszcze jego wątpliwości. Lecz zanim zdążyła coś powiedzieć, wtrącił się Brachan.

— Słyszałem, że na dolnym rynku jest kilku dobrych krawców. Weź swoją żonę i zadbaj o jakieś przyzwoite odzienie dla niej. Nie możesz pozwolić, by chodziła w pożyczonym ubraniu, które do tego jest na nią za wielkie. W ten sposób przynosisz hańbę nam wszystkim.

Mordan spojrzal na siwowłosego wojownika rozgniewanym wzrokiem, a Lijanas zadbała o to, by z jej ust zniknął uśmiech wdzięczności, nim znowu zwróciła się do niego.

— Brachan ma rację. Potrzebne wam jakieś porządne ubranie. Dobrze, wezmę was ze sobą, ale tylko jeśli...

— Tak, wiem, mam słuchać was bez słowa sprzeciwu. Obiecuję.

— Pięknie. Każdy mężczyzna lubi, gdy żona jest mu posłuszna.

Przez krótką chwilę zdawało się, że zadrżały mu kąciki ust.

— Ale nie to miałem na myśli. Chcę, żebyście po jedzeniu od razu poszli do łóżka i położyli się spać, żeby wypocząć na jutro.

Lijanas skinęła szybko na znak zgody, przeklinając jednocześnie pośpiech swojego języka.

— Dobrze! W takim razie jutro rano idziemy na dolny rynek! A jeśli będziecie się czuć dość dobrze, rozejrzemy się potem trochę po Cavallinie.

Z niedowierzaniem patrzyła na niego przez kilka uderzeń serca, nim z trudem wyjąkała:

— Dziękuję!

Zignorowała złośliwy głos w swej głowie, który szeptal, że z czegoś, co właściwie nie jest niczym nadzwyczajnym, cieszy się jak dziecko, które w Noc Bogini nie musi iść wcześniej spać, tylko zostaje z dorosłymi.

Kiedy trochę później zakończyła swój posiłek, podniosła się i poszła na górę do swego pokoju, życząc wojownikom dobrej nocy. W pokoju opadła z westchnieniem na poduszki. Chociaż ból głowy zelżał, czuła się cały czas zmęczona i słaba. Powoli rozebrała się, umyła wodą, która w międzyczasie wystygła, założyła z powrotem brązową koszulę i zgasiwszy kaganki, wtuliła się w poduszki, przykrywając miękką, welnianą kołdrą. Jeszcze zanim zasnęła, stwierdziła, że za oknem panuje łagodny półmrok, jak od blasku księżyca, mimo że Cavallin był, jak się zdawało, całkowicie wydrążony w górze.

Nie od razu wiedziała, dlaczego obudziła się przestraszona, jakiś czas później. Jednak potem ciche kroki zdradziły jej, że nie jest sama, a przy kominku rozbłysnął kaganek. Przez chwilę zaskoczona mrużyła oczy, aż rozpoznała Mordana, który właśnie gasił rozżarzoną drzazgę smolną.

— Czego tu chcesz?

Ku jej przerażeniu usiadł na drugim brzegu łóżka, zdejmując buty.

— Spać.

— Co? To niemożliwe!

- A dlaczego nie? W końcu jesteśmy małżeństwem!

Rozpiął pas i ściągnął przez głowę tunikę.

- Właśnie nie jesteśmy! — Lijanas pociągnęła wrogo koldrę w swoją stronę. Z wyraźnym zniecierpliwieniem odwrócił się do niej. Na jego nagiej piersi lśniło w półmroku złoto ciężkiego sygnetu.

- A gdzie, waszym zdaniem, mam spać?

Czarne perły na jego szyi połyskiwały jak gęstniejący mrok.

- Na pewno nie tutaj!

- Ach? A jak wytłumaczę Faderze, że nie spędzam nocy przy swej żonie?

Lijanas zagryzła wargę.

- Powiedźcie jej..., powiedźcie jej, że nie pamiętam was jeszcze dobrze, że...

- Nie!

Odsunęła się od niego kawalek.

- W takim razie..., w takim razie śpijcie na podłodze. Ale tutaj, w łóżku, nie ma dla was miejsca!

- Zapomnijcie o tym!

Wstał i spojrzął na nią z góry. Tam, gdzie ramię przechodzi w bark, widać było na jego skórze ciemną plamę.

- W tym łóżku jest więcej miejsca, niż potrzeba dla nas dwojga!

- Nie!

- Owszem! A teraz przestańcie gderać i kładźcie się z powrotem spać niedbale rzucił tunikę i pas na stolek i podszedł do stołu.

- Nie mam zamiaru! Będę...

- Chcecie iść jutro ze mną czy nie?

- To szantaż!

Usłyszała, jak zaklął dyskretnie, kiedy zauważył, że dzban jest pusty, a jemu pozostała tylko woda w misce, której ona używała.

- Tak, tak to się nazywa, tak mi się zdaje! Albo dacie teraz spokój i położycie się spać, albo jutro zostanieie tutaj!

Przez moment patrzyła na niego rozgniewana, potem zakopała się głębiej w koldrę i owinęła nią mocno, syknąwszy jeszcze:

- Drań!

Nie zareagowała na jego zadowolone:

- Grzeczna dziewczynka!

Obserwowała go tylko zła przez welniane faldy, kiedy się mył. Samotna lampka oliwna nadawała jego skórze kolor ciemnego złota, w jej świetle polyskiwały drobne krople wody na ramionach i piersi, zamieniając każdy ruch jego umięśnionego ciała w grę cieni i światła. Czarna sierść pokrywała zewnętrzną stronę jego ramion, barki i plecy, gdzie wyglądała jak przeżarta przez niezliczone, blade linie, znikając wreszcie za paskiem spodni. Na jego ręce lśnił biały opatrunek przykrywający ją aż po łokieć. Kiedy zaczął ściągać spodnie, Lijanas zamknęła szybko oczy. Chwilę potem usłyszała syknięcie gaszonego płomienia, po którym rozległ się cichy odgłos bosych stóp, a później ugięło się miejsce obok niej w łóżku i spostrzegła, że zabrał jej kawalek koldry. Resztę nocy spędziła na zewnętrznej krawędzi łóżka, zwiniona w kłębek jak jeż.

Kiedy obudziła się rano, Mordana nie było, a ją bolały plecy.

Natychmiast pożałowała, że usiadła tak gwałtownie, ponieważ w jej głowie zaczęło znowu mocno huczeć. Zdecydowanie wolniej podniosła się wreszcie i poczłapała do stołu przy oknie, gdzie jedno spojrzenie do dzbana pokazało ku jej zaskoczeniu, że ktoś przyniósł na górę świeżą wodę do mycia - wodę, która była nawet jeszcze ciepła. Po umyciu wytarła się przygotowanymi świeżymi ręcznikami i szybko ubrała. Suknia leżała na niej jak worek i nie udało się jej nic z tym zrobić. Na myśl, że Mordan kupi jej dziś coś odpowiedniego do ubrania, na jej usta zakradł się uśmiech. Mogła jedynie mieć nadzieję, że ich sprzeczka wczoraj wieczorem nie będzie dla niego okazją, by pójść bez niej. Daremnie rozglądała się w poszukiwaniu grzebienia, a nie miała odwagi szperać w jukach ciemnego wojownika. Tak więc przeciągnęła tylko kilka razy palcami przez włosy i zeszła na dół do kuchni.

Tutaj czekała już na nią Fadera ze śniadaniem, na które składały się naleśniki z jagodami, ciepły chleb, masło, miód i kremowe mleko. A kiedy Lijanas zajęła się kosztowaniem tych przysmaków, kobieta stanęła za nią, wyciągnęła z kieszeni spódnicy grzebień i zabrała się za czesanie jej włosów.

— Nie musicie tego dla mnie robić... — odpowiedzią na jej protest był uśmiech.

- Jedzcie tylko, moja droga, a ja się zajmę czesaniem. Robię to z przyjemnością. A kiedy skończycie, poprawię wam jeszcze trochę sukienkę. Jestem ciekawa, jaką suknię kupi wam na targu wasz małżonek. Najlepiej idźcie do Tranana. On dobrze szyje i nie jest bardzo drogi. Ale teraz jedzcie! Mężczyźni szybko zaczynają zrzędzić, kiedy każe się im czekać.

- To znaczy, że mój... — z truciem przelknęła ślinę, to słowo nie chciało jej przejść przez usta — małżonek czeka?

- Ależ tak. Jest na zewnątrz, w stajni, przy swym koniu. A kiedy skończycie jeść śniadanie, mam was do niego posłać. Dobrze, gotowe.

- Aha, Alejno, tam jesteś. Czemu odbiegłaś dziś od stołu, choć nie zjadłaś wszystkiego? Chodź tu, masz jeszcze kanapkę z miodem!

Szczupła postać jej córki pojawiła się w drzwiach prowadzących na dziedziniec, trzymając na ręku małe futerkowe zwierzątko wielkości szczura. Teraz podeszła i zatrzymała się przy stole.

- Dzień dobry, Alejno - Lijanas pierwsza przywitała dziecko. Ciemne oczy dziewczynki wlepione były w naleśniki z jagodami. Zwinęła jednego i podała malej. - Chcesz?

Alejna posadziła zwierzątko na stole, sięgnęła po naleśnika i wbiła w niego zęby.

- A kto to jest? Zdradzisz mi, jak ma na imię?

Mała ugryzła naleśnika po raz drugi i dalej patrzyła na nią w milczeniu.

- Wygląda słodko. Czy to twój przyjaciel? - Lijanas zachowywała się, jakby milczenie dziecka było czymś zupełnie normalnym. — Czy on też jest głodny?

Trzeci kęs naleśnika z jagodami zniknął w ustach dziewczynki, potem wskazała chudym palcem na chleb.

- Och, myślisz, że chciałby chleba! W takim razie...

Ułamała kawałek chleba i podała zwierzątkowi. Mały spiczasty pyszczyk zaczął drgać, a delikatne włoski na brodzie - wibrować, potem stworzenie przydreptało, wzięło chleb z rąk Lijanas, usiadło na tylnych łapkach i zabrało się za konsumpcję swego przysmaku, przy czym trzymało go w delikatnych łapkach wyglądających jak maleńkie rączki. Na zewnątrz dał się słyszeć jakiś hałas, na co zwierzątko przestało żuć i usiadło czujnie, nastawiając uważnie małe, prześwitujące, stożkowate uszy. Kiedy się upewniło, że nic mu nie grozi, z zadowoleniem pałaszowało dalej. Kawałek bardzo szybko zniknął i zwierzątko poruszyło noskiem, domagając się więcej. Lijanas spojrzała na dziewczynkę.

- Myślisz, że pozwoli mi się dotknąć, jak dam mu jeszcze kawałek chleba? Chciałabym je pogłaskać.

Twarz dziewczynki znowu nie drgnęła, kiedy wyciągnęła rękę i ostrożnie przysunęła zwierzątko bliżej siebie. Lijanas odłamała kolejny kawałek, podstawiła go pod drżącą z zachwytu mordkę, pozwoliła, by

zwierzak go wziął i wtedy bardzo ostrożnie pogłaskała jego grzbiet. Na krótką chwilę przestał żuć i spojrzął na Lijanas, mrugając swymi lśniąco czarno oczkami przypominającymi guziki, potem siadł wygodniej i jadł dalej. Uśmiechając się do Alejny, ponownie pogłaskała male stworzenie. Bialo-szaro nakrapiane futerko było cudownie miękkie. Długi nagi ogon, który przypominałby ogon szczura, gdyby na jego końcu nie znajdował się pędzelek tak samo miękkiego futerka, poruszał się z zadowolenia na stole w tę i z powrotem. Niemal wydało jej się, że słyszy zadowolone, ciche zgrzytanie zębów.

Fadera obserwująca w milczeniu tę jednostronną rozmowę, odezwała się teraz cicho, kiwając głową w stronę Lijanas.

— Moja mała was polubiła. Nie każdemu pozwala karmić Fywuscha, nie mówiąc o glaskaniu go. W każdym razie możecie być pewną, że będzie was teraz przy każdej sposobności błagał o jedzenie. Rattlingi są okropnie żarłoczne.

Jakby na potwierdzenie tych słów, Fywusch wsunął ostatni kawałek chleba pod policzek, przeskoczył przez stół i skoczył Lijanas na kolana, gdzie znowu przysiadł na tylnych łapkach, patrząc na nią oczekująco.

— O nie, mój przyjacielu! — z uśmiechem wzięła rattlinga w ręce i podała go Alejnie. — To był wyjątek. Jedzenie dostajesz od swojej pani.

Dziewczynka wsunęła do ust ostatni kawałek naleśnika, wzięła od niej zwierzątko i wybiegła z domu.

— Wróci, jak będzie głodna.

— Co to ma być? Już po śniadaniu? No dobrze, w takim razie pozwólcie, że zajmę się waszą sukienką.

Znowu wystarczyło kilka ruchów i już tak nie rzucano się w oczy, że suknia jest na Lijanas za duża. Zadowolona ze swego dzieła, Fadera wskazała jej drogę do stajni, życząc przy tym udanego dnia na targu.

Mały wewnętrzny dziedziniec pokryty był ziemią, od uliczki oddzielały go kamienny mur i dwuskrzydłowa, wysoka przynajmniej na dwa kroki, drewniana brama, po obu stronach znajdowały się dom i stajnia, a z tyłu wznosiła się pionowo skała, otaczająca Cavallin.

W stajni powitały ją przyjemny półmrok i rzenie koni, nie widać było żadnego z wojowników. Rozczarowana, że Mordan najwyraźniej na nią nie poczekał, chciała już wyjść, gdy nagle z jednego z tylnych boksów dla koni, które ciągnęły się po obu stronach korytarza stajni, do jej uszu

doleciało ciche nucenie. Poszła za rym dziwnym dźwiękiem, który jednak skończył się przekleństwem, gdy Ired wystawiła leb przez barierkę, rżąc na jej widok. Kiedy podeszła do boksu, Mordan, który klęczał na słomie, zajęty przednią nogą klaczy, podniósł się. Zdziwiło ją, że Ired pozwoliła mu podejść tak blisko, nie chcąc go zabić.

— Nie liczyłam, że naprawdę na mnie poczekać.

Lijanas wyciągnęła rękę i potarła rumakowi nastawione z zaciekawieniem uszy.

— Obiecałem wam.

Nie spiesząc się, podszedł do barierki i wsunął dłoń pod długą grzywę swego *ashentai*.

Ku jej zaskoczeniu klacz pozwoliła także na to. Coś musiało się wydarzyć... Odezwała się, zdawszy sobie sprawę z panującego milczenia.

— Co jej jest w nogę?

— Głęboka rana cięta. Musiało się to stać na solnej skorupie.

— Mogę to obejrzeć?

— Proszę bardzo!

Odsunął się od klaczy, a Lijanas schyliła się, przechodząc pod belką i uklękła obok niej, na słomie. Przez chwilę w milczeniu badała ranę, czując miękkie nozdrza Ired najpierw w swoich włosach, a potem na plecach, gdzie klacz skubała jej suknię. Na koniec podniosła się, otrzepując słomę ze swego odzienia.

— Rana wygląda dobrze. Jest czysta, nie ma żadnego zapalenia. Jeśli noga będzie oszczędzana, powinna się bez problemu zagoić. Czym smarowaliście ranę?

Położyła rękę na łopatce rumaka, głaszcząc miękką sierść. W świetle lamp wiszących w stajni luski polyskiwały w kolorze płomieni i czerni.

— Balsamem gojącym z waszej apteczki - powiedział bez cienia wyrzutów sumienia, wskazując na półkę na przeciwległej ścianie stajni, gdzie stała rzeźbiona skrzynka.

— Jak nie będzie wam już potrzebna, zanieście ją do mojego pokoju.

— Naszego pokoju - poprawił ją obojętnie, zanim skinął głową i prostym: — Chodźmy! — wyprowadził ją ze stajni na dziedziniec i za bramę. Lijanas patrzyła na niego z boku zaskoczona, pytając się, czy Fadera nie dodała mu czegoś do śniadania, że był aż w takim łagodnym nastroju.

Po drodze przez wąskie zaułki i uliczki odpowiadał na każde jej pytanie dotyczące Cavallina z wręcz bezgraniczną cierpliwością. Dowiedziała się,

że miasto w górze jest jednym z najstarszych miast Ahvaranu, że służyło niwardzkim rebeliantom podczas wojen z Hathenanami, przed setkami zim, jako schronienie i że do tej pory tylko raz zostało podbite, i to na krótki czas, a stało się to tylko wskutek zdrady. Nie było wprawdzie niezależne, jeśli chodzi o żywność, ale jego mieszkańcy byli w stanie ze swymi zapasami dłużej trzymać opór niż zdołaliby to zrobić ludzie oblegający bramy miasta. Pustynia Słona i skały nie do przebycia chroniły Cavallin przed każdą, nawet potężną armią, dopóki zdrajca nie otworzył wrogowi bram.

Pokazał jej tak zwane domy studzienne, pod którymi głęboko płynęła rwąca rzeka, zaopatrująca miasto w wodę pitną, i wyjaśnił, że tylko w starej dzielnicy Cavallina jest kilka domów takich jak dom Fadery, które dysponują własnym źródłem. Jednak, gdy zapytała go, skąd bierze się światło, które rozświetla olbrzymią jaskinię za dnia, a nocą pograża ją w delikatnym blasku, wzruszył tylko ramionami. Wiedział tylko, że istnieje dwanaście wież płomieni. To naturalne wieżyczki skalne, w których wnętrzu wykuto schody i na dachach których płonęły olbrzymie ogniska. Niektóre z nich paliły się dzień i noc, inne tylko za dnia. Niektórzy mieszkańcy Cavallina mieli tylko jedno zadanie: czuwać nad tymi ogniskami.

Im dalej zapuszczali się w opadające stromo uliczki, przechodząc w ten sposób do nowszej części Cavallina, tym bardziej zmieniał się wygląd budynków, które mijali po drodze. O ile po domach w starej dzielnicy widać było, że niemal w całości wykute były w skale, tak tutaj szary kamień ukryty był najczęściej pod tynkiem i wapnem. Kiedy zbliżyli się do rynku, cisza, w której ich kroki były czasem jedynym dźwiękiem, ustąpiła miejsca szumowi, który przypominał Lijanas ul. Potem skręcili i znaleźli się wśród tłumu ludzi i stoisk targowych. W powietrzu unosił się zapach słodkich wypieków i kadzidełek.

Podczas gdy Mordan dopytywał się o warsztat siodlarza, którego mu polecił Ecren, oraz o krawca, Lijanas rozejrzała się wokół. W pierwszej chwili pomyślała, że wszyscy ci mężczyźni, kobiety i dzieci to mieszkańcy Cavallina, jednak potem dostrzegła różnicę. Przeważająca część ludzi przebywających na targu miała jaśniejszą skórę niż ona czy Mordan - to musieli być obywatele tego miasta.

Resztę przedpołudnia spędzili w sklepie pewnego krawca, gdzie Lijanas musiała przymierzać jedną suknię po drugiej, prezentowaną potem „mężowi”, który usiadł sobie wygodnie na kilku poduszkach. Jeden

z uczniów został posłany do szewca, żeby przyszedł zdjąć miarę na parę nowych butów dla małżonki wojownika Kier, który od pierwszej chwili jasno powiedział, że oczekuje towaru dobrej jakości za dobrą zapłatę. Kiedy już zaczynało jej się kręcić w głowie od tego ubierania i rozbierania, Lijanas spostrzegła w pewnym momencie, jakim wzrokiem patrzą na Mordana obie dziewczyny, które jej przy tym pomagały. Rozłożył ramiona na oparciu i poduszkach i wyciągnął przed siebie swe długie nogi. Co w nim takiego widziały, że tak do niego wzdychały? Co by powiedziały, gdyby się dowiedziały, że ten piękny wojownik pochodzi z ludu Kier? Czyż nie zauważyły czarnej lśniącej sierści po bokach twarzy i szyi, na karku, wierzchu dłoni i ramionach? Nie rzuciły im się w oczy wygięte na końcach paznokcie czy połyskujące blado czubki jego kłów, które, kiedy mówił, czasami błyskały za jego wargami, a może było im to obojętne? Upewniwszy się, że na nią nie patrzy, przyjrzała mu się ukradkiem. Mimowolnie przypomniała sobie widok jego nagiego torsu w świetle lampy: opalona na ciemnozłoty kolor skóra, opinająca długie, eleganckie mięśnie, szerokie barki i płaski brzuch... Potrząsnęła głową, żeby przepędzić ten obraz. Jednak obecny widok wcale nie ułatwiał sprawy. Lśniące, czarne włosy, związane na karku jedynie cienkim rzemykiem, i spływające po plecach, jego oko w kolorze burzowego nieba, które wraz z drugim okiem przykrytym klapką tworzyło wokół niego aurę tajemniczości... Dreszcz przeszedł jej po plecach. Pas, przy którym wisiał miecz, podkreślał jego wąskie biodra i długie umięśnione nogi, opięte spodniami jak drugą skórą.

Laskawa Bogini, co to ma znaczyć? Ten typ mnie uprowadził, uderzył i przywiązał do drzewa. Ale pomijając to, nie możesz zaprzeczyć, że jest przystojny. Choć na pewno nie tak jak Ahmeer!

Jakby poczul jej wzrok, spojrzal w jej stronę, a Lijanas zauważyła, że jej policzki zaczynają płonąć.

Co się z tobą dzieje, głupia? On jest Kierem, a ty naręczoną księcia Nivardów!

Szybko odwróciła oczy, koncentrując się na paplaninie obu dziewcząt, które zaciągnęły za nią kotarę i pomagały jej przymierzyć kolejną suknię.

Gdy tuż przed południem opuścili sklep krawca, Lijanas ubrana była w sięgającą do bioder, piaskową koszulę z szerokimi rękawami i bufiaste spodnie w kolorze ciemnego cynamonu. Na tym miała długą do kostek suknię bez rękawów, nieco ciemniejszą od spodni, z rozporkami do bioder po obu stronach. Jej biodra oplatal pas, również w piaskowym kolorze,

zdobiony brunatno-żółtym haftem, a stopy tkwiły w zgrabnych półbutach z miękką wyściółką w środku. W zawiązanej paczce nosła pożyczoną sukienkę razem z koszulą nocną z delikatnego płótna. Niebieska suknia w podobnym stylu jak ta, którą miała na sobie, miała zostać dostarczona do Fadery przed wieczorem. Kiedy krawiec podał cenę, gotowa była to wszystko zwrócić, lecz Mordan nawet nie próbował się targować, tylko jakby nigdy nic zapłacił. Na jej zakłopotane - Dziękuję! - skinął tylko, jakby to było na porządku dziennym, że wydaje ciężkie srebro, by odziać jeńca. A na dodatek kazał jej wybrać sobie u innego kupca grzebień, szczytkę i lusterko, a potem zakupił dla niej u mydlarza kawałek cudownie pachnącego mydła. Następnie zlecono kuśnierzowi przyszykować futra na ciepłą pelerynę i przynieść następnego dnia do Fadery, by mogli je obejrzeć.

Potem pochodzili jeszcze trochę po rynku, kupili sobie na obiad lukrowane mięso kurczaka w talerzach z wydrążonych ciemnych skórek chleba, które spożyli wraz z kuflem lekkiego wina, siedząc na kamiennym krawężniku.

Posiliwszy się, kontynuowali swe zwiady. U stóp jednej z wież płomieni natrafili na gromadkę dzieci gotowych opowiedzieć im za kilka miedzianych monet, jak światło rozprawdane jest nad miastem. I kiedy trzech chłopcy bardzo poważnie objaśniali wojownikowi i jego małżonce skomplikowany system srebrnych lusterek, dzięki którym Cavallin za dnia pogrążony był w jasnym świetle, a nocą w tym delikatnym blasku, dwie dziewczynki, należące do tej grupy, chichotały, poszturchując się wzajemnie, wpatrzony rozmarzonym wzrokiem w Mordana.

Jeszcze dwie istoty, którym łamie serce, nie zdając sobie z tego sprawy — w duchu pokręciła z uśmiechem głową. Później Mordan kupił jej słodkie orzeszki i owoce w miodzie i sam częstował się słodkościami bez skrępowania, w czasie gdy przyglądali się kilku kuglarzom chodzącym na rękach i zonglującym płonącymi pochodniami. Pośród gawiedzi Lijanas dostrzegła dwóch mężczyzn, którzy przyglądali się im z przerażeniem i oburzeniem. Lecz gdy chciała ich pokazać Mordanowi, zniknęli. Może się pomyliła i te spojrzenia dotyczyły kogoś innego.

Im dalej posuwał się dzień, z tym większym zaskoczeniem obserwowała mężczyznę, który jej towarzyszył. Nie mogła pojąć, że ani razu się z nim nie pokłóciła.

Było już po południu, kiedy zaszli do siodlarza, o którym mówił Eren. Mały sklepik znajdował się na rogu wąskiej uliczki prowadzącej w dół, od rynku, do bram Cavallina, i Lijanas była wdzięczna, że Mordan kazał jej poczekać na ławce przed sklepem, ponieważ w międzyczasie zaczęła ją coraz mocniej boleć głowa i czuła, jak powoli, ale nieubłaganie opuszczają ją siły. Oparwszy się luźno o mur, obserwowała żwawy ruch między stoiskami, palaszując ostatnie słodkie orzeszki i nasłuchując głosu Mordana, który właśnie dyskutował z siodlarzem o zaletach różnych siodeł. Nagle spostrzegła tych dwóch mężczyzn, których widziała wcześniej. Stali po przekątnej, w cieniu łuku bramy i tym razem była pewna, że patrzyli w jej stronę. Właśnie jeden z nich ruszył w jej stronę, kiedy otworzyły się za nią drzwi sklepu i wyszedł z nich Mordan. Mężczyzna znieruchomiał, jakby stanął twarzą w twarz ze wcielonym duchem zemsty i po chwili zniknął pomiędzy stoiskami. Czarnowłose wojownik przysłuchiwał się jej w milczeniu, wodząc wzrokiem po tłumie ludzi, gdy opowiadała o tych mężczyznach, a potem pokręcił głową. Także on nie potrafił sobie wytłumaczyć zachowania nieznanym, przynajmniej tak twierdził. Lijanas nie mogła się jednak pozbyć uczucia, że podejrzewał, kim byli ci ludzie i czego od niego chcieli.

Właśnie ruszali w drogę powrotną do domu Fadery, gdy kilka kroków od nich z drzwi sklepu wytoczył się jakiś mężczyzna i upadł jeszcze na progu. Jednak zamiast mu pomóc, ludzie zaczęli się cofać przestraszeni, z ust do ust zaczął krążyć szmer, jakiś młody chłopak uciekał przez plac. Dłoń Mordana na jej ramieniu powstrzymała Lijanas przed podejściem do pojękującego na ziemi człowieka, odciągnął ją niemal siłą.

Bez ruchu Ahmeer obserwował z grzbietu swego siwka, jak ludzie poszukujący śladów badali krew i nacięcia na kamiennym moście, rozglądając się uważnie za kolejnymi śladami. Tutaj więc Kierowie zmasakrowali żołnierzy jego wuja.

Jego ludzie znaleźli w niewielkim oddaleniu od drogi groby, w których ktoś złożył martwe ciała. Prychnął gorzko. Na pewno nie zrobili tego Kierowie! Oni po prostu zaciągnęliby zwłoki w krzaki.

Jeden z poszukiwaczy śladów podszedł do jego ogiera i Ahmeer pochylił się.

- Co jest?
- Deszcz zmył ich ślady mój książę. Ale skoro mnie pytacie, sądzę, że pojechali dalej tą drogą.

- Parę mil stąd jest skrzyżowanie dróg. Myślisz, że uda się wam tam odszukać ich ślady?

- Prawdopodobnie nie, mój książę!

Ahmeer zaklął zdenerwowany.

- Tak nigdy ich nie złapiemy. Co ten zwierz zamierza? Gdzie chce się dostać?

Mężczyzna poklepał siwka uspokajająco po szyi, kiedy zaczął dreptać niespokojnie pod swoim panem.

- Cóż, do tej pory poruszali się generalnie na północny zachód, mój książę, można przypuszczać, że będą tak jechać dalej.

- Jeśli masz rację, to przekroczył już Wieże Księżycowe i granicę Astra-charu. Jak sądzisz, idzie przez Pustynię Słoną czy przez góry?

- Nie wiem, mój książę. Pustynia Słona jest niebezpieczna, ale żeby przejść przez góry, potrzebuje więcej czasu. Może uda nam się jednak znaleźć jakiś ślad albo wskazówkę, którą drogę wybrał.

Ahmeer skinął głową i rozkazał jechać dalej. Z dnia na dzień coraz bardziej niepokoił się o Lijanas. Lęk przed tym, co mógł z nią zrobić „Krwawy Wilk”, prześladował go nawet we śnie.



Niespokojny snuł się już od wielu godzin w nocnym blasku ognisk ulicami Cavallina i nie spotkał ani jednego człowieka. Mogło się niemal wydawać, że zaraza pochłonęła już wszystkie żywe dusze tego miasta. Skręcił za rogiem i stanął u stóp jednej z potężnych wież płomieni. Podnosząc głowę, spojrzął na ciemny wierzchołek, potem, nie zastanawiając się długo, pchnął ciężkie drewniane drzwi i zaczął wchodzić po niezliczonych stopniach.

Na górze, na platformie, powitało go ku jego zaskoczeniu ciepło. Kamienie musiały się przez cały dzień nagrzać od żaru płomieni i teraz oddawały ciepło. Zsunął pelerynę z ramion, rzucił ją niedbale na ziemię i podszedł do blanków. Głęboko w dole leżał Cavallin. O ile z dołu miasto wydawało się martwe, stąd przypominało morze ciepłych światel. Usiadł na grubym, prawie na krok, murze między dwoma blankami, oparł buty o jeden z nich, a plecy o drugi. Nad nim była jedynie ciemność, w której można się było jedynie domyślać obecności skalnego sufitu i ton masywnych kamieni, które się na nim piętrzyły. Już od pierwszego dnia czuł, że w Cavallinie jest mu za ciasno, miał wrażenie, że jest więźniem. Wieść, że w mieście szaleje zaraza i że wielkie bramy zostaną otwarte dopiero, gdy zostanie przezwyciężona, trafiła go jak uderzenie w brzuch. To, że burza solna zmusiła ich, by na kilka dni schronili się w Cavallinie, było irytującym opóźnieniem, ale jeszcze uzasadnionym. Ale zaraza...? To może ciągnąć się tygodniami... Wyszczерzył zęby. A wielka brama była bezpiecznie zamknięta i dobrze strzeżona. Oczywiście, nie byłoby problemu ją wylamać, ale trwałoby to za długo, a zanim udałoby się im ruszyć dwa potężne skrzydła, mieliby już na karku strażę. Nastąpiłaby bezsensowna rzeź, podczas której musieliby walczyć plecami do ściany,

mając pięciokrotną przewagę liczebną nad sobą. Bezcelowe! Ze wściekłości wbil obcas w kamień. Byli uwięzieni w tym przeklętym mieście, a czas uciekał. Jego palce zacisnęły się w pięść.

Najpierw rana Levana, potem ta przeklęta burza solna, a teraz to! Czy jacyś mroczni bogowie sprzyśięgli się przeciwko mnie? Już tylko niecały miesiąc do Święta Kłosów! Jeśli nic się nie stanie... Nie znoszę, kiedy muszę czekać bezczynnie i nie mogę nic zrobić! Z widzialnym wrogiem można walczyć, ale z chorobą...? - Zamyślony przeciągnął ręką po strupie na swym ramieniu. - Czy naprawdę nie mogę nic zrobić? Każde zło ma gdzieś swoją przyczynę, nawet choroba. Trzeba ją tylko znaleźć! A ja wiem, kto może mi w tym pomóc!

Ledwie Fadera doniosła im o zarazie, uzdrowicielka oznajmiła, że chce pomóc chorym - on kategorycznie jej zabronił. Oczywiście znowu wszczęła przeciw niemu bunt.

Jutro pozwolę jej zaoferować wsparcie miejskim uzdrowicielom. A jeśli naprawdę jest tak dobra, jak mówi się w Anscharze, nie zadowolili się jedynie zwalczaniem choroby. — Chłodny uśmiech zadrgał na jego ustach. - Nie musi wiedzieć, że będzie robić dokładnie to, o co mi chodzi! - Uśmiech zgasł. — Ale nie mogę pozwolić, by chodziła sama. Niebezpieczeństwo, że powie komuś prawdę, jest zbyt duże, tak samo nie mogę oczekiwać od nikogo z pozostałych, że będzie jej towarzyszył w szpitalu. - Odrzucił czarną czuprynę tak, że uderzyła o blank i opadła mu na plecy. - Nie pozostaje mi nic innego, jak samemu z nią pójść. Prawdopodobieństwo, że ona albo ja zarazimy się od chorych jest pewnie nie większe, niż to, że możemy się zarazić gdzieś na ulicy. A jeśli nie dotrzemy do Turasu najpóźniej trzy dni po zakończeniu Święta Kłosów i tak już po mnie.

Znowu skierował wzrok na ukryty w ciemności sufit jaskini.

A jeśli jednak istnieje jakieś wyjście z tej pułapki?

Z tego, co wiedział na temat Cavallina, górę wokół miasta przecinały stare tunele i szyby wentylacyjne. Może udałoby się im znaleźć tutaj jakieś inne wyjście, jakąś szczelinę w skale, która prowadziłaby na powierzchnię - nawet jeśli byłoby nieodpowiedzialne opuszczać Cavallin, gdyż nie mogli wykluczyć, że nie wyniosą w ten sposób choroby poza miasto.

Głęboko pod nim rozległ się przeraźliwy krzyk. Nasłuchując, uniósł głowę i spojrział w dół. Po krótkiej chwili w jednej z uliczek, w pobliżu domu Fadery, zaczęły tańczyć światła. Przeszły go ciarki.

Czy tak się czuje mysz w pułapce?

Spirale pary unosiły się leniwie nad gorącą wodą. Westchnąwszy cicho, Lijanas zsunęła się głębiej w to rozkoszne ciepło i zamknęła oczy. Jej pierwszy piękny dzień od prawie tygodnia niespodziewanie się skończył, zaledwie wczesnym wieczorem dotarli do gospody. W gardle ciągle czuła ucisk, odkąd Fadera obwieściła im tę nowinę: w murach Cavallina rozprzestrzeniła się straszna zaraza i bramy pozostaną zamknięte, aż choroba zostanie przezwyciężona i niebezpieczeństwo zażegnane.

Mimo gorącej kąpieli przeszedł ją dreszcz i zanurzyła się w wodzie aż po brodę. Przeżyła już kiedyś coś podobnego. To było ostatniej zimy jej praktyki, kiedy w pewnym mieście na zachód od Anschary zapanowała szara febra. Towarzyszyła tam swojemu mistrzowi wraz z innym praktykantem i prowadziła spis pacjentów, w którym z ogromną dokładnością odnotowywano każdy przypadek choroby i jej leczenie.

Wiem, co trzeba robić i mogłabym pomóc uzdrowicielom Cavallina, ale nie — ten drań bez serca zabrania mi tego! — Wciągnęła myjkę pod wodę, zgmiotła ją brutalnie i ponownie wyprostowała. — *Może będzie z nim łatwiej rozmawiać, kiedy wróci. Był taki wściekły, że musi tu teraz tkwić... Jeszcze raz go zapytam, gdy przyjdzie. A jeśli nadal nie będzie chciał się zgodzić? —* Zacisnęła oczy. — *Wtedy poszukam sposobu, żeby go do tego zmusić!*

Powziąwszy decyzję, zanurzyła się w wodzie, następnie wzięła do ręki przygotowane mydło i powąchała je.

Wspaniale, ten subtelny zapach owoców i wonnych korzeni. Ciekawe, czy często kupuje coś dla kobiety? Może ma kochankę, albo nawet jest żonaty? Dlaczego ta myśl napawa mnie takim lękiem? Biedna, aż żal pomyśleć, jeśli zachowuje się wobec niej tak samo jak w stosunku do mnie.

Potarła myjkę mydłem i rozprowadziła po ciele miękką jak krem pianę. Kiedy ją splukała, odkryła białą plamę na skórze. Znajdowała się po wewnętrznej stronie przedramienia i nie była większa od srebrnej monety - była pewna, że jeszcze wczoraj jej tam nie było. Lijanas wytarła drobne krople wody i przysunęła rękę do światła. Skóra połyskiwała w tym miejscu srebrno-biało, niemal jak maleńkie luski. Cokolwiek to było, nie zniknęło nawet po mocnym szorowaniu. Straszna myśl sprawiła, że zrobiło jej się sucho w gardle: czy była to oznaka zarazy? Czy już się zaraziła? Czy stało się to w mieście? Nie! Niemożliwe! Żadna choroba, bez względu na to, jak złośliwa, nie mogłaby się rozprzestrzenić na ciele w tak krótkim czasie. A czy Fadera nie mówiła, że chorzy mają wysoką gorączkę i nie są w stanie

nie przyjmować, nawet wody? Powoli wypuściła wstrzymane powietrze. Nie miała gorączki, ani nie chciało jej się wymiotować.

Z ulgą namydliła włosy i ponownie zanurzyła się, by splukać pianę. Ból pojawił się zniemacka. Jej usta otworzyły się mimowolnie i wydobył się z nich straszny krzyk, woda z mydłem napelniła je i dostała się do gardła.

Cichy pomruk stojących wokół ludzi nie zamilkł nawet wtedy, gdy wezwany uzdrowiciel oznajmił — to nie zaraza! Mordan okrążył powoli tłum i precisiął się między kilkoma mężczyznami do przodu, żeby rzucić okiem na ciało, które leżało na ulicy dziwnie powyginane. To były zwłoki młodej kobiety. Jej nabrzmiałe ciało zdradzało, że może jeszcze tylko kilka dni, a nawet godzin, a zostałaby matką. Ktoś rozszarpał jej gardło i wyrwał wnętrzności, niemal tak, jakby nienarodzone dziecko w jej brzuchu było celem ataku. W powietrzu unosił się odór padliny. Jeden ze strażników miejskich podniósł pochodnię. Nie! To nie ktoś, a coś było za to odpowiedzialne. To nie był ani czyn obłąkanego szaleńca, który zamordował gołymi rękami, ani wściekłego, bardzo dużego psa.

Jeden ze strażników przedarł się przez krąg gapiów i zwymiotował na rogu ulicy. Za plecami Mordan usłyszał cichy szept, a kiedy się odwrócił, kilku mężczyzn spojrzalo szybko w bok. Oczywiście. Tutaj było tak jak wszędzie: najłatwiej szukać winnego pośród tych, którzy są w mieście obcy, jeśli nie potrafi się znaleźć prawdziwego sprawcy. Powoli policzył w myślach do pięćdziesięciu i zaczął przeciskać się między ludźmi, chcąc opuścić to miejsce, nie unikając spojrzeń, które kierowali w jego stronę.

— Wojowniku! Poczekajcie! — zawołał ktoś za jego plecami, ledwie uszedł z dziesięć kroków. Mordan zatrzymał się i odwrócił. Jeden ze strażników precisiął się między gapiami i podszedł do niego długim krokiem.

— Jestem kapitan Uladh! — przedstawił się mężczyzna. Pochodnia w jego rękę trzasnęła w nagłym przeciągu. Mordan zerknął w jej świetle szybko na dystynkcje wypalone na ramionach jego skózanego pancerza. - Czy moglibyście mi odpowiedzieć na kilka pytań?

— Co chcecie wiedzieć? — powiedział i patrząc kapitanowi przez ramię, nie spuszczał z oka mężczyzn, którzy wcześniej szeptali za jego plecami. Intensywnie mu się przypatrywali. Uladh skierował wzrok w tę samą stronę co on i skinął głową.

— Czy słusznie mniemam, że udajecie się do domu, wojowniku? Jeśli nie macie nic przeciwko temu, odprowadzę was kawalek i porozmawiamy po drodze.

Krótkim gestem Mordan wyraził swoją zgodę i poszli uliczką jeden obok drugiego.

- Jesteście jednym z Kierów, którzy zakwaterowali się u Fadery? Jeśli się nie mylę, to was, razem z waszą żoną, wpuszczono podczas burzy przez furkę?

- Nie mylicie się, kapitanie.

- Wydaje się, że już całkiem doszliście do siebie, wojowniku. Jak się miewa wasza małżonka?

- Od wczoraj jest już na nogach. Uderzenie w głowę sprawiło, że miała problemy z pamięcią, ale dzisiaj dała już radę towarzyszyć mi na targ.

- Miło to słyszeć. Przekażcie jej moje pozdrowienia, wojowniku.

Mordan przechylił lekko głowę.

- Powieście mi wreszcie, co chcecie wiedzieć, kapitanie?

- Cóż, najpierw chciałbym poznać wasze imię, wojowniku.

- Mordan.

- A dalej?

- Mordan run Jarat.

- Co was sprowadza do Cavallina?

- Byliśmy w drodze do domu, kiedy zaskoczyła nas burza i zmusiła, by tutaj szukać schronienia.

- Czy wolno mi spytać, skąd pochodzicie?

- To dobry kawałek drogi na zachód od Turasu. A nim spytacie o powód naszej podróży: wiozę do siebie moją małżonkę. Ona jest Niwardką.

Kapitan spojrzal na niego ze zdziwieniem.

- Jak zareagowała jej rodzina na was jako zięcia?

- Nie sądzicie, że posuwacie się trochę za daleko?

- Wybaczcie, wojowniku, macie rację — odparł Uladh i przelożył pochodnię do drugiej ręki. Płomień świecił teraz Mordanowi prosto w twarz.

- Co wiecie na temat tego morderstwa?

- Nic!

- W takim razie, dlaczego byliście na miejscu zbrodni?

- Niestety znajdowało się dokładnie na mojej drodze do gospody Fadery.

- Gdzie byliście, kiedy zdarzyło się to morderstwo, wojowniku?

Zatrzymał się i spojrzal kapitanowi prosto w oczy.

— Tam, na górze! — jego wyciągnięta ręka wskazała wierzchołek wieży płomieni. Lekko zaskoczony Uladh uniósł rudo-brązowe brwi.

— Co robiliście tam na górze?

— Czy muszę wam odpowiadać na to pytanie, kapitanie?

— Nie, wojowniku, nie musicie. Czy mogliście stamtąd coś zaobserwować?

— Usłyszałem krzyk, tuż potem zobaczyłem pochodnie. To wszystko.

— Po krzyku chyba dość szybko opuściliście wieżę, dlaczego?

— Nie wiedziałem, co się stało. Jedynie, że to było niedaleko domu Fadery. Dlatego martwiłem się o żonę. Jesteśmy na miejscu.

Mordan zatrzymał się i oparł dłoń na jednym ze skrzydeł drzwiowych gospody Fadery.

— Rozumiem, wojowniku — kapitan Uladh wzruszył tylko ramionami. — I mam nadzieję, że rozumiecie, iż musiałem wam zadać te pytania.

— Oczywiście, kapitanie. Robicie to, co do was należy. Czy wolno mi też was o coś spytać?

— Proszę, wojowniku, pytajcie!

— Podejrzewacie, że to ja zabiłem tę kobietę?

— W tej chwili: nie! A jeśli mimo to coś będzie kiedyś wskazywało, że macie z tą sprawą coś wspólnego, wiem przecież, gdzie was szukać — Uladh uklonił się lekko. — Życzę wam spokojnej nocy, Mordanie run Jarat!

Przez chwilę Mordan patrzył za nim w milczeniu, jak schodził w dół uliczką. Płomień jego pochodni ploszył cienie z kątów i zakamarków. Pchnął skrzydło bramy, otwierając je, jednak potem się zawahał.

— Kapitanie Uladh!

Zaskoczony odwrócił się.

— Wojowniku?

— Musicie szukać kogoś, kto ma dość siły, żeby rozerwać gardło gołymi rękami, albo wielkiego psa.

— Dlaczego tak sądzicie, wojowniku?

— Nie znam broni, która pozostawia takie ślady. Moim zdaniem były to palce człowieka albo łapy i pazury zwierzęcia.

Uladh skinął na znak, że rozumie.

— Dlaczego mi to mówicie, wojowniku?

— Moja żona jest w tym mieście. Nie chciałbym znaleźć jej w takim stanie na ulicy.

— Czy to jedyny powód?

— Nie! Nie lubię, gdy ktoś patrzy na mnie krzywo z powodu czegoś, czego nie zrobiłem.

— Rozumiem, co macie na myśli, wojowniku! Dobrej nocy!

Po chwili blask jego pochodni zniknął w zaułku. Mordan zamknął za sobą bramę, przeszedł przez dziedziniec. Jakiś ruch w cieniu spowodował, że się zatrzymał. Jego ręka spoczęła na rękojeści *kereshtai*. Opuścił ją, widząc, kogo ma przed sobą.

— Levan! Co ty tutaj robisz?

Młody wojownik patrzył na niego, mrużąc oczy w słabym świetle.

— Konie, panie... — zaczął i kurczowym ruchem przeciągnął ręką po potarganych włosach. — Były niespokojne. Chciałem zobaczyć, czy wszystko w porządku.

Mordan skinął głową, przyglądając mu się jednak wnikliwie.

— Jesteś błądy. Dobrze się czujesz?

— Tak, panie. Nie martwcie się o mnie. Nie jestem chory! Tylko trochę zmęczony. Zjrzę do koni i pójdę do łóżka — powiedział i minął go, unikając jego spojrzenia. — Dobranoc, panie!

— Dobranoc, Levanie.

Marszcząc lekko czoło, patrzył za nim, jak wśliznął się do stajni ze zwieszonymi ramionami. Dopiero gdy znowu zniknął w cieniu, Mordan obrócił się i wszedł do domu. Trzymał jeszcze rękę na drzwiach, gdy usłyszał odgłosy na piętrze. Nagle ogarnęło go złe przeczucie! Przeskakując po dwa stopnie na raz, wbiegł po schodach na górę.

Już w korytarzu oczekiwała go Fadera, pocierając dłonie.

— Na dobre dusze przodków, nareszcie! Wasza małżonka źle się czuje! Nagle zaczęła ją potwornie boleć głowa...

Przecisnął się obok niej.

— ... i mało brakowało, a utopiłaby się w balii.

— Co takiego? — zapytał zdziwiony i zatrzymał się w pół kroku, spojrzal krótko na Faderę, a potem pospieszył do pokoju.

Uzdrowicielka leżała zwinięta na łóżku, z głową schowaną w ramionach i pojękiwała cicho. Jej włosy były mokre i nie miała na sobie nic oprócz lnianego prześcieradła, którym Fadera najwyraźniej szybko ją owinęła. Zatroskani Brachan i Corfar stali pochyleni nad nią. Kazał obydwóm opuścić pokój, klęknął przed nią, próbując spojrzeć jej w twarz. Udało się mu to dopiero, gdy odciągnął na bok jej ręce.

— Uzdrowicielko, powiedzcie mi, co się stało! Słyszycie mnie? Odezwijcie się! Co wam jest?

Pojękiwanie przeszło w szloch. Na jej rzęsach Lśniły krople łez. Zaciśnęła powieki, próbując odwrócić się od światła. Mordan zrozumiał. Podniósłszy głowę, zauważył, że w drzwiach stoi Fadera.

— Zgaście lampy! Zostawcie tylko jedną! — polecił krótko.

Kobieta pospiesznie wykonała polecenie.

— Co jej jest?

Ruchem dłoni nakazał jej milczenie. Znowu pochylił się nad uzdrowicielką.

— Tak lepiej?

Odpowiedziało mu słabe przytaknięcie. A potem wyszochalała:

— Tak bardzo boli!

Ostrożnie położył dłoń na jej czole. Chłodne! Przynajmniej nie miała gorączki.

— Czy przydarzyło się wam już to kiedyś?

— Nie! — wyszeptala z trudem.

— Macie w swojej apteczce olejek z miecznika lisiego?

Znowu zobaczył słabe przytaknięcie. Jednak gdy chciał wstać, chwyciła jego rękę.

— Nie odchodźcie!

— Bez obaw! Zostanę przy was!

Powoli usiadł z powrotem na podłodze, spoglądając w kierunku Fadery.

— Na półce, w stajni, stoi drewniana, rzeźbiona skrzynka - niech jeden z moich ludzi ją przyniesie! A potem wróćcie tutaj i opowiedzcie mi, co się stało! Spieszcie się!

Szybko wyszła. Palce uzdrowicielki zaciśnęły się mocniej na jego dłoni, jej nagie ramiona pokrywała gęsia skórka. Nie wypuszczając jej ręki, okrył ją wełnianą koldrą. Wciąż jeszcze na jej twarzy widać było ból. Może olejek z miecznika lisiego pomoże...

Podniósł wzrok, gdy w pokoju znowu pojawiła się Fadera i uważnie przysłuchiwał się temu, co opowiadała: obudził ją przeraźliwy krzyk; nie była pewna, czy pochodził z zewnątrz, czy z pokoju na pierwszym piętrze. Pobieгла na górę, żeby sprawdzić najpierw tutaj, i znalazła uzdrowicielkę w balii, pod wodą, bez ruchu. Szybko wyciągnęła ją z wody i zaciągnęła do łóżka, gdzie z trudem udało się ją ocucić. Potem owinęła ją w prześcieradło, żeby ukryć jej drżące ciało przed spojrzeciami innych wojowników

Kier, którzy doszli w międzyczasie. Wszelkie próby uspokojenia jej speszły na niczym, a potem usłyszała go pod drzwiami.

Fadera przeszła na bok, żeby przepuścić Brachana. Patrząc z zatroskaniem na młodą uzdrowicielkę, postawił apteczkę na podłodze obok łóżka. Potem machnął na Corfara i Ecrena, żeby pomogli mu wynieść z pomieszczenia balię. W końcu zamknął drzwi i Mordan został sam z pojękującą cicho uzdrowicielką. Nie musiał szukać długo, by znaleźć fiolkę zawierającą olejek miecznika lisiego. Ostrożnie wsunął się pod uzdrowicielkę tak, że jej głowa spoczywała teraz na jego udzie, odkorkował butelczkę z cierpko pachnącym olejkiem. Wylał sobie kilka kropli migoczącej zielono cieczy na palce i wmasował je delikatnie w skronie i czoło Lijanas. Bardzo powoli ból ustępował z jej twarzy, potem rozluźniła się wreszcie, westchnąwszy cicho. W końcu zasnęła.

Rankiem obudziła go Fadera. Stała z tacą w drzwiach, przyglądając się mu z zatroskaniem. Obok niej wynurzyła się czupryna jej córki. Dziewczynka trzymała w rękach dzban z wodą.

- Jak ona się czuje? - zapytała szeptem.

- Lepiej! Przespała spokojnie całą noc - także Mordan mówił przyciszonym głosem.

- To dobrze! - powiedział i podniosła tacę. - Przyniosłam ciepłe mleko i słodzoną miodem owsiankę dla waszej żony, a dla was świeży chleb z zimną pieczenią, ser i piwo.

- Postawcie to na stole. Chcę, żeby jeszcze trochę pospała.

- Jak sobie życzycie - rzekła i wskazała ręką na córkę. - Przyniosłyśmy też ciepłą wodę do mycia.

Dziewczynka postawiła dzban obok tacy na stole pod oknem, spojrzała na niego swymi oczyma bez wyrazu i wybiegła z pokoju. Potem także Fadera opuściła pomieszczenie, cicho zamykając za sobą drzwi.

Mordan ostrożnie podciągnął się, opierając się o ścianę. Zdarzało się, że sypiał dużo mniej wygodnie, ale jeszcze nigdy kompletnie odziany i z głową kobiety na kolanach.

Uzdrowicielka poruszyła się i, wzdychając cicho, przytuliła policzek mocniej do jego uda.

Na duchy zemsty... - zamarł bez ruchu.

Chwilę później poczuł, jak napina się jej ciało, usłyszał, jak jej równomierny oddech zatrzymał się na moment. Obudziła się. Jednak dopiero

po kilku uderzeniach serca odważyła się poruszyć. Powoli podniosła głowę i spojrzała na niego.

— Dzień dobry, uzdrowicielko.

Z trudem przelknęła ślinę.

— Ja... Czy całą noc... To znaczy... Tak? — gestykulowała bezradnie.

- Tak.

— Och... — jej policzki zaczerwieniły się od gorąca. — Ja... Przykro mi.

Wyciągnął spod niej nogi i podniósł się.

— Niepotrzebnie - udając obojętność, nalał wody do miski, przygotował wcześniej brzytwę i mydło. - Czy czujecie się już lepiej? - ściągnął tunikę przez głowę i, odwróciwszy się do niej plecami, zdjął klapkę z oka i zabrał się za golenie i mycie.

— Chyba tak.

Kiedy się wytarł, założył z powrotem klapkę i dopiero wtedy zwrócił się do niej twarzą. Cały czas wpatrywała się w swoje dłonie.

— Możecie mi powiedzieć, co się wam wczoraj stało? — zapytał, po czym wyciągnął ze swej torby czystą tunikę i założył ją na siebie.

Uzdrowicielka wzruszyła po chwili wahania ramionami.

— Nie wiem. Brałam kąpiel i właśnie chciałam splukać mydło z włosów, gdy nagle poczułam, jakby moja głowa chciała pęknąć i jakby jednocześnie rozgniatała ją jakaś olbrzymia pięść. Musiałam stracić przytomność, bo następane, co sobie przypominam, to to, że leżałam na łóżku, Fadera pochylała się nade mną i cały czas czułam ten potworny ból — podniosła rękę do czoła, jakby sobie coś przypominała. - Skąd wiecie, że olejek z miecznika lisiego pomaga na bóle głowy?

U Kessananów nauczyłem się nie tylko zabijać.

— Mój ojciec miał swej ostatniej zimy bardzo często takie bóle głowy. Jedyną rzeczą, która to trochę łagodziła, był właśnie ten olejek z miecznika lisiego, jednakże u niego nigdy nie działało to tak szybko jak u was.

— Czy wasz ojciec nie żyje?

— Tak.

— Przykro mi. Na co zmarł?

— Na miecz między żebrami.

Zaskoczona odpowiedzią otworzyła usta. On wziął tacę, przyniósł ją do łóżka i postawił między nimi.

- Fadera przyniosła dla was owsiankę słodzoną miodem i mleko. Jedzcie!

Posłusznie wzięła miskę na kolana i zanurzyła w niej łyżkę. Jednak zamiast jeść, zaczęła kreślić koła w owsiance, przyglądając się, jak Mordan nakłada sobie na chleb kawalek mięsa.

- Co jest? — zapytał, nalewając piwa do kubka i podniósł wzrok. Malowała spirale.

- Wiem, że zabroniliście mi już wczoraj wieczorem, ale wciąż chciałabym pomóc uzdrowicielom z Cavallina. Proszę...

- Nawet po waszym wczorajszym ataku? Jesteście pewną? — *Nie myślałem, że tak szybko o to zagadnie* — Mordan wypił łyk piwa, żeby ukryć swój uśmiech.

- Tak! — uzdrowicielka skinęła z zapalem. — Nie wiem, co się wczoraj ze mną działo, ale dziś już dobrze się czuję. Zapewniam was!

Przez dłuższą chwilę przyglądał jej się, aż zaczęła się kręcić. Potem skinął głową.

- Więc dobrze! Ale tylko pod jednym warunkiem!

- Jakim? — zagryzła dolną wargę. Palce zacisnęła kurczowo na łyżce.

- Ja będę wam towarzyszył!

Patrzyła na niego oniemiała, a potem:

- To niemożliwe!

- Dobrze, w takim razie nie pójdziecie!

- Ale chodzi mi... — bezradnie potrząsnęła głową. — Po co wy macie przebywać w szpitalu? Moglibyście zarazić się tą chorobą...

- Takie samo niebezpieczeństwo dotyczy was!

- Tak. Ale ja jestem uzdrowicielką... Nie potrzeba tam takiego kogoś jak wy...

- Śmiem wątpić, uzdrowicielko. Wręcz przeciwnie, myślę, że będą wdzięczni za dodatkową parę chętnych do pomocy rąk i silnych ramion. Ale jak chcecie. Nie będziemy...

- Nie! Macie rację! Moglibyście pomóc pielęgniarkom i praktykantom. Zgadzam się na wasz warunek! Możecie iść ze mną!

Mordan znowu ukrył swój uśmiech za kubkiem.



Szpital dla dotkniętych zarazą został urządzony w dwupiętrowym spichlerzu. Przed drzwiami stali uzbrojeni strażnicy, którzy patrzyli w ich stronę z wyraźnym zaskoczeniem i bronili wstępu. Dopiero, gdy Lijanas wyjaśniła tym ludziom, że sama jest uzdrowicielką i chciała zaoferować swoją pomoc, ulegli ich prośbie, by mogli porozmawiać z dyżurującym uzdrowicielem.

Mężczyzna, który chwilę później wyszedł przed drzwi i nieporadnie zdjął maskę z twarzy, nim ich powitał, nie mógł liczyć więcej niż dwadzieścia zim i nie ukrywał, że spodziewał się prostej zielarki, która jedynie przypisuje sobie rangę uzdrowicielki. Protekcyjnym tonem wypytywał Lijanas, kto był jej mistrzem, gdzie praktykuje i jak długo oraz czy już kiedyś przeżyła jakąś zarazę. Przy każdej kolejnej odpowiedzi jego twarz rozjaśniała się coraz bardziej i wreszcie powitał ją niemal wylewnie. Powód był prosty: od wczoraj był jedynym uzdrowicielem Cavallina, który sam nie zachorował na zarazę i był gotów do pełnienia tu służby. A za kogoś z wiedzą Lijanas był więcej niż wdzięczny; od teraz cała odpowiedzialność nie będzie spoczywać tylko i wyłącznie na jego barkach.

Jednakże był wyraźnie zmieszany, kiedy Mordan szykował się, by pójść za nimi do szpitala. Dopiero po ostrej dyskusji i zapewnieniu ciemnego wojownika, że jest całkowicie świadom niebezpieczeństwa i podejmuje to ryzyko na własną odpowiedzialność, uzdrowiciel pozwolił mu pomagać nielicznym pielęgniarzom, którzy pracowali w szpitalu - byli to w większości żołnierze, którzy zgłosili się na ochotnika, ponieważ wśród chorych znajdowali się członkowie ich rodzin. Podał każdemu z nich nasączoną octem chustkę do osłony twarzy i gruby płócienny fartuch, potem zaprowadził ich do pierwszej z dwóch sal.

Smród wymiocin, ludzkich ekskrementów i rozpalonych gorączką niemytych ciał unosił się w powietrzu wraz z odorem padliny, który było czuć nawet przez chustki z octem. Chorzy leżeli na workach ze słomą albo prostych posłaniach z koców. Pomieszczenie wypełniały jęk i szloch, od czasu do czasu rozlegał się przeraźliwy krzyk. Uzdrowiciel — miał na imię Terodh — prowadził ich przez salę i objaśniał Lijanas przebieg choroby. Zaczynało się od skurczów brzucha, po których pojawiały się wymioty i biegunka, jedno i drugie niebawem także z krwią. Potem przychodziła gorączka, w ciągu krótkiego czasu zabójczo wysoka, która dodatkowo osłabiała i odwadniała chorych, ponieważ ich organizm nie był w stanie zatrzymać wody. Niektórzy byli w tym momencie już tak bez sił, że tracili świadomość i nie odzyskiwali jej już do końca, co zdaniem Terodha było dla dotkniętych chorobą błogosławieństwem. W ostatnim stadium choroby pacjentom leciała krew z nosa i ust, czasem również z innych otworów w ciele, skóra pękała i powstawały ropiejące rany, które szybko się powiększały, sączyła się z nich krew, podczas gdy chorzy zwijali się z bólu. Niektórzy zaczęli się miotać, jakby postradali zmysły, tak że swe ostatnie godziny musieli spędzić związani, inni zapadali w półświadomy stan delirium i gorączki i umierali spokojnie. Od początku choroby do jej końca miały rzadko więcej niż dwa dni. Nikt nie przeżył! Zwłoki palono w dole wykopanym na małym dziedzińcu za budynkiem, popiół zbierano w urnach i zamurowywano w niszach, w starych sztolniach wydrążonych w górze przez budowniczych Cavallina.

Od kiedy, przed czterema dniami, wybuchła epidemia, zmarło już dużo za dużo ludzi. Co wywoływało chorobę i jak się przenosiła, Terodh nie wiedział. Pewne było jedynie to, że mógł na nią zapaść każdy, bez różnicy, biedny czy bogaty, mężczyzna czy kobieta, młody czy stary - oszczędziła do tej pory jedynie niemowlęta. A do wczoraj władze miasta nie chciały nic mówić na jej temat.

Lijanas zabrała się zdecydowanie do pracy. Nie chciała uwierzyć, że naprawdę nie może zrobić nic innego, jak tylko ulżyć chorym w ich ostatnich godzinach. Wciąż na nowo próbowała naradzać się z Terodhem, pytała, jakie leki stosował już bez powodzenia, proponowała, co jeszcze można wypróbować — i szybko zauważyła, że młody uzdrowiciel już się poddał. Pozwalał już nawet bez sprzeciwu, by Lijanas coraz częściej przejmowała dowodzenie; wydawało się nawet, że wręcz odczuwał ulgę z tego powodu.

Tak, jak się nauczyła, robiła staranne notatki o każdym chorym, prowadziła listy chorych, które umożliwiały jej później identyfikację zmarłych. Godzina za godziną spędzała przy swych chorych, podając im leki przeciw gorączce, zmieniała zimne kompresy, przemywała sączące rany leczniczym wywarem z ziół i przykładala rękę do ich ust, tylko po to, by naciągnąć im na twarz prześcieradło. Kiedy zgaszono pierwsze wieże płomieni, zrozumiała, że dla tych, którzy zachorowali, nie ma już nadziei. Mimo to nie była gotowa pogodzić się z tym tak po prostu jak Terodh.

Przez cały czas zdawała sobie sprawę z obecności Mordana. Został przydzielony do żołnierzy pracujących w szpitalu ochotniczo w charakterze pielęgniarzy. Wynosił z nimi zwłoki na dziedziniec, pomagał poskromić rzucających się w amoku chorych albo zanosił kolejnych na posłania — a mimo to, za każdym razem, gdy podnosiła wzrok, spotykała się z jego spojrzeniem. Z biegiem dnia rosło jej zdumienie. Nigdy by nie przypuszczała, że ten dumny mężczyzna byłby w stanie umyć umierające, cuchnące ropą ciało, zmieniać brudne prześcieradła, a nawet wycierać ekskrementy i wymiociny. Ale robił to bez szemrania.

Do późnego popołudnia czterech z sześciu pielęgniarzy znajdowało się w stanie zadowolonego upojenia. Z zachwytem trzymali się polecenia Lijanas, aby podczas dyżuru przy chorych pić zamiast wody tylko wino, ponieważ alkohol, zgodnie z ogólnym przekonaniem, zmniejsza niebezpieczeństwo zarażenia się. Nie znaczy to, że wcześniej pili wodę, ale teraz mogli otwarcie zażywać wina. Tylko Mordan i młody żołnierz imieniem Peider, którego rodzice zmarli wskutek zarazy i który mieszkał wraz ze swą ciężarną żoną w starej dzielnicy, nie byli pijani i dalej pełnili swą służbę.

Kaganki w niszach zostały już zapalone, pogrążając ten żaloszny widok w pobielonych murach w laskawym półmroku, kiedy Lijanas poczuła nagłe na swym ramieniu czyjąś dłoń. Za nią stał Mordan.

— Wystarczy! — to wszystko, co powiedział, a ona zrozumiała. Nieco sztywno podniosła się z kolan i obdarzyła młodą kobietę, którą przyniesiono godzinę temu, podnoszącym na duchu uśmiechem. Przywykła już dotykać każdego chorego, do którego łoża podchodziła - przy każdym widziała ten cień, czarny i nieprzenikniony — i także ta pacjentka nie dożyje kolejnego wieczora. Zachwiała się z wyczerpania wdzięczna ciemnemu wojownikowi, że objął ją ramieniem i podtrzymał. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy przez cały dzień znalazła choć chwilę czasu, by odpocząć.

Nawet swój obiad, składający się z chleba i sera, spożyła na stojąco, pijąc do tego kubek wina.

Drogę do domu Fadery pokonali w milczeniu. Mordan odprowadził ją do drzwi.

— Potrzebuję jeszcze trochę ruchu! — mruknął na pożegnanie i odszedł.

Lijanas odprowadziła go wzrokiem zaskoczona, aż zniknął w półmroku zaułka. W jadalni przywitała ją cisza. Nie widać było ani Fadery, ani żadnego z Kierów, jednak na stole stała taca, obladowana chlebem, mięsem i serem, a obok paleniska stał garnek z ciepłą, gęstą potrawą. Nałożyła jej sobie na talerz, do tego poczęstowała się innymi przysmakami, wzięła dzban świeżej, źródlanej wody i zaniósła wszystko na górę do swego pokoju. Spała mocno i głęboko, kiedy Mordan wreszcie się obok niej położył.

Następne dni upłynęły tak samo męcząco. Mordan budził ją, ledwie zapalono wieże płomieni, jedli śniadanie i szli razem do szpitala, gdzie każdy wykonywał swoją pracę. Jej dzień kończył się dopiero późnym wieczorem i Lijanas padała po szybkiej kolacji i gorącej kąpieli na łóżko, gdzie zasypiała, ledwie naciągnęła na siebie koldrę. Mordan natomiast zniknął każdego wieczora w nocnych uliczkach i wracał do gospody, gdy ona już dawno spała. Jednak za dnia był zawsze na miejscu, gdy go potrzebowała. Jego ramię podpierało ją, gdy chwiała się ze zmęczenia, kilka razy zaprowadził ją, nie zważając na jej sprzeciw, na krzesło, i zmusił, by usiadła i odpoczęła. Czasami stawał nagle za jej plecami, podając jej kubek wina, jakby dokładnie wiedział, że marzy tylko o czymś do picia. Raz zmusił ją nawet, by położyła się w kącie szpitalnej sali na świeżo napchany słomą worku, obleczony dopiero co wygotowanym prześcieradłem, i przespala kilka godzin, a on tymczasem czuwał, żeby nikt jej nie przeszkadzał. I ciągle napotykała na jego spojrzenie. Było niemal tak, jakby miała przed sobą innego mężczyznę. Tylko, gdy pytała, dokąd chodzi każdej nocy, jego (on nabierał znowu tej dobrze jej znanej oschłości, kiedy informował ją, że to nie jej sprawa.

Tb było po południu, czwartego dnia, kiedy przyniesiono tego chłopca do szpitala. Jego ciało było rozpalone, miał już krwotok z nosa, mimo to uśmiechał się dzielnie do Lijanas, zapewniając ją, że jest wojownikiem jak jego brat i przezwycięży tę głupią chorobę w swym ciele, nie musi się zatem o niego martwić. Jednak Lijanas widziała cień nad jego życiem — ciemny i nieprzenikniony. Kiedy mu powiedziała, że jest żoną wojownika

Kier, otworzył szeroko oczy ze zdumienia. Jego zdaniem nie było większych wojowników niż Kierowie. Byli niezwyciężeni i nie znali strachu.

Jakiś czas później chciała mu podać lek przeciwbólowy, lecz bronił się, słaby. Był wojownikiem, nie potrzebne mu było lekarstwo! Lijanas znała prawdziwy powód, dlaczego się wzbraniał. Jego osłabionym ciałem rzucały konwulsje; biegunka i wymioty męczyły go i odwadniały. Jego poduszkę pokrywały czerwone plamy krwi, która cały czas płynęła mu stróżką z nosa.

Nauczyła się zamykać swe serce na cierpienia pacjentów, jednak na widok jego dzielności lzy napłynęły jej do oczu. Kiedy podniosła wzrok, żeby otrzeć wilgotne powieki, zobaczyła Mordana, który właśnie napychał worek słomą, i nagle przysła jej do głowy pewna myśl. Kiwnęła na niego, opowiedziała mu pospiesznie o tym chłopcu i poprosiła, żeby jej pomógł podać dziecku lekarstwo. Ze spokojną powagą ciemny wojownik wziął kubek z jej rąk i ukląkł obok małego. Ruchem dłoni pokazał jej, że może sobie iść. Jeszcze raz uśmiechnęła się do chłopca i pospieszyła na drugą stronę sali, gdzie Peider wzywał ją przerażony. Kiedy zobaczyła, jaki jest powód, zrobiło jej się zimno. Terodh przewrócił się, rzucany konwulsjami, i pluł krwią. Od teraz ona jedna była odpowiedzialna za chorych. Jej dłonie zaczęły drżeć, gdy naraz uświadomiła sobie, że jej także nic nie chroniło przed tą chorobą - ani jej, ani Mordana.

Zmęczona powiodła spojrzeniem po pomieszczeniu i znalazła Mordana, siedzącego nadal przy boku chłopca. Czy do tej pory nie udało mu się podać mu leku? Przeszła na drugą stronę, zatrzymała się jednak, widząc, że Mordan trzyma kubek w rękach luźno — pusty. Rozgorączkowane oczy chłopca wpatrzone były w usta ciemnego wojownika, kiedy tak wsłuchiwał się w jego słowa jak oczarowany, z cichym uśmiechem na złanej potem twarzy. Mordan opowiadał chłopcu jakąś historię, odwracając w ten sposób jego uwagę od bólu. I ułatwiał mu przejście do innego świata. Bez słowa wycofała się, pozostawiając wojownika Kier i chłopca samym sobie.

Ile razy przechodziła w ciągu kolejnej godziny w ich pobliżu, słyszała niski głos Mordana. Kilka razy wydawało jej się, że zrozumiała słowa miecz, walka, bohater i potwór, raz usłyszała nawet, jak dziecko się zaśmiało. Jednak w końcu zauważyła, że chłopiec się nie porusza. Ostrożnie stanęła za czarnowłosym wojownikiem, kładąc mu dłoń na ramieniu.

Oczy dziecka były zamknięte, krew wytarta z jego bladej twarzy - mimo to Mordan opowiadał dalej.

- On nie żyje, Kierzel! - powiedziała cicho i łagodnie. Strącił jej rękę szorstko, opowiadając dalej, jak bohaterski wojownik na swym złotym rumaku *ashentai* stanął twarzą w twarz z bezgranicznie złym dowódcą wojsk boga demonów, żeby odebrać mu władzę nad swoim ludem i zwrócić mu wolność i pokój. I dopiero gdy miecz bohatera wbil się w ciało mrocznego wojownika, i ten wyzionął ducha, zamilkł.

- Wiem, że nie żyje! — usłyszała wreszcie Lijanas, kiedy spokojnie naciągał prześcieradło na twarz chłopca. - Ale dałem mu słowo, że bez względu na wszystko opowiem mu do końca legendę o Bojahalu i hathe-nańskim bogu demonów - powiedział, powoli podniósł się i spojrzal na nią. — Ja zawsze dotrzymuję słowa!

Lzy pojawiły się tak nagle, że Lijanas nie była w stanie ich powstrzymać. Mordan podniósł rękę, żeby je wytrzeć, zawahał się jednak, ujrawszy krew chłopca na swych palcach.

- Co się stało, uzdrowicielko?

- Terodh zachorował! On umrze!

Jej słowa zostały przyjęte kiwnięciem głowy.

- Wyniosę ciało chłopca i wrzucę do ognia. Potem wrócę i powiecie mi, jak mogę wam pomóc.

Z dziwnym uczuciem oszołomienia patrzyła za nim, gdy wynosił wątłe ciało na dziedziniec rozświetlony jedynie płomieniem, w którym spalano zwłoki. Czy faktycznie dosłyszała ból w jego głosie?

Jak to możliwe, że ten mężczyzna boleje nad śmiercią dziecka, którego w ogóle nie znał?

Kiedy wrócił po niedługim czasie, Lijanas stała cały czas w tym samym miejscu. Jego dłonie były czyste.

- Cóż, uzdrowicielko, co będzie dalej? - spytał chłodno, jak zwykle.

- Nie mogę już wieczorami wracać z wami do gospody Fadery. Do tej pory Terodh spał tutaj, w szpitalu. Teraz ja muszę zająć jego miejsce.

- Nie!

- Nie? — spojrziała na niego oszołomiona. — Co macie na myśli? Muszę...

- Zabraniam, byście zostawali tu na noc. To mam na myśli.

- Ale to niemożliwe. Jakiś uzdrowiciel musi tu być na wypadek, gdyby...

- Gdyby co? — jego dłoń chwyciła ją za kark i przysunęła do siebie. Nagle był znowu wojownikiem bez serca. — Gdyby wasza heretycka bogini się nad wami zlitowała i zdarzył się cud? Gdybyście znaleźli lekarstwo? Gdybyście odkryli, co jest przyczyną tej choroby? Żadna z tych rzeczy nie brzmi dla mnie zbyt prawdopodobnie — jego chwyt rozluźnił się, a głos przestał być tak szorstki. — Wszystko, co się stanie, to to, że dzień i noc będziecie przebywać z chorymi — gdy mówił, jego palce delikatnie masowały jej kark, odnajdując spięte mięśnie. — Najpierw przychodzi zmęczenie, potem wyczerpanie, wreszcie słabość, a potem wasze ciało nie będzie miało siły bronić się przed chorobą. - Odwrócił się, wskazując na miejsce, gdzie leżał Terodh. - Skończycie tak samo jak on!

- Ale ja...

- Nie, uzdrowicielko, żadnego „ale"! Nocny dyżur tutaj mogą pełnić inni! Już ja się tym zajmę! Wy zaś będziecie spędzać noc w naszym łóżku, w domu Fadery, i spać!

Bardzo powoli ramiona Lijanas opadły, potem skinęła głową. Miał rację. Przez chwilę jego dłoń spoczywała jeszcze na jej ramieniu, potem powiedział, że powinna wracać do swej pracy. Posłuchała.

Kiedy jakiś czas później przyszedł po nią, żeby wrócić z nią do gospody, spozrzała na niego pytająco.

- Peider, Galedh, Zonas i ja będziemy czuwać na zmianę, jak długo będzie trzeba. Galedh pełni wartę dzisiaj, jutro Peider, pojutrze Zonas, potem ja. Peider także mieszka w starej dzielnicy. Kiedy przyjdzie moja kolej, zajdzie po was do gospody i będzie wam tu towarzyszył. Chodźmy! Dzień był długi i ciężki. Jesteście zmęczeni.

Skinąwszy głowę, Lijanas chwyciła jego wyciągniętą rękę, pozwoliła, by pomógł jej wstać z podłogi i wyprowadził ze szpitala. Czula się bardzo zmęczona.

Ulice Cavallina były puste, jak zwykle o tej porze, jednak teraz Lijanas wiedziała już, że były puste także za dnia. Ludzie zaszyli się w swych domach ze strachu przed chorobą.

Mordan odprowadził ją do bramy gospody Fadery, życząc dobrej nocy, i zniknął w cieniu uliczki. Przechodząc przez dziedziniec, Lijanas zastanawiała się, dokąd on chodzi każdej nocy.

Ciepło na plecach i chłód na piersi - przeciwstawne odczucia pomagały mu odprężyć się. Teraz przychodził tu na górę każdej nocy, cieszył się ciszą, mając pewność, że nikt mu nie będzie przeszkadzał. Oddychał

głęboko i powoli, czując drogę oddechu w swym ciele, zatapiał się w nim. Jak zwykle siedział ze skrzyżowanymi nogami na ziemi, z wyprostowanymi plecami, nadgarstkami spoczywającymi luźno na kolanach, luźno rozwartymi dłońmi, i rozkoszował się ciepłem i chłodem na swym nagim tułowiu.

Nie było wiele rzeczy, za które był wdzięczny Kessanonom, jednak *ma-raltai*, pogrążanie się w sobie samym, należało do nich podobnie jak *ashk-keshtani*. Te stare rytuały wydawały się już wiele zim temu słuszne, tak, jakby były mu już znane, zanim nauczył go ich Arkell. W ostatniej nocy były jedyną rzeczą, która mu pomagała uspokoić myśli. Jednak dzisiaj po prostu mu nie wychodziło. Nawet kiedy koncentrował się na swym oddechu, patrzyły na niego szmaragdowe oczy, w których lśniły lzy. (ego dłonie zacisnęły się w pięści, z ust wydobyło się warknięcie, podniósł się i podszedł do blanków. Z nocy na noc paliło się coraz mniej światel w domach Cavallina.

To miasto to śmiertelna pułapka! A my siedzimy w samym jej środku!

Od wielu dni Brachan i pozostali szukali sposobu wydostania się na zewnątrz — bez powodzenia. Wprawdzie znaleźli najwyraźniej zapomnianą pieczarę, z której prastare sztolnie prowadziły głęboko w górę, i niektóre z nich faktycznie wznosiły się wyżej, lecz wszystkie kończyły się przed masywną skałą. Oparł łokieć o kant blanku i przycisnął kostki palców do zębów. Było tylko kwestią czasu, kiedy zaraza dopadnie także ich. A wtedy? Nie umiał odpowiedzieć na to pytanie.

Na początku wydawało mu się, że praca uzdrowicielki przy chorych okaże się rozwiązaniem jego problemu. Że uda jej się znaleźć lekarstwo na tę chorobę, a przynajmniej jej przyczynę, żeby można było zwalczyć zarazę i żeby znowu otwarto bramy. Nie udało jej się. W końcu on sam zaczął przeglądać listy chorych, wypytywał tych, których nie trawiły jeszcze gorączka i ból, ale wydawało się, że nie ma żadnych podobieństw. Gorzko wykrzywił usta. Wspólne było jedynie to, że najwyraźniej każdy mógł paść ofiarą zarazy. Jedyne, co wiedzieli z dość dużą pewnością, było to, że choroba nie przenosiła się przez samych chorych — ale obywatele Cavallina byli zbyt przestraszeni, by w to wierzyć.

Na duchy zemsty, tkwimy tu już od dziesięciu dni i nie wiadomo, ile to jeszcze potrwa! Do cholery! Niemożliwe, by brama była jedyną drogą na zewnątrz! A z każdym dniem staje się coraz mniej prawdopodobne, że uzdrowicielce uda się znaleźć przyczynę zarazy albo lekarstwo.

Zmęczonym ruchem powiódł palcami po włosach. Uzdrowicielka nie poddawała się w walce z chorobą. Nawet kiedy Terodh powiedział jej, że nie ma nadziei i że każdy chory umiera. Gdy tylko udało jej się znaleźć chwilę czasu, Mordan widział ją pochyloną nad tomami i zwojami, w poszukiwaniu nowego leku lub przynajmniej jakiegoś punktu zaczepienia, jak można by leczyć tę chorobę. Jednak dziś wieczorem jej oczy zdradziły zwątpienie - i strach. Od kilku dni walczyła o życie chorych, choć wiedziała, że nie odniesie zwycięstwa. Obserwował, jak każdego ze swych pacjentów dotykała tak, jak wówczas Levana; za każdym razem wyraz jej twarzy mówił mu, że widzi śmierć. A mimo to będzie jutro działać dalej. Usiadł bokiem na murze między dwoma blankami, pocierając w zamyśleniu ramię. Strup znikał powoli, została tylko blizna ciągnąca się od kostek palców po łokieć w postaci polyskującej dziwną bielą sieci delikatnych linii. Kolejne miejsce na jego skórze, które teraz będzie pozbawione sierści. Blizna na skroni uzdrowicielki wyglądała tak samo, nawet jeśli była prawie niewidoczna pod kosmykami jej płomiennych włosów.

Nigdy nie spotkał takiej kobiety jak uzdrowicielka. Parsknął gorzko.

Kobiety są słabe, głupie i samolubne! Nie zasługują na respekt ani szacunek — kilka razy odetchnął głęboko, pocierając dłońią o kamienie blanków. — Uzdrowicielka jest inna! Nie jest głupia i beznadziejna jak te pozabawione mózgu piękności na dworze Haffrena, ani nie jest przebiegła i nie knuje intryg, jak to robiła Kyrisa - na wspomnienie swej bylej narzeczonej jego place zwinęły się na uderzenie serca jak szpony. - Jest inteligentna i na swój sposób silna; wybuchowa, a jednocześnie łagodna i spokojna — poza chwilami gdy na mnie gdera... Dlaczego nie zabiega o moje względy, jak to robi Vajna za każdym razem, kiedy wzywam ją do swego namiotu? Powinna się starać o moje łaski, żebym ją dobrze traktował, cały czas jest jeńcem. Lecz zamiast być posłuszna mej woli, zamiast pogodzić się ze snym losem, zadziera uparcie podbródek, prycha na mnie z bliskim w oczach i pokazuje pazurki — na krótką chwilę w kąciku ust zakreślił się mu uśmiech. — Prawdopodobnie nie porzuciła jeszcze myśli o ucieczce. Nie! Nie ucieknie. Nie teraz. Nie zostawiłaby chorych samych — powoli pokręcił głową. — Nawet gdyby bramy Cavallina stały otworem, zostałyby. Ale co, kiedy będzie już po wszystkim...? — myśl, że znowu będzie musiał traktować ją jak więźnia, zaskakująco nie przypadła mu do gustu. Jej niezłomna wola, która kazała jej, mimo beznadziejności sytuacji, działać dalej, walczyć cały czas o chorych, wzbudzała w nim respekt. — Kto by pomyślał, że kiedykolwiek pomyślę tak

o kobiecie — może dlatego, że na swój sposób jest wojowniczką? — oderwał się gwałtownie od muru i wstał. Cóż to za szalone myśli? Podszedł do potężnej misy z ogniem, ustawionej na ciężkich kamiennych nogach, mniej więcej na wysokość jednego kroku nad platformą wieży i położył dłoń na ciepłym metalu. — Czy ja coś czuję do tej kobiety? Czy dlatego nie mogę zaznać spokoju, kiedy leżę obok niej? - zaciskając szczęki tak mocno, że zabolalo, napiął mięśnie, aż zaczęły drżeć. — To szaleństwo! Ona jest Nivardką! Na duchy zemsty! Ona jest moim jeńcem! Pewnie napłulaby mi w twarz, gdybym... Nie! To szaleństwo!

Ból głowy pojawił się kilka godzin przed nastaniem poranka. I choć nie był tak silny jak podczas ataku kilka dni temu, Lijanas z trudem podniosła się z łóżka i podeszła do apteczki. Fiolka z olejkiem z miecznika lisiego leżała jeszcze na wierzchu. Drżącymi palcami wtarła kilka kropli polyskującej cieczy w czoło i skronie, wróciła chwiejnym krokiem do łóżka i słaba wśliznęła się pod koldrę. Mordana jeszcze nie było.

Jak co dzień rano Mordan był już umyty i ogolony, kiedy ją obudził. Najwidoczniej nie chciał zdejmować skórzanej klapki z oka w jej obecności. W międzyczasie zaczęła zadawać sobie pytanie, co za straszny widok mógł pod nią ukrywać. Ból głowy, który pojawił się minionej nocy, był już tylko złym wspomnieniem.

Z każdą mijającą godziną była wdzięczna, że jest przy niej ciemny wojownik. Nie pytając ją o zgodę przejął dowodzenie nad mężczyznami pracującymi w szpitalu jako pielęgniarze. Gdzie tylko mógł, wyręczał ją w zadaniach, które wcześniej należały do Terodha. Wreszcie wyjaśniła mu, jak należy prowadzić listy chorych, i pokazała, jak się sporządza łagodzące ból lekarstwo, które przynosiło chorym ulgę w ostatnich godzinach życia.

Nie było jeszcze południa, gdy Peider zawołał ciemnego wojownika do bramy dziedzińca spichlerza. Krótco po tym przybiegł do Lijanas zdyszany i blady na twarzy.

- Oni aresztują waszego męża! — wyrzucił z siebie bez tchu, ledwo przed nią stanął. Spojrzała na niego z niedowierzaniem i przerażeniem, potem sama pospieszyła do bramy. Kiedy wyszła na schody, strażę właśnie krępowały mu ręce.

- Co tu się dzieje? - jej głos zabrzmiał tak pewnie, że samą ją to zaskoczyło.

Mężczyzna w średnim wieku, którego rudobrzazowe włosy przerzedzone były już na czole, zwrócił się w jej stronę.

— Kim jesteście, kobieto?

— Jestem Lijanas, jestem tu odpowiedzialną uzdrowicielką! A kim wy jesteście?

— Kapitan Uladh! — przedstawił się uprzejmie. — Aresztujemy tego mężczyznę, uzdrowicielko — wyjaśnił potem.

— Dlaczego? Co się mu zarzuca?

— Jest podejrzany o dwukrotne morderstwo!

— Morderstwo? — stanęła jak skamieniała na te słowa. Mordan spoglądał na nią nad głowami żołnierzy. Zdawało się, że zaraz da upust powstrzymywanej z trudem wściekłości.

— Tak, uzdrowicielko, morderstwo.

— To niemożliwe, kapitanie. - Lijanas pokręciła zdecydowanie głową. - Cały dzień był tutaj. Może to poświadczyć każdy w szpitalu!

— Morderstwo miało miejsce dzisiaj w nocy, między drugą a czwartą nad ranem.

Miała wrażenie, jakby ziemia chwiała się pod jej stopami.

O tej porze się obudziłam. Nie było go w gospodzie! Byłoby to możliwe?! Nie! On nie jest mordercą! Nie?

Krótkim gestem kapitan Uladh rozkazał odprowadzić Mordana.

— Zaczekajcie!

Zatrzymali się, kiedy zawołała.

— Co teraz z nim będzie?

— Spędzi następne dni w więzieniu do czasu przesłuchania przez władze miejskie.

— Chcecie go zabrać, kapitanie?

— Tak, uzdrowicielko!

— Nie możecie tego zrobić!

Kapitan zmarszczył czoło.

— Co macie na myśli?

— Ja... Chodzi mi o to... Jest mi potrzebny! — kiedy wypowiedziała już te słowa, zdała sobie sprawę, jak bardzo były zgodne z prawdą. Faktycznie go potrzebowała — nie tylko po to, by pomagał jej przy chorych. Potrzebowała go u swego boku. Potrzebowała jego spokoju, siły i stanowczości. — *Czy postradałam zmysły? On mnie uprowadził! Jestem jego jeńcem! Muszę tylko opowiedzieć to tym ludziom i po wszystkim!* — splatając kurczowo dłonie, podniosła wzrok i napotkała spojrzenie Mordana. Jego oko zwięzło się, a on naprężył mięśnie. - *Czy podejrzewa, co zamierzam? Chyba nie będzie*

na tyle szalony, by walczyć ze strażnikami? Jego ręce są skrepowane! Zabijaj go! — przeszły ją ciarki. - On to zrobi! Będzie walczyć! Nie! Tylko nie kolejna śmierć! Nie za moją przyczyną! Jakoś mi się uda uciec. Może Abmeer stoi właśnie w tej chwili pod bramami Cavallina, czekając, aż go wpuszczą.

- Nie możecie wtrącić mojego męża do więzienia! Nie mogę obejść się bez jego pomocy tu, w szpitalu, zwłaszcza że teraz zachorował także uzdrowiciel Terodh.

Wzrok kapitana wędrował od niej do Mordana, potem skinął głową.

- Rozumiem, uzdrowicielko. Mimo to muszę go zabrać ze sobą, gdyż nie ma nikogo, kto mógłby zaświadczyć, gdzie przebywał, kiedy zdarzyło się to morderstwo. A może wy byliście z nim?

Spojrzała na Mordana, zawahała się... - *To byłoby takie proste. Musiałbym tylko powiedzieć „tak” i stwierdzić, że był ze mną. A co, jeśli to naprawdę on? Wiem, jak brutalny potrafi być! Może jednak to zrobił? Kryłabym mordercę. Stałabym się jego współniczką...* - i pokręciła głową.

- W takim razie przykro mi!

- Czy nie ma innej możliwości...? — wykonała niepewny gest.

- Nie, uzdrowicielko! Chyba że moglibyście zapłacić za niego sumę poręczającą. Wtedy mógłbym zostawić go pod strażą do czasu przesłuchania i nie musiałby iść do więzienia.

Lijanas przelknęła nieswojo ślinę.

- Jaka to suma?

- Czteryście złotych kareszów...

Wciągnęła głośno powietrze, spoglądając znów bezradnie na Mordana. Powoli pokręcił głową.

- Nie mamy tyle pieniędzy, kapitanie!

Jakby nie spodziewał się niczego innego, kapitan skinął głową i podniósł rękę, rozkazując wyprowadzić Mordana.

- Zaczekajcie! — Lijanas nie była jeszcze gotowa zrezygnować. — Dlaczego nie możecie po prostu zostawić go tutaj pod nadzorem straży, jeśli da słowo honoru? Bramy Cavallina są zamknięte. Nie może opuścić miasta i nie zrobiłby tego, jeśli da wam swe słowo — spojrzenie, którym teraz obdarzyła czarnowłosego wojownika pytało wyraźnie: — *Prawda?*

Ku jej zdumieniu Mordan kiwnął.

- Moja małżonka ma rację, kapitanie. Ale to wszystko jest zbędne! Powtarzam wam raz jeszcze: nie mam nic wspólnego z tą całą sprawą! Jestem niewinny!

Kapitan Uladh przyjrzał mu się dokładnie wąskimi oczami, potem w końcu sklonił głowę.

— Dobrze! Na wasze słowo pozwolę wam zostać przy żonie. Ale od tej chwili jesteście aresztowani! Wolno wam towarzyszyć tu waszej małżonce, ale poza tym nie możecie opuszczać gospody Fadery. Dwóch moich ludzi będzie was pilnować dzień i noc. Jeśli spróbowujecie im się wymknąć lub sprzeciwić moim poleceniom znajdziecie się w więzieniu, nim zdążycie wypowiedzieć swe imię. A potem osobiście założę wam żelazne kajdany. Zrozumiano, wojowniku?

— Zrozumiano, kapitanie. I daję wam moje słowo, że do przesłuchania przez władze miejskie nie będę próbował uciec - głos Mordana brzmiał spokojnie, mimo to Lijanas zdawało się, że usłyszała w nim powstrzymaną z trudem wściekłość.

Na krótki znak kapitana pięta Kiera zostały rozwiązane, a kiedy skinął, dwóch strażników stanęło po obu stronach bramy dziedzińca, potem Uladh rozkazał swym pozostałym ludziom odejść. Mordan wolnym krokiem wszedł po schodach, patrząc za żołnierzami. W końcu odwrócił się i spojrzał na Lijanas.

— Dziękuję! - chciał ją minąć, jednak powstrzymała go jej dłoń na jego ramieniu.

— Spójrzcie mi w oczy i powiedzcie, że nie zrobiliście tego, co wam zarzucają!

Poczuła, jak jego mięśnie napinają się pod jej palcami. Spojrzenie, którym ją zmierzył, było bardziej lodowate niż wszystko, co знаła.

— Tyle na temat zaufania do mnie — syknął gorzko. Potem na jego ustach pojawił się złowieszczy uśmiech. — Naprawdę sądzicie, że powiedziałbym wam, gdybym rzeczywiście zabił te dwie kobiety? — Strząsnął szorstko jej dłoń i przecisnął się obok niej. Lijanas patrzyła za nim.

Reszta dnia była nie do zniesienia. Mordan jej unikał. Kiedy tylko na nią patrzył, jego oko było zimne i zagniewane, a kiedy faktycznie musiał zamienić z nią słowo, ograniczał się do tego, co niezbędne. Wiadomość, że mąż uzdrowicielki — Kier, podejrzewany jest o morderstwo, rozeszła się jak ogień latem. Dostrzegala spojrzenia, którymi śledzili go pielęgniarze, a także chorzy. Jeden z mężczyzn uznał za stosowne wziąć ją na bok i opowiedzieć szczegółowo, jak morderca obszedł się z obydwojma kobietami w zaawansowanej ciąży. Mówiąc to, zerkał cały czas znacząco na Mordana. Zostawiła go i zajęła się swoją pracą. Jednak pytanie, czy

czarnowłosy wojownik naprawdę mógłby być brutalnym mordercą, nie dawalo jej spokoju.

Kiedy w towarzystwie dwóch strażników wracali wieczorem do gospody Fadery, panowała między nimi krępująca cisza. Zdecydowanym ruchem zatrzaskał mężczyznom bramę dziedzińca przed nosem, potem poczłapał ponuro do domu, mijając Lijanas.

Jednak zaledwie chwilę później stanął naprzeciw niej, na schodach, ze swym *kereshtai* w ręku. W odpowiedzi na jej przerażone spojrzenie wyszczerzył groźnie zęby, co w żaden sposób nie przypominało uśmiechu.

— Bez obaw, moja droga małżonko! — rzekł, a jego pięść zacisnęła się brutalnie na jej włosach, przyciągnął ją do swej piersi. Nie odważyła się protestować. - Nie mam zamiaru zabić dzisiejszej nocy kolejnej ciężarnej kobiety. Gdybym pożałował krwi, ograniczę się do was! Życzę dobrej nocy!

Mocno odepchnął ją od siebie, opuszczając długim krokiem dom. Lijanas pokonała resztę stopni na dziwnie miękkich kolanach. W swym pokoju usiadła oniemiała na łóżku, utkwivszy wzrok w ścianie.

On myślał, że wstawiłam się za nim dlatego, że wierzę, że jest niewinny. Ale jak mogę mieć pewność, że mówi prawdę? — Jej palce bawily się niepokojnie koldra. - Jest nieczuły i brutalny — ale czy tylko dlatego ma być mordercą? Dlaczego miałby zabić obie te kobiety? Dlaczego robi to akurat teraz, kiedy doskonale wie, że nie uda mu się wymknąć, jeśli wyjdą na jaw jego czyny.

Podeszła do okna i patrzyła przez chwilę w milczeniu na wewnętrzny dziedziniec. Kilka razy zdawało się jej, że widzi wśród cieni między domem a stajnią jakiś ruch, jednak dopiero gdy dostrzegła krótki błysk, wychyliła się i przyjrzała dokładnie. Na dole faktycznie ktoś był. Czy to Mordan? Co robił tam na dole? Znowu ten błysk. Energicznym ruchem oderwała się od parapetu, zdecydowana zejść i zażądać wytłumaczenia od ciemnego wojownika. Jej dłoń spoczywała już na klamce, kiedy jeszcze raz się zatrzymała. Był w takim nastroju, że mogła się po nim spodziewać najwyżej złośliwej kpiny. Nie! Musi z nim porozmawiać! Taki dzień jak ten nie ma prawa się powtórzyć — i dlatego musiała spróbować dowiedzieć się prawdy.

Uważając, by nikogo nie zbudzić, zeszła po omacku po schodach, przez ciemną kuchnię, i wyszła na dziedziniec. Jeszcze w łuku drzwi zatrzymała się, dostrzegłszy błysk ostrza w delikatnej poświacie wież płomieni i mężczyznę, który kierował je właśnie szerokim łukiem na niewi-

działnego wroga. Widziała już raz, jak Mordan walczył swym *kereshtai* i obserwowała go podczas treningu z innymi wojownikami, lecz to tutaj było czymś zupełnie innym. To był taniec z cieniami, bezgłośny jak sama ciemność - taniec poskromionej mocy i śmiertelnej elegancji, tak tajemniczo piękny, że zaparło jej dech w piersiach. I skończył się niespodziewanie, kiedy Mordan zniknął nagle, jakby pochłonęły go cienie. Zaskoczona zrobiła krok do przodu i przy następnym uderzeniu serca poczuła ból przy gardle.

— Wy? — szybkim ruchem zabrał *kereshtai* z jej szyi i wsunął go z powrotem do pochwy. — Na duchy zemsty, czyście postradali zmysły? Co tutaj robicie? O mały włos poderznąłbym wam gardło!

Powoli dotknęła drżącymi palcami szyi. Ku swemu zaskoczeniu poczuła faktycznie ciepłą krew, a przecież lekko przyłożył ostrze do jej gardła. Zabrała dłoń.

— Co to było, ten... taniec? To było — gestykulowała bezradnie — nie do opisanania.

Stał przed nią, patrząc na nią z góry i Lijanas nagle uświadomiła sobie, że poza spodniami nie miał nic na sobie.

— Nazywają go *ashk-keshtani* — niepokój zniknął z jego głosu, mimo to cały czas wydawał się spięty. Najwyraźniej zauważył jej przestraszoną minę i słusznie ją odczytał, ponieważ wziął swoją tunikę z występu w murze, wciągnął ją przez głowę i zapiął pas.

— *Ashk-keshtani*. Co to znaczy?

— Niektórzy tłumaczą to jako „taniec cieni”, w starych pismach nazywany jest „tańcem dusz”. Wejdźmy do środka! Jest późno! Powinniście się położyć, a i ja potrzebuję kilku godzin snu! - odwrócił ją i popchnął przed sobą do kuchni.

— Czy to jakiś szczególny styl walki? - Lijanas wzięła z półki nad piecem drzazgę, zapaliła ją od rozżarzonych kamieni i przytknęła do małego kaganka. Natychmiast oliwa stanęła w płomieniach, pogrążając wszystko w ciepłym półświetle.

Marszcząc lekko czoło, odwrócił się do niej, zamknąwszy drzwi na dziedziniec.

— Nie wiem, czemu was to interesuje, uzdrowicielko! Powiedźcie mi teraz, czego szukaliście w środku nocy na dziedzińcu?

Was!

— Ja..., ja zobaczyłam z okna jakiś ruch na dziedzińcu, więc pomyślałam...

— Zdziwiająca, że pomyśleliście przy takim braku rozumu. Co byście zrobili, gdyby na dziedzińcu był ktoś inny?

Laskawa Bogini! *On ma rację* - gorąco oblało jej policzki, kiedy patrzył na nią bez słowa. Ku jej zaskoczeniu po chwili kiwnął głową.

— Następnym razem będę ostrożniejszy.

— Ostrożniejszy? — zapytała, przyglądając się mu z przechyloną głową.

— *Ashk-keshtani* to rytuał nie dla widzów. Ale teraz dosyć! Weźcie lampę i chodźmy na górę!

Lijanas chciała właśnie sięgnąć po lampę oliwną, szczęśliwa, że nie był już w tym swoim morderczym nastroju, kiedy rozległo się lomotanie do drzwi. Potem zostały otwarte dużą siłą i wkroczył przez nie, zataczając się, Corfar. Mordan zmarszczył czoło.

— Wracasz późno, przyjacielu! I jesteś pijany! - powiedział z wyrzutem.

Wojownik powoli podniósł głowę, a Lijanas zakryła ręką usta, tymczasem Mordan skoczył do przodu, by złapać Corfara, kiedy runął z jękiem. Spojrzeli na siebie - Corfar się zaraził.

— Idźcie na górę i zbudźcie Brachana, Levana i Ecrena, uzdrowicielko! Niech zejdą. Potem pójďte do Fadery. Także ona musi wiedzieć, że jeden z nas jest chory, ale wytłumaczcie jej, że nie zarazi się od Corfara! Nie musi się niepotrzebnie obawiać — jego ton był tak spokojny, jakby każdego dnia wydawał rozkazy, trzymając w ramionach mężczyźnę, któremu pisana była śmierć.

Przytaknęła i pobiegła po schodach na górę. Zapukala mocno, otworzył jej Brachan, za nim pojawił się zaspany Levan, który oblał się purpurą, kiedy spostrzegł Lijanas, ponieważ miał na sobie jedynie krótkie spodenki. W drugich drzwiach stanął Ecren, z podkrążonymi oczami. Wysłuchali jej w milczeniu, wymienili zmieszane spojrzenia, kiedy skończyła, i zniknęli znowu w swych pokojach, by się odziać.

Fadera pobladła jak trup, kiedy Lijanas doniosła jej, co się stało. Wiadomość, że zaraza znalazła drogę do jej domu, wyraźnie ją przestraszyła. Mimo to narzuciła na ramiona wełnianą chustę, przykryła jeszcze raz starannie Aleję, która spała z nią w łóżku i zeszła z młodą uzdrowicielką do jadalni.

Jeszcze na schodach usłyszały głos Mordana, który najwidoczniej wydawał polecenia. Kiedy weszli do pomieszczenia, Levan i Ecren ude-

rzyli pięścią w pierś i wyszli, mamrocząc coś pod nosem, na dziedziniec. Mordan wysłał Faderę po dodatkowe koce dla drżącego od gorączki Corfara. Czarnowłosy wojownik przemawiał tak spokojnie i stanowczo, że przestraszona kobieta nie miała innego wyboru, jak wykonać to, co powiedział.

Po powrocie Levana i Ecrena ułożyli Corfara na kocu i wynieśli go na dziedziniec. Jednak, gdy Mordan otworzył skrzydła bramy dziedzińca, chcąc wraz z Ecrenem wyprowadzić konie, dwaj ludzie ze straży zagrodzili mu drogę. Z wyraźnym zdenerwowaniem spoglądali na nosze z pojeżdżającym chorym, mimo to zdawało się, że są zdecydowani wykonać swoje rozkazy.

— Wiecie, że jesteście aresztowani, wojowniku! — mówiąc to, młodszy z nich położył rękę jednoznacznym gestem na trzonie swego miecza. Nim Mordan zdążył coś powiedzieć, stanął obok niego Brachan. Choć poza sztyletem nie miał przy sobie broni, i tak wyglądał groźnie.

— Co to ma znaczyć? — zażądał wyjaśnień tonem tak ostrym, że ten drugi zrobił pół kroku w tył.

— Ten mężczyzna... - zaczął, lecz ciemny wojownik wszedł mu w słowo.

— Jestem podejrzany o morderstwo!

Bardzo powoli Brachan obrócił się w jego stronę.

— Co takiego?

Mordan skinął głową.

— Dobrze usłyszałeś. Podobno zamordowałem dwie ciężarne kobiety.

— To największy absurd, jaki kiedykolwiek słyszałem! - prychnąwszy z niedowierzaniem, siwowłosy wojownik zwrócił się znowu do strażników.
- Odejdźcie na bok i przepuście tego człowieka!

— Mamy rozkazy, wojowniku!

Palce młodszego zacisnęły się, szukając oparcia, na rękojeści miecza, kiedy niemal przekornie wysunął podbródek do przodu. Brachan obdarzył go spojrzeniem, na które drżał każdy mężczyzna poniżej stopnia dowódcy.

— Ależ to śmieszne! — Lijanas przepchnęła się zdecydowanie między wojownikami. — Kapitan Uladh powiedział dziś w południe, że mój mąż może mi towarzyszyć do szpitala pod waszą eskortą. Dokładnie tam chcemy zanieść tego człowieka! Nie ma więc powodu, dla którego zastępujecie nam drogę. — Chwyciła cugle pierwszego konia i wyprowadziła go ze stanowczym rozkazem: — Z drogi! — przez bramę dziedzińca. Młodszy

strażnik otworzył usta, chcąc zaprotestować, został jednak odciągnięty na bok przez swego towarzysza.

Brachan i Mordan wymienili spojrzenia. W jastrzębich oczach starszego mężczyzny błysnęło rozbawienie.

Lijanas poczuła więcej niż ulgę, kiedy jej „malżonek” wziął po kilku krokach cugle z jej ręki. Trudno było odczytać ze sposobu, w jaki na nią patrzył, co myślał, jednak w końcu skinął w jej stronę bez słowa. Kiedy się odwróciła, zauważyła Ecrena, prowadzącego drugiego konia, a tuż za nimi obydwu ludzi ze straży miejskiej.

W szpitalu wyszedł im naprzeciw Peider, wyraźnie zaskoczony. Ale kiedy dostrzegł Corfara, zrozumiał i cofnął się z respektem. Chory został ułożony w spokojnym kącie, na worku ze słomą, a Mordan przyniósł skądś dodatkowe koce, w które owinał drżącego w gorączce wojownika.

— Zostanę przy nim! — poinformował Lijanas, podniósłszy się. — Ecren odprowadzi was do gospody Fadery — powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu. Zaciśnięta ręka na jej ramieniu, kiedy prowadził ją do drzwi, nie pozostawiała żadnych wątpliwości, że jest to jedyne rozwiązanie. Bez słowa Lijanas pozwoliła, by podsadził ją na konia, podczas gdy Ecren wsiadł, z wyraźnym wahaniem, na drugiego rumaka. W wejściu do szpitala stał Peider, ze wzrokiem utkwionym w *ashentai*, targany sprzecznymi uczuciami. Lijanas pogłaskała swego konia po szyi. Przy tym sierść zwierząt nie lśniła w świetle pochodni swym właściwym pięknem. Kiedy Ecren złapał cugle jej rumaka i pociągnął go ze sobą, nie protestowała. Odwróciła się w siodle i zdążyła jeszcze zobaczyć, jak Mordan zamykał drzwi szpitala.

W gospodzie Fadery panowało milczenie, ale spojrzenia wojowników mówiły więcej niż słowa.

Następnego ranka Peider powitał ją z wiadomością, że Terodh zmarł w nocy. Przyjęła to skinieniem głowy, klękając przy posłaniu Corfara i kładąc choremu dłoń na rozpalonym czole. Kiedy podniosła wzrok, obok niej stał Mordan. Mówił zupełnie bezbarwnie, zdając jej relację. Poza Terodhem odeszło tej nocy jeszcze piętnastu kolejnych chorych. Zaznaczyli ich nazwiska na listach chorych i natychmiast spalili zwłoki. Nad ranem przyniesiono córeczkę Galedha; była już nieprzytomna. Corfar jeszcze godzinę temu wymiotował bez przerwy, na koniec pluł już tylko krwią, jednak potem zapadł w głęboki sen. Lijanas chętnie przyjęłaby to za dobrą wróżbę, ale wiedziała, co to oznacza.

Krótko potem zjawił się w szpitalu Eren, żeby czuwać przy posłaniu Corfara. Mordan przegonił go ordynarnymi słowami; nie lepiej poszło kilka godzin później Brachanowi i Levanowi. Choć próbowała pracować jak co dzień, Lijanas wielokrotnie przyłapywała się na tym, że kierowała swe kroki w stronę miejsca, gdzie leżał i nasłuchiwała jego jęków pośród innych odgłosów. Minęło południe, kiedy gorączka niespodziewanie mu spadła i wbrew wszelkiemu rozsądkowi zaczęła mieć nadzieję. Do wieczora odzyskał przytomność. Jednak nie minęła godzina, odkąd zgaszono pierwsze wieże płomieni, a gorączka wróciła z przerażającą siłą, odbierając mu zmysły.

Tym razem to Lijanas przypomniała Mordanowi, że już czas wracać do gospody. Nie była zaskoczona, kiedy jej oznajmił, że noc spędzi tutaj.

Następnego ranka Corfarowi nie polepszyło się, ale, co dziwne, nie było też gorzej. Mordan siedział oparty plecami o mur przy posłaniu wojownika, kiedy Lijanas weszła do szpitala. W pierwszej chwili pomyślała, że choroba zaatakowała także jego, lecz gdy tylko zwróciła się w jego stronę, podniósł głowę. Wyglądał na wyczerpanego, pod jego okiem widać było ciemny pierścień, na policzkach i brodzie czerniły się kępki szczeciny, ale nie widać było oznak choroby. Próby przekonania go, by znalazł sobie jakiś spokojny kąt i przespał się kilka godzin, ignorował i zamiast tego zajął się, jak co dzień, swoją pracą.

Kiedy wieczorem Corfar wciąż jeszcze żył i do tej pory nie pojawiły się na jego ciele ani sączące rany, ani krwotoki z nosa, młoda uzdrowicielka naprawdę zaczęła mieć nadzieję. Może lud Kierów różnił się od obywateli Cavallina i Nivardów na tyle, żeby przeżyć zarazę. Jej nadzieja prysła dwie godziny później, ponieważ Corfar nagle zaczął się wic w konwulsjach i rzucać. Mordan nie był w stanie go okiełznać, aż w pewnym momencie wojownik skulił się, jakby wbito mu sztylet w brzuch, a potem wreszcie uspokoił się po wydającej się nie mieć końca, serii wydechów.

- Powiem Peiderowi, żeby razem z Galedhem wyniósł jego ciało i wrzucił do ognia — wymamrotała Lijanas po krótkiej chwili, którą spędziła w milczeniu przy Mordanie i zmarłym.

- Nie!

Ciemny wojownik właśnie zamknął Corfarowi powieki, a teraz gwałtownie podniósł wzrok.

— Zostanie pochowany, jak przystało na wojownika Kier!

— Nie mogę na to pozwolić! Wiecie...

Poderwał się z podłogi, odsłaniając zęby.

— „Wy” nie możecie na to pozwolić? Co wy sobie wyobrażacie, że kim jesteście? Nie potrzebuję „waszego” pozwolenia, jeśli chodzi o to, jak ma być pochowany jeden z „moich” legatów!

Przestraszona Lijanas cofnęła się przed nim chwiejnie. Jego gniew wisiał między nimi, niemal namacalny.

— Jeśli zbliżycie się do niego, albo ktoś z pozostałych, będziecie przeklinać dzień, w którym się spotkaliśmy!

Bez obaw, już go przeklinam, Kierze!

Spięła lopatki i spojrzała na niego pewnie.

— Wiedziecie, że jego zwłoki muszą zostać spalone! Wszystko inne byłoby nieodpowiedzialne w stosunku do tych, którzy są zdrowi!

Pochylił się nad nią powoli.

— Nie martwcie się, uzdrowicielko! Jego ciało zostanie spalone. Ale nie w dole razem ze zniewieściałymi mieszcuchami i kramarzami. Taki człowiek jak Corfar zasłużył na coś lepszego!

— Mierzycie dwojaką miarą, Kierze! Gdyby rodzinom pozostałych zmarłych wolno było decydować, ich krewni też zostaliby inaczej pochowani.

— Mierzę dwojaką miarą? Wszystko mi jedno! Co mnie obchodzą mieszkańcy Cavallina albo jacyś zbiegli Nivardowie! Corfar zostanie pochowany tak, jak to jest w tradycji mojego ludu i należy się takiemu wojownikowi jak on — powiedziawszy to, pochylił się i zakrył kocem twarz zmarłego. — Jutro będziecie się musieli obejść bez mojej pomocy, uzdrowicielko. Muszę pochować przyjaciela - oznajmił jej, prostując się. Z tymi słowami zostawił ją i poszedł do Peidera. Przez chwilę rozmawiali ze sobą, przy czym młody żołnierz co rusz spoglądał w stronę Lijanas. W końcu skinął głową i zaraz opuścił szpital, gdy tymczasem Mordan zajął się swoją pracą.

Jakąś godzinę później w drzwiach stanął Brachan - młoda uzdrowicielka zaczęła już sądzić, że Mordan chce spędzić kolejną noc przy chorych — i kiwnął do niego w milczeniu. Wspólnie wynieśli zwłoki Corfara na zewnątrz i ułożyli na noszach zawieszonych znowu między koźmi. Kiedy ciemny wojownik wrócił się, patrząc na nią oczekująco, zrozumiała. Szybko pożegnała się z Zonasem, który pełnił dziś nocną straż, i wyszła za nim, gdzie bez większych ceregieli została podsadzona

na grzbiet jednego z koni. W przygnębiającym milczeniu szli do gospody Fadery. Za nimi podążali żołnierze ze straży miejskiej.

Ku zaskoczeniu Lijanas wewnętrzny dziedziniec rozświetlony był lampkami oliwnymi. Pośrodku stał stół, obok leżało kilka szerokości płótna i stało w pogotowiu kilka dzbanów. Nie widać było Levana i Ecrena. Zwłoki Corfara położono ostrożnie na stole, potem Mordan nieprzyjaznym wzrokiem dal jej do zrozumienia, że jej obecność nie jest tu pożądana. Uciekła do swego pokoju, oparła się o ścianę przy oknie i zerkala na dziedziniec. Obydwaj wojownicy pracowali w milczeniu, każdy z nich zdawał się wiedzieć, jaki będzie kolejny ruch tego drugiego. Zmarły został obmyty z szacunkiem, a potem zawinięty dokładnie w lniane chusty, nasączone cały czas oliwą. Na koniec napawający strachem topór Corfara został położony na jego mumii i zgaszono wszystkie oliwne światła. Potem Brachan i Mordan stanęli u wezglowia i nóg zmarłego i trwali w milczeniu i w bezruchu, z obnażoną bronią w dłoniach.

Rano obudziły ją kroki Mordana. Zmęczona i rozczochrana usiadła i stwierdziła, że spała w ubraniu. W milczeniu obserwowała, jak ciemny wojownik zapina nabijany srebrem pas na lśniącej czarnej tunice, pod którą polyskiwały żelazne pierścienie kolczugi. Potem podszedł do stołu, na którym leżały dwie długie wstążki, jedna w kolorze ciemnej, niemal krwistej, czerwieni, druga ciemnobrązowa, z wplecionymi drobnymi czerwonymi nitkami, i wplótł je we włosy po lewej stronie, tuż za swym uchem. Zrobił trzy grube na pół palca warkoczyki. Do drugiego i trzeciego dołączył obie wstążki, tylko pierwszy pozostał bez ozdoby. Poza tym włosy opadały mu błyszczącymi czarnymi falami aż do łopatek. Kiedy odwrócił się i spojrzal na Lijanas, musiała przyznać, że jej porywacz jest przystojnym mężczyzną. Nie zmieniała w tym nic skórzana klapka na lewym oku. Wręcz przeciwnie! Niemal wydawało się, że właśnie ten defekt nadawał mu szczególnego uroku. Przygryzła zębami dolną wargę, gdy założył pas z krótkim mieczem i jego mniejszym bliźniakiem, wsunął *kereshitai* za pas i schylił się po potężną czarną tarczę, opartą o ścianę.

- Dokąd idziecie? — spytała i wyprostowała się trochę, kiedy skierował swe kroki w stronę drzwi.

- Pochowamy Corfara, jak na to zasługuje.

Uznawszy, że nie jest godna jego spojrzenia, poprawił tarczę na swym ramieniu. Żelazny kolec w środku polyskiwał niebezpiecznie.

- Chciałabym pójść z wami!

Jego oko zmierzyło ją chłodno.

— Dlaczego? Żeby oddać mu hold, czy dopilnować, żeby jego zwłoki na pewno zostały spalone?

Zamiast odpowiedzieć, spojrziała na niego rozwścieczona, zsunęła się z łóżka i stanęła przed nim.

— Chciałabym pójść z wami! — powtórzyła dobitnie i spokojnie.

Chłód nie zniknął z jego spojrzenia, gdy ponownie zmierzył ją badawczo wzrokiem.

— Ale nie tak jak teraz, wyglądacie jak strach na wróble. Umyjcie się, ubierzcie w czystą suknię i zróbcie coś z włosami! I pospieszcie się! Nie będziemy na was czekać!

Drzwi zamknęły się za nim i Lijanas została sama. Spiesznie wykonała to, czego żądał.

Kiedy wreszcie zeszła na dziedziniec, wszystko było już gotowe. Sierść rumaków *asbentai* lśniła, siodła były wypolerowane, natomiast Kierowie ubrani w kolczugi i tuniki, na których spoczywał u każdego nabijany srebrem i miedzią pas, robili duże wrażenie na otoczeniu. Pasy, do których przyczepiona była broń, błyszczaly i były ozdobione drobnymi, misternie wykonanymi łańcuszkami. Wojownicy założyli swe najlepsze szaty, żeby oddać Corfarowi hold w jego ostatniej drodze. I tak jak Mordan, także pozostali wplekli sobie we włosy warkoczyki, ale ich wstążki miały inne kolory. Do tego każdy z nich miał tylko dwa warkocze.

Ku jej zaskoczeniu Brachan spojrział na nią odpychająco, jak tylko ją zauważył. Jego szorstki głos poniósł się przez dziedziniec i Mordan, który właśnie rozmawiał z Faderą, odwrócił się. Przez moment przyglądał się jej, potem odpowiedział staremu wojownikowi spokojnym tonem. Cokolwiek powiedział, Brachan skinął na to głową, jakby zgadzał się, by im towarzyszyła. Lijanas popatrzyła na Mordana. Nie mogła zapomnieć słów, które rzucił jej wczoraj wściekle w szpitalu:

„Nie potrzebuję waszego pozwolenia, jeśli chodzi o to, jak ma być pochowany jeden z moich legatów!” — Kim ty jesteś? Dlaczego nawet Brachan robi to, co ty chcesz?

Jego wołanie wyrwało ją z zamyślenia. Ecren i Brachan wsiedli na swe konie, gdy Mordan siedział już na grzbiecie Ired, wyciągając rękę, żeby ją wciągnąć. Kiedy siedziała za nim - po raz pierwszy - Levan podał mu tarczę i otworzył bramę dziedzińca, nim chwycił cugle pierwszego z koni, które niosły między sobą marylę. Na zewnątrz ludzie ze straży miejskiej

otworzyli szeroko oczy ze zdumienia na widok wojowników na ich potężnych rumakach, lecz gdy tylko minęło zaskoczenie, wyciągnęli swe miecze. Lijanas wstrzymała przestraszona oddech. Mordanowi wolno było opuszczać gospodę tylko po to, by towarzyszyć jej do szpitala, a to tutaj rzeczywiście na to nie wyglądało. Jej palce wpily się mocniej w jego pas, kiedy obserwowała, jak Brachan skierował swego wałacha na obu żołnierzy, żądając, by pozwolili im przejść i nie naprzykrzali się, ponieważ chcą pochować swego zmarłego towarzysza. Usłyszała, jak młodszy mężczyzna odparł, że on i dwaj pozostali mogą przejechać wraz ze zmarłym, morderca musi jednak zostać. Niemal można było wyczuć gniew Mordana. Uderzenie serca, *ashentai* Brachana, parszkając groźnie, stanął dęba i młody żołnierz odskoczył z krzykiem w tył przed podkutymi żelazem kopytami. Tak jak Lijanas, zapomniał, że te konie były nie tylko wspaniałymi wierzchowcami. Były nauczone zabijać na rozkaz swego pana. To było jedynie ostrzeżenie.

Strażnicy musieli beczynn timerzeć, jak Kierowie przejeżdżają obok nich, podczas gdy Brachan ze swym rumakiem bojowym trzyma ich w szachu. Młoda uzdrowicielka była niemal pewna, że nie pogodzą się tak łatwo z tą zniewagą. Całkiem możliwe, że Mordan już najbliższą noc spędzi w kajdanach, w cavallinskim więzieniu. Bez słowa Brachan dołączył do nich chwilę później. Jednak spojrzenie, które wymienił z Mordanem, było więcej niż jasne.

Nieliczni mieszkańcy miasta, którzy odważyli się wyjść na ulicę, stali się świadkami ponurego konduktu żałobnego, przemieszczającego się wąskimi uliczkami starej dzielnicy w głąb góry. Z przodu konie dźwigały nosze, prowadził je Levan, kroczący przy nich pieszo, a tam, gdzie ulica była dość szeroka, po obu stronach jechali Brachan i Ecren. Pochód zamykał Mordan siedzący na Ired. Poza stukotem końskich kopyt, który odbijał się echem, panowało absolutne milczenie.

W końcu dotarli do sztolni, w której mieszkańcy Cavallina od stuleci żegnali swych zmarłych. Zdziwiona Lijanas zmarszczyła czoło, kiedy Kierowie zatrzymali swe konie i z nich zsiadli. Mordan pomógł jej zsiąść z grzbietu Ired, potem wojownicy wnieśli mary do sztolni, każdy trzymając pochodnię w dłoni z tarczą. Trochę skrzępowana Lijanas poszła za nimi, coraz głębiej, mijając po drodze ułożone w niszach kości niezliczonych zmarłych. Światło czterech pochodni skakało po wyszczerzonych czaszkach, zatrzymywało się w pustych oczodołach i muskało mury

z białych kości. Czasem czuła we włosach zimny podmuch powietrza i zdawało się jej, że słyszy cichy szept — jakby mnóstwo głosów wokół niej szeptało i szemrało.

Sztolnia skończyła się nagle przed podestem. Ku jej zaskoczeniu Ecren i Levan wspięli się na górę, potem Brachan i Mordan podnieśli im mary i podali pochodnie, zanim sami się podciągnęli. Lijanas została sama na dole. Okrzyk przerażenia wyrwał się jej z ust, gdy po chwili zgasło światło pochodni, które jeszcze chwilę temu słabo padało w jej stronę. Tępo docierało do jej ucha dziwne skrobanie, jej serce dudniło. Wydawało się, że ta kompletna czerń zaraz ją udusi. Dysząc, otworzyła usta, chciała krzyknąć, gdy nagle jakby nigdy nic pojawiło się znów światło. Na górze, na podeście, przykucnął Mordan, wyciągając do niej dłoń. Lijanas wytarła ukradkiem mokre od potu palce o suknię, zanim ją chwyciła. Wciągnął ją obok siebie, jakby nie ważyła więcej niż jego tarcza, tylko po to, by po drugiej stronie podestu — który był właściwie nieco grubszym niż dwa kroki, naturalnym murem — spuścić ją znowu w głęboką dziurę. Musiała się schylić, by wejść w wąską szczelinę, która biegła poziomo przy ziemi, pod poprzecinaną mniejszymi szczelinami kamienną ścianą, i przez chwilę szła na przykurczonych nogach, nim mogła się wyprostować. Znowu stała przed ścianą ze skały. Tutaj sztolnia skręcała ostro w prawo i kończyła się przed ścianą pajęczyn. Mordan przeszedł obok nich, nie zwlekając. Lijanas podążyła za nim ostrożnie i zrozumiała, dlaczego światło wcześniej tak nagle zgasło. Za tą ścianą sztolnia prowadziła dalej. I tutaj czekali na nich w milczeniu pozostali wojownicy. Przed nimi pięły się łagodnie w górę wykute w skale schody. Kamień był po obu stronach gładki, jakby wygłaskany przez liczne dłonie. Weszli po schodach, lecz im wyżej się znajdowali, tym silniejsze stawało się dziwne uczucie niepokoju, które zaważnęło Lijanas. W końcu schody otworzyły się, przechodząc w olbrzymią pieczarę i w blasku pochodni *upa-trzymały się w Lijanas liczne, pełne strachu twarze* — przerażona zmrużyła oczy i spojrzała w pustą jaskinię, pośrodku której wzniesiony był stos. Potknęła się na najwyższym stopniu, znalazłszy w ostatniej chwili oparcie na skale i szybko omiotła wzrokiem poprzecinane błyszczącymi solnymi żyłkami ściany. Cienie umknęły przed blaskiem pochodni, zebrały się, drżąc w kątach i za skałami porozrzucanymi pojedynczo na białej od soli ziemi, ale poza nią i wojownikami nikogo tutaj nie było. Oderwała się od kamienia i poszła za Kierami, którzy właśnie zestawili mary na pniach

stosu. Teraz wiedziała już, gdzie zniknęli poprzedniego wieczora Levan i Eren. Przez chwilę zastanawiała się, skąd ci mężczyźni wzięli drewno w mieście, gdzie nie ma drzew. Musiało ich to kosztować majątek.

Kiedy zbliżyła się powoli, Mordan odwrócił się do niej, dając w milczeniu znak, żeby usiadła na płaskiej skale kilka kroków za nim. Dopiero teraz Lijanas zdała sobie sprawę, że żaden z wojowników nie wypowiedział ani jednego słowa, odkąd opuścili gospodę.

Posłusznie usiadła na gładkim kamieniu, obserwując, jak Kierowie ustawiają się po czterech stronach stosu. Na długi czas w pieczarze zapadła cisza, przerywana czasem jedynie sykiem pochodni. W końcu Levan przerwał milczenie i zaczął spokojnie mówić. Lijanas nie mogła zrozumieć, co mówił, ponieważ posługiwał się językiem Kierów, lecz gdy wreszcie skończył, wystąpił do przodu i ujrzała błysk miedzianej monety, którą położył na piersi mumii. Wróciwszy na swe miejsce, uniósł pochodnię w bezgłośnym pozdrowieniu i cisza wróciła. Po pewnym czasie zaczął mówić Eren, także on wystąpił na przód i położył monetę na piersi Corfara. Tym razem Lijanas dostrzegła, że błysnęło srebro. I tak jak po słowach Levana, po pozdrowieniu pochodnią nastąpiła cisza. Następny był Brachan, dolożył do dwóch poprzednich złotą monetę. Jako ostatni przemawiał Mordan — kiedy wystąpił do przodu, płomień pochodni zalamał się w czerwonym kamieniu szlachetnym. Także on uniósł pochodnię w niemym pozdrowieniu — i cisnął ją w stos. A kiedy Brachan, Eren i Levan uczynili po nim to samo, płomienie wżarły się w nasączone oliwą drewno, strzelając coraz wyżej. Kierowie wyciągnęli potem równocześnie broń i trwali dalej w milczeniu i w bezruchu, gdy tymczasem płomień, trzaskając, trawił drewno i martwe ciało.

Wiatr zabląkał się w kominie jej chatki, tańcząc z oparami ziół, które unosiły się ciężkimi kłębami do usianego gwiazdami nieba, i opowiadał o tych, którzy przybędą. Schwytala go w dłonie, wsłuchując się w jego szept; usłyszała o wojowniku, którego posłano, by ukraść Łzy Białej Żmii; człowieka na usługach Hathenana, o którym powiadali, że nie zna litości ani miłości.

Usłyszała o kreaturach, które pelzły przez mrok, śledząc tę, która była z krwi Żmii; pijących dusze tych, którzy nie ujrzeli jeszcze tego świata,

a mimo to już na nim byli; które niosły cierpienie i strach, rozkoszując się tym i karmiąc w ten sposób tego, który kiedyś był i nigdy nie powinien powrócić.

Kiedy dowiedziała się wystarczająco dużo, cisnęła go w stronę gwiazd, zwracając mu wolność. Zamknąwszy swe białe oczy, wezwała w duchu tych, którzy od dawna czekali, usłyszała ich szept, wsluchiwała się w ich śpiew.

To, co kiedyś się zdarzyło, nie ma prawa się powtórzyć!

Wojownik musi umrzeć, żeby Żmija mogła żyć!

Powstała i zwołała ludzi swego plemienia.



Z mieczami w dłoni wojownicy wbiegają do jaskini. Kobiety, dzieci, chłopcy i dziewczynki zostają zapędzeni w jeden róg, i choć ich krzyki odbijają się echem od skalnych ścian, jest zupełnie cicho. Mężczyźni torują sobie brutalnie drogę między przestraszonymi jeńcami w poszukiwaniu tego jednego. Na szyi ich przywódcy lśni rzemyk z czarnymi perłami. Każdy chłopiec, który może mieć więcej niż czternaście zim, wyciągany jest do przodu, zrywają mu bez pardonu odzienie z ramienia, a potem ciskają z powrotem w rząd uwieczonych. Aż znajdują tego, na którego skórze widnieje znamie w kolorze wina. Zapada cisza. Z cienia wychodzi mężczyzna, na twarzy bez określonego wieku błyszczą niebiesko-fioletowe oczy. Przywódca wojowników klania mu się nisko, trzymając drżącego chłopca za kark, pokazuje znamie na ramieniu. Chude palce mężczyzny odgarniają czarne włosy chłopca, skinięcie, gest, przywódca wojowników klania się ponownie, uderzając pięścią w pierś. Chłopiec zostaje pchnięty na płaską skałę, ostrze miecza kereshtai spada z błyskiem, oddziela głowę od ramion, pozostawiając wrąb w kamieniu. Krzyk wydobywa się z wielu gardel, ale nic nie słychać. Pośród więźniów jeden się pochyla, chłopiec, który właśnie skończył czternaście zim. Ból szaleje tam, gdzie ramię przechodzi w bark, a gdzie teraz jest rana od poparzenia. Oczy jasne jak lód unikają wzroku przywódcy, w którym, jak się zdaje, zaczyna się kłębić burza. Pełen strachu jęk siedzi w gardle, przedziera się przez usta i wydostaje wreszcie, kiedy wojownik o przerażających kłach wyciąga rękę w jego stronę...

Czyjaś ręka spoczęła na jej ramieniu i Lijanas odskoczyła do tyłu, wydając przerażony krzyk. Przez chwilę próbowała się uwolnić, jej palce dotknęły wąskiego wrębu w kamieniu, potem udało jej się wreszcie otworzyć oczy. Dłoń zacisnęła się mocniej, wydawało jej się, że patrzy w burzowe

oczy obcego wojownika, lecz wtedy rozpoznała Mordana, który się nad nią pochylał. Mrugnęła oczami, pytając się, dlaczego drżą jej dłonie — w głowie miała już tylko gęstą mgłę. Nie pamiętała, że zasnęła.

- Brachan i Levan wracają do gospody. Zabiorą was ze sobą!

Bardzo powoli sens jego słów docierał do jej mętnego umysłu.

- A wy? - miała ochryply głos, jakby długo krzyczała.

- Ecren i ja zostaniemy, aż dopali się ogień, potem zbierzemy popiół - powiedział, po czym podniósł ją z płaskiej skały i podtrzymał, gdy się zachwiała. — Dobrze się czujecie?

- Tak! Czy Brachan i Levan mogą mnie odprowadzić do szpitala? Muszę zobaczyć, czy nie jestem tam potrzebna! - odpowiedziała i przetarła obydwiema rękami twarz i wygładziła włosy. Mordan powiedział coś do Brachana w swym języku. Siwowłosy wojownik zawahał się. Kiedy odpowiedział, jego głos brzmiał szorstko.

- Zaprowadzą was tam, ale nie zostaną z wami. Poprosicie Peidera, żeby wam towarzyszył do domu. I nie róbcie żadnych głupstw! - nie dało się nie usłyszeć groźby w jego słowach. Lijanas kiwnęła tylko bez słowa, potem wyszła za Brachanem i Levanem z pieczary. Na pierwszym stopniu schodów odwróciła się jeszcze raz za siebie — nie było tam nic oprócz stosu i dwóch Kierów, którzy znowu zajęli przy nim swoje miejsca.

Tak jak obiecał Mordan, wojownicy odprowadzili ją do szpitala. Podczas godzin spędzonych w jaskini straciła poczucie czasu, dlatego zdziwiła się, że było dopiero późne popołudnie. Czula się tak, jakby minął cały dzień.

Peider przywitał ją z ogromną ulgą. Martwił się, kiedy nie pojawiła się rano tak jak zazwyczaj. Wiedział wprawdzie, że Mordan chciał pochować swego zmarłego przyjaciela, i domyślił się, że jego żona będzie mu w tym towarzyszyć, ale mimo to przez cały ten czas bał się, że nieobecność Lijanas spowodowana jest czymś zupełnie innym; że także ona zachorowała.

Na ile było to możliwe, zajmował się chorymi wraz z Zonasem. Córeczka Galedha zmarła wczesnym rankiem w ramionach ojca, a kiedy małe ciało zostało spalone, Galedh opróżnił jeden kubek wina za drugim - teraz przykucnął w rogu, patrząc tępo przed siebie i przeklinał każdego, kto podszedł do niego zbyt blisko. Oprócz dziewczynki zaraza zażądała tej nocy kolejnych dwudziestu ofiar, a od rana zmarło jedenaście osób, kobiet i mężczyzn.

Lijanas, przybita, przystąpiła do pracy. Rano wydawało jej się słuszne, by towarzyszyć Kierom przy pogrzebie Corfara, jednak w obliczu tej bez-

nadziei wokół niej miała coraz większe wyrzuty sumienia. Powinna była być tutaj!

Wieże płomieni były zgaszone już od ponad godziny, gdy bezskutecznie próbowała wysłać Galedha do domu. Musiała się pogodzić z tym, że był zbyt pijany, żeby iść o własnych siłach, nawet gdyby chciał.

Kiedy jakiś czas później pojawił się w szpitalu kapitan Uladh, żądając rozmowy z nią, z jednej strony była zaskoczona, że odważył się przekroczyć drzwi starego spichlerza, z drugiej strony dłoń miała wilgotną od potu, wiedziała bowiem, dlaczego przyszedł.

Ponieważ mogła mu powiedzieć jedynie, że jej małżonek pochował jednego ze swych przyjaciół wraz z pozostałymi wojownikami zgodnie z tradycją Kierów, ale nie wie, gdzie w tej chwili przebywa, Uladh kazał przekazać mu, że oczekuje Mordana nazajutrz w budynku straży miejskiej. Nie powiedział dlaczego, jednak Lijanas nie miała wątpliwości, że kwatery Mordana będzie od jutra więzienie, a nie dom Fadery. Obiecała przekazać mężowi tę wiadomość i Uladh poszedł sobie.

Brakowało pewnie jeszcze z godzinę do północy, kiedy ruszyła z Peiderem w drogę do starej dzielnicy Cavallina. Kiedy kroczyli razem opuszczonymi uliczkami, Lijanas dowiedziała się, że jego żona spodziewa się na dniach dziecka. Była mała i drobnej postury, a jej brzuch w międzyczasie tak nabrzmiał, że ledwie była w stanie się poruszać. Dlatego Peider cieszył się, że mają w domu własne źródło i żona nie musi chodzić do domu studziennego po wodę. Starsza pani z sąsiedztwa, sama już ledwo trzymająca się na nogach, przychodzi każdego dnia, dotrzymuje jej towarzysztwa i przygotowuje posiłki. Dodał otwarcie, że w tej chwili bardziej boi się o to, że podczas porodu może dojść do jakiegoś nieszczęścia, niż o to, że jego żona może się zarazić. W końcu dotarli do bramy gospody Fadery i Peider pożegnał się już, życząc jej dobrej nocy, ale odwrócił się raz jeszcze i zapytał Lijanas nieśmiało, czy mogłaby być obecna podczas narodzin jego dziecka. Tak na wszelki wypadek... Jego zmęczona twarz pojaśniała, kiedy go zapewniła, że uczyni to z przyjemnością, i że ma ją tylko wezwać, gdy przyjdzie czas. Z wyraźną ulgą udał się do domu.

Ku zdumieniu Lijanas w miedzianej misie paleniska w jadali płonął jeszcze ogień. Jeszcze bardziej zaskoczyło ją, kiedy odkryła, że Mordan siedzi samotnie przy stole, z kubkiem, wypełnionym pewnie piwem, patrząc przed siebie, w pustkę.

Czy topił swój smutek w alkoholu tak jak Galedh?

— Kierze?! — zagadnęła i stanęła za nim. Powoli podniósł głowę i z radością stwierdziła, że jeszcze jest trzeźwy. — Mam wam przekazać od kapitana Uladha, że macie się do niego zgłosić jutro rano w budynku straży miejskiej.

— Był u was w szpitalu?

— Tak! Dziś wieczorem. Przyszedł sam. Przypuszczam, że nie ma już zbyt wielu ludzi. Pięciu z nich leży w szpitalu. Dwóch z nich prawdopodobnie nie przeżyje tej nocy.

— Aha! A ja już się dziwiłem, dlaczego nie czekał tu na mnie, kiedy wróciliśmy z Ecrenem. - Oplótł palcami kubek i cisza powróciła. Lijanas stała przy nim, nie wiedząc, co ma zrobić. Wreszcie odważyła się położyć mu dłoń na ramieniu.

— Przykro mi, że nie mogłam nic zrobić dla Corfara.

W odpowiedzi tylko kiwnął głową w milczeniu.

Nie wiedziała, skąd wzięła tyle odwagi, ale usiadła na krześle obok niego.

— Gdybym przynajmniej wiedziała, co wywołuje tę chorobę...

Zmęczony podniósł wzrok.

— To musi być coś, z czym wszyscy mamy kontakt. — Jego wzrok znowu patrzył w pustkę. — Przynajmniej jest to argument, dlaczego choroba atakuje pozornie każdego, bez różnicy.

— W takim razie, dlaczego my jeszcze nie jesteśmy chorzy?

— Nie wiem! Przynajmniej możemy stwierdzić z dość dużą pewnością, że nie można się zarazić bezpośrednio od chorych.

— Ale Terodh...

— Od jak dawna jesteśmy już codziennie w szpitalu? Dwanaście dni? Gdyby można było się zarazić od chorych, już byśmy się zarazili. Nie! Musiał zachorować inaczej.

— Ale jak?

Mordan wzruszył ramionami.

— Żaden z chorych nie jadł ani nie pił niczego szczególnego, ani nie zrobił czegoś, czego zwykle nie robi. Nie ma nic uderzającego!

— Skąd to wiecie? — spojrzała na niego zaskoczona.

— Pytałem.

— Ale musi być coś... Mogę? — zapytała, wskazując na kubek.

— Cały czas to sobie powtarzam. To jest to mocne piwo! Nie lubicie go — powiedział, mimo to zabrał rękę.

— Przeżyję. - Wypiła mały łyk, wykrzywając usta i wytarła je wierzchem dłoni. — jak można lubić coś takiego?

— Pewnie z przyzwyczajenia. Czy nie ma żadnej choroby, która by przypominała tę...?

Lijanas pokręciła głową, odsuwając kubek w jego stronę.

— Nie! Już nad tym myślałam.

Przez chwilę obracał kubek w palcach, nim podniósł go do ust, odstawił go jednak, nie wypiwszy.

— A więc dobrze! — Nagle wstał i zaczął spacerować po jadalni. — Wiemy, że nie można zarazić się od chorych. Żadna z ofiar nie jadła ani nie piła nic szczególnego. Nie ma żadnych niezwykłych faktów. Dlaczego więc są jeszcze cały czas ludzie, którzy nie zachorowali?

— Czy są dzielnice, które choroba ominęła?

Lijanas skosztowała jeszcze raz piwa. Jeśli się je piło małymi łykami, dawało się znieść.

— O ile mi wiadomo, nie. Jednak nie orientuję się w Cavallinie na tyle, by móc to z pewnością stwierdzić — odpowiedział, maszerując dalej w tę i z powrotem. W pewien sposób przypominał jej tego silnego, czarnego, drapieżnego kota, którego widziała kiedyś w menażerii Rusana. To zwierzę też chodziło bez przerwy w swej klatce w tę i z powrotem, cały czas przy prętach klatki. Był to wspaniały widok - ta gra potężnych mięśni pod piękną sierścią, lśniąca w świetle słonecznym. Ale nie przeżył dłużej niż miesiąc w niewoli. W końcu zatrzymał się i Lijanas wyglądała jak przyłapana na gorącym uczynku, kiedy poczuła jego wzrok na sobie. — A jeśli obrócimy ostrze noża?

Spojrzała na niego, nie rozumiejąc.

— Obrócić ostrze noża? Co macie na myśli?

— Jeśli spojrzymy na całość od drugiej strony! Do tej pory szukaliśmy cech wspólnych, a może powinniśmy poszukać dla odmiany różnic. — Znowu podjął swą wędrówkę.

— Różnice? Nie ma takich! Fadera kupuje u tych samych handlarzy, u których zaopatrywali się ludzie, którzy zachorowali. Zapasy pochodzą z tych samych spichlerzy. Pijemy tę samą wodę, co pozostali. Oddychamy tym samym powietrzem...

— Co żeście powiedzieli? — zatrzymał się nagle. Teraz wpatrywał się w nią, jakby na jego oczach zamieniła się w jakieś szkaradztwo.

— Oddychamy tym samym powietrzem? — powtórzyła ostrożnie.

- Nie! To o wodzie! To nieprawda! Nie pijemy tej samej wody!
- Jak to? Woda pochodzi z domu studziennego...
- Ale dom Fadery ma własne źródło! Nasza woda pochodzi z tego źródła! I w starej dzielnicy jest jeszcze kilka domów, które także mają małe źródła.

- Ale woda w szpitalu również pochodzi z domu studziennego... — jej podniesiony palec stuknął w powietrze. Potem jej oczy otworzyły się szeroko. - Ale w szpitalu nie pijemy wody! Pijemy tylko wino!

- Dokładnie! Czy to możliwe, żeby choroba wywoływana była przez wodę?

- Oczywiście. Jeśli jest zanieczyszczona... Ale czy nie tłumaczyliście mi, że pod domami studziennymi płynie rzeka? To znaczy przecież, że woda nie może być zanieczyszczona, przynajmniej nie na tyle, by mogła wywoływać taką zarazę, ponieważ wszystko płynie dalej.

- Tak, macie rację! Do cholery! A brzmiało tak wiarygodnie! Więc dobrze, jakie mogą być jeszcze różnice?

Przez chwilę Lijanas patrzyła na niego w zamyśleniu, potem wzruszyła bezradnie ramionami. Mordan przetarł, warcząc, obydwoma rękami twarz i zaczął od nowa przemierzać pomieszczenie długim krokiem. Po raz kolejny wypila łyk piwa. Blask ognia odbijał się w jego włosach, które cały czas splywały mu luźno po plecach.

Dlaczego do tej pory nie zauważyłam, jak są długie? Musi je okręcać przynajmniej dwa razy, kiedy wiąże je w koński ogon. Co mogą oznaczać te warkocze? A wstążki?

Niechętnie oderwała od niego wzrok, kiedy jego ruchy stały się wolniejsze, aż wreszcie znów się zatrzymał i spojrzał na nią, zwięzając oko.

- Co, Kierze? - od jego spojrzenia przeszły ją ciarki.

- Nie mogę się uwolnić od naszej teorii z wodą. Wiecie, że rzeka przepływa pod całym miastem. Jej droga jest ciągle hamowana przez tamy. Mimo to jest na tyle szybka, by zerwać każde wiadro z liny i ponieść je ze sobą. Dlatego na dole w domu studziennym są masywne kraty, które mają zapobiegać...

Jego głos ucichł, gdy tymczasem dalej patrzył na nią w zamyśleniu.

- Sądzicie, że powód tej choroby wisi gdzieś na jednej z tych krat?

- Mogłoby tak być, prawda?

- Ale jak to „coś” się tam dostało? - jej oczy zrobiły się duże. - Czy ktoś wrzucił to specjalnie?

- Myślicie, że ktoś specjalnie zatrul studnie? Dlaczego? I kto? - rzekł, potrząsając głową. — Myślę, że to był przypadek! — wciągnął ostro powietrze. - A może zrobiono to specjalnie! By zatuszować coś innego!

- A co?

- Może morderstwo?

- Czy nie szukano by także w domach studziennych, gdyby zaginął jakiś mieszkaniec Cavallina? — Lijanas oparła podbródek na dłoniach.

- Gdyby był to tutejszy, może tak. Ale co z obcym przybyszem? Ewentualnie takim, który podróżuje samotnie.

- Nie rzucaloby się w oczy, bo każdy pomyślałby, że pojechał dalej. A jego mienie morderca mógłby ukryć. Ale gdyby woda zatruta była przez zwłoki, mielibyśmy inne objawy choroby. Bez względu na to, jak bardzo rozłożone by były.

Mordan zmarszczył czoło.

- Dobrze, zostawmy na razie powód zakażenia. Gdyby udało nam się określić, w których dzielnicach miasta wystąpiło najwięcej przypadków choroby, trzeba by było pójść w górę rzeki, by znaleźć dom studzienny, w którym wisi winowajca.

- Możemy to zrobić, Kierze! Prowadzę moje listy chorych zawsze tak, że notuję także miejsce zamieszkania pacjenta!

- Bardzo dobrze, uzdrowicielko! - kiedy tak skinął głową z uznaniem, spojrzawszy na nią, poczuła ciepło w brzuchu.

- W takim razie potrzebny nam jeszcze plan Cavallina. I wiem nawet, kto ma coś takiego.

Zobaczyła wyraz jego twarzy i krzyknęła:

- Kapitan Uladh! Nie będzie zachwycony, kiedy wyrwiemy go w środku nocy z łóżka!

Czarna brew uniosła się na znak łagodnej drwiny.

- Wiecie, jak mało mnie to obchodzi. A jeśli mamy rację, chętnie nam to wybaczy - stanął tuż przed nią i popatrzył na nią z uśmiechem, którego nigdy wcześniej u niego nie widziała. — Być może mamy wreszcie rozwiązanie naszego problemu - powiedział ciepło. Na miejscu ciepła w brzuchu pojawiły się ciarki. Nagle nie wiedziała, co ma zrobić z rękoma. Lecz potem jego mina znowu zrobiła się chłodna i odsunął się od niej. — Idę po swój miecz, potem weźmiemy listy chorych ze szpitala, a następnie złożymy wizytę kapitanowi Uladhowi.

— Po co miecz? Jest środek nocy, ludzie i tak nie wychodzą ze swych domów...

— Nie będę chodził z wami nieuzbrojony po tym mieście, dopóki jakiś szalenciec snuje się nocami po ulicach starej dzielnicy i rozszarpuje młode kobiety — z tymi słowy odwrócił się i zniknął na schodach.

Lijanas patrzyła za nim. - *On nie jest mordercą!* - kiedy to zrozumiała, jej serce zaczęło mocniej bić.

Dom kapitana Uladha stał w starej dzielnicy Cavallina. Mordan tak mocno walił pięścią w drzwi, że Lijanas przycisnęła mocniej do piersi foliały z listami chorych i rozejrzała się nieswojo. Przez chwilę nic się nie działo i właśnie znowu podniósł dłoń, gdy rozległ się zgrzyt odsuwanej zasuw. Potem stanęli twarzą w twarz z kapitanem Uladhem, który patrzył na nich zaskoczony, odziany jedynie w zawiązane niedbale spodnie.

— To wy! — zamiast zaskoczenia pojawił się gniew. — Wiecie właściwie, która jest godzina, wojowniku? Czego chcecie? — Dobry wieczór, uzdrowicielko. Albo lepiej dzień dobry. Najchętniej zamknąłbym was zaraz w więzieniu i zakął w kajdany. Po wszystkim, coście dziś wyczyniali, powinniście mieć dobre wytłumaczenie.

— Możliwe, że znamy powód zarazy. Czy to wystarczy? — kapitanowi opadła szczęka i Lijanas musiała powstrzymać uśmiech. Lecz Mordan mówił niezrażony dalej. — Ale żeby znaleźć przyczynę choroby, potrzebujemy waszej pomocy, kapitanie. Czy macie tutaj mapę Cavallina?

Z wyraźnym wysiłkiem kapitan Uladh zamknął usta, nim powtórzył:

— Mojej pomocy...? — potrząsnął głową, jakby w inny sposób nie mógł zacząć trzeźwo myśleć, potem skinął głową.

— Naturalnie mam mapę. Wejdźcie! — krótkim gestem kazał Mordanowi i Lijanas podążyć za nim. Poprowadził ich przez małą kuchnię, po stromych schodach, do pobielonego wapnem pomieszczenia, które służyło mu widocznie jako gabinet. Szybko zapalili kaganki w niszach ściennych, wziął z półki zwój pergaminu, dał Mordanowi do zrozumienia, by odsunął na bok kałamarz, pióro i kilka foliałów i rozpostarł mapę na blacie stołu. Potem spojrział na jedno, a potem na drugie. - Teraz wyjaśnijcie mi, dlaczego sądzicie, że udało się wam znaleźć przyczynę zarazy i po co wam potrzebna mapa Cavallina.

Lijanas zdała mu szybko sprawozdanie z tego, co przyszło im do głowy. Kiedy opowiedziała mu o ich teorii na temat morderstwa, jego spojrzenie

powędrowało ku Mordanowi, który oparł się o stół z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Było jasne, co działo się w jego głowie.

- A po co wam potrzebna moja pomoc? I mapa? - zapytał, gdy Lijanas wreszcie skończyła.

- Nie znamy Cavallina na tyle dobrze, żeby przyporządkować miejsce zamieszkania chorych do dzielnic miasta. — Mordan oderwał się od kantu stołu i oparł obydwie ręce na mapie, wpatrując się dociekliwie w kapitana.

- Wy natomiast znacie miasto dokładnie. Kiedy ozd..., moja żona poda wam miejsce zamieszkania chorego, możecie nam powiedzieć, w której to jest dzielnicy i przy pomocy mapy będziemy mogli zobaczyć, gdzie występuje najwięcej przypadków zachorowań, a gdzie mało albo wcale.

Kapitan Uladh kiwnął głową.

- Rozumiem. Chcecie sporządzić, jakby to powiedzieć, coś w rodzaju mapy zarazy, i tam, gdzie jest najwięcej przypadków, powinno być ognisko zapalne. W naszym przypadku będzie to ewentualnie miejsce znajdujące się w górze rzeki.

- Dokładnie!

- Wyrazy szacunku, wojowniku. Myślałem, że jesteście wilkiem, ale że macie również przymioty lisa...?

Laskawym skinieniem głowy Mordan przyjął pochwałę.

- Nie ja sam brałem w tym udział. Mojej żonie należy się nie mniejsze uznanie niż mnie. Bierzmy się do pracy!

Przez następne godziny Lijanas odczytywała nazwisko po nazwisku z list chorych, a kapitan Uladh podawał Mordanowi dzielnicę, w której musiał postawić węglem znak. Bardzo szybko dało się zobaczyć wyraźny wzór. Najwięcej przypadków choroby wystąpiło w dole rzeki, za trzecim domem studziennym. Na początku byli trochę skonsternowani, ponieważ także w górze rzeki od tego domu wystąpiły zachorowania, ale im później pojawiała się choroba, tym liczba chorych malała w tych dzielnicach. To Lijanas znalazła na to wytłumaczenie: na początku mieszkańcy Cavallina nie chowali się jeszcze w swych domach. Było łatwo wypić skażoną wodę — podczas odwiedzin u przyjaciół bądź krewnych, a nawet w szynku. A kiedy ludzie przestali opuszczać swe domy, nie było już tego niebezpieczeństwa i liczba przypadków choroby w górze rzeki wyraźnie malała.

Wreszcie Mordan wyprostował się i odłożył węglowy pisak na bok.

- Myślę, że to wystarczy. To trzeci dom studzienny! Tam musi być przyczyna choroby — stwierdził i spojrzal na kapitana Uladha. — Wiadomo

wam, czy w ostatnich dniach przed wybuchem zarazy wydarzyło się tam coś szczególnego?

Kapitan nie musiał się długo zastanawiać.

— W dniu, kiedy rozpętała się burza solna, zostali tam zamordowani Ifea, jej maleńki syn Docin i brat bliźniak Ifei - Ismar, jeden ze strażników bramy, zamordowani to złe słowo, zostali rozszarpani. Ifea spodziewała się drugiego dziecka, miała urodzić na dniach... - zamilkł i spojrzal w stronę Mordana. Ten uniósł brew, jakby chciał powiedzieć: - Ach? Naprawdę?

— Znaleźliście mordercę? Zostawił jakieś ślady? — zapytał zamiast tego.

Kapitan Uladh pokręcił głową.

— Tylko ich zwłoki - zwinął mapy. - Chcecie pójść ze mną do domu studziennego, wojownika? Wy, oczywiście, również, uzdrowicielko, jeśli sobie życzycie. — Ani Lijanas, ani Mordan nie odrzucili tej propozycji.

Uladh ubrał się pospiesznie, założył pancierz służbowy i poprowadził ich potem przez opuszczone uliczki. Po drodze walił do wielu drzwi, zrywając swych ludzi z łóżek. Kilku z nich kazał załatwić liny i siatkę lub coś podobnego, żeby „wyciągnąć to, co może leżeć tam na dole”.

W świetle pochodni, które przynieśli ze sobą, stanęli wreszcie w okrągłym wnętrzu domu studziennego. Podczas gdy ludzie ze straży miejskiej zajęci byli przywiązywaniem lin do słupków studni, Mordan krążył spięty po pomieszczeniu. Lijanas stanęła przy łuku drzwi i rozglądała się niespokojnie dokoła. Nie umknęło jej, w jaki sposób ci ludzie patrzyli na wojownika Kier. Kilka razy zdawało jej się nawet, że ktoś szepnął „morderca”. Mordan kucnął wreszcie w pewnym miejscu przy murze, pociągnął palcami po kamieniu, nim zawołał kapitana Uladha.

— Wiecie, skąd to się wzięło? - zapytał, wskazując na głębokie rysy w murze, na wysokości około kroku nad ziemią.

Uladh przyklęknął obok niego, pokręcił po chwili głową, obserwując, jak Mordan powtarza palcami kształt bruzd, jakby chciał się o czymś przekonać. Powoli podniósł się wreszcie, wyjął zaskoczonemu mężczyźnie pochodnię z ręki i przeszedł się jeszcze raz wzdłuż muru. Kapitan Uladh nie spuszczał z niego oka. Nie znalazłszy żadnych innych śladów na ścianach, podszedł do studni i zbadal jej zewnętrzną część. Żołnierze straży miejskiej niechętnie zrobili mu miejsce. Potem przechylił się za krawędź studni i po chwili ostro syknął. Kapitan podniósł się i podszedł do niego.

— Co znaleźliście?

Mordan pokazał głębokie ślady pazurów, podobne do tych, które odkrył na murze. Tyle, że tym razem można było wyraźnie rozpoznać ślady czterech takich bruzd na wewnętrznej stronie ściany studni.

— Cokolwiek leży tam na dole, ma cztery pazury, tak ostro zakończone, że potrafią nawet rozedrzeć kamień. I nie było samo.

Mrużąc oczy, kapitan Uladh spojrzal na niego.

— Skąd ta pewność?

— Sądzicie, że to „coś”, cokolwiek to może być, zabiło trzech ludzi i skoczyło potem w głąb studni, próbując jednak wbić pazury w mur i wydostać się na brzeg? Dla mnie nie brzmi to zbyt rozsądnie.

— Macie rację. Kiedy znaleziono zwłoki, miecz Ismara leżał przy nim wyciągnięty, na ostrzu była krew.

Mordan skinął głową, jakby nie spodziewał się niczego innego.

— A więc zranił jednego z napastników. Któregoś pchnął w głąb studni, ale mimo to zabili jego i jego siostrę. Było ich zatem co najmniej dwóch.

— Myśl, która mi się nie podoba. Ale kiedy tak na was patrzę, zdaje mi się, że wam podoba się jeszcze mniej. Wiecie, co czeka na nas tam na dole?

Zamiast odpowiedzieć, Mordan potrząsnął głową.

— No więc dobrze — kapitan Uladh chwycił linę, którą podał mu jeden z jego ludzi. - W takim razie spróbujemy się dowiedzieć, co jest tam na dole. — Podniósł rękę, gdy czarnowłosy wojownik złapał drugą linę. — Wy zostaniecie tutaj! To rozkaz!

Burzowe oko zwięzło się.

— Na jakiej podstawie zakładacie, że podporządkuję się waszym rozkazom? - przez krótką chwilę błysnęły w świetle czubki jego kłów.

— Cóż, wojowniku, fakt, że w tym pomieszczeniu jest pięciu moich ludzi, wy natomiast jesteście sami.

Mordan zacisnął wargi i oderwał się od krawędzi studni.

— Jak chcecie! Ale ja na waszym miejscu wziąłbym ze sobą na dół pochodnię. I nie lykalbym wody.

Kiedy chwilę później rudo-brązowa czupryna kapitana zniknęła w głębi, obok niego huśtało się wiadro, w którym płonęła pochodnia.

Trudno było się domyślić znaczenia stłumionych odgłosów dochodzących z dołu, lecz gdy jakiś czas później Uladh wdrapał się na brzeg studni, jego twarz była bladozielona. Skinął w stronę Mordana, podciągając się na murek. Z jego ubrania kapala woda.

— Mielicie rację, to ma cztery pazury - powiedział, a potem zwrócił się do swoich ludzi: — Przygotujcie sieć! Jeden z was musi zejść ze mną i mi pomóc. „To” wisi dość głęboko w wodzie i nurt przyciska „to” z całej siły do kraty.

Żaden z żołnierzy nie wyglądał na zachwyconego na myśl, że trzeba zejść do studni i w końcu kapitan Uladh musiał wyznaczyć jednego. Chwilę potem obaj mężczyźni zsunęli się w głąb.

Po pewnym czasie, który ciągnął się jak wieczność, dali znak, by wyciągnąć sieć. Korba studni zakręciła się dwa razy, kiedy z dołu rozległ się przeraźliwy krzyk. Mężczyźni znieruchomieli, spojrzeli na siebie z przerażeniem, wyciągnęli jednak powoli sieć po kolejnej chwili wahania i rzucili to ociekające „coś” obok studni. Woda splywała ponuro po ziemi, nad tym pojawił się nagle duszący odór padliny, jeden z żołnierzy zakrył dłonią usta i wybiegł z domu studziennego, wymiotując, drugi zdążył dobiec do ściany, nim wypluł zawartość swego żołądka. Mordan przycisnął rękaw do twarzy, a Lijanas zasloniła dekoltem swej sukni nos i usta. Pełna zgrozy wlepiła wzrok w ciemnego wojownika. Ten kiwnął głową. W sieci leżały resztki pożeracza dusz.

Chwilę później kapitan Uladh wygrzebał się wraz ze swym żołnierzem na brzeg studni. Ociekające wodą ubranie kleiło się do niego. Z obrzydzeniem kapitan spojrział na kreaturę.

— Ścierwo jakieś przekłętą kundla miałoby być winne temu wszystkiemu? Nie mogą w to...

— To nie jest pies — choć Mordan mówił cicho, Uladh zamilkł i spojrział na niego zaskoczony. Stojąca obok czarnowłosego wojownika młoda uzdrowicielka spięła ramiona, jakby było jej zimno. — To pożeracz dusz.

Natychmiast na twarzy kapitana pojawiła się podejrzliwość. - Skąd to wiecie?

— Kiedy jechaliśmy tutaj, dwa razy ich spotkaliśmy.

Gdy poczuła, jak Mordan spiął się u jej boku, i zobaczyła, jak kapitan Uladh mruży oczy, zrozumiała, że właśnie popełniła błąd. Potem zdała sobie sprawę z ciszy panującej w pomieszczeniu. Żołnierze straży miejskiej wytrzeszczali na nią oczy. Nie umknęło to także kapitanowi.

— Co się tak gagicie? - wyskoczył na nich. — Zawieńcie to w coś i sprzątnijcie stąd!

— Spalcie to!

Przytaknął z aprobatą.

— Słyszeliście, co powiedziała uzdrowicielka! Wynieście to i spalcie! Możecie mi powiedzieć, czy ta kreatura faktycznie była przyczyną choroby, uzdrowicielko?

— Nie wiem tego z całą pewnością, ale to bardzo prawdopodobne! — Lijanas przycisnęła materiał swej szaty mocniej do ust i nosa, podczas gdy żołnierze Uladha z wyraźnym obrzydzeniem przystąpili do wykonania jego rozkazu.

— A co teraz będzie, uzdrowicielko? - zapytał i machnął na nią i Mordana, by opuścili z nim dom studzienny. Na zewnątrz młoda kobieta wciągnęła świeże powietrze, nim odpowiedziała.

— Przede wszystkim nikt nie może pić wody z rzeki, najlepiej jeszcze przez dwa lub trzy dni, żebyśmy mogli zyskać pewność, że nurt rzeki splukał ostatnie resztki padliny. I może byłoby dobrze, żeby potem jeszcze przez tydzień gotować wodę przed spożyciem, żeby wykluczyć wszelkie niebezpieczeństwo. Nie sądzę wprawdzie, by było to konieczne, ale lepiej być ostrożnym...

— Rozumiem, uzdrowicielko! Rozkażę swoim ludziom, żeby natychmiast przeszli od domu do domu i poinformowali wszystkich. Poczekajcie tutaj! Mam do was jeszcze kilka pytań! — powiedział, po czym zniknął znowu w domu studziennym. Lijanas ogarnęło złe przeczucie. Odwróciła się w stronę Mordana, jednak ten był najwyraźniej pogrążony w swych własnych myślach.

Już kiedy zobaczył ślady pazurów na murze, nabral podejrzeń. Głębokie zadrapania w kamieniu przypominały te, które pożeracze dusz zostawili na kamieniach mostu. Ale z jakiego powodu te kreatury miałyby się pojawić także w Cavallinie? Ta myśl wydawała mu się zbyt szalona, ale potem faktycznie wyciągnęli ze studni światła ściervo pożeracza dusz.

Gdybym nie wiedział lepiej, powiedziałbym, że te bestie nas śledzą. Absurd! Dlaczego miałyby to robić?

Nierozsądnie uzdrowicielka zdradziła kapitanowi, że już dwa razy spotkali te stworzenia; powiedziała coś, czego Uladh naprawdę nie musiał wiedzieć. — *Będzie zadawać pytania. A na ile go oceniam, nie będę miał ochoty odpowiedzieć na połowę z nich. Ta kobieta nie jest zbyt przebiegła. Muszę ją powstrzymać, by nie opowiedziała Uladhowi zbyt dużo.* — Spojrzal

na nią krótko, odgarniając przy tym ręką kilka zablakanych kosmyków i stwierdził, że ciągle ma we włosach te trzy warkocze. Jeśli nie chce, by Uladh odkrył, kim jest, musi to zmienić. Kilkoma ruchami rozplótł warkocze, wstążki zniknęły w torbie u pasa i zastąpił je wąski skórzany rzemień, który zwykle nosił poza granicami Telmahru.

Trzej żołnierze straży miejskiej wytaszczyli z domu studziennego, narzekając i stękając, zawinięte w płaszcz ścierwo pożeracza dusz i poszli ulicą w dół. Uzdrowicielka oplotła swe ciało ramionami i cofnęła się trochę. Drgnęła, kiedy uderzyła w niego, nie odważyła się jednak odwrócić, gdyż kapitan Uladh opuścił pomieszczenie tuż za swymi ludźmi i oparł się barkiem o ścianę przy łuku drzwi. Z rękoma założonymi na piersi, zmierzył ją wzrokiem, który prawdopodobnie miał ją onieśmielić. Mordan położył dłoń na ramieniu młodej kobiety, odsunął ją trochę w bok i za siebie. Kapitan będzie musiał rozmawiać z nim, a nie z jego „małżonką”. A Uladh wiedział, że on nie będzie tak szczerze trajkotał — wręcz przeciwnie.

— Wasza małżonka powiedziała, że wędrując tutaj już dwa razy spokaliście te kreatury. Kiedy i gdzie?

— Raz kawałek na południe od Anschary, a potem jakieś dwa dni jazdy konnej od Wież Księżykowych. Dlaczego chcecie to wiedzieć?

— Cóż, pierwszego dnia burzy solnej pojawiacie się tu wy i wasi przyjaciele, a te kreatury zabijają tego samego dnia troje ludzi w tym domu studziennym.

- Co ma jedno z drugim wspólnego? — Mordanowi nie przyszło łatwo wypowiedzieć te słowa z obojętnością.

- Nie sądzicie, że to dziwny przypadek?

- Nie! Ponieważ, jak sami powiedzieliście, to przypadek. I nic więcej, kapitanie!

— Nie powiedzielibyście zatem, że macie z tymi kreaturami coś wspólnego, wojowniku?

Jego odpowiedzią było pogardliwe parsknięcie.

- No więc dobrze, ale pozwólcie, że dokończę swoją myśl. Najwyraźniej istnieją pewne podobieństwa pomiędzy morderstwami, o które jesteście podejrzani, a śmiercią Ifei: wszystkie trzy kobiety były w ciąży, więcej, ich dzieci miały się narodzić lada dzień. Nie można zaprzeczyć, że sposób, w jaki kobiety zostały rozszarpane, jest podobny...

— Co powinno was doprowadzić do wniosku, że mordercą jest ten sam sprawca. A ponieważ wiemy, że ta Ifea została zabita przez pożeracza dusz, niemożliwe jest, bym to ja popełnił te morderstwa, kapitanie.

— Trzeba przyznać, że tak to wygląda na pierwszy rzut oka, wojowniku, ale...

— Na pierwszy rzut oka? Nie bądźcie śmieszni! Powiadam wam raz jeszcze, kapitanie: nie mam nic wspólnego w tymi morderstwami!

— Jak sądzicie, ile razy słyszałem już to zdanie? I jak sądzicie, ile razy udowodniono jednak winę mężczyznom i kobietom, którzy je wypowiedzieli?

Mordan bardzo powoli wypuścił powietrze.

— Dla was jestem winny? Jak? Dlaczego? Ponieważ widzieliście mnie na miejscu zbrodni, razem z przynajmniej tuzinem innych! Ponieważ jestem obcy w tym mieście? Poza tym jestem Kierem, a my jesteśmy przecież zdolni do wszystkiego? Kapitanie, miałem was za człowieka, którym nie kierują uprzedzenia.

— Czy w moich oczach jesteście winni, nie ma żadnego znaczenia! Osądzą was władze miejskie.

— Nie wiecie nawet, jaka to dla mnie ulga, kapitanie — te słowa przepełnione były kąśliwą kpina, Uładh nie zwrócił jednak na nie uwagi.

— Mnie interesuje w tej chwili tylko to, co macie wspólnego z tymi kreaturami. Widzę tylko dwie możliwości: przyszły tutaj za wami...

— Ku czemu nie miały żadnego powodu, kapitanie! — *A nawet gdybym znał jakiś, to i tak nie twoja sprawa.*

— ... albo wy je tu wezwaliście.

— Ku czemu znowu nie ma żadnego powodu! Ale mogę wam podać третią możliwość: to wszystko to tylko przypadek i nie mam z tymi bestiami nic wspólnego!

— W co nie wierzę, wojowniku!

Na duchy zemsty! Co ja tu właściwie robię? Równie dobrze mógłbym mówić do ścian! Od kiedy tracę swój czas na bezowocne dyskusje?

— Więc dobrze, kapitanie. W takim razie powiedzcie mi, co teraz będzie!

— Nadal jesteście aresztowani. Po tym, jak dzisiaj naruszyliście moje polecenia, powinienem was zamknąć w więzieniu. Ale ze względu na fakt, że pomogliście znaleźć możliwą przyczynę zarazy, okażę wam łaskę.

Pozostaniecie nadal na wolności, tak jak uprzednio, pod strażą. Jednakże oczekuję, że oddacie mi swoją broń. Oddajcie mi swój miecz!

Zapomnij!

Mordan położył dłoń na rękojeści *kereshtai*.

— Nie! — powiedział zdecydowanie. Za plecami usłyszał, jak uzdrowicielka nabiera powietrza.

Kapitan Uladh zmrużył oczy zaskoczony.

— Słucham?

— Zrozumieliście, kapitanie!

Czy to jej ręce czują na plecach?

— Macie wybór, wojownika: oddacie mi miecz dobrowolnie, albo odbiorę go wam siłą, a wy traficie prosto do więzienia!

Mordan zacisnął powoli palce na rękojeści ze skóry płaszczki i z jedwabiu, cofnął nieco górną wargę.

— Jeśli chcecie dostać mój miecz, musicie go sobie wziąć — siłą! Dobrowolnie go nie oddam!

— Jak chcecie, wojownika!

— Poczekajcie! — wtrąciła się uzdrowicielka i wysunęła się do przodu, kładąc dłoń na jego ramieniu. - Proszę was, kapitanie, byście pozostawili memu mężowi jego miecz. Sami powiedzieliście, że niewykluczone, iż te kreatury przyszły tu za nami. Jeśli to prawda, kto obroni nas przed nimi, jeśli nas zaatakują?

— Wasz mąż ma przydzieloną straż! Moi ludzie będą...

— Wybaczcie, kapitanie, nie wiem nic na temat waszych ludzi i ich umiejętności władania bronią, ale widziałam te kreatury i wiem, jak posługuje się mieczem mój mąż. Czuję się pod jego ochroną pewniej niż pod ochroną waszych ludzi. Pozostawcie mu jego miecz — ze względu na mnie!

Stanęła tak blisko niego, że wdychał zapach jej włosów.

Wystarczy, że podniosę rękę... Nie! To szaleństwo!

Kapitan Uladh popatrzył najpierw na jedno, potem na drugie, następnie skinął krótko głową.

— Dobrze, uzdrowicielko! Ze względu na was może zatrzymać miecz. Ale jeśli jeszcze raz sprzeciwi się moim poleceniom, nawet wam nie uda się zmienić mego zdania.

Przechyliła lekko głowę.

Na duchy zemsty, ta kobieta zachowuje się jak królowa.

— Dziękuję wam, kapitanie. A może pozwolicie nam teraz wrócić do gospody Fadery? Jestem bardzo zmęczona!

— Oczywiście, uzdrowicielko. Poczekajcie tutaj, wydam moim ludziom jeszcze kilka poleceń, a potem sam odprowadzę was do domu — powiedział i zniknął w domu studziennym, a Mordan pochylił się.

— Dobra robota, uzdrowicielko. Jak mógł odmówić waszej prośbie? Kobiecie, która prawdopodobnie uratowała jego miasto — szepnął jej do ucha.

— Oszczędźcie sobie tego, Kierze. Każde moje słowo było prawdziwe, z wyjątkiem jednego — syknęła.

— A które to było słowo? - spytał i ostrożnie położył rękę na jej ramieniu.

— Mąż! — odsunęła się od niego w momencie, gdy kapitan Uladh wyszedł z łuku drzwi, a Mordan ścisnął zęby, żeby nie zakląć, co miał już na końcu języka. Szybkim krokiem poszedł za nią, wsuwając swe ramię pod jej ramię. Chciała się od niego uwolnić, jednak jego palce zacisnęły się mocniej na jej łokciu.

— Wciąż uchodzimy za małżonków, uzdrowicielko! — mruknął tak cicho, jak potrafił. Trafiło go jadowite spojrzenie kątem oka, jednak nie próbowała się już uwolnić. Kiedy Mordan obrócił się częściowo, nie uszło jego uwadze, że kapitan ich obserwował.

Dotarli już prawie do gospody Fadery, gdy za nimi dały się nagle słyszeć spieszne kroki. Jakiś głos wykrzyknął bez tchu imię uzdrowicielki. Peider! Po chwili młody mężczyzna stał już przed nimi, ciężko dysząc.

— Duchom przodków niech będą dzięki, że was wreszcie znalazłem, uzdrowicielko. Szukałem was już wszędzie i właśnie na szczęście natknąłem się na jednego ze strażników miejskich, który mi powiedział, że udaliście się do domu. Proszę, uzdrowicielko, musicie pójść ze mną, teraz, natychmiast! Beelah, moja żona, ma skurcze, zaczęły się już przed, och, dwiema godzinami, a akuszerka nie chce przyjść, boi się, że może się u mnie zarazić, bo przecież pracuję w szpitalu. Proszę, uzdrowicielko, proszę! Ona tak bardzo cierpi.

— Uspokójcie się, Peiderze! Nie ma porodu bez skurczy i bólu, to zupełnie normalne. Nie martwcie się! — Z uśmiechem młoda kobieta pogłaskała go po ramieniu. - Pokażcie nam drogę do waszego domu!

Z wyraźną ulgą mężczyzna pobiegł przodem. Lijanas, podążając za Peiderem, udała, że nie słyszy kapitana Uladha, który zaprotestował bez

przekonania. Mordan był jedynym, który dostrzegł grymas złości, jaki pojawił się na uderzenie serca na wargach Lijanas, i który usłyszał, jak mruknęła coś, co zabrzmiało jak „głupia gęś”. Był niemal pewien, że miała na myśli akuszerkę.

Dom Peidera był dwupoziomowy i posiadał mały, otoczony murem, dziedziniec, jak większość budynków w starej dzielnicy. Z tyłu, w kącie, tuż obok malej stajni, z której dobiegało beczenie owiec, tryskało żwawo male źródelko. Jak tylko Peider otworzył drzwi tego malego domu, dało się słyszeć jęki jego żony. Szybko poprowadził ich do izby. Uzdrowicielka wyraźnie się przestraszyła. Mordan domyślał się, dlaczego. Peider opisywał wprawdzie swoją Beelah jako małą i drobną, ale nawet on nie oczekiwał, że jest aż tak delikatną istotą. Jej brzuch wyglądał na zdecydowanie za duży dla niej. Peider pospieszył od razu do żony, która siedziała obok paleniska w wyściełanym miękkim fotelu. Kiedy go ujrzała, uśmiech rozjaśnił jej zlaną potem twarz i wyciągnęła do niego rękę — żeby uchwycić się go podczas kolejnego skurczu.

Lijanas podeszła do nich i położyła dłoń na nabrzmiałym brzuchu, podczas gdy Peider tłumaczył swej żonie, kim ona jest. Na twarzy Beelah pojawiła się ulga i krótko ścisnęła z wdzięcznością palce Lijanas. Ta skinęła głową z uśmiechem, kiedy poczuła pod dłonią mocne kopnięcie.

- Zdrowe i żwawe, i najwyraźniej nie może się już doczekać, kiedy ujrzy świat. Czy odeszły wam już wody płodowe, Beelah? Nie? Dobrze, w takim razie mamy jeszcze trochę czasu. Ale byłoby lepiej, gdybyście jeszcze trochę pospacerowali. Chodźcie, wstajemy! Bardzo ładnie! Właśnie lak trzeba! Nie, nie możecie się wspierać na waszym mężu, on będzie mi potrzebny. Ale wypożyczę wam mojego! — Mordanowi nie umknęło spojrzenie, którym go obdarzyła. Tak samo jak uśmiech, który pojawił się po chwili.

- Chodźcie tu, Kierze! — Posłusznie podążył za jej zapraszającą ręką, jednak sposób, w jaki na nią spojrzał, zmusiłby niejednego wojownika do ucieczki — ona uśmiechnęła się tylko słodko, popychając delikatną postać w jego ramiona. — Poprowadźcie ją po pomieszczeniu! Najlepiej w kółko! Kiedy nadejdzie skurcz, zatrzymajcie się, aż przejdzie. Pozwólcie jej ustalić tempo, podpierajcie ją tylko. Bez obaw, Beelah, wesprzyjcie się na nim. Na pewno was nie wypuści.

Zwróciła się do Peidera:

— Idźcie przynieść czyste prześcieradła! A wy...! - nie zapomniała też o kapitanie. — Wy, kapitanie, przynieście ze źródła na dworze wodę i zarzeczcie ją w kuchni. I przygotujcie się na to, że będzie mi potrzeba dużo gorącej wody.

Stała i dotknęła dłonią czoła. Przez krótką chwilę na jej twarzy pojawił się grymas bólu, potem zacisnęła usta i kontynuowała przygotowania. Starając się nie spuszczać uzdrowicielki z oczu, Mordan prowadził młodą żonę Peidera po izbie. Jej palce ścisnęły jego dłoń, jakby od niego zależało jej życie. Skurcze wstrząsały jej ciałem, jakby chciały je rozerwać.

Czy to zawsze tak jest? Ta mała istota nie jest stworzona do tego, by rodzić dzieci. Peider, ty durniu! Powinieneś o tym pomyśleć, kiedy następnym razem będziesz wieształ spodnie na słupku łóżka. Dla mężczyzny też są środki i sposoby, żeby zapobiec, by jego nasienie nie zagnieżdżyło się w ciele kobiety.

Ku jego zdziwieniu Beelah obdarzyła męża błogim uśmiechem, kiedy wreszcie wrócił z naręczem prześcieradeł. Kapitan Uladh dopytywał się z kuchni, czy wystarczą cztery wiadra wody, a uzdrowicielka posłała go po dwa kolejne. Co chwilę stawała obok młodej kobiety, by dowiedzieć się, jak się czuje. Skurcze pojawiały się w coraz krótszych odstępach czasu i wreszcie Lijanas pozwoliła, by Beelah usiadła na przygotowanych prześcieradłach. Peiderowi kazała zająć miejsce za jej plecami i poprawiła poduszki. Jej twarz była blada i raz po raz na jej ustach widać było ból, co Mordan zauważył, marszcząc czoło. Chwycił ją za łokieć i odciągnął na bok, nie zważając na jej oburzone — Hej!

— Co się z wami dzieje, uzdrowicielko? I nie próbujcie mnie oszukiwać! Coś jest nie w porządku? - dopytywał się półgłosem.

— Boli mnie głowa, to wszystko! A teraz zabierajcie ręce ode mnie i pozwólcie mi dalej działać, Kierze!

— Boli was głowa? Jak tamtej nocy, kiedy omal nie utopiliście się w balii?

— Nie, tak źle jeszcze nie jest! Puśćcie mnie!

— Jeszcze nie? Czy to znaczy, że ból się nasila?

— Tak, ale nie martwcie...

Z podwórza dało się słyszeć przestraszone meczenie kozy. Mordan podniósł czujnie głowę. Nagle przyszła mu do głowy potworna myśl.

Jeśli słyszysz mnie-jakiś dobry duch — niech sprawi bym się mylił!

— Czy czuliście taki ból także tej nocy, zanim Uladh postanowił mnie aresztować? Nad ranem?

— Tak! Ale co to ma...

— Idźcie i zajmijcie się Beelah! — krzyknął, puścił ją i pospieszył do drzwi wejściowych. Uchylił je ostrożnie. W pierwszej chwili zobaczył jedynie cienie w zakamarkach dziedzińca. Jednak nie dało się nie poczuć odoru padliny w powietrzu — i potem nagle dostrzegł jakiś ruch w ciemności, błysnęły zielone oczy. Doliczył się pięciu, zanim zatrzasnął i zarygłował drzwi. Z *kereshtai* w dłoni pospieszył z powrotem do izby. Przestraszone twarze wpatrywały się w niego, po pomieszczeniu niósł się właśnie pełny bólu jęk Beelah. Najchętniej oszczędziłby młodej kobiecie tej wiadomości, ale teraz nie było czasu ani na tajemnice, ani na laskawe kłamstwa.

— Na zewnątrz, na dziedzińcu, są pożeracze dusz! Przynajmniej pięć sztuk! Kapitanie! Wy pójdziecie na piętro i zabarykadujecie każde okno, każdą szczelinę, przez którą cokolwiek mogłoby dostać się do domu! Ja zajmę się parterem! Pospieszcie się i zaczynajcie od okien wychodzących na podwórze!

Tak jak się spodziewał, Uladh najszybciej otrząsnął się z przerażenia i pobiegł, skinąwszy głową, po schodach, na górę. Mordan przemknął przez oba pomieszczenia na dole. Jeszcze nie skończył, a już rozległo się złowieszcze drapanie w drzwi. Dało się słyszeć bulgoczące dyszenie i węszenie. Odór padliny wpełzał do pomieszczenia. W krzykach Beelah słychać było teraz dodatkowo wyraźnie strach. Uzdrowicielka spojrzała na niego szeroko otwartymi z przerażenia oczyma. Widać było w niej ból, drżała na całym ciele.

— Bierzcie się do roboty! — polecił jej naumyślnie ostro. — Im szybciej dziecko się urodzi, tym lepiej! Podejrzewam, że niemowlę nie będzie ich już tak interesowało! — Jego ton przyniósł oczekiwany skutek i wyrwał ją z osłupienia.

— Dziecko się urodzi, kiedy przyjdzie na to czas. Nie możecie mu rozkazać...

— W takim razie powinniście je przekonać, że „teraz” nadszedł już czas, uzdrowicielko! Życie nas wszystkich zależy być może właśnie od tego!

Otworzyła szeroko oczy i odwróciła się do pojękującej młodej kobiety.

Kapitan Uladh zbiegł po schodach, meldując, że wszystkie okiennice na górze są zamknięte i zabarykadowane, i wyciągnął swój miecz, stając obok Mordana. Ten pokręcił głową.

— Wracajcie do izby. Korytarz jest za wąski dla nas obydwu. Przeszkadzalibyśmy sobie tylko nawzajem. I ktoś musi bronić pozostałych, gdyby mi się nie udało przytrzymać drzwi.

- Na jakiej podstawie zakładacie, że posłucham waszych rozkazów, wojowniku...

Mordan chwycił go, przycisnął do ściany i pozwolił mu obejrzeć swe kły.

- Nie czas teraz na spory o kompetencje! Róbcie, co mówię albo zejździe mi z drogi! Zrozumiano?

Uladh przelknął nieswojo ślinę i przytaknął. Mordan puścił go i zwrócił się z powrotem w stronę drzwi. Drapanie nasiliło się, deski zadrżały pod pazurami pożeraczy dusz, jedna nie wytrzymała i trzasnęła, przez dziurę wysunęła się przednia łapa — *kereshtai* odciął ją czysto. Rozległo się przerażające wycie. W następnej chwili zatrzęsły się drzwi, potem jeszcze raz, zawiasy skrzyknęły protestując, za trzecim razem Mordan pchnął klingę przez dziurę w desce, napotkał na opór, znowu rozległo się wycie, a kiedy wyciągnął miecz, była na nim biała krew. Na zewnątrz kreatury skrobały niespokojnie. Ich bulgoczące dyszenie słychać było w różnych miejscach. Mordan zacisnął usta. - *Zapłacicie za śmierć Corfara! Każda z was, bestie! Należycie do mnie!* - Potem hałas pod drzwiami zamilkł. Zamknął oko, koncentrując się tylko na tym, co słyszy, wyłączył głosy i dźwięki za sobą. Na odgłos trzasku i huku nad ich głowami drgnął nawet Mordan. W tej samej chwili kolejne uderzenie wstrząsnęło drzwiami, pękł pierwszy zawias. - *Na duchy zemsty! Nie! Nie z dwóch stron!* — Pchnął *kereshtai* przez pękniętą deskę, ale rym razem nie poczuł oporu.

— Uladh! Na górę! — ryknął jednocześnie. Znowu uderzenie, drugi zawias puścił. Z całej siły kopnął niepotrzebne już teraz drzwi na zewnątrz, tępe uderzenie zdradziło mu, że musiał trafić jedną z tych kreatur. Staął bezpośrednio w świetle drzwi, czekał. Jak długo któryś z tych potworów nie rzuci mu się na plecy, jest w stanie bronić tego wejścia, dopóki nie opuszczą go siły. Miał nadzieję, że dziecko urodzi się już do tego czasu.

Warcząc, pożeracze dusz poruszali się w mroku. Naliczył trzy żarzące się pary oczu. — *Trzech z przodu, dwóch za mną albo nade mną — to niezbyt dobry układ. Pozostaje mieć nadzieję, że jest faktycznie tylko pięć sztuk.* — Przez krótką chwilę zdawało się mu, że dostrzegł kolejny cień - cień człowieka, lecz ledwie zdążył odetchnąć, także tam zaświeciła się para zielonych oczu.

W następnej chwili rozległ się za nim przeraźliwy krzyk — *uzdrowicielka!* - i trzy kreatury rzuciły się na niego z ciemności. *Kereshtai* śmignął wysoko, trafił pierwszą w gardło.

Jej świat rozplywał się z bólu. Odór padliny nie pozwalał oddychać. Słychać było krzyki, zagłuszające, bulgoczące dyszenie pożeraczy dusz. Coś uderzyło z tępym gruchotem w drewniane deski. Męka nie do zniesienia zagnieździła się w jej duszy, przemieniając wszystko wokół niej w zawieszistą mgłę. Charczące dyszenie było tuż przed nią, próbowała się odczołgać. Beelah! Peider! Krzyki słychać już było z daleka - zamilkły. Głos Mordana, który zmienił się w ryk. Cienie poruszały się wokół niej, mrugając oczami starała się pozbyć mgły, spostrzegła, jak jeden z pożeraczy dusz skoczył na ciemnego wojownika, usłyszała jego przerażające wycie i huk, z którym bestia powaliła Kiera na ziemię i przykryła swym cielskiem. Pałające bladą zielenią oczy wwiercały się w jej oczy. Szept, szemrzące głosy — łakome szarpanie, oslepiający ból w jej duchu, bolesne targanie jej duszy, zimno, które ją paraliżowało. Oczy były coraz bliżej, bliżej. Śmierdzący oddech uderzył ją w twarz, szept stał się głośniejszy — niemal zdawało się jej, że rozróżnia słowa. Lśniący błysk drgnął w jej kierunku, przenikliwy jazgot, uderzenie — a potem czarna męka wyłączyła jej myślenie.

Zawiodłem!

Wciąż jeszcze lekko oszołomiony, wpatrywał się w zwłoki Peidera i jego żony. Nad nim rozległ się loskot, potem szuranie na schodach. Z trudem stanął na nogach, chwając się, podszedł do ścierwa pożeracza dusz, leżącego niecały krok od uzdrowicielki, i wyciągnął z niego *kereshtai*. Z szeroko rozstawionymi nogami zaslonił sobą nieprzytomną kobietę, czekał. Jego lewa ręka zwisała, wykręcona, u jego boku. Któryś z pożeraczy dusz skoczył na niego. Zabił tę kreaturę jeszcze w czasie skoku, jednak zwłoki uderzyły z całej siły w jego pierś. Chcąc uniknąć upadku, wyciągnął rękę — i wylądował na niej całym swoim ciężarem. Z trzaskiem ramię wyskoczyło ze stawu, a ból odebrał mu na chwilę oddech — wciąż jeszcze płonął w jego barku i podsycal jego wściekłość. Znowu szuranie na schodach. Obnażył zęby. - *Chodź już!* — Potem rozległy się powolne kroki, kapitan Uladh ukazał się na schodach, tak samo zbuczony krwią jak Mordan. Kiedy zobaczył miecz w jego ręku, zatrzymał się, aż Mordan opuścił broń.

— Czy coś z tego to wasza krew, kapitanie?

— Nie, wojowniku, nie jestem ranny. A wy?

— Ręka wyskoczyła mi z barku, ale poza tym wszystko w porządku. Co tam się stało na górze, do cholery? Jak to możliwe, że cztery z tych bestii przemknęły obok was? - Jego głos zamienił się w ochryple burczenie.

Uladh próbował uniknąć jego wzroku.

— Dwie trzymały mnie w szachu, podczas gdy pozostałe... — Dopiero teraz dostrzegł wymiar tego, co się tu rozegrało. — Kim, na dusze przodków, jesteście, wojowniku? Wcielonym duchem zemsty? To czysta masakra.

Mordan zmierzył go lodowato, ale nie odpowiedział. Zamiast tego przeszedł po trupach pożeraczy dusz, podszedł do drzwi i wyjrzał na dziedziniec. Teraz było spokojnie. Smród padliny uleciał. Wkroczył z powrotem do izby, uklęknął obok uzdrowicielki, po ostatniej chwili wahania położył miecz obok siebie, na podłodze, i nieco nieporadnie przyciągnął wiotkie ciało młodej kobiety do piersi. Uladh stanął obok niego.

— Sprowadzę swoich ludzi. Mogę was tu zostawić samych?

Jego wzrok powędrował ku martwemu ciału Beelah. — *Zawiodłem!*

— Tak! — odpowiedział i skinął powoli. — Nie sądzę, żeby na zewnątrz pałętały się jeszcze jakieś. A gdyby jednak... - Z zawziętą miną dotknął rękojeści *kereshtai*. Uladh skierował się ku drzwiom. W progu zatrzymał się raz jeszcze.

— Wojowniku! — Mordan podniósł wzrok. - Zadbani o to, byście publicznie zostali uniewinnieni od wszelkich podejrzeń. — Jego szybkie kroki zanikały przed domem.

Mordan trzymał uzdrowicielkę ostrożnie w ramionach, oparł delikatnie policzek o jej przedziałek. — *Wiem, to szaleństwo! A marzenia są tylko dla głupców...* — Zamknął oko, próbując przestać myśleć. Przez długi czas siedział tak bez ruchu.



Drżenie przechodziło bardzo powoli i była w dziwny sposób wdzięczna, że miała coś do roboty, na co mogła skierować swe myśli. Jeszcze raz pomacała ten straszny garb na ramieniu, znalazła najlepszy kąt, pod którym uda jej się zaraz nastawić rękę. Mordan siedział spokojnie na stolku przed paleniskiem w ich pokoju, z lekko pochyloną głową, i czekał. Ciepło jego skóry pod jej palcami miało w sobie coś oszalamiająco kojącego.

Wspomniała, jak ocknęła się z laskawej nieprzytomności i udręki bólu głowy, oparta o jego pierś, otoczona jego ramieniem — w środku skąpanej we krwi izby. Peider i Beelah nie żyli! Palce Mordana na jej podbródku nie pozwoliły jej spojrzeć na zwłoki obydwojga. Niedługo potem nadeszli ludzie ze straży miejskiej i ona oraz wojownik Kier zostali odeskortowani do gospody przez kilku żołnierzy, z pełnym szacunkiem. Zaprowadził ją do ich pokoju i poprosił Faderę o gorącą wodę do kąpiel. Dopiero gdy zamknął za nimi drzwi, zauważyła, że coś jest nie w porządku. Jego ręka wisiała wykręcona i bezużyteczna u jego boku — zwichnięta. Pomogła mu zdjąć kaftan, kolczugę i tunikę — mozolna tortura, podczas której nie wydał z siebie żadnego dźwięku, choć musiało mu to sprawiać niesamowity ból — i kazała mu sięść na stolku przed paleniskiem. To, że zrobił to bez sprzeciwu, zdradziło jej, że także on był wyczerpany, a ramię mu dokuczalo. Ostrożnie odgarnęła na bok jego włosy, marszcząc z zaskoczenia czoło. Tak jak u innych Kierów jego ramiona i plecy, jak również boki szyi, pokryte były delikatną, miękką sierścią. Jednak jego kark był nienaturalnie лысы. Czarnym kolorem wytatuowane były w tym miejscu cztery spletające się ze sobą znaki, zaczynające się tuż poniżej linii włosów i kończące na górnej krawędzi ramion. To musiało boleć, ponieważ ciągnęły się dokładnie wzdłuż linii kręgow. Małe, owalne znamiona pokrywały

górną część ramion. Po stronie karku była stara blizna, która wyglądała, jakby w tym miejscu skóra była przez dłuższy czas ocierana. W świetle płonącej jasno lampki oliwnej trudno było nie zauważyć także licznych pręg, które przebiegały wzdłuż i wszerz jego pleców i znikaly jeszcze za paskiem spodni. Każda z tych blizn polyskiwała blado w jego miękkiej sierści i sprawiała, że wyglądała jak pogryziona przez mole. — *O Łaskawa, on ma na plecach więcej blizn niż sierści. Jest tak cudownie miękka jak futerko kreta* — miała ogromną ochotę powieść palcami po linii jego kręgosłupa, dotknąć jego perfekcyjnie ukształtowanych mięśni. W czasie praktyki widziała już kiedyś takie blizny — na plecach mężczyzny, który przez długi czas był przykuty łańcuchami do wioseł galery należącej do Edari — takie ślady pozostawiały jedynie cienkie rzemienie pejcza. Nawet kiedy stanęła przed nim, nie poruszył się. Znowu dotknęła palcami wystającego na ramieniu guza, pochyliła się, aby także z tej strony upewnić się, że kąt, który chciała wybrać, jest właściwy. Przygryzła wargę, by nie stęknąć z przerażenia. Płaskie, twarde mięśnie ciągnęły się eleganckimi liniami od ramion w dół, przez zaokrąglenia klatki piersiowej i dobrze wypracowany relief brzucha i szczupłej talii. Jak u człowieka na jego piersi kręciły się czarne loczki, znikając w postaci zwężającego się paska pod spodniami — *Piersz Abmeera jest gładka i nieowłosiona... i węszysza* - jednak na skórze w ciemnym odcieniu złota także tu wyraźnie widać było ślady blizn. Blizn, które nie wyglądały na bardzo stare. Na brzuchu i klatce piersiowej pozostawiło znaki rozżarzone żelazo; obok musiały się wbić w jego ciało ostre cęgi. Na widok prostej, szerokiej prawie na dwa palce i prawie trzy razy dłuższej blizny, zmarszczyła czoło, aż do niej dotarło — w tym miejscu po prostu ściągnięto mu szeroki pasek skóry. Wrażliwe boki pokrywały proste blizny po ranach ciętych, które mogły pochodzić równie dobrze od pejcza, jak od ostrego kija. Największą grozą napawał jednak znak wypalony na lewej piersi, tuż nad brodawką, choć nie był większy niż pieczęć - delfin stojący na pletwie ogonowej. Zamknęła na uderzenie serca oczy. — *„Możliwe, że pomyliłem się też, kiedy dowódczym wojsk Astracharu — zaraz, jak ona się nazywa... Eliazanar? — wypaliła na mojej piersi swą osobistą pieczęć. Na pamiątkę po niej.”* — nie wierzyła mu, teraz miała dowód. Z trudem udało jej się odwrócić od tego wzrok. Przypadkiem zauważyła, że jego ręce pokryte były gęsią skórką. Czy było mu zimno? Kiedy spojrzała na niego, odkryła, że ją obserwuje, i poczuła, jak gorąco oblewa jej policzki. Szybko wyprostowała się i skoncentrowała

z powrotem na jego ramieniu. Ciemna plama na jego skórze, tam, gdzie ramię przechodzi w bark, już kiedyś rzuciła jej się w oczy — i nagle przypomniała sobie, gdzie już kiedyś spotkała takie znamię: księżę Rusan miał dokładnie w tym samym miejscu znamię — o ile jej pamięć nie myli - które wyglądało bardzo podobnie do tego. Zmieszana spojrzała mu w twarz. Odpowiedział na jej spojrzenie, unosząc pytająco brew. Lijanas potrząsnęła szybko głową, chwytając jego nadgarstek i łokieć.

- Będzie bolało! - ostrzegła i pociągnęła, nie czekając na jego skinięcie, łokieć do środka, pchając go jednocześnie z całej siły do góry. Twarz Mordana ani drgnęła, choć była pewna, że to musiało potwornie boleć; jedynie biała kropelka potu zaślśniła w jego czarnej sierści i spłynęła mu po skroni. Przez moment, który zdawał się ciągnąć wieczność, nic się nie działo, potem w przegubie nieoczekiwanie chrupnęło i ręka się wyprostowała. Odetchnąwszy głęboko, stanęła prosto, odgarniając kilka luźnych kosmyków z czoła. Patrzył na nią wciąż w milczeniu, ale wydawało się, że w kącikach jego ust zagościł delikatny uśmiech. To wystarczyło, by poczuła to dziwne ciepło w brzuchu. — *Na łaskawość Bogini, co się ze mną dzieje?* — Jeszcze raz przeciągnęła nerwowo dłonią po włosach.

- Unieruchomię wam tę rękę...

- Nie!

Zaskoczona mrugnęła oczami. Jeszcze żaden z jej pacjentów nie odważył się...

- Nie wolno wam poruszać barkiem, dlatego będzie lepiej...

- Będę nim poruszał tylko wtedy, jeśli będzie to konieczne. Ale nie dam sobie tej ręki unieruchomić - ostatnie słowo brzmiało jak oburzenie.

Lijanas westchnęła. Wiedziała już, że wszelka próba dyskusji na ten temat, byłaby jedynie stratą czasu.

- A więc dobrze. Ale przez następne dni będziecie nosić rękę na temblaku, żeby odciążać bark.

Łaskawe pochylenie głowy obwieściło jego zgodę, a ona rozejrzała się za czymś, z czego można by zrobić temblak. Jej wybór padł na jeden z ręczników, które leżały obok misy do mycia. Wreszcie spojrzała krytycznie na swe dzieło, dochodząc do wniosku, że będzie trzymać.

- Naprawdę nie wolno wam nadwierać tego ramienia przez następne dni, Kierze. I także później przez jakiś czas będzie bardzo wrażliwe. Natrę was później maścią z kwiatów wodnych, to pomoże mięśniom i ścięgnom.

Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę, a on odpowiedział na to spojrzenie bez słowa.

On może doprowadzić tym człowieka do obłądu!

— Czy wasz ojciec też miał takie znamię? — wskazała na jego ramię. Przez moment wyglądał na zaskoczonego, potem znowu przyjął chłodny wyraz twarzy.

— Nie wiem, kim jest mój ojciec — wyjaśnił tak spokojnie, jakby rozmawiał z nią o podkowach Ired.

— Nie wiecie... - teraz Lijanas wyglądała na zaskoczoną. — Ale powiedzieliście przecież, że wasz ojciec zmarł od rany zadanej mieczem?!

— To był mój przybrany ojciec.

— Czy wasza matka nie powiedziała wam, kim jest wasz prawdziwy ojciec? Ona na pewno to wie.

— Moja matka była dziwką — chłód w jego głosie brzmiał niebezpiecznie. Nieswojo przelknęła ślinę, gdy zauważyła, że dłoń, która cały czas spokojnie spoczywała na jego udach, zacisnęła się w pięść. Wokół nadgarstków sierść przecinały stare blizny, które mogły pochodzić zarówno od żelaznych kajdan, jak i rzemieni. Szybko odwróciła wzrok. Milczenie zaczynało być nieprzyjemne. Chwilę później Lijanas uratowało pukanie do drzwi. Na ostre: „Wejść!” Mordana, drzwi otworzył Levan, wnosząc razem z Ecrenem balię. Zaraz potem wtargali wiadrami parującą wodę i włali ją do balii, napelniając ją do połowy. Następnie przynieśli jeszcze dwa dzbany zimnej wody i kocioł gorącej, który zawiesili w kominiku nad ogniem, a potem pożegnali się. Jedyną reakcją Mordana było krótkie skinienie głową, jakby to było na porządku dziennym, że pozostali wojownicy go obsługiwali.

Kim ty jesteś?

Obserwowała, jak podszedł do okna i spojrzal w dół, na dziedziniec. Zrozumiała, że nie zostawi jej samej. Nie miało sensu go o to prosić. Był na tyle uprzejmy, żeby odwrócić się do niej plecami, ale nie wyjdzie. Jasne światło dzienne, rzucane przez wieże płomieni, zastąpiło delikatną nocną poświatę, nadając jego skórze ciemnego blasku. Lijanas przelknęła z niepokojem ślinę. Nawet te przerażające blizny na jego ciele nie były w stanie zmienić faktu, że jej Kier był przystojnym mężczyzną.

„Mój” Kie? Czy ja zvariowałam? Ten typ jedynie mnie pilnuje, nie poza tym! Jestem właściwie niemal zارةczona z Abmeerem! On jest uprzejmy i życzliwy! Zupełnie inny niż ten odpychający gbur! Abmeerowi nigdy nie

przyszłoby do głowy, żeby po prostu zostać w pokoju, kiedy chce się wykąpać. Nigdy by mnie do niczego nie zmusił, nie mówiąc już o nieokrzesanym dotykaniu mnie. — Ale dlaczego czujesz się przy tym draniu tak pewnie? Skąd się bierze to uczucie w twoim brzuchu? Kiedy Ahmeer tak na ciebie patrzy, nie czujesz tego! — zdecydowanym ruchem dłoni uciszyła ten mały złośliwy głos, przyciągnęła stolec do bali i położyła na nim ręczniki, myjkę i mydło. Spojrzała jeszcze krótko na wojownika, potem rozpięła pasek, ściągnęła suknię przez głowę i weszła do bali. Westchnąwszy z rozkoszą, zanurzyła się w wodzie po brodę i zamknęła oczy! — *Wspaniale!*

Wsluchiwał się w cichy plusk za plecami, próbując jednocześnie się uspokoić. Choć minęło tyle czasu, wciąż nie mógł znieść, kiedy przypomniano mu Thiele. Nawet teraz słowo „matka” miało wciąż jeszcze mdły smak. Mimowolnie jego dłonie znowu zacisnęły się w pięści. Czasy jego dzieciństwa były zbyt odległe, aby mógł sobie wiele przypomnieć. Ale wciąż bardzo dobrze wiedział, że biegł za tą kobietą; że wracał do niej za każdym razem, nawet kiedy go bila i nazywała bękartem i wyganiała ze swej małej komnaty; że nie liczył na więcej niż tylko na jedno przyjazne słowo z jej ust. W pierwszych dniach w oddziale wojowników zasypiał nawet, płacząc, z jej imieniem na ustach, modląc się, by przybyła i zabrała go do domu. Powoli wypuścił powietrze i zmusił się do otwarcia pięści. Piękna Thiela, niewolna służąca, której nie mógł się oprzeć nawet małżonek królowej. Tak powstała prawdopodobnie plotka, jakoby był synem Haffrena z nieprawego łoża.

Zerknął na uzdrowicielkę. Zanurzyła się po brodę w parującej wodzie, jej płomienne włosy sływały, polyskując, poza brzeg bali. Przypominały włosy Thieli — a o niej wiedział z całą pewnością, że w połowie płynęła w jej żyłach krew Edari. Jego babka była Edari, pojmaną podczas wyprawy wojennej, która - jak wszyscy jeńcy wojenni - należała do klanu królewskiego jako niewolna. I jak wcześniej Thiela, tak i on urodził się niewolnym - stanowiąc w ten sposób prawną własność królowej i jej małżonka. Poczul się tak, jakby znowu miał na karku żelazny pierścień. Strząsnął z siebie to wrażenie. Te czasy minęły! Od siedmiu zim należą do przeszłości! Ale nikt na dworze o tym nie zapomniał!

Znowu dobiegł jego uszu plusk z bali. Odwrócił się całkiem i oparł biodrem o parapet. Na twarzy uzdrowicielki widniało rozmarzenie. Oczywiście nie umknęło jego uwadze, że przyglądała mu się wnikliwie — wręcz przeciwnie: świadomość jej spojrzenia przyprawiała go o gęsią skórę

i wbrew wszelkiemu rozsądkowi marzył, by nie ograniczyła się jedynie do patrzenia. Potrząsnął powoli głową. To było szaleństwo. Ta kobieta nienawidziła go, a on pragnął, by go dotykała. Coś, co było równie śmieszne, jak myśl, że kiedyś zobaczy w nim kogoś więcej niż tylko wojownika Kier, który ją uprowadził.

W jego życiu nigdy nie będzie kobiety! Ani takiej jak uzdrowicielka, ani żadnej innej. Powinien się trzymać Vajny i pozostałych dziewczek z taboru. Te kobiety należały do jego ludu. Wiedziały, że nie oczekuje od nich nic poza zaspokojeniem — a on wiedział, że nie oczekiwały niczego poza pieniędzmi i kilkoma przywilejami. Jego usta skrzywiły się. Nagle poczuł obrzydzenie wobec siebie i przeciągnął dłonią po włosach. Jak mógł porównać uzdrowicielkę z jakąś dziewczką z taboru. Równie dobrze mógłby przymierzać *ashentai* do jakiejś szkapy. Musi się uwolnić od tej absurdalnej myśli... Najpóźniej w Turasie dowie się, kim jest, a potem i tak będzie go unikać, jakby miał dżumę. Dlaczego więc teraz sobie robić niepotrzebnie nadzieję? Ale do Turasu było jeszcze daleko, a jego zadaniem było chronić ją, nawet gdyby miało go to kosztować życie! Ale żeby móc ją bronić przed każdym niebezpieczeństwem, musiał mieć pewność!

Zdecydowanie podszedł do balii, odsunął ręczniki i usiadł. Uzdrowicielka prychnęła oburzona, skrzyżowała ramiona na piersiach i zanurzyła się nieco głębiej w wodzie.

— Czego chcecie? — jej szmaragdowe oczy mierzyły go piorunującym wzrokiem.

— Porozmawiać z wami!

— A to nie może poczekać, aż stąd wyjdę i się ubiorę?

— Może mogłoby poczekać. Ale mimo to porozmawiamy teraz!

— A o czym? - zakryła myjką lono.

— O was!

— O mnie? A więc naprawdę...

— Chciałbym, żebyście odpowiedzieli na kilka moich pytań.

— Nie! Nie, dopóki siedzę naga w tej balii.

— Co stanowi bardzo... hm... przyjemny widok.

— Wy przeklęty...! - reszta zginęła w trudnym do zrozumienia gderaniu.

— Wasz sposób wyrażania się pozostawia wiele do życzenia, uzdrowicielko. Chcecie dalej gderać, czy możemy już teraz porozmawiać?

— Jeśli chcecie prowadzić rozmowy ze sobą, proszę bardzo!

Pochylił się i spojrzal na nią, mrużąc oko. Nawet Feniar zasłaniała się, gdy tak na nią patrzył — a tamta kobieta miała naprawdę serce wojownika - lecz uzdrowicielka odpowiedziała jedynie iskrą w oku. Westchnąwszy, wyprostował się.

— A więc dobrze! Niech będzie, jak chcecie. Powiedzcie mi, kiedy skończycie! Będę w stajni. I zostawcie mi trochę ciepłej wody!

Gapiała się za nim bez słowa, gdy chwycił swą zbroszoną krwią tunikę i wyszedł z pokoju.

Przy wejściu do stajni Lijanas zatrzymała się, nasłuchując. Jej włosy były jeszcze mokre po kąpieli. Po chwili rozpoznała głos Brachana, potem Mordana. Sądząc po ostrym tonie, klócili się. Ostrożnie zajrzała przez szparę w niedomkniętych drzwiach. Stary wojownik właśnie czyścił zgrzeblem swego wałacha, gdy tymczasem jej „stróż” stał oparty o słupek i rozgniatł palcami źdźbło słomy.

Z tą ręką na temblaku wygląda jakoś tak wrażliwie. — Wrażliwie? Ten typ? Nigdy!

Właśnie Brachan wyszedł z boksu, stanął przed Mordanem, który oderwał się od belki, i odezwał się do niego podniesionym głosem, stukając go przy tym zgrzeblem w pierś. Czarnowłosy wojownik wydal z siebie gniewne mruknięcie, odrzucił na bok słomkę i odepchnął starego wojownika. Obnażając zęby, zrobił krok w przód, wyciągając palec wskazujący, a potem postukał nim w swoją pierś, odpowiadając wcale nie mniej wściekłym tonem. Przez chwilę Brachan milczał, a kiedy potem przemówił, jego słowa brzmiały pojednawczo. Mordan odpowiedział, szorstko potrząsając głową, cały czas groźnie wciągając dolną wargę. Niechętnie odepchnął dłoń siwowłosego wojownika i skierował się ku drzwiom stajni.

Lijanas odwróciła się i pobiegła przez dziedziniec do kuchni. Dotarła do schodów i stanęła tak, jakby właśnie zeszła po stopniach, kiedy drzwi otworzyły się gwałtownie i do pomieszczenia wszedł Mordan. Starala się odдыchać powoli.

Dlaczego ten typ ma takie długie nogi?

— Tu jesteście! Miałem już sprawdzić, czy nie utopiliście się w balii — ciemny wojownik wsadził kciuk za pas i przyglądał się jej. Jego głos był wciąż spięty.

Mam nadzieję, że nie zauważył, iż obserwowałam jego kłótnię z Brachanem.

— Właśnie szłam do was do stajni. Jak się miewa Ired?

— Kapryśna jak zwykle. To znaczy, że już z nią lepiej. I już nie kuleje — zmarszczył czoło. Jego spojrzenie zdawało się mówić: „Ale to przecież wiecie”.

— To dobrze! — Lijanas splotła palce i spojrzała na niego oczekująco, starając się, by nie zauważył jej niepokoję. — Chcieliście ze mną rozmawiać?!

— Nie tutaj! Chodźmy na górę, do naszego pokoju — wskazał na schody, a ona weszła posłusznie po stopniach na górę. Tam z ich drzwi właśnie wychodził Levan, targając dwa ciężkie wiadra.

— Musicie tylko napelnić od nowa balię, panie — oznajmił i skwitował kiwnięcie Mordana uśmiechem. Potem zniknął na schodach.

Na gest ciemnowłosego wojownika Lijanas weszła do pokoju, potem usłyszała, jak zamyka i rygluje drzwi. Odwróciła się.

— Nie bójcie się! Nie zbliżę się do was — odgarnął dłonią kilka niesfornych kosmyków. W geście tym widać było zmęczenie. — Nie chcę tylko, by ktoś nam przeszkadzał. Usiądźcie!

Usiadła na łóżku i przelknęła nieswojo ślinę, kiedy przysunął stół i usiadł na nim naprzeciwko niej.

Czego on chce?

Przez ciągnącą się w nieskończoność chwilę przyglądał się jej, potem zaczął mówić.

— Jest kilka rzeczy, o których musimy porozmawiać! Chodzi o was — i o pożeraczy dusz.

Lijanas przestraszyła się.

— Co macie na myśli? Wiecie, że nie mam z tymi kreaturami nic wspólnego.

— Czy to wiem? Wybaczcie mi, uzdrowicielko, ale wątpię, czy to prawda.

— Chcecie powiedzieć, że kłamie? — chciała wstać, jednak on pochylił się do przodu i bez większego wysiłku przytrzymał ją na miejscu.

— Nie! Ale sądzę, że jest jakiś związek między wami a tymi bestiami. Zanim wybuchniecie, wysłuchajcie mnie najpierw w spokoju.

Wykrzywiając mruklawie usta, usiadła, skrzyżowała dłonie na kolanach i czekała.

— Od tej nocy, kiedy próbowaliście uciec - nie, nie próbujcie zaprzeczać! — znalazłem pożeraczy dusz jedynie z dreszczykiem.

Jednak od kiedy jesteście z nami, spotykamy te kreatury dwa razy w ciągu niespełna dwóch dni. W tym momencie byłem jeszcze skłonny uwierzyć, że to przypadek. Ale potem te bestie pojawiają się także tutaj w Cavallinie. Mało tego, mordują po raz pierwszy w dniu, kiedy my tu przybywamy.

- Sądzicie, że szły za nami? — Lijanas przelknęła nieswojo ślinę.

- Nie za nami - za wami! - potarł chore ramię i zacisnął na chwilę powieki.

- Za mną? Ale dlaczego akurat za mną?

- Miałem nadzieję, że wy będziecie mogli mi to powiedzieć.

W odpowiedzi potrząsnęła głową.

Wygłada, jakby z nyczerpania mógł w każdej chwili po prostu zemdleć.

- Kiedy ostatnio spaliście?

Spojrzał na nią zaskoczony.

- Nie odwracajcie mojej uwagi, uzdrowicielko!

- Nie robię tego. Ale jesteście zmęczeni. Nie powinniśmy później...

- Nie! Omówimy to teraz! - wstał gwałtownie i podszedł do okna, gdzie odetchnął głęboko kilka razy. - Pozwólcie, że wyjaśnię, dlaczego sądzę, że te kreatury śledzą was, nie biorąc na chwilę pod uwagę tego, że pojawiły się tutaj... Za każdym razem, kiedy te bestie zabijały jedną z tych kobiet, bolała was głowa.

- Skąd możecie to wiedzieć?

- Raz widziałem to na własne oczy, a co do drugiego razu, sami to potwierdziliście dzisiejszej nocy. Tej nocy, gdy z bólu straciliście przytomność i o mało nie utonęliście w balii, jedna z tych kobiet została zamordowana jakieś pięć ulic stąd — w tym samym czasie. Druga ofiara zmarła w nocy, nim Uladh przyszedł do szpitala, by mnie aresztować — między drugą a czwartą nad ranem. Przyznaliście minionej nocy, że głowa bolała was nad ranem. A ostatniej nocy... głowa zaczęła was boleć, gdy pożeracze dusz zbliżyli się do domu Peidera, a kiedy byli z wami w jednym pomieszczeniu... - nie musiał kończyć tego zdania.

Lijanas spojrzała na niego z przerażeniem. Było dokładnie tak, jak mówił. Czują, kiedy kreatury znajdowały się blisko niej - czują, kiedy zabijały. Jej drżące ręce dotknęły gardła.

Laskawa Bogini, co ja mam wspólnego z tymi potworami?

- Ale na moście, tam ich nie czułam - popatrzyła na niego bezradnie. Dlaczego?

— Nie wiem! Ale jest coś, co mnie bardziej martwi: ostatniej nocy jeden z pożeraczy dusz stał między wami a Beelah. I jestem gotów założyć się o mój *kereshtai*, że przez chwilę nie wiedział, co jest dla niego bardziej interesujące. Beelah ze swym nienarodzonym dzieckiem — spojrzał jej prosto w oczy — czy wy.

— Ja? — Teraz strach zaczął ją dławić. — Ja? Ale... Jak to?

— Może, ponieważ jednak jesteście wiedźmą dusz?

— Nie! — Lijanas poderwała się i usiadła szybko po drugiej stronie łóżka, bezpiecznie. Teraz już wiedziała, dlaczego zaryglował drzwi. - Nie jestem wiedźmą dusz!

— Corfar miał rację, kiedy mówił, że tylko wiedźmy dusz z ludu Edari potrafią zobaczyć śmierć. A ja sam obserwowałem, w jaki sposób dotykaliście w szpitalu nowe przypadki; tak samo, jak dotykaliście Levana.

— To, że mam taki dar, nie oznacza, że jestem..., jestem... Och, zmiłuj się, Łaskawa Bogini! - przycupnęła w kącie, zakrywając twarz rękoma. Przez dłuższy czas jej rozpaczliwy szloch był jedynym dźwiękiem w pomieszczeniu.

— Jest mi obojętne, czy jesteście wiedźmą dusz — na dźwięk jego głosu wcisnęła się jeszcze bardziej w kąt. — Byłoby mi równie obojętne, gdybyście byli Hathenanką. Widziałem, jak ryzykowaliście swe własne życie dla zupełnie obcych ludzi, jak dzień po dniu walczyliście o ludzi, których imion nawet nie znaliście. To wystarczy. Spójrzcie na mnie, Lijanas. — Jego dłoń chwyciła delikatnie jej brodę i uniosła ją.

Po raz pierwszy zwrócił się do mnie po imieniu.

Ta świadomość powoli docierała do jej rozumu.

— Jestem tu, żeby was bezpiecznie dowieźć do Turasu. Moim zadaniem jest chronić was. Ale nie mogę zagwarantować waszego bezpieczeństwa, jeśli nie wiem, przed czym mam was chronić. I muszę przyznać, że na myśl, iż mieliby to być pożeracze dusz, robię się trochę niespokojny.

— Wy? Niespokojni? - podniosła nos. - Ostatniej nocy sami zabiliście ich na pewno z pół tuzina.

— Możliwe, ale jakoś nie mogę pozbyć się wrażenia, że na miejsce każdej bestii, którą zabijam, z jakiejś dziury wypelzają dwie kolejne. A ta myśl wcale mi się nie podoba. Przede wszystkim, jeśli muszę przyjąć, że faktycznie wy jesteście celem tych ataków. I, Lijanas, bez względu na to, jak dobrze władam mieczem: jestem tylko Kierem, i jestem śmiertelnikiem. — Ostrożnie otarł kciukiem lzy z jej policzka, potem puścił jej

podbródek. Nagle poczuła się bardzo samotna. — Czy powiecie mi teraz, co powinienem wiedzieć? — Nagle znowu zapanowała cisza, przerywana jedynie szlochaniem.

- Nie wiem, czy jestem wiedźmą dusz — jej głos brzmiał tak cicho, że sama z ledwością rozumiała słowa — i nie mogła uwierzyć, co właśnie zamierzała uczynić. — *Nawet Abmeer o tym nie wie! A co, jeśli ma rację? On mnie ochronił przed tymi bestiami!* — powoli podniosła wzrok. Patrzył na nią, czekał, nie ponagłając. — Dorastałam w małej wsi na wybrzeżu, daleko na południe od Anschary. Mój ojciec był rybakiem — delikatny uśmiech przemknął po jej twarzy, kiedy pomyślała o tym wysokim mężczyźnie o ciemnych blond włosach, który podrzucał do góry małą dziewczynkę o lśniących zielonych oczach i lapał swymi silnymi rękoma. - Wy pływał tak daleko w morze, jak żaden inny mężczyzna z wioski. Jego łódka sunęła tak szybko po falach... Kiedy brał ze sobą mnie i mamę, myślałam zawsze, że mkniemy szybciej niż wiatr. A moja matka... Po niej odziedziczyłam kolor włosów. Miała w nich nawet jasne kosmyki. Opowiadała mi często historie o morzu i wspaniałych statkach, które żeglowały aż po horyzont i nawet dalej. Często zabierała mnie ze sobą do lasu i pokazywała mi zwierzęta i rośliny - otuliła dłońmi ramiona i kołysała się lekko w przód i w tył. — Ale w naszej wiosce była pewna oblakana stara kobieta. Zawsze twierdziła, że moja matka jest wiedźmą dusz Edari, a mój ojciec jednym z ich kapitanów. Jeszcze na łożu śmierci przysięgała, że moja matka zaczarowała całą wioskę, by wszyscy zapomnieli, że byli obcymi, a nie Nivardami.

A potem, pewnego letniego dnia, te potężne statki zawitły do zatoki. Wszyscy biegali z krzykiem. Ojciec wyciągnął ze skrzyni miecz i pobiegł nad wodę. Matka wysłała mnie do lasu i kazała mi się dobrze ukryć. Nie wolno mi było opuścić kryjówek, dopóki statki nie odpłyną. Ostatnią rzeczą, jaką widziałam, było to, że pobiegła za moim ojcem. Ukryłam się w lesie. A kiedy statki odpłynęły... - jej głos załamał się.

- ...zabili wszystkich, a ich ciała przybili dla odstraszenia do ścian domów — dokończył zdanie uzdrowicielki. Edari nie brali jeńców, chyba że w ich ręce wpadli wojownicy, którzy resztę swego życia spędzali przykuci do wiosel galery. — *Może nie jest wiedźmą dusz?* — zmęczony potarł czoło.

Ale prawdopodobnie córką wiedźmy. A jeśli Edari wiedzą o jej istnieniu, będą miał jeszcze ich plemię na karku. Do cholery! W takim wypadku lepiej

walczyć z dwoma tuzinami pożeraczy dusz, z ręką przywiązaną do pleców, niż stać się przedmiotem polowania na czarownicie.

— Tak, wszędzie były trupy - głos młodej kobiety brzmiał jak głos małej dziewczynki. — Tylko ciał moich rodziców nie udało mi się znaleźć.

A więc pewnie Edari wzięli ich do niewoli i zabrali na Aderest, największą wyspę w Trójkącie Farzaneh, by tam odpokutowali za swój występki. - Wiedźmie dusz wolno było oddawać się uciechom cielesnym z innym mężczyzną niż jej *cogen* — ale pod karą śmierci zabronione było zająć w ciążę i donosić ją. A on jeszcze nigdy nie słyszał, żeby któraś z tych kobiet faktycznie zakochała się w jakimś mężczyźnie — a do tego jeszcze w jednym z kapitanów. Byli to jedyni mężczyźni, którzy zgodnie z prawem Edari byli dla nich tabu, jeśli chodziło o wybór ich *cogenów*, ich opiekunów-niewolników. Pożalowania godni mężczyźni, którzy podczas prastarego rytuału zostawali połączeni ze swą wiedźmą dusz i którzy od tej pory znali już tylko wolę swej pani — i którzy służyli jej w każdy możliwy sposób. Zamknął na chwilę swe oko. Gryzło go zmęczenie, przez co jego rozum wolniej pracował. Czy nie powinien zyskać jeszcze kilku godzin przy pomocy liści głogu? - *Nie! Nie warto ze względu na skutki uboczne. Kąpiel i łóżko! W tej kolejności! I wszystko w ciągu najbliższej pół godziny.* - Zgodnie z prawem Edari uzdrowicielka była skazana na śmierć już przez samo swe istnienie. Dziecko wiedźmy dusz nie mogło zostać przy życiu, ponieważ mówiono, że w nim moce matki stawały się wielokrotnie silniejsze i nie dawały się kontrolować. — *A ona nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, że prawdopodobnie posiada takie moce, więc skąd miałyby też wiedzieć, jak się nimi postugiwać. Na moje szczęście! Pewnie nie podejrzewa też, co Edari by z nią zrobili, gdyby upadła im w ręce.*

— Czy to jest to, co chcieliście wiedzieć, Kierze? — pytanie było jedynie szeptem, mimo to wyrwało go z zamyślenia. Łzy wciąż dławily jej głos. Powoli pokiwał głową.

— Będę musiał na was dobrze uważać, uzdrowicielko. Myślicie, że uda wam się wyjść z tego kąta?

Spojrzała na niego zmieszana, gdy nieco sztywno podniósł się z kucek, wyciągając do niej rękę.

— Cuchnę krwią pożeraczy dusz i jestem zmęczony. I żeby odpowiedzieć na wasze poprzednie pytanie: po raz ostatni porządnie spałem, gdy po raz pierwszy dzieliliśmy to łóżko.

Otworzyła szeroko oczy.

Nawet zalane łzami jej oczy są przepiękne.

— Potrzebna mi gorąca kąpiel i kilka godzin snu w przyzwoitym łóżku. Obydwu tych rzeczy nie mogę mieć, dopóki siedzicie tam, w kącie, jak przestraszony ptak. Poza tym wam także dobrze by zrobiło trochę odpoczynku! A więc dalej, chodźcie!

— Dlaczego?

— Dlaczego co?

— Dlaczego nie możecie się kąpać ani spać, kiedy tu siedzę?

Bo kiedy wiem, że siedzisz tam, w tym kącie, tak niewygodnie skulona, to nawet mi robi się nieswojo, ptaszyno.

— Dlatego! — chwycił ją za rękę i podniósł z podłogi — i znieruchomiał, kiedy wylądowała na jego piersi. Zdawało się mu, że zapach jej włosów wypełnił nagle cały pokój. Pragnienie, by trzymać ją tak przez resztę wieczności, stało się wręcz przytłaczające i szybko uwolnił się, odsuwając ją na łóżko, po czym z trudem wciągnął powietrze.

— Sprawiliam wam ból? Wasz bark...?

Ból? Gdybyś wiedziała...

Szybko wyminął jej wyciągniętą rękę.

— Nie, uzdrowicielko. Wszystko w porządku — odwrócił się. — Jeśli nie macie nic przeciwko temu, chętnie wziąłbym teraz kąpiel.

— Tak, tak, oczywiście — dziwnie bezradna stała tak w pokoju, jakby nie wiedziała, co ma dalej począć. Jej oczy wodziły za nim, kiedy przemierzał się w kierunku paleniska, zamierzając zdjąć kociało z gorącą wodą. Nagle stanęła przy nim. — Pozwólcie, że wam pomogę! — Kawalkiem materiału dla ochrony przed gorącem, chwyciła ucho i razem zanieśli ciężkie naczynie do balii. - Woda jest za gorąca! — oceniła krytycznie.

— Ja też to widzę! — mruknął Mordan, zauważając z wdzięcznością, że odsunęła się kawalek od niego. - Pójdę po wiadro zimnej wody - powiedział i wyszedł. Za drzwiami oparł się na chwilę o chłodną skałę. — *Muszę się trzymać od tej kobiety z daleka! To wszystko — to szaleństwo!*

Kiedy wrócił z wiadrem zimnej źródlanej wody, uzdrowicielka klęczała przed ogniem paleniska i rozczesywała wilgotne włosy. Odwrócił szybko wzrok, nalał wody do balii, a następnie przyniósł mydło ze swych juków. Nie było łatwo jedną tylko ręką rozwiązać spodnie i zsunąć z siebie ciasno przylegającą skórę, ale wreszcie rzucił tę część ubrania na łóżko. Nieco niezgrabnie ściągnął tunikę przez głowę, a potem, spojrzawszy jeszcze

krótko w stronę młodej kobiety, która odwróciła się do niego plecami, pozbył się także bielizny i wszedł do balii.

Gorąca woda! Któremu bogu, demonowi albo duchowi zemsty mam za to dziękować? Uczynię to na kolanach.

Zanurzył się głębiej i rozkoszował gorącem z zamkniętym okiem. Ponieważ uzdrowicielka nie patrzyła w jego stronę, odważył się ściągnąć klapkę z oka. Przesunął delikatnie dwoma palcami po powiece. Znowu było zapalenie. Ból już kilka dni temu zamienił się ze zwykłego pieczenia i uczucia, jakby miał piasek w oku, w palący ogień. W ostatnim czasie zdarzało się to coraz częściej, ale do tej pory ból zawsze w końcu odpuszczał. Chłód powietrza przynosił ulgę, polał trochę wody po powiece. Niemożliwym było otworzyć oko teraz, w jasnym świetle. Ten ból przyprawiał go niemal o utratę przytomności. Nawet po wszystkich tych zimach wciąż nie mógł znieść więcej niż nikły płomień świecy. Wszystko pozostałe działało jak rozżarzony sztylet, który by mu wwiercano przez oko w czaszkę. I pewnie nigdy się to nie zmieni! Zmęczony oparł głowę o brzeg balii, poddając swe napięte mięśnie działaniu gorącej wody. W pewnym momencie zauważył, że jest cicho i zerknął w stronę młodej kobiety, zamykając cały czas mocno lewą powiekę. Bez ruchu kłęzczała w dalszym ciągu przed ogniem i wpatrywała się, pogrążona w myślach, w ogień. Przyjrzał się jej szczupłej twarzy. Delikatnie wygięte brwi miały taki sam kolor jak jej włosy i stanowiły wspaniały kontrast do jasnej skóry. Jej nos był, oprócz małego garbka u nasady, prosty i wąski. Czy kiedyś był złamany? Uśmiech zakradł się do jednego kącika ust. Pewnie biła się z jakimś chłopakiem. Tak, to by do niej pasowało. Jak to często robiła, także i teraz zagryzła dolną wargę. Wiedział, jak miękkie były to wargi, bądź co bądź, już raz ich kosztował, mimo że go w końcu ugryzła. Przed ogniem jej smukłe ciało wyglądało niemal jak przezroczyste. Zamknął oko, widząc ten obraz cały czas przed sobą.

Kiedy to się stało? Kiedy zakochałem się w tej powabnej istocie? Ona mnie nienawidzi! Pewnie prędzej położyłaby się ze świnia, niż miałaby dopuścić, bym jej dotknął! To musi się skończyć!! Do cholery! Dlaczego uczuć nie można po prostu zgasić, jak ognia?

Gwałtownie zanurzył się pod wodę, zaciskając palce na brzegu balii tak mocno, że aż kostki zrobiły się białe.

Nagły plusk spowodował, że odwróciła się zaskoczona.

- Kierze? — Lijanas wyprostowała się trochę, próbując zerknąć w stronę balii. Jego palce spoczywały na krawędzi, widziała jego kolana, wystające z wody, ale jego głowa zniknęła pod powierzchnią. Czekala w milczeniu, że się wynurzy, ale nic takiego nie nastąpiło. Czy to był żart? Chciał ją przestraszyć, a potem wyśmiać, jak czasem robił to Ahmeer?

- Kierze? — odezwała się jeszcze raz po kolejnej chwili. Odpowiedziała jej cisza.

Nie można przecież wstrzymać oddechu na tak długo?!

Z wahaniem wstała i podeszła do balii. Jego ciało można było dokładnie rozpoznać pod połyskującą w świetle powierzchnią wody — każdy imponujący szczegół. Szybko przeniosła wzrok wyżej. Czarne włosy falowały wokół głowy, oczy miał zamknięte, klapki nie było. Maleńkie bańki powietrza wydostawały się z jego nosa, rozbijając na powierzchni.

- Kierze? — pochylila się niżej. Wystrzelił do góry tak niespodziewanie, że straciła równowagę, chcąc się szybko cofnąć. Jego palce chwyciły jej nadgarstki i przytrzymały ją. Woda kapala mu z włosów, lśniła na jego twarzy, na klatce piersiowej i ramionach, kiedy patrzyła na niego przez uderzenie serca, zdające się ciągnąć wieczność, aż przebudził się jakby z transu i raptownie odwrócił. Dopiero, gdy sięgnął po skórzaną klapkę, zrozumiała, dlaczego — nie chciał, by widziała go bez tego. Bez słowa podała mu ręcznik, żeby mógł sobie przynajmniej wytrzeć twarz, nim ją założy, i odwróciła się. — *Dlaczego nie chce, żebym go oglądała bez tej klapki? Przecież nie jest aż tak bardzo oszpecony przez to brakujące oko. Nie, wyglądało to nawet niemal tak, jakby miał jeszcze...*

odwróciła się, jednak było już za późno. Czarna skóra znowu przykrywała oczodół. — *Czy mam go o to spytać? Oczywiście! Jeśli nie chce otrzymać odpowiedzi.*

- Na duchy zemsty, co to miało być, uzdrowicielko? — rzucił, nim zdążyła otworzyć usta.

- Pomyślałam, że się utopiliście, tak długo byliście pod wodą — prychnęła w odpowiedzi, opierając dłonie na biodrach.

Zmrużył oczy, patrząc na nią nieco zaskoczony.

- Martwiliście się o mnie?

Tak, ty ośle! Choć sama nie rozumiem, dlaczego.

- Nie! Chciałam się tylko upewnić, żebym mogła wykorzystać okazję i uciec! — odparła i opryskała go wodą.

— Pst, uzdrowicielko, to był błąd. Nie powinniście mi zdradzać, że cały czas myślicie o ucieczce. Ponieważ to wiem, będę musiał was pewnie znowu skępować, kiedy opuścimy Cavallin.

Ręcznik trafił ją prosto w twarz. Kiedy znowu mogła coś zobaczyć, zauważyła błysk w jego oku. To było tak niepojęte, że potrzebowała chwili, by do niej dotarło: on żartował!

— Może powinniście już zamknąć usta, uzdrowicielko? — zaproponował tak uprzejmie, że przez czas głębokiego oddechu przyglądała mu się oszolomiona, nim postąpiła zgodnie z jego propozycją. — A teraz moglibyście się znowu... — wykonał gest, jakby chciał ją przegonić, i nagle Lijanas zdała sobie sprawę, że jego druga dłoń zniknęła pod wodą.

Ach? Wstydzimy się? No poczekaj!

— Dlaczego miałabym to zrobić? — zapytała, krzyżując ręce na piersi i patrząc na niego z góry. Długo patrzył jej w oczy z niewzruszoną miną, potem kiwnął głową.

— Tak, dlaczego mielibyście. Ale skoro już tak stoicie, moglibyście się na coś przydać: podajcie mi mydło!

— Czy nie zapomnieliście o czymś? — opieszale przelożyła ciężar ciała na jedną nogę. Właściwie niewiele brakowało, by mógł dosięgnąć mydła, trzeba się było tylko trochę wyciągnąć.

- Co?

— Jest takie proste słówko...!

— Och, naturalnie. Jaki ze mnie głupiec! — Natychmiast!

Groźnie zmrużyła oczy, ale nie ruszyła się.

— Zawsze wiedziałem, że kobiety do niczego się nie nadają! — westchnął znacząco i wynurzył się do połowy wody - *na łaskawość Bogini!* - sięgnął po mydło i zanurzył się na powrót w balii. — *Przynajmniej wiem teraz, jak wygląda owłosienie Kierów poniżej pasa.*

— Dajcie to! — na ruch, jakim wyrwała mu z ręki jasnobrązowy owal, zareagował zaskoczony:

— Hej! Co to ma znaczyć?!

— Umyję wam głowę i plecy! Z waszym barkiem może to być trudne. — *Jaka jest w dotyku jego sierść, gdy jest mokra i namydlona?* - stanęła za nim, jednak on odwrócił się, by móc dalej na nią patrzeć.

— Mogę się sam umyć! Z barkiem czy bez! - jego spojrzenie stało się czujne.

— Co jest, Kierze? Nagle staliście się nieśmiali? Wierzcie mi, nie ma w was nic, czego bym jeszcze w życiu nie widziała.

Parsknął pogardliwie, nie spuszczać jej jednak z oka.

— Jesteście dla mnie zbyt uprzejmą, uzdrowicielko, zdecydowanie zbyt uprzejmą! Ktoś mi kiedyś powiedział: kiedy kobieta zaczyna mruzczyć i drapać cię po brodzie, nie pytaj, dlaczego — uciekaj! Wy może niekoniecznie mruzcycie, ale...

— A od kogo pochodzi ta mądra rada? Pewnie od mężczyzny, czyż nie? Odwróćcie się wreszcie!

Nie zamierzał wykonać jej polecenia.

— Nie, pochodzi od kobiety!

— A wy słuchacie rad kobiety. To jestem zaskoczona! - zakasała rękawy sukni po łokcie.

— Rad tej kobiety - tak!

— Czy wolno mi spytać, kim jest to uosobienie mądrości?

— Wolno wam. To żona Brachana!

Zaskoczona Lijanas przekrzywiła głowę.

— Brachan jest żonaty?

— Ależ oczywiście! I ma córkę, która jest pewnie w waszym wieku. Dlaczego tak się dziwicie, uzdrowicielko? Myśleliście, że kiedy wcielono nas do wojska, wszyscy zostaliśmy wykastrowani?

— *Ze ty nie zostałeś, mogę nawet przysiąc!*

— Oczywiście, że nie! — czy jej policzki naprawdę zaczęły płonąć? — Tylko nie spodziewałam się tego po Brachanie — schyliła się obok niego, żeby zanurzyć mydło w wodzie, i krzyknęła przestraszona, kiedy nagle chwycił jej przedramię, odwracając jego wewnętrzną stronę do światła.

— Co to jest?

Między przegubem ręki a łokciem polyskiwały na jej skórze srebrzysto-białe luski. — *Nie! Laskawa Bogini, nie!* - na krótką chwilę zamknęła oczy, potem spróbowała wyrwać rękę z jego uścisku. Równie dobrze mogłaby próbować uwolnić się z żelaznych kajdan.

— To nie! — od kiedy zauważyła, że te dziwne luski zaczęły się rozprzestrzeniać na jej skórze, pilnowała, żeby rękawy sukni były zawsze opuszczone do nadgarstków — i równie długo próbowała już różnych lekarstw, które zazwyczaj pomagają przy chorobach skóry, i których składniki mogła zdobyć: nalewkę z roszabiu, która zazwyczaj łagodziła zapalenia skóry; maść z korzenia janowca, ciernie, olejek lniany, tłuszcz z welny;

które stosowała już u swoich pacjentów, kiedy ich skóra była tak sucha, że łuszczyła się i pękała. Próbowala nawet okładów z roślin wodnych, choć to okropnie paliło - nic nie pomogło! A teraz to! Zapomniała o tym! Po prostu zapomniała!

— To nie wygląda jak „nic” — zaskakująco delikatnie przeciągnął palcami po błyszczącym miejscu. — Czy to boli? — Lijanas szybko pokręciła głową. Także jej druga próba wyswobodzenia się z jego uchwytu, nie powiodła się. Zamyślony przyglądał się jej ręce. - Od kiedy to macie?

— Już od kilku dni.

— Cały czas miało taką wielkość czy się powiększa?

— Powiększa się. Czy możecie mnie puścić?

Puścił jej rękę.

— Myślę, że będzie lepiej, jeśli..., jeśli... - Lijanas wcisnęła mu mydło do ręki i obciągnęła szybko rękaw, cofając się jednocześnie. Trudno było odczytać z jego spojrzenia, co myśli. W końcu oparł się wygodnie w balii i zaczął namydląć.

— Nie powinniście się martwić z tego powodu - pokryta pianą dłoń gestykulowała w jej kierunku.

— Nie? — Lijanas wyjąkała z ledwością to słowo, zaskoczona jego opóźnieniem.

Mam się nie martwić? Skóra na mojej ręce wygląda jak skóra węża, nie pomaga na to żadne lekarstwo, a on mówi, że mam się nie martwić. Nie martwię się — ja się boję!

— Nie! — Rozprowadzał pianę po włosach. — Znam pewnego mężczyznę, któremu za każdym razem, gdy zje baraninę, wyskakują na całym ciele czerwone, swędzące krosty. Ale następnego dnia znikają - położył się, żeby splukać mydło. Kiedy skończył, znów na nią spojrzal. - Z wami będzie tak samo. Czy bylibyście tak uprzejmą, by się odwrócić?

Wciąż zbyt oszołomiona, by trzeźwo myśleć, Lijanas posłuchała. Słyszała za plecami chlupanie wody, potem plusk i wreszcie kroki, które zbliżały się do niej. Dopiero teraz odważyła się odwrócić. Mordan stanął za nią, z ręcznikiem owiniętym wokół wąskich bioder, pojedyncze krople perlily się na jego włosach, szukając drogi w dół, po klatce piersiowej i brzuchu, inne zawisły, błyszcząc, w jego aksamitnej sierści.

— Tylko nie patrzcie na to, jakby ktoś wam przepowiedział, że do następnej pełni trzech księżyców zamienicie się w węża, uzdrowicielko — jego głos był zadziwiająco łagodny.

— A jeśli jednak? — usłyszała swe własne pytanie i przestraszyła się, jakim zrezygnowanym głosem to powiedziała.

Chciał sięgnąć po drugi ręcznik, jednak zatrzymał się i podniósł delikatnie jej twarz.

— Wtedy miałbym problem. Nie wiedziałbym mianowicie, jak to wyjaśnić mojemu królowi, ponieważ ten oczekuje młodej niwardzkiej uzdrowicielki, a nie lśniącego gada - przez krótką chwilę wydawało się jej, że dostrzegła uśmiech w kącie jego ust, potem znowu spoważniał. Lijanas zmarszczyła czoło. — Jesteście zmęczoną i wciąż niespokojną po naszym spotkaniu z pożeraczami dusz. Zginęli ludzie, którzy nie byli dla was obcymi osobami bez twarzy, i którzy na pewno nie zasłużyli na taki koniec. To nic nadzwyczajnego, że teraz nawet drobnostka wydaje się wam problemem nie do rozwiązania — kosmyk włosów opadł jej na oczy. Odgarnął go jej za ucho.

Proszę, przytul mnie!

— Po kilku godzinach snu wszystko będzie znowu wyglądało inaczej. Wiercie mi, Lijanas!

Znowu to zrobił. Znowu nazwał mnie po imieniu — dyskretny dreszcz przebiegł jej po karku. — *W jego ustach brzmi to zupełnie inaczej niż w ustach Abmeera.*

— Czy mogę was o coś prosić, Kierze?

Jego ręce opadły i zrobił krok w tył.

— O co, uzdrowicielko?

— Czy moglibyście przestać nazywać mnie ciągle uzdrowicielką i zamiast tego używać mojego imienia?

Przelknął ciężko ślinę, sklonił potem jednak głowę na znak zgody.

— Jeśli sobie tego życycie... Lijanas — niespokojnym ruchem przesunął dłonią po mokrych włosach. Drobnny deszcz z kropli spadł na jego ramiona, lśniły jak diamenty na czarnym jedwabiu. — Nawet jeśli zabrzmi to może dziwnie — życzę wam przyjemnego snu.

Chwycił drugi ręcznik, odwrócił się i poszedł na swoją stronę łóżka, wycierając sobie przy tym włosy do sucha.

— Poczekajcie!

Zaskoczony zatrzymał się i spojrzał na nią

— Co wasz król ma z tym wszystkim wspólnego? Powiedzieliście...

— On jest tym chorym, do którego mam was dostarczyć, ozd..., Lijanas.

— Król Kierów? — oszłomiona odetchnęła głęboko.

- Tak!

— Dlaczego nie powiedzieliście tego od razu? Co mu dolega?

Jedna z jego czarnych brwi uniosła się na znak łagodnej nagany.

— Byliście jedynie jeńcem. Nie wywozłem was jeszcze nawet z Anshary. Jak mógłbym wam wtedy powierzyć coś takiego? A co mu dolega... - wzruszył ramionami i Lijanas spostrzegła krótkie drganie w kącie jego oka, kiedy poczuł ból. — Nie wiem. Plotki mówią, że od wielu zim zżera go jakaś choroba, ale zbyt rzadko jestem w Turasie, abym mógł udzielić wam bardziej wiarygodnych informacji.

Kiwnęła, potem podeszła do swej apteczki i wyjęła z niej tygiel.

— Obiecałam wam, że natrę wam bark maścią z kwiatów wodnych. Usiądźcie!

— To nie jest konieczne, Lijanas. Z moim barkiem wszystko w porządku.

— Mięśnie i ścięgna w waszym barku są nadwężone. Widziałam, że nawet zwykłe wzruszenie ramionami sprawia wam ból. Maść pomoże im szybciej dojść do siebie — wskazała na łóżko. — Usiądźcie. To nie potrwa długo.

Ostatnia chwila wahania. Potem usiadł na łóżku. Uklękła za nim, odgarnęła jego czarną czuprynę na drugie ramię, zanurzyła palce w miękkiej maści i zaczęła ją rozsmarowywać na porośniętej sierścią skórze. Peider i Beelah nie żyli! Zamknęła na moment oczy, odpędziła tę myśl i skoncentrowała się jedynie na Mordanie. Mięśnie pod jej palcami były napięte. Ostrożnie dotknęła barku, wyczuła lekki obrzęk, chwyciła jego łokieć, kładąc drugą dłoń na jego przegubie, i uniosła tę rękę powoli, żeby jeszcze raz sprawdzić, czy mięśnie i ścięgna faktycznie były tylko nadwężone, a nie zerwane. Czekwała na jakieś drgnięcie, skurcz, dźwięk protestu, bo boli — nic. Zmarszczyła czoło, podnosząc łokieć aż nad staw barkowy. Nastawiała już niejeden bark i najpóźniej w tym momencie wyli nawet najbardziej twardzi mężczyźni.

— Boli?

- T a k !

— Tak? — jej głos z przerażenia zamienił się w pisk. Bardzo ostrożnie opuściła znowu jego ramię. — *Na łaskawość Bogini, ja mu tu sprawiam ból, a jemu nie drgnie nawet powieka.* - Dlaczego nie mówicie mi, kiedy was boli?

— Dlaczego miałbym to robić? Co mi da, że krzyknę albo jęknę? Wam przeszkodziłbym w wykonywaniu waszej pracy, bo nie chcecie, by mnie bardziej bolało, a wrogowi zdradziłbym, że tym..., tym, co robi, odnosi sukces. Po co więc?

— Ale... — bezradnie podniosła obie ręce. Choć bardzo chciała, nie wiedziała, co powiedzieć. Wprawdzie miał na swój sposób rację, ale jego słowa brzmiały tak nieludzko chłodno, że przeszły ją ciarki.

Spojrzał na nią przez ramię. Jego oko było dziwnie ciemne.

— Lijanas, ból nie jest mi obcy, wręcz przeciwnie. Nauczono mnie godzić się z nim i dopuszczać go, by w ten sposób pozbawić go władzy nade mną. Róbcie, cokolwiek wydaje wam się konieczne, i nie pytajcie, czy mnie to boli.

Nieswojo przelknęła ślinę. Patrząc na blizny na jego ciele, faktycznie ból nie był mu obcy. Ale mimo to... — *Co miał na myśli mówiąc „nauczono mnie”?* — *Nie! Do czegoś takiego nie są zdolni nawet Kierowie!* — odpędziła tę myśl i znów zanurzyła palce w tyglu.

— Maść z kwiatów wodnych działa najlepiej, kiedy się ją trochę wmasuje. Chcę jednak, byście mi powiedzieli, jeśli was zabolil!

— Jak chcecie, Lijanas.

Z największą ostrożnością zatopila palce w jego karku, przechodząc powoli w kierunku barku, a potem jeszcze kawałek w dół, wzdłuż ramienia. Jego aksamitna sierść była w dotyku jak pieszczota. Czarne perły na jego szyi połyskiwały. Z bliska wydawało się jej, że rozpoznaje na nich cienkie jak pajęczyna, posplatane linie. Jednak potem Mordan poruszył się i nie była już pewna, co widziała.

W pewnym momencie zauważyła, że zaczął się powoli odprężać, a jego mięśnie zwiótzczały pod jej palcami. W końcu głowa przechyliła mu się na bok, a klatka piersiowa zaczęła się unosić w bezgłośnym, głębokim oddechu. — *Zaraz zacznie chrapać* — Lijanas pochyliła się trochę do przodu, z delikatnym uśmiechem na ustach.

— Dlaczego powinniście uciekać, kiedy kobieta mruczy i drapie was po brodzie?

— Bo to znaczy, że czegoś ode mnie chce - mruknął cicho, potem obrócił się częściowo do niej. — Czego chcecie, Lijanas?

Przestała oddychać.

— Chcę do domu - szepnęła po chwili, która zdawała się trwać wieczność.

Obrócił się do niej całym ciałem, jej ręce ześliznęły się luźno z jego ramienia.

— Mam rozkaz dostarczyć was do mojego króla. Ale obiecuję wam, że kiedy nie będzie już potrzebował waszych usług, odwiozę was z powrotem, do domu.

— Naprawdę to zrobicie? Mam na myśli, co będzie, jeśli wasz król rozkaże wam coś innego?

— A cóż miałby mi rozkazać? Może, by was zabić? Dlaczego miałby to uczynić? Bez obaw, Lijanas, nawet gdybym osobiście nie mógł wam towarzyszyć do Anschary, zadbam o to, by zrobił to zamiast mnie ktoś inny. Wróćcie cała i zdrowa do domu! Macie na to moje słowo — zamilkł, skrywając zęby za wargami. Między jego brwiami pojawiła się nagle prosta zmarszczka. — Nie wierzycie mi? Mam przypieczętować moje słowo krwią? — Schylił się nieznacznie — i nagle zobaczyła w jego dłoni sztylet. Wciągnęła ostro powietrze.

— Skąd macie... — zamilkła zaskoczona. Siedział przed nią nagi, mając na sobie jedynie ręcznik owinięty wokół bioder, a mimo to udało mu się niepostrzeżenie wyciągnąć broń.

— Mam nóż zawsze w zasięgu ręki, nawet w łóżku. Ale najpierw szukano by go pod poduszką... Są inne miejsca, gdzie można ukryć coś takiego.

Gdzie można ukryć? Płatny morderca? Kim ty jesteś, że są ludzie, którzy chcieliby cię widzieć martwym?

— Gdzie?

— Oczekujecie ode mnie, że złożę moje życie w waszych rękach, Lijanas?

Potrząsnęła głową, ale zdała sobie sprawę, czego właśnie zażądała.

— Nie chcę już tego wiedzieć!

Ku jej zaskoczeniu na jego ustach zakręcił się na chwilę uśmiech.

— Sztylet tkwił w wewnętrznej stronie ramy łóżka - przeciągnął ostrzem po dłoni, nim zdążyła go powstrzymać. W miejscu cięcia pojawiły się kropelki krwi, zacisnął dłoń, aż między kciukiem i palcem wskazującym wypłynęła krew, potem przycisnął do tego usta, zanim spojrzal jej w oczy. - Daję wam moje słowo, przypieczętowane krwią, Lijanas, uzdrowicielko, że zadbam o to, byście cali i zdrowi mogli wrócić do domu, kiedy mój król nie będzie już potrzebował waszych usług.

— Głupiec z was! — zrugala go, zeskoczyła z łóżka i przyniosła kawałek płótna i gojącego balsamu ze swej apteczki. Kiedy znowu odwróciła się do

niego, miał dłoń zawiniętą w swój ręcznik, by powstrzymać krwawienie, i przyglądał się jej.

— Dlaczego? Chcieliście...

— Niczego nie chciałam! A na pewno nie tego, żebyście się okaleczali. Wiem przecież, że dotrzymujecie słowa — chwyciła nadgarstek Mordana, wycierając krew z jego dłoni. Obok świeżego cięcia zauważyła bladą linię bardzo podobnej, już dawno wygojonej rany. Wyrwał jej dłoń, nim zdążyła ją posmarować balsamem.

— To nie jest konieczne, Lijanas, to zadrapanie wygoi się i bez waszej maści.

— Jak możecie być tego tacy pewni?

— Przez ponad połowę mojego życia nie było dnia, żebym nie miał jakiegoś otarcia, stłuczenia albo kontuzji, i nigdy nikt się tym nie zajmował. Mimo to wszystko zagoiło się — na widok niedowierzającego spojrzenia Lijanas, uśmiechnął się. — Musicie się pogodzić z tym, że zostałem obdarzony krzepką naturą i ciałem, które dobrze się goi. A teraz wystarczy! Jestem zmęczony. Jeśli zechcecie skorzystać z mojej rady, także i wy trochę odpocznijcie. Ta noc nie była dla was zbyt przyjemna - schylił się, wbił sztylet na dawne miejsce, rzucił się na poduszki i naciągnął na ramiona koldrę, życząc jej dobrego snu.

Lijanas patrzyła na niego zaskoczona przez kilka uderzeń serca, potem poszła na swoją stronę łóżka i zaplotła włosy w luźny warkocz, nim zdjęła szatę i w koszuli wśliznęła się pod welnianą koldrę. O spaniu nie było jednak mowy. Przez jakiś czas obserwowała Mordana, jak rzucał się na boki, aż znalazł sobie wreszcie pozycję do spania, która mu odpowiadała, a jego oddech stał się głębszy i równiejszy. Jednak nie mogła oderwać wzroku od jego twarzy. Kiedy spał, wyglądał zupełnie inaczej. Srogie linie wokół ust wygładziły się, ciągle lekko zmarszczone brwi rozluźniły i nieco uniosły. Twarz zatopił w poduszce, skrywając stronę ze skórzaną klapką w płótnie. Nie było w nim nic groźnego ani ponurego. Jakby nie był brutalnym wojownikiem Kier, który oczekiwał, że jego rozkazy będą wykonywane bez sprzeciwu i bezzwłocznie, lecz po prostu tylko wyczerpanym młodym mężczyzną, pogrążonym w głębokim, spokojnym śnie. Czarny kosmyk opadł mu na twarz. Chętnie by go odgarnęła, ale nie była pewna, czy się nie obudzi, gdy tylko wyciągnie rękę w jego stronę.

Ułożyła policzek na poduszce i zamknęła oczy. Teraz, kiedy obiecał jej, że wróci cała i zdrowa do Anschary, nie bała się już, że zostanie na zawsze w Turasie.

Od wielu dni przeczesywali bez powodzenia Góry Słone, poszukując jakiegoś śladu, który mogli zostawić Kierowie ze swoim jeńcem. Tropiciele śladów nie znaleźli ani opuszczonego obozu, ani kawałka materiału, ani nic podobnego. I również na skalach kopyta rumaków *ashentai* nie zostawiły żadnych śladów.

Oni sami natomiast stracili na tym terenie nie do przebycia, dwa konie, które wdepnęły w szczelinę skalną i połamały sobie nogi tak, że trzeba było je zabić. Gorsze jednak stawało się to, że kończyły się im zapasy wody i prowiant.

Podobnie jak już nie raz w ostatnich dniach, książę Ahmeer stał na wylomie skalnym, z cugłami swego wyczerpanego konia w dłoni, i obserwował, jak słońce powoli zniża się nad połyskującą Pustynią Słoną.

Najpierw założyli, że „Krwawy Wilk” ze swymi ludźmi i swym jeńcem będzie się przemieszczał brzegiem solnej pustyni, u podnóża Gór Słonych. Jednak w połowie dnia dotarli do szerokiej szczeliny w solnej pokrywie, która uniemożliwiała dalszą drogę, chyba że odważyłoby się wejść głębiej w pustynię. A o to nie podejrzewał Ahmeer nawet samego pierwszego dowódcy wojsk Haffrena. Zawrócili więc, szukając drogi wśród Gór Słonych, zakładając, że Kierowie wybrali tę trasę.

Jeden z tropicieli, których dała mu Eliazar, podszedł do niego i chrząknął.

— Mój książę, nie możemy dłużej zostać w górach. Potrzebna nam woda i prowiant.

— Nie! Ruszymy dopiero, kiedy znajdziemy jakiś ślad tych przeklętych zwierząt. - Ahmeer zacisnął pięść na rękojeści swego miecza, tak że mężczyzna dostrzegł w jego jasnych, szarych oczach, błyski.

— Wybaczcie mi, mój panie, ale to nierozsądne. Przeczesałismy góry: nie ma tu „Krwawego Wilka”! I raczej wątpliwe, czy kiedykolwiek tu był. Musielibyśmy znaleźć jakieś ślady. Sądzę raczej, że faktycznie wybrał drogę przez pustynię.

Na myśl, że Kierowie ciągnęli jego narzeczoną przez ten pałac żar, Ahmeer jęknął. Wiele razy widywał kobiety, których skóra była spalona od słońca i soli — nie była już jasna i miękka, lecz brązowa i szorstka. Tropiciel mówił dalej.

— Jeśli poszedł przez pustynię, na pewno musiał zajechać do Cavallina, żeby uzupełnić wodę i prowiant. Możliwe więc, że tam znajdziemy jakąś wskazówkę, w którym kierunku faktycznie zmierza i dokąd wiezie waszą narzeczoną.

Przez chwilę Ahmeer patrzył na mężczyznę, potem skinął głową.

— Masz rację! Poinformuj pozostałych: wyruszamy do Cavallina. Do wieczora powinniśmy dotrzeć do miasta w skale.

Lijanas zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie. Wieczorne światło wień płomieni padało delikatnie przez okno na zapraszające ją łóżko — więcej nie musiała widzieć. Zmęczona potarła twarz. Od kiedy kapitan Uldh przed trzema dniami ogłosił w mieście, że to woda była przyczyną zarazy i że na razie należy pić jedynie wodę z małych źródeł w starej dzielnicy, nie było nowych przypadków zachorowań. Wprawdzie nie mogli uratować tych, którzy już zachorowali, ale niebezpieczeństwo najwyraźniej wreszcie zostało zażegnane. Cavallin miał dobry powód, by rozpalic dzisiejszej nocy ogniska radości.

Odpocznę tylko chwilę, a potem zjedę na dół i poproszę Fadere o gorącą wodę do kąpieli.

Dziwnie się czuła, chodząc po mieście. Ludzie, których nie знаła, uśmiechali się do niej, chcieli na wszelkie możliwe sposoby zrobić dla niej coś dobrego, przekazywali pozdrowienia dla jej małżonka - byli pełni wdzięczności. Pokręciła głową i odgarnęła kosmyk, który wysunął się jej z włosów. Jej małżonka, którego w ostatnich dniach widywała tak rzadko, że coraz bardziej nabierała przekonania, że jej unika. Przychodził, gdy już spała, i zniknął, nim się obudziła. Poza tym widziała go w czasie posiłków albo z daleka, kiedy obserwowała go na dziedzińcu gospody Fadery, gdy ćwiczył z pozostałymi walkę bronią albo w kole prowadził Ired na długiej linie.

Dwa dni temu przez dwie godziny trenował z Levanem — nie, on nie trenował z Levanem, lecz uczył młodego Kiera i godzina po godzinie

ćwiczył go bezlitośnie, do momentu, gdy zyskał pewne zadowolenie z wyników biedaka. Zlany potem Levan poszedł do stajni, podczas gdy Mordan jeszcze przez dwie godziny ćwiczył sam.

Wczoraj pierwszy raz widziała, jak walczy tym tak barbarzyńsko wyglądającym toporem wojennym, który do tej pory stał beczynnym, oparty o ścianę w ich pokoju. Wciąż nie mogła uwierzyć, że nawet Brachan cofał się przed ciosami jego topora, wymierzanymi, jak się wydawało, bez większego wysiłku — i to nawet mimo tego, że stosował się do jej zaleceń i oszczędzał bark.

Jednak potem dowiedziała się od Fadery, że zaferował kapitanowi Uladhowi pomoc podczas polowania na pożeraczy dusz, którzy przebywali jeszcze, jak podejrzewano, w mieście. Oburzona zażądała wyjaśnień, na co poinformował ją mrukliwie, że kapitan uprzejmie podziękował i odrzucił jego ofertę, co nie wpłynęło zbyt korzystnie na jego humor. Mordan nie był człowiekiem, który potrafił siedzieć beczynnym. Gdy zmuszano go, by nic nie robił, stawał się wyjątkowo trudny do zniesienia. Ale widać było, jak mężnie się starał nie wyładowywać na niej swych złych emocji. Wręcz przeciwnie, w stosunku do niej był zaskakująco łagodny.

Jednak potrafiła zrozumieć, jak się czuł. Choć nie była już tam potrzebna, nogi same prowadziły ją co rusz do szpitala. Za każdym razem stawała pod drzwiami i czuła się tak bardzo niepotrzebna. Przynajmniej Mordan pozwalał jej za dnia spacerować samej po mieście i nie upierał się już, by zostawała w gospodzie, gdy nie mógł jej towarzyszyć. Po cóż też — nawet, gdyby opowiedziała teraz komukolwiek, że ją uprowadził i jest jego jeńcem, z pewnością nikt by jej nie uwierzył. Mordan mógł pozwolić sobie na to, by chodziła na długim łańcuchu, a sam zająć się przygotowaniami do dalszej podróży.

Powoli oderwała się od gładkiego drewna drzwi i poczłapała w stronę łóżka. Torby juczne i sakwy leżały spakowane, uprząż koni została sprawdzona i naprawiona, gdzie było trzeba. Chciał wyruszyć dziś, w nocy, gdy wreszcie zostaną otwarte bramy Cavallina. Wzdrygnęła się na myśl, że ich droga znowu prowadzić będzie przez Pustynię Słoną, i modliła się, by żadna szczelina nie zmusiła ich znowu do zagłębienia się w pustynię, i drogi po błyszczącej soli. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, powinni pokonać pustynię w ciągu dwóch dni i dotrzeć do prerii — tak przynajmniej tłumaczył jej dzisiaj Mordan, radząc jednocześnie, by się przespala, ponieważ całą noc, aż do późnego przedpołudnia następnego dnia, będą jechać, by

potem najbardziej upalne godziny południowe spędzić na odpoczynku. Westchnęła cicho. Wszystko było gotowe do drogi. Nawet buklaki były już napelnione świeżą wodą, także torby z prowiantem leżały spakowane. Zdziwiona zatrzymała się, kiedy ujrzała, co leżało na łóżku. — To była naprawdę ta suknia, którą tak się zachwycała wczoraj u pewnego handlarza na dolnym rynku, kiedy zabrał ją do miasta, by ją przyodziać na podróż. Ostrożnie podniosła suknię. Drobno tkane płótno podszewki i chłodny jedwab z Fehanu, z którego uszyta była wierzchnia część, miękko i gładko przelewały się jej przez palce. Coś upadło na podłogę i stuknęło cicho. Zaskoczona Lijanas odłożyła suknię i schyliła się po skręcone ze sobą sznurki, na które nanizane były perelki. W nierównych odstępach zwisały z nich na delikatnych srebrnych nitkach małe muszelki. Powoli wciągnęła powietrze, kiedy poznała, z czego to wszystko było zrobione — z kości słoniowej.

— Handlarz mówił, że wplata się to we włosy.

Serce Lijanas omal nie stanęło, kiedy tak nagle z ciemności, za jej plecami, rozległ się głos Mordana.

— Czy moglibyście się wyzbyć tego nawyku straszenia mnie niemal na śmierć, Kierze? — trzymając wciąż jeszcze ozdobę z kości słoniowej w dłoniach, odwróciła się.

— Nie było moim zamiarem wystraszyć was, Lijanas — siedział na stolku w kącie, przy oknie, tam, gdzie pomieszczenie było najciemniejsze, z łokciami opartymi na poręczach krzesła i luźno splecionymi palcami.

Pomyślałem, że może chcielibyście zatańczyć dziś w nocy, podczas uroczystości, i wydawało mi się, że to dobry pomysł... — marszcząc czoło, pochylił się do przodu. — Wyglądacie na zmęczoną, Lijanas — powiedział i westchnął cicho. - Może jednak ten pomysł nie był zbyt dobry.

— Nie! Był bardzo dobry! — odłożyła ozdobę do włosów na łóżko, wzięła suknię i przyłożyła ją do siebie. — Chętnie wezmę udział w uroczystości dzisiejszej nocy. Ale myślałam, że zamierzaliśmy ruszyć, jak tylko otworzą bramy.

Jego twarz zajaśniała.

— Tak też zrobimy. Ale mogę wam pozwolić pobawić się godzinę czy dwie. Dam znać Levanowi.

Levanowi?

— A co Levan ma z tym wspólnego?

— Cóż, Levan jest jedynym z nas czterech, który wygląda na tyle dobrze, by móc wam towarzyszyć - wzruszywszy ramionami, podniósł się z krzesła.

— Ale ja nie chcę iść na zabawę z Levanem.

— Nie? — zaskoczony zatrzymał się w pół ruchu, a potem z powrotem usiadł. — Z kim w takim razie chcecie pójść? Z Brachanem?

— Nie, także nie z Brachanem.

— A więc z Ecrenem. Nie rozumiem wprawdzie, dlaczego, ale dobrze - delikatny uśmiech przemknął przez jego usta, światło odbiło się w czubkach jego kłów. — Ale ostrzegam was, Lijanas, on nie znosi tańczyć.

Laskawa, daj mi cierpliwość do nierozgarniętych mężczyzn!

— Nie chcę iść również z Ecrenem - oznajmiła mu łagodnym tonem.

— Och! — jego twarz spochmurniała raptownie. — A więc to jakiś kawaler spośród mieszkańców Cavallina? Czy on już wie, że dziś w nocy może być do waszych usług? Jeśli nie, podajcie mi jego imię, a każę go poinformować, że ma was — powiedzmy za godzinę — zabrać na zabawę.

Proszę, Laskawa, daj mi wiadro lodowatej wody, w którym mogłabym zanurzyć jego ociężałą czaszkę.

Demonstracyjnie wciągnęła powietrze.

— Chciałabym iść na zabawę z wami, Kierze!

Cale jezioro lodowatej wody nie podziałałoby na niego mocniej. Przez kilka uderzeń serca po prostu się w nią wpatrywał.

— Co? — wyrwało się wreszcie z jego ust.

— Chciałabym... - zaczęła, lecz on machnął ręką, by zamilkła.

— Zrozumiałem was, Lijanas, ale oczekiwałem, że dokonacie lepszego wyboru.

— Dlaczego? Jesteście mężczyzną, do tego całkiem przystojnym — zignorowała jego gorzkie parsknięcie — a jeśli się postaracie, potraficie być nawet uprzejmym. A więc: gdzie tkwi problem?

— Jestem wojownikiem Kier, którego podejrzewano o morderstwo dwóch młodych kobiet. Nie będą wam dziękować, jeśli zabierzecie ze sobą na zabawę kogoś takiego jak ja.

— Zrehabilitowano was całkowicie. Poza tym to wy jesteście człowiekiem, który odkrył, dlaczego doszło do tej strasznej zarazy.

— Nie bez waszego udziału!

— Powitają was jak bohatera.

Mruknął tylko niechętnie.

- Nie jestem dobrym tancerzem, Lijanas - ostrzegł potem.

Cierpliwie skrzyżowała ręce.

- To będą na pewno tańce w kole, gdzie wszyscy trzymają się za ręce, krążąc wokół ognisk. Są bardzo łatwe. Więc nie martwcie się z tego powodu. I jeszcze coś: jak sądzicie, co pomyślą sobie mieszkańcy Cavallina, jeśli pojawię się na zabawie z jakimś innym mężczyzną zamiast ze swoim mężem?

Przez kilka chwil patrzył na nią w milczeniu. Potem dało się słyszeć ciche westchnienie.

- Co mogę zrobić, by odwieść was od tej decyzji?

- Nic! Dlatego radzę wam: pogódźcie się ze swym losem i idźcie się przebrać.

- Przebrać?

- Oczywiście. Idziemy na zabawę. Tam nie nosi się kolczug! — spojrzała na niego przenikliwie. — Chyba nie chcecie mi powiedzieć, że nie macie innych ubrań. Takich, które nie są ze skóry albo stali - jej spojrzenie padło na pas z dwiema rękojeściami z boku. - I broń też nie będzie wam potrzebna.

- Lijanas! - brzmiało to tak, jakby był przerażony. - Tego nie możecie ode mnie żądać...

- Ja nie żądam tego od was. Ja was o to proszę.

Burcząc, wstał z krzesła i przeszedł przez pokój.

- Zobaczymy.

- Proszę!

- Zobaczymy! - z głośnym chrzęstem drzwi zatrzasnęły się za nim.

Nękana jakimś niewyjaśnionym niepokojem Lijanas czekała godzinę później w jadalni na swego „malżonka”. Wzięła kąpiel, Fadera pomogła jej się ubrać, a następnie uczesała jej włosy. Po raz pierwszy blizna na jej skroni nie została ukryta pod pasemkami włosów — mimo to nie czuła się oszpecona. Wręcz przeciwnie. Kiedy usłyszała kroki na schodach, jej serce zaczęło łomotać jak oszalałe.

Czy tak się czuje panna młoda, czekająca na swego męża? — Co to za dziwne myśli? Jestem narzeczoną Abmeera, a nie tego Kiera. A suknia, którą będę miała na sobie w czasie naszego ślubu, na pewno nie będzie z płótna i jedwabiu z Fehanu — jej dłoń dotknęła chłodnego materiału z uczuciem żalu. — A właściwie, dlaczego nie? Czy musi być tyle przepychu? — Oczywiście,

wychodzę za księcia. Będzie nalegał, by było okazale, żebym nie przyniosła mu wstydu.

Potem na schodach ukazał się Mordan i zaparło jej dech w piersi. Miał na sobie czarną tunikę z opadającego miękko, połyskującego w świetle materiału, ozdobioną przy szyi i rękawach jedwabnym haftem. Wycięcie pod szyją było na tyle głębokie, że widać było sznur czarnych pereł, który zazwyczaj nosił ukryty pod tuniką i kolczugą. Jego talię opinał nabijany srebrem pas. Buty były wyczyszczone, czarne skórzane spodnie opinały, jak zwykle, jego długie, szczupłe nogi, jednak cienkie rzemyki, które zazwyczaj służyły temu, by spodnie przylegały do ciała jak druga skóra, zostały zastąpione srebrnymi sznurkami. Jego włosy związane były z tyłu przeplatana srebrem wstążką i błyszcząły, jeszcze wilgotne. Lijanas wciągnęła, w dziwnie drżący sposób, powietrze, kiedy pokonał ostatnie stopnie i podszedł do niej. — *Ciemny książę — Łaskawa, ulituj się nade mną, on wygląda w tych rzeczach lepiej niż Abmeer w swoim złotym przepychu* — chciała coś powiedzieć, cokolwiek, jednak on był szybszy.

- Wyglądacie tak pięknie, jak ostrze, na którym tańczą promienie słońca - jego głos brzmiał tak, jakby miał się za chwilę udusić. Jego palce powędrowały do jej skroni, dotknęły delikatnie blizny i musnęły jej policzek i szyję. Świat wokół niej przestał istnieć. Potem cofnął rękę i Lijanas poczuła tylko ubolewanie.

Dopiero po chwili zdała sobie sprawę z panującej ciszy, jak również ze spojrzeń, które utkwili w nich pozostali Kierowie i Fadera. Najwyraźniej Mordan poczuł się podobnie, ponieważ odchrząknął, podał jej ramię i poprowadził ją do drzwi, rozkazując szorstko Brachanowi przygotować wszystko do podróży.

Uliczki Cavallina były rozświetlone pochodniami i lampami oliwnymi, mężczyźni, kobiety i dzieci, cisnęli się, śmiejąc i żartując, między domami. W powietrzu wisiała mieszanina głosów i muzyki. Wydawało mu się, że cała wieczność upłynęła od chwili, gdy po raz pierwszy szedł na dolny rynek z tą drobną istotą, której dłoń spoczywała w załamaniu jego łokcia. Co rusz ktoś klepał go w ramię, za każdym razem z trudem powstrzymywał się, by nie sięgnąć po sztylet, ukryty w bucie. Jakiś mężczyzna precyzyjnie się do Lijanas, dotknął poufale jej ramienia — i uciekł na widok jego marsowego spojrzenia i lekko uniesionej górnej wargi. Ze śmiechem spojrziała na niego, odrzuciła do tyłu swe lśniące włosy i położyła także drugą dłoń na jego ramieniu. Jej zielone oczy lśniły radośnie. Palce Mordana po-

wędrowały ukradkiem do piersi, wymacały wąski pierścionek z oczkiem, wiszący na skórzanym rzemyku razem z jego pierścieniem z pieczęcią. Zobaczył go dziś rano u złotnika i jego kolor natychmiast skojarzył mu się z kolorem jej oczu. Nie zastanawiając się, wszedł do sklepu i kupił go. Był wykuty z pojedynczego szmaragdu o głęboko zielonym kolorze, a potem ujęty w wąską, złotą blaszkę, żeby kamień nie pękł. Na jego powierzchni wygrawerowano delikatnie splecione wąsy roślin i wypolerowano to złotem. I choć mógł wsunąć pierścień za ledwie do połowy swego małego palca, był pewien, że będzie pasował jak ulał. Dopiero, kiedy wyszedł ze sklepu, zdał sobie sprawę z tego, co zrobił. Nie wypadalo mu kupować tej kobiecie takiej ozdoby. Jej narzeczonemu albo jej ukochanemu tak, ale nie jemu. Zły na siebie, cisnął go na ziemię, lecz jakiś mały chłopiec dogonił go i przyniósł mu z powrotem ten pierścionek, przypuszczając, że mężczyzna go zgubił. Dał temu małemu miedziany pieniążek i zawiesił pierścionek na szyi, na jednym rzemyku ze swym pierścieniem z pieczęcią. Jeśli tak ma być, to zatrzyma go — na pamiątkę swej niewysłowionej głupoty.

— Kierze?! - jej głos i jej delikatne dłonie, skubiące go w ramię, sprowadziły go z powrotem na ziemię. Opuścił palce i spojrzał na nią. - Kierze, słuchacie mnie w ogóle? Czyż ta muzyka nie brzmi cudownie? — Chodźmy na rynek, tak! - Nie czekając na odpowiedź, pociągnęła go za sobą.

Już za następnym rogiem zanurzyli się ostatecznie w tłum ludzi. Dwa olbrzymie ogniska płonęły pośrodku placu, między nimi tańczono; wszędzie słyhać było radosny śmiech. Wokół rynku rozstawiono stoiska; na niektórych nalewano piwo i wino, na innych były łakocie, owoce i pachnące wypieki. Nad trzema ogniskami piekły się na rożnie wół i dwie świnię. Mieszkańcy Cavallina stali razem, z kuflami i dzbanami w rękę, spożywali z rozkoszą położone na grubych pajdach chleba mięso i rozmawiali głośno.

Najwidoczniej bramy miasta zostały już otwarte, ponieważ uliczką od strony bram nadjechało właśnie kilku handlarzy ze swymi zaprzęgami i tobołkami, i teraz rozglądali się, wyraźnie zaskoczeni radosną wrzawą, która ich powitała.

Pośrodku tej hałaśliwej gawiedzi Mordan był jak skała w kipieli, w której cieniu Lijanas chętnie się chroniła. Wokół niej ludzie potracali się i cisnęli, ale nikt nie podchodził zbyt blisko rosłego wojownika Kier. Trzymała się tak blisko niego, żeby nikt nie mógł się przecisnąć między

nimi. Nie odważyła się po prostu oprzeć o jego szeroką pierś, chociaż ta myśl budziła w niej cichą tęsknotę. Z uśmiechem przyglądała się rozbawionej ciżbie. Tamburyny, dudy, fujarki i lutnie rozbrzmiewały nad placem, czasem dało się między nimi dosłyszeć dźwięk liry — to wszystko nie pozwalało stać spokojnie. Już kilka razy odwracała się do Mordana, by go zapytać, czy chce z nią dołączyć do tańczących - jednak za każdym razem brakło jej odwagi. Z założonymi na piersiach ramionami stał za nią, ze skrytym wyrazem twarzy, chłodnym spojrzeniem i niemal tak, jakby patrzył na to wszystko z góry.

Może jednak powinnam była przyjść z Levanem. — Nie, nie pozwolę sobie zepsuć zabawy. Chcę tańczyć!

Zdało się jej, że los jej sprzyjał, ponieważ muzykanci właśnie zaczęli przygrywać do tańca w kole i rozbawiony tłum tancerzy ruszył prosto na nią, trzymając jeden drugiego za rękę.

Wyglądał na zaskoczonego jej: — Chodźcie! Zatańczmy, Kierze! - a jeszcze bardziej oszołomiło go, że wzięła go za rękę, chwytając jednocześnie dłoń ostatniego w rzędzie tancerza i pozwoliła, by tamten pociągnął ją — i jego. Kiedy odwróciła się do niego, śmiejąc się, dostrzegła jego karcąco zmarszczone czoło, postanowiła jednak udać, że tego nie zauważyła.

Korowód mknął wesoło przez ciżbę, dołączało do niego coraz więcej tancerzy, w końcu wąż rozdzielił się, otaczając kolem jedno z ognisk, okrąg znów się otworzył i korowód ruszył dalej. Lijanas cieszyła się, patrząc na wirujące wokół niej, pogodne twarze, zapomniała o pożeraczach dusz, zarazie, śmierci i porwaniu i była po prostu szczęśliwa. Znowu rząd tancerzy rozdzielił się, tworząc na placu, między ogniskami, wewnętrzne i zewnętrzne koło, i muzykanci zmienili - jakby na to czekali - melodię i takt na chłopski taniec, w którym szło się razem, parami, rozstając się co chwilę, zmieniając tancerza, i wracając za każdym razem do swego właściwego partnera. Trzeba było się sobie pokłonić, podejść do siebie, chwycić w pasie i zakręcić w koło. Dokoła słyszała śmiech, pot sływał jej między piersiami, przyklejał kosmyki włosów do rozpalonych policzków, ale za nic w świecie nie chciałaby przestać.

Muzyka przyspieszała, wszystko wokół niej wirowało, dłonie Lijanas były splecione z jego dłońmi, jej spojrzenie uwięzione przez jego wzrok; niespodziewanie chwycił ją w tali i podniósł, przez chwilę była przeżona, lecz potem odrzuciła głowę do tyłu i krzyknęła wesoło aż pod

skalny sufit. A potem roześmiał się Mordan. W pierwszym momencie nie mogła w to uwierzyć, jednak ten dziki, ciemny dźwięk rzeczywiście dochodził z jego gardła. Spojrzała na niego z góry, spostrzegła błysk w jego oku i usłyszała, jak śmieje się pełnym gardłem. To uczucie gorąca w jej brzuchu nagle znowu się pojawiło — i zaczęło wirować w jej wnętrzu, aż zakreśliło się jej w głowie. Trzymał ją tak całą wieczność, w czasie której wstrzymała oddech. Zapomniała o wszystkim, co działo się dookoła niej. Byli tylko oni. Potem zaczął drżeć i powoli postawił ją na ziemi. Nie mogła uwolnić się od jego spojrzenia, jego dłoń zadrżała, gdy podniósł ją do jej twarzy — a w następnej chwili ktoś potrącił Lijanas tak, że aż się zachwiała, i nagle znowu stali pośrodku rozbawionej cizby. Bez tchu patrzyli na siebie — potem nagle zaczął się między nimi przeciskać szereg tancerzy, rozdzielając ich na kilka chwil, ciągnących się bez końca, a kiedy zniknęli, ta magiczna chwila... przysła.

Dziwnie oszołomiona Lijanas dała się poprowadzić czarnowłosemu wojownikowi na skraj placu. Jego słowa, że przyniesie jej coś do picia i potem wróca do gospody, docierały bardzo powoli do jej umysłu. Zauważyła, jak skinęła głową i jego dłoń puściła jej ramię, patrzyła za nim, gdy znikał wśród tłumu. Bardzo powoli jej oddech zaczął się uspokajać i cały czas próbowała zrozumieć, co się właściwie stało, kiedy wśród muzyki rozległ się tętent koni.

Grupa jeźdźców wjechała uliczką od strony bram i zatrzymała konie na skraju placu. Serce Lijanas zamarło na chwilę. Znała tę szczupłą postać na grzbiecie okazałego siwka.

Ahmeer! — jej nogi ruszyły bez jej udziału. Jak lunatyk torowała sobie do niego drogę przez cizbę. *Ahmeer!* Wodził wzrokiem po gawiedzi, zaraz spojrzy w jej stronę. Czyjaś dłoń chwyciła ją za ramię, szarpnęła. Przed nią stał Mordan, w jego oku płonął gniew. Potem podniósł wzrok i spojrzal ponad nią. Jego usta zacisnęły się twardo.

— A ja myślałem, że mogę wam ufać — gorzko wycedził te słowa przez zaciśnięte zęby. Zakłuly ją w piersi jak lód. Przez ułamek uderzenia powieki wydawało jej się, że oprócz gniewu dostrzegła w jego rysach jeszcze coś, ale w następnej chwili ciągnął ją już za sobą, wyprowadzając z tłumu w małą boczną uliczkę. Lijanas odwróciła się bezradnie, spojrzała na Ahmeera — i wtedy ją zobaczył. Nie mogła zrozumieć, co krzyknął do swoich ludzi, jednak wybuchła wrzawa, kiedy jeźdźcy ruszyli do przodu, prosto w tańczących i zaczęli się wśród nich przedzierać. Pierwszy belt

trafil w mur tuż obok niej, w momencie, gdy dotarli do uliczki. Lijanas cofnęła się z krzykiem, wpadła na Mordana, który chwycił ją za kark i szarpnął brutalnie. Zdawało się jej, że poczuła, jak krótko drgnął, lecz potem już popychał ją przed sobą, głębiej, w półmrok między domami. Bezskutecznie próbowała uwolnić się z jego ręki, przytrzymując jednocześnie wolną dłoń suknię, żeby się nie przewrócić. Tętent koni odbijał się echem w ulicze.

Popchnął ją przez luk bramy, pociągnął wzdłuż kolejnej uliczki, a potem wepchnął w wąskie przejście. Nasłuchując, Mordan stał cicho, nie rozluźniając palców na jej karku.

— Proszę, pozwólcie mi porozmawiać z Ahmeerem! Wszystko mu wytłumaczę, on... — Lijanas próbowała wsunąć swoje palce pod jego palce, on chwycił je i przyciągnął do siebie. Jego oko błyszczało groźnie.

- To jest więc książę Ahmeer. Interesujące! Nie miałem jeszcze dotąd tej przyjemności.

Rozległy się glosy. Wychylił się nieco i wyjrzał za róg, cofnął się, przyciągnął Lijanas do swej piersi i skrył się głębiej w cieniu. Zakrył jej usta dłonią — poczuła, że była mokra. Zbliżyły się kroki. Ścisnął ręką jej talie, jej głowę przycisnął do swego ramienia, i tyłem ruszył z nią głębiej w przejście. Wpiła palce w jego nadgarstki, chcąc spowodować, by rozluźnił palce — nie dało rady. Suknia gdzieś się zaczepiła, wyraźnie dało się słyszeć dźwięk rozrywanego materiału. Kroki umilkły, zaczęły spieszenie się zbliżać. Przejście otworzyło się na mały dziedziniec. Światło pochodni skakało po murze. Mordan odwrócił się na chwilę, syknął: — Ani słowa! — i cisnął ją tam mocno w ciemny kąt, że przez chwilę leżała oszolomiona. Potem na dziedzińcu pojawiło się światło pochodni, dwaj mężczyźni, z obnażonymi mieczami w ręku, wyszli z przejścia. Zupełnie bezszelestnie Mordan rzucił się na pierwszego z nich, błysnął sztylet, zaskoczony mężczyzna zatoczył się, rzucając, w tył, z dłonią zaciśniętą na swym gardle, pomiędzy palców wytrysnęła krew. Oszolomiona Lijanas patrzyła, jak osunął się po murze i wyzionął ducha. Drugi mężczyzna był ostrożniejszy. Jego ostrzegawczy krzyk odbijał się echem po dziedzińcu, podczas gdy, wymachując mieczem, próbował zapędzić wojownika Kier w róg. Faktycznie Mordan cofnął się, obnażając przy tym zęby. W odległości kroku od załamania muru czarnowłosa wojowniczka pochyliła się nagle, mężczyzna podniósł miecz do kolejnego ciosu - Lijanas krzyknęła, kiedy Mordan pozornie ruszył prosto na miecz. Widziała, jak rękojeść miecza

uderzyła między jego łopatkami, jednak jego ręka leżała już na grzbiecie mężczyzny. Krótki ruch, drgawki przeszły przez ciało jego przeciwnika, chwając się, uwolnił się ze śmiertelnych objęć Kiera, miecz i pochodnia upadły na ziemię. Z przerażeniem i niedowierzaniem patrzył na ranę w swoim brzuchu, przyciskając do niej ręce, by przytrzymać na miejscu swe wnętrzności, i runął na ziemię. Znowu błysnął sztylet — z lodowatą miną Mordan wytarł zbroczone krwią ostrze o ubranie umierającego i odwrócił się do niej. Trzymając dłonie płasko na kamieniach, podciągała się powoli w górę, przytrzymując się ściany, kiedy szedł w jej stronę. Po drugiej stronie korytarza rozległy się głosy. Przyciągnął ją do siebie, jednym ruchem odwrócił, i pchnął w stronę wysokiego na jakieś dwa kroki muru, pod którym jeszcze chwilę temu się kulila.

- Na drugą stronę! — warknął.

Lijanas wykręciła rękę, którą trzymał nieustępliwie.

- Nie, proszę, mogę... — spojrzała przez ramię w stronę wejścia na dziedziniec.

- Posłuchajcie mnie, bo jak nie, to, na moją krew, pożałujecie tego! zagrzmiął jego głos.

- Puście mnie...

Uderzył ją dłonią w twarz. Zachwiała się do tyłu, szorstkie kamienie muru drasnęły jej plecy. Patrzyła na niego przerażona i zrozumiała: to uderzenie było jedynie ostrzeżeniem, lecz następne, do którego właśnie podnosił rękę, już nim nie będzie. Czując drżenie w gardle, Lijanas odwróciła się i wspięła z jego pomocą, przeskakując na drugą stronę muru. Skulony wylądował po drugiej stronie, obok niej, omiół szybko wzrokiem ulicę przed nimi. Po drugiej stronie muru rozległy się głosy, rzenie koni. Chwilę później ciągnął ją już do przodu, do kolejnego muru. Znowu musiała się wspiąć i przejść na drugą stronę. Znajdowali się na małym dziedzińcu, o niską stajnię stała oparta drabina. Zmusił ją, by wspięła się po niej, potem przeszła z dachu stajni na dach domu. Znowu pociągnął ją za sobą. Musiała podążać za nim, mimo swego sprzeciwu i oburzenia. S/li tak, pochyleni, z dachu na dach, nad wąskimi uliczkami. Kilka razy zdawało się jej, że zobaczyła w pewnej odległości na dachach jakieś postacie. Lijanas dyszała ciężko, płuca ją piekły i miała kolkę. Hałasy, głosy, przycichły. Nagle ostatni dach skończył się przed szerszą uliczką. Nim się zorientowała, co się dzieje, chwycił ją w pasie i zeskoczył z nią na uliczkę. Zatrzymał się, nasłuchując, dal jej chwilę, by złapała oddech, nim jego

palce zacisnęły się brutalnie na jej ramieniu i znowu pociągnęły ją do przodu.

Nie licząc ich zdyszanych oddechów, było cicho i spokojnie. Udało im się zgubić prześladowców.

Dopiero przed domem Fadery pozwolił jej się zatrzymać. Spojrzał na nią groźnie.

— Jeśli powiecie choć słowo na temat tego, co się stało, Fadera umrze! Zrozumieliście mnie, uzdrowicielko?

Była w stanie jedynie kiwnąć głową. Otworzył kopnięciem bramę dziedzińca i wciągnął ją do domu. W jadalni, przy stole, siedzieli pozostali Kierowie, pogrążeni w grze w kości, jednak gdy Mordan i Lijanas weszli, podnieśli wzrok. Lijanas dziękowała w duchu, że Fadera poszła już najwyraźniej spać.

— Księżę Ahmeer jest w mieście. Ona — potrząsnął Lijanas — nie miała nic lepszego do roboty, niż pobiec prosto w jego stronę. Oczywiście zauważył ją. To tylko kwestia czasu, kiedy pojawi się tu ze swymi ludźmi. Ecren, Levan: siodłajcie konie, przygotujcie wszystko. Brachan: będziesz mi potrzebny na górze — wciągnął ją po schodach, na górę. Jednym szarpnięciem otworzył drzwi do ich pokoju, wepchnął ją do środka. — Ani mru-mru! Przebierzcie się! Jeśli nie będziecie gotowi, kiedy wrócę, zabiorę was nagą. I zmyjcie sobie krew z twarzy - zignorował jej przerażenie, chwycił swoje juki i wyszedł z pokoju. Lijanas patrzyła za nim. Nagle poczuła się, jakby była uwięziona w jakimś koszmarze.

Ahmeer patrzył na kuszę w swojej ręce.

— I jesteś zupełnie pewny?

— Tak, mój księżę. Trafilem go. A nie tylko drasnąłem. Spójrzcie na ten belt, jest cały we krwi. Strzał na wylot. Nawet jeśli udało mu się zgubić nas wśród uliczek, nie zajdzie daleko. Sądząc po śladach, jakie znaleźliśmy, krwawi jak wieprz. Dostaniemy go - mężczyzna, uśmiechając się, odsłonił lukę między zębami.

— I naprawdę nie spotkałeś uzdrowicielki?

— Na pewno nie, mój księżę.

Ahmeer upuścił belt w dłoń mężczyzny.

— Dobrze! Postarajcie się o psy i wypędźcie go z jego dziury.



Kopyta koni stukaly tępo i nieregularnie między skalami, które w wielu miejscach przecinały szczeliny. Ścieżka była ledwie widoczna w świetle trzech księżyców, mimo to Brachan wspinał się po niej wciąż dalej, w góry. Czuł na swym pasku dłonie uzdrowicielki, która trzymała się go kurczowo. Droga, którą wybrał, była niebezpieczna. Przy każdym rozpędzonym skoku rumaki *ashentai* mogły stracić grunt pod kopytami i spaść w przepaść, jednak jeśli ich zwierzęta ledwo dawały radę wspiąć się po skalach, z tym większym trudem przyjdzie to koniom Nivardów. Na wąskim tarasie skalnym siwowłosy wojownik zatrzymał swego walacha i spojrzął za siebie. Głęboko pod nimi drgało wiele pochodni. Obejrzał się na Mordana, który w poprzek zatrzymał za nimi Ired. Przez moment przyglądał się wnikliwie czarnowłosemu wojownikowi, potem podprowadził swego konia do jego klaczy.

- Przestało? - zapytał w ich języku.

- Nie — odpowiedź Mordana zabrzmiała ochryple. Brachan przechylił się w siodle na bok i przesunął dłonią po jego nodze, aż do strzemiona. Było dokładnie tak, jak przypuszczał i czego się obawiał. Skórzane spodnie były wilgotne, a strzemię umazane krwią. Poirytowany odsłonił zęby. Zostawiali za sobą ślad, za którym mógł pójść nawet najgłupszy pies gończy. Chwycił brzeg czarnego płaszcza Mordana i wetknął go pod jego udo, nie zważając na to, że ostro wciągnął powietrze. Potem złapał cugle Ired i skierował oba konie w stronę, z której dopiero co przyszli. Tylko wracając kawałek po swych własnych śladach i wybierając inną drogę, mieli w ogóle jakąkolwiek szansę zmylić swych prześladowców.

Choć stracili przez to dużo czasu i znów zbliżyli się do Nivardów, Brachan prowadził konie tak, że ich ślad wielokrotnie się przecinał. Dopiero

wtedy popędził swego wałacha po stromej skale, w górę. Dysząc, *asbentai* z trudem pokonywał silnymi skokami szczeliny, aż do płaskowyzu, gdzie pan pozwolił mu wreszcie chwile odpocząć, czekając na Mordana i Ired. Czarnowłosy wojownik siedział w siodle pochylony do przodu i swej klaczy pozostawił szukanie drogi. Kiedy Brachan dotknął jego ramienia, podniósł głowę i kiwnął nią lekko. Jeszcze miał siłę jechać dalej — ale obydwaj wiedzieli, że nie potrwa to już długo i przyjdzie chwila, kiedy w odpowiedzi na jego niewypowiedziane na głos pytanie Mordan pokręci głową.

Ślad rozdzielał się już po raz drugi. Kierowie mieli niecałą godzinę przewagi, kiedy Ahmeer ruszył ze swymi ludźmi za nimi. Idąc po ich śladach, opuścili miasto i pokonali kawalek drogi wzdłuż Gór Słonych przez pustynię. Jednak za ostrym występem skalnym bestie rozdzieliły się. Prawdopodobnie liczyły na to, że oni nie zauważą tego w świetle księżyców i pochodni, lecz o właściwym tropie poinformowały ich psy. Trzy z nich szły w górę — ślady krwi zdradziły, że jednym z nich był pierwszy dowódca Haffrena - trzy pozostałe prowadziły dalej u podnóża Gór Słonych. Nie wiedzieli, z którą grupą była Lijanas. Więc podzielił również swoich ludzi. On sam został z tymi, którzy ruszyli za „Krwawym Wilkiem” w góry - a jeśli będzie miał szczęście, może się okazać, że nie spuszcza on swego jeńca z oczu. Ponad godzinę jechali tym tropem, nim nagle stał się słabszy. W końcu zwierzęta w ogóle przestały coś wietrzyć i odnalazły ślad dopiero po niepokojąco długim poszukiwaniu. Teraz jednak psy skamlały zagubione, ponieważ ślad najwyraźniej znowu się rozwidlał - i na obydwu była krew.

Ahmeer wędrował niespokojnie w tę i z powrotem między skałami, wpatrując się w cienie, skaczące w blasku pochodni między skałami poprzecinanymi szczelinami. Wąski strumyk splotywał się z pluskiem z gór, srebrząc się w świetle księżyca. Jego dłonie zaciskały się co rusz w pięści. Od kiedy dowiedział się, że „Krwawy Wilk” i Lijanas ponad dwa tygodnie mieszkali w jednym pokoju jak mąż i żona, przestało dla niego mieć znaczenie, że obiecał swemu wujowi dostarczyć go żywcem. Ta bestia będzie zdychać powoli i w męczarniach z jego powodu!

Kilka razy głęboko wciągnął i wypuścił powietrze. Jeśli „Krwawy Wilk” rzeczywiście zhańbił Lijanas, on nie mógł jej teraz wziąć za żonę. Ale wciąż mógł jej zaoferować przyjemne życie konkubiny.

- Panie! — Ahmeer odwrócił się do tropiciela śladów, który spieszył w jego stronę. — Znaleźliśmy świeżą krew! Kawalek w górę, na kilku liściach tuż nad strumieniem.

- „Krwawy Wilk”?

- Prawdopodobnie! Chyba że jeden z jego ludzi sam się mocno zranił, by swą krwią sprowadzić nas na fałszywy trop.

- Czy jest coś, co wskazuje na to, że moja narzeczona jest z nim?

- Nie, panie! Zdaje się, że idzie w górę i znika w wodzie. Tam właściwie nie ma mowy o znalezieniu jakiegoś śladu.

- A drugi trop?

- To ślad Kierów, jestem tego tak samo pewien jak tropu prowadzącego w górę. Także tam psy zwietrzyły krew.

Na krótką chwilę Ahmeer zacisnął prawą dłoń w pięść, potem skinął głową.

- Rozdzielimy się. Ja będę towarzyszył ludziom, którzy pójdą w górę.

- Nie zapomnijcie: mój wuj wyznaczył pięć tysięcy złotych kareszów za głowę tej bestii. Kto pierwszy wytropi „Krwawego Wilka”, otrzyma te pieniądze. A ja chcę go dostać żywcem!

Powoli wojownik odsunął lunetę od oka i podał ją mężczyźnie po swej prawej stronie. Głęboko pod nimi tańczyły między skałami pochodnie, sprawiając, że widać było ludzi i zwierzęta.

- Ten czarnowłosy młokos obok tego siwka — widzisz go?

- Tak, dowódco!

- To książe Ahmeer. Chcę mieć go żywcem! Kto mi go dostarczy, zostanie nagrodzony złotem. Kto go zrani, tego przepędzę przez alejkę. Jego skóra należy do mnie!

- Zrozumiałem, dowódco, a co z pozostałymi?

- Dopilnujcie tylko, by nikt nie uszedł żywy.

Mężczyzna uderzył pięścią w pierś.

- Rozkaz, panie!

Zimna woda ze strumienia przenikała przez skórę butów. Ponowne szarpnięcie rzemienia, który krępował jej nadgarstki. Obok niej Mordan po raz kolejny upadł na dłonie i kolana, jego głowa zwisała między ramionami. Pojedyncze, czarne kosmyki włosów wysunęły się z kucyka i kleiły się do skroni, policzków i szyi — stanowiły jedyny kolor na jego bladej jak wosk skórze. Pot płynął mu po twarzy, która lśniła w słabym świetle księżycy. Podciągnął ramiona, oddychał ciężko.

W dali rozległo się szczekanie psów gończych. Z nadzieją i rozpaczą jednocześnie Lijanas odwróciła się za siebie, ale także Mordan to usłyszał. Chwiejąc się, podniósł się i zaczął dalej wspinać, prowadzącym stromo w górę korytem strumienia. Poczula szarpnięcie na nadgarstkach i musiała iść dalej za nim.

Kiedy został ranny? Na tym małym dziedzińcu, kiedy zabił tych dwóch Nivardów? A może — przypomniała sobie, jak nim na chwilę wstrząsnęło, kiedy Ahmeer kazał do nich strzelać — trafił go belt? Czy dlatego wziął Brachana na górę, zanim wyruszyliśmy? Żeby mu opatrzył mnie? Czy przez cały czas traci tyle krwi, czy rana otworzyła się podczas jazdy? — Łaskawa Bogini, powinnam była zauważyć, że jest ranny! — ale nie było żadnych oznak. A może? Krew na mojej sukni nie pochodziła od tych dwóch zabitych — należała do niego. Ten krwawy odcisk, który został na mojej twarzy, gdy mnie spoliczkował — to była jego krew. A wilgoć na jego dłoni, kiedy w korytarzu zamknął mi usta... — wzdrygnęła się i zamknęła na chwilę oczy. Kiedy wyruszyli z Cavallina, nie dał nic po sobie poznać...

A teraz byli tutaj. Lijanas miała wrażenie, jakby całą wieczność szli tym strumieniem. Od kiedy odłączył się od nich Brachan, żeby zostawić fałszywy trop, i kazał im iść dalej, wyżej w góry, Mordan co jakiś czas potykał się i z coraz większym trudem stawiał krok za krokiem w wodzie sięgającej zaledwie po kostki. Ujadanie psów powoli się zbliżało. Spojrzała na ciemnego wojownika.

Jeśli wyszarpię knebel z ust i krzyknę... Czy zdołam go utrzymać z dala od siebie, nim znajdą nas Ahmeer i jego ludzie? On już prawie nie ma siły.

W dali dało się słyszeć krzyki. Z przerażającym trudem Mordan uniósł głowę, nasłuchując, potem spojrzal na nią. Było tak, jakby odczytał jej myśli, może wykonała jakiś ruch, który zdradził jej plan. Nagle okręcił rzemień łączący jej i jego nadgarstki dwukrotnie wokół jej szyi, położył

rękę na jej ramieniu i ciężko wsparł się o nią. Lijanas zachwiała się pod jego ciężarem i jęknęła cicho spod knebla, kiedy ujrzała sztylet polyskujący w jego dłoni i chwilę później poczuła czubek ostrza między żebrami. To było ostrzeżenie, nic więcej - ale też nie mniej. Nagle w oczach zapiekły ją łzy. Na jego ochryple — Naprzód! - ruszyła z wahaniem. Co się stanie, kiedy znowu upadnie? Czowała rzemień na swym gardle. Niemal mimowolnie wyciągnęła dłonie, chwyciła za jego pasek, by go dodatkowo podtrzymać. Usta Mordana wykrzywiły się gorzko, kiedy szli dalej razem, chwiejąc się. Ujadanie psów i glosy ich prześladowców zbliżały się. Nagle Lijanas zapragnęła, by Ahmeer nigdy nie pojawił się w Cavallinie.

Była u kresu swych sił, kiedy pojawiła się przed nimi ściana skalna, zagradzając im drogę. Pryskające kaskady wody spływały po kilku skalnych stopniach, zbierając się w misie, głębokiej najwyżej do kolan, i spływały potem w dół w postaci małego strumienia. Woda bulgotała wokół ich nóg. Bezradna spojrzała na Mordana. Jego dyszący oddech był tuż koło jej ucha, powoli opadł na kolana, pociągając ją za sobą, jego głowa opadła mu, wyczerpana, na pierś. Podniosła ukradkiem dłonie, chcąc odplątać rzemień z szyi - poczuła sztylet w boku. Jej dłonie znów opadły. Teraz wyraźnie było slychać krzyki ludzi. Pierwsze promienie słońca przedzierały się przez popękane skały, natrafiły na ten mały wodospad, zamieniając go i pryskające krople wody w lśniącą ścianę deszczu z iskrzących diamentów. Czarnowłosy wojownik wstał z wielkim trudem i, zataczając się, ruszył do przodu, ciągnąc ją za sobą - przez pryskającą wodę, za którą najniższa płyta skalna mogła dać im schronienie.

Za zasłoną z wody ukryta była maleńka pieczara, która ledwie mogła pomieścić ich oboje. Przez chwilę zastanawiała się, skąd wiedział o tej małej jamie, jednak szybko zapomniała o tej myśli, kiedy niespodziewanie zaparł się barkiem o skalę i przyciągnął ją blisko siebie. Czy ciepło, które czuła na plecach, to była jego krew? Odważyła się zerknąć na niego przez ramię - i napotkała na jego spojrzenie. To, co zobaczyła w tym oku, przypomniało to, co ujrzała w nim wtedy na rynku.

„Aja myślałem, że mogę wam ufać” — te słowa odbijały się echem w jej umyśle. Przypomniała sobie ten ból, który zdawała się wtedy w nim wyczuwać. — Dlaczego ruszyłam do Ahmeera, kiedy tak nagle zobaczyłam go pośród tej ciżby? — Nie miałam już powodu, żeby uciekać! Dał mi słowo, że mnie odwiezie do domu. — Czy chciałam uciec? Nie wiem! — Ale na pewno nie chciałam, by stało się to wszystko!

- Spokój! — sztylet spoczął na jej szyi, tuż przy uchu. Głosy ich prześladowców docierały do niej przez szum wody. Poczula, jak Mordan chciał się trochę podciągnąć do góry, oparty o skalę. Jego pierś za plecami Lijanas podnosiła się i opadała, kiedy tak ciężko oddychał — aż nagle przewrócił się na bok i osunął po mokrej skale, prosto w wodę. Jego palce otworzyły się, sztylet zniknął z pluskiem w płaskim basenie.

Przez moment była jak osłupiała. Potem odważyła się bardzo powoli usiąść i odwrócić. Nie poruszał się, woda ciekła mu po twarzy, jego pierś unosiła się nierówno. Jego oko było zamknięte. Stracił przytomność!

Błyskawicznie Lijanas zdjęła ramię z szyi, potem schyliła się po polyskujące pod powierzchnią wody ostrze i przecięła pasek skóry, którym była do niego przywiązana - i zamarła, kiedy poruszył się, jęknąwszy prawie niesłyszalnie. Jego powieka zadrgała, potem powoli otworzył oko, spojrzal na nią. Lijanas ścisnęła sztylet swymi skrępowanymi rękoma tak mocno, że kostki jej dłoni zrobiły się białe.

Muszę tylko krzyknąć i Ahmeer znajdzie mnie tutaj — i jego. Co oni z nim zrobią? Zabiją go? — Na pewno! Ahmeer rozkazał strzelać do nas już w Cavallinie. — Nie chcę, żeby go zabili! — On jest Kierem! Mordercą! — Nie chcę, żeby go zabili!

Potknęła się, ciężko dysząc, i zrobiła unik do tyłu, kiedy Mordan nagle spróbował wstać i chwycić ją, wypadła przez zaslonę wodną, zobaczyła jeszcze, jak się za nią zamknęła, i wylądowała plecami w kamiennym basenie. Szybko czołgała się tyłem, aż poczuła za plecami brzeg rumowiska, nie mogąc oderwać oczu od dłoni Kiera, zwisającej bez życia pośród piany.

Gdzieś w pobliżu zaszczekał pies, jakiś mężczyzna wołał coś do drugiego - ich prześladowcy już tu byli. Jeszcze raz spojrziała na pryskającą ścianę wodną, potem podniosła się i uciekła stamtąd.

Co chwilę potykała się na skalistym podłożu, upadając na dłonie i kolana, sztylet wysliznął się jej z rąk i zsunął gdzieś po skale. Zostawiła go, podniosła się i biegła dalej. Drżącymi dłońmi wyszarpała knebel z ust, niespodziewanie czyjeś ramię objęło ją w pasie i krzyknęła przerażona, aż dotarło do niej, że mężczyzna, który ją trzyma, próbuje ją uspokoić swymi słowami - w jej języku. Psy ujadły wściekle. Usłyszała, jak zawołano Ahmeera. Potem ktoś otulił ją płaszczem, a po chwili jego ramiona otuliły ją. Przycisnął głowę Lijanas do swej piersi i trzymał ją mocno, szepcząc pieszczotliwe słowa — i nagle była w stanie już tylko drżeć. Sama nie wiedziała, czy z przerażenia, czy z zimna.

W pewnym momencie dłonie Ahmeera spoczęły na jej twarzy i zmusiły, by na niego spojrziała.

- Gdzie jest „Krwawy Wilk”? - pytanie z trudem do niej dotarło. Patrzyła na niego, mrugając oczami i nie pojmując jego słów. Pochylił się do niej, chwycił ją za ramiona. - Powiedz, gdzie on jest? Jest ranny, prawda? Oczywiście, jak inaczej udaloby ci się mu uciec. Gdzie ta bestia, kochanie? Zapłaci za wszystko, co ci zrobił.

„Krwany Wilk”? Mordan, „Krwany Wilk”? To niemożliwe!... — Brachan nazywał go swym panem; on sam mówił, że Corfar jest jego legatem. — Nie! Nie, to niemożliwe!

Ramiona zaczęły ją boleć od uścisku Ahmeera. Jej wzrok wyostriżył się, kiedy nią lekko potrząsnął. Oparła swe wciąż skrępowane ręce na jego piersi; nie udało się jej go odepchnąć.

— Mów, Lijanas! Im szybciej rozpoczniemy pościg, tym większe szanse, że go schwytamy. Obiecuję ci, odpokutuje za to...

- Chcesz go zabić? - jej głos drżał.

— Tak! — ale długo będzie musiał zebrać o śmierć. Masz moje słowo.

„Daję wam moje słowo, przypięczętowane krwią, Lijanas...” — Na związającej bez życia dłoni rozpryskuje się zasłona wodna. — Palce tej dłoni dotykały blizny na jej skroni tak nieskończenie delikatnie. Wydawało się jej niemal, że znowu czuje, jak powoli muskają jej policzek i szyję.

Pokręciła głową.

— Musisz się mylić, Mordan nie może...

— Mordan?

Zmarszczył lekko czoło. Co to za dziwny ton w głosie Ahmeera?

- To imię wojownika Kier, który mnie uprowadził. To nie może być „Krwawy Wilk”!

- Nie? Czy ten... Mordan... to mężczyzna, którego widziałem obok ciebie na rynku w Cavallinie? Wysoki, czarnowłosy, ze skórzaną klapką na oku? — zmusił ją ponownie, by spojrziała na niego, kiedy opuściła głowę. — To był pierwszy dowódca Haffrena. Człowiek, którego zwą także „Krwawym Wilkiem” — „Bestia z Sajidarrah”.

— Ty..., ty widziałeś go już kiedyś?

- Nie, ale każdy wie, kim jest ten człowiek.

Każdy poza mną.

Przestraszyła się, kiedy Ahmeer wyciągnął swój sztylet z pochwy - lecz on przeciął jedynie jej więzy.

Jakiś mężczyzna stanął za nim, uklonił się.

— Psy złapały trop w górę strumienia. Jak brzmią wasze rozkazy, mój książę? Mamy tam dalej szukać?

— Oczywiście!

— Nie!

Obydwa mężczyźni spojrzeli na nią zaskoczeni.

— Nie? - Ahmeer położył delikatnie dłoń na jej policzku. — Czy możesz nam powiedzieć, gdzie mamy szukać, kochanie?

Poczuła, że kiwnęła głową.

Nie mogę tego zrobić! Ahmeer każe zabić Mordana; nie, on każe go torturować na śmierć! — On to „Krwany Wilk”? Nie zasłużył na nic lepszego! — On mnie uprowadził i uderzył! — On... — On mnie niósł na swoich plecach przez solną pustynię! On mi obiecał, że odwiezie mnie do domu! — On jest...

— Nie bój się, kochanie! Już nigdy nic ci nie zrobi!... Powiedz mi, gdzie moi ludzie mają go szukać - czule odgarnął jej włosy, zatrzymał się na bliźnie, nim cofnął gwałtownie rękę. Przez mrugnięcie oka ujrzała obrzydzenie na jego twarzy, potem był już tam tylko uśmiech, wyrażający ubolewanie. — Nie zasłużył na łaskę, kochanie! Wiem, masz łagodne serce, ale on nie jest lepszy od dzikiego zwierzęcia. Gdzie moi ludzie mają go szukać, Lijanas?

W ustach miała sucho. Zamknęła na krótką chwilę oczy.

Ahmeer brzydzi się mną.

— On jest... - słowa nie chciały jej przejść przez usta.

„Jesteście piękna jak ostrze, na którym tańczą promienie słoneczne”.

— Nie zapominaj, co zrobił w Sajidarrah! Tejidannar kazał spalić do fundamentów i zniszczył wszystkie zbiory! Rzesze umarły z głodu - z jego winy! — jego palce niemal wbily się w jej ramiona. — Nikt inny, tylko on uczynił z mojego wuja pólinwalidę!

Delfin stojący na płetwie ogonowej, wypalony w ciele; potworne blizny, widoczne na skórze w kolorze ciemnego złota.

— Mów wreszcie, Lijanas!

Zdecydowana zacisnęła dłonie w pięści.

Znajdziecie go, idąc w górę strumienia, ukrytego w jaskini, za małym wodospadem. Jest ciężko ranny i nie zdola się bronić. — „Oczekujecie ode mnie, że złożę swoje życie w wasze dłonie, Lijanas?”... „Sztylet tkwił w wewnętrznej stronie ramy łóżka”. — „A ja myślałem, że mogę wam ufać”.

— Jest tam! — powiedziała, wskazując na wierzchołek góry, po którego krawędzi właśnie wznosiło się słońce.

Laskawa, ulituj się nade mną. Co ja tu robię?

Wzrok Ahmeera powędrował za jej wyciągniętą ręką. Na jego czole widać było głębokie bruzdy, kiedy znów na nią spojrzął.

— Z tego, co mówili moi ludzie, przybiegłaś z tamtej strony — wskazał ręką w górę strumienia.

— Ja..., ja..., ja po prostu pobiegłam, jak tylko udało mi się wyrwać. Nie wiem, skąd przyszłam. Wiem tylko, że szedł w stronę tego szczytu.

Chyba postradałam zmysły!

Przez chwilę Ahmeer przyglądał się jej wnikliwie, potem zwrócił się do mężczyzny, który cały czas stał wciąż za nim, i kiwnął w kierunku wierzchołka góry.

— Szukajcie „Krwawego Wilka” tam!

— Ale, mój książę..., ślad, który znalazły psy... Nie mógł go zostawić dalej niż godzinę temu...

— A więc dobrze, część ludzi niech idzie w górę strumienia.

— Nie!

Tym razem w szarych oczach Ahmeera wyraźnie widniała podejrzliwość, gdy na nią spojrzął.

— Nie? Można by niemal sądzić, że nie chcesz, żebyśmy schwytali „Krwawego Wilka”, Lijanas!

Nigdy nie potrafiłam kłamać! Laskawa, pomóż mi!

— Twoi ludzie mają rację, on poszedł w górę strumienia...

— Ach tak? - Ahmeer mierzyl ją wzrokiem.

— Tak, z początku, ale potem porzucił koryto strumienia i podążył dalej, w stronę tego szczytu. Twoi ludzie mogą zaoszczędzić czas...

— Jesteś tego pewna, kochanie? — w jego słowach wciąż jeszcze słychać było nieufność.

Lijanas kiwnęła szybko. Jej głos nie był jej posłuszny. Na twarzy Ahmeera pojawił się zupełnie niespodziewanie uśmiech. Na znak pochwały pogłaskał ją po policzku. Poczula we wnętrzu lodowaty chłód.

— Proszę, zabierz mnie stąd! — szepnęła bezradnie.

— Zaraz, kochanie! - odpowiedział, a potem zwrócił się do swoich ludzi:

— Słyszeliście uzdrowicielkę! Szukajcie „Krwawego Wilka” z tamtej strony. — Odwrócił się do niej i objął ją ramieniem. — Chodź! Niedaleko

stąd jest skalny taras. Tam możemy poczekać na moich ludzi, a ty będziesz mogła odpocząć. Każę rozpaść ogień, żebyś mogła się ogrzać.

Musiała się zmuszać, by nie patrzeć w górę strumienia.

Proszę, wytrzymaj! Wytrzymaj, aż Brachan cię znajdzie!

Nogi Lijanas poruszały się bez jej udziału, kiedy prowadził ją do swego siwka, pomógł usiąść w siodle, usiadł za nią i przyciągnął do swej piersi. Pachniał potem i cierpkimi olejkami. Nie widziała gestu, którym kazał swym ludziom pójść śladem w górę strumienia. Lijanas zamknęła oczy i dała się nieść ogierowi. Nie mogła zrozumieć, dlaczego nagle poczuła tęsknotę za zapachem skóry, konia i stali.

— Uzdrowicielka nas oszukała! Ślad urywa się tutaj! Przeszukajcie wszystko! Musi tu być!

— Cicho, ty parszywy kundlu! — krzyknął i szarpnął mocno smycz psa, omiatając jednocześnie wzrokiem skały i mały wodospad. Coś się tu nie zgadzało. Zwierzęta zachowywały się jak wściekle.

Poszedł wraz z trzema ludźmi korytem, aż do małego stawu. Cały czas znajdowali ślady, lecz teraz... Jeszcze raz się rozejrzał. Cokolwiek twierdziła uzdrowicielka, „Krwawy Wilk” nie poszedł stąd nigdzie. On cały czas tu był!

Ujadanie psów niemal zagłuszyło zgrzyt żelaza na kamieniu, mimo to dźwięk ten nie uszedł jego uwadze. Odwrócił się, ale było już za późno! Między skalami poruszały się postacie — Kierowie! Puścił smycz psa i wyciągnął swój miecz, obok niego jeden z jego towarzyszy padł na ziemię, trafiony beltem z kuszy. Kolejny z jego ludzi przewrócił się plecami w skalny staw, przyciskając dłonie do ciała. Po chwili ostrze wbilo się w jego plecy. Nad wodospadem błysnęła w słońcu stal, białą jak mleko rumak *ashentai* potrząsnął swą długą grzywą, gdy tymczasem wysoki wojownik siedzący na jego grzbiecie patrzył na niego zimno z góry. Podmuch wiatru poruszył potężnym ogonem zdobiącym jego hełm, potem sztylet przeciął mu gardło i wysłał go w nigdy niekończącą się ciemność, podczas gdy woda w potoku zabarwiała się powoli na czerwono.

Ile razy wojownicy spoglądali już na nią ukradkiem? Nie miała pojęcia, ale ostatecznie było to w tej chwili bez znaczenia. Lijanas podciągnęła do siebie kolana i objęła je ramionami. Głowa ciążyła jej ze zmęczenia, marzyła, by zasnąć na kilka godzin — i nie odważyła się na to. Zaledwie kilka kroków od niej trzaskał ogień, miękki płaszcz okrywał jej ramiona, a mimo to wciąż było jej zimno.

Woda w potoku była zimna, może krew płynęła powoli... - potarła dłońmi twarz. — Może jednak tylko wysłała po prostu ciepło, a z nim ostatnie siły z jego ciała. — Wciąż nie mogę uwierzyć, że Mordan miałby być „Krwawym Wilkiem”.

Z poczuciem winy podniosła wzrok, kiedy Ahmeer stanął obok niej, podając jej kubek, nad którym unosiła się para. Możliwie dyskretnie wsunęła dłoń w fałdy płaszcza, nim drugą ręką przyjęła podgrzane wino i kiwnęła z wdzięcznością. Wyraźnie zadowolony przypatrywał jej się, kucnąwszy obok.

— Tak o wiele bardziej mi się podobasz, kochanie. W tych szatach nie wyglądasz już jak kierska dziewczka.

Wino niemal stanęło Lijanas w gardle. Ahmeer dał jej tę nową szatę, jak tylko pomógł jej zejść z grzbietu swego siwka, i poprosił — nie, kiedy teraz się dobrze zastanowiła, raczej rozkazał - by przebrała się za wylodem skalnym. Z wdzięcznością zamieniła te mokre, zbroszone krwią ubrania, na suche i czyste. Lecz nigdy nie miała wrażenia, by w tamtych wyglądała jak... Nie zdobyła się na to, by nawet w myślach wypowiedzieć to słowo! Mordan kupił jej te rzeczy w Cavallinie — zlecił, by uszyto je specjalnie dla niej! Nie licząc koszuli z miękkiego płótna, wszystko wykonane było z gładkiej skóry, na tyle wygodne, by w razie potrzeby mogła w tym spać, i dość mocne, by znieść dłuższą podróż. W tych ubraniach mogłaby nawet siedzieć okrakiem na grzbiecie końskim, nie obnażając przy tym niestosownie nóg.

Obok niej Ahmeer przemówił nieswoim głosem.

— Choć czuję przed tym wstręt, jednak muszę to zrobić, kochanie.

Niespokojna zastanawiała się, co strasznego teraz nastąpi.

— Czy on... Wybacz mi, ale... czy on wziął cię przemocą? Kochana, muszę to wiedzieć.

Lijanas siedziała wpatrzona w niego. Jej początkowe zaskoczenie zamieniło się w gniew.

— Czy wziął mnie przemocą? Nie licząc tego, że mnie uprowadził i bił? Nie licząc tego, że przez pierwsze dni cały czas się białam, co może mi zrobić? Nie licząc...

— Lijanas, musisz zrozumieć... Czy on cię dotknął?

Przypomniała sobie ciężar Mordana na swoim ciele; przerażenie, kiedy poczuła jego opięte skórzanymi spodniami udo na swej nagiej skórze; wrażenie, kiedy przycisnął swoje usta do jej ust, brutalnie i bezwzględnie, aż... Na krótką chwilę zamknęła oczy, zacisnęła dłonie mocniej na kubku, pokręciła wreszcie głową.

— Nie, nie dotknął mnie! Przynajmniej nie tak, jak myślisz.

Pocałował mnie tylko — a ja ugryzłam go w wargę.

Lijanas wzdrygnęła się, gdy Ahmeer ujął ją za podbródek i zmusił, by na niego spojrziała.

— Potrafię zrozumieć, że wstydzisz się tego, co ten człowiek ci zrobił... Uwierz mi, Lijanas, nie będę cię za to osądzał. Będę nadal z tobą — oczywiście nie mogę wtedy wziąć cię oficjalnie za żonę... — zignorował, jak ostro wzięła oddech. — Ale bądź ze mną szczerą!

Wściekła odepchnęła jego dłoń i podniosła się tak gwałtownie, że wino wylało się, pozostawiając plamę na jej sukni.

— Twierdzisz, że kłamię, Ahmeerze? Powtarzam ci raz jeszcze! Nie, nie dotknął mnie. Jestem tak samo nietknięta, jak w dniu, w którym uprowadził mnie z Anschary - wykrzyzczała mu teraz głośno swój gniew, nie zważając na to, że jego ludzie słyszeli każde słowo.

Ale niemal pragnęłabym, bym nie była już dziewczyną! — Łaskawa, ulituj się nade mną! Cóż to za myśli? Kocham Ahmeera! — Ale ten zachowuje się jak głupi osioł.

Z dłońmi zaciśniętymi w pięści stała teraz przed nim - i wtedy zobaczyła, jak przygląda się jej dłoni. Srebrzysto-białe luski na jej ręce rozprzestrzeniły się, pokrywały teraz całe przedramię i ciągnęły się aż do połowy ramienia. Zaczęły polyskiwać już nawet na wierzchu dłoni. Do Mordana powiedziała teraz pewnie: - Wygląda na to, że jednak zamieniam się w węża. — Ale milcząca odraza Ahmeera sparaliżowała ją.

— Co to jest? — jego głos przepelniony był obrzydzeniem.

— Nie wiem — te słowa były tak zagubione, jak teraz się czuła.

Nie pytaj dalej. Obejmij mnie, proszę!

- Nie wiesz? Ty jesteś uzdrowicielką, powinnaś wiedzieć, co to jest! Czy to zaraźliwe?

- Nie!

- A co to jest? — zapytał, wskazując na jej skroń.

Lijanas podniosła rękę, nim się zorientowała, co robi.

- Blizna!

- Blizna? Skąd? — Marszcząc groźnie czoło, podniósł się.

- To był wypadek. Ired...

- Ired?

- Bojowy rumak *asbentai* Mordana.

Bruzdy na czole Ahmeera pogłębiły się na dźwięk imienia wojownika Kier.

- Uciekaliśmy przed burzą solną i Ired się przewróciła. Wtedy zraniłam się w skroń.

Skierował jej twarz do ognia. Jego usta skrzywiły się z dezaprobatą.

„Jesteście piękna jak ostrze, na którym tańczą promienie słońca”.

- Czy dla ciebie to aż tak odrażające? — spytała i nagle poczuła w gardle pustynię.

Po chwili, która zdawała się trwać całą wieczność, puścił ją i pokręcił głową. Jego mina zlagodniała, na ustach pojawił się uśmiech - ale oczy tego nie odzwierciedlały.

- Oczywiście, że nie uważam, iż jesteś odrażająca. Znajdziemy jakiś sposób, by zakryć tę bliznę; a jeśli chodzi o twoją rękę... Cóż, możesz nosić suknie z długimi rękawami i rękawiczki, żeby nie było tego widać.

Kiwnęła głową jak odurzona.

Czy to wszystko to jakiś koszmar? Czy leżę jeszcze w gospodzie Fadery? Czy Mordan pociągnie zaraz za moją poduszkę, żeby mnie obudzić, jak to czynił w ostatnim czasie? — Ukradkiem wbila paznokcie w zewnętrzną część kciuka. Zabolalo. — Czy Ahmeer nie powinien powiedzieć: — Nie ma dla mnie znaczenia, jak wyglądasz! Kocham cię taką, jaka jesteś! Obydwoje jesteśmy zmęczeni i wyczerpani. To na pewno dlatego.

Rozległ się loskot, jakby spod czyichś stóp spadały uwolnione kamienie. Dłoń Ahmeera spoczęła na jej policzku i podniosła wzrok.

- Przepraszam, kochanie, chyba wracają moi ludzie! Chcę zobaczyć, czy złapali tę kierską bestię.

Poczuła się tak, jakby chlusnął ją lodowatą wodą. Objęła się rękoma i patrzyła za nim, gdy poszedł w stronę swoich ludzi. Ktoś rozbił właśnie jej świat i zostawił ją samą pośród skorup.

Proszę, Łaskawa, pomóż mi!

Wojownicy siedzący przy ognisku ruszyli się. Ahmeer wyciągnął swój miecz i wrócił do niej długim krokiem. Kiedy jeden z jego ludzi niespodziewanie padł z krzykiem na ziemię, odwrócił się. Spośród skał podnieśli się obcy wojownicy. Usłyszała, jak Ahmeer syknął — Kierowie! - i w tej samej chwili popchnął ją w cień skały. Bez pośpiechu wojownicy Kier zamykali wokół nich krąg. Lijanas zacisnęła pięści. Jak Ahmeer mógł dać się tak zaskoczyć? Spojrzała na niego. Jego palce zacisnęły się tak mocno na rękojeści miecza, że na wierzchu dłoni widać było ścięgna. Ostrze drżało ledwie zauważalnie w blasku słońca.

Silnej postury Kier krzyknął do nich coś w swoim języku. Ahmeer niemal przekornie uniósł brodę.

— Co on powiedział? — zapytała i nagle zapragnęła, by umieć mówić po kiersku — a przynajmniej rozumieć ten język.

— Mamy się poddać, wtedy zostawią nas przy życiu - Ahmeer parsknął pogardliwie. — Lepiej zginąć niż dostać się do niewoli Kierów!

— Ale, Ahmeerze...

— Nie rozumiesz, Lijanas. Te zwierzęta robią ze swych jeńców niewolników - niewolnych, jak ich nazywają. Muszę ci opisywać, jak będą cię traktować jako niewolnicę? — pokręcił głową. - Raczej sam, własnoręcznie, poderżnę ci gardło, niż miałbym na to pozwolić!

Z przerażeniem wyprostowała plecy oparte o skalę. Nie była w stanie powiedzieć, co było gorsze: perspektywa, że może zostać niewolnicą, czy to, że tak po prostu decydował o jej życiu.

— Ahmeerze, jest ich zbyt wielu, ty i twoi ludzie, nie macie szans. Lepiej żyć niż zginąć. Dopóki się żyje, można walczyć! — nie mogła odgadnąć spojrzenia, którym ją obdarzył. Nie zrozumiała, co odkrzyknął temu Kierowi, jednak, uderzenie serca później, belt kuszy przebił gardło kolejnego Nivarda. Teraz wiedziała, co odpowiedział.

Głupiec!

Lijanas przycisnęła się do popękanej skały za plecami, obserwując, jak Kierowie bez pośpiechu wyszli spośród skał - i nagle ruszyli naprzód. Miecz któregoś wojownika Kier wbil się między żebra jakiegoś Nivarda, nim ten zdążył wyciągnąć swą broń. Inny Nivard, młody człowiek, który

mógł być w jej wieku, odrzucił swój miecz i podniósł ręce na znak, że się poddaje. Chwilę później padł martwy na ziemię. Niecały krok od niej, dwaj wojownicy zaatakowali Ahmeera. Krzyki odbijały się echem od skalnych ścian. Stal pobrzękiwała, zgrzytała fałszywie, gdy ostrza krzyżowały się ze sobą, mężczyźni wyli. Broń jednego Kiera trafiła Ahmeera płaską stroną w głowę, upadł na kolana. Padł na nią cień. Lijanas wzдрыgnęła się. Z boku tego wszystkiego siedział na grzbiecie rumaka *ashentai*, którego sierść błyszczła w świetle słońca jak świeżo spadły śnieg, jeździec. Bez ruchu patrzył na nią z góry, kryjąc twarz pod hełmem, przy którym powiewał potężny, biały, koński ogon. Taki sam straszny topór wojenny, jaki spoczywał teraz niedbale na jego udzie, stał przez wiele dni obok paleniska w gospodzie Fadery; taki topór widziała w ręku Mordana. Mężczyzna wydał kateryczny rozkaz i był to zupełnie inny głos niż głos Mordana. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że szczęk broni zamilkł. Szybko odwróciła się. Z ośmiu wojowników Nivard trzech młodych mężczyzn było jeszcze przy życiu, Kierowie właśnie skrępowali im ręce i pchnęli ich na ziemię. Kilka kroków od niej klęczał Ahmeer, najwyraźniej wciąż jeszcze w szoku. Pilnowało go dwóch wojowników Kier, z mieczami skrzyżowanymi na jego karku.

Jeździec siedzący na siwym koniu zeskoczył z siodła, spojrzal jeszcze raz w jej stronę, nim podszedł do Ahmeera, chwycił go za gardło i podniósł go. Ahmeer charczał. Kier syknął coś, potem puścił księcia Nivardów, wydał swym ludziom rozkaz — i podszedł do niej. Cofnęła się mimowolnie. Dopiero, kiedy czyjeś kolano boleśnie wbiło się jej między łopatki, zrozumiała, że także za nią stał Kier. Jeździec spokojnie zdjął hełm. Włosy w kolorze światła księżycy okalały eleganckie rysy i spływały luźno po jego ramionach. Tuż za lewym uchem dostrzegła trzy warkoczyki, nie grubsze niż na pół palca, w które wplecione były różnokolorowe wstążki. Spod brwi, ciemniejszych o ton od włosów, patrzyła na nią szyderczo z opalonej twarzy para zielono-szarych oczu. Ten straszny topór wojenny wisiał z powrotem u pasa, obok takich samych bliźniaczych mieczy, jakie oprócz swego *kereshtai* nosił Mordan. Tunika, którą miał na sobie, była z jasnego płótna, skóra kaftana i spodni miała piaskowy kolor. Jego lewy nadgarstek zdobiła skrzycona, złota bransoleta, na prawej dłoni tkwił ciężki pierścień z pieczęcią, który przypominał pierścień, jaki widziała na skórzanym pasku na piersi Mordana. Ręka, trzymająca ją za włosy, pociągnęła jej głowę do tyłu, kiedy jasny wojownik pochylił się nad nią. Jego pokryta rękawiczką lewa dłoń ujęła Lijanas za podbródek, obracając jej twarz ku słońcu. Zamknęła oczy, ostre światło raziło ją.

- Czy wy jesteście uzdrowicielką Lijanas? — mówił po nivardzku z wyraźnym akcentem. Z bliska dojrzała w jego oczach żółte plamki. Przeszedł ją dreszcz, choć nie wiedziała dlaczego. Na chwilę tylko jego wzrok powędrował w stronę Ahmeera, potem przez usta wojownika przemknął uśmiech. Skinienie głowy i człowiek za jej plecami puścił ją. Uprzejmie pomógł jej wstać z ziemi. - Cieszę się, że mogę was poznać, Lijanas. Choć muszę przyznać, że spodziewałem się zastać was - hm - w innym towarzystwie, a nie obok tego nivardzkiego księcia — machnął krótko na swych ludzi, potem znów na nią spojrzal. — Zdradzicie mi, co się stało z moim przyjacielem Mordanem?

Lijanas, zaskoczona, zmrużyła oczy. — *Skąd...? Kim on jest?* — zerknęła szybko na Ahmeera, którego właśnie związano tak samo, jak jego ludzi.

- Ja..., ja mu ucieklam.

Wojownik Kier patrzył na nią przez chwilę osłupiały, potem wybuchnął tubalnym śmiechem. Lijanas wydawało się, że słyszy w tym szyderczą radość.

- Wy mu... uciekliście? - wciąż się śmiejąc, pokręcił głową. - Że tego dożyłem. - I to akurat kobieta - dopiero, gdy wziął głęboki oddech, udało mu się odzyskać powagę. — Czy możecie mi jeszcze powiedzieć, jak się wam to udało? — szyderczy uśmiech widniał na jego twarzy.

- Był ranny — wrażenie, że nie powinna opowiadać temu człowiekowi zbyt dużo, było coraz silniejsze.

- Ach tak, ranny. Ciężko?

W jego oczach dostrzegła dziwny błysk.

- Na pewno na tyle, że udało mi się wyrwać i uciec. Być może był tylko zbyt opieszaly — starała się, by jej słowa brzmiały łagodnie i uprzejmie. Uśmiech na jego twarzy zrobił się szeroki, odsłaniając jego kły.

- Bylibyście pierwszą, wobec której Mordan był opieszaly. Wprawdzie zna się na kobietach jedynie na tyle, by wiedzieć, jak sprawić, by były uległe w łóżku... Wybaczcie mi te niestosowane słowa, Lijanas. Czy możecie mi powiedzieć, gdzie żeście go ostatnio widzieli?

Dlaczego on to robi? W jednej chwili nazywa Mordana swoim przyjacielem, a w następnej oczernia go. Czy ci dwaj naprawdę są przyjaciółmi?

Zagryzła wargę. Czekal, przechyliwszy uprzejmie głowę. Ostatnie badawcze spojrzenie w jego oczy, a potem wskazała ten sam wierzchołek, który wcześniej pokazała Ahmeerowi.

- Poszedł w tamtym kierunku.

Przez krótką chwilę przyglądał się jej.

- Czy wiecie, po co tam się wybierał?

Lijanas pokręciła głową.

- Jestem waszym dłużnikiem - uśmiech, którym ją obdarzył, był stworzony do tego, by odbierać kobietom zmysły. Potem odwrócił się i powiedział coś do jednego ze swych ludzi, na co ten uderzył pięścią w pierś i zniknął między skałami. Chwilę później rozległ się tętent kopyt, który szybko przycichał. Nowy rozkaz i przyprowadzono konia. To był siwek Ahmeera.

- Czy mogę was prosić, byście siedli na tym koniu, Lijanas? — zielonoszare oczy wojownika Kier patrzyły na nią tajemniczo.

- Czy wolno mi przedtem spytać, co się teraz ze mną stanie? — splotła dłonie, ale poza tym nie poruszała się.

Zauważyła wyraz niechęci, który na chwilę zagościł na jego ustach, potem znowu pojawił się uśmiech.

- Będziecie towarzyszyć mi i moim ludziom.

- Czy jestem waszym jeńcem?

- Wolalbym was raczej nazywać moim gościem, Lijanas - wyraz jego oczu zmienił się, stał się zimny.

- A co będzie z Ahmeerem i jego ludźmi?

Tylko uprzejmie, Lijanas. Może właśnie grasz o życie człowieka, którego kochasz.

- Na księcia czekają w Turasie, podobnie jak na was - w jego głosie dało się słyszeć zniecierpliwienie.

- A więc on też jest waszym gościem?

- Nie, Lijanas, on nie jest gościem. Wsiadajcie! — ostatnie słowo to był wyraźnie rozkaz.

- Kto na niego czeka w Turasie?

Nie dam się przestraszyć!

- To nie wasza sprawa.

- A co się stanie z jego ludźmi?

Zielonoszare oczy zrobiły się wąskie.

- Od dziś należą jako niewolni do mego ludu. Wsiadajcie!

Lijanas była na tyle uprzejma, by podejść bliżej konia. Jednak potem jeszcze raz odwróciła się do niego.

- Nazwaliście pierw Mordana waszym przyjacielem. Czy wolno mi spytać, skąd go znacie?

— Skąd go znam? — nagle znowu pojawił się ten szyderczy uśmiech, tym razem niepokojąco pogardliwy. — Należał do człowieka, pod rozkazami którego byłem wówczas trybunem. Sądzę, że minęło jakieś dziesięć zim... Tak, został przyprowadzony do obozu tej samej zimy, gdy Jarat mianował mnie trybunem.

„Należał”?... „Został przyprowadzony”? Można by niemal pomyśleć... Jak to możliwe, jeśli Mordan faktycznie jest tym, którego zwa „Krwawym Wilkiem”? Cóż za bezsensowna myśl!

— Czy jeszcze jakieś pytania?

Lijanas zmrużyła oczy, odpowiadając na jego spojrzenie uśmiechem.

— Jeszcze tylko jedno: kim wy jesteście? Wy znacie moje imię, ale ja nie znam waszego.

Przez moment wyglądał na zaskoczonego, potem sklonił się lekko.

— Jestem drugim dowódcą wojsk króla Haffrena. Mam na imię Jerdt — na jego gest mężczyzna, który do tej pory trzymał konia za cugle, splótł dłonie, by pomóc jej wsiąść. - Wsiadajcie!

Tym razem Lijanas posłusznie wykonała polecenie.

Jerdt wydał rozkaz żołnierzom pilnującym Ahmeera i sam wsiadł na grzbiet swojego rumaka. Ku przerażeniu Lijanas Kierowie owinęli szorstki sznur wokół szyi Ahmeera, szarpnęli, by stanął na nogi i pchnęli go w kierunku *ashentai* Jerdta. Jego koszula była na w pół zerwana. Z lekkim skinieniem głowy drugi dowódca wojsk Haffrena wziął koniec liny i przymocował go do lęku swego siodła. Podprowadził konia blisko Ahmeera, chwycił sznur tuż przy jego karku, szarpnął nim tak mocno, że księżę niemal oderwał się od ziemi, i pochylił się nad nim. Lijanas nie mogła zrozumieć, co do niego powiedział, lecz gdy Jerdt puścił go chwilę potem, Ahmeer upadł na kolana, kaszląc i łapiąc powietrze. Uderzenie serca później drgnęła na dźwięk ostrego trzaśnięcia. Ahmeer zachwiał się z okrzykiem bólu. Na jego ramieniu pojawiła się nagle pręga, czerwona jak ogień. Otworzyła szeroko oczy, dostrzegłszy pejcz w rękę Jerdta.

Przez kolejne godziny Kierowie przemieszczali się bez odpoczynku na północ. Nie licząc sporadycznego trzaskania pejcza, parskania koni i lekkiego pobrzękiwania broni, było cicho. Czasem do uszu Lijanas, która jechała na samym początku, tuż za Jerdtem, docierał zduszony krzyk albo pełen bólu jęk któregoś z trzech nivarzkich wojowników. Koszula Ahmeera wisiała tymczasem w strzępach na ciele pokrytym czerwonymi

liniami, i im bardziej słońce zbliżało się do zenitu, tym częściej potykał się, upadając na kolana — i tym częściej spadał na niego pejcz.

Wojownik, którego Jerdt posłał — by szukał Mordana, jak przypuszczała Lijanas - wrócił z pustymi rękami. Nie była w stanie wyrazić, czy powinna czuć z tego powodu ulgę, czy nie.

Mijały kolejne godziny i coraz bardziej czuć było upał, pnący się w górę od strony solnej pustyni — mimo że było to zaledwie słabe odbicie wysuszającego wszystko na popiół żaru, który właściwie panował nad solną powierzchnią. Tylko czasami, gdy gorący wiatr zakręcił się między skałami, można było się domyślić, czego nie musieli w rzeczywistości doświadczać, dzięki strzelającym wysoko w górę skalnym ścianom. Dopiero gdy minęło południe, Jerdt zarządził postój na skalnym tarasie. Kiedy szarmancko pomagał jej zsiąść z konia, jeńcy zostali pchnięci na ziemię, w pobliżu sterczącej stromo skalnej ściany. Jeden z wojowników, z naładowaną kuszą, wystarczał jako warta. Ahmeera rzucono na kolana obok wylomu skalnego i związano. Dwaj Kierowie ustawili się z prawej i lewej strony, z dłońmi na broni.

Jerdt usiadł z Lijanas w cieniu zwisu, podał jej buklak, chleb i kilka pastek suszonego mięsa, potem oparł się i przyglądał się jej, kiedy sam jadł.

- Czy on was bił, Lijanas? - zapytał nagle, przerywając milczenie. Spojrzała na niego zaskoczona. — Mordan - wyjaśnił dokładniej - czy on was bił?

Przez moment patrzyła na swe ręce, pomyślała o tych dwóch policzkach, które wymierzył jej czarnowłosy wojownik, wreszcie podniosła wzrok i kiwnęła głową.

- T a k .

- Przykro mi z tego powodu. Wprawdzie trudno się spodziewać po nim czegoś innego. Zna tylko jeden język: siłę! Pożalowania godne, że nie hamuje się nawet przed uderzeniem tak pięknej kobiety.

Lijanas milczała, wsunęła kawałek chleba do ust i przyglądała mu się bez słowa.

Czego ty ode mnie chcesz?

- Powiedzieliście, że oczekują mnie w Turasie? Kto na mnie czeka? zapytała.

Wyraźnie zdziwiony przechylił głowę.

— Nasz król, Haffren. Mordan wam nie powiedział? Dostał rozkaz, doprowadzić was całą i zdrową do Turasu.

- A jak to możliwe, że wy o tym wiecie?

Pomiędzy brwiami Jerdta pojawiła się pionowa bruzda.

— Co macie na myśli?

Lijanas patrzyła niewinnie.

- Uważam, że to trochę zdumiewające, iż jeden dowódca zna rozkazy drugiego. Czy to normalne u Kierów?

Bruzda pogłębiła się.

— Nie, oczywiście, że nie — wziął długiego lyka ze swego kubka, mimo to Lijanas dostrzegła jego wahanie. — Wiem to, ponieważ przez przypadek byłem w tym samym czasie w Turasie i Mordan opowiedział mi o tym.

Jeśli to prawda, to ja jestem kotem w niebiesko-zielone paski i różowe kropki. A jeśli jednak są przyjaciółmi?

- Zjedliście już, Lijanas? Chcę ruszać w dalszą drogę.

- Oczywiście! - odparła, chwyciła bukłak i podniosła się. - Poczekajcie proszę jeszcze chwilę.

Jego lewa dłoń, w rękawiczce, zacisnęła się mocno na jej ramieniu, nim zdążyła zrobić krok.

- Co to ma znaczyć? Co chcecie zrobić z tą wodą?

— Chcę dać pić Ahmeerowi i jego wojownikom. Wygląda na to, że wasi ludzie o tym zapomnieli. Żal mi was!

Bardzo powoli jego palce rozluźniły się, a w tym czasie przyglądał się jej, mrużąc oczy. Potem cofnął się, kiwnąwszy krótko głową.

— Księżciu możecie dać wody! Wojownicy nic nie dostaną!

Lijanas uniosła brodę.

— Chyba nie mówicie poważnie. Wy...

- Nie próbujcie się ze mną targować, Lijanas. Księżę dostanie wodę, i tylko on! Ale jeśli wolicie zrezygnować z podania waszemu narzeczonemu wody... - szybko zabrała bukłak z zasięgu jego ręki, kiedy sięgnął po niego.

Mojemu... Laskawa Bogini, skąd on o tym wie? Czy Mordan też...? Na pewno!

— Zrozumiałam, dowódco Jerdcie.

- W takim razie proponuję, byście się pospieszyli, uzdrowicielko Lijanas! — dał żołnierzom pilnującym Ahmeera znak, że wolno jej podejść do niego.

Potem wrócił w cień skały.

Szybko uklęknęła obok księcia i przytknęła mu buklak do ust.

- Pij!

Chciewie złapał kilka łyków, lecz potem odkręcił głowę.

- Czy z tobą wszystko w porządku? Czy on coś ci zrobił? — chciał wiedzieć, wstrzymując oddech.

- Nie martw się, u mnie wszystko w porządku. On chce mnie zawieźć do swego władcy, tak jak miał to właściwie zrobić Mordan — dostrzegła, jak z dezaprobatą wykrzywił usta na dźwięk imienia Kiera, jednak zignorowała to. — On mi nic nie robi, jestem tego pewna. Ale powiedział, że także na ciebie czekają w Turasie. Wiesz, co mógł mieć na myśli? - po krótkim spojrzeniu na jego plecy oderwała kawałek materiału ze swej sukni, zmoczyła go, dotykając ostrożnie pręg.

- „Czekają”, oczywiście! — parsknął pogardliwie, a w następnej chwili wdrygnął się z jękiem, kiedy dotknęła miejsca, gdzie krzyżowało się wiele spuchniętych linii. — Zawiezie mnie do Turasu, żeby mogli ze mnie zrobić zakładnika, jak z mego wuja Kedara, i podporządkować sobie księcia Anshary - z trudem obrócił się do niej na tyle, na ile pozwalały mu więzy.

Lijanas, musisz mi pomóc! — mówił pospiesznie i dobitnie, starając się lak stłumić głos, by żaden ze strażników nie mógł go usłyszeć. - Muszę uciec! Jeśli temu kierskiemu psu uda się dostarczyć mnie do Turasu i zaszantażować mego wuja moim życiem... To nie może się stać! Pomóż mi!

- Oszalałeś! - pełna obaw, że mężczyźni mogli go zrozumieć, zerknęła ukradkiem na strażników. — Jerdr ma przy sobie przynajmniej dwudziestu wojowników. Jak mam pomóc tobie i twoim ludziom w ucieczce?

- Nie mnie i moim ludziom, Lijanas! Tylko mnie! Ten Jerdt z pewnością nie spodziewa się, że ty — kobieta — możesz pomóc mi uciec. Proszę...

Jeszcze raz spojrzęła szybko na obydwu wojowników Kier.

- Zobaczę, co mogę zrobić. Może dziś w nocy... Ale nie wiem! A jeśli już, to pomogę tobie „i” twoim ludziom.

Przestraszył ją ostry krzyk. Znała już ten głos i dłoń strażnika na jej ramieniu nie była potrzebna, by zdała sobie sprawę, co te słowa oznaczały. Z niechęcią strząsnęła rękę mężczyzny i podniosła się. Ahmeer nie spuszczał z niej oczu. W jego spojrzeniu były jednocześnie błaganie i rozkaz. Kiwnęła niezauważalnie i podeszła do siwka, przy którym czekał już jeden z wojowników Kier, by pomóc jej wsiąść na grzbiet konia. Starala się nie patrzeć na księcia Nivardów, kiedy kilka chwil później

popchnięto go w stronę rumaka *ashentai*, należącego do Jerdta. Tak jak wcześniej, dowódca przywiązał koniec sznura, owiniętego wokół szyi Ahmeera, do lęku siodła. 1 znowu trzask pejcza dał sygnał do wymarszu.

Rumaki były już złane potem. Ecren spojrzal przez ramię do tyłu. Nivardowie wciąż byli za nimi. Jak psy gończe złapali ich trop i najwyraźniej nie mieli ochoty zrezygnować z polowania.

Niechętnie wykonał rozkaz starego wojownika i oddzielił się z Levaniem od pozostałych, by zmylić Nivardów. Od pięciu zim to on był tym, który osłaniał ślepą stronę swego pana podczas walki. Nie podobalo mu się, że to zadanie miało przypaść komuś innemu — nawet na krótki czas. Dopiero, gdy spotkają się z resztą przy starym moście, prowadzącym przez Wąwóz Kassen, będzie mógł zająć swe miejsce przy lewym boku swego dowódcy. Znowu odwrócił się, ryzykując spojrzenie na chmurę solnego kurzu, która podążała za nimi. Nadszedł czas zakończyć polowanie. Ostрым okrzykiem zwrócił na siebie uwagę Levana, dając mu znak, by zatrzymać konie. Młody wojownik wykonał rozkaz z uśmiechem. Obrócili swe konie, zostawiając z tyłu konia Corfara, który niósł większą część bagażu i niespiesznie ruszyli naprzeciw Nivardom. Ecren wyciągnął z pochwy swój miecz, a Levan dobył swej zakrzywionej szabli. Potem — gdy byli już dość blisko — wymienili spojrzenia, kiwnęli głowami, spięli konie ostrogami i ruszyli ze straszliwym wrzaskiem i obnażonymi zębami na swych zaszokowanych prześladowców.

Już przy pierwszym starciu większość wyczerpanych pościgiem rumaków Nivardów, padła na rozżarzoną sól. Nie były w stanie dorównać siłą i wytrzymałością rumakom *ashentai*. Jeździec na koniu ma zdecydowaną przewagę nad wojownikiem na nogach, i Ecren, i Levan pozbyli się swych przeciwników co do jednego, bez litości. Dziewięciu wojowników Nivard nie miało nawet cienia szansy. Szybko było po wszystkim.

Ecren wytarł krew ze swego miecza i wsunął go z powrotem do pochwy.

- Pięciu twoich i czterech moich. Walczysz coraz lepiej, chłopcze. Widać, że pan cię szkoli. Niedługo zaczniesz próbować wygryźć mnie i Brachana, co? - odwrócił się z uśmiechem — i spojrzal prosto w zielono połyskujące oczy. Nad solną taflą rozległ się krzyk, którego nikt nie usłyszał.



Owinięta w dwa koce, Lijanas skuliła się jeszcze bardziej na twardym, skalnym podłożu, obserwując cienie strażników, krążących niemal bezszelestnie po płaskowyżu. Nigdy by nie pomyślała, że z tęsknotą będzie myśleć o nocach, spędzonych w nieprzyjemnym towarzystwie Mordana, na jego ciepłym, wygodnym posłaniu ze skór. Ale od kiedy wraz z mrokiem między skałami Gór Słonych zagodził również chłód - tęskniła.

Im wyżej docierali, tym mniejszy było czuć wpływ solnej pustyni. Powietrze było dużo chłodniejsze, a czasem smagał ich nawet niemal lodowaty wiatr.

Ukradkiem przetarła piekące oczy, nim rozejrzała się ostrożnie.

W półkolu paliło się kilka ognisk, a od ich blasku wszystko pogrążone było w drgającym świetle. Na skraju powierzchni oświetlonej przez płomień zobaczyła cieniste ruchy Kierów, którzy pełnili wartę. Pozostali spali zawinięci w swe peleryny między ogniskami. Nieco oddalony leżał na posłaniu ze skór i koców, w cieniu skały, Jerdt.

Odważyła się rzucić szybkie spojrzenie w stronę jeńców i Ahmeera. Już kiedy z dała Nivardom wody, czy zatroszczyła się o nich w jakiś inny sposób. Trzej wojownicy leżeli zwinięci w pobliżu skalnej ściany, ze skępowanymi rękoma i nogami - prawdopodobnie zasnęli, całkowicie wyczerpani. Głowa księcia spoczywała na jego piersi. Osunął się do przodu i wisiał bezwładnie w rzemieniach, którymi przywiązany był do skały. Najwyraźniej on także spał. Zamyślona przygryzła wargę i rozejrzała się za strażnikami w pobliżu niego. Nie było nikogo widać, jednak ogniska rzucały na niego niespokojne cienie — jego zniknięcie zostałoby szybko zauważone. Najpierw musiałaby więc rozwiązać pęta nivardzkich wojowników. Nie mogła

pojąć, jak Ahmeer mógł oczekiwać od niej, że uwolni tylko jego. — „Jeszcze nigdy nie zostawiłem żadnego z moich ludzi...”

Wbiła zęby mocniej w wargę i jeszcze raz omiotła spojrzeniem obozowisko. Nie licząc trzaskania ognia, chrapania i sporadycznego pochrząkiwania śpiących, było cicho. — *A co będzie, jeśli nie uda mi się uwolnić Ahmeera i jego ludzi? Co, jeśli zostanę przyłapana? Jerdt ma rozkaz dostarczyć mnie do swego króla w Turasie; nic mi nie zrobi! Także Ahmeer jest jako zakładnik zbyt cenny. Ale wojownicy?! —* zacisnęła powieki. — *Lepiej nie myśleć o tym, co mógłby z nimi zrobić. To po prostu musi się udać!*

Znowu spozrzała ukradkiem na śpiących. Ogniska zaczynały się dopalać. Blask płomieni już tylko słabo dosięgał Ahmeera. Koncentrując się na tym, by nie było słychać najmniejszego dźwięku, wydostała się ze swych koców i zwinęła grubą wełnę tak, by z daleka wyglądało na to, że cały czas śpi, przykryta. Potem wśliznęła się w mrok u stóp skalnej ściany. Przez chwilę trwała bez ruchu, czekając na krzyk ostrzeżenia, który donosiłby o jej zniknięciu. Nie pojawił się, więc podkrađła się, pochyłona, do wojowników Nivard, zatrzymując się co chwila, nasłuchując i dziękując cały czas w bezgłośnej modlitwie Łaskawej Bogini za to, że najwyraźniej trzyma nad nią swą rękę, osłaniając ją. Ku jej zaskoczeniu i jednocześnie uldze, najstarszy z trzech jeńców nie spał. Jego oczy otworzyły się ze zdumienia, kiedy wyłoniła się tuż nad ziemią z cienia i wśliznąwszy za niego, zaczęła rozwiązywać jego więzy. Jednak potem leżał zupełnie cicho, jedynie jego napięte ciało zdradzało, że teraz on obserwował strażników Kier. Kilka razy cichym syknieniem dał jej do zrozumienia, że ma się nie ruszać, bo właśnie jeden z Kierów patrzy w ich stronę. Jednak wreszcie był wolny. Kiedy szepnęła: — *Poczekajcie z ucieczką, aż rozwiążę księcia!* — odpowiedział jedynie ledwie widocznym skinieniem głowy. A gdy Lijanas wycofała się w czerń stromej ściany, zabrał się za uwalnianie swych towarzyszy.

Właściwie nie było trudno zbliżyć się do Ahmeera. Skala, przy której był przywiązany, rzuciła w blasku ognia głębokie cienie, sięgające aż do miejsca, gdzie zaczynała się ciemność, umożliwiając jej kamuflaż. Ostrożnie wyprostowała się za blokiem skalnym, pochyliła nieco do przodu i dotknęła ramienia Ahmeera. Obudził się z przestraszonym chrząknięciem. Lijanas szybko ukryła się za skałą, przez kilka uderzeń serca nie odważyła się nawet oddychać. Czy kroki strażników faktycznie ucichły? Czy naprawdę słychać było rozmowę półgłosem? Kiedy upłynęła

kolejna chwila, odważyła się nieco odetchnąć. Nie, musiała się pomylić. Szybko zaczęła rozwiązywać jego pęta. Kiedy spostrzegła, że rzemienie, którymi Ahmeer przywiązany był do skały, to nie były te same rzemienie, którymi spętane były jego ręce, omal nie zakląła. W takim razie dobrze, zajmie się tymi sznurkami, kiedy oddalą się już trochę od obozowiska Kierów. Spojrzała krótko w stronę wojowników Nivard. Ciemny blysk w ich oczach zdradził jej, że ci ludzie obserwowali ją, a przynajmniej Ahmeera. Lijanas wystawiła rękę zza skały, dotknęła ramienia księcia, żeby zaczął powoli przesuwając się wzdłuż kamienia w jej stronę, kiedy nieoczekiwanie wśród Nivardów zawrzało. Nagle jeden z nich poderwał się i uciekł w mrok. Wybuchło zamieszanie, odwróciła się — i ujrzała naprzeciw siebie Jerdta, który obserwował ją z mroku pod skałą, obnażając zęby, co miało być pewnie drwiącym uśmiechem. W następnej chwili złapał ją jeden z wojowników Kier, zaciągnął do światła, które rzucały ogniska, podsycane właśnie przez kilku ludzi, i pchnął ją na kolana. Jedną rękę wykręcono jej boleśnie do tyłu, czyjaś dłoń chwyciła ją za włosy i pociągnęła głowę do tyłu, tak że musiała podnieść wzrok. Jerdt wydal swym ludziom kilka krótkich rozkazów, potem podszedł do niej powściągliwym krokiem, podczas gdy Ahmeer znowu został przywiązany do skały, tym razem twarzą do kamienia. Okryta rękawiczką lewa dłoń jasnego wojownika zacisnęła się na jej gardle, brutalnie przechylając jej głowę jeszcze bardziej do tyłu.

— Szkoda, że musisz dojechać do Turasu nienaruszona, inaczej pozwoliłbym moim ludziom, żeby się tobą zabawili aż do znudzenia - jego słowa były groźnym sykiem. — Ale zostaniesz ukarana, moja droga. Dziesięć razy! — palce Jerdta wpily się boleśnie w gardło Lijanas, a gdy zaczęła sapać przerażona, na jego ustach pojawił się uśmiech. — Jeszcze pożałujesz, że chciałaś uwolnić księcia Nivardów. Obiecuję ci! — puścił ją i cofnął się. — Ale najpierw popatrzysz sobie, jak twój ukochany będzie się zwiłaj pod pejcem.

Szeroko otwartymi z przerażenia oczyma Lijanas przyglądała się, jak jeden z jego ludzi podszedł do niego, chcąc mu podać pejcz. Krótki gest Jerdta kazał mu zaczekać, ponieważ jeden z wojowników wybiegł właśnie z ciemności, kierując się ku swemu panu. Z pięścią na piersi złożył szybko sprawozdanie, otrzymał krótki rozkaz i zniknął z kilkoma innymi Kierami pośród skal.

Niemalże znudzony, drugi dowódca wojsk Haffrena zwrócił się znowu w jej stronę.

— Gdyby cię to interesowało, moja droga, twoje małe przedsięwzięcie odniosło przynajmniej częściowo sukces. Jednemu z tych nivarzkich psów udało się uciec. Ale bez obaw, moi ludzie już go szukają. Rozkazałem im podciąć mu ścięgna kolanowe, jeśli go znajdą, i zostawić padlinożercom. Żal tylko ciebie, że będziesz musiała odpowiedzieć także za jego ucieczkę. Biorąc pod uwagę nowe okoliczności, będę musiał podnieść twoją karę do piętnastu razy - wziął pejcz z ręki mężczyzny i zaczął swe przerażające dzieło.

Lijanas chciała odwrócić głowę, lecz nie pozwoliła na to ręka, trzymająca ją za włosy. Zaciśnęła powieki, lecz wtedy nagle zamilkło świstanie pejcza i poczuła zimne ostrze na swym policzku.

- Otwórz oczy! — Poczula na swym uchu oddech Jerdta. — Albo każe ci je otworzyć drzazgami!

Zaczęła drżeć, lecz potem zrobiła to, co kazał. Dławił ją strach. Spojrzała w jego stronę i zobaczyła dziwną żądzę w jego oczach. Zabrał sztylet z jej twarzy i podszedł znowu do księcia Nivardów — pejcz znowu spadł na plecy ofiary. Ahmeer odrywał się od szorstkiej skały za każdym uderzeniem. O ile pierwsze razy znosił w milczeniu, to przy kolejnych słyhać było jego przeraźliwe krzyki. W pewnym momencie zawisł w swych pętach, straciwszy przytomność.

Jerdt podał pejcz jednemu ze swych wojowników, i kiwnął na dwóch ludzi, by zaciągnęli Lijanas między ogniska. Jej bezradny opór spotkał się z szyderczym śmiechem.

W dali boki trzech potężnych gór załśniły kolorem ciepłego złota w blasku wschodzącego słońca, kiedy kopniak obudził brutalnie na wpół przytomną, zbolalą Lijanas. Na plecach poczuła falę udręki. Jednak już po chwili chwyciło ją dwóch wojowników, którzy postawili ją na nogi i zaciągnęli w stronę siwka Ahmeera, gdzie została wsadzona brutalnie na siodło. Jej nadgarstki przywiązano do lęku siodła. Ruszyli w drogę. Lijanas znowu straciła przytomność.

Słońce na zachodzie było już znów nisko, kiedy wyszli spomiędzy stoków na skalny taras. Pod ich stopami rozciągała się potężna równina. Jej krańce lśniły głęboką purpurą, na wschodzie promienie słońca odbijały się w małym jeziorze, zasilanym przez rzekę, której ciemna wstążka dzieliła równinę na dwie części. Lijanas nie miała ochoty podziwiać piękna roz-

ciągnącego się pod jej stopami. Jej plecy płonęły. Tak jak pozostali jeńcy, przez cały dzień nie dostała nic do picia, ani do jedzenia. Kiedy jeden z Kierów zadął w róg, drgnęła. Przejrzysty, jasny dźwięk niósł się przez równinę — i po chwili z daleka dało się słyszeć odpowiedź.

Teraz jednak podniosła głowę i spojrzała ponad tarasem. Pośrodku równiny stały liczne namioty. Dym ognisk wznosił się ku niebu w kolorze ochry. Na dole roily się postacie, co wywołało wspomnienie ula. Bardzo powoli docierało do niej, co to było tam, na dole — obóz wojskowy Kierów. Potem Jerdt wydał już rozkaz i oddział ruszył.

W pewnym momencie do jej uszu dobiegł dziwny szmer, a kiedy zmęczona podniosła wzrok, spostrzegła, że jechali pomiędzy skórzanymi namiotami, a wojownicy Kier tworzyli alejkę aż do samego środka obozu, gdzie Jerdt zatrzymał swego konia.

Wiadomość, że wrócił drugi dowódca Haffrena i przywiózł ze sobą niwarczki jeńców, wśród których był sam książę Ahmeer, musiała się roznieść jak ogień latem. Wokół niej stali ponuro wyglądający Kierowie, przyglądający się jej z ciekawością i laskawością zarazem. Słyszała ich szept. Jerdt rzucił jednemu z wojowników linę Ahmeera, wydał rozkaz, na który ten odpowiedział pokłonem i uderzeniem pięści w pierś, potem jeńców zabrano. Lijanas została sama. W końcu Jerdt odwiązał jej ręce od lęku siodła i pomógł jej zsiść z konia. Trzymając koniec powrozu w rękę, chciał uświadomić wszystkim, czym była: jego osobistą zdobyczą.

Poczuła się, jakby została uwięziona w jakimś koszmarze.

Młody mężczyzna z ogolonymi krótko włosami i żelaznym pierścieniem na szyi, zbliżył się do nich spieszenie, aby w pokornym poklonie wziąć cugle białego rumaka. Przez krótką chwilę Lijanas popatrzyła mu w oczy, kiedy odważył się na moment podnieść wzrok i spojrzeć na nią — zobaczyła w nich strach. Szybko wbił z powrotem wzrok w ziemię i z pośpiechem odprowadził *ashentai*. Jerdt chwycił Lijanas za ramię i odwrócił się — dziwnie oszołomiona, pozwoliła, by pociągnął ją za sobą - i zatrzymała się w pół kroku, ze wzrokiem skierowanym na dwie chorągwie, wiszące jedna nad drugą na palu i powiewające ociężałe na wietrze.

W następnym uderzeniu serca między namiotami rozległ się jego wściekły krzyk.

Groźna cisza zawisła nad placem, potem ciemnowłosa kobieta przecisnęła się między szeregami mężczyzn, najwyraźniej zupełnie niewzruszona jego rykiem. Wyglądała na kogoś, kto z napięciem czekał, jak słuchacz

zareaguje na głupi dowcip. Skinąwszy głową i wypowiedziawszy coś, co zabrzmiało jak pozdrowienie, stanęła przed nim, opierając pięść na rękojeści miecza, który nosiła u boku.

Jeszcze nie skończyła, gdy Jerdt wrzasnął na nią ostro, gestykułując w stronę tych dwóch sztandarów.

Wyraźnie zaskoczona, wojowniczką popatrzyła krótko w kierunku, który wskazał, nim znowu spojrziała na niego i odpowiedziała coś, uśmiechając się zarozumiale.

Reakcja Jerdta zabrzmiała jak wściekle zadane pytanie — odpowiedź padła z ust kogoś, kto stał za nim.

Na dźwięk jego głosu twarz drugiego dowódcy wojsk Haffrena momentalnie pobladła. Wojowniczką z uśmiechem uderzyła pięścią w pierś na znak wojskowego pozdrowienia.

Jedrt odwrócił się gwałtownie, szarpiąc za sobą Lijanas. Poczula ból w plecach, jęknęła bezradnie - i wlepiła wzrok w wojownika, który stał teraz przed nią.

Burzowo-szare oko Mordana zatrzymało się na młodej uzdrowicielce. W groźnym uśmiechu błysnęły jego kły, gdy odezwał się do drugiego dowódcy Haffrena.

Jęknęła cicho, kiedy palce Jerdta wpiły się na chwilę mocniej w jej ramię, by po chwili je puścić. Słowa Kiera o blond włosach brzmiały radośnie, kiedy wylewnie objął tego drugiego. Jednak potem cofnął się, przyglądając się mu wnikliwie, przy czym zapytał go o coś zatroskanym głosem.

Odpowiedź Mordana była krótka i ironiczna. Chłodny uśmiech pojawił się na ustach ciemnego wojownika - ale cały czas nie spuszczał wzroku z Lijanas. Ona też patrzyła na niego, wciąż nie mogąc uwierzyć, że faktycznie przed nią stoi. Lecz potem była już tylko jedna myśl:

Teraz wszystko będzie dobrze!

Niemalże znudzony, Mordan chwycił za koniec sznura, którym była związana, zaczął owijać go sobie niedbale wokół dłoni — przyciągając ją za każdym zawinięciem coraz bliżej do siebie, aż stanęła tuż przed nim, z nadgarstkami przy jego pięści. Na jego palcu lśnił ten ciężki, złoty pierścionek z pieczęcią, który widziała już wcześniej na skórzanej tasiemce na jego piersi.

Odpowiedź Jerdta za jej plecami była dziwnie zduszona, zdawało się jej niemal, że słyszała w niej opanowany z wielkim trudem gniew. Bardzo

powoli ciemny wojownik przesunął miękkim wierzchem dłoni po policzku Lijanas, złapał ją nieoczekiwanie za włosy i pociągnął jej głowę do tyłu, przyciągając ją jeszcze bliżej do siebie.

- Ucieczka była błędem, uzdrowicielko, którego jeszcze pożałujecie!
- w ustach miał jakiś dziwny słodko-kwaśny zapach, od którego mimowolnie chciała się odsunąć. Jego chwyty udaremnił to.

- Sprawiacie mi ból! — wyrzuciła z trudem. Ulga, że żyje, że jest „tutaj”, zniknęła.

To jakiś koszmara!

- Do zachodu słońca sprawię wam ból jeszcze w inny sposób, uzdrowicielko.

Ton jego głosu mówił jej bardzo wyraźnie, co miał na myśli. Bezradnie spojrzała na niego i zauważyła, że coś żuje, obserwowała, jak kilkakrotnie przelknął sucho i z trudem ślinę, jakby jego gardło było zbyt wąskie. Czula na skórze, że jego palce były gorące i wilgotne. W aksamitnej sierści na jego skroni wisiały blade krople potu, a czarny środek burzowego oka nie był większy od czubka pióra — nagle zrozumiała, dlaczego był w sranie stać na swych własnych nogach; dlaczego sprawiał wrażenie, jakby był w pełni sił. Wstrzymała oddech, uświadomiwszy sobie, w jakim niebezpieczeństwie się faktycznie znajdował.

- Proszę, musicie... - jej słowa skończyły się jękiem, kiedy chwycił jeszcze mocniej.

- Nie chcę słyszeć ani słowa, uzdrowicielko - powiedziała, a potem popchnął ją tak, że wylądowała z cichym krzykiem w rękach dwóch wojowników; rzucił jednemu z nich koniec jej pęt i wydał kategorię rozkaz. Mężczyźni skinęli lekko i pociągnęli Lijanas, pomiędzy pozostałymi Kierami, w stronę dużego, okrągłego namiotu, przy którym zaatakowała chorągiew z dwugłowym wilkiem na ciemnoczerwonym tle, i przed którego wejściem stały strażnicy. Już kiedy zobaczyła ten sztandar po raz pierwszy, gdy była świadkiem wściekłości i przerażenia Jerdta, kiedy Mordan nagle stanął za nim, straciła wszelką nadzieję. Wojownicy wciągnęli ją przez wejście, w którym wisiały skóry, do środka namiotu, a ona nie mogła już się kurczowo trzymać myśli, że Ahmeer mylił się, sądząc, że Mordan jest tylko jakimś wysokiej rangi wojownikiem Kessanem. On faktycznie był jednym z trzech dowódców armii Haffrena! Jeszcze gorzej: naprawdę był tym, którego zwano „Krwawym Wilkiem”!

Dziwnie odurzona pozwoliła, by ci ludzie cisnęli ją przy jednym z czterech bocznych słupków, na podłogę przykrytą dywanami i skórami, i przywiązali do niego jej nadgarstki powyżej głowy. Na plecach czuła tętniący ból. Ledwie zdążyła się zorientować, że wojownicy zostawili ją samą, kiedy kłapa namiotu znowu się podniosła i weszła jakaś kobieta. Brązowe oczy mierzyły Lijanas, kiedy podchodziła do niej powoli, bawiąc się blond lokiemi. Na jej ustach widniało przerażające szacowanie, z którym mieszała się złośliwość, na widok postrzępionych resztek sukni, które młoda uzdrowicielka miała na sobie. Dłoń ozdobiona splecionymi, czerwonymi symbolami, musnęła suknię w kolorze słońca, którą miała na sobie. Drobnie tkane płótno pieściło jej długie nogi; z jednej strony, wetknięta pod szeroką, jedwabną szarfę, spódnica odsłaniała więcej, niż przystawało, gdy tymczasem górna część opinała jej ciało tak mocno, że wyraźnie zaznaczało się pod materiałem. Kiedy ta kobieta podeszła do Lijanas, pochylili się nad nią, odgarnęła jej potargane włosy, chwyciła je mocno, przyglądając się srebrnej sieci blizn na jej skroni i wreszcie dotknęła blizny palcami.

Lijanas cofnęła się, próbując uwolnić z jej uścisku, jednak tamta tylko parsknęła pogardliwie i dotknęła biało-srebrnych lusek na skórze Lijanas.

W końcu rozluźniła, z najwyraźniej poniżającym komentarzem, palce, odwróciła się i podeszła do stolika, który — suto zastawiony — stał wraz z dwoma wyścielanymi futrem fotelami o wygiętych podłokietnikach po przeciwległej stronie namiotu. Opieszalymi ruchami nalala wina z karafki do pucharu z kutego złota i napiła się. Lijanas oblizwała na ten widok usta. Z kocim uśmiechem na twarzy kobieta odwróciła się do niej, wzniosła drwiąco puchar i opróżniła go.

Lijanas milczała, a po kolejnym wyniosłym spojrzeniu Kierka wreszcie się odwróciła, odstawiając puchar na stół. Jednym szarpnięciem odsunęła na bok obie połowy skórzanej zasłony, dzielące tylną część namiotu od przedniej, i przywiązała je do bocznych słupków. Potem położyła się z pucharem wina w rękę na suto obłożonym miękkimi skórami i jedwabnymi narzutami łóżku, ukrytym za zasłoną. Wspierała się na łokciu, poprawiła spódnice, która odsłaniała jej nogi niemal do kolan, rzuciła Lijanas jeszcze jedno nienawistne spojrzenie i wyglądało na to, że oczekuje Mordana.

Wyczerpana uzdrowicielka oparła głowę o ramiona, próbując zapomnieć na chwilę, gdzie jest, i po prostu dziękując Łaskawej Bogini za to, że nie jest już w rękach Jerdta. Zamknęła piekące oczy. Jerdt był bestialsko

okrutny — i rozkoszował się tym. Mordan może był brutalny, ale nie był okrutny. Przynajmniej tak było do tej pory - lecz jak jest teraz? Niewątpliwie był wściekły, a jego rozum w tej chwili zmałowany. Co, jeśli zechce natychmiast ukarać ją za ucieczkę?

Wtedy wolałabym Jerda. W tej chwili Mordan jest nieobliczalny.

Spojrzała w stronę wejścia do namiotu, w którym wisiały skóry, błagając w duchu wszelkie duchy, by Mordan zjawił się niebawem - nim będzie za późno, by coś dla niego zrobić. Ale nie nadchodził. Z zewnątrz docierał do niej śmiech mężczyzn. Słyszała głosy wojowników stojących przed wejściem, którzy komuś odpowiadali na pytanie. Rozległy się krzyki i znowu ucichły. Pomyślała o Ahmeerze, zastanawiając się, co się z nim dzieje, co Kierowie mogli zrobić jemu i jego ludziom. Zrozpaczona zaszyła głowę w ramionach. Pośród Kierów był tylko jeden, którego mogła prosić o pomoc — a ten balansował właśnie po bardzo cienkiej krawędzi.

W pewnym momencie wyciągnęła zdrętwiałe nogi na miękkich skórkach leżących na podłodze i zaczęła oglądać wnętrze namiotu. Cztery boczne słupki były ozdobione wypalonymi symbolami i srebrnymi oraz złotymi gwoźdźmi, środkowy słupek był jednak zupełnie pozbawiony ozdób. Skórzane rzemienie zwisały od jego czubka aż do podłogi, pokrytej rozrzuconymi skórami i dywanami. Misy z ogniem dawały przyjemne ciepło, pograżając wszystko w przytulnym, złotym świetle i powodując, że okucia kilku ciężkich skrzyń polyskiwały jak ostrza broni stojącej pod ręką, w drewnianym stojaku. Na bocznych ścianach wisiała chorągiew Astracharu wyobrażająca morskiego smoka, razem ze snopami zboża Tejidannaru i czerwoną wieżą Sajidarrah obok herbów, których nie знаła. Wszystkie były nadpalone albo schlapane krwią - trofea minionych bitew. Między nimi powieszono drogocenne gobeliny, na których jeźdźcy ze swymi psami ścigali jelenia, myśliwy na koniu dopadał dziką, a po równinie galopowało stado rumaków *ashentai*. Za łóżkiem wisiał gobelin, który najwyraźniej utkany był z najdelikatniejszego jedwabiu z Fehanu. Na lśniącym granatowym tle wznosiła się stroma skała, u której stóp leżały krwawe zwłoki sfory wilków. Na górze, na szczycie skały, samotny wilk odchylił głowę w tył, wyjąc z bólu ku trzem księżycom pograżającym wszystko w srebrnej poświacie.

Kiedy przed wejściem do namiotu znowu rozległy się głosy, Kierka o ciemnych blond włosach poprawiła oczekująco swą pozycję. Potem kłapa namiotu otworzyła się i wkroczył Mordan. Jego spojrzenie powę-

drowało po pomieszczeniu, musnęło jedynie mimochodem kobietę na łóżku i zatrzymało się na Lijanas. Powoli podciągnęła nogi i podniosła się sztywno na bolące kolana.

— Kierze, proszę...

Kobieta wstała szybko ze swego miejsca i, spoglądając jadowicie na Lijanas, podeszła do ciemnego wojownika, podając mu puchar napel-niony winem i mrużąc przy tym słowa powitania. Bardzo powoli jego oko zwróciło się w jej stronę. Jego dłoń podniosła się bardzo wolno, jak na niego, gdy przyjął od niej puchar i podniósł go do ust.

— Kierze, nie! Nie wolno wam...

Syknąwszy, spojrzal znowu na Lijanas.

— Milczcie, uzdrowicielko! Nie chcę slyszec ani słowa z waszych ust!

Kobieta objęła rękoma jego szyję, tuląc się do niego i szepcząc mu z uśmiechem coś do ucha.

— Kierze, proszę, posłuchajcie mnie...

— Powiedziałem, że macie się uspokoić! — jego głos był ochryply, słowa z trudem przechodziły mu przez usta.

— Proszę, chcę przecież tylko...

— Ciszal! — syknął i pokazal swe kly. Puchar trafil z niebezpieczną do-kladnością w słupek tuż nad nią. Lijanas szybko się schyliła, poczuła, jak rozpryskuje się na nią wino. Ból palil jej plecy, jęk wyrwal się z jej ust. Prawdopodobnie Mordan rzuciłby się na nią, gdyby kobieta nie przy-cisnęła go znowu, skoncentrowana na tym, by odwrócić jego uwagę od swej domniemanej rywalki. Dziwnie poirytowany Mordan odwrócił się do niej. Kolano kobiety przesuwalo się po jego nodze. Jej głos brzmial jak gardlowe mrużenie, kiedy mówiła. Zanurzyła palce w jego włosach i pocałowala go namiętnie w usta, tylko po to, by po chwili oderwać swe wargi od jego warg ze zdyszczanym śmiechem. Lijanas starała się nie myśleć o bólu, jaki sprawialy jej palące pręgi.

— Kierze, proszę, posłuchajcie mnie tylko przez...

— Spokój!

Lijanas zamilkła przerażona, wpatrując się w sztylet, który jeszcze drzał, wbity w drewno słupka — kawaleczek dalej od niej, na grubość palca, i... Z ogromnym wysiłkiem udało jej się oderwać wzrok od śmier-cionośnego ostrza, pomógł jej w tym gruchający śmiech kobiety. Kiedy znowu spojrzala na nią i Mordana, czarnowłosy wojownik właśnie opadł na jedno z krzesel. Jakby to było zaproszeniem, Kierka zaczęła znowu

na niego napierać. Jej dłonie szarpały jego pasek, z cichym brzękiem pas z przypiętymi do niego mieczami upadł na podłogę. Potem jej palce powędrowały do sznurków jego kaftana, rozsznurowały ubranie, a ona nie dostrzegła przy tym jego dziwnego wzroku, którym wodził za jej ruchami. Lijanas dobrze to widziała, szarpała zrozpaczona swe więzy, ignorując płomień na plecach. W końcu kobieta powoli się wyprostowała, zsunęła kaftan z jego ramion, obsypując przy tym bez przerwy jego pierś, przez tunikę, pocałunkami, by potem zająć się jego spodniami. Podczas gdy jedna jej ręka szarpała za sznurki, druga głaskała jego brzuch, wędrując w górę pod materiałem - aż nagle zatrzymała się i z okrzykiem zaskoczenia podniosła głowę.

Wyglądało to tak, jakby Mordan przebudził się z transu. Niespodziewanie wstał i jednym ruchem odepchnął ją od siebie, w stronę wyjścia z namiotu, gdzie upadła na dywany.

Jego głos brzmiał jak ochryple warczenie, kiedy - wyraźnie ku jej przerażeniu — wyrzucił ją.

Wyciągając dłonie w błagalnym geście, podniosła się na kolana i chciała podczołgać się z powrotem do niego.

Jednym ruchem zrzucił wszystko ze stołu, rycząc coś.

Krzyknęła i wybiegła z namiotu.

Kiedy Mordan odwrócił się w jej stronę, Lijanas przestała szarpać więzy. Chwiejnym krokiem podszedł do niej, poruszał się przerażająco, jak drewniana kukła, jego wzrok był rozmyty. Widziała, jak jego usta się poruszały, słyszała, jak coś szeptał, nie rozumiejąc jego słów. Tuż przed nią zatrzymał się, uniósł dłonie, zwijając palce jak szpony. Lijanas cofnęła się przed nim na ryle, na ile pozwalały jej więzy. Nagle kolana się pod nim ugięły i upadł na podłogę, nie wydawszy żadnego dźwięku.

Kiedy gwałtownym ruchem otworzyła drzwi do sali audiencyjnej i poszła prosto do księcia, szlachetnie urodzeni petenci i pochlebcy patrzyli na nią z oburzeniem. Czekali wiele godzin, przekupywali służbę złotem, by dopuszczono ich do księcia, a teraz ona miała czelność, tak po prostu sobie tu wejść. Jak zwykle Eliazanar nic sobie z tego nie robiła. Z szacunkiem skłoniła się przed swym panem, a ten powoli opuścił pergaminy, które jeszcze chwilę temu studiował. Dostrzegła złe przecucie w jego

szarym spojrzeniu. Na jej krótki znak strażnicy odepchnęli kawalek do tyłu nasłuchujących chciwie obecnych gości.

— Mój książę, obawiam się, że przynoszę złe wieści - ostrożnie pokazała mu to, co cały czas skrywała pod pachą. — To jeden z gołębi, które dałam księciu Ahmeerowi, by wysłał mi wiadomość, jeśli będzie to konieczne. Ptak wrócił do klatki. Nie miał wiadomości, ale to - tutaj!

Przytrzymała ptaka, żeby mógł dostrzec rdzawo-czerwone plamy na jego piórach.

— Krew?

— Tak, mój książę. Ktoś zranił to zwierzę. Przypuszczam, że strzelano do niego, kiedy zostało wypuszczone.

— Kierowie?

— Tego się obawiam, mój książę. Czy otrzymam waszą zgodę, by wyruszyć z częścią moich ludzi na poszukiwanie księcia?

— Oczywiście, Eliazar. Daję ci wolną rękę! I przyprowadź mi tę kierską bestię, która odpowiada za to wszystko!

Dowódczyni armii Astracharu znowu się skłoniła, oddalając się przodem do swego pana, nim odwróciła się w swych krwistoczerwonych, zwiewnych szatach i długim krokiem opuściła salę.

Pałacy ogień! Wszędzie! Ktoś wyssał mu krew z żył i wlał zamiast niej gotującą truciznę. Głosy nad nim. — Jeż... — Głosy rozmawiające ze sobą w obcym języku. Dłoń na jego karku. - Jeż poluje na lasicę... - Ból, kiedy ktoś przytyka puchar do jego ust. — *Dlaczego mnie dręczycie? Co ja zrobiłem?* — Głos, który każe mu pić. — *Zostawcie mnie! Zostawcie, nie chcę!* — Marznie i płonie jednocześnie. — ...łasicą, krąży wokół niego... - Gorzki smak wypełnia jego usta, dławi się, szamocze. Czyjeś dłonie przytrzymują jego dłonie. Nie może przelykać. Nie może oddychać. Nagle wie, kto się nad nim pochyla. Arkell! Arkell, który zmusza go, by pił ocet, aby złamać jego wolę. Pij! Bądź posłuszny! Zwija się, uderza swego kata z rozpaczliwą siłą. — Jeż poluje na lasicę... - Puszcza go, upada w tył, nagle nie ma siły. Wybucha nad nim ogień, odbiera mu oddech. Głos jakiejś kobiety, bardzo blisko. — *Mama?* - ...dookoła ciernistego krzewu. — *Mamo, dlaczego mnie nienawidzisz? Co ja zrobiłem? Dlaczego mnie nie chcesz? Jestem przecież twoim synem!* — Wilgoć na jego twarzy. Próbuje ją

zetrzeć. Nikt nie powinien widzieć jego lez. Nie wie, czy jego członki będą mu posłuszne. Czyjaś dłoń miękko głaska go po czole. Ten dotyk pali na rozpalonej skórze. Parzy go. Znowu bolą wargi. Znowu gorzki smak w ustach. Jego gardło jest zbyt wąskie, by móc to przelknąć. Bezradne dławienie, wrażenie, że się dusi. — ...dookoła..., dookoła... — Jakiś cień pochyla się nad nim. Nagle znowu pojawiają się dłonie, które przyciskają jego dłonie. Walczy całym ciałem, wyje, kiedy przywiązują mu ręce. Cichy głos. Szepcze uspokajające słowa w obcym języku. Pozornie taki łagodny. Pozornie taki życzliwy. I tak straszny. Zadadzą mu ból! On to wie! Zawsze zadają mu ból! Broni się, broni — jeź poluje na lasicę — broni się. Jego zmysły zalewa żar.

Mysz wila się na swym ogonie, kiedy podał ją czarnemu ptakowi. Ciche kraknięcie, chaps, i zwierzątko zniknęło w ostrym, lekko zakrzywionym dziobie. Bez pośpiechu rozwinął wiadomość, którą przyniósł mu czarno upierzony posłaniec, i zaczął czytać. Uśmiech zadowolenia pojawił się na jego wąskich ustach. A więc książkę z rodu czapli był już w jej rękach. To, że w sprawę uzdrowicielki wtrącił się Jerdtowi pierwszy dowódca armii, nie miało znaczenia. Jego rozkaz brzmiał, by dostarczyć kobietę do Turasu, i on właśnie to robi - jak dobrze wytresowany pies. Z namysłem dotknął palcem ust. Warto było przekonać Haffrena, by zostawił go przy życiu, zamiast zabić, kiedy się urodził. I również zadbanie o to, by u Kessananów został wyćwiczony według starej metody, aby wykonywać każdy rozkaz bez pytania, było dobrym pomysłem. Uśmiechnął się jeszcze szerzej. Jego lud od zawsze czynił z wrogów swoje narzędzia. Tak było przed wieloma zimami z Aslajin i jej *cogenami* — i tak będzie znowu. Krew zamieni się w więcej krwi.

Lijanas odstawiła puchar, który Mordan wreszcie opróżnił, na bok i zmęczona potarła kark. Poczula ostre pieczenie na plecach i opuściła ostrożnie rękę. Tylko, kiedy poruszała się powoli, ból śladów po pejczu dawał się znieść. Jej wzrok padł na tacę z pieczenia, pachnącym chlebem, miską zupy, która zdążyła już w międzyczasie wystygnąć, serem i słodkimi

owocami. Obok stał dzban wina - tak samo nieruszony, jak pozostałe smakolyki. Przyniósł je Brachan, zaraz po zachodzie słońca. I choć dał jej odczuć, iż uważa, że to ona ponosi odpowiedzialność za to wszystko, i że jej nie ufa, zadbał, by otrzymała wszystko, czego jej było trzeba.

Która mogła być godzina? Północ już chyba minęła. Może zbliżał się już świt.

Podwinęła do łokci szerokie rękawy jedwabnej szaty i ponownie pochyliła się nad Mordanem, który leżał bez ruchu pośród skotłowanych koców i skór na swym łóżku, dotknęła jego czoła i pach. Jedynie napięta, rozpalona skóra, ani śladu potu, który zapowiadałby, że jego mordercza gorączka wreszcie zaczęła spadać. Przez chwilę trzymała dłoń na jego piersi, wczuwając się w ciężki oddech. Utrata krwi i działanie uboczne liści głogu osłabiły go, żar gorączki trawił jego siły z godziny na godzinę i mieszał mu zmysły tak bardzo, że nie rozpoznawał, kto przy nim jest, ani nie pojmował, co się wokół niego dzieje.

Dopiero, gdy poczuła krew, zdała sobie sprawę, że przegryzła sobie wargę. Większość chorych umiera nad ranem. Odpędziła tę myśl. On jest silny i uparty. Dopóki ma siłę walczyć z gorączką, dopóki chce żyć... Na krótką chwilę zamknęła oczy i niemal bezwiednie palce jej drugiej dłoni powędrowały do jego czoła. Szybko je zabrała. - *Nie! Nie chcę tego wiedzieć! Muszę wiedzieć...* — na moment zacisnęła pięści, potem podniosła koce, zanurzyła obydwoma rękoma gąbkę w misce z wodą, wycisnęła ją energicznie i zaczęła, jak już wcześniej wiele razy, obmywać Mordana, rozpaczliwie próbując przelamać jego gorączkę — a przynajmniej ją nieco obniżyć. Wzdrygnął się z jękiem, kiedy poczuł wilgotny chłód na swoim czole. Lijanas znowu zagryzła wargę. Skóra na piersi i szyi była zaczerwieniona; granatowy jedwab, którym przykryła jego chore lewe oko, tworzył zaś kontrast z twarzą bladą jak wosk. Obmyła mu czoło i policzki, potem poprawiła ostrożnie pasek płótna, który przytrzymał złożony w miękką poduszczkę kawałek jedwabiu na swoim miejscu. Właściwie zdjęła skórzaną klapkę tylko po to, by było mu wygodniej i by mogła mu lepiej zwilżyć twarz wodą. Jednak wtedy odkryła, że pod spodem faktycznie nie było jedynie pustego oczodołu. Na powiece widać było głęboką bliznę, która pochodziła pewnie od uderzenia ostrym kijem albo cienkim pejcem, który przeciął delikatną skórę tak głęboko, że zranił gałkę oczną. Musiało to być kilka zim temu, lecz najwyraźniej leczono wtedy jedynie powiekę, a karygodnie zaniedbano samo oko. Gałka oczna

była zaogniona, białko okropnie czerwone, a czarna źrenica tak duża, że ciemna niebiesko-szara tęczęwka była jedynie wąziutkim pierścieniem. To musiało przez cały czas sprawiać mu ból.

Kiedy po raz pierwszy ostrożnie uniosła powiekę, zaczął się rzucać z potwornym krzykiem i chciał uciec od niej — uciec od słabego światła kaganka, który płonął obok niej. Potrzebowała kilku chwil, by zrozumieć, że najwyraźniej światło przyprawiało go o taki ból. Od tamtej pory dbała o to, by jego twarz leżała w półmroku, kiedy wkraplała mu między powieki łagodzącą i gojącą nalewkę, którą sporządziła z kilku ziół przyniesionych przez Brachana z zapasów wojskowego uzdrowiciela. I może - jedynie może — kiedyś będzie mógł znieść więcej niż tylko słabe, przytłumione światło, jeśli ona zadba o to oko.

Po raz kolejny podciągnęła do góry rękawy o wiele za szerokiej sukni i ponownie wyżeła gąbkę. Brachan dał jej to ubranie z jednej ze skrzyń. Oczywiście było na nią o wiele za duże, i choć kilkakrotnie zawinęła obszyte drogocennym futrem rękawy, ciągle zsuwały się jej na dłonie i spadały z ramion. Jednakże delikatny jedwab był przyjemnie chłodny i miękki dla zmaltretowanych pleców. Ostrożnie dotykała gąbką jego szyi i piersi. Krople wody lśniły słabo w świetle mis z ogniem, które rozświetlały namiot. Na klatce piersiowej błyszczał wąski pierścienek z kamieniem, który nosił na skórzanej tasiemce na szyi; delikatna ozdoba z zielonego kamienia szlachetnego i złota, którego nie nosił jeszcze w Cavallinie, i na którego widok zrobiło się jej ciężko na sercu. To przecież znaczyło, że gdzieś jest jakaś kobieta, której jej Kier chciał подарować coś tak pięknego. — *Mój Kier! Muszę przestać tak go nazywać. On nie jest „moim Kierem”. On jest ich pierwszym dowódcą. On jest „Krwany Wilkiem”. — Czy naprawdę wierzyłam, że w jego życiu nie ma żadnej kobiety — nie licząc tej nierządnicy o ciemnych blond włosach? Jest przystojnym mężczyzną, mimo tej skórzanej klapki na oku. — Co to ma wszystko znaczyć? Kocham Abmeera! Nie jego! On jest tylko..., tylko... przyjacielem? — Czy ja oszalałam? On jest Kierem! Wrogiem! Oni są zwierzętami! — A więc dlaczego boję się, że mógłby umrzeć? — Przeklęty draniu! Dlaczego musiałeś przybyć do Anshary i mnie uprowadzić? To wszystko twoja wina, Kierze!* — jej palce zacisnęły się na gąbce. Woda ciekła mu po brzuchu, po bokach i wsiąkała w skórę. Jęknął słabo, jego dłonie poruszyły się w miękkich paskach płótna, którymi był przywiązany do łóżka. Niepotrzebne okrucieństwo wobec chorego, który nie miał pojęcia, co się z nim dzieje — takie było jej zdanie. Jednak

Brachan nie przejmował się jej sprzeciwem i przywiązał mu nadgarstki po bokach drewnianego stelaża łóżka, po tym jak pierścień Mordana pozostawił głęboki ślad na jej skórze, kiedy zaczął rzucać się w delirium. Przez chwilę mamrotała do niego uspokajająco, nim znowu zanurzyła gąbkę w wodzie i dotknęła nią jego szczupłych ud. Jeden z mięśni na jego udzie drgnął, tuż nad blizną, która pochodziła pewnie od rany po strzale.

Poznała już wszystkie blade znamiona na jego skórze, które świadczyły o starych ranach. Niektóre była w stanie zidentyfikować, inne stanowiły zagadkę — jak te małe owale pokrywające jego łydki aż do kolan — i które znalazła również na jego barkach i rękach, nawet na nadgarstkach i dłoniach; blizny, które były tak stare, że ledwie można było je dostrzec, a które były świadectwem rzeczy, jakich musiał doświadczyć, będąc dzieckiem.

Przykryła go delikatnie, pochyliła się nad nim, przyglądając mu przez chwilę w milczeniu i wsłuchując się w jego dyszący oddech, nim znowu się wyprostowała, napelniła puchar do połowy wywarem ze śnieżnego zieleńca, a w pobliżu postawiła dzban z wodą osłodzoną miodem. Ostatni długi wdech — chwila przygotowania do ciężkiej walki. Potem mocniej chwyciła puchar i wsunęła rękę pod kark Mordana, żeby wlać mu trochę lekarstwa przeciw gorączce i może nawet wmusić w niego trochę wody z miodem — nie udało się jej nawet unieść mu głowy, a już zaczął się rzucać. Lijanas poczekala, pozwoliła mu się powściekać, przemawiając do niego cicho i uspokajająco. Bez skutku. Szarpał swe więzy, skopywał z siebie koce, rzucał się dziko na skórach na tyle, na ile pozwalały mu paski płótna na jego rękach. Nie rozumiała, co krzyczał do niej zdyszany, jednak brzmiało to tak, jakby przeklinał ją z głębi duszy. Lijanas trzymała go, aż opuścili go siły i opadł na nią ciężko. Jej dłoń na jego czole nie pozwoliła mu się odwrócić, kiedy przystawiła kubek do jego zaciśniętych ust. Przez uderzenie serca próbował jeszcze odkręcić głowę, jego oddech uleciał — potem leżał bez ruchu na jej ramieniu. Ostrożnie przechyliła kubek i wlewała mu do ust po kilka kropli lekarstwa, aż kubek był pusty. Podczas ich walki koce zsunęły się na ziemię i chłodne powietrze wywołało gęsią skórę na jego ramionach i nogach, lecz Lijanas zignorowała to i wlała do kubka wodę z miodem. W tej chwili nie było nic ważniejszego od podania jego wysuszonemu organizmowi płynu.

Po raz kolejny dotknęła jego gorącego czoła. Wprawdzie usunęła resztki liści głogu z jego ust, jak tylko Brachan przeciął jej więzy, jednak, tak jak się obawiała, było już za późno. Sok rozpoczął już w jego ciele swe zdradzieckie dzieło.

Dwa dni! Podobnie jak poprzedniego popołudnia poczuła w sobie złość, która na krótki czas pozwoliła jej przestać się martwić. Żuł te przekłete liście dwa dni. To było szaleństwo! Wiedziała, że żołnierze czasem wykorzystywali liście głogu, by powstrzymać na kilka godzin zmęczenie, kiedy otrzymali od swego przełożonego za karę podwójną wartę. Ale dwa dni - to było... Nie mogła znaleźć na to słów. Przy tym Brachan powiedział, że Mordan był świadom, co ryzykuje, sięgając po te liście - nawet, jeśli na początku był to pomysł starego wojownika. Była w stanie zrozumieć, że wpadł na taki pomysł, by móc go utrzymać na nogach przynajmniej do chwili, gdy dowiedzie go w bezpieczne miejsce. Ale żucie liści głogu przez dwa dni — to było szaleństwo! Jeśli Mordan wiedział, na co się naraża, to powinien też wiedzieć, że sok liści głogu to wolno działająca trucizna. Dlaczego to zrobił?

Odjęła kubek od jego ust, kiedy nagle zaczął się słabo dławić. Jego żołądek był tak podrażniony tym sokiem, że z ledwością zatrzymywał nawet wodę z miodem. — To było najbardziej niebezpieczne w tych liściach. Pozwalały organizmowi zmobilizować ostatnie zapasy sił, jednak jednocześnie hamowały uczucie głodu, pragnienia, a nawet bólu. Organizm sam się trawił, podczas gdy sok z liści wysysał z niego wszystkie płyny. Wysychało się żywcem, nie zauważając tego. A przez to, że Mordan i tak stracił już tak dużo krwi...

Czy ty to po prostu zbagatelizowałeś? Co cię pchnęło do tego szaleństwa? — Szaleństwo, tak! Pewnie powinnam się cieszyć, że straciłeś przytomność, nim zdażyłbyś mnie zabić pod wpływem tego soku z głogu.

Odgarnęła delikatnie czarny kosmyk z jego czoła. Jej nauczyciel nazywał to trucizną, która w pełni uwalniała najgorsze cechy człowieka. U Mordana pokazała się zimna brutalność, na której wspomnienie jeszcze teraz przechodził ją dreszcz.

Znowu przystawiła kubek z wodą z miodem do jego ust, kiedy po chwili minął odruch wymiotny, i przechyliła go lekko. Ku jej uldze pił teraz, nie protestując. Nie wiedziała, czy powinna to poczytać za dobry znak. Może był już po prostu zbyt słaby, by się bronić?

— Co z nim?

Lijanas podniosła gwałtownie wzrok, woda z miodem chlupnęła i popłynęła Mordanowi po twarzy i szyi, ściekając mu we włosy i w skóry, na których leżał. Brachan stał obok niej i patrzył na nią chłodno.

— Tu są prześcieradła i woda, o którą prosiliście. Co z nim? - zapytał, pochylił się nad kocami i okrył nimi swego pana.

Rumieniec okrył jej policzki, kiedy zdała sobie sprawę z tego, jak wygląda. Wsunęła się na pół pod Mordana, jego twarz spoczywała na jej szyi, suknia zsunęła się jej z ramienia, odsłaniając połyskujące srebro łuski i górę piersi. Nie udało jej się podciągnąć policzkiem obszytego futrem kołnierza.

— Gorączka nie chce spaść.

Skinąwszy z wdzięcznością, wzięła ręcznik, który podał jej stary wojownik, i wytarła ostrożnie Mordana, nim wyciągnęła rękę spod jego karku i położyła go delikatnie na posłaniu. Z cichym jękiem jego głowa przekreśliła się bez siły na bok.

— I co chcecie z tym zrobić, uzdrowicielko?

Poprawiła suknię.

— Jedyne, co mi jeszcze pozostaje, to zawinąć go w mokre, zimne prześcieradła. Dlatego chciałam, byście przynieśli płótno i świeżą wodę. Będzie mi potrzeba jeszcze więcej — skinęła w stronę wiadra. Wyraz jego jastrzębich oczu przypominał jej, co powiedział w Górach Słonych:

„Jeśli wróce, a on będzie martwy, a wy wciąż przy życiu, dopilnuję, byście podążyli za nim — ale wasza droga będzie znacznie dłuższa i bardziej bolesna niż jego”.

— A jeśli okłady nie pomogą? - jego słowa przestraszyły ją.

— Ostateczna możliwość, to zanurzyć go w balii z zimną wodą. Ale nie wiem, czy jego serce...

— On ma serce lwa.

Zacisnęła gniewnie usta.

— Także serca lwa może odmówić posłuszeństwa, jeśli się je zmusi do zbyt długiej walki. Nawet okłady, to może być dla niego zbyt dużo.

Spojrzenie Brachana minęło ją, zatrzymując się na leżącym wśród koców bez ruchu, ciężko oddychającym wojowniku. Potem lekko kiwnął głową.

— Przyniosę jeszcze jedno wiadro wody. A kiedy wróce, odpoczniecie kilka godzin i prześpicie się. Nie będzie z was pożytku, jeśli stracie przytomność z wyczerpania.

— Nie mogę...

— Posłuchacie mojego rozkazu! - jego nieprzyjemny ton przypominał Lijanas Mordana. Ku jej uldze skierował się po chwili, przez którą przy-

glądał się jej dziwnie zamyślony, w stronę wyjścia z namiotu. Jednak uczyniwszy dwa kroki, znów się do niej odwrócił. - Myślałem, że zawarlicie pokój, kiedy poszlicie razem na zabawę w Cavallinie. Wiecie, że zamierzał was odwiedzić do Anschary? Powiedział, że jest to wam winien. A wasz książę Rusan wyznaczył pięć tysięcy złotych kareszów za jego głowę. Dlaczego uciekliście?

Pięć tysięcy złotych kareszów? Łaskwa Bogini! — ścisnęła dłonie. - Wiedziałam, że zamierza mnie odwiedzić do domu. Obiecał mi to. Przypięczętował nawet swe słowo krwią! Wiedziałam! Ufałam mu! Nie miałam powodu, by uciekać! Dlaczego to zrobiłam?

— Nie wiem.

— Nie wiecie? — dopiero, gdy Brachan powtórzył jej słowa, śmiejąc się boleśnie, zdała sobie sprawę, że wypowiedziała je na głos. Pokręcił głową. - Może powinniście sobie to uświadomić. Ponieważ jeśli mój dowódca przeżyje, zada wam to samo pytanie.

Przez chwilę, która trwała jakby wieczność, wpatrywała się w skórzaną klapę namiotu, która hułała się jeszcze lekko, opadłszy za nim.

Powoli wchodził po krętych schodach. Jego oddech dudnił. Co chwila musiał się zatrzymywać, posapując. Obydwaj Kessananie z respektem nie zbliżali się do niego. Kaszel eksplodował nagle pomiędzy jego żeber, szybko przycisnął chustkę do ust, kolana się pod nim ugięły, ciężko osunął się na zimne, kamienne stopnie, walcząc ze strachem, że się udusi — aż wreszcie atak minął, a kiedy odjął chustkę od ust, była poplamiona krwią. Staral się oddychać powoli, opierając się bez sił o mur. W ostatnim czasie coraz częściej pluł krwią. Jego uzdrowiciele powiedzieli, że choroba trawi go coraz bardziej, że z każdym dniem coraz bardziej go osłabia. Kiedyś był wojownikiem, dumą swego klanu — niedługo choroba przykuje go do łóżka jak niepotrzebnego starca, a przecież nie ujrzał jeszcze nawet sześćdziesięciu zim. Rytuał uzdrawiania, który Ladakh chciał przeprowadzić z pomocą nivardzkiej uzdrowicielki, był jego ostatnią nadzieją. To były czary, wiedział o tym, zabronione czary hathenańskie - ale to nie miało znaczenia. Chciał żyć!

Z trudem wstał, przytrzymując się kamieni w murze i kontynuował wspinaczkę po stopniach prowadzących do komnat w wieży. — „Zawrzyjcie

pokój z waszą małżonką" — poradził mu dziś rano Ladakh. - „Jej przychylna obecność podczas rytuału wzmocni siłę uzdrawiającą”. - Godzina za godziną walczył ze sobą, a teraz słońce wisiało już znowu nisko nad Skalami Mglistymi. Dwaj Kessananie stali przed ciężkimi, drewnianymi drzwiami, za którymi znajdowały się komnaty jego żony. Ich spojrzenia skierowane były cały czas przed siebie, kiedy przechodził między nimi. Ich rozkazy były jasne. Poza królem nikomu nie wolno było wchodzić do tych pomieszczeń. Wszystko, czego potrzebowała jego małżonka, odbierały przed drzwiami dwie nieme kobiety, które zostawił tu, by były do jej usług. Młode kobiety rzuciły się na kolana, gdy tylko go zobaczyły. Choć były ubrane jak szlachetne służące, żelazny pierścień na szyi zdradzał, kim naprawdę były. Spojrzał na nie pogardliwie. Jego żona od zawsze zbyt miękko się obchodziła z tym pomiotem niewolnych. Chciała nawet zlikwidować ich stan i dać im prawa poddanych - podobnie jak chciała zawrzeć pokój z Nivardami. Na oschle pytanie, gdzie jest jego żona, jedna z nich wskazała szybko sufit, nie ważąc się podnieść oczu. Jego żona była więc na dachu. Tam, na górze, często spotykali się przed ślubem, i także w pierwszych dniach po ślubie prawie nie opuszczali małego gaju cedrowego, który był tam założony. Na jego policzku drgnął mięsień. Tam, na górze, przypawiła mu ze swym kochankiem rogi.

Oddzielone od właściwych komnat murem i grubymi drzwiami schody prowadziły stromo na dach. Wchodził po stopniach powoli. Najbardziej obawiał się tego, że dostanie ataku w obecności swej żony. Nad schodami wzniesiono mały pawilon, aby zapobiec dostawaniu się do komnat śniegu i lodu podczas zimnej pory. Zimą kamienie muru błyszcząły jak diamenty powleczone skorupą z kryształków lodu. Latem pokrywały je, kwitnące żółto i czerwono porosty, na których baraszkowały przepiękne motyle.

Wyszedł z drzwi pawilonu. Pół tuzina kroków od niego, po prawej stronie, wznosił się na wysokość piersi wieniec blanków, otaczający platformę, nad którym władne dni widać było na horyzoncie błyszczące Góry Słone. Pośrodku dachu szeptały cedry poruszane chłodnym wiatrem, zsuwającym się ze Skal Mglistych. Było mu zimno i owinał się dokładnie podszytym futrem płaszczem. Polyskujący srebrzyście grzbiet ryby zniknął z pluskiem pod powierzchnią wpuszczonego w podłogę oczka wodnego.

— Czy mój dozorca więzienny znów przychodzi, by mnie dręczyć? - stała na skraju gaju cedrowego, na jej ręku siedział oswojony sokół, którego karmiła kawalkami mięsa. - Czego chcesz, Haffrenie? Nie jesteś tu

mile widziany! — nie zaszczycając go swym spojrzeniem, pieściła opierzoną pierś ptaka. Żółte oczy sokoła przyglądały mu się, jakby był rywalem starającym się o przychyłość jego pani. Już jej ojciec wykazywał szczególnie kunszt w obcowaniu z tymi ptakami, a ona potrafiła oblaskawić nawet najbardziej dzikie z nich i chodziła z nimi na polowanie. Skąd miała to zwierzę? Który z sokolników złamał jego rozkazy? Jej kasztanowe włosy zaśniły w promieniach słońca. Były spięte wąskim, złotym pierścieniem, w którego środku polyskiwał owalny kamień księżycowy, i który przytrzymywał je tak, że czoło było odsłonięte. Cienutki łańcuszek zdobił jej szyję, znikając w prostokątnym dekolcie jej zielonej sukni obszytej na brzegach futerkiem wiewiórki szarej. Wciąż była bardzo piękną kobietą.

— Chcę z tobą porozmawiać.

— Chcesz mi opowiedzieć, co strasznego znowu wymyśliłeś, byśmy jeszcze bardziej cierpieli? Czy to, co zrobiłeś nam do tej pory, jeszcze ci nie wystarczyło? — przechyliła szczupłą szyję, szepcząc coś do sokoła. Jakby w odpowiedzi, zaskrzeczał cicho i rozłożył swe wspaniałe skrzydła.

— Przyszedłem, by cię prosić o przebaczenie.

Przez moment, który zdawał się ciągnąć wieczność, stała zupełnie bez ruchu. Potem puściła sokoła szybkim ruchem w powietrze, obserwując, jak wznosi się silnymi uderzeniami skrzydeł w stronę zabarwionej promieniami słońca szarości Skal Mglistych.

— Ty chcesz mnie prosić o przebaczenie? — zapytała, spoglądając na niego zimno. Jej oczy już podczas ich pierwszego spotkania skojarzyły mu się z burzowym niebem.

— Tak! Ja... — przerwał mu jej lodowaty śmiech. Przeszła obok niego, zbliżyła się do wieńca blanków, położyła dłoń na kamieniu i spojrzała w dal.

— Wysłuchaj mnie, ja... — krótki ruch ręki rozkazał mu zamilknąć. Powoli odwróciła się, patrząc na niego jak na odrażającego insekta.

— Dwadzieścia trzy zimy, Haffrenie. Dwadzieścia trzy zimy trzymasz mnie tu w zamknięciu. Dwadzieścia trzy zimy zmuszasz mnie, dzień za dniem, godzina za godziną, bym żyła w strachu, co się znowu wykluje w twoim chorym umyśle, aby mnie dręczyć - aby „nas” dręczyć. Teraz przychodzisz tutaj i sądzisz, że wystarczy, iż poprosisz mnie o wybaczenie, a ja pozwolę ci ucałować moją rękę? — znowu się zaśmiała, nieczulo i gorzko. — Odebrałeś mi wszystko, co kochałam. Wszystko! — jej szczupłe palce obejmowały przez materiał sukni to, co wisiało na jej szyi, na końcu

cienkiego, złotego łańcuszka. - Gdyby twoje okrucieństwa dotyczyły tylko mnie, może mogłabym ci wybaczyć. Ale tak... Nie!

— Proszę cię...

— Prosisz mnie? Również ja cię prosiłam, Haffrenie. Nie, ja żebrałam. Zebrałam i błagałam — żebrałam, byś nie kazał zabijać mężczyzny, którego kochałam. Nazwałeś mnie zdrajczynią, kazałeś zaciągnąć mnie do tej wieży i zamknąć mnie tutaj jak więźnia. Śmiałeś się, kiedy błagałam o życie mego dziecka...

— Milcz! Nie chcę słyszeć o tym pomioście. Nie byłaś niczym więcej niż dziwką tego..., tego... psa. I to, że odważyłaś się jego bękartą... Zrobiłaś ze mnie rogacza. Upokorzyłaś mnie przed całym światem tymi twoimi igraszkami i wielkim brzuchem. Byłam twoim mężem!

— Tak, „byłeś” moim mężem — chłód w jej głosie rozbiłby lód na kawałki. — Do chwili, kiedy ległeś między udami tej służącej, Thieli. Zawsze cię szanowałam, Haffrenie, i cieszyłam się, że mój ojciec wybrał ciebie na mojego męża, ponieważ byłeś mi przyjacielem, od kiedy przed wieloma zimami przybyłeś do Turasu. Lecz kiedy opuściłeś me łóżce, by wpełznąć do łóżka Thieli, zniszczyłeś wszystko, co było między nami. Zakochałam się wtedy w innym, tak. Nigdy temu nie zaprzeczałam. Nigdy cię nie oszukiwałam. Dokumenty, które mogły rozwiązać nasze małżeństwo, były już opieczętowane i podpisane, także przez ciebie. Nie żądałam nawet od ciebie zwrotu mojego wiana, wręcz przeciwnie, wszystko, co podarowałam ci w czasie naszego małżeństwa, należałoby nadal do ciebie. Konie, posiadłości... Dałabym ci w prezencie nawet Thielę. Mógłbyś zabrać ją ze sobą do twoich włości. Ją i twoje dziecko, które nosiła. Ale nagle postanowiłeś nie rezygnować z władzy, którą dało ci małżeństwo ze mną. Spaliłeś te dokumenty tej nocy, gdy napuściłeś swych Kessananów na Nivardów. I śmiałeś się, gdy żebrałam o życie mężczyzny, którego kochałam — i o moje dziecko... — pokręciła głową, opuściła dłoń. — Cokolwiek byś dziś nie zrobił, Haffrenie: z mojej strony nie możesz oczekiwać przebaczenia.

— Wciąż jesteś moją żoną...

Podniosła brodę. W jej oczach były burzowe chmury.

— No i? Co ma jedno z drugim wspólnego?

— Masz słuchać moich rozkazów!

Jej wzrok pogardliwie omiół jego postać.

- Chcesz mi rozkazać, bym przebaczyła ci kradzież czyjegoś życia? Chcesz mi rozkazać, bym ci przebaczyła to twoje podstępne morderstwo? Wybacz, jakie to głupie z mojej strony. Ty przecież nigdy nie byłeś na tyle męski, by sam walczyć mieczem.

- Jak masz czelność tak do mnie mówić? Zabraniam ci...

- Rozkazuj albo zabraniaj swej dziewczce Thieli. Ja będę z tobą rozmawiać tak, jak mi się podoba, Haffrenie. A teraz idź! - odwróciła się do niego obcesowo plecami. Wiatr igrał w jej włosach, ten widok obudził w nim stare wspomnienia. Błyszczące jak kasztany kosmyki na jej aksamitnej skórze, która była jeszcze gorąca i wilgotna od potu po grze miłosnej. Ten blask w jej oczach... Owinął się dokładniej płaszczem, kiedy poczuł spazmy w swej piersi. Nie udało mu się powstrzymać kaszlu, szybko przycisnął obszywany futrem materiał do ust - był ubrudzony krwią, kiedy atak minął. Odwróciła się, jej wzrok zatrzymał się na ciemnych plamach.

- Jestem chory — powiedział, dysząc szorstko.

- Suchoty! Wiem!

Patrzył na nią zaskoczony.

- Wiesz... Skąd?

- Wprawdzie trzymasz mnie z daleka od świata i mego ludu, Haffrenie, ale mimo to mam oczy i uszy.

Oszczędził sobie ponownego pytania „Skąd?”. Nie powie mu. Ale może uda mu się osiągnąć cel, jeśli poruszy jej serce.

- Może umrę...

- To przykre dla ciebie. Co „ja” mam z tym wspólnego? A może się boisz, że nie znajdziesz odpowiedniego następcy na dozorcę więzienia królowej? — wydeła pogardliwie usta. — A co z twoim synem? Czy nie powiadają, że ma pewną - jak to określić? — powściągliwość w stosunku do kobiet?

- Nie mów tak o nim! - te słowa zabrzmiały ostrzej, niż zamierzał. Nigdy mu się nie uda pojednać z tą kobietą. Znowu poczuł ten płomień w piersi.

- Więc jak mam mówić o bękarcie kobiety pół-Edari i mojego „małżonka”? Może z szacunkiem?

- On obejmie po mnie tron.

Przez chwilę wyglądała tak, jakby w swym kompletnym bezruchu zamieniła się w bryłę lodu, sprawiała wrażenie, jakby nie oddychała.

— Odbierasz mojemu dziecku prawo do narodzin i masz czelność choćby pomyśleć o rym, by twego syna uczynić dziedzicem mojego klanu? — jej słowa były jedynie szeptem, lecz ich ton spowodował, że zrobiło mu się zimno. — Jeśli się na to odważysz, zadbam o to, by jego głowę zakopano wraz z twoją przed bramami Turasu - wyraz jej oczu był morderczy.

— Grozisz mi? — konwulsja w piersi niemal odebrała mu oddech. — Faktycznie sądzisz, że w tych murach jest choć jeden człowiek, który byłby gotów spełnić twe rozkazy? — Rozkazy obląkanej, która dwadzieścia trzy zimy temu zabiła własne dziecko, jak tylko się urodziło?

— Kłamstwo!

— A więc gdzie jest twoje dziecko? Możesz wskazać palcem na twój pomiot i powiedzieć, że to twoje ciało. Ale nigdy nie zdołasz tego udowodnić! - jego szyderczy śmiech zakończył się atakiem kaszlu, który zmusił go przez chwilę do walki o powietrze. - Z nazwy może i jesteś królową Kierów, ale nie masz większej władzy niż niewolna. Pogódź się z tym! - otarł sobie krew z ust. — I powinnaś się modlić, żebym kiedyś nie znudził się tobą — i twoim pomiotem.

Żar nie pozwalał mu oddychać, czuł ból wszystkimi zmysłami. Coś ciężkiego i wilgotnego leżało na jego członkach, krępując jego ruchy jak lepka pajęczyna.

Delikatne światło szeptało o chłodzie - zapomnieniu - spokoju. Ale wtedy pojawił się ten głos. Irytujący! Nie potrafił sprawić, by zamilkł, choć tak bardzo się starał. Nie rozumiał słów, a mimo to nie mógł się od nich uwolnić. W przedziwny sposób były słodkie - a im dłużej ich słuchał, tym bardziej ulegał ich czarowi.

A potem ten głos zamilkł!

Nagła cisza była tak głośna, że nie mógł tego znieść.

I choć na początku ten głos wydawał mu się irytujący, to fakt, że słodko brzmiące dźwięki tak nagle zamilkły, obudził w nim gniew.

Tam, skąd dochodził głos, błyszczał wąski pasek światła. To nie było to samo światło, które wcześniej kusilo go, obiecując zapomnienie i spokój. Za tym światłem czyhały ból i walka — mimo to postanowił ruszyć w jego stronę.

Ból. Wszędzie tępe lomotanie niedające się zatrzymać. Krew płynąca w jego żyłach paliła go. Uczucie, że zamiast kości ma w kończynach watę, było nie do zniesienia. Coś ciepłego i wilgotnego zarazem przykrywało go od szyi po kostki, kleiło się odrażająco do skóry. Język w jego ustach sprawiał wrażenie, jakby spuchł przynajmniej dwukrotnie, i choć nie miał nawet dość śliny, by przelknąć, czuł się tak, jakby wypłukał gardło trującym kwasem. Przez jego powiekę przenikało światło. Skupił wszystkie siły, by otworzyć oko — wpatrywał się przez kilka chwil, ciągnących się jak wieczność, w otaczający go półmrok, aż pojął, że jest w swoim namiocie i leży we własnym łóżku.

Pragnienie! Absolutne, nie do zniesienia!

Coś przyciskało jego ramię do mokrego od potu posłania ze skór. Nie miał dość siły, by przekreślić głowę.

Policzek uzdrowicielki spoczywał na jego przedramieniu. Głęboki, spokojny oddech zwiastował, że śpi. Jej dłonie leżały na jego nadgarstku i łokciu, jakby próbowała z całej siły go przytrzymać. Jedyne kątem oka dostrzegł dzban, przy którym stał kubek. Woda! Niemal czuł jej zapach. Ale leżał spokojnie. Znosił pragnienie, palącą gorączkę i udrękę w swym gardle, koncentrując się na dotyku jej policzka na swej ręce, rozkoszował się, czując jej ciepło i był pewien, że nie pozwoliłaby sobie na tyle poufalności, gdyby nie spała. Jej włosy splywały miękko po jego dłoni, płomień, drgające w misach, rzuciły światło i cienie, igrające czarująco na jej twarzy. Jej oddech muskał delikatnie jego skórę i przyprowadził go o dreszcze. Od czasu do czasu trzaskalo drewno w ogniu. Czuł się tak, jakby ktoś zatrzymał dla niego wieczność.

Z gęstej mgły, w którą spowity był wciąż jego umysł, wylaniały się powoli słowa. A wraz ze wspomnieniem przyszło i zrozumienie...

Nie chciałam uciec w Cavallinie — i w górach też nie. Kiedy Abmeer tak nagle pojawił się na dolnym rynku... Byłam po prostu oszłamiona. Nie mogłam uwierzyć, że to faktycznie on. Nie miałam przecież powodu, żeby uciekać! Dales mi przecież słowo, że odwieziesz mnie do domu. - Ty! Nie „wy”! Ty! Gdzieś w głębi duszy usłyszał śpiew. — Słyszysz mnie? Nie chciałam uciec! A w górach... Gdyby mnie znaleźli... Musiałam cię zostawić. Psy by nas wytropiły, gdyby dalej szukały. Oni by cię zabili! Nie chciałam, żeby cie...! — czuł paznokcie, wpijające się w jego skórę. — Słyszysz mnie? — ten głos jakos dziwnie naciskał. — Nie wolno ci odejść! Nie możesz się poddać! Walcz dalej! Obiecales, że odwieziesz mnie do domu! Dotrzymaj słowa! Zostań! Słyszysz

mnie? — a potem, ledwie słyszalne: — Nie chcę cię stracić! — poczuł w żołądku jakieś dziwne drżenie, które przenosiło się powoli na całe jego ciało. Nieporozumienie! To wszystko to jakieś straszne, przeklęte nieporozumienie. Odważył się na krótką chwilę zamknąć oko. — *To boli, kochać cię, ptaszyno! I to szaleństwo! Wiem! Ale — niech mi wybaczą moce, które kierują moim losem — mimo to cię kocham!* — drżąc, wypuścił powietrze i znowu na nią spojrzal. Kiedy spała, wyglądała na taką delikatną, a przecież była tak silna. Przelknął z trudem ślinę. Czuł, jak opuszczają go siły; walczył, by nie stracić przytomności, gdy oddychanie przychodziło mu z coraz większym trudem. Wreszcie w jego umyśle była już tylko udręka trawiącego ognia i pragnienia - i dotyk jej policzka na jego skórze. Uchwycił się tej mieszanki tęsknoty i bólu, aż gorączka i wyczerpanie znowu odebrały mu zmysły.

Dźwięki obozu słabo przedzierały się przez skórzane ściany namiotu i docierały do jego umysłu. Gdzieś rżał koń. Bardzo powoli i ociężałe wracała świadomość — a z nią ból. Do nosa dobiegał cierpki, a zarazem ostry zapach ziół. Nie udało mu się nawet odrobinę podnieść powieki. Wszystko wokół niego było rozmyte.

Skąd się tu wziąłem? — to pytanie wylonilo się powoli z głębin jego wciąż jeszcze zamglonego umysłu. Słyszał szczekanie psów, poczuł gorąco płynące po jego boku, i wreszcie lodowate zimno. Błysnęło jakieś ostrze, wpadając z pluskiem do wody. Wody, z której później wyciągnął go Brachan. Słodko-kwaśny smak na języku, ruchy konia, na którym siedział, a potem — pustka! Jego umysł był jakby wyczyszczony. Aż do jego zmysłów dotarł ten głos: — „*Nie chciałam uciec w Cavallinie — i w górach też nie...*” — pamiętał te słowa, każde z nich. W jego piersi siedział kaszel, nie mógł go powstrzymać. W gardle wybuchła udręka. Chwilę potem pochyliła się nad nim uzdrowicielka. Lijanas! Wydawało mu się, że na jej twarzy dostrzegł ulgę - ale jej miejsce zajęły rozczarowanie i troska.

- Obudź się wreszcie, Mordanie! Proszę! - Mordan, to było jego imię.

Ale przecież ja nie śpię! — chciał zaprotestować, lecz jego język przetaczał się tylko bezużytecznie w ustach. Odwróciła się, nie mogła tego zobaczyć. W jej dłoni pojawił się kubek, wsunęła mu rękę pod kark. Rozkoszny chłód wypełnił jego gardło. Dopiero, gdy opróżnił kubek już prawie do dna, zauważył, że woda ma delikatny smak miodu.

Przestraszył się, ponieważ nagle jej ramię wysunęło się spod jego karku. Czy zdrzemnął się chwilę? Jej dłoń gładka go po czole. Choć bardzo się starał, nie dał rady otworzyć oka.

Zza ścian namiotu coraz wyraźniej docierały do niego dźwięki. Czuli się tak, jakby woda wreszcie obudziła jego zmysły. Szczęk broni, odgłos ciężkich kroków, liczne rozkazy wydawane przez kogoś — rozpoznał ten głos: Feniar. Zmiana warty! Równomierne razy, bolesne krzyki, najwyraźniej jeden z niewolnych został ukarany pejcem za jakieś zaniedbanie czy opieszałość. Psy szczekały, warczały i skamlały. Rozległo się przenikliwe, rozwścieczone rżenie. Zapach ziół nasilił się. Uzdrowicielka znowu się nad nim pochyliła, jej dłonie dotykały jego skóry. Próbowal podnieść głowę, chciał zobaczyć, co robi.

Kiedy znów się obudził, pamiętał, że wiele razy pił osłodzoną miodem wodę, że wlewała mu do ust gorzki wywar; pamiętał też smak zupy. Jej dłonie wielokrotnie go budziły swym dotykiem. Tym razem udało mu się otworzyć oko. Najpierw jej szczupła postać była jedynie rozmazanym zarysem, aż wreszcie jego wzrok się wyostrzył. Właśnie podciągnęła podwinieyty wielokrotnie, szeroki rękaw czarnej, jedwabnej, o wiele na nią za dużej, sukni i pochyliła się nad nim. W złotym blasku płomieni luski na jej skórze połyskiwały tajemniczo. Znowu dotyk z boku, znowu palący ból.

Znał tę suknię. Bogaty kupiec kazał mu ją przekazać wraz z innymi kosztownościami, by zapobiec konfiskacie jego zapasów ziarna. Rzucił te rzeczy niedbale w kąt i zarekwirował magazyn ze zbożem dla swych oddziałów. Ktoś musiał przechować te graty. Nie było jej dobrze w czerni. Powoli zdał sobie sprawę, że cienkie prześcieradło przykrywało go do bioder — i że pod spodem był zupełnie nagi.

Z trudem uniół głowę. Jego skaleczony bok obłożony był ziołami, których ostry zapach czuli już wcześniej. Ten widok coś mu przypominał. Niemal się roześmiał.

- Jak prosiak w garnku. Co będzie następne? Sos? — ból palił go w gardle. Najwyraźniej wypowiedział te słowa na głos. Przyszło mu to zadziwiająco łatwo.

Zaskoczona podniosła wzrok, pochyliła się nad nim.

- Obudziliście się! Wreszcie! Dzięki niech będą Łaskawej Bogini! „Wy"! Już nie „ty"! Znowu „wy"! Kiedy to do niego dotarło, poczuł się, jakby ktoś uderzył go pięścią w brzuch. A więc znowu ta stara gra.

Dlaczego jej głos drży?

Oblizal usta.

- Dajcie mi wody! — szepnęła ochryple.

Jakby nie czekała na nic innego, chwyciła kubek stojący obok niej. Spróbował unieść się na lokciach - jego ręce były przywiązane! Szarpnął tym, co krępowało jego nadgarstki, zwił się, by się oswobodzić, wyszczerzył zęby.

- Nie! Nie! - jej dłoń spoczęła na jego dłoni.

Już ten mały wysilek wystarczył, by zaczął ciężko dyszeć. Poczucie bezradności paraliżowało jego umysł.

Spokojnie! Tylko spokojnie! Na duchy zemsty, jestem słaby jak niemowlę. Co się stało?

- Co to ma znaczyć? Dlaczego jestem związany? - natychmiast pożałował, że przemówił głośniej.

- Miotaliście i rzucaliście się w delirium — najwyraźniej nieświadomie dotknęła czubkami palców głębokiego zadrapania na swym policzku.

Na duchy... To byłem ja?

- Musieliśmy was związać.

- My? - to słowo było zaledwie ruchem warg.

- Brachan i ja! — wsunęła mu rękę pod kark i przystawiwszy kubek do jego ust, przechyliła go ostrożnie. Pił z wdzięcznością, nie mógł jednak przestać poruszać skrępowanymi rękami. Obrócił głowę.

- Rozwiążcie mnie! Proszę! - to słowo nie przeszło mu przez usta od ponad pięciu zim.

Kubek znowu podniósł się do jego ust.

- Pijcie! Potem was rozwiążę. Obiecuję!

Spojrzał na nią gniewnie, pokazał swe kły, szarpnął paskami płótna.

- Teraz!

- Pijcie!

Brzeg kubka bardziej się przechylił. Woda dotknęła jego ust. Krótkie wahanie, a potem zrobił to, czego żądała. W tej chwili nie miał się czemu sprzeciwić. Chłodny płyn sphywał mu po gardle, łagodząc ból i splukując niesmak na języku. W końcu ułożyła go z powrotem na miękkiej poduszce i rozwiązała paski płótna. Jej palce pocierały delikatnie jego nadgarstki.

- Jak długo już tu leżę? - szepnął. Prawdopodobnie każde słowo, wypowiedziane na głos, musiał okupić morderczym bólem.

Podniosła wzrok.

- Dwa dni i dwie noce. Dziś mija trzecia noc.

Z jego gardła wyrwało się ostre sapnięcie.

- I wy cały czas byliście przy mnie?

- Brachan zmienił mnie kilka razy. Ale przez większość czasu byłam tutaj, tak. — Na chwilę położyła dłoń na jego czole. — Mielicie wysoką gorączkę i straciliście wiele krwi... - Wciąż jeszcze jesteście słabi. Słońce wszędzie dopiero za kilka godzin - przykryła jego pierś prześcieradłem, a potem przykryła go ciepłymi skórąmi aż do ramion. — Spijcie! Zostanę przy was, będę tuż obok. Jeśli będziecie czegoś potrzebować albo będzie się wam chciało pić, dajcie tylko znak.

W odpowiedzi skinął tylko lekko głową. Już w półśnie zobaczył, jak bierze z krzesła koc, rozkłada go na podłodze, a potem zniknęła z jego pola widzenia. Stopniowo docierało do niego, co miała na myśli, mówiąc „tuż obok”. Naraz znowu się przebudził.

- Uzdrowicielko! Lijanas!

Jej głowa ukazała się nad krawędzią łóżka. Podniosła się zaniepokojona i pochyliła nad nim.

- Co się dzieje? Boli was?

- Nie musicie spać na podłodze! To łóżko jest dość szerokie dla dwojga!

Otworzyła szeroko oczy. Rumieniec zaczął powoli oblewać jej szyję i pięć się w górę.

- Jesteście chorzy... — wyjąkała potem nieco bezradnie.

- Ale to nie zaraźliwe, prawda? — poczuł drapanie w gardle i musiał zakasłać.

Szybko pokręciła głową.

- A więc? W czym problem?

- Nie wypada...

- ... żebyście spali obok mnie? Już nie raz dzieliliśmy posłanie! - *I łóżko*

w Cavallinie.

- To było co innego! - upierała się.

- Ach tak?

- Tak! Wtedy nie byliście nadzy.

Jego brew uniosła się.

- Wsadźcie między nas jakiś koc.

- Czy na wszystko macie gotową odpowiedź, Kierze?

- Zazwyczaj — drapanie w gardle było coraz gorsze, tak samo jak potrzeba, by odchrząknąć.

- Mimo wszystko zostanę na podłodze!

Spojrzał na nią. Ona również na niego patrzyła, z rękoma skrzyżowanymi na piersi.

- A więc dobrze. Jeśli wy nie przyjdziecie do mnie, do łóżka, ja zejść do was, na podłogę — powiedział, wpił palce w przykrycie i uniósł się na łokciach.

- Co? To przecież szaleństwo! Macie gorączkę! - nie musiała użyć dużo siły, by go powstrzymać i ułożyć z powrotem na poduszce.

- Albo wy przyjdziecie do mnie, albo ja do was! — oddychał coraz ciężej.

- Znowu mnie szantażujecie, Kierze! — opierając dłonie na poduszkach, po obu stronach jego głowy, patrzyła na niego groźnie, nie podejrzewając, jaki widok stanowi.

- Mądra dziewczyna! — jej włosy ześliznęły się, dotykając jego ramienia i ręki. — I jak? Przychodziecie?

- Czy mam inny wybór, Kierze?

- Nie!

- Ale z was uparty drań! - Zabrała koc z podłogi i strzepnęła go.

- Wiem - teraz nie mógł jednak powstrzymać odruchu kaszlu. Owinęła go ostrożnie skórą - wyglądało to niemal tak, jakby chciała go nimi znowu skrepić. Mało brakowało, by się rozeźmiała, kiedy faktycznie zwinęła jedną stronę koldry, tworząc mały wał, nim się położyła obok niego. Oczekiwał, że nadąsana odwróci się do niego plecami, ale nie uczyniła tego.

- Zadowolony, wy żalosny szantażysto? — ostrożnie zakopła się obok niego głębiej w koce.

- Tak - leżała tak blisko niego, że czuł jej ciepło.

- To teraz śpijcie! - przez krótką chwilę wyglądało tak, jakby chciała ułożyć głowę na jego ramieniu — przyciągnęła do siebie poduszkę. Ostatnią rzeczą, jaka do niego dotarła, nim osłabienie i gorączka zmusiły go, by zapadł w głęboki sen, był zapach jej włosów.

To znajome odgłosy budzącego się obozu wojskowego obudziły go nad ranem. Musiało być tuż przed wschodem słońca. Wreszcie wróciło poczucie czasu! Najwyraźniej było z nim już lepiej. Czuł się zadziwiająco wypoczęty. Właśnie chciał się ociężale przeciągnąć, gdy cichy oddech tuż przy jego uchu przypomniał mu o obecności kobiety w jego łóżku. Natychmiast przestał się poruszać, a potem powoli obrócił głowę. Przez jego usta przemknął lekki uśmiech. W nocy przytuliła się do niego. Głowa Lijanas spoczywała teraz jednak na jego ramieniu, jej dłoń na jego piersi, jakby chciała sprawdzić, jak oddycha. We śnie zsunęła nakrycie, jasna

lydka leżała wyciągnięta na nogach Mordana, szata rozpięła się i zsunęła jej z ramienia — skóra lśniła srebrzysto-biało w świetle prawie wygasłego ognia. Co to za ciemne pręgi na jej plecach? Chciał podnieść głowę, by lepiej się temu przyjrzeć, jednak przeszkodziło mu w tym ciche, protestujące mruknięcie. Pogrążona we śnie, potarła policzkiem o jego nagie ramię i posunęła rękę dalej na jego piersi. Wstrzymał oddech. Jeśli nie chciał jej zbudzić, musiał leżeć całkiem spokojnie. — A zbudzić ją, było ostatnią rzeczą, jakiej pragnął. Ostrożnie przytulił policzek do włosów Lijanas i zamknął oko. Będzie się cieszył każdą chwilą, którą los pozwoli mu spędzić z tą kobietą - nawet jeśli ona nigdy się o tym nie dowie.

Jakiś czas później obudziła go wrzawa u wejścia do namiotu. Obok niego poruszyła się uzdrowicielka. Usłyszał jej ciężki oddech, kiedy wreszcie się przebudziła i uświadomiła sobie, jaki widok przedstawia. Ale ten dźwięk został niemal zagłuszony przez podniesione w klótni głosy. W pierwszej chwili rozpoznał jedynie Brachana, jednak później skóra przed wejściem została gwałtownie odrzucona w bok i wtargnął Jerdt - i stanął jak zmrożony.

Pozornie bez pośpiechu Mordan naciągnął koldrę na młodą kobietę leżącą u jego boku, potem usiadł powoli, starając się, by Jerdt nie dostrzegł opatrunku na jego piersi, ani nie zauważył jego słabości. Przez kilka chwil patrzyli na siebie w milczeniu: Jerdt — starając się zachować równowagę, Mordan — zimno i pogardliwie.

Wreszcie Mordan przerwał milczenie.

- Czego chcesz, Jerdt? Gadaj i zabieraj się stąd! Przeszkadzasz!

Ten zapowietrzył się najwyraźniej, oszolomiony i wściekły. Nie było wielu ludzi, którzy pozwalali sobie rozmawiać z nim takim tonem. To, że akurat on był jednym z nich, musiało sprawić, że się w nim zagotowało.

- Faktycznie wzięłeś ją do swego łóża! - wyglądało na to, że Jerdt pożałował tych słów, ledwie zdążył je wypowiedzieć.

Mordan spojrzal na chwilę w stronę Brachana. Ledwo zauważalne kiwnięcie siwowłosego wojownika potwierdziło jego podejrzenie.

To jej się nie spodoba.

- Nie wiem, co cię to obchodzi! A więc? Co cię sprowadza tak wczesnym rankiem do mojego namiotu? Nie przypuszczam, że się za mną stęskniłeś.

Z widocznym trudem Jerdt uwolnił wzrok od koców, spod których wystawało jeszcze kilka płomiennych kosmyków.

— Krąży pogłoska, że jesteś ranny. Martwiłem się i chciałem...

Mordan przerwał mu śmiechem.

— Ty się martwiłeś? Jakie to wzruszające! Spójrz, niemal doprowadziłeś mnie do lez! Ale jak widzisz, czuję się dobrze! - jego dłoń spoczęła zaborczo na kocach, tam, gdzie, jak odgadywał, leżało biodro młodej kobiety. Poczul, jak znieruchomiała, gdy ją dotknął — a może sądzisz, że leżałaby przy mnie, gdyby było inaczej?

— Nie, oczywiście, że nie. — Oczy Jerdta wpatrywały się w niego przenikliwie. — Wybacz, że ci przeszkodziłem - ruszywszy, odwrócił się jeszcze raz w jego stronę. Nagle na jego twarzy pojawił się uśmiech. — Czy przynajmniej ogrzała twe łoże ku twemu zadowoleniu? — zapytał teraz po nivardzku.

Drżenie pod dłonią Mordana nie wróżyło nic dobrego.

— To nie twoja sprawa! Nie uważasz? — niezauważalnie przycisnął ją mocniej.

— Myślałem, że dzielimy się małymi przyjemnościami, bracie?

— Jakoś do tej pory tego nie zauważyłem, „bracie” — odpowiedział i skinął na Brachana. — Dowódca Jerdt chciałby już iść, legacie!

— Tak jest, dowódcu! - siwowłosy wojownik uderzył pięścią w pierś i odsunął skórę wiszącą u wejścia do namiotu.

— Jeszcze się zobaczymy! — Uśmiech, który rzucił mu Jerdt, nim wreszcie wyszedł, mógłby przypawić o gęsią skórkę. Skóra przed wejściem opadła.

— Pewnie nie da się tego uniknąć — mruknął Mordan, odetchnąwszy głęboko, i dał znak Brachanowi, że również może odejść. Choć miał ogromne zaufanie do tego starego wojownika, niekoniecznie musiał być świadkiem tego, co go teraz czekało. Pod jego palcami było spokojnie — za spokojnie! Przygotował się na najgorsze, policzył powoli do dziesięciu i zabrał rękę. Wskoczyła spod koców jak rozdrażniony wąż skalisty ze szczeliny.

— No i? Jak sądziecie? Czy ogrzałam wasze łoże ku waszemu zadowoleniu? Och, wy..., wy..., wy... odrażająca świnio!

— Lijanas, posłuchajcie mnie!

— Udławcie się tym! — cisnęła mu w twarz skóry zwierzęce. — Powinnam pozwolić, byście zdechli!

Przeklinając, próbował wydostać się spod sterty futer.

- Pozwólcie mi chociaż wytłumaczyć... - sposób, w jaki poruszyło się pod nim łóżko, dał mu do zrozumienia, że ona chce wstać. — Do cholery, czy nie widzicie, że reagujecie dokładnie tak, jak sobie tego życzył Jerdt? W przeciwnym razie, dlaczego akurat to powiedziałby w waszym języku? Poczekajcie, do stu piorunów... — przez szparę między kocami dostrzegł błyszczący, czarny jedwab jej sukni, wyciągnął rękę i szarpnął. Materiał rozdarł się głośno. Z okrzykiem oburzenia upadła na niego plecami, przypadkowo trafiając łokciem dokładnie w jego ranę; wstrzymał oddech, gdy uderzyła plecami w jego pierś. Drugi okrzyk wydobył się z jej gardła, potem padła, pojękując, obok niego, na łóżko. Kiedy ból pozwolił mu znów oddychać i pozbył się wreszcie koców, próbowała właśnie wstać. Rozerwana szata zsunęła się jej z ramienia...

- Na duchy zemsty! - przez niekończącą się chwilę nie mógł pojąć, co widzi. Niezdarnie podciągnęła jedwab, przykrywając plecy i podniosła się z ramy łóżka - zdążył ją jeszcze chwycić za nadgarstek.

- Puśćcie mnie! - jej głos był zduszony.

- Kto wam to zrobił?

Jedno szarpnięcie i uwolniła się. Z trudem znowu usiadł, ignorując świst w swojej głowie. Jeśli się pochyli do przodu, da radę ją jeszcze złapać. Stracił równowagę i wylądował na czworakach. Między żebrami czuł palący ogień. Otuliwszy się ramionami, stała odwrócona do niego plecami. Powoli i ociężałe wstał, przytrzymując się łóżka - czuł się, jak słaby starzec. Kręciło mu się w głowie, kiedy stanął za nią; musiał przytrzymać się oparcia krzesła, żeby stać prosto. Bardzo ostrożnie zsunął jej szatę z ramion, odgarnął włosy na bok i obejrzał jej plecy.

- Nie! — jej ciało przeszedł dreszcz.

- Pst! Nie sprawię wam bólu, Lijanas! Powiedzcie mi, kto wam to zrobił?!

To musiało być ponad dziesięć razy.

- To był rozkaz Jerdta.

Już nie żyje!

- Dlaczego?

- Próbowałam uwolnić Ahmeera i jego ludzi.

Już sam fakt, że się na to odważyła, musiał być ciężkim ciosem dla dumy Jerdta. A mało brakowało i zostałby upokorzony — i to akurat przez kobietę. A więc udało mu się dostać w swe ręce księcia Ahmeera. Cenny zakładnik! Haffren spełni każde życzenia Jerdta — bez wyjątku.

— Powiedział, że musi mnie dostarczyć do Turasu nienaruszoną, że taki ma rozkaz — mówiła dalej cichym głosem. Jej wzrok zdawał się patrzeć w pustkę. — Tylko dlatego nie dał mnie swoim ludziom. Żałował, że nie mógł mnie ukarać w ten sposób. Zamiast tego Ahmeer i ja zostaliśmy potraktowani pejczem.

— Ile batów kazał wam dać?

— Piętnaście.

Piętnaście batów! Na duchy zemsty! A ona siedzi po tym wszystkim dzień i noc przy moim łóżku — dotknął delikatnie jej ramienia.

— Odpokutujcie za każde uderzenie pejcza! Po stokroć!

Ziemia nie chciała przestać chwiać się pod jego stopami. Ciężko opadł na krzesło, nim nogi całkiem odmówiły mu posłuszeństwa. Kiedy ostro wciągnęła powietrze, podniósł głowę. Odwróciła się. Ich spojrzenia spotkały się - i w tej samej chwili dotarło do niego, że nie ma na sobie nic, poza opatrunkiem na zębach. Gęsia skórka pokryła jego ręce i nogi, sierść podniosła się, nagle poczuł, że ma sucho w ustach.

— Zimno wam! Pewnie wciąż macie jeszcze gorączkę. Powinniście się z powrotem położyć, nim znowu wzrosnie! — mówiła, kierując swe oczy sztywno na jego twarz.

Zimno? Nie! Wręcz przeciwnie!

— Podajcie mi płaszcz, leży tam, na krześle! — Spojrzała na niego, marszcząc czoło i otuliła mu ramiona ciepłym materiałem. Skinąwszy, okrył się nim dokładniej.

— Powinniście się położyć! — zaznaczyła raz jeszcze.

Mordan machnął ręką.

— Który z jego ludzi was wychłostał?

— Skąd wiecie, że Jerdt nie zrobił tego sam? — jej głos trząsł się.

— Bo jesteście kobietą.

Trochę z trudem podniósł dzban stojący na stole obok niego — i odstawił go z powrotem, kiedy spostrzegł czarną, skórzaną kłapkę położoną obok kilku kawalków jedwabiu. Wziął ją do ręki i dotknął tego, co teraz przykrywało jego oko. Plótno, a pod spodem jedwab. Spojrzał na uzdrowicielkę pytająco.

— Zdjęłam ją, żeby móc wam lepiej schłodzić twarz; chciałam, żeby było wam wygodniej... Wasze oko... — może da się je wyleczyć!

Na krótką chwilę otworzył szeroko oko.

Znowu móc normalnie widzieć? Nie być już więcej półkaleką, który potrzebuje podczas bitwy człowieka kryjącego jego ślepą stronę? Nie musicie już znosić bólu? Nie! Nawet ona nie potrafi działać cudów.

Parsknął pogardliwie.

- Nie próbujcie mi robić nadziei. Pogodziłem się z tym faktem. Nic się już nie zmienili!

Odkręcił głowę, zdjął jedwab i założył skórzaną klapkę.

- Ale...

- Nie! - ani słowa więcej na ten temat! - niedbale rzucił jedwab i płótno na stół, wziął znów do ręki dzban, nalął wody do glinianej miski, stojącej między kilkoma tyglami, i złapał jeden z małych kawałków płótna leżących obok. Spojrzała na niego z wyrazem desperacji. Zignorował to.

- Weźcie to drugie krzesło i siadźcie przede mną tak, żebym mógł sięgnąć waszych pleców!

- Co chcecie zrobić? — opadły jej ręce. Najwyraźniej dotarło do niej wreszcie, że są rzeczy, na temat których lepiej się z nim nie klócić.

- Przemyć wam plecy zimną wodą! To łagodzi ból! Będę ostrożny, obiecuję!

Znowu zmarszczone czoło. Jednak potem posłuchała, usiadła na krześle trochę bokiem i nic nie mówiła, kiedy zsunął jej szatę z ramion i obnażył plecy aż do pasa. Wycisnął płótno nad miską i zabrał się ostrożnie do przemywania ran.

- Który z jego ludzi was wychłostał? Możecie mi go opisać? — zawroty głowy powoli ustępowały.

- Nie, ja... byłam w takim szoku...

- Rozpoznałibycie go?

- Możliwe.

- Kiedy zobaczycie go w obozie, macie mi go pokazać! Zrozumiano? Skinęła lekko głową, kilka kosmyków włosów zsunęło się na jej ramiona i jego dłonie. Odgarnął je na bok.

- Co chcecie zrobić z tym człowiekiem?

Odciąć mu kawałek po kawałku mięso od kości.

- O to się nie martwcie, Lijanas. Pokażcie mi go, a potem nie zaprzatajcie już sobie nim głowy.

- Chcecie go zabić!

- T a k !

Ostatecznie tak. Torturowanie człowieka, który już nie czuje bólu, to tylko strata czasu.

Poczuł, jak jej ramiona się spięły.

— Nie pokażę go wam!

Jego dłonie zatrzymały się w pół ruchu.

— Co? Dlaczego?

— Bo nie chcę, żebyście go zabijali. To był rozkaz Jerdta, on go tylko wykonał...

— Jak chcecie. W takim razie pociągnę Jerdta do odpowiedzialności!

I tak bym to zrobił, ptaszyno.

— Możecie to zrobić?

— Oficjalnie? Nie! — ale znajduję sposób!

— To dobrze! — ton jej głosu kazał mu uważnie nastawić uszu.

— Lijanas, spójrzcie na mnie! - powoli odwróciła się do niego. Dłońmi przyciskała szatę do piersi. Futro, którym była obszyta suknia, wystawało pomiędzy jej zaciśniętych palców. — Co on wam jeszcze zrobił? Powiedźcie mi!

Unikała jego spojrzenia. Odłożył płótno i ostrożnie ujął dłońmi jej twarz.

— Wiem, że wspomnienie może boleć, Lijanas. Ale to już się stało! Nie można tego zmienić! A więc nie zadrażajcie się tym. Powiedźcie mi, co wam zrobił, a potem zapomnijcie o tym, bo od tej chwili będzie to już moja sprawa.

Przez długą chwilę nic nie mówiła, oddychała powoli i równocześnie dziwnie płytko. Potem zaczęła opowiadać, cicho, ledwie szeptem. Słowa tworzyły w jego wyobraźni obrazy i zapadały w pamięć. Zdawało mu się, że zaraz udusi się ze wściekłości. — *Lijanas na koniu, szaty zerwane do pasa, wydana na spojrzenia żołnierzy. — Rozciągnę go na jego własnej skórze między dwoma drzewami i wypatroszę żywcem!* — Podniósł się gwałtownie i podszedł do wejścia namiotu, odsunął skórę na bok, wciągnął głęboko powietrze. Ziemia poruszała się lekko pod jego stopami. Przytrzymał się ściany namiotu i przycisnął wierzch dłoni do czoła.

— Dowódco?

Szybko podniósł wzrok. Obydwaj strażnicy odwrócili się, patrzyli na niego uważnie.

— Czy wszystko w porządku, dowódco?

— Tak, Mailen, wszystko w porządku — mimochodem owinął się dokładniej płaszczem. — Trzeba rozpalić na nowo ogień. Brakuje drewna. Przynieście do mojego pokoju porządny posiłek — i gorącą wodę do mycia! Dowiedz się, czy między niewolnymi jest jakaś kobieta albo dziewczyna, która usługiwała już kiedyś damie. Jeśli tak, każ jej się umyć i przyślij do mego namiotu.

— Rozkaz, dowódcu! - wojownik uderzył pięścią w pierś. Mordan cofnął się i skóra opadła, zasłaniając wejście.

Przez chwilę stał spokojnie, chłodne powietrze pomogło złagodzić jego gniew. Uzdrowicielka przyglądała mu się bez słowa. On też na nią patrzył, pogrążony w myślach. — *Nie mogę sobie tego przypomnieć. Przekłete liście głogu! Musiałem się przeliczyć z tym świństwem. Czego jeszcze nie pamiętam? Czego?* — nie mógł złapać tchu. — *Sznur w jego ręce, ten sznur, którym skrepowane były jej dłonie... Na duchy zemsty...*

— Pewnie uważacie mnie za potworną świnię — wyrzucił z siebie gorzko.

Jej oczy patrzyły na niego zaskoczone.

— Kiedy zabrałem was Jerdtowi, wtedy... - szukał słów.

Jej spojrzenie zdradziło mu, że rozumiała.

— Sok liści głogu spowodował, że zachowywaliście się jak szaleni...

— To żadne usprawiedliwienie — powiedział i gwałtownym ruchem przeciągnął palcami potarganą, czarną czuprynę; palce zatrzymały się, gdzie włosy były mocno splecione, w ostatniej chwili złapał płaszcz zsuwający mu się z ramion. Zrobił krok w jej stronę, lecz potem znowu się zatrzymał. - Lijanas, czy ja zrobiłem jeszcze coś...

— Nie! Chcieliście mi tylko skrócić kark, tak mi się wydaje — uśmiechnęła się, kiedy z przerażeniem wciągnął powietrze. — Ale nim zdołaliście wprowadzić wasz zamiar w czyn, przewróciliście się, straciliście przytomność.

— A ta szrama? — wskazał na jej policzek.

— To się stało, kiedy rzucaliście się w gorączce. Nie zdołałam dość szybko zrobić uniku i otarliście mnie swoim pierścieniem. To nie wasza wina.

— To nic nie zmienia...

— Czy nie powiedzieliście przedtem, że nie da się zmienić tego, co się stało? — spytała i, drżąc, otuliła się ramionami.

Wziął z łóżka koc, stanął za jej krzesłem i położył miękkie futro ostrożnie na jej plecach.

— Zaraz rozpalą ogień. Kazałem przynieść gorącą wodę...

Wtulila policzek w delikatne, czarne futro wiewiórki.

— Gorąca woda... — westchnęła cicho, przymykając z rozmarzeniem oczy.

Z trudem oderwał od niej wzrok, odwrócił się do niej plecami, podszedł do jednej ze swych skrzyń i otworzył ją. Po chwili poszukiwania wyciągnął skórzane spodnie i czarną tunikę.

— Co wy tam robicie?

Zaskoczony odwrócił się w jej stronę, kucając. Jej zielone oczy patrzyły na niego z niepokojem.

— Ubieram się.

— Wy... Co takiego? Jesteście jeszcze zbyt słabi, żeby wstawać! Jeśli nie odpoczniecie...

— Czy dalej mam chodzić nago? Ten płaszcz jest wprawdzie ciepły, ale trochę niepraktyczny.

Najpierw założył bieliznę, a potem wciągnął spodnie z miękkiej, czarnej skóry. Kiedy zawiązał sznurówki u spodni, rzucił płaszcz na krzesło. Na nim wylądowała tunika.

Siedziała bardzo cicho, obserwując, jak chodzi po namiocie. Żeby założyć pończochy i buty, musiał się oprzeć o boczny słupek. Rozeźlony przeklinał swoje osłabienie i te lekkie zawroty głowy, które cały czas czuł pod czaszką. Z zewnątrz dobiegał równomierny dźwięk kowalskiego młota uderzającego w żelazo. Ktoś krzyknął rozkaz, odpowiedziało wiele głosów. Podszedł do stołu i obejrzał sobie stojącą na nim zbieraninę tygli, kawałków płótna i glinianych misek, zastanawiając się jeszcze, czy ma się zaraz ogolić i umyć zimną wodą, czy poczekać, aż niewolni przyniosą gorącą. Dotknął palcami brody. Kępki szczeciny drapały nieprzyjemnie. - *Teraz!* — Jego juki leżały obok wejścia do namiotu. Wyjął brzytwę i mydło, potem wrócił do stołu i sięgnął po dzban z wodą.

— Co ma wspólnego fakt, że jestem kobietą, z tym, że Jerdt wychłostał tylko Ahmeera, a mnie przekazał jednemu ze swych ludzi? — zapytała nagle. Jej słowa brzmiały nieoczekiwanie głośno, aż podniósł wzrok. Dłoń Mordana zatrzymała się w pół drogi. Przez chwilę zawahał się, potem wzruszył ramionami.

— Jerdt — kiedy chodzi o coś takiego — woli się raczej przyglądać kobietom. Tylko w przypadku mężczyzn sam przykłada do tego rękę. Jak

on to mówi? Ach tak: chce poczuć, jak rzemień przecina skórę jego ofiary. Jego zdaniem poprzez pejcz powstaje wtedy „szczególna więź”.

Wlał część wody, która była jeszcze w dzbanie, do czystej miski i namydlił sobie brodę, policzki i szyję.

— A dlaczego tylko w przypadku mężczyzny?

Sprawił kciukiem, czy ostrze brzytwy jest dość ostre, nim powoli pociągnął nią w górę po szyi.

— Ujmijmy to tak: Jerdt ma bardzo osobliwy stosunek do mężczyzn. Nie zauważyliście, że „was” nie dotknął jeszcze nigdy gołą ręką?

Jej oczy otworzyły się szeroko ze zdumienia.

- Sądzicie, że on jest...? — choć nie dokończyła tego zdania, ton jej głosu nie pozostawiał wątpliwości, co miała na myśli.

Starł pianę mydlaną z ostrza. — Raz czy dwa widziałem, jak wzywał do swego namiotu którąś z dziewczek. Ale wiem, że woli mężczyzn.

— Skąd o tym wiecie? On jest wojownikiem!

— Plotki! — *Niestety nie tylko stąd.* — A może myślicie, że ludzie nie mówią, kiedy mężczyzna trzyma w swym namiocie dwóch młodych, dobrze zbudowanych, niewolnych? — nóż zatrzymał się pod jego uchem.

A co ma znaczyć: „On jest wojownikiem”? Znam niejednego mężczyznę wojownika, przed którym drży wielu, a który nocą nie bierze sobie do łóżka kobiety. Nie jest to aż tak niespotykane, że mężczyzna kładzie się do łóżka z mężczyzną. Przede wszystkim nie w wojsku, gdzie na około dwa tysiące chłopów przypada dziesięć czy piętnaście dziewczek.

— A wy?

- Co „a wy”?

- Czy położyliście się już kiedyś do łóżka z mężczyzną?

Przekławszy, przycisnął palec do miejsca na brodzie, gdzie się właśnie zaciął.

Nie nazwałbym tak tego.

- Zapytajcie moich ludzi. Ja nie trzymam sobie zabawek na dwóch nogach i zazwyczaj wzywam do mego namiotu jedynie dziewczki z taboru.

— Tę kobietę o ciemnych blond włosach i dłoniach pomalowanych na czerwono?

O ciekawości, twe imię to Kobieta.

- Vajnę? Na przykład - odparł, wytarł dłoń w ręcznik i golił się dalej.

- Co Jerdt zrobi z Ahmeerem?

— Zawiezie go do Turasu. Jako jedyny męski krewny Rusana i jego spadkobierca, książę jest wyjątkowo cennym zakładnikiem.

— Nie o to mi chodziło!

— Chcecie wiedzieć, czy Jerdt nie zawaha się wziąć mężczyzny przemocą? — Nie!

Podciągnęła wysoko ramiona.

— Skąd o tym wiecie?

Z doświadczenia.

— Znam Jerdta już dość długo. Jednakże nie wiem, czy byłby zdolny, by posiadać swego zakładnika, ryzykując, że król się o tym dowie. Nawet jeśli cieszy się łaską Haffrena, a Ahmeer jest jedynie Nivardem.

— Czy nie możecie zażądać, by wydał wam także Ahmeera?

— Nie!

— Nie? - zacisnęła dłonie na brzegu stołu. - Ale...

— Nie, Lijanas! Jest kilka zasad, których nawet ja muszę się trzymać. Wydania was mogłem „zażądać” od Jerdta, ponieważ mam rozkaz, by dostarczyć was do Turasu. Żeby to powiedzieć jaśniej: jesteście moim jeńcem. „Należycie” do mnie! Dlatego Jerdt naruszyłby - powiedzmy — kodeks honorowy, gdyby mi was nie wydał. Ale ja nie mogę od niego żądać, by przekazał mi jeńca, który faktycznie należy do niego — wytarł resztki mydła z twarzy. Rozpacz w jej oczach zakłula go.

Ile dla ciebie znaczy książę Ahmeer, ptaszyno?

— Co on może zrobić z Ahmeerem?

Wszystko, poza zabiciem go.

— Lijanas...

— Powiedźcie mi!

Mordan westchnął, rzucił ręcznik na bok i podniósł miskę, żeby wylać wodę. Na krótką chwilę nasiliły się zawroty głowy.

— Powiedziałem wam już, że książę Ahmeer jest cennym zakładnikiem — a Jerdt już kazał go wychłostać. Nie może ryzykować, że książę dostanie gorączki z powodu ran i umrze. Dlatego będzie się hamował. — *Ale cokolwiek zrobi Jerdt, ty się już o tym nie dowiesz, ponieważ znikniemy stąd tak szybko, jak się da. Święto Kłosów jest coraz bliżej — mam już bardzo mało czasu, by zawieźć cię do Turasu w terminie.* — Stał w kącie obok wejścia do namiotu i wylał wodę z mydłem do wiadra, które stało tam w tym celu. — *O duchy zemsty, zmarnowałem przez tę przeklętą gorączkę ponad trzy dni i pewnie będzie mnie ona kosztować jeszcze jeden dzień, a potem*

stąd do WAWOZU Kaszen i z powrotem do Turasu... Do cholery, robi się mato czasu! — Bardziej z przyzwyczajenia niż z konieczności, uniósł nieco klapę namiotu i zerknął przez szczelinę. Zaczęła padać drobna mżawka, zamieniając powoli ziemię w błoto. Podmuch powietrza smagnął jego nagi tułów - przeszedł go dreszcz. Szybko opuścił skórzaną klapę, wrócił do stołu, postawił na nim z powrotem miskę i wlał do niej resztę wody. Przez krótki czas udawało mu się ignorować wzrok uzdrowicielki, kiedy się mył. Niewypowiedziane „proszę!” widniało wyraźnie w jej oczach — w końcu nie mógł już tego znieść i pokręcił głową.

- Nie mogę nic zrobić dla księcia Ahmeera — oznajmił jej gwałtownie, wytarł się i cisnął ręcznik na stół. Opuściła głowę. - *Do cholery! Nie trzeba było podnosić na nią głosu.* — Potem przypomniał sobie, dlaczego Jerdt kazał ją wychłostać. Okrążył stół i pochylił się nad nią. — I niech wam nie przyjdzie do głowy, żeby jeszcze raz chcieć go uwolnić. Jesteśmy w obozie armii. Jeńcy są dobrze pilnowani, ponieważ zgodnie z prawem ludzie pełniący wartę, którzy nie dopilnują zbiegów, zostają straceni. Złapałiby was! Zrozumieliście? - odczekał, aż kiwnie głową, potem założył tunikę, którą wcześniej rzucił na krzesło, i ruszył na poszukiwanie kaftana. — *Jak w chlewie! Jarat obdarłby mnie ze skóry, gdyby...* *Cha! I kto to mówi!* — Ubranie leżało — oczyszczone z krwi — schowane częściowo pod jego tarczą na drewnianym koźle na broń. Wsunął ręce w miękkie rękawy i zawiązał rzemienie, które pilnowały, by rękawy przylegały do przedramienia, ukrywając te haniebne blizny na jego nadgarstkach.

- Nie zamierzaliście ubrać się tylko po to, by nie musieć chodzić nago, prawda? — na dźwięk jej głosu podniósł wzrok, świadom swej winy.

- Macie rację - wyznał po chwili wahania.

- Nie jesteście jeszcze dość silni, żeby przez dłuższy czas być na nogach. Wciąż macie gorączkę!

- Wierzcie mi, Lijanas, z ogromną przyjemnością wśliznąłbym się z powrotem do tego łóżka i oddał waszej opiece. Ale nie mogę tego zrobić. Po tym, jak był tu Jerdt, muszę się pokazać w obozie. Na godzinę, dwie, polem wrócę. Nie umrę od tego.

Milczała.

Psiakrew! Czy każda kobieta to potrafi — spowodować jedynie swym milczeniem, że mężczyzna czuje się jak odrażający lajdak?

- Moi ludzie oczekują tego ode mnie, Lijanas. Jeśli tego nie zrobię, będą gadać. A tego nie chcę. — *Od kiedy muszę się przed nią tłumaczyć?*

— Wasi ludzie...

— Tak, moi ludzie. Oczekują, że ich dowódca pokaże się w obozie, skoro już wrócił, i wysłucha ich problemów i skarg.

Zawiązał kaftan na piersi. Zmarszczył czoło, gdy patrzyła na niego tak dziwnie. Przez chwilę czekał, że powie coś jeszcze, lecz milczała, więc schylił się i wyjął ze skrzyni pas bogato zdobiony srebrem.

— Czy kiedyś byście mi o rym powiedzieli?

Zatrzymał się, usłyszawszy jej ciche słowa.

— Co miałbym wam powiedzieć?

— Że jesteście tym, którego zwa „Krwawym Wilkiem”.

Stał przed nią przez kilka chwil bez ruchu, zdawało się, że oddech zamarł w jego piersi. Musiał zacisnąć dłonie w pięści, by nie drżały. Potem spojrzal na nią.

— Nie wiem.

Balem się, że będziesz czuć do mnie wstręt, ptaszyno. Mogę znieść wszystko, ale to... Nie, na to musiałbym być silniejszy, niż jestem! — Czy to dla was tak ważne?

Siedziała spokojnie na swym krześle, z dłońmi splecionymi na kolanach, włosy splywały jej z ramion, błyszcząc tajemniczo.

— Opowiedzcie mi o Sajidarrah i Tejidannarze!

Nie!

Pas wyśliznął mu się z palców, w których nagle stracił czucie, i wylądował z cichym brzękiem srebra u jego stóp.

— Lijanas... — czuł się tak, jakby ktoś owinął mu stryczek wokół szyi i zacisnął go.

Nie to! Proszę, nie!

— Opowiedzcie mi o tym!

Zmusił się, by zaczerpnąć powietrza.

— Nie ma nic do opowiadania! Nivardowie dwa miesiące wcześniej odzyskali na krótko dwa miasta w pobliżu ujścia Cornu, które były w naszych rękach przez trzy zimy. Sajidarrah i Tejidannar były odwetem - jak bardzo nienawidził siebie za to, że jego głos brzmiał tak spokojnie i obojętnie.

— Odwetem? — wypowiedziała to słowo z drżeniem.

— Tak, odwetem. Obydwa miasta wspierały armię Nivardów, zaopatrując ją w prowiant i inne rzeczy. Musieli za to odpokutować — nagle nie mógł już dłużej znieść jej spojrzenia. Schylił się po pasek.

- Ludzie musieli zginać dlatego, że „wspierali” innych? — Bardzo powoli pokręciła głowę, zawahała się, a potem spytała: — Czy to prawda, że wy..., że wy... — te słowa nie chciały jej przejść przez usta, mimo to wiedział, o co jej chodziło.

- Lijanas...

Nie pytaj o to, ptaszyno! Nie rób tego!

- Czy to prawda?

- Tak — poczuł w środku taki ból, jakby ktoś wbił mu miecz we wnętrznosci.

- Dlaczego?

Jego palce dotknęły srebrnych płytek pokrywających skórzany pas, który trzymał w dłoni.

- Dla postrachu. Tejidannat miałem zrównać z ziemią. Miała pozostać tylko spalona ziemia, nawet studnie miały być bezużyteczne. A Sajidarrah... Połowa mieszkańców miała umrzeć na stosie, resztę mieliśmy dostarczyć do Turasu, by tam spędzili resztę swego życia jako niewolnicy. Tak brzmiał rozkaz mego króla — zacisnął dłoń tak mocno na pasku, że srebro wżynało się w jej powierzchnię, próbował zwalczyć to wspomnienie. Jeszcze wiele dni po tym widział ten ogień, kiedy zamykał oko. Krzyki prześladowały go we śnie. Kiedy wydał rozkaz, by spalić Tejidannar i wszystkie pola, pastwiska i lasy w okolicy, spodziewał się, że z płomieni wzniesie się ten sam gryzący zapach, co z pożaru w Sajidarrah. Wiedział przy tym, że mieszkańcy Tejidannaru zostali zapędzeni przez jego ludzi na bezdrzewny pagórek poza murami miasta, by patrzeć, jak ich miasto umiera w ogniu.

Dni przechodziły w tygodnie i przez cały ten czas nie miał odwagi zasnąć, ze strachu przed koszmarami, a te kilka godzin, których domagał się jego organizm, nie dawało mu odpoczynku. W końcu udało mu się to przetrwać, któregoś dnia do małej chatki w górach, na północy, i zmusił go tam, by stawiał czoła swym demonom.

Prawie dwa miesiące spędzili na górskim ustroniu. Większości nie mógł sobie przypomnieć, spędził ją w delirium. Pamiętał, że kilka razy obudził się w skalnej piwnicy na posłaniu z siana i wełnianych koców, drżał wtedy na całym ciele, nie mogąc tego powstrzymać, targaly nim konwulsje, które wywracały jego wnętrznosci. Na wpół szalony z bólu krzyczał i rzucał się, przeklinał i groził, nawet schlebiał, żeby Brachan dał

mu choć uncję kujanu, by przynajmniej trochę złagodzić jego cierpienie. Stary wojownik nie okazywał litości i wyciągnął go z kamiennego lochu dopiero, gdy ten nie miał już prawie siły i zaistniało niebezpieczeństwo, że złośliwy kaszel rozgości się na dobre w jego piersi. Ze związanymi rękami i nogami leżał potem na worku słomy przed murowanym paleniskiem, w którym trzaskał jasny ogień, wypełniając pomieszczenie zapachem żywicy i ziół. Ciepło stopniowo przepędziło lód, który czuł w swych członkach, a konwulsje coraz rzadziej wstrząsały jego ciałem, gdy tymczasem Brachan siedział przy nim, mówiąc cicho do niego albo opowiadając mu legendy górskie, aby zająć czymś jego udręczony, niespokojny umysł.

W pewnym momencie wszystko minęło. Kiedy powoli powracały siły, często wspinali się po skalach. Godzinami obserwowali dzikie sokoly albo przyglądali się kozicom górskim, jak wspinały się po skalach na złamanie karku. Brachan pokazał mu, jak w lodowatych górskich strumieniach łapać ryby gołą ręką. Przez kilka tygodni rozkoszował się tym spokojem.

Potem przybył Corfar i przekazał mu wiadomość, że Haffren wzywa go natychmiast do Turasu. Najwyraźniej ktoś rozpuścił pogłoskę, że Mordan zbuntował się i porzucił wojsko. Wsiadł na swego konia i zjechał na równiny, nie obejrzawszy się już na małą chatkę.

Nagle zdał sobie sprawę z ciszy panującej w namiocie. Szybko podniósł wzrok. Cały czas na niego patrzyła, w jej oczach malowało się niedowierzanie.

— To był rozkaz!

Co nie zmienia faktu, że kazałem zaciągnąć do ognia setki ludzi.

— A wy robicie wszystko, co się wam rozkaże? — w jej słowach slychać było przerażenie.

— Jestem żołnierzem! Muszę słuchać rozkazów mego pana.

— Ale jesteście dowódcą... — pokręciła głową, okazując brak zrozumienia.

— To nic nie zmienia! Także ja muszę wykonywać rozkazy, które otrzymuję. A moje rozkazy dotyczące Sajidarrah i Tejidannaru były jasne. Nie miałem wyboru!

— Zawsze jest wybór!

— Nie, Lijanas, mylicie się. Wojownik jest zobowiązany do bezwzględного posłuszeństwa wobec swego pana. Tak stanowi prawo! Jeśli nie wykona rozkazu, traci swą cześć i swe życie.

Przez chwilę patrzyła na niego bez słowa.

- A gdyby wasz pan rozkazał wam, żebyście sami się zabili? — zapytała potem cicho.

- To moim obowiązkiem byłoby uczynić to, co rozkaże!

- A jeśli rozkaże wam zabić mnie? — wpiła palce dłoni w materiał swej szaty.

- Lijanas...

- Co, jeśli wasz pan rozkaże wam mnie zabić? Czy wykonacie także ten rozkaz? — zadawszy te pytania, nie spuszczała z niego oka. Mordan przelknął bezradnie ślinę.

Jeśli Haffren mi rozkaże, będę musiał to zrobić! Nie mógłbym! Mnie samego — tak! Ciebie — nie! Moje życie należy do ciebie, ptaszyno! Byłbym gotów zginąć, by cię chronić. Ale to nie miałyby sensu. Jeśli nie wykonam rozkazu, wykona go ktoś inny. Będę patrzył, jak umierasz, by podążyć zaraz za tobą. Śmierć z moich rąk mogłaby być słodka. — Śmierć nigdy nie jest słodka! Nie dla kogoś, kto chce żyć! — Nie będzie takiego rozkazu! — To bez sensu! — Tak samo bez sensu, jak kazać spalić żywcem setki ludzi...

Chwila ta trwała niemal całą wieczność, potem opuścił wzrok. Udręczony zdał sobie sprawę, że jego milczenie było dla niej wystarczającą odpowiedzią.

- Lijanas, ja... — przerwało mu szuranie przy kłapie namiotu. — Tak? odwrócił się oburzony.

Mailen wetknął głowę.

- Niewolni. Przynoszą posiłek i drewno, żeby rozpalić ogień.

- Psiakrew, niech się wynoszą do Hathenanów! — krzyknął na mężczyznę. Wojownik znieruchomiał, mruknął coś i wyglądało na to, że chce się wycofać. — Mailen, nie, poczekaj! — Mordan przycisnęła pięść do czoła, odetchnął głęboko kilka razy. — Niech wejdą!

- Tak, dowódcu.

Dwóch młodych mężczyzn wkroczyło do środka, pochylając się w wejściu. Jeden niósł wiązkę drewna, drugi trzymał na ręku tacę, z której roznosił się po namiocie zapach pieczeni i chleba. Podczas gdy pierwszy natychmiast upadł na kolana, przyciskając twarz do ziemi, drugi odstawił najpierw swój aromatyczny ciężar na stole, nim wziął przykład ze swego towarzysza. Spojrzawszy krótko w stronę uzdrowicielki, dostrzegł jej przerażenie na widok ich wychudzonych postaci, odzianych w nędzne fartuchy i spodnie. Nie dało się nie zauważyć żelaznego pierścienia na

ich szyi. Głowa starszego ogolona była prawie na lyso, lecz włosy tego drugiego były długie prawie na pół palca. Gdyby któryś z wojowników odniósł wrażenie, że wykręcił się od ostatniego strzyżenia, groziła mu chłosta.

- Zróbcie, co kazalem i wynoście się! - Mordan założył swój pas i sięgnął po pas z bliźniaczymi mieczami. Na znak, że zrozumieli, obydwaj mężczyźni przycisnęli jeszcze raz czoło do ziemi, następnie podnieśli się i wzięli szybko do pracy. Oszolomienie w oczach młodej kobiety nie dawało Mordanowi spokoju. Odwrócił się, starając okazać obojętność. Ozdobne łańcuszki na jego pasie z bronią pobrzękiwały cicho, kiedy go zapinał. Srebro połyskiwało w blasku płonących znowu jasno mis z ogniem. Poprawił skórę spodni na biodrach i sięgnął po płaszcz obszyty czarnym, wiewiórczym futrem. Kiedy poczuł, jak coś dotknęło jego buta, odwrócił się. Młodszy z niewolnych — ten, który przyniósł posiłek - klęczał za nim. Właśnie z powrotem przyległ do podłogi i cofnął rękę. Mordan zmarszczył niechętnie czoło. — *Jarat jeszcze pierwszej zimy obciałby mi palce, gdybym pozwolił sobie na takie zachwalstwo.* — Ponieważ milczał, dłoń znowu wysunęła się powoli do przodu. — *Ile razy prosiłem w taki sam, beżradny sposób, by móc coś powiedzieć?* — Mów!

Mężczyzna znieruchomiał.

- Wybaczcie mi, wielki panie, ale... dzban jest pusty. Czy mam go napelnić?

- Zrób to.

Znowu czoło przyległo do podłogi, potem mężczyzna odsunął się w tej pozycji od niego, nim wstał, chwycił dzban i szybko opuścił namiot.

Mordan zarzucił płaszcz na ramię i wziął rękawiczki.

— Jak jeż — podniósł oczy, gdy Lijanas się odezwała.

- Jeż?

- Kulił się przed wami jak jeż, kiedy się go wystraszy albo gdy się boi — coś zmieniło się w jej głosie. — Ale jeż ma kolce, które go chronią...

Znowu udało jej się sprawić, że czuje się jak...

Wzruszył ramionami.

— Jeszcze nigdy nie porównywałem niewolnych z jeżami...

— A z czym ich porównujecie? Z psami?

— Są mniej warci niż pies.

Drugi mężczyzna rzucił się na ziemię. Wykonał swoją pracę, czekał na nowe rozkazy.

- Znikaj! — gestem Mordan dał mu znać, by się wyniósł. Znowu pokłon, potem niewolny opuścił szybko namiot.

- Jak człowiek może być mniej wart od psa? - zapytała uzdrowicielka, podnosząc się ze swego krzesła. W jej szmaragdowych oczach dostrzegł błysk, niewróżący nic dobrego, jedną dłoń zacisnęła z boku w pięść, drugą przytrzymywała cały czas szatę.

Nie chcę się z tobą kłócić na ten temat, ptaszyno. Pogódź się z tym, że tak jest!

- Jak widzicie, jest to możliwe!

- Wszystko, co widzę, jest...

Kłapa namiotu została nieoczekiwania odrzucona w bok. Wepchnięto przez nią dziewczynę — potknęła się, upadła i natychmiast skuliła się na ziemi. Tuż za nią wkroczył do namiotu wojownik, uderzający wojskowym pozdrowieniem pięścią w pierś.

- Niewolna.

Mordan wziął powoli oddech, nim stanął przed mężczyzną — i uderzył go wierzchem dłoni w twarz. Za plecami usłyszał uzdrowicielkę, która przestraszona wciągnęła powietrze. Wojownik zachwiał się do tyłu, przycisnął, wyraźnie zaszokowany, palce do krwawiącej wargi i wlepił w niego wzrok. Dziewczyna pojękiwała na ziemi.

- Jeśli jeszcze raz wejdziecie do tego namiotu, nie prosząc mnie o pozwolenie, trybunie Gerean, przepędzę was przez alejkę — mówił tak, by mężczyzna widział jego kły przy każdym słowie, które wypowiadał. - Jeśli jeszcze raz zapomnicie, że należy zwracać się do mnie, używając mojego stopnia, każę wam obciąć czubek języka i pożegnacie się z funkcją trybuna zrozumieliście mnie, trybunie Gerean?

- Tak jest, dowódco! Proszę o wybaczenie, dowódco!

- Wybaczam, trybunie. Czy to jest dziewczyna, o którą prosiłem?

- Tak jest, dowódco. Pochodzi z Malejiadnanu. Była służącą żony zarządcy spichlerza.

- Dziękuję, trybunie. Możecie odejść!

Kolejne uderzenie w pierś i wojownik odwrócił się — i zderzył z niewolnym, który właśnie wrócił z dzbanem wody. — Otwórz oczy, kreaturo, i patrz, gdzie pełniesz! — czubek buta trafił młodego mężczyznę, który natychmiast rzucił się na ziemię, z boku.

- Wystarczy, trybunie! — uciął ostro Mordan. Wojownik zatrzymał się zaskoczony. Właśnie chciał kolejny raz kopnąć niewolnego, teraz odwrócił się. — Zegnam! Zajmę się tym, trybunie.

Wyrażnie oszołomiony, wojownik posłuchał.

- Ty! — to skierowane było do młodego mężczyzny. — Postaw dzban na stole! Potem znikaj! — A ty — teraz spojrzal na dziewczynę, która cały czas leżała skulona na dywanach — do słupka! Siadaj!

Szybko podczołgała się na wskazane miejsce i przycupnęła na piętach, w dalszym ciągu ze spuszczoną głową. Kiedy młody mężczyzna chciał opuścić namiot, oddawszy uniżony pokłon, powstrzymało go ostre:

- Ty! Stój! - Mordan podszedł do stołu, odłamał kawałek chleba. — Masz! - powiedział i kiwnąwszy nieznacznie głową, rzucił chleb mężczyźnie. Ten złapał go, wpatrując się przez chwilę w chleb, jakby nie mógł pojąć, co się stało, a potem jego oczy napelniły się nagle łzami. Pospiesznie spuścił znowu głowę, podczołgał się do Mordana i przycisnął czoło do jego buta. - Przestań! — syknąwszy, Mordan cofnął się. — I ostrzegam cię: jeśli jeszcze raz odważysz się przemówić po nivarzdku, kiedy ktoś pozwoli ci otworzyć usta, zedrą ci skórę z pięt. Znikaj!

Przyciskając chleb do piersi jak drogocenny skarb, niewolny uciekł. Zamyślony Mordan pocierał palcami jeden z ozdobnych łańcuszków. Wiedział, że niewolny w wojsku właściwie nigdy nie miał możliwości najeść się do syta. Ale to... — *Można by pomyśleć, że podarowałem mu wolność, a nie kawałek chleba. Coś się tu nie zgadza! I mogę się założyć, że Jerdt ma coś z tym wspólnego. Muszę porozmawiać z Feniar. Może on wydał jakieś rozkazy odnośnie niewolnych.* — Kiedy się odwrócił, napotkał spojrzenie uzdrowicielki. Na szczęście zachowała swe zdanie dla siebie, mimo że jej dezaprobata zdawała się wisieć w powietrzu jak lodowaty podmuch. Podszedł do dziewczyny i przyjrzał się jej. Dopiero tego lata podbili Malejiadnan, a ta mała już teraz była w oplakany stan. Był niemal pewien, że nie przeżyje śniegu i lodu. Chyba że inni niewolni ulitują się nad nią i pozwolą jej przytulić się do siebie w nocy, i oddadzą jej część swoich racji. Na jego ustach pojawił się na chwilę cień gorczy. Niewolni z reguły nie troszczyli się o siebie nawzajem. Gdy na ich szyjach łądowały żelazne pierścienie, przyjaźnie nie wytrzymały dłużej niż kilka dni. Czasem członkowie rodziny dbali o siebie jakiś miesiąc, ale potem... Nie! Każdy walczył wyłącznie w swoim imieniu. Ta mała miała tylko jedną możliwość...

- Jak się nazywasz? — skuliła się szybko i przycisnęła czoło do ziemi. Wysunęła do przodu drżącą, otwartą dłoń. Nieme błaganie:

- Za cokolwiek chcesz mnie ukarać, miej litość i nie bądź dla mnie zbyt brutalny.

Byli ludzie, którzy w takich chwilach stawali niewolnym na wyciągnięte palce - Jerdt był jednym z nich. Delikatnie trącił ją butem. Uzdrowicielka wciągnęła ostro powietrze.

- Usiądź i powiedz mi, jak masz na imię. Bądź posłuszna, a nic ci się nie stanie.

Przez kolejną chwilę nie poruszała się, potem wreszcie się wyprostowała.

- Kaija — rzekła cicho i natychmiast splotła palce.

- Kaija. Dobrze! Teraz spójrz na mnie! — po wychudłym ciele przeszedł dreszcz, potem zrobiła to, co kazal. Skrzyżował ręce na piersi i oparł się plecami o kant stołu. — Byłaś służącą żony zarządcy spichlerza? Wiesz, jak się obsługuje damę?

Odpowiedziało mu skinienie głowy.

- Dobrze! Tutaj — wskazał na uzdrowicielkę — to pani Lijanas. Od tej chwili masz być do jej nieograniczonej dyspozycji. Jeśli będzie z ciebie zadowolona, nie doznasz szkody. Jeśli jednak nie będzie...

Znowu odpowiedzią było kiwnięcie.

- Co wy sobie wyobrażacie, Kierze! Nie chcę niewolnicy! — na te oburzone słowa młodej kobiety w oczach dziewczyny pojawiły się lzy

Mordan spojrzal na nią niewzruszony.

- Jesteście pewni? Byłaby wam uslužna we wszystkim, dopóki tu będziemy. Byłaby...

- Powtarzam wam raz jeszcze: nie chcę niewolnicy! — zdawało się, że dopiero teraz dostrzegła nieme lzy spływające po policzkach Kaii. Chude dłonie uniosły się w błagalnym geście. — Dlaczego płaczesz? — chciała się pochylić nad dziewczyną, jednak on kazal jej usiąść na miejscu.

- Słyszalaś, co powiedziała pani Lijanas. Znikaj!

- Nie! Niech mi najpierw powie, dlaczego płacze, Kierze!

- Podjęliście decyzję. Jej lzy to nie wasza sprawa — odłamał kolejny kawałek chleba i wcisnął go w drżące palce Kaii. - Odejdź! - upadła na krótko na podłogę, potem wybiegła z namiotu ze szlochem. Uzdrowicielka zerwała się i chciała pobiec za dziewczyną, ale on chwycił ją za

rękę i powstrzymał. — Nie chcieliście niewolnicy. Stało się tak, jak sobie życzyliście. Teraz to zostawcie!

— Chcę wiedzieć, dlaczego płakała, kiedy powiedziałam...

Pchnął ją z powrotem na krzesło.

— Służyć u was, oznaczałoby dla Kaii wydostanie się z zagrody; otrzymałaby ode mnie koc do spania i wolno by jej było brać to, co zostanie z posiłku.

Jej oczy otworzyły się szeroko.

— Wezwijcie ją z powrotem!

— Nie!

— Trzeba mi było to wszystko powiedzieć wcześniej!

— Dlaczego? Żebyście wzięli ją do siebie, bo jej wam żal jak wygłodniałego, bezpańskiego psa?

To był błąd, posyłać po dziewczynę dla niej. Przeklęty błąd! Powinienem był wiedzieć!

— Jesteście... Proszę, poślijcie po nią!

— Nie!

Wiesz właściwie, czego ode mnie żądasz? Nie mogę tak po prostu cofnąć podjętej decyzji jak jakiś kapryśny pochlebca.

— Proszę, ja...

— Możecie prosić, ile chcecie, Lijanas. Moja odpowiedź się nie zmieni!

Dlaczego musimy się ciągle kłócić, ptaszyno?

— Jesteście potworem bez serca!

Uwierz mi, mam serce. W tej chwili jednak bardzo żałuję, że je mam.

— W takim razie będzie lepiej, jeśli ten potwór zostawi was teraz samą — oznajmił i odwrócił się gwałtownie w stronę wyjścia. Trzymając już skórzaną klapę w dłoni, jeszcze raz odwrócił się do niej. — Niewolni przyniosą wam gorącą wodę do mycia. Czy z niej skorzystacie, czy nie, zależy od was. Ci dwaj wojownicy, którzy pełnią wartę przed namiotem, zadbają o wszystko. Nie życzę sobie, byście próbowali rozmawiać z niewolnymi. Poza tym wewnątrz mojego namiotu wolno wam robić wszystko, na co macie ochotę. Zjedzcie, odpocznijcie! Wrócę dopiero wtedy, gdy zajdzie słońce, więc przez całe popołudnie nie będziecie musieli znosić mojej obecności - zapowiedział i opuścił za sobą skórę, która zatrzepotała, nim zawisła na swym miejscu.



Patrzył na wiadomość w swojej dłoni. Nie słyszał upominającego się krakania ptaka. Mysz przycupnęła w swej klatce, spoglądając na wielkie, czarne stworzenie, sparaliżowana strachem. Jeszcze raz przeczytał to jedno zdanie. Pięć słów, które mogły obrócić wniwecz wszystko, nad czym pracował dłużej, niż trwa ludzkie życie. Wiedział doskonale, kogo dotyczyła ta informacja. A ten partacz nie był w stanie temu zapobiec. Silnym ruchem zgniótł pasek pergaminu i rzucił go do stojącego na stole tygła z ogniem.

A przecież rozkaz był wyraźny! Że akurat on... Niech będzie przeklęty, ten bęka więź między wiedźmą *dusz a cogenem?* Nie może się powtórzyć znów to, co stało się z Aslajin i jej *cogenami!* Ale może jeszcze nie wszystko stracone. Trzeba rozdzielić tych dwoje! Natychmiast! Szybko napisał wiadomość i zapieczętował ją. Potem pstryknął palcami. Chłopak wypelzł ze swego kąta, skulił się u jego stóp i spojrzał na niego swymi ciemnymi jak burza, niebieskoszarymi oczami. Ten chłopak był przyglupi — i właśnie dlatego był idealnym sługą dla niego. Podał chłopcu wiadomość.

- Idź do sal Kessananów! Ten list jest dla Wielkiego Mistrza Arkella! Przekaż go tylko do jego rąk!

Było już po zachodzie słońca, kiedy wrócił. Godzina za godziną krążył po obozie, i bardzo szybko rzuciły mu się w oczy liczne drobiazgi, które świadczyły o tym, że coś się tu nie zgadzało. Na początku nie mógł wskazać nic konkretnego, jednak potem nabrał podejrzeń i udał się z wizytą do

zarządcy taboru. Skwapliwie podał mu dokumenty, których zażądał i odpowiedział otwarcie na wszystkie jego pytania. Nie powinno sprawić trudności udowodnienie przy pomocy papierów w skórzanej teczce, które miał pod ręką, tego, co do tej pory było jedynie jego przypuszczeniem. A jeśli to faktycznie się potwierdzi, Jerdt będzie musiał się przygotować. Mailen i Zenaen powitali go, jak zwykle, z szacunkiem i zarazem przyjaźnie. Od lojalności tych dwóch wojowników i ich ośmiu towarzyszy mogło zależeć w nagłym wypadku jego życie, dlatego nie miał wątpliwości, że należy ich traktować bardziej jak towarzyszy broni niż jak podwładnych.

Odpowiedzieli twierdząco na zadane im pytanie — uwięziona kobieta, którą na jego rozkaz traktowano jak szanowanego gościa, trzymała się jego poleceń i nie próbowała rozmawiać z niewolnymi, kiedy przyniesli gorącą wodę. Siedziała cicho na swoim krześle i obserwowała wszystko. Jednakże w jej oczach było widać takie współczucie, że niejednemu mogłoby pęknąć serce. Zenaen zrobił się czerwony jak indyk, kiedy, wypowiedziawszy te słowa, napotkał na zdumione spojrzenie Mordana. Kiedy zaszło słońce, spytała, co się stanie z potrawami, których nie zjadła, a kiedy odpowiedzieli, że niewolni, którzy sprzątaję ze stołu, mogą rozdzielić je między sobą, poprosiła, by wśród przydzielonych do tej pracy mogła być ta dziewczyna, Kaija. Spełnili tę prośbę, ponieważ nikt na tym nie tracił.

Kręcąc głową, Mordan wszedł do swego namiotu. Najwyraźniej udało się jej już okrzęcić sobie strażników wokół tych ślicznych palców. Do jego uszu dobiegł potworny dźwięk.

Była tak zajęta przedmiotem leżącym na jej kolanach, że wcale nie zauważyła, kiedy wszedł. Jej mokre włosy były rozpuszczone, pewnie po to, by szybciej schły. Siedziała plecami przy jednej z mis z ogniem. Wyraźnie skoncentrowana na tym, by nie dotknąć oparcia za plecami, próbowała ze słuchu nastroić struny *asraneh*. Znowu rozległ się fałszywy dźwięk. Zagryzła dolną wargę w sposób, który był już mu dobrze znany, i poluzowała nieco pokrętko. Przez długą chwilę stał przy wejściu, nie mogąc oderwać od niej oczu, potem gwałtownie spojrzal w bok. Ich światy były tak różne!

- Umiecie grać?

Podniosła głowę, gdy odezwał się tak niespodziewanie.

- Tak. Ale jest potwornie rozstrojona. Jeszcze nigdy nie stroiłam naslasy tylko ze słuchu. Macie stroik?

- Nie. I byłbym wam zobowiązany, gdybyście mogli to odłożyć.

Powolnym krokiem przeszedł przez namiot, skórzana teczka ze sprawozdaniami Feniar i listami żywności od zarządcy taboru wylądowały z głośnym uderzeniem na stole. Niedbale rzucił płaszcz na łóżko, rozpiął pas, do którego przypięte były miecze i usiadł na drugim krześle.

- Dlaczego?

Bo wiąże się z tym zbyt wiele wspomnień. I zbyt wiele zniszczonych marzeń.

Odetchnął głęboko, kciukiem i palcem wskazującym przycisnął na chwilę nasadę nosa, nim wziął ze stołu obydwaj dzbany, powąchał ich zawartość i wreszcie nalał sobie wina.

- Bo nie dam rady znieść dzisiejszego wieczora tego brzdąkania.

Kręciło mu się w głowie, czuł się wyczerpany i było mu dziwnie zimno — nigdy dotąd tak się nie czuł. Po południu musiał chwilę położyć w namiocie Brachana, w przeciwnym razie mogłoby się zdarzyć, że nogi ugięłyby się pod nim nieoczekiwanie. Ktoś zostawił dla niego na stole talerz z pasztecikami warzywnymi, plastrami pieczeni, serem i chlebem. W drewnianej misce błyszcząły ciemne winogrona. W rogu siołu wciąż stały jeden przy drugim tygły i garnuszki. Wziął głęboki łyk, potem spojrzął na nią, pogrążony w myślach, z kubkiem w dłoni. Cały czas trzymała jeszcze instrument w rękach.

- Skąd właściwie to wzięliście?

- Była w jednej ze skrzyń...

- Grzebiecie w moich rzeczach?

- Szukałam czegoś, co mogłabym założyć...

- Jak widzę, przynajmniej coś żeście znaleźli — powiedział i wskazał na koszulę, którą miała na sobie.

- Tak. Nie wiedziałam, czy mogę wziąć jedną z tych sukien ze skrzyni.

I) o kogo należą?

Mimowolnie jego place zacisnęły się mocniej na kubku.

Do podstępnej żmii.

- Do mojej narzeczonej — starał się, by jego głos zabrzmiał obojętnie, łyknął wina.

- Macie narzeczoną? - w jej głosie dało się słyszeć drzenie.

- Miałem! — *Czemu te śmieci jeszcze tu stoją? Kazałem przecież wrzucić wszystko do ognia.* — Weźcie sobie z tych rzeczy, co wam się podoba. Dopasujcie, jeśli trzeba. Umiecie przecież szyć?

- Tak. Co się stało? Czy ona... umarła?

— Skąd ten pomysł? Cóż, właściwie pewnie można powiedzieć, że umarła, tak.

Spojrzała na niego oszolomiona. Potem, przestraszona, przytuliła do siebie mocniej *asraneb*.

— Chyba jej nie...

— Zabilem? — dokończył i głośniej, niż zamierzał, odstawił kubek na stół. — Nie. O ile mi wiadomo, nieźle jej się powodzi, biorąc pod uwagę okoliczności. Nie musicie wiedzieć, co się z nią stało. Nigdy nie widziała tych rzeczy, nie mówiąc o noszeniu ich. Wyszukajcie sobie coś, co możecie nosić i dopasujcie do siebie. A teraz byłbym wam wdzięczny, gdybyście na chwilę mogli się sami sobą zająć. Muszę popracować.

Uniosła brodę.

— Przez całe popołudnie „sama się sobą zajmowałam”. Byłabym „wam” wdzięczna, gdybyście nie traktowali mnie jak małego dziecka, które odsyłacie, by się pobawiło. Będzie wam przeszkadzało, jeśli będę dalej próbować nastroić nalasrę?

— Jeśli wasze serce tak bardzo tego pragnie. Niech będzie. Ale róbcie to cicho! I dla waszej wiadomości: to nie astrachańska nalasra, a *asraneb* z północy. A te mają trzy wiązki strun więcej.

— W takim razie brakuje kilku strun.

Parsknął cierpko.

— Tu brakuje więcej niż tylko „kilku” strun.

— Macie zapasowe struny?

— Możliwe.

— Czy pozwolicie...

— Nie! — Lijanas już na wpół podniosła się ze swego krzesła. Teraz opadła na nie, wyraźnie rozczarowana. — Nie, nie pozwolę wam grzebać w moich skrzyniach, żeby znaleźć kilka strun. Na tym instrumencie nikt nie grał od wielu zim. — *A dokładnie od ośmiu.* — I nikt prędko na nim nie zagra. Po co więc chcecie się trudzić, by naciągnąć brakujące struny? Odlóżcie to i znajdźcie sobie inne zajęcie!

Odpowiedziała mu rozgniewanym spojrzeniem, potem ostrożnie odstawiła *asraneb* na bok i spojrzała na niego prowokująco.

— A czym mam się zająć?

Mordan przycisnął dłoń płasko do stołu.

— A co zwykle robicie, siedząc wieczorem przy ogniu?

Jeśli akurat nie jestem porwana? — zdawały się mówić jej oczy, nim odpowiedziała:

- Czytam, rozmawiam z ludźmi, których lubię, albo mam jakąś robotkę ręczną... - umilkła, kiedy wstał, podszedł do skrzyni, z której wyjęła już koszulę, i po chwili wrócił z ciemnozieloną szatą, którą położył jej na kolanach.

- Przeróbcie to dla siebie! Nie mogę pozwolić, byście chodzili w samej koszuli.

Jej dłoń dotknęła z zachwytem materiału, potem spojrzała na niego.

- A co z igłą i nicią?

Uniósł brew, pogrzebał jednak w swych jukach i wcisnął jej wreszcie do ręki kawałek skóry, w który wbite były dwie rogowe igły.

- Nie mam nic innego.

Popatrzyła zamyślona najpierw na niego, potem na materiał, wzruszyła wreszcie ramionami.

- Może nie będę musiała wcale nic przerabiać — powiedziała i uśmiechnęła się tak niespodziewanie, że kompletnie go tym zaskoczyła.

Ta suknia jest przepiękna. Dziękuję!

Nagle poczuł się przerażająco niepewnie. Przeciągnął szorstko dłonią po włosach, kiwnął lekko głową, odwrócił się do niej plecami i wyjął z jednej ze skrzyń małe pudełko z drewna larnowego, zawierające atrament, pióra i scyzoryk oraz kilka arkuszy pergaminu; zapalił jeszcze kilka świeczek i zaczął analizować dokumenty.

Bardzo szybko odkrył, jaką grę prowadził Jerdt. Mimowolnie wyrwało mu się przekleństwo. Nie było łatwo wyżywić prawie dwa tysiące ludzi. Ale stało się to niemożliwe, kiedy ten drań zaczął bez skrupowania korzystać z jego zapasów zwierząt — i podczas gdy wojownicy Jerdta ucztowali, jego ludzie musieli się zadowolić kaszą i chlebem, a dla niewolnych nic już nie zostawało. W dodatku ten, po trzykroć przeklęty, szczur miał czelność, by kazać zarządcy taboru kwitować przekazanie zapasów prowiantu. To, że on — zwłaszcza w tej okolicy - nie mógł tak szybko zdobyć nowego bydła jak szybko Jerdt zabierał je z pastwisk, nie było niczym dziwnym. A zarządca nie mógł się sprzeciwić rozkazowi dowódcy armii i musiał za każdym razem wydać zwierzęta. Wszystko było więc zupełnie legalnie! Ale to się teraz zmieni! W tę grę można grać we dwóch! Jerdt będzie się w duszy wściekał, ale będzie musiał uklonić się z uśmiechem i wykonać polecenia.

Kiedy w pewnym momencie podniósł wzrok, młoda kobieta siedziała przysunięta do stołu, z pochyloną głową, i obszywała dół sukni. Nawet nie zauważył, że się przybliżyła, by mieć więcej światła.

— Dlaczego nic nie powiedzieliście, zapaliłbym wam więcej świec — skarcił ją cicho.

— Ale dlaczego? — zdziwiła się, podnosząc wzrok. Czy faktycznie dostrzegł lekki uśmiech w kąciку jej ust? — Przecież tak też jest dobrze. A może przeszkadzałam wam?

— Nie! - trzymając pióro cały czas w dłoni, wskazał na górę materiału na jej kolanach. — I jak? Musicie dużo przerabiać?

— Wcale. Jest tylko trochę za długa. Podwinę jeszcze raz brzeg, wtedy będzie dobra.

— Zdradzicie mi, skąd wzięliście nic?

Teraz wyraźnie pokazał się uśmiech.

— Ostrożnie wyciągnęłam z materiału.

— Wcale nie widziałem, byście przymierzali suknię...

— Wiem. Byliście tak pograżeni w papierach... Jest aż tak źle? Wyglądaliście najpierw na zmartwionego, a potem na rozgniewanego. Parę razy żeście przekleli.

— Jerdt mnie ograbił. Ale teraz koniec z tym. Jutro wezwę go na rozmowę, a potem zadbam o to, by Feniara wyprowadziła moje centurie na obóz zimowy — oparł się, obserwując, jak igła ślizga się po materiale. Zamyślony bawił się piórem. Jakieś dziwnie ciepłe uczucie sprawiło, że jego ciało zrobiło się w przyjemny sposób ciężkie — uczucie, którego nie znał do tej pory.

— Nie lubicie się za bardzo z Jerdtem, prawda?

Zmrużył ociężałe oczy.

Delikatnie powiedziane.

— Chcąc to uprzejmie wyrazić — tak.

— Czy wolno mi spytać, dlaczego?

— Wolno wam. To jawna tajemnica, że Jerdt założył, iż mój poprzednik, pierwszy dowódca, „jemu” włoży ten pierścień na palec — podniósł rękę, złoto zaślniło w blasku świec — a nie mnie.

— Nienawidzi was tylko z powodu jakiegoś pierścienia? — na jej twarzy malowało się osłupienie. — Auć! - igła wbiła się jej w kciuk. Włożyła go do ust.

- Nie zapominajcie o władzy, jaka wiąże się z tym pierścieniem. A Jerdt jest ambitnym człowiekiem. Bardzo niechętnie zadowolona się drugim miejscem. Nigdy zbyt nie lubiliśmy.

Od pierwszego dnia zamienił me życie w piekło. Do dzisiaj nie wiem dlaczego.

Wyjęła palec z ust, obejrzała ukłucie, potem spojrzała na niego.

- Czy to prawda, że znacie się już od dziesięciu zim? Powiedział, że przysłicie do armii tej samej zimy, kiedy..., jak on się nazywał... ach tak, kiedy Jarat uczynił go trybunem.

- Możliwe — nagle poczuł drzenie w żołądku. — *Co on ci jeszcze o mnie opowiedział? Że czułgalem się przed nim? Że mnie...* — pióro pękło mu między palcami. Zdziwiona, ściągnęła łagodnie brwi. Potem na jej czole pojawiła się pionowa bruzda.

- Nie jesteście przyjaciółmi!

Zaśmiał się głośno jak dzwon.

- Na pewno nie!

- W takim razie nic mu o tym nie powiedzieliście?

- O czym nie powiedziałem? Mówicie jak wyrocznia, Lijanas.

- On znał wasze rozkazy!

- Co? Jakie rozkazy? — spytał zdziwiony i pochylił się bardziej do przodu.

- Wiedział, że macie mnie dostarczyć do Turasu. Twierdził, że powiedzieliście mu o tym, kiedy się tam spotkaliście.

- To kłamstwo! — krzyknął i poderwał się zdenerwowany.

Skąd, na duchy zemsty, Jerdt zna moje rozkazy? Co tu się dzieje? Kto mu o tym powiedział? Dlaczego? Co da Jerdtowi wiedza, że mam dostarczyć do Turasu nivarzką uzdrowicielkę?

Długim krokiem przemierzał namiot w tę i z powrotem.

- Z powodu tego rozkazu pytaliście mnie w Anscharze, czy jestem jeszcze dziewicą, prawda?

Zatrzymał się nagle i odwrócił.

- Skąd...?

- Powiedział, że muszę trafić do Turasu nienaruszona. To był powód, dla którego kazał mnie jedynie wychłostać, a nie oddał mnie swoim ludziom. Opowiadałam wam. Pamiętacie? - spytała, krzyżując dłonie na materiale. - Dlaczego musicie zawieźć mnie nienaruszoną do Turasu?

- Nie wiem. Taki otrzymałem rozkaz.

- A nie pytaliście dlaczego?

Dobitnie pokręcił głową.

- Kiedy otrzymuje się wyraźny rozkaz, nie pyta się dlaczego, Lijanas. Przypuszczam, że ma to związek z rytuałem uzdrawiania, który macie odprawić nad moim władcą.

- Jakim rytuałem uzdrawiania?

- No... - zaczął zdziwiony, jednak przerwała mu.

- Nie ma żadnych rytuałów uzdrawiania. Coś takiego to jedynie zabobonne bzdury. Jak na przykład, że brodawka zniknie, kiedy przy podwójnej pełni księżyca obejdzie się buk trzy razy, powtarzając: „Zniknij, brodawko!”. Coś takiego nie działa. Kto opowiedział wam o tym rytuale?

- Nikt! — odpowiedział i przeciągnął obydwoma rękoma po włosach.

- Jaki miałyby być inny powód, dla którego miałbym dostarczyć właśnie was do Turasu i to - nienaruszoną?

- Pytacie nieodpowiednią osobę! Trzeba było o to zapytać swego władcę, kiedy wydał wam ten rozkaz.

Zamyślony spojrzal na nią z góry.

Jeśli ona ma rację — co to wszystko ma znaczyć? Do cholery, co ja robię? Nie mam prawa podważać rozkazów nawet, jeśli wydają się bez sensu!

- Czy znacie eliksir, który zwa „Łzami Białej Żmii”?

- Nie. A na co to jest?

- To miało być moje kolejne pytanie do was, ponieważ mam rozkaz dostarczyć ten eliksir razem z wami do Turasu.

- Pokażcie mi go - zażądała po chwili namysłu. — Może go znam, tylko pod inną nazwą.

- Nie mam go. Jeszcze nie.

- Teraz wy mówicie jak wyrocznia.

- Ten eliksir ma się znajdować w górach, po drugiej stronie Wąwozu Kassen. Mam go zdobyć z waszą pomocą. Ladakh powiedział, że tylko wam wolno go dotknąć, w przeciwnym razie straci swą moc.

Parsknęła pogardliwie.

- Ten Ladakh opowiada bzdury. Żadne lekarstwo nie traci swej mocy tylko dlatego, że dotknie go ta czy inna osoba. Kim jest ten człowiek?

- To astrolog i uzdrowiciel mojego króla.

- Najwyraźniej to fuszer, skoro opowiada takie rzeczy. Co teraz zrobicie?

- Co macie na myśli? Oczywiście wykonam rozkazy, które otrzymałem.

Westchnąwszy, odłożyła igłę.

- Oczywiście. Zapomniałam: wy wykonujecie rozkazy, które otrzymacie, zawsze i bez względu na to, jak brzmią, do końca - powiedziała, podniosła suknię z kolan i wstała. — Jak daleko jest stąd do Wąwozu Kassen?

- Trzy, może cztery dni drogi konno — przyglądał się jej, kiedy przyłożyła do siebie suknię. Wyglądało na to, że miała teraz odpowiednią długość. — Umiecie jeździć konno, Lijanas?

Spojrzała na niego zdziwiona.

- Oczywiście!

- Z nogami po bokach konia, jak mężczyzna?

- Tak. Dlaczego pytacie?

Wzruszył lekko ramionami.

- Ponieważ myślę, że pewnie będzie wam wygodniej siedzieć na własnym koniu niż za albo przede mną na Ired.

- Chcecie mi dać konia?

- Pod warunkiem, że znajdę takiego, który nie będzie nas spowalniał.

- Naprawdę dostanę *ashentai*?

- Nie *ashentai*! Konia! Nie mogę wam dać rumaka bojowego. Prawo tego zabrania! Już późno! Może powinniście już się położyć.

Ani drgnęła.

- Kiedy chcecie wyruszyć do tego wąwozu?

- Jutro...

- Jutro jeszcze nie możecie!

Zaskoczony przechylił głowę.

- Dlaczego nie możemy jutro wyruszyć?

- Nie słuchaliście mnie, Kierze! „Wy” nie możecie wyruszyć! Przez ostatnie dni mieliście wysoką gorączkę. To prawie cud, że już tak dobrze się czujecie. Ale wyruszyć jutro i kolejne dwa albo trzy dni spędzić tylko na grzbiecie końskim... Nie! Możecie mieć nawet siłę woli, ale nawet wy nie dacie rady.

Pokręcił zdecydowanie głową.

- A kiedy „ja” waszym zdaniem mogę ruszyć w drogę?

Zmierzyła go wzrokiem.

- Najwcześniej za trzy dni! — oznajmiła.

— Pojutrze.

— Co wy sobie właściwie myślicie, że gdzie jesteście? Na targu jedwabnym? — spytała podniesionym głosem i chwyciła się gniewnie pod boki, robiąc groźny krok w jego stronę. — Nie możecie się ze mną targować. Za trzy dni! Najwcześniej!

— Pojutrze! I to moje ostatnie słowo!

Jej podbródek wysunął się groźnie do przodu. Ku jego zaskoczeniu faktycznie była w stanie krzyknąć.

— Jesteście najbardziej butnym i upartym pacjentem, jakiego kiedykolwiek miałam.

— Skoro wy tak mówicie, to musi być prawda. Idźcie do łóżka, Lijanas.

— A wy?

— Zaraz.

— Chcę jeszcze obejrzyć waszą ranę i zmienić opatrunek — rozkazała.

Mało brakowało, a by się rozeźmiał. Jednak w ostatniej chwili powstrzymał się i zamiast tego podporządkował się pozornie potulnie.

— Nie będę wam w tym przeszkadzać.

Trudno było brać na poważnie rozkazy osóбки, której czubek nosa sięgał mu zaledwie do dołka w piersi. Najwyraźniej jednak jakoś się zdradził, ponieważ usłyszał rozgoryczone sapanie, podczas którego jej drobne ramiona uniosły się wyraźnie w górę.

— W takim razie zdejmijcie tunikę i siadajcie!

— Czy to nie może poczekać, aż przyjdę do was do łóżka?

Z sykiem wciągnęła powietrze przez zęby.

— Czy oczekujecie ode mnie, że znowu będę z wami spać w jednym łóżku?

- T a k !

— A jeśli tego nie chcę?

— W takim razie będę musiał znaleźć jakiś sposób, żeby was do tego..., powiedzmy, namówić.

— Chcieliście powiedzieć: przymusić. Nazywajcie rzeczy po imieniu, Kierze!

— Czy już wam mówiłem, że mądra z was dziewczyna?

— Czy już wam mówiłam, że arogancki z was drań? — powiedziała, odrzucając impertynencko włosy do tyłu — i wykrzywiła twarz z bólu.

Podszedł do niej zatroskany.

Jerdt odповіє mi також за то!

— Gdzie jest balsam gojący?

— Mały gliniany garnuszek. Po prawej.

Mordan wyjął jej suknię z rąk i popchnął ją do łóżka.

- Rozbierzcie się i połóżcie! Na brzuchu!

Patrzyła to na niego, to na naczynie. Przygryzła wargę. Westchnąwszy, odwrócił się do niej demonstracyjnie plecami.

— Zadowolona?

- T a k .

Za nim dał się słyszeć cichy szelest materiału, potem zatrzeszczało skórzane pokrycie łóżka. Odczekał jeszcze chwilę, nim wziął garnuszek, odwrócił się i usiadł przy niej, na brzegu łóżka. Ostrożnie zsunął futrzane przykrycie niżej na jej pośladki, żeby nie umazać go jasnozieloną pastą - natychmiast całe jej ciało spięło się - zebrał jej włosy w koński ogon, położył je obok głowy i zaczął delikatnie nakładać balsam na pręgi. Cierpki zapach ziół dotarł do jego nosa. Bardzo powoli rozluźniła się pod dotykiem jego dłoni.

- Kiedy właściwie zrealizujecie swoje zobowiązanie z przegranego zakładu, Kierze? - zapytała w pewnym momencie. Jego dłonie zatrzymały się na chwilę na jej plecach.

— Nie teraz i nie tutaj! - oznajmił jej potem. Uniosła się, wsparłszy na łokciu, przyciskając kawałek futra do piersi, i spojrzała na niego z dziwnym wyrazem twarzy. - Bez obaw, pamiętam o swoim długu. I wywiążę się ze zobowiązania — kiedy odwiożę was do Turasu.

- Dlaczego dopiero wtedy? — słysząc było rozczarowanie w jej głosie.

- Ponieważ muszę was tam dowieźć w określonym terminie, a przez nasz długi pobyt w Cavallinie i moją chorobę straciliśmy dużo czasu. Dlatego nie mogę sobie pozwolić na to, by zmarnować jeszcze jeden dzień. Połóżcie się.

Przez moment wahała się, jakby chciała jeszcze coś powiedzieć, potem wyciągnęła się z powrotem na skórach. Ostrożnie dalej nacierał jej plecy balsamem gojącym. Jeszcze nie skończył, kiedy głęboki, równomierny oddech obwieścił, że zasnęła. W końcu wrócił na swe pierwotne miejsce, uważając, by nie zbudzić jej swym ruchem i, pocierając dłonie, by wchłonęła się reszta pasty, przyglądał się jej.

Taka delikatna i wrażliwa — a jednocześnie jedyna kobieta, która ma odwagę warknąć na mnie, wzięwszy się pod boki.

Ostrożnie rozpostarł na jej plecach jedno z lnianych prześcieradel, nim przykrył ją skórami. Mrucząc cicho, zmarszczyła czoło, jej dłoń powędrowała po futrze, jakby czegoś szukała. Pochylił się, podał jej swoją dłoń. Jej palce zacisnęły się na niej, splotły we śnie z jego palcami. Zadowolona, leżała dalej spokojnie. Patrzył na nią w milczeniu.

Dlaczego mam cię zawieźć do Turasu, ptaszyno? Czy jest tak, jak mówisz? Czy nie istnieją rytuały uzdrawiające? A może to po prostu jedynie jakiś inny sposób leczenia, który nie jest ci znany? Jaka ma być w tym twoja rola? A może wcale nie mam cię zawieźć do Turasu po to, byś wyleczyła mojego władcę? Ale niby po coś innego? Jesteś uzdrowicielką! Nic innego nie miałoby sensu!

Powoli wypuścił powietrze. Choć mocno się głowił, nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Pochylił się bardziej, chcąc odgarnąć niesforny kosmyk, który spadł jej na oczy, kiedy ostry ból przypomniał mu o ranie. Ostrożnie wyprostował się, zabrał delikatnie swe palce. Westchnąwszy, puściła go i odwróciła twarz w drugą stronę, z dała od światła świec i mis z ogniem.

Z garnuszkciem balsamu w rękę podszedł do stołu, odstawił go, zdjął kaftan i tunikę i zaczął powoli zdejmować opatrunek. Ostatni kawałek był przyklejony do rany — zacisnął zęby i oderwał go jednym szarpnięciem. Spojrzał na siebie. To był czysty przestrzał na wylot, na wysokości dwóch ostatnich żeber. Brzegi rany wyglądały na postrzępione. Obmacał palcami plecy — tam było gładko: wyraźny znak, że belt trafił go od tyłu. Jego usta skrzywiły się, kiedy oglądał swe palce, by stwierdzić, czy rana nie otworzyła się, kiedy oderwał opatrunek - nie, ani śladu krwi. Strzelanie do człowieka od tyłu nie wskazywało na zbyt honorowe nastawienie księcia Nivardów. Zwłaszcza że strzały mogły trafić równie dobrze jakiegoś mieszkańca Cavallina albo nawet Lijanas. Kiedy pierwszy belt drasnął ścianę domu, tuż obok niego, chwycił ją i pchnął przed siebie, by ochronić ją swym ciałem. Najwyraźniej w ostatniej chwili, ponieważ prawie w tym samym momencie poczuł w boku ból palący jak ogień. Kawałek dalej albo ułamek oddechu wcześniej... Pokręcił głową. Lepiej o tym nie myśleć!

Zanurzył palce w balsamie gojącym, rozsmarował go na obu ranach i założył z powrotem opatrunek. Potem zabrał się za gaszenie świec. Jego wzrok padł na *asraneb*, leżącą na podłodze. Mimowolnie jego lewa dłoń zacisnęła się w pięść. Po krótkiej chwili schylił się i podniósł instrument. Był w oplakanym stanie! Mniejszej z dwóch rozet rezonansowych brakowało — wylamała się z płyty. Misterne zdobienia drugiej były częściowo uszkodzone — widać było kilka dziur. Kiedyś brzeg zdołała macica perłowa

- teraz wszystko prawie doszczętnie odpadło. Sama płyta miała kilka pęknięć wskutek wyschnięcia drewna i była w wielu miejscach podrapana. Jedyne dwie wygięte szyjki ze wstawionymi progami z kości słoniowej, i misternie rzeźbione gryfy z sześcioma kołkami z każdej strony, czarnymi i białymi na zmianę, były bez szwanku, nie licząc kilku drobnych zarysowań.

Delikatnie pociągnął palcami po wiążkach strun i mimowolnie nastroił pierwsze dwie. Nigdy nie potrzebował stroika, nawet przy *asraneh*. Już u Kessananów muzyka była jego pasją, a później prawie co wieczór grał na tym instrumencie dla Jarata - dopóki Jerdt nie złamał mu w „wypadku” lewej dłoni. To były dwa uderzenia... I oczywiście nikt nie wątpił w słowa trybuna.

Pierwszy rząd paliczków i cztery kości wewnątrz dłoni przebiły się przez skórę. Na szczęście stawy nie zostały uszkodzone. Jarat wściekł się i kazał wojskowemu uzdrowicielowi, aby nastawił kości. Mężczyzna był zaszokowany, że musiał zająć się kimś takim jak on, ale jeśli pierwszy dowódca armii chciał, by zaopiekować się jego maskotką, lepiej było robić, czego żądał.

Dłoń była prawie dwa miesiące zabandażowana i unieruchomiona szynami. Lecz zamiast odesłać go do zagrody, o czym marzył Jerdt, Jarat zatrzymał go przy sobie. Ponieważ jego prawa dłoń była zdrowa, mógł w dalszym ciągu służyć mu jako sekretarz i wykonywać inne proste prace.

Z czasem dłoń odzyskała swą dawną siłę i sprawność, jednak jego palce nie były już tak szybkie, co było konieczne, by perfekcyjnie grać na *asraneh* — nigdy więcej nie próbował grać. Z gniewem, i jednocześnie żalem, odstawił instrument na podłogę. Nie wiedząc o tym, Jerdt odebrał mu coś, co kochał. Jednak „on” stracił za to przychyłność Jarata, ponieważ pierwszy dowódca nie lubił, gdy jeden z jego oficerów psuł coś, co było mu przydatne! Niejednokrotnie dawał to do zrozumienia Jerdtowi po tym zajściu.

Jarat! Żaden człowiek nie zbil go więcej razy niż Jarat run Dalehr, nawet Arkell. Lecz Jarat nie karał nigdy bez powodu i zawsze można było nadażyć za jego rozkazami - nawet, jeśli czasem było to trudne. Oparł rękę na środkowym słupku. Wiele, wiele godzin leżał tu na kolanach, z oczyma skierowanymi w ziemię, czekając na rozkazy, pstryknięcie palców albo jedynie kiwnięcie ręki... To było szalone, ale w pewnym momencie zaczął

kochać Jarata w dziwny sposób. Za uprzejme słowo albo gest uznania z jego strony gotów był zabić...

Z zewnątrz dobiegło szczekanie psa, wyrrywając go z zamyślenia. Te czasy minęły!

Zabrał rękę ze słupka, zmęczony przeciągnął nią po włosach i zgasił ostatnie świece. Potem zdjął buty i spodnie, umył się szybko i wśliznął pod koce obok uzdrowicielki. Pograżona we śnie obróciła się do niego, po jej twarzy przemknął uśmiech, kiedy otulił ją ostrożnie ramieniem. Tak jak poprzedniej nocy, położyła głowę na jego barku i przytuliła się do niego. Aż do świtu nie spał, obserwując jej rysy i ciesząc się jej bliskością. W końcu także on zasnął.

— Uzdrowicielko! Pobudka!

Czyjaś dłoń szarpała uporczywie jej ramię, poczuła lekkie ciągnięcie na plecach. Czy w nocy tylko się jej śniło, że słyszała dźwięk *asraneb*? Otworzyła oczy, mrużąc je ze zmęczenia i stwierdziła, że to nie Mordan stoi przed łóżkiem, tylko ta wojowniczką, którą Jerdt wezwał do siebie, przybywszy do obozu, i która była świadkiem jej upokarzającego wyglądu na grzbiecie konia. Poczuła gorąco na skórze. Jednak albo ta kobieta nie pamiętała już tego, albo nie przykładła do tego wielkiej wagi.

— Obudźcie się, uzdrowicielko! Potrzebujemy waszej pomocy!

— Czy coś się stało Mordanowi? — Lijanas szybko się wyprostowała. Ciągnięcie na plecach nasiliło się. Wojowniczką zmarszczyła krótko czoło, potem jej wzrok zatrzymał się na błyszczących łuskach, które pokrywały ramiona i piersi Lijanas. Szybko przykryła się prześcieradłem. — Kim jesteście? Czy coś się stało Mordanowi? — zapytała raz jeszcze. Kobieta pokręciła głową.

— Jestem Feniar, trzeci legat „Krwawego Wilka”. Z dowódcą było wszystko w porządku, kiedy widziałam go podczas narady, na którą zwołał nas jeszcze przed paniem koguta. Chodzi o Denna. Ma paskudną ranę na nodze i gorączkę, ale nie chce dopuścić do siebie naszego uzdrowiciela. A dowódca mówi dzisiaj, że jesteście uzdrowicielką, i do tego dobrą, nawet jeśli nie mogliście nic zrobić dla Corfara - pokręciła kilka razy głową. - Biedak. Chciał zginąć jak wojownik, z bronią w ręku. Cóż, przynajmniej oddali mu honor należny wojownikowi. Może uda wam się pomóc Dennowi.

— Chętnie spróbuję, ale moja skrzynka z lekami jest przy Levanie i Ecrenie...

- To najmniejszy problem! — rzekła na to kobieta i cisnęła jej suknię, którą Mordan rzucił wieczorem niedbale na krzesło. - Ubierzcie się, a potem zaprowadzę was do namiotu straży przybocznej.

Lijanas pospiesznie podniosła się z łóżka, wśliznęła w suknię i założyła półbuty. Z pewnym żalem zauważyła, że zniknęła *asraneb*. Na widok szaty legatka znowu zmarszczyła czoło, potem wzruszyła jednak tylko ramionami i dała znak Lijanas, by poszła za nią, przytrzymując już skórę od wejścia do namiotu. Uzdrowicielka szybko przemknęła obok niej i wyszła na słońce. Przed namiotem pozdrowili ją skinieniem głowy dwaj inni, niż poprzednio, strażnicy, a wobec Feniar podnieśli pięść do piersi.

- Jocain i Norda Starszy - przedstawiła mężczyzn, potem ruszyła długim krokiem przez plac.

- Pewnie się objają. To ich prawo. Po ośmiu godzinach warty przy namiocie ludzie ze straży przybocznej mają dwanaście godzin wolnego. Potem muszą być w pogotowiu, aż do swej kolejnej warty, w razie gdyby dowódca ich potrzebował. Zaraz wszystkich poznacie.

Wciąż swym długim krokiem legatka prowadziła ją wśród namiotów. Jedyne jednym uchem Lijanas słuchała, kiedy wojowniczką opowiadała jej, że armia Mordana liczy prawie dwa tysiące ludzi. Do tego dochodzą oficerowie - legaci, którzy podlegają bezpośrednio jemu, oraz trybuni - każdy legat ma pod sobą dwóch. Zwykle nie było przyjęte, żeby dowódca wtajemniczał tych młodych oficerów, zazwyczaj szlachetnie urodzonych, w narady sztabu, ale pod wodzą „Krwawego Wilka” ich obecność była obowiązkowa. Oprócz wojowników było jeszcze około dwustu cywilów należących do taboru, do których należeli rzemieślnicy jak siodlarz, kowal i płatnerz czy stolarz, wraz ze swymi rodzinami i pomocnikami. Ci z kolei podlegali tak zwanemu zarządcy taboru, który, choć nie był wojownikiem, rangą przypominał trybuna. A poza tym byli jeszcze niewolni; jeńcy wojenni, których każdy mógł wykorzystywać do woli.

Z jednego namiotu unosił się kuszący zapach pieczeni. Obok gdakały w zagrodzie kury, próbujące uciec przed małym dzieckiem goniącym je z zachwyconym gulgotaniem, na czworakach. Kilka świń tarzało się w błocie, a jedna koza patrzyła w ich stronę, podczas gdy jej młode, machające energicznie ogonkiem, wetknęło swą małą głowę między jej tylne nogi i ssalo mleko. Na dworze pracował kowal — skinął głową, pozdrawiając legatkę.

Obozowisko miało kształt długiego prostokąta, w którego środku leżał namiot dowódcy i namioty oficerów. Wokół rozmieszczone były kwatery wojowników, pogrupowane według poszczególnych centurii, które liczyły po sześćdziesięciu ludzi.

Większość mężczyzn siedziała przed swymi namiotami, spędzając czas na grze w kości, poprawiając zbroje, pielęgnując broń albo leżała na słońcu, drzemiąc, albo rozmawiając cicho z drugim wojownikiem. Czasem któryś zerknął na nie zdumiony, kiedy przechodziły obok. Czasem krzyczeli coś do Feniar, uśmiechając się przy tym i wskazując na Lijanas. Odpowiedziom wojowniczkii również towarzyszył prawie zawsze uśmiech.

Wreszcie dotarli do kwater straży przybocznej. Cztery pary oczu skierowały się na nie, gdy się zbliżyły. Kierowie podnieśli się uprzejmie, kiedy legatka przedstawiała ich młodej kobiecie. Raulen, wojownik wyglądający na niewiele starszego od Mordana, którego twarz obsypana była piegami, rude włosy lśniące w słońcu przypominały pochodnię, a który miał jako komendant straży przybocznej stopień trybuna, przywitał ich lekkim kiwnięciem głowy. Elgen pochodził — tak jak ranny Denn — z obszarów na północ od Telmahru; miał blond włosy i jasnoniebieskie oczy. Kardan był ciemnowłosym, starszym wojownikiem, któremu brakowało kawałka prawego ucha, i który zaskoczył Lijanas tym, że powitał ją — w przeciwieństwie do swych towarzyszy — perfekcyjnym nivar dzkim. Wzięło się to stąd, że spędził wiele zim w niewoli Nivardów, pracując w kamieniołomie, jak chłodno wyjaśnił. Agman i Norda Młodszy, ich dwaj towarzysze, poszli razem z dowódcą, który — jak zauważył Raulen, szczerząc w uśmiechu zęby — chciałby „zająć się” dowódcą Jerdtem. Jednak potem rudowłosy wojownik znowu spoważniał.

— Dowódca mówi, że jesteście uzdrowicielką. Czy bylibyście uprzejmą zobaczyć pewną ranę?

— Oczywiście! — Lijanas kiwnęła głową. Raulen zrobił gest, by poszła za nim do jednego z namiotów, gdzie wojownik o blond włosach leżał na swych posłaniu, wyraźnie starając się, by nie było po nim widać bólu. Kiedy usłyszał, że weszli, otworzył oczy.

— Nie potrzebuję uzdrowiciela! — powitał towarzyszy rozpaczliwie przekornie.

— Nie bądź głupi! - komendant straży przybocznej przyklęknął przy nim. — Dowódca mówi, że ona jest dobra. Pozwól jej obejrzeć twoją nogę! - ostatnie słowa to był jednoznacznie rozkaz. I choć Denn szemrał, mimo

to pozwolił, by Raulen odkrył koldrę. Pokazał się żółtawy, poklejony opatrunkiem. Raulen ustąpił Lijanas miejsca bez słowa, kiedy uklękła, odwijając płótno. Poczula niepokojący zapach.

— Kiedy to się stało?

Zużyła resztę opatrunku, by zebrać ropę, pokrywającą ranę. To było długie, głębokie cięcie, przebiegające w poprzek uda.

— Dwa dni temu — palce Denna mocniej chwyciły koldrę.

— A dlaczego nie poszliście z tym do jakiegoś uzdrowiciela?

— Przecież to było tylko zadrapanie.

Levan też tak mówił. Czy to jakaś powszechna choroba wśród wojowników Kier, by ranę traktować jak „zadrapanie“?

— Przynajmniej, kiedy wdało się zapalenie, trzeba było się udać do uzdrowiciela!

Ostrożnie ścisnęła brzegi rany z dwóch stron. Powoli wypłynęło jeszcze więcej ropy. Denna zacisnął zęby, aż zazgrzytało. Elgen szybko stanął za nim, położył ręce na jego barkach i przytrzymał go. Gdy żaden z wojowników nie zareagował na jej słowa, podniosła wzrok. - Dlaczego czekaliście tak długo? Trzeba było go...

Raulen podał jej kilka kawałków płótna — rozerwaną tunikę, jak zauważyła — którą pewnie właśnie przyniósł ze swego namiotu.

— Narlon szybko sięga po piłę do kości.

Lijanas zrozumiała.

— Tę ranę trzeba wyleczyć! W przeciwnym razie Denna na pewno straci nogę — a może nawet życie, jeśli zapalenie się rozprzestrzeni i wda się zgorzel.

Jeśli już tak nie jest.

Wycierała dalej ropę, aż ciekła już tylko błada woda.

— Moglibyście się zająć tą raną?

— Moja skrzynka z lekami jest przy Ecrenie i Levaniu, mówiłam już o tym legatce Feniar. A wasz uzdrowiciel nie będzie zachwycony, jeśli posłuże się jego lekarstwami i narzędziami.

— To już moje zmartwienie! — powiedział i skinął na pozostałych wojowników. — Zanieście go do namiotu Narlona! — rozkazał, a potem chwycił Lijanas za ramię i pomógł jej wstać z podłogi. - Chodźcie, uzdrowicielko!

Narlon okazał się zaskakująco małym i korpulentnym mężczyzną, który bez ogródek oznajmił, co sądzi o tym, że ludzie ze straży przy-

bocznej przyprowadzili do jego namiotu jakąś inną uzdrowicielkę. Kardan chwycił mężczyznę za kark i nie zważając na jego oburzone wrzaski, dość niedelikatnie, wyprowadził go na zewnątrz. Lijanas rozejrzała się. Na nieociosanym regale stały rzędami garnuszki i tygły — większość z nich była nieopisana, a jeśli już, to po kiersku. Zakłęła cicho.

— Co jest, uzdrowicielko? — Raulen spojrział na nią ostro.

— Czy Narlon ma jakiegoś pomocnika albo ucznia, który jest tu zorientowany?

Wojownik wzruszył ramionami, popatrzył po swych towarzyszach.

— Słyszałem, że któryś z niewolnych regularnie mu pomaga - odpowiedział Elgen, stanął obok Denna, którego mężczyźni posadzili ostrożnie na stole lekarskim, i wpił palce w bark rannego, który pojękując, ścisnął swoją nogę. Lijanas chwyciła ją ostrożnie za kostkę i położyła na białej blacie stołu.

— Dobrze, przyprowadźcie tu tego niewolnego i przynieście mi gorącą wodę! - Kardan opuścił namiot bez słowa.

W małej skrzynce znalazła narzędzia uzdrowiciela. Wprawdzie uporządkowane, ale na jednym z noży zauważyła zaschniętą krew.

— Potrzebna mi gorzalka albo coś podobnego.

Raulen kiwnął na Elgena, by znalazł to, o co prosiła. Wyglądało na to, że wojownik o blond włosach niechętnie opuszczał swego rannego towarzysza, jednak wykonał polecenie. Niedługo potem wrócił Kardan wraz z niewolnym.

— Wodę przyniosą, jak tylko będzie gorąca — zameldował i pchnął niewolnego tak, że wylądował na kolanach przed Lijanas. Natychmiast skulił się i przycisnął czoło do ziemi.

— Nie! Proszę!

Mimo niechętnego pomruku Kierów, schyliła się, by powiedzieć temu człowiekowi, żeby wstał — i zauważyła przy tym splecione znaki, wytuatuowane na czarno na jego karku — takie same znaki, jakie miał Mordan. Patrzyła na nie przez wiele uderzeń serca! Straszna myśl pojawiła się w jej głowie... Mimowolnie nią pokręciła.

Nie! To niemożliwe!

— Uzdrowicielko? — głos Raulena przestraszył ją. — Czy wszystko w porządku?

— Tak, wszystko w porządku! - zapewniła wojownika, wzięwszy głęboki oddech, by opanować drżenie w środku, i dotknęła zdecydowanie ramienia skulonego u jej stóp człowieka.

- Wstańcie!

Znieruchomiał pod jej palcami, potem bardzo powoli podniósł głowę, by na nią spojrzeć. W jego jasnych, szarych oczach malowało się niedowierzanie.

- Wstańcie! - zażądała Lijanas po raz kolejny.

Poruszył się niepewnie, odwrócił na wpół do Raulena, jakby także lego wojownika chciał prosić o pozwolenie. Ponieważ komendant straży przybocznej milczał, trwał w swej skulonej pozycji i z powrotem położył czoło na ziemi.

Lijanas wyprostowała się i spojrzała chłodno na Kiera.

- Żeby uratować nogę Denna, muszę wiedzieć, co jest w poszczególnych tyglach. Ponieważ Narlon nie zadbał o to, by podpisać naczynia, a poza tym nie potrafię mówić ani czytać w waszym języku, potrzebuje pomocy tego człowieka — a to nie znaczy, że ma leżeć przede mną skulony na podłodze, nie mogąc otworzyć ust! Pozwólcie mu wstać i mówić!

Zaskoczony wyraz twarzy Raulena zdradził jej, że raczej rzadko ktoś rozmawiał z nim takim tonem — a na pewno nie kobieta, a cóż dopiero Nivardka. Wymienił spojrzenia z Kardanem, potem skinął głową.

- Rób, co mówi uzdrowicielka!

Ostatnie wahanie, potem mężczyzna wstał. Był wysoki, prawie tak wysoki jak Mordan. Jego ostrzyżone włosy musiały być czarne albo przynajmniej ciemnobrązowe. Trudno było zinterpretować wyraz jego oczu.

- Jak was zwą?

- Hannar — jego głos miał ciemną, miękką barwę.

- Pochodzicie z Astracharu?

Przytaknął.

- Sajidarrah - w tym jednym słowie było tyle nienawiści, że aż zdrząła.

- Mam na imię Lijanas. Potrzebuje...

Zaskoczony otworzył szeroko swe szare oczy.

- „Ta” Lijanas? Uzdrowicielka, która leczyła księcia Rusana...? — kategoriyczny rozkaz kazał mu zamilknąć.

- Nie pozwoliłem mu mówić, aby z wami flirtował, uzdrowicielko - wyraźnie rozgniewany Raulen podszedł bliżej. — Nie będzie traktowany w specjalny sposób tylko dlatego, że ma wam tu pomagać, a wy jesteście Nivardką. Będziemy się z nim tu obchodzić jak z każdym innym niewolnym — wojownik wskazał na mężczyznę, który znowu skulił się na

podłozde. — On o rym wie! I ze względu na niego wy też lepiej o tym nie zapominajcie.

Z zaciśniętymi pięściami Lijanas obrzuciła komendanta straży przybocznej piorunującym spojrzeniem, potem skinęła lekko, pochyliła się i znowu dotknęła ramienia Hannara.

— Wstańcie, proszę!

Powoli podniósł się, czekając w milczeniu na jej instrukcje. Pytała o różne leki, podobnie jak o balsam gojący i jakiś środek usypiający, który pomógłby Dennowi znieść ból, kiedy będzie czyścić mu ranę. Hannar kiwnął głową i znalazł dla niej to, czego sobie życzyła. Podala mu także narzędzia, jakie będą jej potrzebne, a on przyszykował je bez wahania i ułożył na drugim stole z boku namiotu. Następnie zabrał się, bez polecenia, za czyszczenie ich gorką, którą Elgen przyniósł w międzyczasie. Tymczasem Lijanas wlała do kubka z rozcieńczonym winem odurzający i uśmierzający ból wywar i podała go Dennowi, każąc mu to wszystko wypić.

Szuranie przy wejściu do namiotu zapowiedziało gorącą wodę. Młody niewolny wtargal dwa parujące wiadra, postawił jedno na polecenie Lijanas na drugim stole, a drugie na ziemi pod spodem. Kiedy mężczyzna sklonił się przed nią, szukała mimowolnie znaków na jego karku - i znalazła. Na uderzenie serca zamknęła oczy.

Nie! Nie wierzę!

Obok niej pojękiwał Denn. Lijanas odpedziła na chwilę tę myśl i pochyliła się nad nim. Jego powieki wyraźnie były ciężkie. Czekając, aż ostatecznie mu opadną, umyła ręce w gorącej wodzie. Usłyszała, jak kilka osób wciągnęło powietrze, kiedy podciągnęła do góry rękawy sukni. Kardan, Raulen, Elgen i Hannar wpatrywali się w jej skórę połyskującą białosrebrzyście; nawet na wpół odurzony Denn uniósł głowę. Wyzywająco patrzyła to na jednego, to na drugiego, choć w gardle czuła drżenie. Czar przyl nagle, gdy głowa Denna opadła głośno na blat stołu. Żaden z wojowników nie powstrzymał jej, kiedy wycierała dłonie i upewniwszy się, że wojownik śpi, przystąpiła do pracy. Jej podejrzenie potwierdziło się: zapalenie wżarło się już głęboko w nogę Denna i były już pierwsze oznaki zgorzeli. Słusznie zrobiła, usypiając pacjenta. W ten sposób mogła ciąć tak głęboko, jak było to konieczne, nie musząc obawiać się, czy zniesie ten ból. Hannar najwyraźniej otrząsnął się ze swego przerażenia i pracował w milczeniu u jej boku, podając jej narzędzia, czasem nie musiała nawet nic mówić. Już kiedy przygotowywał wszystko profesjonalnie, przyszło jej na myśl, że może

sam jest uzdrowicielem, jednak teraz była pewna, że ma obok siebie kolegę po fachu. Dopiero, kiedy rana została znowu zabandażowana, zwróciła uwagę na mamrotanie przy wejściu do namiotu. Poirytowana podniosła wzrok. Wojownicy i ludzie z taboru stali tam i gapili się. Spojrzała w stronę Raulena i Kardana, następnie popatrzyła na Hannara. Ten opuścił głowę.

- Narlon rozciąłby mu nogę bez znieczulenia. Może od razu by ją amputował. On nie jest dobrym uzdrowicielem - szepnęła prawie niesłyszalnie Hannar.

- Ale wy jesteście.

Na chwilę na jego ustach zagościł uśmiech.

- Bylem — powiedział, położył dłoń płasko na piersi i sklonił się lekko. To był dla mnie zaszczyt, asystować słynnej Lijanas.

- To dla mnie był to zaszczyt — odparła i przechyliła lekko głowę, wycierając dłonie w czysty ręcznik, który jej podał. Potem odwróciła się i napotkała na wzrok Raulena.

- No i? - komendant straży przybocznej patrzył zatroskany na leżącego bez ruchu wojownika.

- Niedługo się obudzi. Przedtem powinniście jednak zanieść go do jego łóżka. Nie wolno mu nadwierać nogi, dopóki rana całkiem się nie zagoi! Opatrunek trzeba zmieniać codziennie! Rana jest bardzo głęboka, musi się wygoić od wewnątrz! To bardzo ważne! Hannar sporządzi dla niego środek uśmierzający ból oraz balsam gojący.

- Hannarze... — obróciła się w pół, zobaczyła, że kiwa głową i uśmiechnęła się. Przyjemnie pracuje się z człowiekiem, który wie, czego się chce. — Kto będzie zmieniał opatrunek? — Elgen wystąpił bez słowa. Lijanas opowiedziała mu dokładnie, jak ma to robić. Słuchał jej uważnie, choć jego wzrok wędrował cały czas do jej połyskujących lusek, potem oznajmił, że wszystko zrozumiał i pomógł dwóm pozostałym wynieść Denna. Ciżba zgromadzona u wejścia do namiotu rozstała się ochotczo, jednak potem ich szemranie ucichło i zapadła nagle martwa cisza. Lijanas podniosła wzrok znad narzędzi operacyjnych, które właśnie chciała posprzątać. Usłyszała, jak Hannar przeklął z nienawiścią pod nosem, a potem rzucił się szybko na kolana i przycisnął czoło do ziemi. W wejściu stał Mordan i patrzył na nią w milczeniu, które trudno było odgadnąć.

- Widzę, że znowu znaleźliście sobie zajęcie, Lijanas — powiedział po kolejnej chwili milczenia, opuścił skórę wiszącą w wejściu i zamknął w ten sposób namiot przed ciekawskimi gapiami.

Gestem oznajmiła wyraźnie: „Taka już jestem” i rozkładając ręce powiedziała:

— Obawiam się, że suknia jest całkiem zniszczona.

Jego oko musnęło ją krótko.

— Tak, obawiam się, że tak. Jedliście już coś?

Lijanas pokręciła głową. Uniósł brew bez słowa, ale z wyraźną naganą. Potem odsunął nieco skórę u wejścia do namiotu, ryknął jakiś rozkaz i z powrotem ją opuścił. Na zewnątrz powstało na chwilę dzikie zamieszanie, potem znów zrobiło się cicho.

— Jak widzę, poznaliście Raulena i jego ludzi. Czy z nogą Denna będzie dobrze?

— Jeśli w najbliższym czasie nie będzie nadwerężana, to tak.

Mordan skinął głową.

— Zwolnię go na ten czas ze służby — oznajmił i podszedł powoli do stołu lekarskiego. — Macie wroga, Lijanas! Chyba zdajecie sobie z tego sprawę?!

Narlona, kierskiego uzdrowiciela. Oczyniście.

— Zrobiłam tylko to, o co prosili mnie Raulen i pozostali.

— Równie dobrze mogliście ich odesłać.

Parsknęła, odganiając go od stołu, wylała na blat wodę i zaczęła szorować drewno. — Jestem uzdrowicielką! Pomagam ludziom! Nie odsyłam nikogo, kto potrzebuje mej pomocy!

Bez trudu wyrwał jej z ręki szczotkę i rzucił ją na podłogę przed Hannara.

— On to może zrobić! A wy mnie teraz posłuchajcie! Wracam z mało przyjemnego spotkania z Jerdtem i spotykam pod moim namiotem rozwścieczonego uzdrowiciela wojskowego, który jest oburzony, że jakaś Nivardka zajmuje się jego pacjentem, Nivardka, która poza tym jest jeńcem. Możecie sobie wyobrazić, jak się poczułem w tym momencie?

— Skręciliście mu kark?

Ściągnął gniewnie brwi.

— Nie mam ochoty na żarty.

— Co w tym złego, że zajęłam się rannym człowiekiem...?

— Klusowaliście na jego terytorium, a ja nawet o tym nie wiedziałem.

— Ale...

— Żadnego „ale”! Natychmiast macie wrócić do mego namiotu.

— Jak możecie...

Jego górna warga zmarszczyła się groźnie.

- Nie chcę słyszeć słowa sprzeciwu, Lijanas! Jestem bardzo rozdrażniony i wciąż szukam kogoś, kto da mi powód, by urwać mu głowę. Jednakże nie sądzę, byście wy chcieli być tą osobą!

Pokręciła głową. Fakt, że mówił tak bardzo spokojnie, napawał ją lękiem.

- Dobrze! Zobaczmy się później! — rzekł i skinąwszy lekko, odwrócił się do niej plecami. Za nią rozległ się szloch zmieszany z warknięciem, obróciła się zaskoczona — i zobaczyła jeden z noży operacyjnych w dłoni Hannara. Na wpół się podniósł, jego oczy utkwione były w Mordanie. Najwyraźniej ten też coś usłyszał, ponieważ odwrócił się. Lijanas stanęła szybko przed mężczyzną na podłodze, zakrywając nóż swoją szatą i przechylając pytająco głowę. Na czole Mordana pojawiła się bruzda, zrobił krok w jej stronę, lecz potem na zewnątrz rozległo się wołanie. Lijanas rozpoznała głos Brachana. Mordan zastanowił się chwilę, patrząc na nią przenikliwie, nim, skinąwszy znowu, opuścił szybko namiot.

Szybko Lijanas przyklęknęła przed Hannarem. Jego palce wciąż ścisnęły rękojeść noża z taką siłą, że aż drżała mu ręka.

- Czyście oszaleli? Zabilby was, nim zdążylibyście...

- Bestia! Dlaczego stanęliście między nami? Nie wiecie, co on uczynił w Sajidarrah? Nie! Nie, skąd mielibyście wiedzieć! Nie było was przy tym. Ale ja..., ja to widziałem..., widziałem jego... - mówił bez tchu, jak w gorączce.

- Hannarze, proszę! Oddajcie mi nóż!

- Mogłem go zabić! Mógłbym ich pomścić! Moją żonę, mojego syna... Ich krzyki cały czas mnie prześladowają! A on... na swym przeklętym rumaku... podniósł się raptownie, obejmując jej ramiona tak mocno, że aż zabolalo.

On ich wybrał! Dał rozkaz, by ich..., by ich... - I przez cały czas był przy tym..., przez cały czas siedział na swym rumaku, pomiędzy stosami — tak samo nagle, jak ją złapał, puścił Lijanas, przyciskając pięści do skroni.

- Hannarze, uspokójcie się!

Nóż upadł na ziemię, Lijanas szybko zabrała go z zasięgu jego dłoni.

- A ich krzyki..., ich krzyki... kiedy ogień... — urwał, szlochając. Przez chwilę wahała się bezradnie, potem objęła go ramieniem, próbując pocieszyć. Nie udało się jej.

W pewnym momencie szloch wreszcie ustał. Zakłopotany otarł sobie oczy i podniósł się.

— Wybaczcie mi, Lijanas. To nie było słuszne... Nie wiem, co mnie napadło. Ale kiedy nagle stanął w tak małej odległości przede mną... Żyłem tylko dla tej chwili, a potem — parsknął gorzko — a potem się zawahałem!

— Nie udaloby się wam do niego podejść. Zabiłby was.

— To byłoby bez znaczenia! Żyję tylko po to, by pomścić tych, których kochałem.

Dotknęła jego ramienia, potem szybko cofnęła dłoń.

— Przykro mi z powodu waszej żony i syna. On nie mógł postąpić inaczej. To był rozkaz!

— Czy on tak powiedział? Rozkaz? Kłamstwo! Nic, tylko kłamstwo! Skala lodu miałaby więcej litości niż on! - usta Hannara wykrzywiły się z nienawiści. — Nikt nie robi czegoś takiego tylko z rozkazu! Chyba że to dla niego rozrywka!

Zmieszana Lijanas starała się unikać jego spojrzenia. Wspomniała chłód w głosie Mordana, kiedy jej powiedział, że Sajidarrah i Tejidannar były „odwetem”. Ale w tym głosie było jeszcze coś innego...

— Rozumiecie teraz, dlaczego zważę go „Bestią z Sajidarrah”? Rozumiecie, dlaczego ten człowiek nie ma prawa żyć? — głos Hannara był nagły. Niespodziewanie poczuła dziwny ucisk w żołądku.

— Co chcecie przez to powiedzieć?

— Najwyraźniej ma do was zaufanie! Dopuszcza, byście byli blisko niego! Jedno pchnięcie noża w trzewia...

Lijanas podskoczyła gwałtownie.

— Postradaliście zmysły! Miałbym zamordować człowieka? — *Miałbym „jego” zamordować?* — Jestem uzdrowicielką! Ja...

— On nie jest człowiekiem! W najlepszym wypadku to brutalne zwierzę! — Hannar wstał, chwycił znowu jej ramiona. — Kazał zamordować setki ludzi! Zasłużył na śmierć! Nóż to laska...

— Nie! - wyrwała się, cofnęła przed nim. - Smutek otumanił wam umysł! Nie podniosę ręki na człowieka, który...!

Ochronił mnie, narażając swe życie!

Zadrżała, zdawszy sobie nagle z tego sprawę, i zobaczywszy nagłą zmianę wyrazu szarych oczu Hannara.

— A więc to wy jesteście tą pojmaną Nivardką, którą wziął do swego łóża i o której mówi cały obóz? „Panią”, o której opowiadała młoda Kaija. Dobrowolnie wpełzliście do jego pościeli. Nie zmusił was do tego.

Na jego słowa odsunęła się jeszcze bardziej.

- Nie... — próbowała się bronić.
- Zdrajczyń! - syknął i podniósł pięści.

Pod rękoma poczuła klapę od wejścia w tej samej chwili, gdy wyciągnął do niej ręce. Szybko odrzuciła skórę w bok i schyliwszy się, wyszła na zewnątrz. Kardan, który stał kilka kroków dalej ze swymi wojownikami, podszedł do niej szybko.

Krótkie spojrzenie przez ramię powiedziało jej, że Hannar nie ruszył za nią.

- Czy wszystko w porządku, uzdrowicielko?

Musiała kilka razy odetchnąć, nim była w stanie odpowiedzieć Kardanowi, w końcu kiwnęła głową.

- Tak, wszystko w porządku — jeszcze raz spojrzała w stronę namiotu Narlona, potem wierzchem dłoni otarła czoło. — Jestem tylko zmęczona. Czy moglibyście mnie... - zagryzła dolną wargę, zacisnęła na chwilę pięści. Choć było to szalone, w tej chwili chciała tylko jednego: być sama! A istniało tu tylko jedno miejsce, gdzie było to możliwe. — Czy moglibyście innie odprowadzić do namiotu dowódcy?

Mordan wpatrywał się w zwłoki leżące u jego stóp i przeklinał siebie za swą nieostrożność.

Powinienem był wiedzieć!

- Kiedy to się stało?
- Dwie godziny przed wschodem słońca. Sam też dopiero się o tym dowiedziałem.
- Czy któryś z ludzi jest ranny?
- Jeden nie żyje — pozostali dwaj uszli z tego jedynie przestraszeni — Brachan kopnął kreaturę butem. — Można by niemal sądzić, że te bestie nas śledzą.

Nie nas, tylko Ljjanas.

- Spalcie to ścierwo! Każcie potroić straże obozu! Od tej chwili ludzie mają najpierw zabijać, potem stawiać pytania! — powiedział i odwrócił się do siwowłosego wojownika. — Ona nie musi o tym wiedzieć!

Brachan skinął głową.

- Rozumiem! Co z dzisiejszą nocą?

Po chwili wahania Mordan pokręcił głową.

- Nic się nie zmienia! Mówisz, że ludzie widzieli tylko jednego — do lewej pory było ich zawsze więcej, kiedy atakowali. Podejrzewam, że ten tutaj był jedynym, któremu udało się uciec z Cavallina.

— A nawet jeśli nie, ludzie wiedzą teraz, na co muszą uważać. Żadna z tych bestii nie dostanie się do obozu! Masz moje słowo!

Jeszcze raz Mordan spojrział na szczątki pożeracza dusz.

Będę na ciebie bardzo uważać, ptaszyno!

Parskanie i tupanie koni wypełniło stróżówkę Cavallina. Jeździec z przodu schylił się ku jednemu z wartowników i zdjął szal z twarzy. Ukazały się rysy kobiety. Między jej palcami błysnęła srebrna moneta.

— Kogo muszę szukać, by dowiedzieć się czegoś na temat oddziału Nivardów, który musiał tędy przejść przed kilkoma dniami albo na temat pięciu wojowników Kier i kobiety?

— Idźcie do kapitana Uladha! — odpowiedział mężczyzna, schował monetę do kieszeni i wskazał jej drogę. Eliazanar dała znak swym ludziom i poprowadziła konia do przodu.

— Lijanas?

Nie mogła się przemóc, by podnieść głowę, lecz siedziała bez ruchu, skulona, oplótszy rękoma przyciągnięte do siebie kolana. Przez chwilę znowu panowała cisza, potem podniósł ją, zaniósł do łóżka i ostrożnie na nim posadził.

— Lijanas? Co się z wami dzieje? Dlaczego siedzicie na podłodze jak niewolna? Źle się czujecie? — w jego głosie było tyle troski, którą starał się opanować, że jednak podniosła wzrok. Mordan uklęknął obok niej przy łóżku, oparł dłonie o ramę i spoglądał na nią z dołu, starając się nie patrzeć jej w twarz.

Powoli pokręciła głową.

— Wszystko w porządku!

— Jesteście pewni? Kardan powiedział...

— Oczywiście, że jestem pewna! Jestem tylko zmęczona.

Na uderzenie serca zacisnął mocno usta, potem wstał, wziął tobolek ubrań ze stołu i położył jej na łóżku.

— Kiedy jutro wstanie słońce, wyruszymy do Wąwozu Kassen. Mam nadzieję, że te rzeczy będą na was pasować. Nie mogliśmy znaleźć nic

mniejszego w naszych zapasach, a szaty ze skrzyni nie nadają się na podróż. Moglibyście być tak dobrzy i je przymierzyć, Lijanas?

Nie czekając na jej odpowiedź, rozsuptał rzemienie, które podwiązywały do tej pory obie skórzane zasłony i została sama. Przez kolejną chwilę siedziała bez ruchu. A więc jutro. Przynęła ubrania do siebie: prostą płócienną tunikę, spodnie i kaftan z miękkiej skóry. Ściągnęła ubrudzoną krwią suknię przez głowę, założyła te rzeczy i wyszła przez skórzane zasłony. Popatrzył na nią w milczeniu — rękawy kaftana były za długie, tak samo jak nogawki spodni, ale poza tym ubrania pasowały na nią zadziwiająco dobrze — potem wyciągnął sztylet z pochwy u pasa, uklękł przed nią i skrócił skórę.

Spojrzała na jego pochylony kark, zdawało jej się, że widzi na nim, przez owłosienie, znaki. Lijanas zamknęła oczy.

- Czy wszystko w porządku, Lijanas?

Gwałtownie otworzyła powieki. Na zewnątrz namiotu ktoś się zaśmiał. Jakaś kobieta krzyknęła, jednakże nie brzmiało to tak, jakby była bardzo oburzona. Cały czas klęczał na podłodze, podniósł na nią wzrok.

- Nie, nic! — zapewniła szybko, kiedy się podnosił.

Krótkie kiwnięcie, potem przyciął również rękawy kaftana na odpowiednią długość, nim wziął ze stołu skórzany pasek i po prostu ją nim przepasał. W pochwie przy pasku tkwił mały nóż. Wyciągnęła go zdziwiona.

- Nóż do potraw, żebyście nie musieli jeść palcami - odpowiedział na jej niewypowiedziane pytanie. — Potraficie się posługiwać sztylitem? Prawdziwym sztylitem? 1 nie chodzi mi o nacinanie nim wrzodów ani wypalanie ran?

Rzuciła szybkie spojrzenie w stronę narzędzi Mordana ustawionych obok siebie na drewnianym stelażu.

- Nie...

- W takim razie dajmy temu spokój! Nie dam broni do ręki nikomu, kto nie umie się nią posługiwać. Jak się czujecie? — zapytał, zrobił krok w ryl i spojrzał na nią.

Masz na myśli te ubrania? Ostatni raz miałam na sobie spodnie, kiedy byłam małą dziewczynką i siedziałam na plecach taty.

- Dziwnie.

W przyplwywie zdziwienia zmarszczył czoło. Lijanas uniosła głowę, kiedy za ścianą namiotu znowu dało się słyszeć śmiech.

- Co tam się dzieje?

Uśmiech pojawił się w kąciку jego ust.

— Czy czujecie się na tyle dobrze, by pójść na zabawę?

— Zabawę?

— Zabawę! - przytaknął. - Wysyłam swe oddziały na obóz zimowy! Jutro rano, kiedy wyruszymy, Feniar zwinie obóz i zabierze stąd ludzi. Mamy zwyczaj, że w dniu poprzedzającym wymarsz, wieczorem świętujemy. Nic wielkiego: jedzenie, picie, jakiś pokaz walki... Chcielibyście wziąć w tym udział?

Spojrzała na niego oszołomiona.

Najwyraźniej źle zinterpretował jej wahanie, ponieważ wzruszył, rozczarowany, ramionami i chciał przejść obok niej.

— No dobrze. Jak sobie życzyście...

Szybko chwyciła go za rękę. Zaskoczony ściągnął brwi, spoglądając na nią z góry.

— Chętnie wezmę w tym udział! — powiedziała, uśmiechając się do niego.

Wyraz zaskoczenia na jego twarzy zmienił się w to, co widziała do tej pory tylko raz — w Cavallinie pośród roztańczonej ciżby. Nagle znowu pojawiło się to ciepło w brzuchu.

— Dobrze! Przyjdę po was, kiedy przyjdzie pora. Odpocznijcie trochę do tego czasu. Noc może być długa, a wcześniej rano wyruszymy.

— Czy mam iść na zabawę... w tych ubraniach...?

Jego oko błysnęło.

— Dlaczego nie? Na razie!

Chwycił swój płaszcz i narzucił go niedbale na siebie. Na widok jego pleców coś się przypomniało Lijanas.

On musi się dowiedzieć o Hannarzę.

— Mordanie! Poczekaście!

Zatrzymał się raptownie, potem powoli odwrócił się ku niej.

— Co..., co powiedzieliście? — brzmiało to tak, jakby nie wiedział, jak się oddycha.

— Że macie poczekać!

— Nie! Przed tym!

Pierwszy raz zwróciłam się do niego po imieniu, a nie „Kierzę”.

— Mordanie! - powtórzyła. Niemal całą wieczność wypuszczał powietrze.

Wrócił do niej.

- Jest taki jeden niewolny, nazywa się Hannar.
- Byłoby pięknie, gdybyśmy mogli przy tym pozostać.
- Ten mężczyzna pochodzi z Sajidarrah.
- Dobrze brzmi w waszych ustach.
- On was nienawidzi!
- Dużo lepiej niż po prostu „Kierze”, nie uważacie?
- Psiakrew, czy wy mnie w ogóle słuchacie? — chwyciła jego ramiona

i potrząsnęła nim — przynajmniej próbowała. W przypadku mężczyzny, który był od niej cięższy na pewno ze sto funtów, nie było to wcale takie proste, jak myślała.

- Oczywiście! — dalej patrzył jej w oczy. — Niewolny o imieniu Hannar, który pochodzi z Sajidarrah, nienawidzi mnie. A dalej?

Prychnąwszy, uderzyła go i natychmiast pożałowała, że nie ma takich klów jak Kier, które mogłaby na niego wyszczerzyć.

- On chce was zabić!

Na jej słowa odpowiedział gromkim śmiechem.

- On nie jest jedynym. Wielu życzy mi śmierci. Wasz książę Rusan jest jednym z nich — i książę Ahmeer na pewno też — marszcząc lekko usta, odgarnął jej kosmyk włosów. — Ale dobrze wiedzieć, że jest przynajmniej jedna osoba, która chce mnie widzieć żywego, Lijanas - jego palce musnęły jej policzek, jednak nagle coś zmieniło się w jego twarzy i odsunął się. - Przyjdę po was później.

Szybko opuścił namiot. Lijanas patrzyła za nim. Gorąco, które czuła wewnątrz brzucha, omal nie rozlało się po całym ciele.



Odurzający zapach ogniska, pieczeni i piwa unosił się nad obozem. Ze wszystkich stron dobiegał jej uszu śmiech, czasem jakiś wiwat. Niektórzy wojownicy siedzieli odprężeni przy ogniskach, kosztując pieczeni, inni stali obok siebie, z pucharami w dłoniach, rozmawiając lub dyskutując zawzięcie. Sfora dzieci nagle przebiegła obok niej, znikając później między kilkoma mężczyznami, którzy rzucili za nimi kilka przekleństw.

— Czy to nie jest niebezpieczne? Chodzi mi o to, gdyby ktoś... — odwróciła się na wpół do Mordana, który był tuż za nią. Dał jej wybór, albo usiąść przy dużym ognisku, przy którym zebrali się oficerowie, albo towarzyszyć mu, kiedy będzie chodził po obozie. Nie musiała się długo zastanawiać, by podjąć decyzję.

— Chciał na nas napaść? Nie! — krótkim gestem pozdrowił mężczyznę, który przeszedł obok nich. Dopiero, gdy zniknął między ogniskami, rozpoznała Mailena. - Jesteśmy tu w Telmahrze. Nikt nie odważyłby się nas zaatakować. A poza tym, naprawdę sądzicie, Lijanas, że moi ludzie upijają się tu do nieprzytomności i leżą potem na swoich posłaniach? Zapewniam was, że tak nie jest. A gdyby wśród nich znalazłby się ktoś, kto by się zapomniał, Feniar zadbałaby, żeby jutro rano tego pozałował. Poza tym cały czas czuwają straże obozowe, które ostrzegłyby nas w porę. Nie musicie się martwić!

— Ale ci wszyscy mężczyźni są nieuzbrojeni...

— Czyżby? Spójrzcie tam! — powiedział i wskazał w kierunku wojownika, który stał przy ogniu oparty o swą lancę — u jego stóp miecze. Spojrzawszy krótko w jego stronę, zauważyła delikatny uśmiech. - Znajdziecie takiego człowieka przy każdym ognisku. Nawet kiedy świętujemy, jesteśmy cały czas wojownikami — jego dłoń pchnęła ją dalej. Nagle

stanęła przed Raulenem obejmującym ramieniem przytuloną do niego, skapo odzianą, kobietę.

- Dowódco! — komendant straży przybocznej kiwnął w jej stronę, nim uśmiechnął się i zwrócił do Mordana. - Czy wy i uzdrowicielka przyjdziecie później do dużego ogniska, żeby obejrzyć walkę? — zapytał po nivardzku.

- Oczywiście! Chcę być przy tym, gdy rzucisz go w błoto! — wskazał na kobietę u boku Raulena. - Tylko nie zużyj sił przed walką.

Na obsypanej piegami twarzy zagościł szeroki uśmiech. Po raz kolejny Lijanas musiała stwierdzić, że wciąż jeszcze nie przyzwyczaiła się do tego, że groźnie wyglądające szczerzenie zębów, może być u Kierów również oznaką dobrego humoru.

- Na pewno nie, dowódco! — wojownik pchnął kobietę obok nich i zniknął z nią w kierunku obrzeża obozu.

- O jakiej walce mowa? - odmownie podziękowała za kufel piwa, który jej zaproponowano, i powoli szła dalej między ogniskami.

- Zapasy. Raulen przeciwko najlepszemu człowiekowi Jerdta. Gdybym dostał jedynie połowę tego, co postawili moi ludzie, nie musiałbym się martwić o kolejny żold.

- Czy Jerdt też tam będzie?

- Tak — w tym słowie słychać było brzęk lodu. Splotła palce. Mordan dotknął delikatnie jej ramienia. — Ma prawo siedzieć przy moim ognisku. Nie mogę mu tego zabronić — nie brzmiało to tak, jakby był bardzo szczęśliwy z tego powodu. — Ale nie pozwólcie, by popsul wam ten wieczór! Jesteście moim gościem i w związku z tym ja was chronię! A wciąż jeszcze jestem pierwszym dowódcą króla Haffrena, a on tylko drugim! - podał jej ramię. - Chodźcie! Pójdziemy do dużego ogniska! Raulen będzie zachwycony, jeśli będziecie mu potem kibicować!

Zawahała się.

- Co jest?

- Czy dalej wszyscy będą sądzić, że jestem waszą..., waszą... — słowo „dziewka” nie chciało jej przejść przez usta - że jestem waszą kochanką.

- Czy to dla was takie złe?

- To kłamstwo! Wy dobrze wiecie, co się wydarzyło! Dlaczego nikt nie może wiedzieć, że jesteście ranni? Przecież dlatego to wszystko! Dlatego przecież żuliście te liście głogu, czyż nie?

— Jak myślicie, co by się srąło, gdyby Jerdt dowiedział się, że nie mogę mu się przeciwstawić? Pierwsze, co by zrobił, to przejąłby was pod swą władzę. Z największą przyjemnością zawiózłby was do Turasu i obwieścił tam, że zawiodłem...

— Co w tym takiego złego, każdy może raz...

— Nie, Lijanas! Nie wolno mi zawieść. Nawet jeden raz!

— Co chcecie przez to powiedzieć?

To nie może być prawda!

— Konsekwencją niewywiązania się z zadania jest u nas śmierć — powiedział bardzo spokojnie.

— A jeśli się zdarzy, że nie „możecie” wykonać jakiegoś rozkazu? Że na przykład nie możecie zdobyć jakiegoś miasta?

— Czy uchylę się od wykonania rozkazu, czy zawiodę podczas wykonywania go - skutek jest zawsze taki sam.

— Śmierć!? — szepnęła Lijanas.

— Tak! - podniósł rękę, złoty pierścień z pieczęcią dowódcy zabłysł. W blasku ognia wyobrażony na nim dwugłowy wilk zdawał się żyć. — Jerdt cieszy się łaską króla Haffrena i chce zdobyć ten pierścień za wszelką cenę. Gdybym zawiódł, otrzymałby ten pierścień — i nawet nie musiałby sobie sam brudzić rąk. Rozumiecie teraz, dlaczego to wszystko było konieczne? A najlepszą wymówką, dlaczego jesteście przy mnie, a ja nie opuszczam namiotu, było...

— Rozumiem. Czy to był wasz pomysł?

— Nie. Nie wiedziałem o tym, dopóki Jerdt się nie wyrwał. Ale podejrzewam, że to sprawka Brachana.

— Czy dalej muszę grać waszą kochankę?

— Nie będę was do niczego zmuszać — nagle jego głos zabrzmiał, jakby miał chore gardło. — Jeśli sobie tego życzyacie, nie dotknę was już.

Przyglądała mu się przez chwilę.

— Czy ktoś uwierzyłby mi, gdybym zaprzeczyła? - chciała wiedzieć.

— Prawdopodobnie nie.

Lijanas skinęła głową. Nie spodziewała się innej odpowiedzi.

— Sądzę, że powinno zostać, jak jest, jeśli chodzi o nasz związek. *Czy on właśnie odetchnął?* Jerdt nie musi o wszystkim wiedzieć! — położyła dłoń na jego ramieniu. — Chodźmy!

Płomienie dużego ogniska zdawały się sięgać nocnego nieba. Szerokim półkolem siedzieli na skórkach oficerowie obydwu dowódców,

oparci o pnie stojących obok drzew, odprężeni trzymali w ręku puchary z winem albo piwem. Tace leżące przed nimi obladowane były pieczonym drobiem i warzywami. Po świni upieczonej w całości zostały już tylko żeberka, między tym wszystkim stały garnki o niezwykle aromatycznie pachnącej zawartości, obok jabłek i ciemnych winogron błyszczwały krążki żółtego sera.

Kiedy Mordan pojawił się z nią w blasku płomieni, rozmowy zamilkły na moment. Lijanas czuła na sobie spojrzenia, kiedy poprowadził ją między ludźmi a ogniskiem i wskazał gestem miejsce na miękkich skórach rozpostartych u stóp jego sztandaru. Obok wisiała chorągiew Jerdta wyobrażająca barana. Drugi dowódca armii Haffrena siedział już wygodnie. Kiedy Jerdt uśmiechnął się, gdy Mordan usiadł przy niej, Lijanas przebiegł dreszcz po plecach. Przestraszyła się, gdy ktoś dotknął jej stopy. Jakaś niewolna klęczała przed nią, w rękach trzymając tacę obladowaną smakolykami, które były przeznaczone najwyraźniej dla niej.

- Dziękuję! - powiedziała i wzięła potrawy z rąk kobiety — nie umknęły jej pojedyncze, mamrotane przez mężczyzn siedzących w półkoło, komentarze - i postawiła je między sobą a Mordanem. Mały chłopiec klęknął na miejscu kobiety, podając jej napelnioną wodą misę, by mogła umyć sobie ręce. Znowu podziękowała, kiwnąwszy głową. Kiedy podniosła wzrok, napotkała zielono-szare oczy Jerdta. Patrzył na nią przez chwilę z pogardliwym półuśmiechem, nim się odwrócił.

- Czy coś jest nie w porządku? — przerażająco czujny Mordan pochylił się w jej stronę, patrząc jednak przy tym na Jerdta.

Potrząsnęła szybko głową. Rozluźnił się nieco.

- Co byście zjedli? Pieczeń? Kurczaka? - zapytał, a jego dłoń wskazała na tacę.

- Poproszę kurczaka!

Kiwnął głową.

- Macie ochotę na wino?

- Ja... nie wiem.

Jeszcze raz spojrzal na nią badawczym wzrokiem, nim dał niewolnemu znak, by ten ukroił kilka plasterów mięsa kurczaka i położył na brzegu tacy z jej strony. Po chwili podał jej puchar.

- Wino, rozcieńczone odrobiną wody - uprzedził jej pytanie. Z wdzięcznością wypila łyk, wyciągnęła dłoń po kurczaka i chciała już urwać kawałek, kiedy palce Mordana zacisnęły się na jej ręce. - Nie!

Gdzie macie nóż, który wam dałem? — spytał i zmusił ją, by odłożyła mięso na tacę.

— Tutaj — odstawiła kubek na bok i wyciągnęła go z pochwy.

— Używajcie noża do jedzenia! I tylko noża! Zrozumiano? — Szybko omiółł spojrzeniem mężczyzn dokoła. Zmieszana Lijanas zrobiła to samo — i napotkała na oczy Jerdta. Szybko odwróciła się znowu do Mordana.

— Zrozumiałam! Ale co jest złego w jedzeniu palcami? Tamtego wieczora w Cavallinie też to robiliście.

— To było co innego. Tam byli tylko ludzie, którym mogłem ufać i którzy wiedzieli... — zamilkł i przeciągnął dłonią po włosach. — Na pewno zauważyliście, że nie podobało im się, że widzieli mnie jedzącego palcami.

— Tak, ale nie rozumiem, dlaczego?

— U nas tylko niewolni jedzą palcami! O mały włos upokorzylibyście się na oczach wszystkich.

Spojrzała na niego przestraszona.

— Jeszcze nic się nie stało — uspokoił ją. — Tylko od teraz pamiętajcie o tym. Palcami możecie jeść tylko owoce i chleb lub inne pieczywo. A jeśli na jakiś czas nóż nie będzie wam potrzebny, wbijcie go w tacę.

Lijanas przytaknęła powoli.

— Dlaczego niewolni muszą jeść palcami?

Dwaj mężczyźni w płóciennych spodniach do kolan weszli na plac wokół ogniska, przemaszerowali przed oficerami siedzącymi w półkołu, pokazując w blasku płomieni swe blyszczące mięśnie.

Mordan popatrzył na nich krótko, nim spojrzał na Lijanas przez kawałek sera, tkwiącego na czubku jego noża.

— Nóż to rodzaj broni. A niewolnemu zabronione jest dotykać broń — a cóż dopiero posiadać. Jeśli mimo to zostanie schwytyany z bronią w rękę, oznacza to jego śmierć.

— To nieludzkie - stwierdziła, nie mogąc powstrzymać drżenia.

— To prawo!

Lijanas odwróciła wzrok.

— Czy u Kierów kary są zawsze takie straszne? — odważyła się zapytać. Ściągnął brwi.

— Co macie na myśli?

Właśnie mężczyźni stanęli przed obydwojema dowódcami i uderzyli pięścią w obnażoną pierś. Niedbaly gest Mordana i ustawili się naprzeciw siebie, pośrodku placu, pochyliłi się — i ruszyli na siebie. Wśród widzów

rozległ się dziki wrzask, kiedy zaczęła się pierwsza walka. Jedynie mężczyzna u jej boku nie zwracał uwagi na walczących.

- Co macie na myśli? — powtórzył.
- Skoro już samo posiadanie noża jest karane śmiercią...
- Tylko w przypadku niewolnych.

- Ale nawet wy, jako dowódca, musicie liczyć się z tym, że zostanieie ukarani śmiercią tylko dlatego, że nie mogliście wykonać rozkazu - pokręciła bezradnie głową. - Rozumiem, że złodziejowi odcina się dłoń mimo że uważam to za potworne — że słusznym jest przypalanie albo wygnanie zdrajcy, podobnie jak stracenie mordercy... Ale mam wrażenie, że u Kierów karze się pejczem albo śmiercią za rzeczy, za które Nivardowie płacą grzywnę.

Mordan wbił nóż w tace i spojrzal w stronę zdyszanych zapaśników. Przez dłuższą chwilę milczał i Lijanas pomyślała, że zakończył rozmowę, kiedy wziął do ręki jabłko, oparł się na łokciu i popatrzył na nią.

- Lijanas, jak możecie oceniać nasze prawa, skoro ich w ogóle nie znacie? Żyjemy zgodnie z nimi od setek zim i nikt nie wątpił do tej pory w ich słusność.

- Ponieważ nie znacie nic innego.

- To nie jest tak, że żyjemy za wielkimi murami i nie mamy kontaktu z innymi ludami, ale nasze prawa takie po prostu są i sprawdziły się. U nas nigdy nie było wojen domowych jak u Edari. Byłoby nie do pomyślenia, by jeden podniósł się i podał w wątpliwość prawo klanu tygrysa śnieżnego do tronu, jak miało to miejsce u Nivardów.

Utkwiła wzrok w czerwonym, lśniącym jabłku, które obracała w dłoni.

- Ale jak może być słuszne skazać człowieka za coś, na co nic nie może poradzić?

- Czemu nie daje wam to spokoju? Lijanas, znam te reguły i żyję zgodnie z nimi. Jeśli zawiodę, zostanę za to ukarany i mój władca ma prawo zdecydować, w jaki sposób. Jest tak, a nie inaczej. Już wielu dowódców żyło tak przede mną i wielu będzie tak żyć po mnie.

- Mówicie jak niewolnik.

- Co?

Jabłko potoczyło się na futra.

- „Mój władca ma prawo zdecydować, w jaki sposób”. Na łaskę Bogini. Czy wy słyszycie, co mówicie? Brzmi to tak, jakby wasze życie należało do niego, a nie...

- Bo tak jest!

- Czy jesteście rzeczą, którą można posiadać? Koniem, którego się zabija, gdy nie daje już rady ciągnąć wozu? Psem, którego się zabija, bo nie ma już zębów, którymi mógłby...

- Wasze słowa to herezje, Lijanas! Moglibyście zostać za to straceni - obydwójce moglibyśmy zostać straceni! Wy za wasze słowa, a ja za to, że was słucham! W Turasie coś takiego nie może się wyrwać z waszych ust, jeśli drogie wam życie! Ostrzegam was!

- Jak możecie...

- Nie! Już ani słowa na ten temat! Jesteście tu obcy, dlatego nie ukarzę was za to, choć w zasadzie jest to moim obowiązkiem! - podniósł jabłko i podsunął jej groźącym gestem ku twarzy. — Ale teraz już posłuchajcie mnie i zamilknijcie!

- Czy dla was istnieje tylko posłuszeństwo?

- Tak! Posłuszeństwo aż po grób! Tak było, tak jest i tak będzie! A teraz już wystarczy! - Usiadł obcesowo i zajął się walką. Wpatrywała się w jego plecy jak odurzona.

Chyba nie mówił tego poważnie? Jak może się tak po prostu na to godzić? — obok usłyszała cichy śmiech. Nie musiała podnosić oczu, by wiedzieć, że Jerdt na nich patrzył. On wszystko słyszał. — *„Wasze słowa to herezje..., obydwójce moglibyśmy zostać straceni!”* O Łaskawa, miej litość! Czy swymi słowami dostarczyłam mu pretekstu przeciw Mordanowi?

„Czy jesteście rzeczą, którą można posiadać? Czy jesteście rzeczą, którą można posiadać?” Jak ona może tak mówić? Nie! Nie jestem nieczyją własnością! Jestem wolny! Wolny! Ale oni wytatuowali mi to na karku! — jego dłoń zacisnęła się w pięść, aż paznokcie wpiły się w dłonie. — *Wolny, do cholery!* — usłyszał Jerdta, który zaśmiał się obok niego i spojrzal w jego stronę. Tamten, uśmiechając się protekcyjnie, wzniósł w jego stronę puchar. Oczywiście ten przekłety szczur wszystko słyszał. Wzniósł puchar, jego spojrzenie musnęło młodą kobietę u jego boku — w jej oczach były wszystkie nieszczęścia świata — potem skoncentrował się z powrotem na zapaśnikach. — *Prawa są, jakie są! Powinnaś być przekłeta, ptaszyno! Jak możesz tak mówić? Jak możesz podawać w wątpliwość wszystko, czym żyje, odkąd potrafisz myśleć?* — znowu zerknął na nią. Wyglądało, jakby się trochę do niego przysunęła. — *Dlaczego nie daje ci spokoju myśl, że zostałbym zabit, gdybym czegoś nie wypełnił? Czy mogę być dla ciebie kimś więcej niż tylko*

Kierem, który cię uprowadził i bił? Czy potrafiłabyś mnie... kochać? - Nie! Za dużo oczekuję od ciebie! Ale może mogłabyś..., mogłabyś... — Tylko co? Czego chciałbym zamiast miłości? Przyjaźni? Zaufania? - podniósł wzrok, kiedy poczuł jej dłoń na swym ramieniu. Na krótką chwilę zapomniał się w jej oczach. — Chciałbym zasypiać wieczorem u twego boku, a rano budzić się przy tobie! Chciałbym cię chronić i ci służyć! Chciałbym kłócić się z tobą i śmiać! Chciałbym, byś była częścią mego życia, a ja częścią twójego! — Głupiec ze mnie!

- Przykro mi, mieliście rację. Zbyt mało znam wasze prawa...

Położył dłoń na jej dłoni.

- Już dobrze, Lijanas! Zapomnijcie o tym!

- Ale...

- Żadnego ale! Zapomnijcie o tym!

Zimny podmuch wiatru wzbil płomień wielkiego ogniska w nocne niebo.

- Jerdt wszystko słyszał!

- Wiem! Pozwólcie, że Jerdtem ja się będę martwił - ostrożnie wyciągnął swą rękę spod jej dłoni i wskazał na siedzących w półkolu ludzi, z których wyszli właśnie Raulen i jeden z ludzi Jerdta. - Spójrzcie! - jak poprzednio, wojownicy zatrzymali się przed swymi dowódcami i uderzyli pięściami w nagie piersi, nim udali się, na jego znak, na środek placu.

- Raulenie! — wojownik odwrócił się do niego. Mordan wyciągnął z sakiewki u pasa złotą monetę i pokazał ją. Komendant jego straży przybocznej wyszczerzył zęby w wilczym uśmiechu i jeszcze raz uderzył pięścią w pierś. Potem stanął przed swoim przeciwnikiem.

Mordan usłyszał, jak uzdrowicielka wciągnęła powietrze, kiedy mężczyźni ruszyli na siebie. Spięty sam pochylił się do przodu, by po chwili syknąć przekleństwo. Dłonie Raulena ześlizgiwały się co chwila po skórze przeciwnika.

- Co jest? - znowu położyła dłoń na jego ramieniu.

- Żołnierz Jerdta natarł się olejkim. Raulenowi będzie ciężko. Nie może wykonać prawie żadnego chwytu.

Czy to nie jest zabronione?

- Nie! Ale nie jest też honorowe. Psiakrew!

Komendant jego straży przybocznej wylądował właśnie na ziemi - jednak natychmiast podskoczył i znowu rzucił się na swego przeciwnika. Po placu niosły się podekscytowane okrzyki. Nie tylko oficerowie dopingowali swym faworytom, za nimi cisnęli się wojownicy, obserwując

z równym napięciem, co się dzieje. Przez kilka chwil ważyły się losy przeciwników, Raulen cały czas próbował chwycić tego drugiego, cały czas jego palce ślizgały się, potem udało mu się powalić mężczyznę, przytrzymał go — i znowu się ześliznął i został zrzucony. Jeszcze gdy podnosił się na nogi, przeciwnik rzucił się na niego, powalił go na ziemię i przytrzymał kolanem między łopatkami, wykręcając jednocześnie ramię. Nie mógł się uwolnić! Walka była przegrana!

Kiedy obydwaj mężczyźni stanęli znowu przed swymi dowódcami, Mordan rzucił zwycięzcy złotą monetę, spojrzal na Raulena i skinąwszy bez słowa, dał swemu wojownikowi do zrozumienia, że zna przyczynę jego klęski. Raulen odpowiedział na jego spojrzenie, ponownie podniósł pięść do piersi i opuścił miejsce walki.

— Twój człowiek przegrał! Szkoda! — Jerdt pochylił się do przodu, uśmiechając do Mordana tajemniczo. — Akurat on splamił honor „Krwawego Wilka”. I jak będzie, chcesz może zmyć tę plamę?

Mordan lknął wina.

— Co ci chodzi po głowie?

— Walka! My obydwaj! Według starych zasad. Jedynie bez ostatniego, śmiertelnego ciosu.

Uzdrowicielka wyprostowała się zbyt gwałtownie.

— Jaka broń?

— Niech zdecyduje moneta — Jerdt niby zaczął szukać w swej sakiewce.

Mordan był szybszy. Złota moneta błysnęła w blasku ognia.

— Wybieraj! — zażądał.

Dłoń uzdrowicielki wpila się w jego ramię.

— Nie możecie tego zrobić! Wasza rana... - szepnęła.

Strząsnął jej dłoń i podniósł się.

Jerdt też wstał.

— Herb: topory — reszka: miecze! — ustalili.

— Herb: topory — reszka: miecze! — powtórzył Mordan i rzucił monetę w powietrze.

Ciemne, burzowe chmury mknęły po niebie. Wokół zrobiło się cicho. Trzask polan w ogniu był nienaturalnie głośny. Kiedy moneta upadła na ziemię, wszyscy obecni jakby wstrzymali oddech. Mordan natychmiast postawił stopę na lśniącem zlocie.

— Lijanas! Chodźcie tu i powiedzcie, która strona jest na górze!

Z wahaniem posłuchała. Zabrał but z monety i skinął na nią. Schyliła się, zacisnąwszy mocno usta.

- Dla mnie wygląda to jak herb...

Jerdt zaśmiał się triumfalnie. Wśród ludzi przeszedł szmer.

- ...ale ja nie znam tej monety.

Podniósłszy rękę, Mordan nakazał ciszę.

- W takim razie opiszcie, co widzicie!

- Koło od wozu.

Rozległy się pojedyncze wybuchy śmiechu, drugi dowódca armii Hafrena syknął.

- Reszka! — oznajmił Mordan opanowanym głosem i skłonił się lekko przed nią. - Dziękuję wam, Lijanas! - nie spojrzawszy nawet na monetę, ściągnął kaftan, wyciągnął swój *kereshtai*, położył pochwę na skórkach i stanął na środku placu. Na twarzy uzdrowicielki widać było zmieszanie, kiedy z powrotem usiadła. Najwyraźniej nie wiedziała, że kierska moneta miała po stronie herbu tygrysa śnieżnego, a strona wartości wyobrażała koło z dziesięcioma szprychami. Mordan bez słowa spojrzął na Jerdta, czekał. Ten również zdjął kaftan, wyciągnął miecz i odrzucił skórzaną pochwę, po czym poszedł za nim na plac. Nieznacznym ruchem Mordan podniósł klingę na znak powitania, Jerdt odpowiedział na ten gest pobieżnie i zaczął powoli krążyć wokół niego. Mordan ustalił środek ciężkości swego ciała i stanął spokojnie, z czubkiem *kereshtai* skierowanym do ziemi, obracając się tylko wraz z przeciwnikiem, by nie spuścić go z oczu. Wiatr dmuchnął mu czarny kosmyk włosów na twarz. Nagle Jerdt zaatakował. Ostrza zderzyły się, aż zadźwięczało.

- Raz! — na twarzy Jerdta pokazała się krwawa rysa. Szybko cofnął się. Czubek *kereshtai* znowu opadł w dół. Dało się słyszeć cichy pomruk ludzi. Jerdt skoczył do przodu, robiąc zwód, i natychmiast znów się cofnął, na co Mordan jedynie odepchnął jego broń swym ostrzem. Jeszcze raz powtórzył tę grę, nim zaśmiał się szyderczo.

- Co się dzieje, bracie? Wrosłeś w ziemię? Zapomniałeś, jak trzeba się poruszać z mieczem w dłoni? — cofnął się jeszcze o krok. — Chodź! — wabił.

- Gdzie jest napisane, że muszę za tobą biegać?

Parskanie i śmiech rozległy się wśród widzów. Jerdt przymrużył oczy, podniósł broń poziomo nad głową, kierując jej czubek na przeciwnika, zbliżył się i opuścił miecz. *Kereshtai* ruszył na niego, Mordan zrobił krok w bok.

- Dwa! — nad blond brwią perlila się krew.

Syknąwszy, Jerdt obrócił się i natychmiast znowu zaatakował, szczerząc zęby. Dwa razy stal trafiła w stal.

- Trzy! — równe cięcie na ramieniu, zgrzyt, kiedy miecze się zetknęły.

- Cztery! — tunika rozdarła się na piersi, pod brodawką zaczęła powoli sączyć się krew. Błysnąwszy, *kereshtai* zatoczył luk przy boku swego pana, Jerdt cofnął się, w kąciku ust Mordana pojawiła się na chwilę drwina, potem jego twarz znowu przybrała niewzruszony wygląd. Czubek jego klingi opadł w dół. Znowu czekał w milczeniu, podczas gdy ten drugi skradał się wokół niego. Jerdt otarł krew, ciekącą mu na oko, niemal w tym samym momencie śmignął miecz.

- Pięć! - tuż nad pasem tunika zrobiła się ciemna. Klingi nie dotknęły się nawet, lecz Mordan zrobił krok w bok. Fukając, Jerdt podążył za nim, próbując trzymać go na odległość miecza. On uczynił mu rę przysługę. Przez moment stal tańczyła ze stalą, potem:

- Sześć! — krew popłynęła po wierzchu dłoni. Trzy śpiewające uderzenia.

- Siedem! — nacięcie na drugim ramieniu. Jerdt szybko odskoczył, Mordan ruszył za nim, ostrza kręciły się wokół siebie z sykiem.

- Osiem! — rana na żebrach. Zwiększył dystans, opuścił znowu *kereshtai*. Jerdt przycisnął dłoń do rany, popatrzył na krew, którą miał na palcach, i która płynęła mu po skórze. Wytarł dłoń o tunikę i znowu zaczął okrążyć Mordana. Nagle ten zrobił krok do przodu.

- Dziewięć! - tunika zabarwiła się na czerwono z drugiej strony żeber. Znowu Jerdt zrobił unik. Tym razem Mordan trzymał go na odległość miecza. Przez długą chwilę powietrze wypełniał śmiech stali. Raptownie *kereshtai* pojawił się od dołu, drgnął w górę dokładnie między nogami Jerdta. Ten wykonał mało eleganckiego susa w tył. Wśród mężczyzn rozległo się grupowe jęknięcie. Wyraźnie zwlekając, Jerdt zabrał rękę, spojrzal na nią — ani śladu krwi. Na jego szczęce drgnął mięsień, kiedy zacisnął zęby. Spróbował zaatakować ślepą stronę Mordana. Ten odkręcił się, machnął bronią, zabręczalo.

- Dziesięć! - miecz Jerdta wylądował glucho w pobliżu ognia, po jego udzie płynęła ciepła krew. Mordan znów opuścił ostrze. Przeklinając, Jerdt skoczył po swoją broń. Kiedy wrócił, na jego twarzy widać było wściekłość.

- Co ma znaczyć ta wyliczanka? — dopytywał się, poruszając się po luku wokół Mordana.

- Nie domyślasz się?

- Nie! - ruszył na swego przeciwnika, warcząc. Ten skrzyżował miecze.

- Jedenaście! — głęboka rana od dołu, w rękę trzymającą miecz. Jerdt potknął się, dysząc ciężko, i szybko odwrócił się do niego.

- Dostaniesz ode mnie piętnaście razy. Domyślasz się, dlaczego? - Jerdt otworzył szeroko oczy. Jego wzrok powędrował w kierunku uzdrowicielki, potem wrócił do Mordana. — Widzę, że rozumiesz. Ostatni raz skieruję miecz na twoje gardło. Lepiej, żebyś wtedy stał spokojnie!

- Oszalałeś!

Na ustach Mordana pojawił się tajemniczy uśmiech.

- Dopiero teraz to zauważyłeś? — znowu ostrza się spotkały. Zaczepił jelec Jerdta o tarczkę swego *kereshtai*. Tamten próbował wyswobodzić swą broń. Mordan położył dłoń na jego dłoni i przyciągnął go do siebie.

Zapomniałeś, że Kessananie doprowadzają swych wychowanków na skraj oblędu i jeszcze krok dalej, nim zaczną ich kształcić? Może w moim przypadku było o krok za daleko - puścił Jerdta tak nieoczekiwanie, że ten zatoczył się i mało brakowało, a upadłby na ziemię. Teraz Mordan chodził wokół swego przeciwnika. Ten przelknął ciężko ślinę, uniósł miecz. — Boisz się, Jerdt? — znowu pojawił się ten uśmiech.

- Ciebie? - Jerdt splunął pogardliwie.

Mordan podniósł *kereshtai* w górę, kiwnął na Jerdta z drwiną. Ten nie ruszył się.

- Chcesz przerwać walkę? — zapytał łagodnie. - Przed ostatecznym ciosem? Rozczarowujesz mnie, Jerdt.

- Wypatroszę cię żywcem! A twoja mała nivardzka dziwka będzie na **TO** patrzeć! — Prychając, Jerdt znowu na niego tuszył. Ostrza tańczyły jasno w świetle ognia.

- Dwanaście! - pojawiła się kreska w poprzek brzucha Jerdta, Mordan minął go, kopnął pod kolanami, tamten przewrócił się.

Trzynaście! - *Kereshtai* ukąsił jego kark. Cofnął się, czekając, aż Jerdt stanie na nogach.

Powoli krążyli wokół siebie. Płomienie odbijały się w stali. Jerdt znowu zrobił zwód, pozorując atak na ślepą stronę Mordana, opuścił miecz; niemal jak w zabawie, ostrze *kereshtai* stawilo pionowo opór. Szarość wzoru na ostrzu zamieniła się w zabarwione od ognia srebro. Mordan

odepchnął go, ruszył za nim, z piskiem stal otarła się o stal, Jerdt uwolnił się, obrócił, pchnął Mordanowi lokiec w bok, Mordan z sykiem wypuścił powietrze, usłyszał krzyk uzdrowicielki, rękojeść *kereshtai* obróciła się.

- Czternaście! - po plecach Jerdta popłynęła krew. Stał spokojnie, patrząc, jak jego przeciwnik podnosi się powoli z pozycji na czworakach. Ból plonął w jego boku, płomień powoli się rozprzestrzeniał. Jakby wiedział, w którym jest miejscu, Jerdt trafił prosto w ranę. Poczul, jakby się otworzyła i zaczęła lekko krwawić. Dzięki opatrunkowi nie będzie można tego zbyt szybko dostrzec. Odetchnął kilka razy, zapominając o bólu i podszedł, opanowany, do Jerdta. Jego śmiech potwierdził jego podejrzenie. Jerdt wiedział, gdzie trafił go belt. Skąd?

— Wygląda na to, że twoja dziewczka martwi się o ciebie? Dlaczegoż to? — szedł cicho.

Bez słowa Mordan skoczył do przodu, popychając Jerdta silnymi uderzeniami przed sobą, aż stanął plecami do ognia. Na twarzy tamtego pojawiło się nagle coś, co najbardziej przypominało strach. Ostrza śpiewały w śmiertelnym rytmie, aż Mordan go raptownie przerwał.

- Piętnaście!

Drugi dowódca armii Haffrena stał jak skamieniały, kiedy *kereshtai* niemal pieszczotliwie dotknął jego gardła, zostawiając czerwoną linię.

Mordan zwrócił się w jego stronę, unosząc lekko ostrze na znak pozdrowienia, odkręcił się do niego plecami i udał się z powrotem na rozpostarte na ziemi skóry, gdzie wytarł ostrze i wsunął je z powrotem do pochwy. Nie zwracając uwagi na hałasujących oficerów, naciągnął spokojnie kaftan, napotykać na zatroskane spojrzenie uzdrowicielki. Pytanie o jego ranę było wyraźnie wypisane na jej twarzy. Uspokajającym gestem dał jej znak, żeby się nie martwiła. Bardzo powoli zaczęła się odprężyć.

Za jego plecami pojawił się Jerdt, rzucając niedbale miecz na skóry.

— Powinienem był wiedzieć, że nie należy się z tobą mierzyć na miecze, bracie — stwierdził uprzejmie, jakby wcale nie miał piętnastu tan i nie został pokonany przez niego na oczach wielu oficerów. Mordan odwrócił się do niego. Ostry podmuch wiatru poruszył sztandarami za jego plecami. Wyraz oczu Jerdta zadawał kłam jego słowom. Nie zniesie tego upokorzenia i na pewno będzie chciał się zemścić.

Jerdtd spojrzal właśnie na nocne niebo, na którym ciemne chmury już niemal całkowicie pochłonęły księżyc, potem wzruszył ramionami.

- Bardzo żałuję, że nie mogę już dłużej korzystać z twojej gościnności, bracie, ale obawiam się, że nadchodzi burza, a mam tam jeńca, któremu chciałbym dzisiejszej nocy poświęcić jeszcze trochę uwagi — uśmiechnął się do Lijanas. — Byłoby bardzo nieuprzejmym z mojej strony, gdybym nie zajął się trochę waszym narzeczonym, prawda, moja droga?

- Narzeczonym? — Mordan popatrzył na młodą uzdrowicielkę. Na słowa Jerdta z jej ust wyrwał się cichy okrzyk. Teraz stała wpatrzona w Jerdra, blada, z niedowierzaniem, oszołomieniem i przerażaniem w oczach. Gdzieś w środku poczuła zimno.

- Oczywiście! Nie wiedziałeś, że twój gość to naręczona księcia Ahmeera? - Jerdt przechylił głowę, udając zaskoczenie. — Naprawdę nie wiedziałeś? — karcąco mlasnął językiem. - Powiniście mu byli o tym powiedzieć, Lijanas.

- *Powiedz coś! Powiedz, że to nieprawda!* — Wciąż nie miał odwagi na nią spojrzeć. Jak podstępna trucizna zimno rozprzestrzeniało się w jego piersi.

Za jego plecami rozległy się wrzaski, ponieważ kilku wojowników przyciągnęło jakąś młodą niewolną, każąc jej tańczyć. Byli na tyle mądrzy, by wiedzieć, że nie powinno ich obchodzić, co obydwaj dowódcy mają między sobą do załatwienia.

Niby z obrzydzeniem Jerdt chwycił na piersi swą poplamioną krwią tunikę.

- Nienawidzę, kiedy moje ubrania są upaprane krwią. Ale myślę, że wystarczy jeszcze na chwilę zabawy z waszym narzeczonym. Trochę krwi więcej czy trochę mniej...

Mordan wiedział, co tamten zamierzał. Kiedy Jerdt przemawiał takim tonem, szukał sobie zazwyczaj zabawki i bawił się nią, dopóki się nie popsula. Najwyraźniej do Lijanas też to dotarło. Jej dłoń dotknęła ukradkiem jego ramienia.

- Proszę...

Spojrzał na nią; zobaczył w jej oczach błaganie; błaganie, które dotyczyło jej narzeczonego.

Proszę...

Zimno zamieniło się w lód. Cofnął się, uwalniając od jej dotyku.

- Proście nie tego, co trzeba.

Coś w jej spojrzeniu zamigotało i zgasło.

Czuła się tak, jakby chłód w głosie Mordana coś w niej dusił. Wszystko w nim mówiło, że nie zrobi nic, by ochronić Ahmeera przed okrucieństwem Jerdta. Trzecie „proszę” tkwiło już w jej gardle. Przelknęła je. Wybrzmiałoby niewysłuchane. Zwróciła się do Jerdta. Jedno spojrzenie w jego oczy wystarczyło, by wiedzieć, jaką przyjemność sprawiało mu to wszystko. Właśnie Mordan się nim zabawiał, teraz on bawił się nimi. A Ahmeer będzie tym, który będzie musiał za to zapłacić.

— Proszę... — zaczęła znowu i zamilkła.

- Tak? O co chcielibyście mnie prosić, Lijanas? - uśmiech Jerdta był tak prawdziwy jak uśmiech węża.

Bezradnie zerknęła na Mordana, który obserwował ją z zimną miną, potem znów spojrzała na Jerdta.

Tak, o co chcę go prosić? Żeby nie torturował Ahmeera? Żeby go wypuścić? Nie zrobi ani jednego ani drugiego.

Nabrała powietrza.

- Proszę, chciałabym zobaczyć Ahmeera!

Przez krótką chwilę Jerdt wyglądał na zaskoczonego, potem zaśmiał się cicho. Lijanas poczuła ciarki na plecach.

— Żadnego skomlenia o łaskę dla księcia? Tylko „chciałabym zobaczyć Ahmeera”? To wszystko? - uśmiechając się, zwrócił się do Mordana. - Cóż, jak sądzisz, bracie? Czy powinienem spełnić tę małą prośbę?

- Książę Nivardów to nie moja sprawa. Decyzja należy do ciebie! — odparł i skrzyżował ramiona na piersi. Lijanas miała wrażenie, że jego spojrzenie jest jak lodowaty sztylet.

Powinnam była mu powiedzieć! Ale myślałam, że nie.

Wciąż jeszcze z uśmiechem, Jerdt dał znak kilku wojownikom, którzy stali na uboczu.

— Myślę, że nie mogę wam pozwolić, byście jeszcze raz zobaczyli waszego narzeczonego, ale może w Turasie otrzymacie pozwolenie, by zobaczyć się po raz ostatni - niedbale zarzucił na ramię podszyty śnieżno-białym futrem płaszcz. - Mam nadzieję, że będziecie mieli tak samo przyjemną noc jak ja, moja droga - ostatnie skinienie głowy na pożegnanie, potem odwrócił się i opuścił plac w towarzystwie swej straży przybocznej.

Znowu spojrzała w stronę Mordana. *Pomóż mi!* - błagała bez słowa.

W milczeniu popatrzył na nią, tajemniczo i chłodno, jednak, kiedy zamierzała pójść za Jerdtem, jego dłoń zacisnęła się na jej ramieniu i powstrzymała ją.

- Proszę... — w chwili, gdy wypowiedziała to słowo, wiedziała już, że było to bez sensu. Ostry podmuch wiatru szarpnął jej włosy.

- Jerdt ma rację. Nadchodzi burza. Chodźcie!

Przygryzła wargę i podciągnęła, marznąc, ramiona, pozwalając bez słowa sprzeciwu, by zaprowadził ją do namiotu.

Agman i Kardan pozdrowili go skinieniem głowy i uderzeniem w pierś, polem przeszedł między dwoma wojownikami, cały czas trzymając w ręce ramię uzdrowicielki; skóra opadła za nimi, zamykając wejście, otoczyło ich ciepło panujące wewnątrz namiotu. Mordan puścił ją bez słowa, podszedł do stołu, nalał sobie wina, odwrócił się do młodej kobiety plecami i, stanawszy przy jednej z mis z ogniem, wpatrywał się w płomień. Milczenie unosilo się nad nimi, przerywane jedynie trzaskiem drewnianych szczap, rozciągało się, trwało, namacalne jak lód.

- Mordanie... — jej głos brzmiał, jakby zagubił się gdzieś w tej ciszy. Siała pewnie nie dalej niż na wyciągnięcie ręki.

- To prawda, co mówił Jerdt? Jesteście narzeczoną księcia Ahmeera!

- Zapytał mnie, czy chcę zostać jego żoną, tak!

Zamknął oko. Lód wpełzał do jego wnętrza, paraliżował każdą myśl, nawet ból.

- Kochacie go?

Nie odpowiedziała.

Lód rozprysł się, zostawiając pochłaniającą wszystko pustkę. Na krótką chwilę wstrzymał oddech, mając nadzieję, wbrew sobie, że usłyszy jeszcze „nie”, teraz wypuszczał powoli powietrze.

- Rozumiem!

Cisza powróciła, ciężka jak całun. Jego dłoń zadrżała, kiedy wypił łyk wina - miało zwietrzały smak.

- Mordanie?

Zostaw mnie! Czy nie widzisz, że rozdzierasz me serce?

- Mordanie, proszę, odezwijcie się do mnie!

- Czego chcecie, uzdrowicielko?

Usłyszał, jak cofnęła się na dźwięk jego głosu.

- Ja... — zamilkła, zawahała się, zaczęła od nowa. - Wiem, że nie powinnam was o to prosić, ale... Mordanie, wy wiecie, co Jerdt zrobi z Ahmeerem. Proszę, czy nie możecie nic dla niego zrobić? Wziąć go pod swoją ochronę? Zażądać wydania go wam jako waszego jeńca? Przecież jesteście...

— Już raz prowadziliśmy tę rozmowę, uzdrowicielko. Odpowiedź jest wciąż taka sama. Książę Ahmeer jest własnością Jerdta! Nie mogę nic dla niego zrobić.

Czy ty właściwie zdajesz sobie sprawę, jaki ból mi sprawiasz?

— Połóżcie się, Lijanas! Wyruszamy jutro rano.

Przestań nalegać!

— Czy nie ma...

Odwrócił się tak gwałtownie, że zachwiała się, przestraszona. Czerwone wino płynęło mu po palcach.

— Do cholery! Kobieto, czy wy jesteście głupią czy głuchą, a może jedno i drugie! Powiedziałem „nie"! A teraz kładźcie się do łóżka albo, na moją krew, zerwę z was szaty i przywiążę do posłania, byście do rana nie mogli się ruszyć.

Patrzyła na niego, jedno uderzenie serca, dwa, trzy — jej ramiona opadły, krótkie spojrzenie na jego ranny bok; przez chwilę wyglądało to tak, jakby chciała coś powiedzieć, jednak zamilkła, poczłapała do łóżka i zaczęła się rozbierać, zmęczonymi ruchami. Jego ciałem wstrząsnęło drżenie, odwrócił się gwałtownie, przez chwilę wpatrywał w polyskującą głębię pucharu - i cisnął go, aż potoczył się po namiocie. Drżenie nie chciało odpuścić. Przycisnął pięść do ust, aż poczuł krew. Za plecami usłyszał ciche skrzypnięcie skórzanych rzemieni, potem zrobiło się cicho. Powoli odwrócił się. Leżała owinięta skórą, w czarnym wiewiórczym futrze widać było jedynie błądy owal jej twarzy. Widok udreki w jej oczach zmusił go do opuszczenia namiotu.



Deszcz zaczął padać, kiedy wrócił. Wydał krótki rozkaz i odesłał Agmana i Kardana do ich namiotu, schylił się w wejściu i zapiał szybko skórzaną klapę, nim nawałnica zdołała wyrwać mu ją z ręki. Przez długi czas stał cicho, wsłuchując się w odgłos deszczu, który smagany podmuchami wiatru co chwila uderzał w skórę namiotu i który zmywał wszelkie ślady. Potem zgasił ogień, zostawiając jedynie dwie misy, stojące najbliżej łóżka. Przez moment przyglądał się uzdrowicielce w migoczącym półświecie. Leżała skulona wśród skór, jakby chciała pod nie wpełznąć na zawsze. Szczupłą dłoń podłożyła pod policzek, jej twarz wyglądała we śnie **na** rozluźnioną i spokojną.

Uśmiercasz mnie, ptaszyno! I nawet o tym nie wiesz!

Odszedł od łóżka, zmęczony ściągnął buty i zdjął kaftan oraz tunikę. Opatrunek na jego boku był sztywny od zaschniętej krwi, odwiązał go i zmył ze skóry pozostałe ślady, potem wziął z jednej ze skrzyń wełniany koc i ułożył się do snu w kącie, na podłodze.

Jakiś czas później zerwał się raptownie, kiedy skóra u wejścia namiotu poderwała się nagle w bok. W pierwszej chwili był przekonany, że zerwał ją jakiś wyjątkowo silny podmuch wiatru, lecz potem wparował Jerdt, w towarzystwie kilku wojowników ze swej straży przybocznej. Nie rozejrzał się, tylko pomaszerował prosto do łóżka, zerwał skóry i chwycił Lijanas za włosy. Młoda uzdrowicielka obudziła się z przeraźliwym krzykiem, który umilkł, gdy w pomieszczeniu zagrzemiał głos Mordana.

- Co tu się dzieje?

wyraźnie zdziwiony faktem, że nie znalazł go w łóżku, Jerdt odwrócił się. Jego ludzie położyli dłonie na broni. Na czole Mordana pokazały się złowieszcze zmarszczki.

— Wy! Wynocha! - wojownicy zawahali się, spojrzeli na swego dowódcę. Ten zmrużył oczy. — Jeśli będę musiał to jeszcze raz powtórzyć, jeszcze przed wschodem słońca będziecie drzeć na palu — bez wyjątku! - chwila wahania, potem mężczyźni wyszli. - Puść ją! - powoli stanął na środku namiotu. Jerdt pchnął Lijanas, która szybko uciekła na drugą stronę łóżka, trzymając przed sobą przykrycie, jakby ściągnięta z niedźwiedzia skóra mogła ją ochronić przed drugim dowódcą armii Haffrena.

— Czego chcesz, Jerdt?

— Mój jeniec uciekł!

Usłyszał, jak uzdrowicielka ostro wciągnęła powietrze.

— Co to mnie obchodzi?

Jerdt wyciągnął zza pas pęk skórzanych rzemieni i zaczął nimi machać.

— Jego więzy zostały przecięte! Ktoś go uwolnił!

— No i? Co ja mam z tym wspólnego? Albo ona? — z założonymi rękoma oparł się o kant stołu.

— Ona jest jedyną, która...

Parsknął szyderczo.

— Nie bądź śmieszny! Ona miałaby uwolnić jeńca? Ona? W środku obozu wojskowego? To największa głupota, jaką kiedykolwiek slyszalem.

— Kto inny mógłby to być? - odparował Jerdt.

— Skąd mam to wiedzieć? Ona przynajmniej była cały czas w tym namiocie.

Zielono-szare oczy drugiego dowódcy armii zrobiły się wąskie.

— A co z tobą? — zapytał z napięciem.

Mordan oderwał się od stołu, złapał go za kaftan i przyciągnął do siebie.

— Chcesz przez to powiedzieć, że ja uwolniłem tego Nivarda, Jerdt?

— Po kimś takim jak ty można się wszystkiego spodziewać. Zabieraj ręce!

Z ust tamtego Mordan czuł wino. Kiedy Jerdt się upił, był bardziej niebezpieczny niż zwykle. Jego pięści zacisnęły się mocniej.

— Kimś takim jak ja? - syknął.

Na twarzy Jerdta pokazał się kąśliwy uśmiech.

— Kimś takim jak ty! Śmierdzącym niewolnym, który zdołał wypełznąć z bagna, ponieważ stary człowiek postradał zmysły. Zabieraj ręce, bo inaczej...

- Co, Jerdt? Bo inaczej co? Minęły czasy, kiedy mogłeś mi grozić! — odrzucił go twardo od siebie. Jerdt potknął się i upadł na podłogę. — Zabieraj się z mojego namiotu, zanim każę cię stąd wywlec!

Podniósł się z trudem, spojrzal na Mordana z nienawiścią.

- Naprawdę sądzisz, że pozwolę, byś wydawał mi rozkazy? Nie! Nie ty! Pamiętasz jeszcze, jak się czolgałeś? Jak żebrałeś?

- Ostrzegam cię, Jerdt! Znikaj! — zrobił groźny krok w jego stronę.

- Ty mnie ostrzegasz? Ty! — zaśmiał się szyderczo. Jego wzrok powędrował w stronę młodej uzdrowicielki, która cały czas stała po drugiej stronie łóżka i przyglądała się wszystkiemu z przerażeniem, potem wrócił do Mordana. — Czy odkryła, czym jesteś i dlatego wyrzuciła cię z łóżka? Z powrotem na ziemię, w gnój, gdzie...

- Wystarczy! Wynoś się stąd!

Jerdt cofnął się przed nim, znowu spojrzal na Lijanas.

- Czy otwarto wam oczy, czy wiecie już wszystko na jego temat, na temat wielkiego Mordana, pierwszego dowódcy armii króla Haffrena? Czy powiedziano wam, że nie jest niczym więcej niż tylko pomiotem, który przyszedł na świat jako niewolny? Opowiadano wam, jak się czolgał w gnoju? Jak się czolgał przede mną? — Zaśmiał się cicho. — Nie chcesz jej opowiedzieć, jak to było, kiedy miałem cię pod sobą? Pamiętasz, kiedy z tobą skończyłem, krwawiłeś jak dziewica...

Pięść Mordana powaliła go na ziemię. W jego wnętrzu pękł mur, uwalniając kreaturę, którą Kessananie zrobili z niego w czasie pierwszych zim, nim oddali mu powłokę ludzkości. Rzucił się na Jerdta, który próbował uciec w bok, ale nie był dość szybki, i uderzył go z całej siły w żebra. Jerdt zwinął się, ciężko sapiąc, kopnął go w nogi. Upadł, potoczył się i rzucił znowu, szczerząc zęby na tego drugiego, chwycił go, bił na oślep, szukając możliwości, by wbić zęby w jego gardło. Coś uderzyło twardo w jego ranę. Jego chwyt rozluźnił się, Jerdt wymknął się mu, uderzając go od dołu w szczękę, Mordan zachwiał się, przytrzymał środkowego słupka, oderwał się od niego i znowu powalił na ziemię Jerdta, zmierzającego ku wyjściu. Złączeni ze sobą toczyli się po dywanach, misa z ogniem przewróciła się, żar rozlał się na nich, Jerdt zawył, kiedy dotknął jego skóry, w następnej chwili wyciągnął pazury w kierunku oka Mordana, ten odchylił głowę, kciuk Jerdta przycisnął mu krtań, chwycił tę dłoń, odgął ją i uderzył. Z soczystym trzaskiem pękł mu nos, popłynęła krew, znowu zaczęli się toczyć po namiocie, Mordan zatrzymał się w gnieździe żaru, odepchnął

od siebie Jerdta, stanął z dzikim wrzaskiem na nogach, zobaczywszy, że tamten rzucił się do wyjścia, ale nie dał rady dogonić go, nim wydostał się na zewnątrz. Dysząc, opadł na kolana. Deszcz i lodowate poddmuchy wiatru smagały jego twarz, nie mogły jednak ugasić ognia bezsilnej wściekłości. Jego palce wpiły się w dywany nasiąknięte od kropli deszczu, które wiatr zapędził do środka. Jej dłoń spoczęła bez ostrzeżenia na jego nagim ramieniu i odwrócił się do niej, szczerząc zęby, jakby go oparzyła. W szmaragdowych oczach nie widział nic prócz przerażenia.

Bestia!

Odwrócił się gwałtownie i uciekł w deszcz, jakby goniły go duchy zemsty.

W pewnym momencie przyklęknął w szlamie po kostki, oparłszy czoło o ścianę z powiązanych, drewnianych pali. Deszcz spływał mu po piersi i plecach, wysysając resztki ciepła z jego kości i zbierając się w postaci brązowej kaluży wokół jego kolan.

Pamiętał, że krążył bez celu po obozie, unikając ognisk i nielicznych ludzi, których deszcz jeszcze nie zapędził do namiotów, wiedząc instynktownie, że każdy, kogo napotka, będzie w niebezpieczeństwie. Jak jednak znalazł się tutaj...? Oparł głowę na karku, przytuliwszy głowę do drewnianych pali, spojrzął w niebo, deszcz dudnił o jego twarz, otworzył usta, pozwalając, by krople wpadały mu do środka — ile razy robił dokładnie to samo po tamtej stronie tych drewnianych pali, wewnątrz zagrody dla niewolnych. Powoli rozpostarł ramiona i oparł się o drewnianą ścianę, jakby chciał ją objąć. Narastał w nim cichy śmiech. Na drewnie zawsze mógł polegać. Zawsze go trzymało, wszystko jedno, czy jedynie opierał się o nie, tak jak teraz, czy wisiał półprzytomny z bólu na krzyżu. Rozcapierzył palce i przytulił policzek do drewna, czuł, jak deszcz płynie mu po skórze... Wspomnienia budziły się w jego umyśle, zderzały się nad nim, ciągnęły go w dawne czasy...

Kiedy poczuł ciepło na swych barkach, ocknął się przestraszony. Świtało. Cały czas klęczał skulony przy drewnianych palach, oparł się o nie barkiem, pochylony do przodu otulił się ramionami, ponieważ deszcz zamienił jego ciało w lód.

— Chodźcie! — jedno jedyne słowo. Podniósł ciężko głowę. Nad nim stała uzdrowicielka. Trzymając nad głową koc, próbowała właśnie otulić go drugim.

Zostaw mnie!

Chciał ją odepchnąć, zrzucić ciepłą welnę — kończyły odmówiły mu posłuszeństwa. Klęknęła przed nim, naciągając mu koc na głowę.

— Jesteście cali mokrzy i zziębnięci! Chodźcie, nim przeziębicie się na śmierć! — zdania głucho docierały do jego wyczerpanego umysłu. Czuł się tak, jakby w jego wnętrzu przez krótką chwilę szalał ogień pochłaniający wszystko, który, kiedy zgasł, zostawił jedynie pustą powłokę.

Pociągnęła go za ramię, chcąc wyciągnąć go ze szlamu. W części niego rodził się opór, chciał na nią wrzasnąć, żeby się wynosiła, skąd przyszła - w drugiej części była tylko ciemna obojętność.

Przylapał się na tym, że pozwolił, by go podniosła, wzięła za rękę i zabrała stąd. Kiedy za jego plecami opadła skórzana klapa namiotu i nie czuł już nic prócz wilgoci i zimna, pojął, że przyprowadziła go do jego namiotu. Tępo omiółł spojrzeniem spustoszone pomieszczenie, do jego nosa docierał słabo zapach spalenizny. Przemoczony koc wylądował za nim na podłodze. Znowu pojawiła się przed nim ona, patrzyła mu w twarz z niezrozumiałym zatroskaniem, chwyciła go znowu za rękę, podprowadziła do mis z ogniem, bliżej ciepła. Stał ze spuszczoną głową i ramionami, kiedy kręciła się wokół niego

dla jego ociężałego umysłu było to tak trudne do pojęcia, jak marzenie senne, kiedy się niespokojnie spało. Zmusiła go, by zdjął mokre spodnie. Został obwieszony miękkimi ręcznikami, wytarła go delikatnie, ale zdecydowanie - odpychał ją niechętnie. Działała dalej, rugając go cicho w swym języku. Powróciła pustka. Obojętnie uklęknął, gdy go do tego zmusiła, narzekając na jego wzrost, i oddał się jej dłoniom, które tarły jego włosy, zbierały wodę z jego skóry i w pewnym momencie zaczęły wcierać ciepło w ten lód, w który zamieniły się jego członki. I co chwila pochylała się, by spojrzeć mu w twarz. Kiedy położyła jego ręce na kubku i kazała mu wypić, uczynił to. Podgrzane wino płynęło mu przez gardło. Jego umysł był w stanie cofnąć się tak daleko, by uświadomić sobie, że ona po słowach Jerdta..., że wiedziała... Wolalby jej powiedzieć to wszystko sam. Wszystko..., wszystko...

Zmęczony osunął się na podłogę i ułożył na boku. Jej dłoń głaskała go po plecach, sunęła po skórze, pokrytej bliznami i pręgami, od karku po pas. Przeszły go ciarki — i nagle zaczęły się z niego wydobywać słowa, nie do powstrzymania, tak jak śmiertelna powódź.

- Przyszedłem na świat w skalnym zamku, w Turasie...

Lijanas przestraszyła się, kiedy tak nagle zaczął mówić, lecz potem usiadła cicho przy nim i słuchała, kiedy opowiadał o niewolnej służącej

Thieli, pól-Edari, która była jego matką, o kobiecie tak pięknej, że nawet król Haffren nie mógł się jej oprzeć, która jednak dla swego własnego syna nie miała nic prócz bicia i pogardy. Przeszedł ją dreszcz, kiedy dziwnie zmienionym głosem opowiadał, jak jego trzeciej zimy zabrali go ze stajni do kuźni Skalnego Zamku, gdzie założyli mu na szyję żelazny pierścień. Jej dłoń powędrowała ukradkiem do jego czoła, on tymczasem mówił dalej; o dniu, kiedy matka ostatecznie go przegnała, i o rumakach *ashentai*, między których kopytami sypiał od tamtej pory, aż przyłapał go koniuszy i nocą wygonił do stodoły. Skulil się, opowiadając o wojownikach, którzy pewnego dnia zabrali go z jego legowiska w sianie i wywieźli z Turasu, do garnizonu, w którym synowie panów klanu wychowywani byli na wojowników, gdzie wykluli na jego karku drugi znak — od tej pory był własnością armii, gdzie na kogoś takiego jak on czekały jedynie ciężka praca i nędza. Wsłuchiwała się w jego głos tak samo, jak w jego oddech i równe bicie serca, zatopila się w tym... Słowa pędziły po powierzchni wzburzonej rzeki jak biała piana, lecz pod spodem — znajdowały się obrazy i uczucia, zapomniane już dawno przez umysł, ale serce wciąż je pamiętało, i dusza...

Drżąc, stoi przed wysokim mężczyzną, Kessananem z dwoma honorowymi mieczami za pasem. Strach! Co teraz się ze mną stanie? Ubranie pęka na ramieniu, gdzie ma znamię. Skinienie Kessanana.

— *To on. — On? Bezłitosna ręka na karku popycha ją, wyprowadzając z domu, do konia. Wsiadanie. Jeszcze nigdy nie siedziała na koniu. Po długiej jeździe — Turas, Skalny Zamek. Dom! Niedowierzanie, radość! Trzeci pierścień twierdzy, jakiś niewolny odprowadza konia. Znowu ręka na karku. Kuźnia. Strach! — Zdzinienie! Zdejmują jej pierścień z szyi. Ręka na karku prowadzi ją do sal Kessanarów. Gorąca kąpiel — czyste błogostwienie. Czyste ubrania, buty. Coś do jedzenia: zupa, chleb, ser — nie grudkowata, zimna papka z kaszy. Znowu ten Kessanan. Jego głos jest łagodny i żywy.*

— *Jestem Wielki Mistrz Arkell. Będę cię uczył. — Arkell! To imię jest ciężkie od nienawiści i strachu. Co przychodzi później, to czysta odraza i ponury obłęd. — Smak krwi i surowego mięsa. Bezradne dtawienie. Żołądek nie chce zatrzymać tego obrzydliwego jedzenia. — Biedny, kulany pies. Karmila go czasem chlebem. Brązowe oczy patrzą na nią ufnie. Sztylet w jej dłoni! Głos Arkella:*

— *Zabij go!*

— *Nie!*

— *Bądź posłuszny! Bądź posłuszny! Bądź posłuszny!* — *te słowa jak potworne echo. — Ciemność, paraliżujący chłód. Jedna z niezliczonych nocy, które już tu spędziła, z rękoma przywiązanymi do belki leżącej nad dotkaniem na odpady. Szczury, dla których nie ma różnicy, czy mięso jest żywe, czy martwe; tylko dlatego, że znowu odważyła się zapytać - dlaczego? Bezradność i przerażenie. Łzy zamieniają się na jej policzkach w łód...*

Lijanas ocknęła się, ciężko dysząc i drżąc na całym ciele, jak ten mężczyzna pod jej palcami, jego głos brzmiał glucho, rozbijał się o słowa, wychodzące z jego ust. Czula blizny, które pejcz i inne przedmioty pozostawiły na jego ciele — i czula blizny na duszy; wypalone bezpowrotnie przez Kessananów - bez porównania głębsze niż te na ciele. Ton jego głosu zmienił się nieco, znowu rzucił na nią swój czar, wciągnął znowu pod powierzchnię rzeki...

Uczucie drogiego foliatu pod palcami. — Niezaspokojony głód wiedzy! - Duma, ponieważ umie czytać, pisać i mówić w pięciu językach; ponieważ gwiazdy są dla niej jak mapa; ponieważ zna arytmetykę. — Dźwięk asraneh, jej palce tańczą po strunach, wydobywając z nich piękno. — Dzień, kiedy po raz pierwszy pokonuje Arkella w walce mieczem. — Wyraz jego twarzy, kiedy ten pojmuje, że go przewyższyła. — Jesienny poranek, dzień, kiedy ma otrzymać miecze Kessananów. Jeszcze przed wschodem słońca zrywają ją z jej worka ze słomą, ciągną przez dziedziniec w samej koszuli. Zamęt w głowie, przerażenie zamienia się w gniew. Potrzeba pięciu Kessananów, żeby zmusić ją do kleknięcia obok kowadła; trzymają ją, kiedy na szyi znowu ładuje żelazny pierścień. Po raz pierwszy od trzech zim wraca to słowo w postaci przeraźliwego krzyku: — Dlaczego? — Miecze jej się należą! Zastużyła na nie! Jest Kessananem, a nie czcogającym się w błocie niewolnym! Wściekłość! Bezradna ogarniająca wszystko wściekłość! Wlewają jej wino makowe do gardła, by stała się uległa. Broni się, dławi, świat nykrzynia się, blaknie! — Leży na wozie, kajdany na rękach i nogach, między zębami kawałek drewna, jak wędzidło u konia! Odurzenie mija powoli i dopuszcza świadomość do głosu. Ta przynosi ze sobą gniew i jeszcze coś — strach? — Wojownicy w obozie zaciągają ją do zagrody dla niewolnych, zostawiają zakneblowaną i skutą kajdanami, aż nie ma już siły, by stawić opór; uczą ją przez głód, pragnienie i udrękę zebrać i kajac się. — Mijają dni, potem wojownicy zabierają ją z zagrody, prowadzą do pierwszego dowódcy armii króla Haffrena. — Jarat! Bezłitosny, drażliwy, szybko sięga po pejcz; człowiek, który oczekuje absolutnego postuszeństwa i karze nawet za małe błędy. Haffren podarował ją temu człowiekowi! Od tej pory

śpi w jego namiocie. Jej miejsce jest na podłodze przy środkowym słupku. Jego wymagania są wysokie, jednak nigdy nie karze bez powodu, mimo to pejcz często na nią spada. — Dni spędzone w łańcuchach przed jego namiotem, naga, zmarnięta, głodna. — Potem tamten odkrywa, że ona zna pięć języków, umie czytać, pisać, a nawet liczyć. — Nagle staje się przydatna, staje się jego sekretarzem, towarzyszy mu teraz w czasie narad z oficerami. Czasami daje jej trochę czasu tylko dla siebie. W jakiś dziwny sposób zaczyna pałać sympatią do tego człowieka, który całkowicie kontroluje jej życie; boi się pejczy i jest mu wdzięczna, kiedy kara się kończy i Jarat znowu pozwala jej przycupnąć obok swego krzesła, kiedy jego dłoń znowu głaszcząc jej głowę; kiedy słyszy — „Już dobrze, Mordanie!” — drży czasem z ulgi. Młody trybun — Jerdt — nienawisć, od pierwszego dnia, choć ona nie wie nawet, dlaczego! Jego imię, tak jak imię Arkella, splecione jest nierozdzielnie z bólem, upokorzeniem, strachem i nściętkością — i wstydem. — Wojownicy rozciągają na beczce. Jerdt, który stoi za nią, jego śmiech — jej krzyk rozbija się. — Bitwa pod Padijanan. Jarat leży uwięziony pod snym koniem, odcięty od snych ludzi. Miecz w jej ręku — to uczucie jest niesamowite. Wciąż jest Kessananem, nawet jeśli pierścień na szyi odbiera mu prawo do honoru. Kiedy przybywają wojownicy, stoi między zwłokami wrogów, miecz zbroczony jest krwią. Jarat żyje. — Prawo zabrania niewolnym brać broń do ręki. Czeka na nią śmierć. — Jerdt nie pozwala, by rzuciła się na własne ostrze. Jej koniec ma być pełen udreki. — Dni na krzyżu. Uderzenie pejczy rozcięło powiekę na lewym oku. Żelazo przypiekło jej ciało. Gorączka i ból. Jarat powinien zakończyć jej życie. Ona jest jego własnością. Jednak on cały czas jest nieprzytomny. Potem, wreszcie! Nadchodzi! Śmierć — łaska, o której zaczęła marzyć w międzyczasie. Nóż w ręku Jarata obiecuje szybkie wybanienie. Ostrze nacina jej dłoń, potem jego, Jarat chwytła jej dłoń. Głos Jarata: — Krew łączy się z krwią! Od dzisiaj ten tutaj jest moim synem! — Ciemność! Kiedy znowu się budzi, na jej szyi nie ma już żelaznego pierścienia. Jego miejsce zajmuje sznur czarnych pereł. — Żebyś nie czuł się nagi. — Jarat ma dziwne poczucie humoru. — Jarat czyni z niego trybuna, potem legata. — Ona przeczuwa, że uchronił ją przed śmiercią tylko dlatego, że jest mu potrzebna. A jako wolna jeszcze bardziej, przede wszystkim, kiedy stwierdza, że została wykształcona przez Kessananów. A mimo to iskierka nadziei, że może jest w tym coś więcej. — Gorący letni wieczór. Jarat leży na łożu śmierci, miecz przeszył mu pierś, uzdrowiciele nie są w stanie go uratować. Ona kłęczy u jego boku, Jerdt stoi za nią. Bardzo powoli Jarat zdejmuje pierścień donódcy z palca, Jerdt pochyła się. Jarat wsuwa jej pierścień na palec. Dwugłony wilk

łśni na jej dłoni. Oszołomienie przechodzące w podniecenie. — Miesiąc później Jerdt prosi o przeniesienie. Chętnie się na nie zgadza... — Rozkaz króla w jej rękach, bezsensownie okrutny. Budzi gniew i bezradność. Nie ma innej możliwości! Trzeba go wykonać, chcąc czy nie. Przerażenie wśród jej ludzi, kiedy wydaje im instrukcje. Ona wybiera, kto umrze, bez różnicy, czy to mężczyzna czy kobieta, młody czy stary; tak jak mówi rozkaz. Niezliczone ogniska rozjaśniają noc. W powietrzu słychać przeraźliwy jęgot. Dym ze stosów gryzie w oczy i nos. Ludzie błagają o życie snycych najbliższych. Matki i ojcowie ofiarują swe życie w zamian za życie snycych dzieci. Nie wolno jej tego słuchać! Wszędzie płacz i skargi. Godzina za godziną siedzi na grzbiecie Ired. Bez ruchu znosi żar bijący od ognia. Czeką, aż płomienie strawią ostatnie ciało. A potem słyszy głosy — żywi i martwi całego miasta przeklinają ją, „Bestie z Sajidarrab"... - Dni, tygodnie, w których prześladowają ją krzyki. Strach przed koszmarami nie pozwala jej spać. Znosi to wszystko jedynie z pomocą białego kujanu. Staje się niebezpieczna, nieobliczalna. Brachan żąda, by się to skończyło! Zabiera ją w góry, mała chatka na północy; piwnica w skale, postanie z siana i wełnianych koców. Ból! Ból, który rozrywa, wyraca jej wnętrze, pozbawia ją kontroli nad ciałem. Wścieka się, przeklina, grozi i przypochlebia się, na koniec żębrze o choć jedną uncję kujanu. Brachan nie zna litości. A potem wszystko mija...

Mrugając oczami, Lijanas dochodziła do siebie. Potok obrazów wysychł. Mordan leżał bez ruchu, oddychał tak szybko, jakby biegł przez wiele godzin. Zimny pot oblał jego ciało. Pod jej dłońmi drżała jego pierś, ostrożnie zabrała palce, żeby nie zauważył, że i ona drży. Nie mogła sobie przypomnieć jego słów, nie były dla niej niczym więcej jak tylko cichym szeptem, równomiernym pluskiem strumienia w tle śpiewu ptaków. A jednak...

Co ja zrobiłam? On chciał tylko opowiedzieć o sobie. A ja — Łaskawa, wybacz mi... — Jego wspomnienia stały się moimi! Ja byłam nim! Czułam zimno..., ból..., żelazny pierścień na szyi... Jego gniew był moim gniewem! Czułam jego strach! — Czy to jest moc wiedzy dusz? Czytać w duszach innych ludzi? Żyć w ich wspomnieniach? — Nie chcę jej! Łaskawa Bogini, nie chcę jej! — A on nawet nie podejrzewa, że wiem o nim to wszystko! Jak zdolałam mu jeszcze kiedyś spojrzeć w oczy?

Zawahawszy się, pochyliła się nad nim znowu. Także kiedy położyła dłoń na jego ramieniu, nie poruszył się. Wyglądało niemal tak, jakby opuściły go wszystkie siły.

A może to zła moc wiedzimy duszę mu je skradła? Czy ja mu je skradłam?

Pogłaskała go delikatnie po włosach. Wspomniała, jak to było, kiedy jej - jemu - ogolono przemocą głowę. Nagły chłód, uczucie poniżenia... Wzdrygnąwszy się, zamknęła oczy. On był „Krwawym Wilkiem”, „Bestią z Sajidarrah”, ponieważ inni go takim uczynili. Ale pod tą powłoką bezlitosnego i zimnego człowieka był jeszcze ktoś inny; mężczyzna, który kilka razy uratował jej życie — mężczyzna, którego śmiech słyszała w Cavallinie.

Powoli otworzyła znowu oczy, spojrzała na niego z góry. Jego oddech uspokoił się, zdradzając, że, dziwnie wyczerpany, zasnął. Ale cały był jeszcze zimny. Szybko przyniosła nakrycia z łóżka, przykryła go nimi starannie, położyła się przy nim i przylgnęła mocno do jego pleców, by go ogrzać. Zapach spalenizny wciąż unosił się w namiocie. Od przewróconej misy z ogniem zapalili się jeden z dywanów i najpierw ugasila ogień, nim pobiegła za nim - przekonana, że znajdzie Mordana z rękoma na gardle Jerdta. Delikatnie oparła czoło o jego kark. Sierść była niesamowicie miękka. Jerdt! Jego szydercze słowa wciąż brzmiały w jej duszy. Zagryzła zęby.

Niech dżuma dotknie twoje aroganckie gardło! Jak człowiek może nienawdzić drugiego aż tak bardzo! Przecież on ci nigdy nic nie zrobił!

Pod palcami poczuła, jak pierś Mordana wydeła się w głębokim oddechu. Powoli znikало napięcie w jego członkach. Mruczał coś niezrozumiale przez sen i jego dłoń legła na jej dłoni. Ostrożnie, by go nie obudzić, przytulila się mocniej do niego i zamknęła oczy, wsłuchując się w jego oddech. Niedługo potem zasnęła.

Rano obudziła się w łóżku, nie wiedząc, jak się tam znalazła. Namiot był pusty. Na stole czekały na nią ciepła woda do mycia i wystawne śniadanie - obok oparta była *asraneh*. Rozety zostały naprawione lub wymienione, rysy zniknęły. Miała wszystkie struny. Lijanas szybko wygramolila się z łóżka i sięgnęła, niemal z namaszczeniem, po instrument. Kiedyś często grał na tym instrumencie, zanim... — zaciśnęła usta — zanim Jerdt złamał mu rękę. Dlaczego kazał ją akurat teraz wyszykować? Szuranie u kłapy namiotu, a w następnej chwili weszła legatka Feniara, nie czekając na „proszę wejść!”. Uzdrowicielka natychmiast zmarszczyła niechętnie czoło.

— Jeszcze się nie ubraliście? Pospieszcie się! Konie są już osiodlane! Dowódca czeka na was! — rzuciła spojrzenie na *asraneh* w jej ręku. — Jak widzę, znaleźliście wasz prezent!

— Prezent? — powtórzyła z niedowierzaniem.

— Tak, prezent. Dowódca kazał wyszykować ją dla was. Mówi, że nie gra już na niej, dlatego wy macie ją otrzymać. Posłaniec zawiezie ją wam do Turasu, żebyście mogli ją stamtąd zabrać do domu.

Lijanas patrzyła oszołomiona na błyszczące struny i misterne ornamenty schallrosetten.

On nie może mi jej podarować! On kocha ten instrument! To niemożliwe!

— Nie mogę jej przyjąć!

Legatka pokręciła głową.

— Oczywiście, że możecie! Kiedy on mówi, że to dla was, to należy do was — i nie przyjmie jej z powrotem. Prędzej rozbije ją na waszych oczach. Nie patrzcie z takim przerażeniem! Znam go dobrze. Możecie mi więc śmiało wierzyć — machnęła rękoma, jakby chciała przegonić kurę. — No już! Pospieszcie się!

Lijanas szybko wykonała polecenie. Kiedy chwilę później wyszła przed namiot, trzymając jeszcze w rękę resztkę chleba z pieczenią, Ired faktycznie stała osiodłana na placu. W pierwszej chwili była rozczarowana, bo przecież Mordan zamierzał dać jej własnego konia, jednak potem spostrzegła nakrapiany, szary zad, wystający zza klaczy. Szybko polknęła chleb z pieczenią i podeszła do koni. Ukryty za *ashentai* stał tam faktycznie siwek, który obrócił z zaciekawieniem łeb, kiedy zbliżyła się do niego. Nie powiedziała by że to zwierzę jest ładne - jego głowa wyglądała na zbyt dużą, a krótka grzywa sterczała jak kolce we wszystkie strony. Jednak potarł łagodnie łeb o jej ramię i dał się podrapać po czole. Szarpnięcie przy siodle — uderzył spłoszony ogonem, w następnej chwili wyszedł z za niego Mordan - i zastygł, stanąwszy naprzeciw Lijanas. Na jego brodzie widniał krwiak wielkości dłoni, który nadawał mu aroganckiego wyglądu. Nie chciała sobie nawet wyobrażać, jak musiał wyglądać Jerdt. Bezradne milczenie zapadło między nimi i trwało niemal wieczność, potem spuścił wzrok, wymamrotał pozdrowienie i kontynuował kontrolę siodła. Bez słowa zrobiła mu miejsce, kiedy zabrał się za uzdę; nie miała odwagi odezwać się do niego.

Dlaczego on na mnie nie patrzy? Ze wstydu? — Och Łaskawa, gdyby miał pojęcie, co o nim wiem...

Jego milczenie było nie do zniesienia.

— Dziękuję! Za *asraneb!* Nie spodziewałam się... Jest przepiękna.

Odpowiedział jej krótkim skinieniem głowy, ściągając ramię wędzidła.

- Jak on się nazywa? - Lijanas nie chciała odpuścić.

Podniósł wzrok, spojrzął na konia, potem znowu na nią, wzruszył ramionami.

- Nie ma imienia!

— Mogę go jakoś nazwać?

Podeszła blisko niego, położyła dłoń na chrapach zwierzęcia.

- Jeśli macie ochotę... — powiedział, po czym zostawił ją, zajmwszy się Ired i jej bagażem. Lijanas oparła czoło o czoło konia. Chciało jej się płakać.

Podniosła wzrok, kiedy obok niej pojawił się Brachan i powiedział, że przy siodle ma bukłak z wodą i torbę z prowiantem. W jukach były czyste ubrania na zmianę i przybory do mycia oraz małe lusterko. Potem wyciągnął worek, w którym coś postukiwało. Kiedy go otworzył, ukazało się kilka glinianych naczyń pozamykanych płótnem nasączonym woskiem i cienkimi rzemykami, opisanych w jej języku: balsam gojący, środek na ból i gorączkę, nalewka, pomagająca przy oparzeniach, i paski czystej tkaniny do bandażowania rany. Z wdzięcznością obserwowała, jak Brachan z powrotem wszystko chował. Nie było tego dużo, ale lepsze to niż nic. I będzie mogła zmienić Mordanowi opatrunek, jeśli zajdzie taka potrzeba. Po raz kolejny zateęskniła za swoją apteczką. Za jej siodłem przytroczone były zwinięte skóry na posłanie, na tym zwiśla płaszcz.

Potem siwowłosy wojownik splótł dłonie, by pomóc jej wsiąść. Zawahala się.

— Czy... wiecie, co księciem Ahmeerem? — odważyła się zapytać.

Brachan spojrzął na nią.

— Chcecie wiedzieć, czy już został złapany? O ile wiem, nie. Podobno ukradł konia. Ale Jerdt rozpoczął w nocy pościg, a zazwyczaj dostaje swój łup. Wsiadajcie.

Siedzenie na grzbiecie końskim w spodniach i butach, było zdecydowanie przyjemniejsze niż w długiej sukni.

Jeszcze sadowiła się w siodle, kiedy do jej uszu dobiegła czyjaś wymiana zdań — mężczyźni rozmawiali półszepem. Podniosła wzrok. Brachan przemawiał podniesionym głosem do Mordana, który właśnie zarzucał cugle Ired na jej szyję, wskazując najpierw na siebie, potem na Raulena, który na jego słowa wystąpił do przodu i kiwnął na poparcie tych słów. W od-

powiedzi czarnowłosy wojownik pokręcił niechętnie głową, wskazując na starego wojownika, a potem na obóz — i w końcu w kierunku, gdzie stał namiot Jerdta. Raulen najwyraźniej zaczął protestować, jednak Mordan przerwał mu krótkim gestem, i kiedy przemówił tym razem, jego ton był twardy i zdecydowany. Najwyraźniej wydał rozkaz, ponieważ obaj mężczyźni uderzyli pięścią w pierś i cofnęli się, gdy Mordan wsiadał na grzbiet Ired. Choć ich miny były zupełnie bez wyrazu, zdawało się, że nie aprobują jego instrukcji.

Nie spojrzawszy już na Brachana i Raulena, podprowadził swego *ashentai* do jej siwka.

— Jesteście gotowi, Lijanas?

— Oczywiście! Ale... — zaskoczona odwróciła się na wpół do starego wojownika, który wciąż jeszcze stał obok kapitana straży przybocznej. - Myślałam, że Brachan jedzie z nami.

Mordan pokręcił głową.

— Brachan jest potrzebny tutaj! — oznajmił jej niechętnie i nagle Lijanas pojęła, co było tematem rozmowy, której była świadkiem. Przygryzła wargę. Cokolwiek skłoniło go do tej decyzji, nie zmieni jej, skoro nawet Brachanowi nie udało się go przekonać. Ruszyła w milczeniu za Mordanem i klusem opuścili obóz wojskowy Kierów.

Od kiedy znaleźli zwłoki, trzymali broń w pogotowiu. Równie czujnie jak jej ludzie, Eliazanar wodziła wzrokiem po skalnych ścianach, szukając jakiegoś znaku, że są obserwowani. Ze złością zacisnęła pięść na udzie. Najwyraźniej księżę Ahmeer próbował, wbrew jej radom, sam zmierzyć się z „Krwawym Wilkiem”, za co zapłacili jego ludzie. A pierwszy dowódca Haffrena nie zmarnował okazji, i wziął tego młodego głupca w niewolę. Pokręciła głową i poprowadziła konia między dwiema skałami, w górę małego zbocza. W Cavallinie dowiedziała się od niejakiego kapitana Uladha, że „Krwawy Wilk” przebywał ze swym jeńcem w tym mieście dobre pół miesiąca. Udawał, że uzdrowicielka jest jego żoną i, co dziwne, ta mała przez cały czas ani razu nie zaprzeczyła temu otwarcie, ani nikomu nie zwierzyła się w tajemnicy. Mimo że, jak się zdawało, niejednokrotnie miała ku temu okazję. Na jej ustach zadrgał uśmiech. Wprawdzie zawsze była przekonana, że Mordan zazwyczaj nie bierze kobiet do swego łoża,

ale może w przypadku tej małej zrobił wyjątek. Bądź co bądź, przez cały ten czas dzielili jeden pokój i jedno łóżko, o czym dowiedziała się od właścicielki gospody, w której Kierowie się zatrzymali. Lecz nawet, jeśli ta mała była wciąż jeszcze dziewicą, to po całej tej historii nie może być mowy, by została żoną księcia Ahmeera. Cóż, nawet jako jego konkubina mogłaby wieść całkiem przyjemne życie. A gdyby to ona podarowała mu pierwszego syna, nie miałoby znaczenia, czy jest jego żoną, czy nie. W Astracharze, w przypadku sukcesji, nie miało znaczenia, czy ktoś był z prawego łoża. Wszystko, co się liczyło, to być pierworodnym synem księcia. A jako matce następcy tronu przysługiwałyby jej wszystkie prawa oraz godność małżonki.

Eliazanar poprawiła się w siodle. Co będzie z tą małą, kiedy znowu znajdzie się w Anscharze, to już nie jej problem. Po raz kolejny wychyliła się z siodła swego konia, przyglądając śladom, które zostawili „Krwawy Wilk” i jego ludzie. Dziwne! Z tego, co dowiedziała się w Cavallinie, Kierów było pięciu. Ale te ślady wskazywały wyraźnie na znacznie więcej ludzi, z których większa część była pieszo. Czy spotkał się w górach z inną grupą swych wojowników? Może to była jego straż przyboczna? Parsknęła. Mając przy sobie swych ludzi, „Krwawy Wilk” nie potrzebował swej straży przybocznej. Na jej ustach pojawił się uśmiech. Ten człowiek w ogóle nie potrzebował straży przybocznej. Wśród Kierów nie było większego wojownika i nawet wśród jej własnych ludzi nie znalazłby się nikt, kto mógłby mu dorównać, nawet ona sama. Już wiele razy obserwowała go z daleka podczas walki... Widok zapierający dech w piersiach! Elegancki! Piękny! Śmiertelny! „Krwawy Wilk” był przeciwnikiem, wobec którego czuła respekt - mimo że był jej wrogiem. Uśmiech zniknął. Z tego, co wiedziała, można polegać na jego słowie, co do czego miała wiele wątpliwości w przypadku swoich ludzi.

Nad nią rozległ się krzyk. Wysłała kilku ludzi wyżej w góry, by rozejrzeli się stamtąd. Teraz podeszli do niej powoli, prowadząc między sobą człowieka, który najwyraźniej nie mógł sam ani iść, ani nawet stać. Położyli go ostrożnie na ziemi przy dużym bloku skalnym.

- Dajcie mu wody! Szybko!

Zsiadła z konia i podbiegła do niego. Okazało się, że jest to jeden z ludzi, których dała księciu Ahmeerowi. Mężczyzna był w okropnym stanie. Chciwie pił wodę, podaną mu przez jednego z towarzyszy, i opowiadał bez tchu: że znaleźli uzdrowicielkę, samą. Że nagle napadli na

nich wojownicy Kier, że oprócz księcia i uzdrowicielki przeżyli tylko on i dwaj inni jego towarzysze, i zostali wzięci do niewoli. Lecz kiedy opisał wojownika, który dowodził Kierami, Eliazanar była zaskoczona. Nie „Krwawy Wilk” przypuścił atak, a drugi dowódca armii Jerdt. Co robili w tej okolicy dwaj najpotężniejsi ludzie po królu Haffrenie — i to w tym samym czasie? Zazwyczaj dowódcy armii Kierów nie współpracowali tak blisko ze sobą, czym można by było wytłumaczyć ich wspólne pojawienie się tutaj. Na pytanie, czy widział „Krwawego Wilka”, wyczerpany mężczyzna pokręcił głową. Opowiadał dalej, że prowadzono ich na zachód i że udało mu się uciec jedynie dlatego, że uzdrowicielka odważyła się przeciąć im więzy. Jednak ucieczka udała się tylko jemu. A krótko po tym, jak zbiegł, słyszał okropne krzyki uzdrowicielki.

Eliazanar okazała mu, że jest z niego zadowolona, i podniosła się. Spragniony mężczyzna znowu chwycił bukłak z wodą. A więc Jerdt, a nie „Krwawy Wilk”. Oparła stopę na skale. Słyszała kilka nieprzyjemnych historii na temat drugiego dowódcy armii Haffrena. Nie podobało jej się, że książę znajdował się akurat w jego rękach.

Podniosła wzrok, usłyszawszy tętent koni. Jeden z jej tropicieli wypadł galopem spośród skal, zatrzymując swego zlanego potem konia przed nią tak nagle, że zwierzęciu ugięły się tylne nogi i zarżało.

— Chodźcie szybko, dowódczyni! Musicie to zobaczyć! - wysapał.

Eliazanar wskoczyła na konia i ruszyła za nim.



Rozzloszczona Lijanas wpatrywała się w plecy Mordana. Unikał jej! Była z nim sama, ale - *na łaskę Bogini* - faktycznie udawało mu się jej unikać. Nigdy do tej pory nie był zmieszany z jakiegoś blahego powodu, a teraz co chwilę zaglądał do koni albo szukał więcej drewna do ogniska. Jednocześnie krążył wokół niej tak czujnie, jak wilk wokół swego młodego. Po burzliwej kłótni pozwolił jej trzymać wartę przez pierwsze godziny po zachodzie słońca, by mógł choć trochę odpocząć. Jego rana nawet po trzech dniach nie wykazywała żadnych oznak poprawy. I mimo że od tamtej pory każdego wieczora po prostym posiłku zawijał się w swe futra i wyglądało na to, że zasypiał już po krótkim czasie, Lijanas nie mogła się pozbyć wrażenia, że nawet wtedy wsłuchiwał się w każdy szelest.

Potrząsnęła cugłami i cmoknęła na konia, żeby zmniejszył dystans do kłusującego przed nim *ashentai*. Cały czas jechali przez opuszczoną, górzystą krainę, gdzie oprócz nich zdawało się nie być ani żywej duszy.

Choć Mordan miał wzgląd na siły jej siwka, to od początku narzucił szybkie tempo, tak że większość czasu jechali klusem albo lekkim galopem. Lijanas musiała przyznać przed sobą, że już dość długo nie siedziała sama na grzbiecie końskim — z wyjątkiem tych krótkich przejażdżek na grzbiecie Ired w Dolinie Darachnaru - i że zupełnie inaczej siedziało się przed kimś w siodle, a inaczej samemu prowadziło konia. Mimo że powoli przyzwyczaiła się do siodła, a jej koń poruszał się dość miękko, czuła każdy mięsień swych nóg. Westchnęła cicho i spojrzała znowu na Mordana, który odwiązał właśnie swój bukłak od siodła i wypił kilka łyków.

Tego dnia, kiedy we dwoje opuścili obóz, udało się przekonać Mordana, by pokazał jej swą ranę dopiero, kiedy rozbili obozowisko na noc. W milczeniu pozwolił, by zdjęła opatrunek, i dopiero po tuzinie

natarczywych pytań przyznał wreszcie, że rana otworzyła się prawdopodobnie już podczas walki na miecze z Jerdtem. Bójka w jego namiocie oczywiście też się do tego przyczyniła. Powinien leżeć w łóżku, a nie siedzieć na grzbiecie konia!

Właśnie dotarli do jakiegoś wzniesienia, kiedy Mordan zatrzymał Ired. Ona zatrzymała swego konia obok i podążyła za jego wzrokiem

— Preria! — oznajmił, skrzyżował nadgarstki na łęku siodła i pochylił się do przodu. - A ściana mgły w tle skrywa góry po drugiej stronie Wąwozu Kassen. Najpóźniej jutro wieczorem powinniśmy dotrzeć do łuku mostu. Tam czekają na nas Eren i Levan.

Spojrzał na nią z boku, zaraz jednak odwrócił wzrok i skierował go znowu na równinę. Wysokie na krok, połyskujące srebrzyście i złociście kępki trawy, z których wyrastały purpurowe trzcinniki, wystawały z bladej, piaszczystej gleby i poruszały się, szumiąc niesamowicie na wietrze, który je cały czas muskał. Zdawało się, że w powietrzu było słyhać szepty i szmery. Lijanas wzdrygnęła się i podciągnęła ramiona, pędząc swego konia za Mordanem, w dół wzniesienia. Szepty i szmery stawały się coraz głośniejsze.

W milczeniu siedziała na skórach zwierzęcych, ze skrzyżowanymi nogami, nadgarstkami spoczywającymi luźno na kolanach, wdychała głęboko dym ziół, które chwilę przedtem wrzuciła do ognia, i wsłuchiwała się w szepot wiatru. W końcu chwyciła swój kij i wstała. Sługa Hathenana przybył, by skraść Łzy Białej Żmii. Z nim podróżowała ta, która była z krwi Żmii. Wojownicy nie będą musieli długo czekać. Nim słońce po-caluje niebo drugiego poranka, piasek wypije jego krew.

Wyglądało na to, że szepty i szmery nasiliły się wraz z zachodem słońca. A teraz, kiedy ciemność pochyliła się nad prerią, miała wrażenie, że słyszy te szepty tuż przy uchu. Spojrzała w stronę Mordana, który przykucnął po drugiej stronie ogniska, pilnując, by dwa suche króliki, które upolował późnym popołudniem, nie spaliły się.

Rozbili swój nocny obóz rym razem pod osłoną potężnych błędnych skal. Ich posłania leżały blisko jednego ze skalnych kamieni, który chronił

ich przed zimnymi podmuchami wiatru, powodującymi, że trawa co chwila szeleściła i falowała. Już wiele razy wydawało jej się, że widzi kątem oka jakiś ruch. Lecz za każdym razem, gdy gwałtownie się odwracała, nie było tam nic prócz falującej trawy i trzcinników. Tajemnicze cienie, które sprawiały, że migoczące płomienie ogniska wyglądały, jakby żyły, nie poprawiały sytuacji. Lijanas owinęła się dokładniej kocem, a lekkie skrobanie pod tuniką przypomniało jej o strupie na plecach. Tęskniła za gorącą kąpielą, która pomogłaby odmoczyć strup i pozbyć się go. Po drugiej stronie ogniska dało się słyszeć trzask — Lijanas drgnęła. Także Mordan podniósł czujnie głowę, sięgając ręką po swój miecz, jednak to był tylko jej siwek, któremu najwyraźniej nie wystarczyła wieczorna porcja otrebów i który zajął się ostrymi źdźbłami trawy, jakby miał nadzieję, że uda mu się z nich wydobyć tajemnicę, w jaki sposób można je jednak zjeść. Ired stała kilka kroków dalej, z dumnie uniesionym łbem, pozwalając, by wiatr rozwiewał jej grzywę i ogon. W świetle trzech księżyców jej sierść lśniła jak nocne niebo. Mordan pozwolił *asbentai* spacerować na luznym powrozie, tylko jej koniowi założył pęta na nogi, żeby nie uciekł. W milczeniu przyglądała się, jak Mordan po raz kolejny przekręcił zające na rożnie, usiadł potem na swoim posłaniu, krzyżując nogi, i zamyślony patrzył w ogień. Jak zwykle jego *kereshtai* leżał w zasięgu jego ręki — i jak zwykle w ciągu ostatnich dni milczał i unikał jej spojrzenia.

To było po prostu nie do zniesienia, jak coraz bardziej zamykał się w sobie! Podniosła się zdecydowanie, okrążyła ognisko i stanęła przed nim. Podniósł na chwilę wzrok, nie zamierzał jednak przesunąć się na skórach w bok i zaprosić jej, by usiadła. Mimo to zrobiła to — a on odsunął się oczywiście. W milczeniu siedzieli obok siebie i patrzyli w ogień.

- To nie ma dla mnie znaczenia — powiedziała cicho Lijanas w pewnym momencie, przerywając ciszę.

Spojrzał na nią czujnie.

- Co?

Ostry podmuch wiatru znalazł sobie jakoś drogę wśród skał, płomienie zadrgały, na kamieniach pojawiły się powykrzywiane cienie, trawa obudziła się do życia i zaczęła śmiać się i szeptać.

- Że przyszlście na świat jako niewolni. Wiedziałam o tym, nim Jerdt...

Gwałtownie odwrócił od niej wzrok, utkwił go znowu w ognisku. Lijanas zamilkła.

Proszę! Porozmawiaj ze mną! Nie można tak dalej!

Wyłowila z płomieni cienki patyk, by mieć przynajmniej coś, czego mogły się przytrzymać jej dłonie. Z jego zwęglanego czubka unosił się w niebo bladą spiralą dym.

- Skąd o tym wiedzieliście?

Jak mogła mu powiedzieć, że widziała to w jego wspomnieniach... Lijanas przygryzła wargę.

- W Cavallinie zwróciłam uwagę na znaki na waszym karku, kiedy nastawiałam wam bark. A w obozie widziałam takie same znaki u niewolnych.

Zaśmiał się szorstko, nadal patrząc przed siebie. Milczenie spoczęło na nich znowu całym swym ciężarem.

- Niewolny jest wart mniej niż pies.

Lijanas potrzebowała kilku chwil, by dotarło do niej, że te ciche słowa faktycznie wydobyły się z jego ust, a nie był to wiatr, który z niej drwił. Zdecydowanym ruchem pokręciła głową.

- Darowano wam wolność! Jesteście pierwszym dowódcą armii!

- A mimo to zawsze będzie to widać!

- W jaki sposób? Nie macie już na szyi żelaznego pierścienia, wasze włosy są tak długie jak włosy każdego innego Kiera... - zamilkła, kiedy nagle wyciągnął ze swego kucyka trzy warkoczyki i pokazał jej, jakby z oskarżeniem.

- Widzicie to? Wolno mi nosić brąz wojownika, paloną czerwień pierwszego dowódcy — odrzucił pierwsze dwa warkoczyki na ramię. Jego palce ujęły trzeci, bez wstążki. — Ale nie noszę barwy klanu! Ponieważ urodziłem się w niewoli! - puścił także ten ostatni warkoczyk. - To piętno zostanie! Na zawsze! - wyrzucił gorzko, nim znowu zwrócił się w stronę ognia i pogрузzył w swym milczeniu.

Przez krótką chwilę siedziała obok niego bez ruchu, przyglądając mu się, potem przymrużyła oczy.

- A co z Jerdtem?

Spojrzał na nią podejrzliwie.

- Jerdtem?

- Tak, Jerdtem. Skąd on pochodzi? Chodzi mi o to, kim są jego rodzice?

- Jego ojciec jest jednym z naczelnych klanu Mardera. Poza nim nie ma potomków.

Żdźbła trawy zaszeptaly.

— Dobrze, Jerdt jest więc wysoko urodzony. To teraz posłuchajcie mnie bardzo uważnie, Mordanie, Kierze! Może zrozumiecie wtedy, co sędzę na temat tej waszej gadaniny o urodzeniu się niewolnym, o byciu bezwartościowym i o tym, że zostaje piętno, bez potrzeby wbijania wam tego do waszej dumnej czaszki — patyk uniósł się groźnie przed jego oczami. - Temu tak szlachetnie urodzonemu Jerdtowi — niemalże splunęła, wypowiadając to imię - nie powierzyłabym nawet tego kawałka drewna. Ale wam — przytknęła patyk do jego piersi — zawierzam wam już od kilku dni moje życie! I jak? Czy widzicie różnicę?

Przez długą chwilę po prostu na nią patrzył, potem jego dłoń spoczęła na jej dłoni. Lijanas śledziła wzrokiem, wstrzymawszy oddech, jak ostrożnie rozchylił jej palce, wyjął jej patyk z dłoni, a potem zaczął się przyglądać liniom dłoni, jakby chciał coś z nich wyczytać — luski, które rozprzestrzeniły się już do palców, zaślniły w świetle księżyca — nim powoli pochylił głowę nad jej dłonią - a w następnej chwili zerwał się z *kereshtai* w rękę, wpatrując się czujnie w ciemność.

— Co... — zaczęła Lijanas, lecz on, krótkim gestem nakazał jej milczenie, nasłuchując z przechyloną na bok głową. Szybko zadeptał ognisko — zające wpadły w popiół — podniósł ją ze swych skór, trzymając za rękę, i pchnął w szczelinę między skalami.

— Nie ruszajcie się! Ani słowa! Bez względu na to, co się stanie! - syknął, a potem zniknął z obnażonym mieczem w dłoni.

Nadpełzła cisza, spowijając opuszczone obozowisko. Skala za jej plecami była zimna. Mało brakowało, a krzyknęłaby ze strachu, kiedy mały kamyk sturlał się jakąś szczeliną z góry, stukocząc cicho, i trafił ją w ramię. Nad nią ktoś był? Kto? Mordan? Przycisnąwszy kostki palców do ust, próbowała oddychać powoli. Wydawało jej się, że poczuła jakiś dotyk we włosach. Zobaczyła w duchu obrazy łączących po niej pajaków albo podobnych zwierząt. Czowała obrzydzenie w gardle. Szybko przeciągnęła ręką po włosach, potem znowu się skuliła. Jej ciężki oddech muskał jej palce. Ktokolwiek był tam, na zewnątrz, musiał to słyszeć. Cichy chrzęst butów na kamieniu. Chciała sprawdzić, co się dzieje poza jej kryjówką, wychyliła się ze szczeliny. Czy tam nie poruszały się jakieś cienie? Znowu skrobanie. Kiedy kolejny raz zamknęła powieki, stał uderzyła o stal, rozległ się przeraźliwy krzyk, coś spadło ciężko ze skały, uderzając glucho w piasek. Na ułamek oddechu znowu zapanowała zupełna cisza, potem miała wrażenie, że nad jej głową

rozpętała się burza. Szczęk broni, dźwięki pełne bólu, odgłos wielu par butów... Nagle ktoś wylądował przed jej kryjówką na ziemi, Lijanas cofnęła się przestraszona, rozpoznała Mordana, który zbiegł ze skały — i zatrzymał się nagle w pół kroku, kiedy z ciemności wylonily się przed nim cienie — mężczyźni z mieczami i włóczniami. Obejrzał się do tyłu, jednak tam już zeskakiwała ze skał grupa kolejnych postaci. Krąg obcych wojowników zamykał się nieubłaganie wokół niego. Lijanas doliczyła się około tuzina uzbrojonych ludzi. Gdzieś z lewej strony rozległo się przenikliwe rżenie. Nad głową znowu usłyszała kroki. Wstrzymała oddech. Na skalach czekało jeszcze więcej wojowników. A potem mężczyźni ruszyli. Z bronią w rękę podchodzili powoli do Mordana. Widziała, jak wyszczerzył groźnie zęby i podniósł *kereshtai* — potem jego ostrze zamieniło się w błyskawicę polyskującą w świetle księżyca, w rękę cienia, który ożył. To on zaatakował wojowników, on na nich ruszył, choć uwięziony był w ich kręgu. Przez chwilę obcy wyglądali na zaskoczonych, jednak potem rzucili się na niego. Odgłosy walki tętnily w powietrzu zmieszane ze zdyszanyimi oddechami i krzykami; jeden wojownik upadł na ziemię, inny cofnął się. Zobaczyła, jak Mordan odrzucił jakiś miecz w bok i jednocześnie chwycił za ostrze czyjaś włócznię i przyciągnął jej właściciela do siebie, po czym pchnął go na ludzi stojących za jego plecami. Kilkoma szerokimi, silnymi machnięciami miecza zmusił wojowników, by się cofnęli na chwilę, zyskując w ten sposób trochę przestrzeni, nim znowu zaczęli na niego napierać. Jednego *kereshtai* trafił w ramię, drugiego Mordan kopnął w pierś, tak że tamten zatoczył się w tył, po czym wyrwał swój miecz, uniknął ciosu trzeciego i zablokował miecz czwartego, który o mały włos trafiłby go w udo. Lecz choć szalał wśród tych ludzi, nie było wątpliwości, jak zakończy się ta walka. Lijanas zobaczyła, jak odparł cios skierowany w głowę, odepchnął mężczyznę, który go zaatakował — i skrzywił się. Wiedziała, co to oznaczało: rana w jego boku... Najwyraźniej nie uszło to także uwadze obcych, ponieważ zaczęli mocniej na niego napierać. Jej wzrok powędrował ku posłaniu Mordana. Zacisnąwszy usta, zawahała się na krótką chwilę, wyskoczyła ze szczeliny nad nią rozległy się zaskoczone okrzyki — porwała pochwę z dwoma bliźniaczymi mieczami, która leżała niezauważona obok jego siodła, i rzuciła się z głośnym okrzykiem na walczących. Zobaczyła, jak Mordan podniósł głowę, dostrzegła gniew na jego twarzy, że zlekceważyła jego rozkaz, jednak w tej samej chwili kilku wojowników napierających na niego, odwróciło się z zaskoczeniem. Rzuciła się w powstałą lukę, mało brakowało a sama

nabilaby się na miecz. Czyjaś dłoń chwyciła ją za włosy — krzyknęła, cisnęła mężczyźnie pochwę od mieczy w twarz, szarpnąwszy, uwolniła się i zawyla z bólu, ponieważ długie pasemka zostały w jego ręku. Jeden z wojowników chwycił jej tunikę, odciągnął ją do tyłu. Jedyne kątem oka widziała, jak Mordan ruszył na nich z wściekłym rykiem; rzuciła się w jego stronę, tunika pękła, Lijanas uderzyła w jego pierś — udało mu się utrzymać równowagę tylko dzięki temu, że zrobił dwa kroki w tył. Jego ręka chwyciła ją za kark, pchnęła na kolana; czuła, jak paznokcie Mordana rysują jej skórę, potem chwycił większy z mieczy i wyciągnął go z pochwy, którą cały czas trzymała w objęciach. Dopiero teraz Lijanas zdała sobie sprawę z panującej ciszy. Wojownicy stali bez ruchu, wpatrzeni w nią - wyglądali na oszołomionych. Rozerwana tunika obnażyła jej ramiona i skórę połyskującą srebrzysto-biało w blasku księżyca. Wśród ludzi przeszedł cichy szmer. Nad sobą słyszała ciężki oddech Mordana i odważyła się spojrzeć szybko na niego. To wystarczyło, by nie dłuższej niż mgnienie oka, poczuć jego wściekłość.

- Co to miało być? - syknął wściekle, kręcąc się powoli wokół niej, by nie stracić z oka żadnego z przeciwników. W świetle księżyca błyszczwały jego szpony.

- Chciałam...

- Co chcieliście? Czy choć raz nie mogliście zrobić tego, co powiedziałem?!

- Oni by was zabili!

- Głupia kobieto! Teraz umrzemy obydwójce!

Wyprostowała się trochę, chcąc zaprotestować, ale popchnął ją tak, że wylądowała na czworakach.

- Kucnijcie! Posłuchajcie chociaż teraz!

Przestraszona skuliła się. Krąg wojowników otworzył się, by zrobić miejsce kolejnemu mężczyźnie. To musiał być jeden z tych obcych, którzy stali na skalach, nad jej kryjówką. Powiedział coś do Mordana, wykonał gest, jakby kładł swój miecz na ziemi.

- Czego on chce? - odważyła się spytać.

- Nie rozumiem go - Mordan jedynie burknął.

Wojownik powtórzył gest.

- Najwyraźniej mam odłożyć miecze. Ale nic z tego nie będzie — pokręcił zdecydowanie głową, szukając lepszego oparcia dla nóg.

Obcy podniósł uspokajająco ręce, wskazując na Lijanas, potem na Mordana, powtórzył swój uspokajający gest, próbując znowu skłonić Kiera,

by odłożył swą broń na ziemię. Tak jak za pierwszym razem, Mordan pokręcił głową.

— Żebyście potem po prostu podcięli nam gardła? Nigdy! — prychnął, choć ci ludzie i tak nie mogli zrozumieć jego słów.

— Może faktycznie nie chcą nam nic zrobić.

Obcy wyglądali, jakby się naradzali; ten wojownik, który był najwyraźniej ich przywódcą, wydał rozkaz. Krąg zwiększył się, kiedy ludzie się cofnęli. Nagle dało się słyszeć w powietrzu cichy świst, stojący za nią Mordan odwrócił się, jego buty poderwały piasek, który wpadł jej do oczu i ust. Usłyszała, jak zawył wściekle, potem przewrócił się nagle w bok, padł na kolana, poderwał się znowu, aby zatoczyć się w drugą stronę. Lijanas złapano nieoczekiwanie i odciągnięto od niego. Trzymali ją dwaj mężczyźni, kopała ich, piszczała, próbowała wykręcić się z ich rąk, przyglądając się jednocześnie bezradnie, jak krąg wojowników znowu zacieśnia się wokół Mordana. Jak na dzikie zwierzę zarzucili na niego kilka lin, które przyciskały mu ręce do ciała. Widziała, jak ostrze *kereshtai* poruszyło się w jego ręce, przeciął jeden z mocno już napiętych rzemieni, dwie kolejne liny spadły na niego, pętla zsunęła mu się z ramion, zaciskając się na jego gardle, mocne pociągnięcie powaliło go ostatecznie z nóg, upadł ciężko na bok, przy którym nosił *kereshtai*. Szczercząc zęby, próbował stanąć na nogi, mimo więzów udało mu się już podnieść na kolana, kiedy jeden z wojowników uderzył go od tyłu. Bez życia padł na ziemię.

Lijanas krzyknęła przeraźliwie i rzuciła się do przodu, trzymana nadal przez dwóch ludzi. Nie udało się jej wyrwać.

Laskawa, nie pozwól, żeby umarli

Obcy pochylili się nad Mordanem, związali mu ręce na plecach, owinęli mu jeszcze jednym rzemieniem ramiona i klatkę piersiową, podczas gdy ich przywódca niemal bogobojnie podniósł z ziemi *kereshtai*.

Nie wiązaliby go, gdyby był martwy.

Lijanas wykręciła bezsilnie nadgarstki, by się wyswobodzić. Jakby na potwierdzenie jej nadziei, Mordan poruszył się właśnie na piasku. Jeden z wojowników przyłożył mu włócznię do gardła i znowu leżał bez ruchu.

Przestała się bronić, kiedy przywódca podszedł do niej, wsuwając przy tym *kereshtai* do pochwy, którą również podniósł z ziemi. Po raz pierwszy dokładnie przyjrzała się obcym. Odziani byli w jasne skóry, w ich długi plaszcz włosów wplecione były na wysokości ramion perły i muszle, które, uderzając o siebie, wydawały podobny dźwięk, jaki wiatr wydobywał ze

źdźbel trawy. Ich skóra wyglądała w świetle księżycy dziwnie szaro. Górna część ich twarzy wymalowana była purpurową farbą, tak że wyglądało to, jakby mieli maski. Policzki i broda ozdobione były kreskami tego samego koloru. Wojownik pozwolił, by im się przyjrzała, znowu uczynił uspokajający gest, schylił się i zaczął uważnie przyglądać się połyskującym bialo-srebrno łuskom na jej ramieniu — a potem poklonił się przed nią z szacunkiem. Patrzyła na niego z niedowierzaniem. — *Co tu się dzieje? Dlaczego on jest nagle taki uprzejmy? Z powodu łusek na mojej skórze? To śmieszne!* - Powiedział coś do wojowników, którzy ją trzymali, na co ci puścili ją, zrobili krok w tył i również się uklonili. Spojrzała na niego podejrzliwie, potem zerknęła na Mordana. Podążył za jej wzrokiem, marszcząc z namysłem czoło, coś do niej powiedział. Lijanas pokręciła głową, próbując dać mu do zrozumienia, że nie zna jego języka. Wciąż ze zmarszczonym czołem wskazał z naciskiem na leżące wciąż na ziemi Kiera, a następnie na nią. Kiedy tym razem przemówił, zdawało jej się, że zrozumiała słowo „*cogen*”. Brzmiało jak pytanie. Przez chwilę wydawało jej się dziwnie znajome, jednak potem pokręciła głową. Nie, nie wiedziała, czego ten wojownik od niej chciał. Jego ciemne oczy przyjrzały się jej raz jeszcze, potem spojrzał znów na Mordana - i ku jej zaskoczeniu, dał jej do ręki *keresbtai*, nim znowu uczynił ten uspokajający gest. Lijanas kiwnęła powoli głową. Tak, rozumiała! Jeśli nie będą się opierać, nic im się nie stanie. Spojrzała w stronę Mordana, zauważyła, że ten ją obserwuje. Powoli przeszła obok przywódcy obcych, nie spuszczać go z oka, zbliżała się, krok po kroku, do czarnowłosego wojownika, wreszcie klęknęła przy nim. Obcy wojownik gestem dał jej do zrozumienia, że zgadza się na to, co ona robi, i wydał mężczyźnie, który pilnował Mordana, krótki rozkaz, na co tamten odjął włócznię od gardła swego jeńca. Jednak kiedy położyła *keresbtai* na piasku i właśnie zamierzała rozwiązać rzemienie na jego nadgarstkach i ramionach, wojownik położył dłoń na jej dłoni i pokręcił głową. Kier spojrzał na niego gniewnie, gdy tymczasem Lijanas posłusznie zabrała palce z pęt.

— Przynosicie mi pecha, uzdrowicielko! — oko Mordana było jak ciemne jezioro na jego bladej twarzy. — Najpierw ta burza solna, potem zaraza, książę Ahmeer ze swym przeklętym beltem, a teraz ci ludzie... — w jego słowach słychać było poskramianą z trudem wściekłość.

— Oni nic nam nie zrobią — próbowała go uspokoić.

Parsknął głośno.

- Tak, oczywiście! A ja jestem synem nakrapianego zielono osła. Lijanas, ci ludzie szukają krwi, w przeciwnym razie, co miałby znaczyć ten atak? Wiem, kiedy człowiek bawi się ze mną, a kiedy chce mnie zabić. Oni - kiwnął na otaczających go ludzi — zdecydowanie chcą tego drugiego. Co wy tam robicie?

Nie podnosząc wzroku, rozpięła mu pas, rozwiązała kaftan na tyle, na ile pozwalały jej pęta, a potem podciągnęła ostrożnie do góry kolczugę i tunikę.

- A dlaczego ich przywódca oddał mi wasz *keresbtai*? Dlaczego wciąż żyjemy? Na co to wygląda? - opatrunek był już całkowicie przesiąknięty krwią, kilka cienkich, czerwonych strużek płynęło mu po brzuchu, wsiaakając w piasek. Nad sobą usłyszała szept obcych.

- To absurd! Lijanas, zostawcie to i posłuchajcie mnie! Chcę, żebyście spróbowali dostać się do Ired. Siądźcie na jej grzbiecie i uciekajcie stąd! Jeśli będziecie podążać na południe... - mówił teraz cicho, obserwując, czy obcy czasem nie rozumieją jego słów.

- A jak mam się wspiąć na jej grzbiet? Ona nawet nie ma siodła.

Odwiązała płótno. Rana z przodu otworzyła się i także na plecach strup połyskiwał wilgocią.

- Jak powiecie: *am adnar*, położy się. Na: *se adjaj* znowu wstanie.

- Nie zostawię was! — oznajmiła mu zdecydowanie i przycisnęła zwinięty opatrunek do rany, aby zatamować krwawienie.

Drgnął prawie niewidocznie.

- Lijanas, każdy rozsądny człowiek zostawiłby mnie. Poza tym: to rozkaz!

- Rozkazujcie, komu chcecie, ale nie mnie! Poza tym: każdy rozsądny człowiek w obliczu nadciągającej burzy zostawiłby mnie na solnej pustyni. Do tego dalszcie mi słowo, że odwieziecie mnie do domu. Skąd moge wiedzieć, czy kto inny go dotrzyma, kiedy was już nie będzie? Pogódźcie się z tym: macie mnie na karku, dopóki nie znajdę się z powrotem w An-scharzel!

- Jesteście najbardziej nierozsądną i najbardziej upartą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem! — rozwścieczony mierzył ją wzrokiem, w jego oczach widać było błyski. Lijanas zignorowała go, podniosła jednak zaskoczona wzrok, kiedy przywódca wojowników podał jej kilka pasków materiału, wskazując na Mordana.

— To dziwne! Pozwala, bym was opatrzyła, a przecież chcieli nas zabić - stwierdziła drwiąco, owijając płótnem górną część jego ciała. Trudne zadanie, kiedy człowiek leży skrępowany na boku. Jego mamrotanie nie zrobiło na niej wrażenia. — Wiecie, do jakiego ludu albo plemienia należą ci ludzie? — spytała, chwytając drugi koniec paska materiału pod jego plecami.

- Nie. Preria nie była nigdy interesująca dla mojego ludu. Nie ma tu nic prócz piachu i przestrzeni. Nie można tu nawet hodować koni. Podobno żyje tu kilka dzikich plemion, którym przypisuje się skłonność do wszelakich zabobonów...

Uniósł głowę, kiedy z ciemności wyłonili się kolejni obcy, prowadząc między sobą kudłate kucyki. Dwaj wojownicy postawili Mordana na nogi, ledwie Lijanas zawiązała opatrunek na jego żebrach, i podprowadzili go do zwierząt, nie zwracając uwagi na jego oburzenie. Jeszcze raz obejrzał się ostro przez ramię. Lijanas odwróciła wzrok. Nie, nie ucieknie z Ired.

Wojownicy zmusili go, by usiadł na grzbiecie jednego z kucyków, a kiedy wiązali mu stopy pod brzuchem zwierzęcia, przywódca kiwnął na nią, by usiadła na drugim kucyku. Gdzieś w ciemności, z jej prawej strony, rozległo się rozjuszone rżenie. Ostatnia chwila wahania i spojrzenie na Mordana, który obserwował tych ludzi palającym zimno okiem, potem Lijanas wsiadła na przeznaczonego dla niej kucyka. *Kereshtai*, który wsunęła za pas, wpijał się jej w żebra. Część wojowników również wsiadła na konie, tymczasem inni spakowali, ku jej zaskoczeniu, ich posłanie i to, co mieli ze sobą, usuwając wszelkie ślady, które wskazywałyby na to, że było tu kiedyś małe obozowisko. Nie zostawiono także *ashentai* i jej konia, choć obcym z ledwością udało się poskromić rumaka bojowego. Krótki sygnał przywódcy i kucyki ruszyły. Podobnie jak konia, na którym siedział Mordan, także jej zwierzę prowadził jeden z tych ludzi.

Niemal pieszczołliwie przeciągnęła sztyletem po złanej potem i krwią skórze. Mężczyzna zaskamlał, kiedy pod ostrzem otworzyła się kolejna rana. Za jej plecami paliło się małe ognisko. Wycofali się z powrotem w Góry Słone, na tyle daleko, by Kierowie w dolinie nie mogli usłyszeć jego krzyków. Ma czas do wschodu słońca, wtedy zauważą jego zniknięcie i zaczną go szukać. Na próżno. Jego zwłoki zginą w otchłani jakiejś szczeliny skalnej. Ale do tej pory dowie się tego, czego chce się dowiedzieć.



Chatka wybudowana z piasku!

Nie mogła w to uwierzyć. Nie wiedziała, po raz który już rozgląda się powoli, podziwiając półkulę z piasku, w której się znajdowała. Gęsto tkany kilim wisiał u wejścia, w środku kopuły, stanowiącej sufit, był otwór, którym uchodził dym, a pod spodem trzaskalo małe ognisko. Po jednej stronie czekało wygodne posłanie z miękkich skór, po drugiej stało coś, co przypominało jej krosna. Obok, na koszu czesanej wełny, leżało drewniane wrzeciono. W piaskowej ścianie wydrapane były nisze, w których stały garnki z przyjemnie pachnącymi ziołami oraz miski do jedzenia, kubki czy gliniana lampka oliwna. Na jasnych ścianach kołysały się cienie, dym nad ogniskiem zdawał się tańczyć i szeptać. Znowu podeszła do wejścia piaskowej chatki, uniosła tkaninę, która je przysłaniała i zaczęła nasłuchiwać. Nie wiedziała, czy cisza panująca na zewnątrz w ciemności jest dobrym czy złym znakiem.

W drodze tutaj wojownicy obchodzili się z nią uprzejmie, ba, nawet niemal z szacunkiem, a w stosunku do Mondana również widać było ich respekt, choć ani nie poluzowali, ani nie rozwiązali jego więzów. Kilkakrotnie słyszała wypowiedziane szeptem słowo „*cogén*”.

Kiedy przybyli do tej malej wioski leżącej u stóp potężnej, piaskowej skały, wyszła im naprzeciw młoda kobieta - nie, raczej dziewczyna — i odbyła rozmowę z przywódcą wojowników. Potem dwóch z tych obcych przyprowadziło ją do tej chatki i zajęło stanowisko przed nią, zaś Mordana widziała, jak prowadziło go pół tuzina wojowników — za tą młodą kobietą. Jej pytające gesty, co się z nim stanie, pozostały bez odpowiedzi, a także na jej próby opuszczenia tego malego mieszkania reagowano uprzejmie, ale odmownie. Była gościem i jeńcem - miała nadzieję, że dotyczyło to

również Mordana. Niespokojnie podeszła do ognia, śledząc oczami cienie na ścianach.

Gdyby chcieli go zabić, już dawno by to zrobili. Ale wtedy nie pozwoliliby mi też...

Miała wrażenie, jakby cienie zbierały się wokół jednej wnęki, wyraźnie coś tam błyszczało. Wahając się, podeszła bliżej. Dym nad ogniskiem szeptał coś, zdawało się jej niemal, że słyszy swe imię. We wnęce leżały mały, srebrny sztylet. Jego rękojeść wykonana była z macicy perłowej zdobionej misternymi, pokręconymi nitkami złota. Wyciągnęła po niego rękę, wyjęła sztylet z pochwy. Ostrze załśniło jak lód w zimowym słońcu, światło odbiło się w nim i wzór zaczął tańczyć. Przez dymnik wpadł wiatr, zaplątał się w jej włosy i zaczął szeptać...

Wokół niej wściekle nycie pożeraczy dusz, od którego aż bolą głowa i serce, a mimo to nie slybać żadnego dźwięku. Stoi bezradna, uwięziona między popękanyimi skalami, przyciskając plecy do chropowatego kamienia, który kalecty jej dłonie. Zrozpaczona trzyma sztylet, wiedząc, że do niczego się nie przyda. Stał uderza z brzękiem o stal, od stromych, szorstkich skal odbijają się echem krzyki, a mimo to wokół niej jest jedynie cisza. Oparci o siebie plecami jej dwaj wojownicy stoją przed nią, chroniąc ją swym ciałem, przed tymi, którzy wciąż dochowują wierności przekłętemu bogowi Hathenanów; przed tymi, którzy znają już tylko zemstę. To jej serce zostaje przebite, kiedy ostrze przeszływa pierś jednego z wojowników. Ból jeszcze nie zdąży minąć, kiedy ginie drugi z jej kochanków. Jej przeraźliwy krzyk odbija się echem od kamieni, odbija się tysiącrotnie, kiedy skały płaczą wraz z nią. Krzyk — wieczny, jak jej łzy...

Jej wojownicy trzymali go. Światło odbijało się w sztylecie przyłożonym mu do gardła. Jego spojrzenie zdradzało burzę wściekłości, która w nim szalała, ponieważ odważyli się założyć mu pęta. On był tym, o którym mówił wiatr. Sługą Hathenana. Złodziejem. Wojownikiem, który nie zna laski ani miłości - i który walczył dla tej, która była z krwi Żmii, jak sokół walczy o swe młode.

Trzaskając, ogień trawił ziola, dym wzbijał się ociężale w stronę ciemnego nieba, wołał wiatr, kusząc go, by przemówił szeptem. Ten zaczął

szeptać - słowa, w które nie mogła uwierzyć. Rozkaz dla jej wojowników, rozwiązali więzy na rękach, mimo to nadal trzymali go spletanego, zmusili, by włożył dłoń w dym. Jej nóż przeciągnął po wnętrzu jego dłoni — warknięcie, jak z gardła wilka — kilka kropli krwi spadło do ognia. Nagle wiatr wskoczył w płomienie, zaśmiał się, płomienie podniosły się, wzbijając ku nocnemu niebu. Dwa strumienie czerwonej krwi, zjednoczone w jeden. To było przeznaczone i postanowione: jego życie należało do Żmii!

Krzyk był tak przeraźliwy, że serce Mordana przestało na chwilę bić. Lijanas! Brzmiało to tak, jakby ktoś wydzierał jej duszę z ciała. Naprężył się gwałtownie, trzymany przez dwóch wojowników, zrzucił ich jak uciążliwe insekty. Ostry ból na szyi zmieszał się z palącym bólem w boku, kiedy zerwał się i popędził tam, skąd dochodził ten przerażający dźwięk. Ktośkolwiek się odważył... Przed chatką drogę zastąpiło mu dwóch mężczyzn. Zmiótł ich na boki, zerwał tkaninę wiszącą u wejścia i wtargnął do środka.

Leżała skulona pod ścianą, z szeroko otwartymi oczami i sztyletem w na wpół otwartej dłoni, i krzyczała tak, że zdawało się mu, że zaraz pękną jej płuca. To był głos pelen przerażenia i rozpacz - i pelen bólu. Ten sam głos, który słyszał już na pustyni. Chwycił ją za ramiona, podniósł z podłogi, potrząsnął nią, wykrzykując jej imię. Krzyk umilkł dopiero, kiedy ją uderzył. W spojrzeniu Lijanas zauważył, że odzyskała świadomość, sztylet upadł na podłogę, kiedy przytulił ją mocno do piersi i mamrotał uspokajająco, przykładając usta do jej włosów. Przyłgnęła do niego, jakby chciała się w nim schować.

Powoli uświadomił sobie, że nie są sami. Podniósł wzrok. Stała tam ta młoda kobieta - zaskoczony stwierdził, że jej oczy były zupełnie białe, ślepe - za nią cisnęło się kilku wojowników. Rozpoznał przywódcę tych, którzy ich wcześniej pojмали.

Lijanas uspokoiła się przy jego piersi, jedynie jej oddech nie chciał się wciąż jeszcze uspokoić. Otulił ją mocno ramionami.

Cokolwiek się stanie, nie zostawię jej już samej!

Badając przed sobą drogę cienkim patykiem, podeszła do nich ta niewidoma, klękła obok nich, jej dłoń spoczęła na nodze Lijanas, dotykając jej, pięła się wyżej; Mordan odepchnął ją. Wśród wojowników nastąpiło poruszenie, jednak ucichli na gest tej kobiety. Uspokajająco podniosła dłonie w jego stronę. Na chwilę powróciła cisza, potem niewidoma przemówiła. Jej dłoń wskazywała na niego. To było tylko jedno słowo. *Cogen!* Przez jeden oddech zdawało się, że nawet ogień szepnął to słowo.

— Nie! — Mordan pokręcił zdecydowanie głową. Był tak samo *cogenem*, jak Lijanas wiedźmą dusz.

Może ona potrafi zobaczyć śmierć i czuje, kiedy pożeracze dusz zabijają w jej pobliżu, ale nie włada tymi wszystkimi innymi zdolnościami, które przypisuje się wiedźmom dusz Edari. Nie umie czytać w duszach innych ludzi, dzielić ich wspomnień, przyciągnąć do siebie duszy zmarłego ani nie potrafi zmusić duszy, by pozostała w umierającym ciele. Nie! Nawet jeśli jest córką wiedźmy dusz — ona sama nie jest jedną z tych odrażających wiedźm!

— Nie! — Jeszcze raz pokręcił głową, podkreślając to słowo ostrym gestem. — Nie!

A ja nie jestem żadnym cogenem!

Przywódca wojowników rozmawiał cicho z niewidomą kobietą, prawdopodobnie przekazywał jej to, czego nie mogła zobaczyć. Przechyliła głowę, najpierw w zamyśleniu, potem nagle z uśmiechem — i skinęła głową.

Bez pośpiechu podniosła się z kijem w dłoni, skłoniła lekko w jego stronę i wyprosiła z chaty wszystkich pozostałych. Powróciła cisza. Stopniowo oddech Lijanas wyrównał się, w końcu oparła się o niego ciężko i bez ruchu, prawie jakby zasnęła.

— Co znaczy „*cogen*”? - jej głos był zaledwie szeptem.

Mordan pochylił się.

— Jak się czujecie? Krzyceście tak, że myślałem... Dlaczego?

— Nie wiem - wtuliła głowę mocniej w jego pierś. - Wzięłam do ręki ten sztylet, a potem byliście... wy i trzymaliście mnie. W międzyczasie... To jest jak..., jak sen, który się miało, ale którego się nie pamięta, którego obrazy ulatują. Co oznacza to słowo, „*cogen*”? Przywódca tych wojowników też już go używał — teraz odsunęła głowę od jego piersi, by móc na niego spojrzeć. — Wskazywał przy tym na was.

Z namysłem przeciągnął dłonią po włosach.

— *Cogen* jest niewolnikiem wiedźmy dusz, który ją chroni. Należy do niej — duszą i ciałem.

— Jak niewolny? — wyraźnie zadrżała.

— Gorzej! On traci swą własną wolę. Prawdopodobnie ci ludzie myślą, że jestem waszym *cogenem*.

Wciągnęła głośno powietrze, jednak nagle przez jej twarz przemknął uśmiech.

— Wy jesteście zbyt uparci, by móc być czymś *cogenem*.

- Bardzo uspokajające! - wstał i pociągnął ją za sobą. - Raczej nie miałbym ochoty spędzić swego życia u stóp jakiejś kobiety. — Jego wzrok padł na sztylet na podłodze, który wysunął się na wpół z pochwy. Sposób, w jaki spojrziała na tę broń, nie spodobał mu się. Niemal widział w jej oczach lęk. Schylił się i podniósł go. Światło odbiło się w ostrzu, oślepiając go na chwilę, nim wsunął przedmiot z powrotem do pochwy. Ten sztylet został stworzony wyraźnie dla szczupłej dłoni kobiety. Był ozdobą i zarazem bronią, i prawdopodobnie był dość stary. Srebro na pochwie zmatowiało, a złoto na rękojeści było ciemne. Odłożył je do wnęki, gdzie najwyraźniej było jego miejsce, i rozejrzał się, potem wychylił się przez drzwi — tak, jak się spodziewał: wartownicy! Cofnął się i obejrzał sobie jeszcze raz wnętrze mieszkania. Chata pewnie nie była od początku wzięciem, gdyż najwyraźniej ktoś w niej mieszkał.

- I co teraz?

Uzdrowicielka usiadła na skórach zwierzęcych, które widocznie służyły jako posłanie, i zaczęła stukać palcami w jelec jego *kereshtai*, który leżał przy niej. Usiadł obok.

- Zakładam, że nie chcecie, bym wywalczył nam drogę na zewnątrz. Spojrzała na niego i pokręciła głową. Powoli wzruszył ramionami.

- W takim razie nie pozostaje nam nic innego, jak poczekać.

Westchnąwszy, przytaknęła, pochyliła się do przodu, przyglądając mu.

- Co się wam tu stało? — spytała, dotykając palcami jego szyi, tuż pod zuchwą.

Ach tak, oczywiście. Sztylet... — przypomniał sobie.

- Ktoś chciał mi podciąć gardło, jeśli zrobię jakiś fałszywy ruch - w spojrzeniu, którym obdarzyła go tym razem, widać było gniew.

- Czy to wasz zadeklarowany cel: dać się zabić?

Mordan zaśmiał się.

- Naprawdę sądzicie, że ktoś taki jak ja mógłby umrzeć w swym łóżku jako bezzębny starzec? Otoczony gromadą wyjących wnuków, którzy oplakują jego koniec? Lijanas, jestem dowódcą armii. Umrę z mieczem w dłoni na polu bitwy albo zginę z ręki najemnego mordercy, ale na pewno nie spokojnie w łóżku.

- Albo zostanieiecie straceni na rozkaz waszego króla, za coś...

Jego twarz spochmurniała.

Czy musimy się znowu kłócić na ten temat?

— Zapomniałem. Albo na rozkaz mojego króla, macie rację. — jego lodowaty ton spowodował, że zamilkła na dłuższy czas.

Godziny płynęły wolno jak miód. Czasami z zewnątrz dobiegało do nich gdakanie kury albo rzenie konia. Uzdrowicielka uparła się, by zmienić mu opatrunek, po czym Mordan oparł się plecami o ścianę, ona tymczasem, zwinąwszy się obok niego, na posłaniu, bawiła się długim włosem sierści, gładząc ją i mierzwiąc na przemian. Niespokojnie obracał w dłoniach *kereshtai*, który trzymał włożony do pochwy. Fakt, że w danej chwili nie był w stanie zmienić ich sytuacji, doprowadzał go do szalu.

Ogień pod dymnikiem trzaskał cicho i prawie się już wypalił, kiedy na dźwięk głosów u wejścia do chatki, wziął *kereshtai* w dłoń i zaczął nasłuchiwać. Lijanas szybko usiadła. Niemal w tym samym momencie została odsunięta tkanina przysłaniająca wejście i do środka weszły, schylając się, trzy dziewczyny. Dwie z nich niosły misy z chlebem i białym serem, jedna dzban i dwa kubki. Postawiły to wszystko na podłodze, potem dziewczęta opuściły chatkę, a do środka wszedł przywódca wojowników. Znowu uczynił ten uspokajający gest, potem wskazał zachęcająco na chleb i ser. Prostoduszna Lijanas pochyliła się do przodu, by skorzystać z jego zaproszenia, ale Mordan powstrzymał ją.

- Jestem głodna! - powiedziała stanowczo i strząsnęła z siebie jego rękę.

- Myszy też są głodne, kiedy wyjadają zatrutą słoninę z pułapki - odparł i z szorstkim uśmiechem, w którym zabłysły jego kły, spojrzał na mężczyznę, który przykucnął naprzeciwko nich. — Nieprawdaż? — przestraszona, cofnęła rękę.

Jakby nie spodziewał się niczego innego, wojownik sklonił się przed nim lekko, odłamał trochę chleba i wsunął go razem z kawałkiem sera do ust. Żując, wlał sobie do jednego z kubków część zawartości dzbana i opróżnił kubek jednym haustem. Przez dłuższą chwilę siedział po prostu naprzeciwko nich, potem wskazał znowu na potrawy, wstał i zostawił ich samych.

Tym razem Mordan nie powstrzymywał już Lijanas, kiedy sięgnęła po chleb i ser. Mimo to podejrzliwość całkiem go nie opuściła. Ostrożnie sam spróbował potraw. Były wprawdzie trochę słone, ale naprawdę smaczne. Właśnie młoda kobieta napełniła kubek ciemnym płynem z dzbana i powąchała przed skosztowaniem.

— Piwo ziołowe — oznajmiła, wypila kilka łyków, po czym podała Mordanowi — wypił.

Faktycznie, piwo ziołowe. Nie tak wytrawne, jak lubił, ale dla niej pewnie akurat. Oddał jej kubek, ona napełniła go znowu, postawiła między nimi i zajęła się jedzeniem. Kolejny raz Mordan zerknął w stronę zasłoniętego wejścia do chaty. To wszystko nie miało dla niego sensu. Jednak wreszcie sam wziął chleb i ser i zaczął jeść.

Zauważył, że coś jest nie w porządku, kiedy było już za późno. Posilek był prawie zjedzony, a dzban opróżniony, kiedy to się zaczęło. Obok niego uzdrowicielka zachwiała się niespodziewanie, wyciągnęła do niego rękę, szukając oparcia, przewracając kubek z resztą piwa ziołowego, osunęła się na bok i leżała bez ruchu. Zaniepokojony chciał się nad nią pochylić, kiedy chatka zaczęła się nagle wokół niego rozpyływać. Chwycił swój miecz, próbując stanąć na nogi, udało mu się złapać brzeg wnętrza w ścianie, przytrzymał się go, podniósł się z trudem. Coś jak lepka pajęczyna zaczęło kleić mu zmysły, kolana mu się ugięły, poczuł, jak się przewraca, porywając ze sobą jakiś przedmiot, który rozbił się z brzękiem o podłogę. Potem nagle pojawili się wojownicy, którzy pochylili się nad nim — jego ciało odmawiało mu posłuszeństwa, kiedy próbował się bronić podnieśli go i wynieśli z chatki... Reszta utonęła w gęstej mgłę.

Zapach ziół niemal nie pozwalał oddychać. Nie wiedział, czy leży, czy stoi. Dłonie, wszędzie, trzymały go. Chciał je z siebie zsunąć, zachwiał się jak pijany, w ich uścisku. Jego powieki były ciężkie, nie dały się unieść. Zimny przeciąg wywołał gęsią skórę na jego nagim ciele. Ból w boku, który zamienił się w chłodne palenie i zanikał. Próbował potrząsnąć głową, by odzyskać przytomność. Mało brakowało, a by spadł. Dłonie zacisnęły się mocniej. Przyciśnięto mu do ust coś twardego. Czyjeś palce na jego karku. Odchylały jego głowę w tył. Płyn, który nagle znalazł się w jego ustach, smakował jak gorzki miód; zdusił rodzącą się iskře sprzeciwu; zamienił jego myśli znowu w ulotną mgłę.

Jego zmysły wypełnił zapach drogocennych olejków. Wcierano je w jego skórę, jego sierść.

Ona? Kto? Dlaczego? - te słowa były jak krzyki w jego bezradnym umyśle. Głowa zwisała mu bezwładnie na piersi, opadła na kark, gdy czesano mu włosy. Niespodziewanie ugięły się pod nim kolana. Znowu pojawiły się czyjeś dłonie, przytrzymały go. Wokół niego cichy, uspokojający szept. Owinęli ręcznik wokół jego bioder, skrzyżowali mu nad-

garstki. Kiedy poczuł rzemienie, które mu zakładano, chciał głośno za-
protestować. Z jego ust wydobył się jedynie jęk.

*Powoli schodzi w ciemność, stopień po stopniu. Ona, a jednak nie ona.
Wokół niej zmrózona cisza. Wiatr szepece, gawędzi cicho z piaskiem, śpiewa
w skalach nad jej głową. Na końcu stopni światło, uwięzione w cieniach tej
jaskini, odbija się w zwierciadle jeziora. Nad wodą unosi się cięższe gorąco,
nyczarowując blade perły na skórze obydwu wojowników, którzy czekają na
nią na ciemnych skórach zwierząt; ich ręce skrepowane są rzemieniami; to
ofiary dla wiemy dusz. Patrzą na nią oczy jak lód i burza.*

Prowadzili go do przodu, podpierali, kiedy stawiał chwiejne kroki. Zimne powietrze dotknęło jego skóry, przeszły go ciarki i mgła w umyśle usunęła się na tyle, by zorientował się, że prowadzą go alejką, którą tworzą patrzące na niego z podziwem twarze. Mężczyźni! Dotykali z szacunkiem jego rąk i ramion - jakby oczekiwali, że stanie się od tego coś niezwykłego. Potrząsnął ciężko głową, próbując wyrwać się dłoniom, które go trzymały.

Złe posunięcie! Bardzo złe posunięcie!

Udało mu się wskórać jedynie tyle, że zachwiał się w bok. Znowu łago-
dzący szept. Potężna, strzelista skala wynurzyła się przed nim z ciemności,
stopnie prowadziły w dół, światło pochodni, oślepiając jasne i dziwnie
rozmyte. Poczul gorąco, na skórze zaczął kroplić się pot. Na końcu stopni
czekało na niego morze płomieni, które w dziwny sposób rozplwały się,
łącząc ze sobą. Poprowadzili go środkiem, światło odbijało się w czarnym
z zwierciadle, ciężkie kłęby pary unosiły się nad nim, w powietrzu.

*Ona klęczy naprzeciw nich, jej dłonie dotykają pucharu. Krew wojow-
ników miesza się w nim z jej krwią i czymś jeszcze. Daje im się napić,
opróżnia resztę. Sztylet przecina więzy. Delikatna tkanina zsunwa się z jej
ramion, jej skóra połyskuje srebrno-biało, blada między ciemnożółtą skórą
wojowników...*

Na końcu jaskini czekała na niego ta kobieta. Zmusili go, by przed nią
ukłękął. Poczul miękkie futra, próbował trzymać głowę podniesioną. Jej
skóra lśniła cała srebrno-biało, okryta ledwie delikatnym, białym mate-
riałem. Klęknęła naprzeciw niego, chwyciła jego związane dłonie, przy-
ciągnęła je do pucharu. W środku połyskiwał ciemny płyn. Naraz znalazł

się między nimi sztylet. Ostrze skaleczyło jego dłoń. Wyszczrzył zęby na znak bezradnego protestu, któremu towarzyszył słaby dźwięk wydobywający się z jego gardła. Krew skapnęła do pucharu. Także z jej dłoni spadła krew, mieszając się z jego krwią i tym, co jeszcze było w środku. Podniosła puchar do jego ust, dała mu się napić. Słodycz wypełniła mu usta, zmieszana ze smakiem słonej miedzi. Polknął to, choć nic chciał. — *Złe posunięcie!* — Odjęła puchar od jego ust, sama wypila resztę. Sztylet wrócił. Jego czubek skierowany był w jego pierś. Przecięła jego więzy. Śledził wzrokiem ruch błyszczącego przedmiotu. Wszystko się rozmyło...

Osłepiające światło! Gorąco i szept. Kompletna cisza. Dwa strumienie czerwonej krwi płyną w jego stronę przez białą równinę, każdy rwący i śmiercionośny. Na jej brzegach dwóch wojowników, którzy nie odrywają od niego wzroku. Jeden ma oczy jak lód, oczy drugiego są ciemne jak burzowe niebo.

— *Zgódź się!*

Pod naporem tego słowa pada na kolana.

— *Nie!*

— *Zgódź się!*

Zwijaj się i rzuca.

— *Nie!*

— *Przeznaczone i postanowione! Zgódź się!*

Strumienie łączą się w jeden, toczą śmiertcionośnie w jego stronę, zderzają nad nim, duszą to słowo w jego gardle, zamieniają w powódź błyszczącej soli, która obiera mu ciało ze skóry. Ból, który pochłania nawet jego duszę. Krzyczy! Krzyczy, aż wszystko wokół niego zaczyna pękać. Ona tu jest. Jej usta na jego ustach. Chłód i żar, które go otaczają, wymazują ból, trzymają go. Poddaje się.

Jej ciało śpiewało, stając się jednym z jego ciałem. Powstała więź, nierozzerwalna aż po nieskończoność.

Jego umysł był otępiały jak jaszczurka, która właśnie zbudziła się ze snu zimowego. Choć bardzo się starał, nie udawało mu się utrzymać tych schematów, którymi były jego myśli. Wszystko w nim przytłoczone było jakimś przyjemnym ciężarem, którego nie znalazł. Nie ruszał się, przekonany, że jego ciało nie będzie mu w tej chwili posłuszne.

Wokół niego było cicho, nie licząc pojedynczych syków płomieni i cichego kapania, jakby wody. Otaczało go ciepło, coś spoczywało miękko na jego piersi. — *Gdziekolwiek byłem wczoraj, chyba wyszedłem stamtąd na*

czworakach! Ale dlaczego nie mogę sobie przypomnieć żadnej biesiady? — na języku nie poczuł smaku zwietrzałego piwa, jaki zwykle zostawał po przepitej nocy - zamiast niego była cierpka słodycz, jakby owoców...

Przerażenie pojawiło się tak nagle, że w pierwszej chwili nie był w stanie zatrzymać tej myśli. Jednak powoli w jego piersi robiło się zimno. — *Spokojnie! Powoli!* — z trudem odzyskiwał zmysły. Pod sobą czuł miękkie skóry. Jego palce były dziwnie lepkie. W powietrzu unosił się zapach kosztownych olejków i ziół — i... — *To jakiś żył sen.* — Pomiędzy sykiem płomieni i pluskiem wody słyszał teraz cichy oddech, spokojny i głęboki. Kiedy powoli dotarło do niego, że nie ma na sobie nic prócz swej własnej skóry, poczuł, jak ściska mu się gardło, dusząc jęk. — *To musi być jakiś koszmar, bo jeśli to nie sen...* — powoli otworzył powieki. Ból, który poczuł w lewym oku, pomógł mu natychmiast odzyskać w pełni świadomość. Nad sobą zobaczył, skryte częściowo w półmroku, sklepienie z piaskowca. Po ścianach spływała woda, kapiąc cicho na ziemię. Kątem oka dostrzegł płomienie małych glinianych lampek — i ich odbicia tańczące na wodzie naturalnego oczka wodnego. Kłęby pary unosiły się ocieźale nad jego powierzchnią. Podniósł głowę. — *Nie!* - Ciężarem na jego piersi była uzdrowicielka, tak samo naga jak on sam. Jej włosy przyschły do jego piersi i brzucha i wyglądały, jak kwiaty jakiejś nieznannej rośliny. Z wyjątkiem jej delikatnej twarzy, smukłej szyi i górnej części ramion, jej skóra przybrała łagodny blask macicy perłowej. Wpił palce w ciemne futro, na którym leżał. — *To jest żył sen!* — Powoli, by jej nie obudzić, opadł z powrotem na posłanie. Ostatnią rzeczą, którą pamiętał, było to, że przewrócił się w tej małej chatce odurzony podstępnie jakimś narkotykiem. Podniósł rękę do czoła - zaskoczony patrzył na ramię z farbowanej skóry, które w dziwny sposób owinięte były wokół jego nadgarstków i dłoni. Przez uderzenie serca zdawało mu się, że coś sobie przypomina, jednak potem pojawiła się znowu ta gęsta mgła skrywająca wszystko. Przycisnął czubki palców do skroni. — *Gdzie my jesteśmy? Skąd się tu wzięliśmy? Co, na wszystkie duchy i demony, się stało?* - skrzywił gorzko usta. Chętnie oddałby się złudnej nadziei, że nic się nie stało — ale to było niemożliwe. To, jak leżeli obok siebie, to, że futra wokół nich były w kompletnym nieładzie... — *Gdybym tylko mógł sobie przypomnieć!* — Chciał już niemal spróbować jeszcze raz unieść głowę i rozejrzeć się, czy na udach uzdrowicielki nie ma zdradzieckich śladów krwi. Gdyby nie znajdowali się o krok od gorącego źródła, mógłby w ten sposób pozbyć się przynajmniej części niepewności, ale w tym miejscu... — *Bez sensu!* — Opuścił rękę na

futra, poczuł coś miękkiego pod palcami, podniósł to i przyjrzał mu się. Owoc o ciemnym, niemal purpurowym kolorze — i słodki. — Karmil ją tym. — Nagle zawładnęło nim pragnienie, by udusić tę ślepą, małą czarownicę. Żółty sok wypłynął spomiędzy jego palców, zaczął spływać po ręce. Z obrzydzeniem odrzucił na bok zmiądzony owoc i wytarł dłoń w futra. To wszystko to na pewno jej sprawa! - *Ale dlaczego? Do cholery, dlaczego? Co ta suka będzie miała z tego, że zniszczy jej życie, a do tego jeszcze moje?* — Przy jego boku poruszyła się lekko uzdrowicielka. Zamarł bez ruchu. Jej dłoń musnęła przez sen jego pierś... Nagle pojawił się w pamięci obraz, wstrzymał oddech: — *Lijanas, nad nim; jej ciężar na jego biodrach; jej dłonie, splecione z jego dłońmi, oparte na futrach po prawej i lewej stronie jego głowy; błysk w jej oczach; pot na jej skórze; pochyla się nad nim, jej włosy opadają mu na pierś...*

Poruszyła się, westchnęła cicho i nagle znieruchomiała. Czuł, jak jej rzęsy muskały jego skórę, kiedy otwierała powieki. Jej dłoń zamarła na jego piersi. Potem powoli uniosła głowę. Ich oczy spotkały się, jej otworzyły się szeroko. Wyprostowała się powoli, jej oczy zamrugwały na widok jego ciała. Usłyszał, jak ostro wciąga powietrze, odsuwając się jednocześnie od niego. Patrzyła to na niego, to na siebie — i przycisnęła wierzch dłoni do na w pół otwartych ust, kiedy zdała sobie sprawę, co to wszystko znaczy. Jakby nagle zamienił się w jakiegoś potwora, odsunęła się od niego.

- Lijanas... - podniósł się powoli, wyciągając do niej rękę.

Kręcąc z przerażeniem głową, odsunęła się jeszcze bardziej w tył, wydała z siebie przeraźliwy krzyk i rzuciła się do jeziora. Za późno rzucił się do przodu, chciał ją jeszcze złapać, zatrzymał się na brzegu skały otaczającej oczko, zerkając w wodę, w której rysowała się, połyskując, jej postać. Potem znowu się wynurzyła, kryjąc przed nim swą nagość. W jej oczach wciąż widać było przerażenie, co sprawiało, że czuł się jak odrażające zwierzę. Odwrócił wzrok, odsunął się od brzegu oczka, odwrócił do niej plecami i wpil palce w futra, próbując zdusić w sobie krzyk bezsilnej wściekłości.

Przez długą chwilę nie było słyhać nic prócz równomiernego odgłosu kropli, kapiących ze ścian, jej drżącego oddechu i od czasu do czasu plusku, gdy poruszyła się w wodzie. Potem:

- Co się stało? - jej głos był cienki.

— Nie wiem — podniósł głowę, utkwil wzrok w skale.

— Czy my...? — w tych słowach było tyle lęku, że pękało mu serce.

Znierzę! Bestia! — Kier!

— Nie wiem. — *Czy to byłoby tak straszne dla ciebie, ptaszyno?* — Pamiętam tylko, że straciłem przytomność w tej chatce. Potem obudziłem się tutaj.

— Ja też tyle pamiętam. Ten posiłek! Musiały tam być jakieś narkotyki!
- T a k .

— Ale dlaczego nas potem... — zamilkła bezradna.

Tak, dlaczego? — Mordan potarł dłonią kark, potem bark. Jego sierść była okropnie tłusta. — *Dlaczego przyprowadzili nas do tej jaskini? Dlaczego nas nie zabili?* — z obrzydzeniem patrzył na miękkie futra, na gliniane lampki, które pograżały obszar przed tym małym, naturalnym zbiornikiem w łagodnym świetle, powodując, że wszystko inne tonęło w misticznej ciemności. Na podeście stały talerze z owocami i chleb, większość z tego zjedzona, obok gliniany dzban, puchary, z których jeden leżał przewrócony. — *Przygotowali nam tu wszystko tak przytulnie! Oni chcieli, żeby do tego między nami doszło! Dlaczego?* — Jego palce zaszyły się głębiej w futro. - *Na duchy zemsty, dlaczego? Chyba nie da się nie zauważyć, że nie należymy do jednego ludu. Jak mogli założyć, że kobieta z ludu Nivardów albo Edari będzie chciała położyć się obok Kiera?* — *Do cholery, równie dobrze mógłbym ją wziąć przemocą! Ona kocha innego!* — Przeciągnął obydwoma rękoma po włosach. Nawet one były tłuste. Skrzywił twarz. — *Po co to wszystko? Czy wykorzystali nas do jakiegoś rytuału? Czy dlatego nas nie zabili? Bo byliśmy im do tego potrzebni? Czy jest jakieś inne wyjaśnienie? Ci wojownicy chcieli mnie zabić! Potem Lijanas wyszła ze swej kryjówki i przestali walczyć... To, że ta ślepa czarownica nacięła mi dłoń i puściła moją krew do ognia... To musiała być jakaś próba.* — Bezgłośnie wyszczerzył zęby. — *Najwyraźniej przeszedłem ją pozytywnie i dlatego...* — Posępnie potarł czoło. — *Musiał tak być! A teraz? Co teraz z nami zrobią? Pozwolą nam odejść? A może przyjdą tu w pewnym momencie i zabiją nas?* — Parsknął gorzko, jego paznokcie rozerwały skóry zwierzęce. — *Nawet jeśli ujdziemy stąd żywi, jej lud ją..*

Za nim plusnęła cicho woda.

— Nie chcecie wyjść, Lijanas? Nie dotknę was! Daję wam moje słowo! Przez krótką chwilę znowu było cicho.

— Jestem naga.

— *Ja też! Kogo to teraz interesuje, ptaszyno? Nieszczęście się już stało.* — Pogrzebał między futrami, znalazł wreszcie kilka lnianych prześcieradeł, które prawdopodobnie przeznaczone były do tego, by się wytrzeć po kąpieli w gorącym źródle. Jedno z nich położył za sobą na brzegu basenu, potem oderwał z drugiego wąski pasek i obwiązał nim oko, nim resztę

owinał sobie wokół bioder. Nawet słabe światło sprawiało mu ból. Był wdzięczny, że ból ustąpił pod kawałkiem płótna. Chwilę później usłyszał głośniejszy plusk za plecami.

- Tu są schodki, które prowadzą do wody - usłyszał jej zdziwiony głos nieco na prawo od siebie i spojrzał w tym kierunku. Właśnie wyszła z basenu, miriady kropelek spływały po jej skórze, błyszcząc i powodując, że lśniła jak perły i diamenty. Szybko odwrócił wzrok, nim zdażyła się zorientować, że na nią patrzy.

- Tak, idealne miejsce, żeby połączyć mężczyznę i kobietę, nieprawdaż?
- dopiero kiedy stanął przed nią, podniósł znów wzrok.

Owinęła się prześcieradłem i klęknęła przy nim.

- Ale jak udało im się doprowadzić do tego, że my...?

- Zbliżyliśmy się do siebie? Nie wiem.

- Czy naprawdę to zrobiliśmy? Może..., jeśli obydwójce nie możemy sobie nic przypomnieć...?

- Rozejrzyjcie się dokoła, Lijanas! Rozejrzyjcie się i powiedzcie mi, co innego mogło się stać... Do cholery! - przycisnął pięść do czoła. — Zabiję tę ślepą czarownicę!

Spojrzał na nią znowu, kiedy usłyszał, jak ostro wciągnęła powietrze.

- Co się dzieje?

Wpatrywała się w swą lewą dłoń.

- Rana od noża. Jak to się stało?

Mimowolnie rzucił spojrzenie na swoją lewą dłoń. Obok rany, którą zadała mu ta niewidoma kobieta, była jeszcze druga czerwona linia.

- Cokolwiek miało tu miejsce: to... my byliśmy częścią jakiegoś rytuału - pokazał jej swoją dłoń.

- Dlaczego?

- Wiercie mi, Lijanas, już zadawałem sobie to pytanie. Lijanas?

Jej oczy były dziwnie szkliste.

- Puchar — wymamrotała teraz. — Coś w nim było. I sztylet...

- Przypominacie sobie?

Pokręciła głową.

- Tak! Nie! Niezupełnie. Tylko ten obraz pucharu... — zdziwiona patrzyła, jak Mordan wstał i podszedł do podestu, na którym stały potrawy i gliniany dzban z dwoma pucharami.

- Czy to był któryś z tych?

Podeszła do niego, wyjęła mu z ręki jeden z glinianych pucharów i przyjrzała mu się.

- Nie! Tak przynajmniej sędzę. Tamten był jakiś... inny. Wyższy. 1 wydaje mi się, że szerszy na górze — marszcząc czoło, odstawiała puchar i podniosła dzban, wachając resztę jego zawartości, wetknęła do niego palec i spróbowała ostrożnie ciemnego, błyszczącego płynu. — To samo ziołowe piwo, które podano nam w chatce. Ale teraz ma bardziej kwaskowaty posmak - z namysłem wsunęła paznokiec kciuka do ust i zaczęła go gryźć.

Mordan też spróbował.

- Ten smak miałem na języku, kiedy odzyskałem przytomność.

- Ja też! - kucnęła u stóp podestu i wsunęła dłonie między kolana. — Cokolwiek domieszali do tego piwa, prawdopodobnie to coś było odpowiedzialne za to, co zrobiliśmy tu na dole.

- Nazwijcie rzecz po imieniu: oni dali nam jakiś - coś w nim powstrzymywało go przed wypowiedzeniem tego słowa — napój miłosny i my... - nie dokończył zdania, klęknął przed nią, wyciągnął do niej rękę, jednak później cofnął ją i zacisnął na swym udzie w pięść. — Lijanas, cokolwiek się stało...

Odwróciła wzrok, otuliła się ramionami. Jej paznokcie wpiły się jej w skórę.

- Nie! - jego dłonie rozluźniły jej palce. - Nie, *Elljen!* To przecież boli - przytrzymał ją ostrożnie.

- Może wcale nic się nie stało i obydwoje to wszystko sobie tylko wmawiamy.

Wiem, że coś się stało! Jak inaczej mógłbym pamiętać, że była na mnie? Ale ona chwyta się tak rozpaczliwie tej myśli... — westchnął cicho. — Może! A może nie! Pewnie nie dowiemy się tego tak łatwo.

- Czy na posłaniu była krew?

Pokręcił głową.

- Nie wiem. A jeśli jakaś była, mogła równie dobrze pochodzić z naszych dłoni. Lijanas, jeszcze godzinami możemy zgadywać, co się stało w chwilach, których nie możemy sobie przypomnieć. Ale jest coś, o czym nie możemy zapomnieć: ci ludzie to wszystko zaplanowali. I nie wiemy, co zamierzają teraz z nami zrobić. Musimy się stąd wydostać! — podniósł się, zdecydowany. — Jeśli pozwolicie, wezmę teraz szybko kąpiel i spróbuję pozbyć się tego tłustego świństwa. Potem poszukamy wyjścia z tej jaskini! — *Chyba nie pogrzębali nas tu żywcem.* — Kiedy cicho przytaknęła, odwrócił się, podszedł do basenu i zanurzył się w wodzie.

Lijanas obserwowała, jak zniknął pod powierzchnią wody. Kiedy nagle została sama, powróciło przerażenie, które poczuła, obudziwszy się przy nim — równie naga jak on. Ugryzła się w kostki palców, żeby nie krzyknąć. - *Laskawa, miej litość, co my zrobiliśmy? Jestem narzeczoną Ahmeera!* — jej zęby wbiły się mocniej w skórę. — *A jego rozkaz...!*

Zrozpaczona zacisnęła powieki. — *Co teraz będzie?* — Ciche odgłosy zdradziły, że wynurzył się z wody. Energicznie szorował ciało, żeby zmyć ten dziwny olejek, który błyszczał na jego skórze i w jego sierści. Liczne małe płomienie rzuciły jego cień na skały...

Mordan, który unosi się nad nią. Gra jego mokrych od potu mięśni pod jej palcami, poskeromiona siła. Jego usta, smakujące żłotami i słodyczą — starała się oddychać spokojnie. — *On ma rację! Zbliżyliśmy się do siebie, nawet, jeśli tak naprawdę tego nie pamiętamy.*

Podniosła wzrok, kiedy rozległ się głośny plusk. Mordan właśnie wyszedł z małego jeziorka. Woda spływała błyszczącymi kaskadami po jego skórze i sierści, zamieniając jego ciało w stare złoto i ciemność. Rana była jedynie cieniem na jego boku. Schylił się po prześcieradło. Szybko odwróciła wzrok, kiedy się wycierał, a potem znowu owinął płótnem biodra, nim do niej podszedł. Bez słowa zatrzymał się przed nią, spojrzal na nią z góry. Ona podniosła ku niemu wzrok, jej spojrzenie zatrzymało się na pierścieniu połyskującym na jego piersi.

Gdzieś w jego życiu jest jakaś kobieta, która może nosić to cudo. Dlaczego chce mi się płakać na tę myśl? Przecież kocham Ahmeera! — rozpacz wróciła.

- Co teraz będzie? - słowa padły, nim zdołała je powstrzymać. Brzmiały tak samo bezradnie, jak się czuła.

Szybko klęknął przed nią, ujął delikatnie jej dłonie, trzymając je tak lekko, by w każdej chwili mogła je zabrać.

- O tym zadecydujemy my! Lijanas, przestańcie się trapić! Cokolwiek się stało, nie możemy tego cofnąć, dlatego żal nie ma najmniejszego sensu!

- Ale...

- Żadnego „ale“! To sprawa tylko między nami dwojgiem. Nikt nie ma prawa zadawać wam pytań. Nawet wasz narzeczony! To, co robicie z waszym życiem, to wasza sprawa! Wiem, że Nivardowie traktują czasem swe kobiety, jakby były ich własnością - nie pozwólcie sobie tego wmówić, Lijanas! Ponieważ nie jest tak!

- A wy?

- Ja? - pokręcił powoli głową. - Nie martwcie się o mnie. Mnie nikt nie będzie pytać, czy...

- A wasz rozkaz?

Jego oddech zamarł na chwilę, potem odwrócił wzrok.

— Co z waszym rozkazem? — naciskała głośniejsze.

— Jeśli mój król spyta mnie, nie zaprzeczę.

A jeśli nie zaprzeczysz, zabiją cię. — Nie ma czemu zaprzeczać, bo nic się nie stało!

Jego odpowiedzią było jedynie parsknięcie.

— Należy przypuszczać, że wiem, kiedy mężczyzna...

Wyrwała mu swe dłonie, zaczęła gestykulować. Sposób, w jaki na nią spojrział, kazał jej zamilknąć.

Z wyjątkiem cichego szemrania wody, było cicho. W końcu podniósł się.

— Jak chcecie, Lijanas. Nic się nie stało - schylił się po lampkę oliwną i pomógł jej podnieść się z podestu. — Nie traćmy więcej czasu na bezowocne klótnie. Musimy znaleźć stąd wyjście! Chodźcie! I trzymajcie się blisko mnie!

Trzymając go za rękę, wyszła z nim z oświetlonego kręgu przed basenem. Małe światło rzucało niespokojne cienie na ściany — polyskiwały na nich pajęczyny i woda. Między podestami i blokami skalnymi prowadziło przez jaskinię coś jak ścieżka wypolerowana licznymi stopami. W ciemności, poza słabym blaskiem światła, zdawały się gnieździć cienie i kształty, które śledziły ich, szepcząc — aż do wąskiej szczeliny, która pionowo przecinała skalę. Światło lampki oliwnej zadrgało od chłodnego przeciągu. Najwyraźniej znaleźli drogę na zewnątrz.

Czujnie Mordan schylił się, wchodząc w szczelinę, która była tylko na tyle szeroka, że nie dotykał ramionami gładkich skał. Ścieżka, którą mieli pod stopami, bardzo powoli pięła się w górę. Lijanas przeszedł dreszcz na myśl, jak głęboko byli pod ziemią. Przelknęła niespokojnie ślinę, ściskając mocniej jego dłoń. Spojrział na nią szybko przez ramię i uśmiechnął się uspokajająco — jego kły i cienie spowodowały, że ten uśmiech wyglądał jak groźne szczyrzenie zębów.

- Nie bój się, *Elljen!* Te skały stoją tu już na pewno od setek zim — nie jesteśmy aż tak ważni, by jakaś zła moc kazała im akurat teraz runąć.

Znowu to słowo. Już raz się tak do niej zwrócił.

- Mordanie?

- Mhm?
- To słowo - *Ell...*
- *Elljen.*

- Tak. Co ono oznacza?

Uniósł wyżej lampkę oliwną i zatrzymał się.

- Skarb. Tu są stopnie, które prowadzą w górę.

- *Skarb* — Lijanas nie zdążyła się tak szybko zatrzymać i uderzyła w niego. Jak odurzona, wybąkała „przepraszam”, puszczając jego dłoń i robiąc krok w tył. Palcami ukradkiem dotknęła swojej szyi. — *Laskawa Bogini, on nazywa mnie „skarbem”. Pewnie chciał tylko być miły i mnie uspokoić. Tak, na pewno tak jest!* - Zdjęła dłoń z szyi, obserwując, jak wspina się po pierwszych stopniach prowadzących do wnęki w skale. Mrok szeptał dokola niej. - *Jestem narzeczoną Abmeera!* - Jego głos rozległ się w jaskini; wołał ją na górę.

- Co się dzieje? — spytała.

- Tu leżą nasze ubrania — przystanął, postawił lampkę na półce skalnej i schylił się. Kiedy znów się wyprostował, w jego dłoni błyszcząca czarna pochwa jego *kereshtai*. - Ktoś się prosi o śmierć - mruknął ponuro, wyciągając ostrze, jakby chciał się przekonać, czy jest nienaruszone. Ochoczo zrobił jej miejsce, kiedy wcisnęła się obok niego we wnękę. Zamarła, kiedy rozpoznała, co leżało na jej ubraniach. Macica perłowa i złoto na rękojeści sztyletu polyskiwały słabo. Drżącymi rękoma podniosła go, za sobą słyszała głośny oddech Mordana. Błysnęło srebro...

Połykający czubek sztyletu skierowany na kłnięcą od drogocennych olejków, nagą pierś, która unosi się i opada od gwałtownego oddechu. Farbowana skóra, która owija skrzyżowane nadgarstki. Ostrze przecina je. Ona ujmuje oswobodzone dłonie, podnosi ciemnego wojownika i prowadzi go za sobą, po stopniach w dół, prosto do gorącej, źródlanej wody...

...obydwoje odskoczyli. Sztylet upadł na ziemię. Ich szybki oddech brzmiał w półmroku upiornie. Czy Lijanas zatrzymały się na rzemieńniach z farbowanej skóry, które owijały jego nadgarstek i dłoń. Mordan powiódł wzrokiem za nią, przeklął, zębami i drugą ręką szarpnął ramię, jakby nagle zaczęły się wżerać w skórę jak kwas, i odrzucił je. Polem złapał swoje rzeczy i zniknął w ciemności poza wnęką. Wróciła

uciążliwa cisza. Mała lampka oliwna posykiwała i szeptała. Lijanas patrzyła oszołomiona na pętle u swych stóp.

Wokół popękane skały. Niekończące się milczenie. Wycie pożeraczy dusz miesza się z głosami prześladowców. Nie ma wyjścia. Dłonie obydwu wojowników splatają się po raz ostatni. Ich nadgarstki i dłonie owinięte są rzemieniami z farbowanej skóry...

Powoli schyliła się, podniosła je.

Już kiedy wojownik opuścił święte miejsce, czuła jego gniew. Wiatr szeptał, przywódca jej ludzi wyprostował się, stojąc zaniepokojony za nią. Czuła jego wyczerpanie. On i jego ludzie zabili w pierwszych godzinach po zachodzie słońca z dziesięć bestii dusz, które były na tropie tych dwojga. Jednak teraz serce czarownicy było bezpieczne, nie mogła jej dosięgnąć ich żądza. Usłyszała, jak wyciągnął miecz z pochwy, opisując jej półgłosem, co widzi. Sposób, w jaki wojownik stanął przed nią, z dłońmi zaciśniętymi w pięści, wyraz oczu, które na nią spojrzały, z których można było wyczytać, że chce ją zabić. Westchnęła cicho. Nie wiedział, co się z nim stało. Lecz był wściekły, że doprowadzili go do tego, by leżał z Edari, choć był przekonany, że ona jest dla niego zakazana.

Jej wojownicy przysunęli się bliżej, on podniósł głowę, patrząc od jednego do drugiego, wyszczerzył swe kły i warknął coś w swym języku. Syknąwszy, wyciągnął pół ostrza z pochwy. Jego wiedźma stanęła za nim, trzymając w dłoni farbowaną skórę, która uwidaczniała każdemu wtajemniczonemu, kim był. Położyła dłoń na jego ramieniu, próbując go uspokoić, odciągnąć. Po trwającej całą wieczność chwili ustąpił i odwrócił się nieoczekiwanie.

Zwróciła twarz w stronę wiatru. Także Edari nie miała pojęcia o więzi, jaka została między nimi zawarta — potężna, ponieważ odbyło się to według starego zwyczaju — słaba, gdyż obowiązek i duma dzieliły ich jak ściana z ostrych ostrzy. W jej sercu było jedynie przecucie. Skierowała wzrok ku niebu, ponieważ nigdy nie nauczyła się słuchać swej duszy — żaden z obydwu. Pokręciła głową. Wojownik był silny, lecz *cogen* słaby. A prawdziwa wiedźma dusz jest tak silna, jak silny jest mężczyzna, z którym jest związana.

Dała przywódcy swych wojowników znak. Mieli odprowadzić obcych do kamiennego luku rozpiętego nad przepaścią, zwaną przez inne ludy Wąwozem Kassen. Los tej wiedźmy i jej *cogena* został zapisany. Zmęczona, odwróciła się. Trawa pożółkła i zazieleniła się już kilkaset razy, odkąd Anim Anain zostali ustanowieni strażnikami dziedzictwa Białej Żmii. Lecz to dziedzictwo zginie, ponieważ ci dwoje są zbyt słabi. Jej nadzieja prysła. Ten, kogo nie powinno nigdy więcej być, zbudzi się. Nie mogła tego zmienić.



Minęło już południe, kiedy dotarli do kamiennego łuku mostu. Szary i złowieszczy rozciągał się nad Wąwozem Kassen i jakby urywał przed ścianą mgły. Obcy wojownicy towarzyszyli im tutaj, aż łuk pokazał się ich oczom, a potem zawrócili bez słowa swe kuce i odjechali galopem. Podczas jazdy Mordan milczał, próbując przypomnieć sobie, co się stało pod ziemią — jednak, gdy już zdawało mu się, że udało mu się zatrzymać w pamięci jeden z obrazów, wyslizgiwał mu się jak ryba w lodowatej wodzie. Czasem czuł na sobie spojrzenie Lijanas — za każdym razem, gdy spoglądała na niego, miała przygryzioną wargę.

W jako tako osłoniętym miejscu w pobliżu łuku mostu zsiadł z konia i rozejrział się uważnie, szukając jakiejś wskazówki, że Ecren i Levan tu byli. Nic! Między jego brwiami powstała pionowa bruzda.

Co się stało? Czy Nivardowie...? Nie! Nie wierzę! Ale dlaczego ich tu nie ma?

Uzdrowicielka zsunęła się ze swego konia obok niego i również zaczęła się rozglądać.

— Levan i Ecren, ich...

— ...tu nie ma, tak - dokończył, po czym poluzował popręg pod siodełm Ired, wyciągnął z juków skórzany worek i zapakował do środka prowiant oraz drewniane pudełko z fiolką, którą dał mu Ladakh.

- Ale...

- Nie martwcie się o tych dwóch, Lijanas. Przyjadą! - *Już dawno powinni tu być. Coś się stało! Tylko co?* — Pewnie znaleźli sobie przyjemniejsze miejsce, by na nas poczekać. Kiedy wrócimy z gór, będą tutaj. Weźcie płaszcz i chodźmy — zarzucił rzemień worka wraz z liną na ramię, przewiesił sobie jeszcze bukłak z wodą i chwycił płaszcz, nim odwrócił

się do uzdrowicielki. Na jej twarzy widać było wyraźnie niepokój o tych dwóch - udał, że tego nie zauważył. Ostatnia chwila wahania, potem zrobiła, co kazał, i poszła za nim na brzeg wąwozu. Wyraźnie przeszedł ją dreszcz, kiedy spojrzała w mgłę, unoszącą się nad czeluścią, która zdawała się nie mieć końca.

— Jeśli dać wiarę legendom, jest to jedyna droga, którą żywi mogą się dostać do bezkresnych labiryntów - dziwne, ale na myśl o tym, dostał gęsiej skórki.

Na jej czole pojawiła się delikatna zmarszczka.

- Dlaczego ktoś miałby próbować dostać się do labiryntów przed swym czasem? - można by niemal sądzić, że nic się między nimi nie stało.

Przez dłuższą chwilę patrzył w czeluść, potem wzruszył ramionami.

— Głupota. Miłość. Chciwość. Nie wiem — zamilkłszy, spojrzał na nią z boku. — *Może faktycznie tak jest lepiej?! To od początku było szaleństwem, mieć nadzieję, że...* — narastała w nim gorycz, miała smak żółci. - *Przynajmniej wiem teraz, na czym stoję. Choć nie zmienia to niczego w moich uczuciach* — odpędził dręczące go myśli i spojrzał na luk mostu, potężną budowlę z sześciennych kamiennych bloków. Wiele zim temu jedna strona się odłamała. Nikt nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego mimo to wciąż stał. Droga do samego mostu strzeżona była przez dwa stworzenia wielkości człowieka, które ze swymi potężnymi skrzydłami, wyszczerzonymi kłami i groźnie rozcapierzonymi szponami, wyskoczyły chyba jedynie z jakiegoś koszmaru i zdawały się grozić, że pochłoną każdego, kto odważy się postawić stopę na moście. Spojrzał jeszcze raz na ścianę mgły, nim odwrócił się do niej.

- Jeśli wszystko dobrze pójdzie, za parę godzin będziemy z powrotem.

— Co jest po drugiej stronie? - jej głos brzmiał niepewnie.

- Góry — poprzecinane szczelinami, nie do przebycia, o których mówią, że są przekłete - niby obojętnie wzruszył ramionami. — Ludzie twierdzą, że skała zamieniła się od lez solnej wiedźmy w lód i wszystko po tamtej stronie umarło. Są tacy, którzy przysięgają, że bywają dni, kiedy wiatr wieje od gór, i wtedy słychać po tamtej stronie płacz dusz, które niegdyś zagoniły tam solną wiedźmę oraz jej wojowników i tam spotkał ich koniec.

Drżąc, wciągnęła powietrze, na co musiał jeszcze raz wzruszyć ramionami. Nieświadomie dotknął swego boku. Ból, który stale przypo-

minal mu o ranie, był teraz zaledwie lekkim pieczeniem, kiedy poruszał się zbyt gwałtownie.

- Legenda, Lijanas! Głupie gadanie stworzone, by straszyć dzieci i głupców.

- Świetnie się nadaje również dla nivarzkich uzdrowicielek.

Wymamrotane półgłosem słowa wzbudziły uśmiech na jego twarzy, jednocześnie machnął na nią, by ruszyła za nim.

Choć to, co zostało jeszcze z luku mostu, było wystarczająco szerokie, by iść obok siebie, kazał młodej kobiecie, by szła za nim. W powietrzu słyhać było jakby cichy szept, który nasilał się z każdym krokiem, z którym zbliżali się do środka mostu i tym samym do ściany mgły. Potem dotarli do bladych oparów i weszli w nie. Natychmiast przestali widzieć przed oczami więcej niż własną dłoń. Lepka wilgoć kładła się na ich skórze. O ile kamienie luku były do tej pory suche i twarde, to teraz sprawiały wrażenie oślizłych i miękkich. Przesuwał palcami po murze, żeby przez przypadek nie podejść zbyt blisko odłamanej strony, czuł pajęczyny i mech. Za sobą słyszał zduszony oddech młodej uzdrowicielki. Wyciągnął do niej rękę, ta chwyciła ją, westchnąwszy cicho, i trzymała się go mocno. Krok za krokiem szli po omacku dalej, a potem, stopniowo, mgła zaczęła się przerzedzać i mogli rozpoznać powoli zarys gór, które wznosiły się poza nią. Potem znaleźli się po drugiej stronie, mając znowu masywną skalę pod stopami i stojąc w łagodnym słonecznym świetle. Obejrzał się zdziwiony.

- Inaczej wyobrażałem sobie góry przekłete — stwierdził po chwili, spoglądając na Lijanas. Ta przytaknęła i również zaczęła oglądać skalne ściany. Kamień był szary, czasem poprzecinany jaśniejszymi żyłkami. W szczelinach i pęknięciach błyszczały płatki ifejonu i jasny mak księżycowy. Pojedynczo wystawały spomiędzy skał także suche lodygi rdestu albo jakaś paproć spuszczała swe liście z małego występu w skale. Nie licząc cichego śpiewu wiatru, było spokojnie. Między kamieniami prowadziła w góry wyraźna ścieżka. Mordan zmarszczył czoło. Ladakh nie powiedział mu, gdzie dokładnie ma szukać tego źródła: — *„Wysoko w górach, w miejscu otoczonym skalami...”* To może być wszędzie — nie pozostawalo im nic innego, jak pójść drogą w górę i sprawdzić, dokąd prowadzi. Skinął na uzdrowicielkę i ruszył.

Na początku ścieżka prowadziła łagodnie, ale równomiernie w górę. W międzyczasie zrobiło się tak stromo, iż Lijanas miała wrażenie, że to

niemal pionowe schody. Mordan jakiś czas temu owinął koniec liny wokół jej tali, by ją zabezpieczyć. Drugim końcem on był przewiązany w pasie. W milczeniu wspinał się przed nią i po raz kolejny dziwiła się, jak mężczyzna jego wzrostu potrafi się tak zręcznie poruszać między skalami. Oparła palce na gładkim jak po polerowaniu, wystającym kawałku skały i zrobiła kolejny krok naprzód.

Im wyżej byli, tym zimniejszy był wiatr, przemykający wśród skal. Jedyne szare osty znosiły jego humory, wciśnięte głęboko w szczeliny lub miejsca, gdzie nie docierał. Szczyty gór nad nimi pokrywała połyskująca biel śniegu. Kiedy tylko droga na to pozwalała i nie trzeba się było przytrzymywać obydwiema rękami, Lijanas otulała się dokładnie płaszczem. Najwyraźniej mieli jeden z najbardziej stromych kawałków za sobą, ponieważ teraz ścieżka biegła niemal poziomo wzdłuż stromej ściany. Z tyłu wznosiła się ściana mgły — błada granica dzieląca ją od świata, który znała. Przeszły ją ciarki. Szarpnięcie liny, którą była przepasana, wyrwało ją z zamyślenia. Mordan zatrzymał się kilka kroków przed nią, a teraz się odwrócił. Zobaczyła zatroskanie na jego twarzy i obdarzyła go uspokajającym uśmiechem. Kiedy ścieżka zrobiła się tak niebezpiecznie stroma, poprosił, by nie bała się mu powiedzieć, kiedy będzie zmęczona lub będzie potrzebowała odpoczynku. Nie, nie poprosił, tylko rozkazał w ten swój typowy, szorstki sposób. Jeszcze raz spojrziała w otchłań, potem owinęła się dokładniej płaszczem i dołączyła do niego. Powoli brnęli dalej ścieżką, która stawała się coraz bardziej kamienista. Obserwowała, jak Mordan raz po raz badał wzrokiem popękane skały, by odkryć jakiś strumień lub mały wodospad, który mógłby wskazywać na źródło - jednak do tej pory nie znaleźli nawet cienkiej strużki. Tymczasem słońce już się zniżyło i w cieniu skalnych ścian przybliżyła się noc, przynosząc ze sobą chłód.

Lijanas zauważyła te postacie po raz pierwszy, kiedy przechodzili obok biegnącej prawie pionowo szczeliny, która zdawała się prowadzić do wnętrza góry, i w której zagnieździł się już mrok. Były blade, przezroczyste, właściwie nic ponad jasny kontur w ciemności między skalnymi ścianami. Miecze i skórzane pancerze odcinały się od czerni skal — pancerze, które widziała już kiedyś... Gdzieś... Stały tak zupełnie bez ruchu - potem ich oczy się otworzyły. Ich spojrzenia i wzrok Lijanas spotkały się. Nagle poczuła zimno wokół swego ciała, zaczęło cisnąć się przez jej skórę, wyciągając niewidoczne pazury do jej duszy. Krzyknąwszy, zachwiała się w tył, lina, którą była opasana, napięła się gwałtownie, potem poczuła

dłoń Mordana na ramieniu. Chłód zniknął w oka mgnieniu. Pociągnął ją do przodu i schował za sobą, *kereshtai* wysunął się z sykiem z pochwy. Czujnie zerknął w ciemną szczelinę — i odwrócił się do niej. Jego czoło przecinały ostre bruzdy.

— Dlaczego krzyczeliście? Co tam było?

Jak odurzona spojrziała z powrotem między skały. Dopiero, kiedy chwycił ją za ramię i delikatnie nią potrząsnął, zdołała oderwać wzrok od postaci, które dalej na nią patrzyły.

— Nie widzicie ich?

— Kogo? - znowu zajrzał do szczeliny.

— Tych cieni. To wojownicy!

Kręcąc głową, odwrócił się do niej.

— Tam nic nie ma! - za nim jedna z postaci wyszczerzyła swe kły, uśmiechając się złowieszczo.

— Kierowie!

— Co? — jeszcze raz zerknął przez ramię.

— To wojownicy Kier!

— Lijanas, tam nikogo nie ma!

— Ale ja ich widzę! Są prawie przeźroczyści i..., i... To nie złudzenie! Wiem to! Naprawdę ich widzę!

Spojrzał na nią bez słowa, przytkając z namysłem paznokciem kciuka jelec swego *kereshtai*.

— Czy oni mogą być dla nas niebezpieczni? — zapytał potem.

— Wierzycie mi? - spojrziała na niego.

Paruszył, unosząc jednocześnie na chwilę brwi.

— Lijanas, widzicie cię Białej Wojowniczkę, czujecie, gdy zabijają porażacz dusz... Jeśli chodzi o was, jestem w stanie uwierzyć w wiele rzeczy! A więc: czy oni mogą być dla nas niebezpieczni, tak czy nie?

— Nie wiem.

Wciągnął powietrze przez zęby i wypuścił je z sykiem.

— To właściwie nie jest odpowiedź, jakiej oczekiwałem! Od teraz idźcie przede mną! I powiecie mi natychmiast, jeśli znowu zobaczycie te postacie albo jeśli zaczną się zachowywać inaczej niż teraz! Zrozumiano?

— Tak! — Lijanas kiwnęła głową. — Teraz tylko na nas patrz i nie poruszaj się.

— Spojrzenia zazwyczaj nie zabijają. Miejmy nadzieję, że to się nie zmieni! - schował miecz do pochwy. — Idźcie dalej, Lijanas! Musimy

znaleźć miejsce, gdzie spędzimy noc. Szybko się ściemnia — i robi się zimno!

— A jeśli one... w nocy...

— Tym problemem zajmujemy się, jeśli faktycznie będzie trzeba. Teraz naprzód!

Lijanas pozwoliła, by prowadził ją przed sobą. Jego dłoń na jej ramieniu odpedziła resztkę zimna, które zaszczerpił w jej wnętrzu widok tych postaci. Jednak im bardziej nieubłaganie nadciągała noc i im bardziej ciemność wnikała między skały, tym więcej przybywało tych tajemniczych cieni, które wylaniały się z ciemności — i stopniowo przestawały być tak przezroczyste. W powietrzu pełno było teraz ich głosów, ich szept zdawał się unosić tuż nad jej głową. A Mordan cały czas ich nie widział ani nie słyszał. Lijanas przyłgnęła do niego, i choć starała się nie patrzeć na te postaci, czasem jednak jej wzrok zawisał na nich - i chłód znowu powoli rozprzestrzeniał się w jej wnętrzu. Potem zauważyła, że cofali się przed nimi, kiedy zbliżyli się do nich na kilka kroków. Nie przed nią, nie, do niej się niemal wyciągali. Ustępowali przed Mordanem, jak morze ucieka od skał podczas odpływu. Przed nimi utworzyła się alejka, która zamykała się z powrotem, gdy przeszli. Głosy zaczęły brzmieć gniewnie, szmer przypominał teraz prychanie, szept zamienił się w jej głowie w dręczące wycie. Droga zakręciła ostro, prowadząc dalej w górę - pomiędzy potężnymi skalnymi ścianami, między którymi zadomowiły się już ciemność i chłód nocy.

Dopiero, gdy objęła mocniej jego szyję i przyłgnęła do jego piersi, zdała sobie sprawę, że Mordan od dłuższego czasu niesie ją na rękach - nie zauważyła, kiedy ją podniósł. Uspokojona niewyjaśnionym przeczuciem, że nie może się jej nic stać, dopóki on tu jest, oparła głowę na jego ramieniu, koncentrując się całkowicie na spokojnym biciu jego serca, równomiernym i silnym, żywym i ciepłym wśród otaczającego ją zimna. Wtulila się głębiej w jego ciepło, uczyniła je swoim, nie zauważając, że wystąpił mu pot na czoło i zaczął płynąć po szyi, że zimno, które paraliżowało jej duszę, wyczarowywało szron na jego brwiach i sierści pokrywającej jego skronie, i kradło mu siły. Kiedy jego oddech stał się dziwnie ciężki, a prychanie i wściekle porykiwanie wokół niej zamieniło się w triumfalny chichot, zorientowała się, że coś jest nie w porządku. W następnej chwili Mordan potknął się i upadł wraz z nią na kolano. Bicie jego serca straciło swą równomierność, wyglądało to tak, jakby się potykało. Postacie odważyły się podejść bliżej. Błada dłoń dotknęła

włosów Lijanas. Ból, jakby oparzył ją lód, sparaliżował ją. Z jej gardła wyrwał się przeraźliwy krzyk. Przerażenie uwięziło jej duszę, odebrało jej wolę i wyłączyło myślenie. Drżąc i szlochając osunęła się na swego wojownika, ten stracił równowagę, którą utrzymywał z wielkim trudem, tak że musiał podeprzeć się dłonią o skałę i niemal przewrócił się na Lijanas. Jego ciepło uciekało od niej. Krag postaci zacieśniał się. Słyszała ich szept i śmiech. Mroźne szpony zatapiały się w jej umyśle, szarpały nią. Widziała miecze i topory w ich rękach — i wiedziała, że ich dotknięcie niesie śmierć. *Kereshtai* Mordana wylądował z brzękiem na ziemi i wysunął się na wpół z pochwy. Błyszcząca srebrno mgła słała się po ziemi, wznosiła nad skałami, pokrywając wszystko szronem polyskującym jak macica perłowa i zamieniając postaci w bladą jasność. Nagle pojawiły się inne głosy, ciemne, ciepłe, silne. Usłyszała, jak Mordan zaczął dyszeć zaskoczony, poczuła, jak zmęczony podniósł głowę, potem przycisnął ją do skalnej ściany, a *kereshtai* całkiem wysunął się ze śpiewem z pochwy. Zimne powietrze wypełniał szept. Postacie zawahały się. Jej wojownik zrobił krok do przodu, przeciągnął ostrzem po swej dłoni, czerwone ciepło zapłonęło na srebrnym lodzie, spłynęło potem aż do błyszczącego czubka, kiedy miecz skierował się ku ziemi. Powoli nakreślił swym ostrzem półkole od skały do skały, wokół nich, powiedział coś w swym języku, uniósł miecz i czekał. Pomiędzy szczytami po raz ostatni dostrzegli poświatę zachodzącego słońca. Jego światło zabląkało się w wąwozie, przebiegło w postaci lśniącego stożka po pochwie *kereshtai*. Coś się zmieniło wokół Lijanas, ciepło zaczęło przeciskać się przez chłód. Głosy postaci w jej duszy zamieniały się w skamlenie, zanikały, slychać było ledwie cichy szept, jednocześnie postaci cofały się, stawały znów przezroczyste. Zrobiło się cicho. Nawet wiatr milczał. Jednak skały zdawały się coś szeptać.

Potem została podniesiona z kamieni i ostrożnie pchnięta do przodu. Jej kroki były sztywne, nieporadne i właściwie trzymała się na nogach jedynie dzięki ramieniu Mordana. Nagie ostrze jego miecza lśniło jak zakrzepłe światło.

Dopiero, kiedy opuścili ten wąwóz i zbocza gór wznosiły się w niebo już tylko po jednej stronie, odważyła się spojrzeć do tyłu. Postacie za nimi zamieniły się znowu w jasne kontury, jak wcześniej. W milczeniu i w bezruchu stały w mroku wąwozu i patrzyły za odchodzącymi.

Ze słońca została już tylko krwistoczerwona linia na horyzoncie, kiedy Mordan znalazł wreszcie szczelinę w skale, osłoniętą występem, która mogła dać im wystarczająco dużo miejsca i schronienie na noc. Lijanas nie widziała już żadnej z tych postaci, odkąd opuścili wąwóz. Jej wojownik przyjął to do wiadomości, kiwnąwszy głową, jednak *kereshtai* leżał cały czas obok niego w pogotowiu, wyciągnięty z pochwy. Kiedy oddychali, powstawały białe obłoki, gdy siedząc jedno przy drugim spożywali skąpy posiłek z ciastek owsianych, suszonego mięsa i wody. W końcu ciemność pochyliła się nad nimi, łagodzona jedynie mlecznobiałym światłem księżyców, które jeden po drugim ukazały się nad szczytami gór. Przygryzłszy wargę, Lijanas przyglądała się, jak Mordan chował resztę ich zapasów z powrotem do skórzanego worka, potem wzięła głęboki oddech i zadała pytanie, które paliło ją w język, odkąd opuścili wąwóz.

— Skąd wiedzieliście?

— O czym? — zawiązał starannie worek, potem oparł się plecami o skałę i położył *kereshtai* obok siebie tak, że jego dłoń leżała luźno na rękojeści.

— Że trzeba nakreślić krąg mieczem, żeby trzymali się od nas z daleka.

— Nie wiedziałem tego tak naprawdę - wyznał po dłuższej chwili i potarł dłonią kark. - Kiedy pojawiła się ta mgła, usłyszałem nagle szept... To były znajome słowa: *Gorash baDur gis Kadai e Kadas, na Eddar — e Kesthan gis baAshk!* — ostatni wers z *ashk-keshtani*.

— To ten... taniec, podczas którego się wam przyglądałam w Cavalinie? Ale ja myślałam, że to tylko... jakieś ćwiczenie z mieczem.

— *Ashk-keshtani* to o wiele więcej niż tylko taniec czy ćwiczenie z mieczem, Lijanas. To raczej... zatopienie się w swym własnym ja. Jest tylko pięć rękopisów, które uczą, co on znaczy i w jaki sposób należy go właściwie tańczyć - to *Coraji Ask-Kestani*. Ale istnieje pierwotny rękopis, właściwy *Ashk-Keshtani*. Mówi on o zupełnie innych rzeczach niż te, które zawarte są w *Coraji*. Chodzi w nim o czystość i harmonię, o zespolenie duszy i mocy. Jego tekst zajmuje jeden zwój i czyta się go tak pięknie, jak pieśń czy wiersz. A *Gorash baDur gis Kadai e Kadas, na Eddar — e Kesthan gis baAshk!* to ostatni wers tego tekstu. W tłumaczeniu znaczyłoby to tyle, co: „Nakreśl krąg stałą i krwią! Stań się jednym - i zatańcz z duszami” - przeciągnął delikatnie palcami po ostrzu swego *kereshtai*, wzruszając lekko ramionami. - Niektórzy tłumaczą „*baAshk*” także jako „cienie”. Dlatego przyszło mi to do głowy. Zrobiłem tylko to - nakreśliłem wokół nas krąg i powiedziałem im, że jestem gotów z nimi zatańczyć, jak robi

się to zgodnie z pierwotnym tekstem, kiedy tańczy się *kesbtani* samemu. *Soar nara gondaji!* To wszystko. Dlaczego nie chcieli ze mną zatańczyć... - spojrzal na nią z boku, uśmiechając się krzywo. - Może moja sława dotarła tu przede mną, jak myślicie, Lijanas?

- Jaka sława? Jesteście bezgranicznie aroganccy, Kierze! — Lijanas udeżyła go, wdzięczna, że próbował poprawić jej humor.

Chwycił jej dłoń bez trudu. Jego śmiech był jednym białym obłokiem pary.

- Ale musicie przyznać, że posiadam kilka dobrych cech, uzdrowicielko.

Udając oburzenie, wciągnęła powietrze i wyrwała swą rękę.

- Skąd wiecie to wszystko? - zapytała potem, znowu poważna.

- Dużo czytałem — kiedy otworzyła szeroko oczy z zaskoczenia, ściągnął usta. — Dziwi was, że ktoś taki jak ja w ogóle umie czytać, co?

Przypomniała sobie uczucie respektu i radości, kiedy zobaczył prastare foliały, żądę wiedzy...

- Nie. Jesteście dowódcą. Człowiek na waszym stanowisku powinien umieć czytać i pisać. Zaskoczyło mnie tylko to „dużo”. Co dla was znaczy „dużo”?

- Wiedzie dobrze, że nie zawsze byłem dowódcą armii. A co znaczy „dużo”...? Nie wiem! Zbiór pism w salach Kessananów jest olbrzymi. Większość z nich jest zabroniona, mają do nich dostęp jedynie Wielcy Mistrzowie — ale pewnie było tego jakieś kilkaset rękopisów i pewnie drugie tyle zwojów. Zimno wam, Lijanas! Chodźcie tu i ogrzejcie się. Byłem głupcem, sądząc, że uda nam się znaleźć to przeklęte źródło w ciągu kilku godzin. Ale szukanie tu, na górze, drewna to jedynie strata czasu.

Lijanas nie była w stanie nic powiedzieć. Patrzyła na niego oszozolomiona, kiedy przyciągnął ją bliżej siebie i otulił ich swym płaszczem. Uważała siebie za wykształconą, ale on... - *Kilkaset rękopisów... Łaskawa, miej łitość, a on to mówi tak, jakby fakt, że ktoś umie czytać, był najnormalniejszą rzeczą na świecie* — wtuliła głowę w jego ramię. — Czy często się zdarza, że niewolni są kształceni przez Kessananów?

- Skąd wiecie... Oczywiście! Któż inny niż Kessanan, czy jeden z ich wychowanków miałby mieć dostęp do ich zbioru pism? Nie! Kessananie nie przyjmują zazwyczaj niewolnych. A tym bardziej półkrwi mieszańca, jak ja. Zgodnie z ich nauką jestem jedynie *condjai kadas*, bękartem, niegodnym żyć — przynajmniej nie jako wolny.

— A dlaczego...?

— Nie wiem, Lijanas. Jest w mym życiu tyle „dlaczego”, na które do tej pory nie znalazłem odpowiedzi, że czasem aż się boję - oparł się ramieniem wygodniej o skałę, wsunął rękę pod kaftan, dotknął swego boku.

Zaniepokojona Lijanas wyprostowała się.

— Wasza rana! Znowu boli?

Pokręcił wolno głową i znowu przyciągnął ją do siebie.

— Nie! Od kiedy byliśmy w tej jaskini, w ogóle jej nie czuję. Za kilka dni strup odpadnie i nie zostanie nic prócz kolejnej blizny. Nie martwcie się! Wygląda na to, że te postacie nie śledziły nas tutaj. Spróbujcie zasnąć, Lijanas. Wystarczy, że jedno z nas będzie czuwać.

Przez moment patrzyła na niego z powątpiewaniem, jednak potem przytuliła się do niego mocniej i chwilę później faktycznie zasnęła.

Czerń! Absolutna i nieprzenikniona! Chłód, który zamienia kości w lód - pierś zamiera przy każdym oddechu. Wokół niej szept i śmiech. Kuszące, szepczące. Czysty dotyk we włosach, delikatny, lekki. Sparaliżowana strachem stoi w nieskończoności mroku. Nie wiedząc, gdzie jest! Nie wiedząc, skąd się tu wzięła! Najmniejszy ruch porusza ją w niewidzialną otchłań pod jej stopami. W gardle czuje drżenie, płynie ono przez pozabawione czucia członki. Nie ma odwagi krzyknąć, ze strachu, że zwróci na siebie uwagę mroku. Ogarnia ją chłód, szarpie nią, wyciąga z niej życie, szarpie jej duszę. Jakieś głosy szepczą. Obiecują kres strachu. Tylko jeden krok w czeluść bez dna. Krzyk wydobywa się z jej gardła. Otula się ramionami, pojekuje. Lód odbiera jej ciepło i siły. Szept i śmiech. Szept. Pchnięcie — chwije się — jej stopa trafia w próżnię. Zimno nie pozwala oddychać. Łzy zamarzają na jej policzkach, spadają jako perły w nieskończoność. Między śmiechem i szeptami jedno słowo. „Elljen!” Głosy drwią, powtarzają to słowo ze wszystkich stron — elljen.

— Pomóż mi! — chłód paraliżuje.

— Chodź do mnie!

— Gdzie jesteś?

— Tutaj! — zewsząd śmiech.

— Proszę! Pomóż mi!

— Nie bój się! Chodź do mnie!

— Nie mogę cię znaleźć! - krzyk rozpacz.

— Idź za mym głosem! Chodź do mnie!

idź za mym głosem, chodź do mnie.

idź za moim głosem, chodź do mnie.

idź za moim głosem, chodź do mnie.

Szept. Wyciąga ręce w mrok.

— *Pomóż mi proszę!*

— *Idź za moim głosem!*

idź za moim głosem,

idź za moim głosem.

— *Nie mogę! On jest wszędzie!*

— *Zaufaj mi! Uspokój się! Nie słuchaj tamtego! Posłuchaj mnie! Posłuchaj mnie!*

Wokół niej dziki pisk. Ziemia pod jej stopami trzęsie się. Czuje na sobie ciepły oddech. — Uspokój się! — głos nie milknie ani na chwilę, ciepły i silny, otula ją. Wycie i jęki ogłuszają ją. Powoli robi krok. Chłód szarpie nią, odbiera jej powietrze. Chwije się. Szycerzy śmiech nypelnia jej uszy. — Posłuchaj mnie! — jeszcze jeden krok, potem drugi. Otacza ją ciepło. Czerń kończy się raptownie. Upada, tuląc się do znajomego zapachu stali, skóry i konia.

Lijanas z krzykiem otworzyła oczy. Ramiona Mordana przytuliły ją jeszcze mocniej. Jego głos był tuż przy jej uchu.

— Uspokój się, *Elljen!* Już wszystko dobrze! Jestem tutaj! Na duchy zemsty, jesteś zimna jak śmierć! Daj, ogrzeję cię!

Poczuła na skórze jego gorący oddech. Miała wrażenie, że w środku jest wciąż zamarznęta. Niemal czuła ból, kiedy pocierał dłońmi jej ręce i palce, przywracając im życie.

— Co się stało? — szcękając zębami, sama ledwie rozumiała, co mówi. Gdyby mogła, schowałaby się w nim. Przytuliła się mocniej do jego piersi.
— *Tak ciepło.*

Powoli pokręcił głową.

— Nie wiem. Najpierw byłaś ciepła i oddychałaś, a po chwili twoja skóra pokryła się szronem i nie było w tobie życia — a mimo to zdawało mi się, że słyszę twój krzyk... tak... rozpaczliwy, że wiedziałem, że umrzesz, jeśli nie uda mi się ciebie znaleźć. Ale ty byłaś tu!... - to „ty” było w jego ustach tak oczywiste, że życzyła sobie, by na zawsze już tak zostało. — Leżałaś w moich ramionach, błada jak trup, potwornie zimna, spokojna i bez życia — choć cały czas słyszałem twój krzyk w głębi mej duszy. Potrzebałem toba, by cię zbudzić — bez skutku. A potem... Wiem, że to brzmi jak szaleństwo, ale przysięgam, tam ktoś był. I nagle nie mogłem

zrobić nic innego, niż chwycić cię mocno w ramiona i trzymać. Trzymać wszystkim, czym jestem, i mieć nadzieję, że usłyszysz me wołanie i wrócisz stamtąd, gdziekolwiek jesteś - poczuła, jak oparł brodę na jej przedziałku i przyciągnął ją jeszcze mocniej do siebie. — Poskutkowało.

Fala gorąca w jej brzuchu rozlała się tak nagle, że aż się przestraszyła. Wsunęła kostki palców w zęby i przygryzła je, aż drżenie ustąpiło. — *Należę do Ahmeera!* — powtarzała sobie cały czas w myślach, aż słowa przestały brzmieć jedynie glucho.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Ciepło powoli wracało do ciała Lijanas. Kiedy w pewnym momencie opadła jej głowa, szturchnął ją delikatnie.

- Nie zasypiaj! — przypomniał cicho w ciemności głos Mordana. — Sądzę, że te legendy są prawdziwe — zaczerpnął powietrza. — Te góry naprawdę są przeklęte. Nie tylko dlatego, że są tutaj te cienie. Tu jest jeszcze coś innego. To zabiera życie tym, którzy zasną w tych górach. Nie wolno ci zasnąć do rana! Kiedy wszędzie słońce, nic nam już nie grozi!

Usłyszała jego — Mam nadzieję! — choć nie wypowiedział tego na głos.

To była najdłuższa noc w życiu Lijanas. W pewnym momencie zmusił ją, by zaczęła z nim rozmawiać; żeby opowiedziała mu o swym życiu wśród kapłanek Rabini, o swej pracy uzdrowicielki, o mieście przytulonym do klifów. Nie wrócili do zimnego „wy”. Gdy między skałami pojawiły się pierwsze promienie słońca, Lijanas opisywała mu właśnie Srebrną Salę w Ansharze, wysoko na skałach — budowlę, którą on uważał za absolutny błąd sztuki konstrukcyjnej, ponieważ, jaki jest pożytek z budynku, który jest zaledwie dachem nad prastarym tronem, na którym nikt nie zasiada, który podparty jest jedynie kolumnami i którego podłogę, w większej części - i do tego celowo - pokrywa woda.

Po szybkim śniadaniu wspinali się dalej w górę. W międzyczasie zauważyli, że rośliny poddały się i przestały osiedlać na tej niegościnniej wysokości. W pewnym momencie Lijanas zdało się, że słyszy cichy plusk wody i poprowadziła Mordana w kierunku wąskiej szczeliny w skale, która była zaledwie pęknięciem między dwoma potężnymi szczytami. Ledwie weszła w ten przesmyk, jej serce zaczęło mocno walić. Jej dłonie zrobiły się lepkie i wilgotne, zimny pot zaczął przesączać się przez skórę na karku i płynąć, zimny jak lód, po plecach.

Za plecami słyszysz wycie pożeraczy dusz, krzyki smych prześladowców. Nie może oddychać, dyszy ciężko, czując ból w piersi. Dłoń na jej ramieniu popycha ją delikatnie, ale zdecydowanie dalej.

— *Idź dalej, Elljen! To musi być gdzieś niedaleko!*

— *Już nie mogę! Miejcie litość! Zostawcie mnie! Oni chcą tylko mnie!*

— *Spokojnie, Aslajin! Idź dalej! Nie trać oddechu na takie bzdury!*

— *Nie mogę...*

— *Możesz! Jeszcze kawałek! Jak tylko szczelina zrobi się szersza, poniesiemy cię! Ale teraz musisz iść dalej! Prawie nas dogonili. Idź dalej!*

Potyka się, jej stopa ślizga się na skale.

Dłoń Mordana ścisnęła jej ramię, podtrzymał ją, aż znalazła oparcie.

— *Wszystko w porządku?* - w jego głosie slychać było zatroskanie.

Lijanas kiwnęła słabo i wspinała się dalej.

Laskawa, miej litość! Co to było? Co się ze mną dzieje?

W końcu szczelina rozszerzyła się, przechodząc w krąg o średnicy może dziesięć kroków - otoczony sterczącymi pionowo skałami. Pułapka, z której nie ma wyjścia.

Wojownicy stoją w milczeniu, w rękach trzymają obnażone miecze. Za nimi jakaś kobieta cisnie się przy skale. Krew z licznych zadrapań lśni na jej błyszczącej bieli i srebrem skóry. Oczy jak stare złoto patrzą na nich, szeroko otwarte z przerażenia. Rozlega się triumfalne wycie, odbija się echem wśród skał.

— *Zabijcie wiedźmę dusz i jej kochanków!*

Lijanas odskoczyła z okrzykiem przerażenia, uderzyła w Mordana, któremu ledwie się udało utrzymać równowagę. Szybko spojrziała na niego - kiedy znowu się odwróciła, mały krąg był pusty. Ze szczeliny naprzeciwko niej wybijała woda i wsiąkała z powrotem w kamienie. Powoli opuściła przejście. Wciąż jej się zdawało, że słyszy to wycie, ten głos. - *Co się ze mną dzieje? Czy tracę zmysły?*

— *Znalazłaś źródło* — Mordan minął ją, obejrzał się. — *I faktycznie leży otoczone skałami - spojrzaj na nią.* — Lijanas? *Co się dzieje?* — zaniepokojony wyciągnął do niej rękę.

Była w stanie jedynie pokręcić głową. W swym ciele czuła zimno, które ją paraliżowało. Objął ją ramieniem, poprowadził przez środek i kazal usiąść obok szczeliny w skale, z której żwawo tryskała woda. Podał jej ostatnie ciastka owsiane i buklak z wodą.

- Zjedz i napij się! Odpocznij chwilę! Kiedy lepiej się poczujesz, napelnimy fiołkę i znikniemy z tych gór. Dzisiejszą noc prześpimy przy ciepłym ogniu! Obiecuję ci! Lijanas? Lijanas?

- *Aslajin!* jego głos zamienił się w głos kogoś innego. Oparta plecami o skałę, podniosła się, *zaciśka drżące dłonie na kamieniu. Szytlet w jej dłoni jest bezużyteczny, wysuwa się jej z ręki, osuwa po skałę. Przez szczelinę wchodzi coraz więcej wojowników. Nad nią wyją pożeracze dusz, ich oczy błyszczą zielono. Stal uderza ze śpiewem o stal, wokół przerażliwe krzyki. Miecz przesywa pierś Norasara, ból rozdziera jej serce, chwije się, czuje, jak ulatuje jego dusza, zrywa więzy, uwalnia go. Męka jeszcze nie minęła, kiedy topór wbija się w ciato Zejidana. Jego krzyk to jej krzyk, odbija się od kamieni, sama upada na kolana, ślepa od łez. Dusze wołają ją, wiatr szepcze, mówiąc o tym, co się stanie, co jest zapisane. Jej palce odmawiają posłuszeństwa, kiedy chce zerwać perły ze swej szyi. — Kobieta na skraju wieczności. Strumienie krwi, zjednoczone w jeden! — Podchodzi do niej jakiś wojownik, chwyta ją za włosy. Kereshtai łśni, odbijając promień słońca. Jej dłoń otwiera się nad szczeliną w szorstkim kamieniu. Ostrze przesywa jej gardło i dusza ulatuje...*

- Lijanas! — to jej imię!

- Lijanas! — znowu.

Dłonie, które trzymają jej ramiona, potrzęsają nią, aż postukują jej zęby. Otworzyła gwałtownie oczy, zobaczyła jego dłoń przygotowaną już do uderzenia i schyliła się. Jego palce zaciśnęły się znowu na jej ramieniu.

Kucnął przed nią. Patrzyła na Mordana, nie widząc go.

- Zostali zdradzeni. Brat Norasara powiedział im, że tędy można uciec. On ją zabił. To jego brat ją zabił.

- O czym ty mówisz? Kto kogo zdradził? Kim jest Norasar? Kto został zabity?

- Aslajin! Ją tu zamordowano. Takim samym mieczem jak twój! - wskazała na *kereshtai* za jego pasem.

Dłonie na jej ramionach zaczęły jej sprawiać ból.

- Aslajin? Kto... Masz na myśli tę solną wiedźmę! Tutaj? - szybko omiół wzrokiem skały, pokręcił potem zdecydowanie głową. Powoli jego dłonie puściły ją. Wyciągnął ze skórzanego worka zawiniątko, otworzył je i ukazało się male drewniane pudeleczko, które otworzył i podał jej. Szlifowane szkło zablysło w świetle słonecznym. — Tutaj! Weźmiesz teraz tę fiołkę, napelnisz ją wodą, a potem opuścimy to miejsce. — Nie wierze w kłatwy! Ale coś się tutaj dzieje! Dlatego znikamy stąd! Natychmiast!

— To świętokradztwo! Nie powinno nas tutaj być! - dłonie Lijanas spoczywały bez ruchu na jej kolanach.

— Lijanas! Mój rozkaz mówi, że mam dostarczyć do Turasu ciebie i tę fiołkę napelnioną wodą z tego przekłętego źródła. Mój rozkaz mówi dalej, że tylko tobie wolno dotknąć tej fiołki z wodą, a więc ty musisz ją napelnić. Teraz weź to i nabierz wody! — podał jej znowu pudeleczek.

Zawahała się, spojrziała na niego — odskoczyła, *widząc za nim tych dwóch wojowników, z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Jeden ma oczy jak lód, ten drugi jak burzowe niebo* — mrugnięcie powiek i zniknęli. Na czole Mordana pokazały się ostre bruzdy. — *Tracę zmysły! On ma rację! Musimy stąd uciekać! Zaraz!* - drżącymi palcami wzięła fiołkę, podstawiła pod tryskającą wodę. Źródło bulgotało wesoło, zdawało się śmiać. To błyszczało głęboko w szczelinie. Zamknęła fiołkę, odłożyła ją do pudeleczka. Mordan zamknął je, zawinął znowu w materiał i schował starannie. Jej palce zanurzyły się znowu w ciepłej wodzie, wymacały szczelinę, spoczęły na tym, co tam leżało i wyciągnęły to na powierzchnię. Kiedy znowu się do niej odwrócił, trzymała w ręku plecionkę z perel.

— Skąd to masz? — wyjął jej to z ręki, przyglądając się perlom uważnie.

— Ze źródła. Leżało w szczelinie. Należało do Aslajin — na dźwięk tego imienia na jego czole znowu pojawiły się zmarszczki.

— Można by niemal pomyśleć, że to małe krople. Są całkiem zimne... Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby tak oprawiano perły. Spójrz, nie są przewiercone. Po prostu wpleciono je w to złoto czy srebro, które je razem trzyma. Ta biżuteria jest przepiękna i pewnie bardzo cenna. — oddał jej perły. - Ty powinnaś to nosić.

Pokręciła z przerażeniem głową.

— Co chcesz z tym zrobić? Wyrzucić? To trzeba było w ogóle nie wyciągać tego z wody. A jeśli koniecznie chcesz wziąć te perły ze sobą, równie dobrze możesz je sobie założyć.

— Znowu pokręciła głową.

— Jak chcesz - przewiesił sobie worek przez ramię i wyciągnął do niej rękę. — Chodź, uciekajmy stąd. Droga na dół jest długa, a obiecałem ci posłanie przy ognisku.

Przez chwilę trzymała perły niezdecydowanie w palcach, potem wsunęła je do kaftana, chwyciła dłoń Mordana i ruszyła za nim przez szczelinę. Nie widziała, jak źródło się zamknęło.

Droga z góry była dużo mniej męcząca niż pod górę. Mordan narzucił szybkie tempo, brał jednak pod uwagę, czy ona jest w stanie nadążyć i czy się zbytnio nie męczy. Kiedy wśród ostów pojawiły się pierwsze ifejony, zatrzymali się na kilku nagrzanym słońcem skałach. Lijanas milczała, pogrążona w myślach, próbując sama siebie uspokoić. Nie postradala zmysłów! Od kiedy zostawili za sobą źródło i szczelinę, nie widziała już więcej rzeczy, których nie było. Może jej zmysły tylko się z nią zabawiły. Była zmęczona, wyczerpana. Tak, to na pewno dlatego!

Była wdzięczna, że Mordan pozwolił jej pobyć samej ze swymi myślami, siedząc tylko spokojnie na skalnym bloku obok niej. Nie uszło jej uwadze, że przyglądał się jej uważnie.

Kiedy ruszyli w dalszą drogę, słońce zaczęło się już chylić ku zachodowi i cienie między skałami wydłużyły się.

Za skalnym wyłomem otworzył się w końcu ciemny wąwóz między skałami — a po jego drugiej stronie widać było wreszcie zabarwioną na złoto od zachodzącego słońca szarość mgielnej ściany. Prawie im się udało!

Jednak, kiedy już zaledwie kilka kroków dzieliło ich od sterczących pionowo skał, Lijanas zatrzymała się. Mordan odwrócił się do niej zaskoczony.

- Co się dzieje?

- Te postacie... Co, jeśli one... — głos jej się załamał, jednak on i tak zrozumiał.

- Bez obaw! Wczoraj zobaczyłaś je po raz pierwszy, kiedy słońce skryło się za górami - jeszcze jest jasny dzień. Nie sądzę, że już teraz grozi nam coś z ich strony — jego kły zabłysły w krótkim uśmiechu. - A poza tym zapomniałaś już: *Soar nara gondaji!* — Jestem gotów z nimi zatańczyć. Chodź!

Wziął ją za rękę i poprowadził przez strome skały. Już po kilku krokach pochłonęły ich cienie, gnieźdzące się wśród kamieni. Przez dłuższą chwilę Lijanas wsłuchiwała się lęklonie w każdy odgłos, ściskając palcami dłoni Mordana, mocne bicie jej serca uspokajało się bardzo powoli - tym bardziej przestraszyła się, kiedy wojownik Kier zatrzymał się niespodziewanie.

- Co się dzieje? - nie miała odwagi powiedzieć tego głośno.

- Cicho! Tam coś jest! - ukrył ją za swymi plecami. Teraz Lijanas też to usłyszała, dziwne szuranie, które brzmiało niemal jak czyjeś zmęczone kroki. Bardziej poczuła, niż zobaczyła ruch, którym Mordan dobył swego

kereshtai. Potem wśród cieni dało się nagle coś zobaczyć. W ich stronę szedł mężczyzna, ze zwieszonymi ze zmęczenia ramionami.

- Stać! - polecenie ostro przecięło mrok. — Kim jesteście?

Postać podniosła powoli głowę, jakby pociągana za sznurki.

- Dowódcu?

- Levan? - Mordan opuścił miecz. - Levan, co ty tu robisz? Mielicie czekać po drugiej stronie mostu! Czy Eren jest z tobą? - nie otrzymał odpowiedzi. Czujnie podszedł do młodego wojownika. Lijanas ruszyła za nim, precyzyjnie się jednak szybko obok niego, kiedy Levan padł na kolana. Pochyliła się nad nim, uniosła jego głowę. W jego oczach żarzyły się zielone ogniki. Krzyk Lijanas zamienił się w charczenie, kiedy jego palce zacisnęły się na jej gardle. Wyszczrzył zęby. Jego oddech czuło było padliną. Zrozpaczona próbowała oderwać jego palce, zaparła się ręką o jego pierś. To odrażające, czarne robactwo, które widziała już na Pustyni Słonej, znowu wisiało nad jego życiem, tylko tym razem to „było” jego życie. W następnej chwili Mordan złapał ją i wyrwał ze szponów Levana. Dysząc, upadła na ziemię, nad nią stał Mordan, unosząc groźnie *kereshtai*. Na widok błyszczących zielono oczu młodego Kiera, wciągnął ostro powietrze. Levan stał, chwiejąc się, słychać było jego gulgotający oddech, potem rzucił się do przodu, wykrzywił dłoń jak szpony. Mordan zawahał się, wyciągnął w ostatniej chwili klingę - ostrze przeszło ciało Levana, runął na ziemię, wbił pazury w kamień i zaczął czółgać się w stronę Lijanas. Z rany tryskała krew. Cofnęła się z krzykiem. Iskry posypały się, kiedy czubek *kereshtai* Mordana uderzył w ziemię, lecz Levan nie ruszył się już, jego głowa odpadła od tułowia. Chwiejąc się, Lijanas stanęła na nogi, zatoczyła się, mijając ciemnego wojownika, potknęła się o skałę, upadła na kolana i zwymiotowała, dławiąc się. Kiedy jej żołądek nie był w stanie już nic z siebie wyrzucić, podniosła wzrok. Mordan stał obok niej, ze wzrokiem utkwionym w miejscu, gdzie leżały zwłoki Levana.

- Miał oczy pożeracza dusz — w jego głosie słychać było oszołomienie. Ostrożnie dotknęła jego nogi. Ciężko opadł na skalny blok obok niej, nie mogąc oderwać wzroku od ciała młodego mężczyzny. - Co z Erenem? Musiał go zabić - usłyszała jego mamrotanie. Jego dłoń zacisnęła się w pięść. - Powiniennem być poszukać w Cavallinie tego zielonego kamienia, o którym mówiłaś na pustyni. Może teraz by...

Ścisnęła uspokajająco jego ramię. Wciąż czuła mdłości w gardle. Z trudem udało się jej to zdusić.

- Rany się zasklepiły. Nikt nie mógł przypuszczać, że to się stanie. Nawet ty.

- Bylem za niego odpowiedzialny! - z goryczą wyrzucił z siebie te słowa, potem ujął ją za podbródek. — Zranił cię?

Pokręciła głową.

- Nie! Jeśli ktoś jest za to odpowiedzialny, to ja. Ja jestem uzdrowicielką! Powinnam się była upewnić, czy wszystko z nim w porządku. Także po tym, jak już się dobrze poczuł.

- Skąd mogłaś wiedzieć, że te przeklęte rany po pazurach... — zamilkł, przeciągnął palcami po włosach, wstał dziwnie ciężko i podszedł do zwłok młodego wojownika, gdzie przyklęknął, po ostatniej chwili wahania. Lijanas usłyszała, jak wymamrotał coś w swoim języku, potem podniósł się i zaczął znosić odłamki skal i okładać nimi ciało Levana. Lijanas rozumiała i sama zaczęła zbierać mniejsze kamienie i żwir, by wypełnić przestrzenie tego prostego grobu.

Wreszcie skończyli. Cofnęła się, przyglądając, jak Mordan wyciągnął coś ze swej torby i położył na jednym z kamieni. Między stromymi skałami jeszcze raz zabłądziły promienie zachodzącego słońca, pograżając grób Levana w ciepłym świetle. W ich blasku rozbłysnął, leżący między kamieniami, samotny rubin.

- *Noash Erai, Kiadar!* - usłyszała Lijanas z ust ciemnego wojownika, kiedy po raz ostatni dotknął kopczyka z kamieni. Potem odwrócił się, chwycił ją za rękę, i w milczeniu kontynuowali swą drogę.

Słońce właśnie ostatecznie schowało się za górami, zabarwiając mgłę na krwistoczerwony kolor, kiedy doszli wreszcie do wąwozu i do mostu. Nie puszczając jej ręki, Mordan ruszył w płomienną szarość, trzymając się, jak za pierwszym razem, bocznego muru. Po tamtej stronie mgielnej ściany czekał na nich posępny mrok. Jednak ledwie poczuli pod stopami grunt, zatrzymał się nagle - ich konie zniknęły, a w pewnej odległości od nich poruszały się postacie, rzucające długie cienie. Mordan trzymał już miecz w dłoni, kiedy ktoś na nich zawołał. To byli Kierowie! Krótkim gestem kazał jej zaczekać, potem ruszył w stronę tych ludzi i zamienił z nimi kilka słów. Nawet stąd słyszała, że jego głos stawał się coraz ostrzejszy.

- Co się dzieje? - jej głos brzmiał cienko.

- Jerdt tu jest.

Lijanas wciągnęła powietrze.

- Czego chce?

- Nie wiem. Ci ludzie nie mogli mi tego powiedzieć. Mają rozkaz czekać tu na mnie i zaprowadzić do niego. Nie miał odwagi rozbić obozu tuż przy wąwozie, tchórz.

- Czy wolno mu tak po prostu kazać cię do siebie przyprowadzić?

- Właściwie nie. Ale jest przy nim jakiś Kessanan, który ma przy sobie rozkaz króla dla mnie. Muszę iść z tymi ludźmi.

- A Ecren?

- Nie widzieli go.

Podniósł wzrok, gdy zbliżyli się do nich dwaj mężczyźni, prowadząc dwa konie. Lijanas rozpoznała swego siwka i Ired. Mordan pomógł jej wsiąść na grzbiet szarego konia, potem wsiadł na swego *ashentai*. Krótki znak i ruszyli ze swą eskortą w coraz szybciej zapadającą noc.



Namiat oświetlano jedynie kilka mis z ogniem. Dwaj mężczyźni odwrócili się, kiedy wszedł, za pasem jednego tkwiły dwa miecze — znak godności Kessanana. Z dłonią na rękojeści swego *kereshtai*, Mordan zatrzymał się. W żołądku poczuł nagle drżenie. — *Bądź posłuszny!* - odpędził **te** wspomnienia i przelknął gorzki smak, który zostawiły na jego języku. Jerdt uśmiechnął się do niego z drwiną, również w uśmiechu tego drugiego nie było cienia przyjacielskości.

- Kessananie Arkellu — Mordan skinął lekko głową, jak nakazywał ceremonial, ale nie było w tym nic więcej. - Jerdcie.

- Dowódco Mordanie — także Arkell, jeden z Wielkich Mistrzów Kessananów, kiwnął nieznacznie, przyglądając się mu uważnie. Jego spojrzenie pełne było pogardy. Pokłon Jerdta nie był wiele głębszy. Jego brak szacunku nie uszedł uwadze Mordana. Założył ręce na piersi.

- Dlaczego zostałem tu przyprowadzony przez twych wojowników, Jerdt? - ton jego głosu był szorstki.

- Dowódca Jerdt posłał po was swych ludzi na mój rozkaz, dowódco Mordanie - odpowiedział Kessanan. Mordan sapnął; prośba jednego z Wielkich Mistrzów Kessananów nawet dla dowódcy była rozkazem. - Przynoszę wam pismo od króla! — Arkell wyciągnął zapieczętowane pismo z rękawa swej zielonej szaty i podał mu je.

Przez chwilę patrzył badawczo to na jednego, to na drugiego, potem podszedł do jednej z mis z ogniem, złamał pieczęć i zaczął czytać. Z niewzruszoną miną podniósł wzrok.

- Odmawiam wykonania tego rozkazu!

Plomienie zaczęły chciwie lizać pergamin, kiedy włożył pismo do misy z ogniem.

- Jak możesz... - dłoń Kessanana powstrzymała Jerdta.

- Wiecie, co to oznacza, dowódco?

- Tak!

Arkell wsunął protekcyjnie dłonie w rękawy swej szaty i przechylił głowę. Jerdt zamierzał udać się w kierunku wyjścia.

Na ostre - „Czekaj!” - Mordana, zatrzymał się zaskoczony. - Nim każesz mnie aresztować swym ludziom — prawdopodobnie na prośbę Wielkiego Mistrza — pomyśl, że jestem w drodze na polecenie króla — lodowatym wzrokiem spojrzal najpierw na Jerdta, potem na Arkella. - Będziecie musieli zatem poczekać, aż zawiozę uzdrowicielkę do Turasu, do Haffrena.

Wzrok Jerdta powędrował niepewnie w stronę Kessanana.

Ten znowu skłonił głowę.

- On ma rację — rozłożył uspokajająco ręce, kiedy Jerdt chciał zaprotestować. — Ale, dowódco Mordanie, nie możecie zabronić, by dowódca Jerdt towarzyszył wam do Turasu ze swymi żołnierzami.

W odpowiedzi ciemnowłosy wojownik jedynie kiwnął lekko głową, potem odwrócił się w stronę wyjścia.

- Mordanie! — głos Kessanana był łagodny, Mordan zatrzymał się. Patrzył w kłapę namiotu. Tak Arkell rozmawiał z nim kiedyś - ledwie udało mu się powstrzymać drżenie. — Nigdy nie byłbyś dobrym Kessananiem! Wiedziałem o tym już wtedy, gdy cię uczyłem!

Teraz Mordan jednak się odwrócił.

- Dlatego przecież kazalesz mi ostatniego dnia założyć na szyję żelazny pierścień niewolnego zamiast dać mi miecze Kessananów — przez jego usta przemknął zimny uśmiech. — Jeśli się dobrze zastanowić, powinienem być ci za to wdzięczny, Arkellu, ponieważ nie byłbym takim człowiekiem, jakim jestem dziś, gdyby nie podarowano mnie Jaratowi — dostrzegł błysk gniewu w oczach Arkella. - Wyruszamy przed wschodem słońca! Bądźcie gotowi, Kessananie, dowódco, w przeciwnym razie wyruszę w drogę powrotną do Turasu bez was.

Lekkim ruchem zamknął kłapę namiotu i wyszedł. Zatrzymał się w ciemności poza kręgiem światła rzucanym przez dwie pochodnie przed wejściem i spojrzal w nocne niebo. Trzy księżycy nad jego głową stały już prawie w pełni; gwiazdy były niewidoczne w ich świetle. Powoli odechnął.

Przegrałem wojnę — ale przynajmniej tę bitwę udało mi się wygrać!

Ktoś potrząsający jej ramieniem obudził Lijanas następnego ranka. Rozpoznała głos Mordana, który kazał jej wstać, ponieważ chcieli wyruszyć. Przez skórzane ściany namiotu dochodziło rżenie koni i głośnie krzyki. Zamrugła zmęczonymi oczami i przeciągnęła się, patrząc, jak Mordan się prostuje. Chwilę później klapnięcie skóry u wejścia namiotu obwieściło, że znowu wyszedł. Przez chwilę leżała z zamkniętymi oczami, wyobrażając sobie, jeszcze w półśnie, że leży w obozie Kierów, w namiocie Mordana — lecz potem przypomniała sobie, gdzie jest i usiadła. Łóżko, na którym leżała, było twarde, skóry postrzępione i cienkie. Misy z ogniem dawały niewiele światła. W półmroku udało się dojrzeć ciosany, drewniany stół i dwa krzesła. Poza tym nie było nic, co by choć trochę przypominało udogodnienia, które znajdowały się w namiocie Mordana. Na stole stała miska z wodą, a na tacy obok, czekały chleb i ser. Jej ubrania leżały w nogach łóżkach tak, jak je wczoraj rzuciła. Umyła się pospiesznie, ubrała, spożyła szybko skąpe śniadanie i wyszła z namiotu. Zaskoczona, stwierdziła, że słońce jeszcze nie wzeszło. Ludzie kręcili się między osiodlanymi końmi. Jerdt stał obok swego siwka i rozmawiał z rosłym mężczyzną, za którego pasem tkwiły dwa miecze. Obcy odwrócił się i Lijanas go rozpoznała. Widziała go we wspomnieniach Mordana — Arkell! Kessanan, który go uczył. Cóż za niesmaczny żart, posyłać akurat tego człowieka, który wciąż gości w koszmarach Mordana. Czyjeś kroki zbliżyły się do niej. Kiedy się na wpół odwróciła, czarnowłosy wojownik stał za nią.

- Dzień dobry! - skinęła głową, uśmiechając się.

Nie zareagował ani na jej uśmiech, ani na powitanie, zamiast tego chwycił ją za ramię i popchnął do przodu.

- Czekaliśmy tylko na was! Chodźcie! Pomogę wam wsiąść na konia! „Wy”? „Wam”? Patrzyła na niego jak odurzona, pozwalając się zaprowadzić do swego siwka.

- Nie przedstawicie mnie uzdrowicielce, dowódco Mordanie?

Ciemny wojownik miał jeszcze splecione dłonie, żeby pomóc jej wsiąść na konia. Teraz znieruchomiał na mgnienie powieki, nim wyprostował się i odwrócił. Za nim stał Kessanan.

- Uzdrowicielka Lijanas — Wielki Mistrz Kessananów — w jego głosie szczął mróz.

Lijanas czuła, że patrzy na nią jak na odrażającego insekta. Oczy Kessanana otworzyły się szeroko, gdy zauważył luski, błyszczące jak macica perłowa; jeszcze raz zmierzył ją wzrokiem. Odpowiedziała na jego spoj-

rzenie milczeniem, trwała tak, aż miał dość. Odwróciła się obcesowo, włożyła stopę w strzemień i podciągnęła się na grzbiet swego konia. Na twarzy Kessanana przez chwilę wyraźnie widać było oburzenie, potem odwrócił się i również wsiadł na konia. Także Mordan wskoczył na Ired i niedługo potem opuścili ten nędzny obóz - ona, Mordan, Jerdt, Kessan i dziesięciu wojowników Kier, należących do drugiego dowódcy armii króla Haffrena.

Jechali szybko, Jerdtowi i Kessanowi spieszyło się. Mordan pozwolił im na to, pilnował jednak cały czas, by Lijanas miała możliwość odpocząć, kiedy konie szły stępą. Przez pierwsze noce spali pod gołym niebem. Mordan sprawdzał za każdym razem, czy jest jej wygodnie, nim rozwinął swe własne posłanie obok i położył się. Trzymanie warty zostawił wojownikom Jerdta — a mimo to widziała, ilekroć spojrzała na niego, jak jego oko ciemno błyszczy w świetle księżyca. I choć żaden z tych ludzi nie zbliżał się zbyt do Mordana, ani nie zachowywał wobec niego niestosownie, nie mogła się pozbyć wrażenia, że pierwszy dowódca armii króla Haffrena był właściwie więźniem. Fakt, że nigdy nie zostawiano jej z nim sam na sam, potwierdzał jedynie to podejrzenie.

Wieczorem, trzeciego dnia, dotarli do małej wioski i Jerdt bez wahania zajął na kwaterę największy dom w tej miejscowości. Kiedy Lijanas weszła do środka, zauważyła, że rodzina właściciela siedzi skulona w kącie izby, patrząc z lękiem w ich stronę; gospodyni przyciągnęła do siebie swych obydwu synów, by ukryć ich przed oczami tych mężczyzn. Trudno było nie dostrzec przerażenia na ich twarzach, kiedy do pomieszczenia weszli najpierw Jerdt, a potem Mordan.

Drugi dowódca Haffrena przegonił ostrym tonem kobietę - do kuchni, jak podejrzewała Lijanas, by przygotowała im kolację. Potem wszedł po schodach na piętro, obejrzał pokoje i wskazał jej wreszcie małe pomieszczenie na końcu korytarza. Szybko jedna z córek została posłana, by wytrześć wypchany słomą materac i oblec go czystym prześcieradłem. Na przyjazny uśmiech Lijanas dziewczyna odpowiedziała trwożliwym spojrzeniem i głębokim ukłonem, potem uciekła. Cicho skuliła się na łóżku. Na dole w izbie słyszała hałasujących wojowników, w pomieszczeniu obok rozległy się kroki. Równomierne, w tę i z powrotem. Lijanas usiadła, zaczęła nasłuchiwać. Czy to był Mordan? Cicho podeszła do pobielonej ściany i przyłożyła do niej dłoń. Potem w korytarzu zaczęły przybliżać się czyjeś głosy i kroki umilkły. Lijanas wskoczyła szybko na

łóżko i siedziała, jakby nigdy nic, gdy drzwi się otworzyły. Pokłoniwszy się głęboko, weszła do pokoju gospodyni z tacą w rękach, obladowaną parującym mięsem i warzywami. Nie patrząc na Lijanas, postawiła wszystko na stole, obok murowanego paleniska, i odwróciła się w stronę wyjścia. Zamarła, zobaczywszy Mordana w drzwiach. Zniecierpliwionym gestem odesłał ją, obejrzał uważnie pokój, wreszcie spojrzal na Lijanas.

- Czy wszystko jest jak trzeba, uzdrowicielko? Czy macie wszystko, co potrzebne wam na noc? - dopytywał się. Za jego plecami dostrzegła Jerdta, który patrzył na nią wyraźnie rozwścieczony. Pojęła, dlaczego zadal **TO** pytanie dopiero wtedy, gdy dostrzegła klucz w jego dłoni. Mordan chce ją tu zamknąć na noc na klucz - a Jerdt nie jest z tego zadowolony.

- Tak, mam wszystko! Dziękuję!

Powoli skinął głową.

- Gdyby coś się działo, krzyczcie! Będę obok. Życzę wam spokojnej nocy, Lijanas. Do rana.

Drzwi zamknęły się, usłyszała zgrzyt klucza. Dopiero po chwili usiadła na materacu. O ile na początku swego uprowadzenia czuła się jak uwięziona w jakimś koszmarze, teraz wydawało jej się to wręcz nie do zniesienia. Myśl, że człowiek, który ochronił ją nawet przed pożeraczami dusz, nie będzie może w stanie ochronić jej przed Jerdtem i tym Kessananiem, napawała ją lękiem.

Następne dni przebiegały według tego samego schematu. Jechali do późnej nocy, zatrzymywali się wreszcie w jakiejś wsi i Jerdt rekwirował najpiękniejszy dom w okolicy. On decydował, w którym pokoju Lijanas spędzi noc. Mordan zajmował za każdym razem pokój obok. Przynoszono jej kolację, a upewniwszy się, że ma wszystko, czego jej trzeba, Kier zamykał ją na klucz. Rankiem to on otwierał drzwi i niedługo po tym siedziała znowu na grzbiecie konia, jadąc w kierunku Turasu.

Po południu, szóstego dnia, dotarli wreszcie do stolicy Telmahru. Oslaniani siedmioma pierścieniami fortyfikacji - potężnymi murami, wyższymi niż dziesięciu ludzi, którzy staliby sobie na ramionach, w najwęższym miejscu nawet nie mającymi mniej niż osiem metrów szerokości — Skalny Zamek Turasu, nie do zdobycia, wznosił się przed nimi w niebo. Potężne wieże, na których dzień i noc czuwali wartownicy, pięły się wysoko w górę, patrząc daleko przed siebie.

Nikt nie zastąpił drogi obydwu dowódców i ich towarzyszą, gdy przejeżdżali po deskach ciężkiego mostu zwodzonego, spinającego głęboką

fosę, i kiedy skierowali się wybrukowaną drogą, prowadzącą zakrętami na górę, do twierdzy. Przejżdżali obok domów o konstrukcji szkieletowej z ostrymi szczytami, mijali wąskie uliczki, w których Kierowie oglądali się za nimi z ciekawością, podczas gdy inni zajęci byli swymi codziennymi zajęciami i nie zwracali na nich uwagi. Każda brama pierścieni fortyfikacji zabezpieczona była ciężką bronią, której żelazne czubki polyskiwały groźnie nad głowami jeźdźców, oraz masywną drewnianą bramą, opatrzoną gwoźdźmi i żelaznymi okuciami. Potem minęli wreszcie ostatni pierścień i wjechali na wybrukowany, przestronny dziedziniec górnego zamku. Podbiegli do nich niewolni, by przytrzymać konie, wojownicy zsiadli, a Mordan pomógł Lijanas. Potężne schody naprzeciw bramy prowadziły do głównej części zamku, przed którą stali strażnicy. Jednak to potężna, okrągła wieża, pnąca się w niebo z lewej strony, przykuła uwagę Lijanas. Kiedy zsunęła się z konia, z blanków wieży wzbił się sokół. Przez chwilę śledziła lot ptaka, potem zauważyła postać, która stała tam, na górze, i patrzyła na nich.

Dotknęła ręki Mordana.

- Kto to jest?

Również spojrzal w górę.

- Królowa Naisee. Jest obłąkana. Zabiła swe własne dziecko, jak tylko się urodziło. To było dwadzieścia trzy zimy temu. Od tego czasu żyje w górnej części wieży — włożył małe, drewniane pudeleczko z fiolką pod pachę i pchnął ją delikatnie do przodu, trzymając dłoń na jej plecach. - Chodźcie! Na pewno już na nas czekają!

Poprowadził ją przez podwójną bramę palatium, przez wiele korytarzy i, po niemal niekończących się, stromych schodach. Jerdt i Kessanan szli tuż za nimi. Gdziekolwiek Lijanas spojrzala, wszystko było szare i dziwnie ponure. Poczula, jak mimowolnie przeszły ją ciarki. W końcu dotarli do pustego pomieszczenia, gdzie przed dwuskrzydłowymi drzwiami stali wartownicy, patrzący bez ruchu przed siebie. Jerdt i Kessanan oddali służącym swą broń i podeszli bez wahania do drzwi, które otworzyli im wojownicy. Lecz, kiedy Mordan chciał pójść przed nimi, do czego najwyraźniej miał prawo, strażnicy nie pozwolili mu wejść. Drugi dowódca armii Haffrena i Wielki Mistrz Arkell przeszli jednak bez problemu. Przez chwilę Mordan stał bez ruchu, zaciskając pięści, potem odwrócił się gwałtownie i podeszedł do jednego z wysokich okien, które wpuszczały światło do tego pomieszczenia. Lijanas podeszła do niego powoli.

— Co się dzieje tam w środku? - nie miała odwagi mówić głośno.

— Pewnie obydwaj składają królowi sprawozdanie.

Usłyszawszy gorycz w jego głosie, spojrziała na niego zaskoczona.

Uśmiechając się uspokajająco, pokręcił głową.

— To nie dotyczy was, Lijanas.

— Ale was.

— Tak! Spójrzcie, znowu ten sokół! — wystawił rękę przez okno. — Piękny ptak.

Lijanas wychyliła się — stąd był doskonały widok na wieżę, w której mieszkała królowa - i znieruchomiała.

— To prawdziwe drzewa, tam na wieży?

— Tak. To gaj cedrowy. Te drzewa są zielone także zimą. Podobno na dachu jest nawet mały staw. Nie pytajcie mnie, jak to możliwe, Lijanas.

— Czy królowa czasem opuszcza wieżę? — obserwowała szczupłą postać, stojącą spokojnie na skraju gaju. Zdawała się patrzeć w ich stronę.

— Nie! Nigdy! Służą jej dwie niewolne kobiety. Tylko królowi wolno ją odwiedzać.

— To musi być straszne, cały czas w zamknięciu... I to od dwudziestu trzech zim.

Wzruszył ramionami.

— Ona jest obląkana, Lijanas. To... - drzwi otworzyły się i Mordan się odwrócił. Strażnicy dali mu do zrozumienia, skinąwszy głową, że może wejść. Nagle jego dłoń dotknęła jej ramienia. — Lijanas... dałem wam słowo, że odwożę was do Anschary. Prawdopodobnie nie będę mógł go dotrzymać.

Zdumiona zaczerpnęła powietrza, jednak on mówił śpiesznie dalej.

— Nie martwcie się! Zadbam o to, by kto inny zrobił to zamiast mnie. Macie moje słowo!

— Dlaczego nie możecie... - zamilkła, kiedy pokręcił głową. Przez krótką chwilę na jego twarzy widać było jakby żal.

— Chodźcie! — kiwnął w stronę drzwi. - Nie możemy kazać królowi czekać.

Wciąż jeszcze oszołomiona jego zaskakującymi słowami, pozwoliła wprowadzić się do sali - i zatrzymała się. To, co do tej pory widziała w Turasie, było mroczne i ponure, ale to tutaj... W ziemię wpuszczone były misy z ogniem, których płomienie rozprowadzały duszące gorąco. Wzdłuż osmalonych ścian stali wojownicy z halabardami o długim ostrzu przy

boku. Na końcu długiego pomieszczenia było kilka stopni prowadzących do tronu, na którym siedział mężczyzna, który mimo gorąca otulony był płaszczem podszytym futrem. Na najwyższym stopniu czekali już na nich Jerdt i Kessanan. Lijanas jeszcze raz omiotła wzrokiem pomieszczenie. Żadnych kosztownych, barwnych kilimów na ścianach, żadnych sztandarów, żadnego światła, oprócz tego, które dawały ogniska i kilka czarnych, ciemnych kandelabrow. To nie była sala królewska — to była jaskinia zwierzęcia! Poczula dłoń Mordana dotykającą lekko jej pleców i podeszła w stronę tronu. Wraz z Mordanem weszła po schodach, lecz kiedy on uklęknął na jedno kolano, pochylając pokornie głowę, ona stała, splótlszy dłonie, i patrzyła spokojnie, po kolei na mężczyzn przed nią. Czerwono podkrążone oczy króla i jego pochylona postawa zdradzały ciężką chorobę, która trawiła jego ciało. Zrobiło jej się go żal. Potem jej wzrok powędrował ku szczuplemu, ciemnowłosemu mężczyźnie, odzianemu w kosztowną szatę z szerokimi rękawami, który właśnie podniósł się z bogato obłożonego skórą krzesła stojącego przy ścianie i podszedł do nich powoli. Napotkała niebiesko-fioletowe oczy, które patrzyły na nią z bliskim spod cienkich brwi na, dziwnie pozbawionej wieku, twarzy...

Rozmyte postacie chwieją się, przechodząc obok niej w połykającym żarze, wyczerpane, u kresu snych sił. A między nimi, na grzbiecie potężnych koni, z peczęmi w ręku, które padają bez litości na ich jeńców, mężczyźni i kobiety, na których, dziwnie pozbawionych wieku, twarzach, błyszczą niebiesko-fioletowe oczy.

Obraz zanikł i znowu stała w osmalonej sali tronowej króla Kierów.

— Uzdrowicielka Lijanas z Anschary, tak jak kazaleś, władco.

Usłyszawszy obok siebie głos Mordana, oderwała wzrok od tamtego człowieka. Była mu wdzięczna, że jeszcze cały czas mówił po nivardzku.

— A tu jest fiołka z eliksirem, który zwą „Łzami Białej Żmii”.

Oszolomiona spojrzała na niego z góry. Cały czas był na kolanach - i nie wyglądało na to, by król pozwolił mu się podnieść w najbliższym czasie. Zaciśnęła usta. Widać było, że jego niewolny potomek wciąż był dla niego problemem, skoro tak go traktował.

Mężczyzna o niebiesko-fioletowych oczach wziął pudeleczek z rąk Mordana i postawił ostrożnie na stoliku, nim znów się odwrócił i spojrzal najpierw na nią, a potem na jej Kiera. Kiedy chwilę później coś powiedział, jego głos brzmiał przerażająco podstępnie. Od tego, jak na nią

patrzył, przeszły jej ciarki po plecach. Wprawdzie nie zrozumiała jego słów wypowiedzianych po kiersku, ale domyśliła się, że musiało to być pytanie, ponieważ usłyszała, jak ciemny wojownik obok niej zaczerpnął powietrza, by udzielić odpowiedzi. Uprzedziła go.

- Ponieważ ta rozmowa najwyraźniej dotyczy mojej osoby, wypadałoby prowadzić ją tak, bym mogła zrozumieć, co się mówi i mogła mówić sama za siebie - z takim opanowaniem, jak tylko było to możliwe, patrzyła to na jednego, to na drugiego. Wokół niej zapadło milczenie. Przerwał je wreszcie mężczyzna o niebiesko-fioletowych oczach.

- Pytałem dowódcę Mordana, czy faktycznie jesteście wciąż nienaruszoną, uzdrowicielko Lijanas — jego uśmiech przypominał jej uśmiech Jerdta.

- To nie wasza sprawa! - oznajmiła mu chłodno. — Ale powiedziałam to już pierwszemu dowódcy, kiedy zadał mi to samo pytanie - czy Mordan faktycznie jęknął?

- Doniesiono mi, że on bardzo dobrze wie, czy jesteście nienaruszoną czy nie — mężczyzna splótł dłonie i patrzył na nią łagodnie.

- Skąd miałby to wiedzieć? — musiała się powstrzymać, by nie spojrzeć na czarnowłosego wojownika, który wciąż klęczał na kolanach.

- Cóż, bądź co bądź, byliście w jego łóżu. A może zaprzeczycie temu?

- Nie, dlaczego miałabym zaprzeczać? Dowódca Jerdt na pewno wam o wszystkim dokładnie doniósł — przez krótką chwilę spojrzała mu w oczy, potem zerknęła na Jerdta i uśmiechnęła się do niego z politowaniem. - Niestety, połakomił się na te same plotki co pozostali wojownicy pod rozkazami dowódcy Mordana — zwróciła się znowu do mężczyzny o niebiesko-fioletowych oczach. — Byłam w łóżu dowódcy Mordana, ponieważ był na tyle uprzejmy, by traktować mnie jak swego gościa i zaoferować mi najwygodniejsze miejsce w swym namiocie, czyli swe łóże.

- A dlaczego leżał przy was? — znowu dało się słyszeć w jego głosie ten podstępny ton.

- Ponieważ nie chciałam, by za swą wspaniałomyślność musiał odpłacić spaniem na podłodze.

- I mimo to utrzymujecie dalej, że wciąż jesteście nienaruszoną?

- Moja odpowiedź jest taka sama jak przedtem: to nie wasza sprawa! Mężczyzna podszedł do niej.

- To można sprawdzić - wyciągnął do niej rękę.

— Nie - waż - cie - się! - Lijanas podniosła brodę. Faktycznie zatrzymał się i opuścił rękę. Najwyraźniej ku zaskoczeniu wszystkich obecnych.

Po chwili król pochylił się do przodu, widocznie poirytowany, i powiedział coś do Mordana. Jego głos dudnił i niemal słyszała, jak w piersi zbierał mu się atak kaszlu. Nie wiedziała, co bardziej ją przeraża — fakt, że także on nie był na tyle uprzejmy, by mówić jej językiem, czy słowa czarnowłosego Kiera, kiedy odpowiedział.

— Ona nie jest niewolną, którą możecie chłostać według waszego upodobania, mój władco.

Reakcją króla było kilka burkniętych sylab, na co Mordan schylił głowę, mamrocząc coś.

Lijanas zacisnęła dłoń w pięści.

— I byłabym wdzięczna, gdyby wreszcie ktoś mógł mi wyjaśnić, dlaczego zostałam uprowadzona z Anschary i przywieziona tutaj wbrew mojej woli.

Obok niej ciemny wojownik pokręcił ledwie widocznie głową na znak ostrzeżenia. Udała, że tego nie zauważyła i pozornie spokojnie patrzyła na mężczyzn przed sobą.

Kiedy chwilę później król znowu przemówił, slychać było w jego głosie z trudem hamowany gniew. Skinął na wartownika, na co ten stanął za nią i chwycił ją za ramię.

— Puśćcie mnie! — oburzona próbowała uwolnić się z jego uścisku, jednak mężczyzna chwycił mocniej.

— Przestańcie, Lijanas! — zareagował Mordan, unosząc się nieco na kolanach. - Ten człowiek zaprowadzi was do komnaty, gdzie będziecie mogli odpocząć i się odświeżyć. Nie bójcie się, nikt wam nic nie zrobi. Jesteście gościem króla tak długo, dopóki wasze usługi nie będą już potrzebne — powiedział coś do wojownika, który po niemal niekończącej się chwili wahania i spojrzeniu na króla Haffrena, puścił ją. — Idźcie z nim! — skinął na nią, dając do zrozumienia, że ma posłuchać.

— A co będzie z wami?

Pokręcił powoli głową.

— Zróbcie, co mówię. Idźcie z nim!

— Ale...

— Żadnego „ale"! Posłuchajcie polecenia!

Jeszcze chwila wahania, potem odwróciła się do wojownika stojącego za jej plecami i dała mu do zrozumienia, by poszedł przodem. Jednak

już po kilku krokach obejrzała się raz jeszcze, kiedy usłyszała głos króla Kierów — zimny i przerażająco napięty. Mordan odwrócił się właśnie do niego, odpowiedział z szacunkiem, ale jednocześnie stanowczo - na co jego pan szybko mu przerwał, nim ten skończył mówić. Czarnowłosa wojownik zamilkł i znowu opuścił głowę. Dłoń Kiera u jej boku chwyciła lokiec Lijanas, pociągając ją do przodu. Kobieta potknęła się, próbując protestować. Krótki rozkaz króla i czterech wojowniczy stanęli przy Mordanie. Na jego skinienie wystąpili Jerdt i Kessanan. Mężczyzna ciągnął Lijanas dalej w kierunku drzwi. Strażnicy postawili Mordana na nogi. Pozwolił na to. Jerdt zerwał mu z palca brutalnie pierścień z pieczęcią, podczas gdy Kessanan odpiął mu pas z bliźniaczymi mieczami i rzucił go niedbale na podłogę. Potem wyciągnął *kereshtai* zza pasa Mordana. Z sykiem broń wysunęła się z pochwy, błysnęła w blasku ognia. Kessanan wbil ostrze w szczelinę w murze, stanął twardo na rękojeści i złamał miecz na oczach jego właściciela.

- Nie!

Nikt nie zwrócił uwagi na krzyk Lijanas. Odłamki upadły z brzękiem u stóp Mordana. Ten dalej patrzył przed siebie. Zdażyła jeszcze zobaczyć, jak Haffren uniósł się ciężko na swym tronie i uderzył swego pierwszego dowódcę otwartą dłonią w twarz, nim ostatecznie została wyprowadzona z sali królewskiej.

Ściskając przyciągnięte ramionami kolana, siedziała skulona na łóżku w swej komnacie i patrzyła w ścianę. Otrzymała eleganckie szaty, na stole stał pachnący kusząco posiłek, a przed kominkiem czekała na nią gorąca kąpiel. Faktycznie traktowano ją jak gościa — a mimo to była uwięziona. Drzwi pokoju były zamknięte, nikt nie odpowiadał, kiedy krzyczała i uderzała w drewno. Choć ogień w kominku dawał przyjemne ciepło, było jej dziwnie zimno. Skuliła się bardziej, przycisnęła czoło do kolan i zamknęła oczy. Po raz kolejny zadała sobie pytanie, co się stało w sali tronowej po tym, jak wojownik ją wyprowadził. W jej gardle tkwiło uczucie, najbardziej zbliżone do strachu. — *A co jeśli...? Nie!*

Podniosła głowę na odgłos przekręcanego w zamku klucza. Ktoś powoli nacisnął klamkę i do pokoju wszedł mężczyzna o, dziwnie pozbawionej wieku, twarzy — Ladakh. Kosztowało ją niemal wszystkie siły, by opanować się i nie cofnąć przed tym człowiekiem — jak się domyślała astrologiem i uzdrowicielem króla Haffrena, o którym mówił Mordan.

Jego niebiesko-fioletowe oczy zmierzyły ją. Na widok jej połyskującej perłowo skóry, uśmiechnął się.

— Mam nadzieję, że wszystko jest ku waszemu zadowoleniu, uzdrowicielko.

Lijanas podniosła się.

— Nie, nie jest! Dlaczego traktuje się mnie jak więźnia? Żądam widzenia się z dowódcą Mordanem! On mi obiecał...

— Obawiam się, że to niemożliwe - spokój w jego głosie spowodował, że w środku poczuła ciarki.

— Co...? — przelknęła z trudem ślinę. — Co to znaczy?

— Człowiek, o którym mówicie, nie jest już pierwszym dowódcą armii Kierów — z namysłem poglaskał rękawy swej szaty. — Jest w więzieniu, zakuty w łańcuchy i czeka na stracenie.

— Stracenie? — jej palce zaczęły nagle drżeć. Wpiła paznokcie w dłoń.
- Ale... Dlaczego?

— Sprzeciwił się rozkazowi. To zdrada stanu!

— Jakiemu rozkazowi?

— Rozkazowi, by wydać was dowódcy Jerdtowi, moja droga. Odmówił wykonania go! Za to umrze! - wyjaśnił uprzejmie.

Lijanas nie była w stanie nic powiedzieć, patrzyła w niego tępo.

„Dalem wam słowo, że odwiozę was do Anschary. Prawdopodobnie nie będę mógł go dotrzymać.” — opadła na łóżko. — *On wiedział! On wiedział, że go za to zabiją!* - jej dłoń dotknęła ukradkiem gardła. - *Wiedział to, a mimo to nie wydał mnie Jerdtowi.*

Kiedy Ladakh zrobił krok w jej stronę, podniosła wzrok.

— Nie możecie tego zrobić! — zaoponowała słabo.

— Obawiam się, że król nie będzie w tym wypadku łaskawy - podszedł jeszcze bliżej, pochylił się nad nią. — Chyba że...

Na widok wyrazu jego twarzy, ze strachu wystąpił jej pot na skórze.

— Chyba że co? - Lijanas udala się jeszcze cofnąć przed nim.

— Chyba że ja wstawię się u niego za skazanym.

Poczuła w sobie narastającą odrazę, kiedy zrozumiała. Zmusiła się, by patrzeć mu w oczy.

— Czego chcecie?

Łaskawa, miej litość, czy to się dzieje naprawdę?

— Wiedziałem, że jesteście mądrą kobietą, uzdrowicielko. Chcę wam zaproponować interes — Ladakh wyprostował się, wsunął dłoń w rękawy

swej szaty. — Jest taka mała — powiedzmy, mała ceremonia, podczas której potrzeba mi wsparcia. I chciałbym, byście dobrowolnie udzielili mi tego wsparcia — przez dłuższą chwilę patrzył na nią z góry. — By wyrazić swą wdzięczność, zadbam o to, aby były pierwszy dowódca armii pozostał przy życiu. Więcej, aby mógł wam towarzyszyć w drodze powrotnej do Anschary. Wprawdzie wygnany z Telmahru, ale żywy — przechylił pytająco głowę. - I jak?

— Przecież już znacie odpowiedź - słowa płynęły z jej ust zaledwie szeptem.

— Pięknie! Zobaczymy się podczas ceremonii! — odwrócił się i skierował ku wyjściu.

— Zaczekajcie! Kto da mi pewność, że naprawdę zadbać o to, by Mordan został uwolniony?

Odwrócił się z namysłem.

— Obawiam się, że musicie polegać na moim słowie.

— Czy mogę go jeszcze raz zobaczyć przed ceremonią?

— To nie będzie możliwe, moja droga. Z rozkazu króla nikomu nie wolno się zbliżać do skazanego. Życzę wam spokojnej nocy.

Drzwi zamknęły się za nim. Lijanas przez długą chwilę wpatrywała się oniemiała w ciemne drewno.

Już wieki całe nie spał tyle, co przez ostatnie dni. Mordan oparł głowę o mur za plecami i patrzył w sufit swego więzienia. Ale co ma robić tu, w środku — poza traceniem zmysłów. Po raz kolejny jego wzrok omiótł surowe ściany. Podłoga pod nim była z zimnego kamienia, trochę rozsypanej słomy służyło za posłanie — przynajmniej była sucha. Tuż pod sufitem znajdowało się zakratowane, małe okno. Dochodziły do niego odgłosy z wewnętrznego dziedzińca. Płatanina głosów, stukanie kopyt i to oddalające się, to przybliżające kroki wojownika, który chodził tam, na górze, przed jego celą.

Nie widział żadnego człowieka, odkąd strażnicy go tu przyprowadzili i skuli łańcuchami. Pewnie nie zmieni się to do dnia wykonania wyroku. Zgodnie z prawem człowiek skazany na śmierć, musiał głodować aż do końca. Kilka razy zastanawiał się z nudów, jak będzie wyglądał ten koniec — nie znalazł odpowiedzi. Łańcuch u jego nogi zabrzączał, kiedy podniósł

się nieco, opierając plecy o ścianę. Przez pierwsze godziny chodził bez przerwy - trzy kroki w tę i trzy z powrotem. Szuranie żelaza o kamienne podłoże doprowadzało go do szaleństwa, a także myśl o Lijanas. Nie żałował, że odmówił wykonania rozkazu. Nie, już kiedy trzymał pismo nad ogniem, wiedział, co go czeka w Turasie. Jednak jej krzyk przerażenia, kiedy Arkell rozbił jego miecz... Przeciągnął dłonią przez włosy. Wówczas mało brakowało, by stracił panowanie nad sobą. Dźwięk pękającej stali... Jego palce miażdżyły słomę. Zabierając pierścień, odebrali mu jego rangę, niszcząc miecz, pozbawili go czci - a uderzenie w twarz... Trochę sztywno przyciągnął do siebie kolana i splótł dłonie. Nie było czego żałować, może poza... Nie! Nie musiała wiedzieć, że jego serce i dusza należą do niej. Byłoby głupotą, mówić jej o miłości — należała do księcia Ahmeera...

Kiedy na korytarzu przed całą rozległy się kroki, zaskoczony podniósł głowę. Blask pochodni przybliżał się, potem przed kratą pojawił się Jerdt. Nadzieja, że to może Lijanas i że będzie miał możliwość pożegnać się z nią, przysła.

- Czego chcesz, Jerdt?
- Sprawdzić, czy u ciebie wszystko w porządku!
- Już sprawdziłeś! Znikaj!
- Powinieneś być dla mnie miłszy. Bądź co bądź, będę niedługo decydować o twoim życiu.

- Ty? Nie rozśmieszaj mnie! Od kiedy Haffren pozostawia dowódcy armii decyzję o karze za zdradę?

- Och, twoja kara została już ustalona. Zgodnie z wolą Haffrena miałbyś zostać ukrzyżowany nad pierwszą bramą. Ale po dzisiejszej nocy nic nie będzie się już działo zgodnie z jego wolą — podszedł bliżej do prętów, położył na nich dłonie. - Kiedy jutro wstanie słońce, ja będę nowym władcą Telmahru!

Mordan pochylił się do przodu, przyglądając się Jerdtowi z przymrużonymi oczyma.

- Co to ma znaczyć? Chcesz stanąć przeciw królowi? Jesteś głupcem! Naprawdę sądzisz, że znajdzie się choć jeden człowiek, który pójdzie za tobą, gdy wyciągniesz rękę po tron? Nigdy, Jerdt!

Ten parsknął pogardliwie.

- Biorę tylko to, co mi się należy. A ty dostarczyłeś mi klucz.

- Tron ci się nie należy! O jakim kluczu mówisz?

— Chciałbyś wiedzieć, co? O nie. Wszystko, co musisz wiedzieć, to to, że będziesz się przede mną czułgał, kiedy jutro zajdzie słońce - z żelazną obrożą na szyi.

— To twoje urojenia, Jerdt! Nie wierzę w ani jedno twoje słowo. Już pod Jaratem byłeś pyszałkiem i jesteś nim cały czas. Pozwól, że powiem ci, dlaczego tu jesteś: miałeś nadzieję, że Haffren da ci mój pierścień i mianuje pierwszym dowódcą. Wygląda na to, że tego nie zrobił! A teraz jesteś tu, żeby podenerwować mnie jakimiś bajkami i przynajmniej na mnie schłodzić swój gniew - oparł się na słomie z rękoma założonymi na karku. - Zabierasz mi czas! Znikaj stąd!

— Gdybym chciał twój pierścień, miałbym go już na palcu — to, że trzymał dłonie tak mocno zaciśnięte na prętach, aż pokazały się białe kostki, zadawało kłam jego opanowanemu głosowi.

— Ach tak?! - powiedział Mordan ze wzrokiem skierowanym w sufit.

— Oczywiście. A może sądzisz, że ojciec odmówiłby czegoś swemu jedyjnemu synowi?

— Haffren? Twoim ojcem? Mam się zaśmiać na śmierć? Wymyśl jakąś lepszą bajkę, albo zabieraj się stąd wreszcie!

— To prawda. Haffren jest moim ojcem.

— W takim razie bylibyśmy przyrodnimi braćmi, jeśli dać wiarę plotkom, że jestem jego bękartem — wzdrygnął się wyraźnie. — Ty? Moim bratem? Nie, dziękuję!

Na ustach Jerdta pojawił się dziwny uśmiech.

— Bądź spokojny! Nie jesteśmy braćmi przyrodnimi!

— Jak to, to jednak nie jesteś bękartem króla?

— Och, ja naprawdę jestem jego synem. Ale ty nie!

— A skąd ty to wiesz? — pozornie znudzony Mordan przekręcił się na bok i skubał źdźbła słomy, by posortować je według długości.

— On mi o tym powiedział.

— Kto?

— Haffren.

— Aha. Cóż, właściwie faktycznie powinien wiedzieć, kim jest mój ojciec. Bądź co bądź, dość często bywał w łóżku Thieli.

Jerdt pstryknął palcami o pręty krat.

— Och, zapomniałem o tym wspomnieć. Thiela cię wychowywała, ale ona nie jest twoją matką.

Mordan pokręcił głową z politowaniem.

— Nie powinieneś pić tyle wina makowego. Rzuca ci się od tego na rozum.

— Nie wierzysz mi? Nie zauważyłeś, jak mało jesteś do niej podobny? Albo do Haffrena? Spójrz na siebie: czarne włosy, ciemne oczy. Haffren ma srebrzyste blond włosy, może o ton ciemniejsze od moich, i jasnobrązowe oczy. A Thiela? Włosy płomiennego koloru, oczy zielono-szare z żółtymi plamkami...

Mordan uniósł się na łokciach. Jerdt przysunął się do krat.

— A teraz popatrz na mnie!

— To nieprawda! - jego głos nie chciał mu być posłuszny.

To nie może być prawdą!

— Wiesz, Haffren mówi czasem, że mam jej oczy. To znaczy Thieli. Powoli Mordan stanął całkiem na nogi.

— To nieprawda! - jego palce chwyciły kratę.

To nie może być prawdą!

Na wszelki wypadek Jerdt odsunął się do tyłu.

— Nie? Naprawdę sądzisz, że taki człowiek jak Haffren patrzyłby bezczynnie, jak jego syn czolga się w błocie jak zwierzę? Nawet, jeśli urodził się z nieprawego łóża? Nie! Na pewno nie!

— Kłamiesz!

Jerdt uśmiechnął się.

— Czy to nie pyszny żart? Ty, urodzony jako wolny, dorastasz z obrozą na szyi zamiast mnie, a ja... Konie, sokoły, ciepłe łóżko i jedzenie, tyle, ile chcę...

— Kłamiesz! — Mordan wyciągnął do niego ręce przez kraty.

Jerdt szybko cofnął się jeszcze dalej.

— Jeśli kłamię, dlaczego tak się emocjonujesz?

— Dlaczego? Przecież wystarczyłoby, żeby cię wykupił! - jego palce drżały, kiedy zacisnął je na żelaznych prętach.

— Urodzony jako niewolny bękart królewski? Nie, dziękuję! W ten sposób cała ta sytuacja sprawiała dużo więcej uciechy.

— Uciechy? Uciechy? - głos Mordana załamał się. - Ukradliście mi moje życie! Dlaczego? Na duchy zemsty, dlaczego?

— Dlaczego? — ostrożnie Jerdt odważył się podejść znowu bliżej. - Bo twoja matka była jak suka z cieczką, która pozwoliła, by wskoczył na nią parszywy kundel.

— Co? Ty wiesz, kim są moi rodzice?

— Ależ oczywiście!

— Powiedz mi! Powiedz, jak się nazywają!

— Dlaczego miałbym to zrobić?

— Mam prawo wiedzieć, kim są!

- T y ?

— Jerdt, ty... - Mordan szarpnął mocno pretami.

Na twarzy Jerdta znowu pojawił się uśmiech. Pochylił się do przodu.

— Poproś mnie o to! Klękaj i proś!

Mordan spojrzal na niego z nienawiścią - i upadł na kolana.

— Proszę, Jerdt! Powiedz mi, jak się nazywają!

— Więcej pokory! Żebrz, jak żebrałeś jako pies Jarata! — zażądał z sykiem.

Przez długi oddech patrzyli na siebie. Potem, boleśnie powoli, Mordan skulił się i przycisnął czoło do podłogi, drżąc na całym ciele z wściekłości, którą dusił w sobie.

— Proszę, Jerdt! Powiedz mi, jak się nazywają! Proszę!

Cisza.

W pewnym momencie Jerdt kucnął, chwycił przez kratę włosy Mordana i odchylił jego głowę do tyłu.

— Nie potrafisz czolgać się przede mną na tyle nędznie, bym ci to zdradził.

Nagle palce Mordana zacisnęły się na jego gardle.

— Powiedz mi! — rozkazał ochryple, podnosząc się powoli z ziemi. Jerdt charczał w jego rękę. — Powiedz mi albo, na moją krew, rozgniotę ci gardło.

— Wtedy nigdy się tego nie dowiesz! - wyrzucił zdławionym głosem Jerdt, próbując rozluźnić jego dłoń. Bez skutku.

— Mój problem! Nie twój! A więc?!

Odpowiedziały jedynie zdławione dźwięki. Raptem Jerdt spróbował zadrapać twarz Mordana, jednak ten odsunął głowę do tyłu, nie odpuszczając.

— Powiedz mi ich imiona!

Jerdts wysapał coś niezrozumiałego, szarpiąc jego palce. Dał mu trochę powietrza, by mógł mówić.

— Straż! — gulgoczący krzyk poniósł się korytarzem. Mordan przeklął, ścisnął mocniej. Ledwie mgnienie oka później nadbiegli korytarzem dwaj

strażnicy, z włócznie w ręku. Jeszcze nim zdążyli dobiec do celi, Mordan puścił Jerdta i cofnął się pod mur po drugiej stronie celi.

— Odpowiesz za to! - obiecał ponuro Mordan.

Jerdt, masując swoje gardło, dał strażnikom znak, że mogą odejść. Spojrzeli na Mordana, by się upewnić i wykonali rozkaz. Dopiero po chwili złapał oddech, by móc coś powiedzieć.

- Mylisz się! - musiał się podeprzeć ręką o mur. - Twoja mała Niwardka za to odpowie!

- Nie! - Mordan rzucił się z krzykiem do kraty, aż zgrzytnęła.

Jerdt cofnął się, zataczając się.

— Dzisiaj w nocy mam z nią jeszcze spotkanie przy ruinach Galan, ale potem, kiedy wypełni swą rolę, będzie za to krwawić.

- Jeśli ją tkniesz...

- I przysięgam ci, że kiedy z nią skończę, będzie przeklinać twoje imię!

— Jerdt, ty szcurze...

Na twarzy tamtego pojawił się znowu szyderczy uśmiech. Odchrząknął.

- Przyniosę ci to, co z niej zostanie. A potem zajmę się tobą!

— Nie wąż się...

— Życzę ci spokojnej nocy! — z tym swoim uśmiechem na ustach oddalił się korytarzem. W bezradnej wściekłości Mordan szarpnął kratami. W końcu usłyszał, jak drzwi zamknęły się z trzaskiem. Oparł czoło o zimne żelazo i patrzył przed siebie, aż po jakimś czasie powlókł się na swe słomiane posłanie i opadł na nie — nagle zupełnie bez sił. Zaczął drzeć na całym ciele.

Oni ukradli mi moje życie! Przez cały czas niestuszyście nosiłem żelazną obrozę! Dlaczego? Dlaczego to wszystko? Kim są moi rodzice? Gdzie jest naprawdę moje miejsce? Lijanas! Jerdt każe jej odpokutować za to, co zrobiłem! Czego on chce w ruinach Galan? One są przeklęte! — podniósł głowę. — Muszę się stąd wydostać!

Jak opętany zaczął przeszukiwać swą celę. Potężne, kamienne bloki nie pozwolą wydostać się na zewnątrz, pozostawało więc tylko to małe okno i żelazne pręty w drzwiach.

Po ponad dwóch godzinach opadł na słomiane posłanie. Nic! Żelazne pręty w oknie wpuszczone były głęboko w kamień i tkwiły tak, że nie dało się ich ruszyć. I również drzwi jego więzienia okazały się stabilne i mocne. Nawet zawiasy nie miały słabego punktu. W napadzie bezsilnej wściekłości zaczął szarpać pęta na nogach. Nawet kajdan nie uda mu się

otworzyć. Strażnicy zabrali mu kaftan i kolczugę. Zażądali od niego nawet pasa. Pewnie za radą Arkella. Nie było nic łatwiejszego niż otwarcie zamka przy pomocy kolca sprzączki i dość grubej nici. Nie miał nic! Nic, co mogłoby mu się przydać. Choć bardzo się głowił, nie wymyślił żadnego sposobu wydostania się stąd.

Przez kolejne godziny maszerował tylko niespokojnie w tę i z powrotem albo obserwował wąski pasek słońca przemieszczający się po podłodze celi. Stopniowo zaczął przybierać pomarańczowy kolor, potem miedziany, a w końcu czerwony. Próbował uporządkować swe myśli przy pomocy *ma-raltai*, uspokoić je - bez skutku. W międzyczasie kostki jego palców były zdarte do krwi, od uderzania w ściany celi.

Kiedy noc pogrążyła jego celę w mroku, na zewnątrz rozległ się tętent koni, głosy krzyczały jeden przez drugiego, jeden z nich rozpoznał: to głos Jerdta! Podniósł się gwałtownie, wziął rozbieg, złapał się prętów w oknie i podciągnął na nich do góry. Około pół tuzina wojowników stało na dziedzińcu - rozpoznał straż przyboczną Jerdta. Król Haffren siedział na swym *ashentai*, a z północnej wieży właśnie wyszedł Jerdt, trzymając rękę na postaci otulonej szerokim płaszczem, która szła obok niego dziwnie chwiejnym krokiem. Oszołomiony Mordan przysunął się bliżej krat. Czy to królowa? Co, na duchy zemsty, Jerdt chciał od tej biednej, obłąkanej kobiety? Właśnie posadził ją na człapaka, kiedy w zasięgu jego wzroku pojawiły się dwie kolejne postacie. Po stopniach palatium schodził Ladakh, tuż za nim...

- Lijanas! - jej imię poniosło się przeraźliwym krzykiem po dziedzińcu. Zatrzymała się z wahaniem, rozejrzała dokoła. — Lijanas! — próbował przysunąć się jeszcze bliżej kraty. Mięśnie jego rąk zaczęły drżeć. - Lijanas! — jej wzrok wędrował po dziedzińcu, szukając go, w następnej chwili przez okno chlusnęło wiadro zimnej wody. Kaszłąc, puścił żelazne pręty i skoczył z powrotem na podłogę swej celi. Potem tętent koni obwieścił, że ruszyli.

Jeździec zsunął się z siodła na tyłach opuszczonego gospodarstwa i, schylając się, przeszedł przez na wpół załamane nadproże i wszedł do riun budynku mieszkalnego.

- T a k ?

— Oddział jeźdźców. Opuścili miasto i pojechali na zachód, w góry. Około pół tuzina wojowników i drugi dowódca Haffrena.

— A księżę Ahmeer?

— Wydaje mi się, że nie było go z nimi, dowódczyni. Będzie ciężko tropić ich w nocy. Może powinniśmy poczekać do rana.



Milcząc, Lijanas stała wśród resztek prastarego muru i wpatrywała się w ciemność. Wiatr niósł odgłos syczących i trzaskających pochodni, które wojownicy Kier zatknęli pomiędzy odłamkami kamieni i kolumn w popękanej podłodze. Ostre poddmuchy wiatru szarpały jej suknię - w jednym momencie ją podwiewały, tylko po to, by za chwilę przytulić materiał do jej ciała.

Za jej plecami wznosiły się ruiny Galan w odgąłęzieniu Skal Mglitych na półokrągłym, otoczonym z trzech stron stromymi, wysokimi skalami płaskowyżu, wysoko nad równiną Turasu i Skalnym Zamkiem, które rysowały się głęboko w dole jak stożek licznych światel. Niegdyś to miejsce musiało być twierdzą nie do zdobycia, do której prowadziła w górę, jak się zdawało, jedynie wąska ścieżka, którą się tu dostali. Teraz pozostały tu z dawnych czasów jedynie fragmenty murów i kolumn. Na skraju płaskowyżu czekała, aż Ladakh przyjdzie po nią na ceremonię.

Razem z Jerdtem, królem Haffrenem i dziwnie odurzoną kobietą — sądziła, że musiała to być królowa Naisee - wszedł jakiś czas temu na górę, po szerokich schodach, których płaskie stopnie wykute były w skale. Najwyraźniej można się było nimi dostać do innej części ruin, która wykuta była bezpośrednio w górze. Tam chciał dokonać ostatnich przygotowań i cieszyła się, że pozwolił jej poczekać tu, na zewnątrz, aż skończą.

Znowu przycisnęła czubki palców do skroni, próbując uciszyć głos w głowie, które szeptały jej, że powinna opuścić to miejsce. Ledwie postawiła stopę na tym płaskowyżu, kiedy zaczęły się te szepty i pojękiwania w jej głowie. Wydawało się, że z cieni patrzą na nią twarze — mężczyźni, kobiety, dzieci — przerażone, błagające. Po raz kolejny dotknęła dłonią swej szyi, gdzie pod wysokim kołnierzem sukni nosiła perły, które znalazła

w tym źródle, po drugiej stronie Wąwozu Kassen. I po raz kolejny głosy umilkły, a twarze zniknęły na krótko w cieniu.

Odór padliny pojawił się w powietrzu tak nagle, iż w pierwszej chwili miała wrażenie, że zaraz się udusi. Bez ostrzeżenia obok niej rozległo się gulgoczące dyszenie; odwróciła się przerażona. W ciemności żarzyła się zielona para oczu, za nią pojawiły się druga i trzecia - zdawało się, że ciągle ich przybywa. Cofając się, uderzyła stopą w kamień - spadł w przepaść. Usłyszała, jak uderzył o skały gdzieś głęboko za nią - jeszcze raz — i jeszcze jeden — i jeszcze. Kreatury zbliżyły się do niej, jedna podszła bardzo blisko — i zatrzymała się, a potem cofnęła, wydając odgłos, przypominający skamlenie.

— Jak widzę, dzieci mego pana was znalazły.

Teraz jednak krzyknęła, a jej krzyk odbijał się od skalnych ścian.

Obok niej zaśmiał się cicho Ladakh.

— Po co ten strach? One nic wam nie zrobią. Chcą was jedynie zapewnić o swym szacunku.

— To pożeracze dusz.

— Ależ oczywiście. Co was tak w tym przeraża?

— One prześladują nas - mnie!

Ladakh mlasnął poirytowany.

— Niedobre maleństwa! Posyłam je, żeby wszystko było gotowe, kiedy tu przybędziecie...

— Gotowe? Na co?

— No, na naszą małą ceremonię. Odejdźcie od skraju skały, moja droga, nim przez przypadek zrobicie krok w tył - wyciągnął do niej rękę.

Lijanas zignorowała go, została, gdzie była.

— Mordan nie miał mnie przywieźć do Turasu dlatego, że król Haffren jest chory, prawda?

— Mądra dziewczyna. Wasz Mordan miał was przywieźć do Turasu, ponieważ jesteście córką wiedźmy dusz. Pierwszą, która narodziła się od setek zim i która przeżyła głupotę swego własnego ludu. Wasza moc pomoże mi dzisiejszej nocy uwolnić mego pana z jego grobu.

— Moja moc? Nie jestem wiedźmą dusz! Mylicie się!

— Gdybym faktycznie się mylił, to musiałyby się mylić także gwiazdy, z których wyczytałem, że wasza moc się obudziła. Zaufajcie mi, moja droga. Wiem, do czego jesteście zdolni! Jesteście właściwą osobą, by otworzyć bramy, które Aslajin i jej *cogeni* zamknęli dawno temu. Mój

pan tej nocy czeka na uwolnienie. Jest silny! Jego dzieci dobrze go nakarmiły! Chodźcie!

Lijanas wpatrywała się w pożeraczy dusz, którzy cisnęli się wokół Lada jak psy. Nagle zrozumiała.

- Nie pomogę wam obudzić demona.

Zmrużył oczy.

- Zapomnieliście o naszej umowie? Życie byłego pierwszego dowódcy Haffrena w zamian za waszą pomoc.

- Nie zapomniałam, ale... Nie! Kiedy zawieraliśmy tę umowę, nie wiedziałam, co zamierzacie.

- Jak sądzicie, ile czasu potrzeba, by na rozkaz dowódcy Jerdta sprowadzić tutaj więźnia z lochów Skalnego Zamku? Potrzeba wam tyle czasu do namysłu?

- Co macie na myśli?

- Moja droga, nawet ślepy byłby w stanie zobaczyć, że zależy wam na tym bękarce. Wystarczy kilka moich słów i sprowadzą go tutaj. Zostawię wtedy dowódcy Jerdtowi kwestię przekonania was, że lepiej, byście zrobili, o co proszę. Rozumiecie...?

Lijanas zagryzła bezradnie wargę. Och tak, rozumiała.

- I jest jeszcze coś, moja droga. Chodźcie! Chciałbym wam coś pokazać! - ruszył w stronę schodów prowadzących do ruin w górze i skinął na nią, by poszła za nim. Zwlekąca. - Chodźcież! Wiecie, mamy tu jeszcze jednego gościa... Ale chodźcie i zobaczcie sami!

Nie odrywając wzroku od pożeraczy dusz, weszła za nim wreszcie po stopniach. Kreatury poszły za nią, wydawało się jednak, że nie miały odwagi podejść do niej bliżej niż na dwa kroki. Przed nią otworzyły się skały, a jej oczom ukazało się miejsce w kształcie koła, nad którym rozpięta była kamienna, poprzecinana szerokimi szczelinami kopuła. Podłoga była skomplikowaną mozaiką z bladej żółci i ciemnej, niemal krwistej, ochry. Pomiedzy tym wszystkim ze szczelin i pęknięć wystawały blade języki ognia, pograżając wszystko w niespokojnie drgającym świetle. Kawalki gruzu pokrywały niemal całą podłogę. W środku znajdowało się coś jak lśniąca zwierciadło, bezpośrednio pod okrągłym otworem w skalnej kopule, przez który wpadał blask księżyca. Otaczał je szeroki rant z czarnego kamienia, na którym błyszczwały w srebrzystym świetle posplatane znaki. Nad nim pięło się w górę pięć kamiennych kolumn, które zbiegały się na górze, tworząc kopułę. Tak samo czarny jak ko-

lumny i oprawa zwierciadła, był ciężki, kamienny stół za nimi, na którym szczyły mężczyzna w jasnej, przeplatanej złotem szacie, wbija rozszerzone ostrze sztyletu w ciało jakiegoś młodzieńca. Krew spływa po kamieniu, płynie bruzdą w podłogę między kolumnami i zabarwia wodę stawu. Przerażony jęk, dobywający się z licznych gardel, wypełnia kopułę, choć nie słychać żadnego dźwięku. Odwraca się, gdy błyszczą blade, oczy jak burza wodzą po ludziach skulonych z przerażenia na podłogę — ofiary dla boga. Cienie z zielono żurzącymi się oczami snują się wewnątrz kolumn. Znak — i kolejna ofiara zostaje wyprowadzona z gromady, zajmuje miejsce młodzieńca...

...splicione znaki błyszczą na brzegu z czarnego kamienia. W powietrzu słychać szemranie i szepty. Nadchodzą, wzywani przez Białą Żmiję, aby zapieczętować bramę, za którą uwięziony jest ten, w którego imieniu mordowali. Duszę przywiązane do przekleśtego boga, który żywi się ich życiem. Uwięzione w miejscu grozy, znają jedynie nienawiść do tych, którzy żyją - jednak moc wiedzy zmusza je, by podążyć za wołaniem. Szepcząc i śmiejąc się szarpia tę, która przypomina im, że kiedyś byli ludźmi. Jej duszą jako nagroda za służbę. Chłód przeszływa wszystko, co żyje. Pośród tego zimna i nycia jest tylko ona i jej wojownicy. Ona jest duszą — jej najmiłsi stanowią siłę! Jedno!

Blade opary wznoszą się nad stawem, przybierają jakąś postać. Pisk boga wstrząsa skalną kopułą, lód pęka, ziemia drży, błyszcząca tafla zamyka się, błysk zbiera się w lśniące perły — zmrożona cisza...

...przerzywana jasnym kwileniem niemowlęcia. Sztylet w dłoni mężczyzny jest czerwony od życia innego dziecka. Płacz zamienia się w krzyk, kiedy krew zaczyna płynąć po czole nowonarodzonego. Jego niewinne życie poświęcone jest bogowi, przeznaczone na los złodzieja...

...szepczące głosy, język, który nie jest jej językiem, a mimo to rozumie to słowo. — „Uciekaj!”

Dysząc ciężko, Lijanas zachwiała się, wzdrygnęła, kiedy dłoń Ladakha spoczęła na jej ramieniu. Jego dotyk był zimny i zdawał się odbierać jej ciepło, tak jak szept tych postaci po drugiej stronie Wąwozu Kassen. Drwiący uśmiech pojawił się na jego szczupłej twarzy, niebiesko-fioletowe oczy rozbłysły, kiedy ciągnął ją do przodu.

- Jeśli nie jesteście wiedźmą dusz, moja droga, to ja nie jestem Hatheranem. — Jesteście prawdziwą spadkobierczynią Białej Żmii. Strata dla was, że matka nie żyła dość długo, by nauczyć was władać waszymi zdolnościami. Z czego ja się cieszę - oblizal usta. - Dzięki temu jesteście

dla mnie użyteczniejszą. Chodźcie, zaprowadzę was do naszego drugiego gościa, nim wam wytłumaczę, na czym polega wasza rola.

— Co..., co wicie o mojej matce? — jak szpony palce Ladakha wpiły się w jej ramię.

— Och, nic. Poza tym, że musiała być głupią kobietą. — Głupią kobietą, której jestem nad wyraz wdzięczny. Bądź co bądź, urodziła was. W czasie, kiedy wszystko ułożyło się cudownie jak kawałki wielkiej mozaiki. Po wielu zimach dochodzi wreszcie do zaćmienia księżyców. Znalazł się ktoś, przed kim drżały dusze po drugiej stronie Wąwozu Kassen i z kim mogłem was tam posłać, by zadbał, żeby nie zgasiły was jak wszystkich innych przed wami.

— Mordan.

— Tak, moja droga, Mordan - zarechotał cicho. - Już kiedy się urodził, było jasne, że mi się przyda. I tak przekonałem Haffrena, tego głupca, by go zostawił przy życiu i zadbał o to, żeby zrobiono z niego wojownika, który wykona każdy rozkaz.

Przeszedł ją dreszcz, gdy spojrzał na nią.

— Cóż, a potem przyprowadza was, o skórze lśniącej jak srebro i macica perłowa, jakbyście byli samą Białą Żmiją. W tym momencie wiedziałem, że wszystko potoczy się tak, jak zaplanowałem dawno temu - poprowadził ją dokoła jednej z kamiennych kolumn i zmusił, by się zatrzymała.

— Ahmeer! — z rękoma skrepowanymi nad głową wisiał nieprzytomny, przywiązany do jednej z kolumn naprzeciw ołtarza; obok wiszącej przy nim, również nieprzytomnej Kierki o kasztanowych włosach. Niecały krok od Lijanas znajdowało się to, co do tej pory miała za zwierciadło. Teraz rozpoznała, że był to staw, ukryty pod warstwą polyskującego lodu - pod którym niespokojnie krążył jakiś cień.

Dłoń Ladakha nie pozwoliła jej podejść bliżej do Ahmeera.

— Jak widzę, poznajecie naszego gościa. Podobnie jak wy jest małym kawałkiem mozaiki, którą złożę dzisiejszej nocy. Nie musi tracić życia w trakcie naszej małej ceremonii. — Jeśli mi pomożecie — uśmiechnął się do niej. — Co powiecie na to, by podnieść stawkę? Chcecie uratować życie dwóch ludzi czy chcecie...?

— Co muszę zrobić? - nie odrywając wzroku od Ahmeera, otuliła się ramionami.

— Chodźcie za mną!

Lijanas spojrziała przez pęknięcie w kopule, wyglądające jak paskudna rana. Nad nią rozpięty był czarny, jedwabny baldachim nieba, na którym nie widać było ani jednej gwiazdy. Za to trzy księżycy poruszały się swym torem i... faktycznie wyglądało to tak, jakby nie chciały się ułożyć, jak zazwyczaj, jak perły na sznurze, lecz rzeczywiście nasuwały się na siebie. Placz i błaganie w jej głowie stawały się coraz silniejsze. — *Nie rób tego! Uciekaj! Uwolnij nieszczęście!* — błagały głosy mężczyzn, kobiet i dzieci. Jej dłonie ścisnęły mocniej fiolkę z wodą ze źródła. Ruchy pod taflą lodu stały się coraz bardziej niespokojne, im bardziej księżycy nakładały się na siebie. Wydawało się, że znaki błyszczą z każdym uderzeniem serca coraz jaśniej. Nieswojo przygłębła plecami do kolumny naprzeciwko Ahmeera i królowej Naisee.

„Córka wiemy duszę dla Aslajin — i dla jej cogenów po jednym z królewskiego klanu Kierów i księżęcej dynastii Nivardów. Małe kamryki wielkiej mozaiki, która umożliwi mojemu panu powrót do tego świata”.

Na samo wspomnienie dźwięku jego głosu, kiedy wypowiadał te słowa, miała wrażenie, że zamarza. Uczepiła się myśli, że pozwoli odejść Mordanowi, Ahmeerowi oraz jej, kiedy zrobi to, czego żąda: kiedy dojdzie ostatecznie do zaćmienia księżyców i na niebie nie będzie żadnego światła, ma zwilżyć palce wodą z fiołki i powtórzyć kształt splecionych znaków na brzegu jeziora. Obawa, że Ladakh może jednak nie dotrzymać słowa, czaiła się mimo to w głębi jej duszy. Za nią rozległ się z gardła króla Haffrena rżący kaszel. Zmęczony usiadł jakiś czas temu na kamiennym stole, troskliwie podpierany przez Ladakha. — *Jak on może pozwałać, żeby Ladakh i Jerdt tak się obchodzili z królową! Nawet jeśli jest obłąkana i jest dzieciobójczynią — jest kobietą! I jak to się dzieje, że żaden z Kierów nie zamużył, iż uzdrowiciel króla jest Hatbenanem? Czyż nie widzą, że jest inny niż Nivardowie czy Edari — inny niż oni sami?* - wyjrzała zza kamiennej kolumny, którą miała za plecami, kiedy usłyszała za sobą coraz głośniejsze głosy Jerdta i Haffrena. Klócili się. Dłoń króla wskazała na nocne niebo, nagle jego ciałem wstrząsnął atak kaszlu i przycisnął szybko chustkę do ust. Ladakh powiedział coś do Jerdta. Ten przytaknął, wyciągnął swój sztylet, kiedy Haffren próbował jeszcze zaczerpnąć powietrza, i wbił ostrze w pierś króla. Lijanas nawet nie miała czasu krzyknąć. Oszołomiona patrzyła na Jerdta i jego króla, który powoli osuwał się obok kamiennego stołu na ziemię, wciąż trzymając dłonie uczezione kaftana jasnego wojownika. Syknąwszy, drugi dowódca armii Kierów wyciągnął sztylet z ciała, ode-

pchnął je od siebie. Haffren przewrócił się na ziemię, jego krew płynęła korytem w kamiennej podłodze w stronę Lijanas, minęła ją i rozlała się na tafli jeziora. Gdy umierał, w jego oczach widać było wciąż jeszcze niedowierzanie.

Księżycze zaćmiły się. Jedyne syczące światło małych płomyków rozświetlało jeszcze wnętrze kopuły. Nawet skały się trzęsły. Lodowate opary unosiły się nad powierzchnią stawu. W środku krew utworzyła czerwoną kałużę. Srebrne lustro pełne było cieni - były tam obrazy, błyszczące, rozmyte, poprzecinane strużkami krwi płynącymi z głębokich ran na skórze Ahmeera i królowej, które zadał im Jerdt, kiedy zgasło światło księżyców. Wokół siebie słyszała cichy szept, głosy, które błagały, by tego nie robiła. Jakieś dziecko płakało w próżni, żebrał głos jakiejś kobiety. Ścisnęła mocniej fioletkę, przesuwając się do kolejnego znaku. Za nią, między kolumnami, do których przywiązani byli Ahmeer i królowa, stał Jerdt, obserwując czujnie każdy jej ruch. Czowała rozpacz ludzi, którzy tu zginęli. Coś uderzyło tępo od dołu w powierzchnię jeziora. Przerażona Lijanas cofnęła się, na co Jerdt pchnął ją brutalnie, tak że mało nie wylądowała na lodowej tafli. Cokolwiek poruszało się tam w głębi - niecierpliwilo się.

Pożeracze dusz zniknęli na rozkaz Ladakha, by dalej wzmacniać ich budzącego się pana. Woda ze źródła po drugiej stronie Wąwozu Kassen lśniła srebrzyście na jej palcach, gdy znowu zanurzyła w niej czubki palców i powtórzyła ostatni znak - ten zniknęła! I również pozostałe robiły się jeden po drugim tępe i czarne, jakby pochłaniała je noc. Z trzaskiem pojawiło się pęknięcie na powierzchni lodowego lustra. Pod taflą rozległ się przerażający jęk. Obrazy wykrzywiły się. Placzące głosy w jej głowie stały się głośniejsze, nie do zniesienia. Dokoła niej było tyle niedoli, tyle strachu. A ona spuściła to wszystko na ludzi.

Co innego mam zrobić? Nie mogę przecież dopuścić, żeby zabili Ahmeera i Mordana. Proszę, Łaskawa, pomóż mi. Nie zostawiaj mnie samej.

Zaufaj mi.

Zaskoczona podniosła głowę. Jerdt cały czas stał za jej plecami, nie spuszczał z niej oczu. Po drugiej stronie tafli jeziora stał Ladakh zatopiony w cichym śpiewie. Żaden z nich nic do niej nie mówił. Zbliżyły się kroki. Słyszała, jak Jerdt odwrócił się, rozeźlony. Podeszedł do nich wojownik, otulony długim płaszczem, z kapturem na głowie. W półmroku nie można było rozpoznać jego twarzy. A przed nim — Lijanas zadrzała

nagle — Mordan! Jego ręce splecione były skórzanymi rzemieniami, trzymał głowę pokornie opuszczoną.

— Więzień, zgodnie z rozkazem, dowódco - mężczyzna pchnął czar-nowłosego wojownika tak, że zachwiał się w stronę Jerdta.

Laskawa, miej litość! Nie!

Drugi dowódca warknął groźnie, przy czym błysnęły jego kły.

- Nie kazalem go tu sprowadzić!

Mordan podniósł głowę.

- Ale ja kazalem!

Rzemienie spadły z jego nadgarstków, w tej samej chwili wyrwał Jerdtowi miecz i odsunął się, kierując czubek ostrza w jego pierś. Zie-lono-szare oczy patrzyły na niego z nienawiścią. Krótkim gestem dał znak drugiemu wojownikowi.

— Uwolnij królową i Nivarda!

— A ty — Lijanas zdrząła, gdy tak nagle do niej przemówił — cokolwiek zrobiłaś, cofnij to!

- Nie może tego zrobić! - oczy Hathenana płonęły triumfalnie. - Pieczęcie są złamane! Mój pan nadchodzi!

- Nie, dopóki tu jestem! Nie będzie tu więcej żadnych krwawych ofiar!
— Mordan cofnął się jeszcze, by mieć na oku Jerdta i Ladakha. Znowu dał się słyszeć trzask i na powierzchni jeziora pojawiło się kolejne pęknięcie. Lijanas uciekła szybko stamtąd, uważając, by nie dostać się między dwóch dowódców. W palcach wciąż ścisnęła fioletową z resztą wody ze źródła.

— Jesteś głupcem, że stajesz na drodze temu tutaj! Stary bóg uczyni nasz lud znowu wielkim... — Jerdt zrobił krok w stronę Mordana. Lekki ruch miecza kazał trzymać mu się na odległość. Obok jasnego Kiera wojownik właśnie przeciął więzy królowej i położył ostrożnie jej bezwładne ciało na ziemi. Lijanas podbiegła do niego, wsunęła fioletową za pas, oderwała kawałek szaty władczyni Kierów i użyła materiału, by zatamować krwawienie z ran. Jej skóra była potwornie biała w porównaniu z kasztanową sierścią na boku jej twarzy.

- Kierowie są wielcy, Jerdciu! Z nas dwóch to ty jesteś głupcem! Nie potrzebujemy demona Hathenanów, który uczyni z nas niewolników. Czy ty właściwie zdajesz sobie sprawę z tego, co tu robisz? Wypuszczasz potwora na Telmahr! Na cały Ahwaran!

— Czy nie widzisz, co my...

- Wszystko, co widzę, to to, że podniosłeś rękę na swą władczynię - i na własnego ojca - wskazał podbródkiem na zwłoki Haffrena. Oszołomiona Lijanas patrzyła to na jednego, to na drugiego.

Haffren? Ojcem Jerdta?

Wojownik położył Ahmeera na kamieniach — już nie tak ostrożnie jak królową. Zerknęła szybko pod kaptur.

- Brachan? Ale ja myślałam... Skąd się tu wzięliście? Skąd...? - jąkała się zaskoczona.

- Posłaniec dostarczył do zimowego obozu zapieczętowany list z rozkazem od Haffrena, który mówił, że mamy przejść pod dowództwo Jerdta. Był też odpis jego - Brachan kiwnął w kierunku Mordana - wyroku śmierci. Ruszyłem wraz z Raulenem do Turasu, by wstawić się za naszym dowódcą. Kiedy przybyliśmy, Haffren i Jerdt byli już w drodze tutaj.

- Jak udało się wam... Mordana... z więzienia...?

Wciąż oszołomiona Lijanas patrzyła, jak Brachan rozpiął klamrę płaszcza i otulił ciemnym materiałem swą nieprzytomną królową. Stary wojownik popatrzył na nią z wilczym uśmiechem.

- Mieliliśmy przy sobie rozkaz z pieczęcią Haffrena, a strażnicy więzienni nie umieją czytać. Uwierzyli nam, kiedy powiedzieliśmy, że król nas przysłał, żeby przyprowadzić do niego więźnia. A kiedy zrozumieli swój błąd, było już za późno.

- A Raulen?

- Jest znowu w drodze na zachód, by sprowadzić tu centurie dowódcy.

Brachan wziął ostrożnie królową na ręce i skierował się ku wyjściu. Lijanas pochylała się nad Ahmeerem, by także jego opatrzyć.

- Ruszaj! Bo inaczej ja cię poruszę! — rozległ się właśnie szorstko głos Mordana. Podniosła na chwilę wzrok.

Na twarzy Jerdta widniał arogancki uśmiech.

- Nie wydestaniesz się stąd! Na zewnątrz czekają moi ludzie...

- Naprawdę? Jak myślisz, przepuszczą mnie, kiedy zobaczą czubek mojego miecza na twym karku? Dalej! Ruszaj, żebyśmy mogli się przekonać — ojcobójco!

- Pożałujesz tego!

- Już drzę, Jerdt! Jak będzie, mam ci pomóc? A ty, Hathenanie — tu do mnie! — machnął mieczem.

- Mój pan przyjdzie dzisiejszej nocy bez względu na to, co zrobicie! — zapowiedział Ladakh ponuro, nie ruszywszy się. Mordan nie zdążył mu

odpowiedzieć. Jakby ziemia sama chciała potwierdzić słowa Hathenana, rozległo się złowieszcze dudnienie, ziemia zatrzęsała się, a kolejna ryna przecięła lodową tafle; coś uderzyło w nią z rozmachem od dołu.

Lijanas szybko założyła sobie ramię Ahmeera na kark i wsparła go pod pachą, próbując podnieść mężczyznę z ziemi. Znowu zadrzało pod jej stopami, potknęła się. Jedyne kątem oka zobaczyła, że także Mordan się zachwiał. Jerdt wykorzystał tę chwilę nieuwagi. Dwa kroki i już był poza zasięgiem miecza Mordana - pośrodku stawu. Jego cel był jasny nawet dla Lijanas: zwłoki Haffrena i miecz u boku zmarłego. Mordan ruszył za nim. Krzyk Lijanas został zagłuszony trzaskiem, z którym pękło lustro wody. Zobaczyła jeszcze, jak obydwaj wojownicy znikają w wodzie. Coś jak bładzie cień przebiło na chwilę powierzchnię, by zaraz znowu zniknąć. Potem bez ostrzeżenia poczuła czyjąś rękę na gardle, która ciągnęła ją do stawu. Usłyszała nad uchem ochryplą, dyszącą oddech Ladakha.

— Jeszcze tylko wasza krew!

W panice wymacała jego twarz, zaczęła szarpać jego włosy, wila się, by się uwolnić. Nad wodą, która nagle zaczęła bulgotać, Ladakh pchnął ją na kolana, chwycił jej dłoń, wyciągnął jej rękę nad wodę, zobaczyła błysk sztyletu, ostrze przecięło głęboko nadgarstek. Krzyknęła, poczuwszy nagle ból, łzy napłynęły jej do oczu, krew trysnęła z rany, skapnęła do stawu. Nagle wszędzie dało się słyszeć szepty. Naprzeciwko niej, z wody, wynurzył się Jerdt, dłoń Mordana trzymająca go za nogę, wciągnęła go do środka. Znowu zniknęli pod powierzchnią wody, znowu bładzie cień przeciął wodę. Z otchłani zaczęła się podnosić czerwona mgła.

— Jeszcze chwila! Mój pan będzie zaraz wolny! - syknął Ladakh z triumfem. Lijanas poczuła jego gorący oddech na swej szyi. Kamień pod nią zadrzał. Nagle, po drugiej stronie, ciężko dysząc, Mordan przebił powierzchnię jeziora, wciągnął się z trudem na brzeg, wtedy bładzie cień jak włócznia przeszył od tyłu jego pierś...

— Nie! — Lijanas rzuciła się z krzykiem do przodu.

Palce Ladakha chwyciły jej włosy, szarpnęły w tył, uderzyła dłonią w skałę, fiolka wysunęła się, upadła na ziemię, zamknięcie otworzyło się nagle, fiolka potoczyła się po brzegu i znikła, błysnąwszy w głębinie. Nagle cień zniknął — i Mordan upadł w kałużę z krwi i wody. Lijanas wpila paznokcie w grzbiet dłoni Hathenana, usłyszała, jak zawył, i uwolniła się gwałtownym szarpnięciem. Łzy bólu utorowały sobie wreszcie drogę, uderzyła go obydwoma rękami w pierś, kiedy znowu chciał ją dosięgnąć,

ziemia zadrżała, Ladakh zachwiał się i runął z krzykiem w spienioną wodę. Lijanas chwyciła dłońmi suknię i pospieszyła tam, gdzie bez ruchu leżał Mordan, pochyliła się nad nim. Jego ciało było bez życia i zimne jak lód. Poczula zimno w duchu.

— Nie! — to słowo było jedynie jak tchnienie. Jej palce wpiły się w jego pierś, szarpały jego tunikę, szukając jakiejś rany — nic. Chwyciła jego ramiona, potrzasała nim, krzyczała jego imię, belkotała słowa, których sama nie rozumiała - nagle jego klatka piersiowa podniosła się, sapnął i otworzył oko — przez ułamek uderzenia serca było jak czarna otchłań pełna wirujących cieni. Potem mrok ustąpił i przybrało znowu kolor burzowego nieba. Lijanas objęła go i przytuliła się do niego, podczas gdy on dalej ciężko oddychał. Ciepło zaczęło wracać do jej wnętrza. Za jej plecami woda podniosła się, pieniać i sycząc, przelała się przez brzeg jeziora. Poczula, jak Mordan odsunął ją od siebie, zataczając się, stanął na nogi i szybko podniósł z ziemi także ją, odsuwając się od jeziora, z którego podnosiła się ociężała biała mgła.

Wciąż bez tchu, Mordan pochwycił jej ramiona, pochylił się tak, że jego twarz znajdowała się na wysokości jej twarzy.

— Cokolwiek zrobiłaś tu dla Ladakha i Jerdta, cofnij to! — zażądał znowu. Z jeziora dochodziło wycie. Musiał krzyczeć, by je zagłuszyć.

— Nie wiem, jak! - odkrzyknęła zrozpaczona.

Matowobiałe cień poruszył się zaledwie krok od nich na skałę, jak szukał czegoś po omacku. Schronili się za kamiennym stołem.

— Pomyśl! Na duchy zemsty, pomyśl! Uwolniłaś hathenańskiego boga demonów! Jeśli nie wymyślisz, jak to cofnąć, nasze ludy utoną niebawem we krwi!

Lijanas szlochala bezradnie, trzymana przez niego.

— Nie wiem! Swą własną duszę mogłabym... — *Szept dusz wzywanych przez Białą Żmiję.* — „Jeśli nie jesteście wiedźmą dusz...” — „Jesteście prawdziwą spadkobierczynią Białej Żmii”. — *Błysk zbiera się w lśniące perły...* — w rozpacz chwyciła dłonią swe gardło, wpiła palce w plecionkę z perel. - *Błysk — uwiecznione dusze — uwiecznione w lśniących perlach.*

Jak w transie uwolniła się z rąk Mordana i podeszła do brzegu jeziora, strząsając jego ręce, kiedy chciał jej w tym przeszkodzić. Widziała, że jego usta poruszały się, kiedy krzyczał coś do niej. Jednak nie słyszała go.

Powoli podniosła dłonie. Nie była w stanie powiedzieć, skąd wie, jak wezwać dusze tych, którzy już raz pomogli uwięzić boga Hathenanów,

a mimo to było to w niej. Zawołała - i usłyszała odpowiedź na swe wołanie. Jedna po drugiej perły rozpuszczały się, tworząc błyszczącą ciecz. Zaczęły płynąć po jej skórze jak ucieleśniony mróz. W powietrzu pojawiły się naraz szmery i szepty. Nagle została uwięziona w burzy z lodu i nienawiści. Zimno targalo nią, szarpało jej duszę.

Zapłać cenę! Zapłać cenę! - żądał szepczący głos, od którego przechodziły ją ciarki. Zdawało się jej, że coś w niej zamarza. Czula się tak, jak owej nocy w górach. Była uwięziona w czerni i mroku, słysząc dookoła szepty i jęki.

Zapłać cenę!

Zapłać cenę, ale bądźcie mi służyć!

Zimno przeszywało ją na wskroś. Lijanas zobaczyła, jak znaki, które pierw wymazała, jeden po drugim, zaczęły płonąć — a z każdym znakiem lód zabierał kawałek jej życia. Skalną kopulę wypełnił potworny pisk, z sufitu zaczęły spadać kawałki kamieni, ziemia drżała. Szepcząc i śmiejąc się, wyrwali duszę z jej ciała. Na jeziorze zamknęło się lodowe lustro. Zapłonął ostatni znak. Triumfalne wycie mieszało się z piskiem boga. Zachwiała się, widziała, jak jej ciało się zatacza — i nagle silne palce splotły się z jej palcami. Opadła na mocną pierś, zanurzyła się w ciepłe, otuliło ją spokojne bicie serca, równomierne i silne. Trzymało ją jego życie! Jedność!

Rozległo się wściekle wycie. Dusze, które wezwała, poczuły się oszukane, nie dostały swej zapłaty — jednak nie miały już nad nią władzy. Pewność, że nic nie może się jej stać, dopóki Mordan jest przy niej, spowodowała, że coś zaczęło śpiewać głęboko w jej duszy. Tamte dusze piszczaly przenikliwie.

Chwilę później z sufitu spadł kawałek skały, miażdżąc jedną z kolumn, odłamki rozprysły się we wszystkie strony, Mordan powalił Lijanas na ziemię, osłonił swym ciałem, porem znowu postawił ją na nogi i ruszył z nią biegiem przez ten chaos — pękające kamienie, języki ognia płonące w ziemi i pył.

— Ahmeer! — Lijanas potknęła się, przytrzymując się jego ręki. Odwrócił się, spojrzał na nią, wyraz jego oka zmienił się.

— Gdzie?

— Tam, z tyłu! Przy stawie! - wskazała w kierunku, skąd przyszli.

Zawahał się chwilę, potem krzyknął:

— Biegnij dalej! Pójdę po niego! — jak cień zniknął w tym chaosie. Sufit kopuły pękl z loskotem na całej długości. Lijanas odwróciła się i pobiegła. Pisk zamilkł.

Słońce zaczęło się właśnie wznosić jako mętna tarcza, kiedy wreszcie skały przestały się chwiać. Z trudem Mordan podniósł się z ziemi i spojrzal w stronę zasypanego odłamkami skal wejścia starej świątyni. Raz zerknął krótko za siebie, kiedy niósł księcia Ahmeera przez ten oblęd z pękających skal i odpryskujących kamieni: kamienne kolumny przewróciły się i również kamienny stół był rozbity; na koniec zarwała się cała kopuła. Zacisnął usta i pięść. Jedyni ludzie, którzy mogli mu powiedzieć, kim byli jego rodzice, zostali pogrzebani pod stertą kamieni. Haffren — zamordowany przez swego syna, a Jerdt..., Jerdt został wciągnięty w głębinę przez coś, co przypominało błądy cień — a potem spod niego uniósł się obłok z krwi... Cóż za ironia, że Jerdt stał się ofiarą potwora, którego chciał uwolnić. Zmęczony potarł twarz.

Wszystko to tylko po to, by sprowadzić krwiożerczego boga. A Haffren nie zorientował się, że Jerdt i Ladakh posłużyli się nim. „Lud Kierów znów będzie wielki...” Bal Jerdt skazał ten lud, zabijając Haffrena, na zagładę. — *Królowa jest oblakana! Nie może panować, a nie ma dziedzica, ponieważ zabiła swe własne dziecko. Klany podniosą się i rozszarpią wzajemnie, walcząc o władzę* - wykrzywił usta. — *A wojna domowa osłabi mój lud tak bardzo, że stanie się łatwym łupem dla Nivardów i Edari. Jeśli Raulenowi uda się sprowadzić moje centurie w porę do Turasu, nim naczelnicy klanu się o tym dowiedzą, może uda mi się jeszcze przez kilka miesięcy — może nawet przez zimę — utrzymać jakiś porządek, ale potem... Jerdt, ty przeklęty szczerze, gdybyś nie był już martwy, zabiłbym cię teraz. Istnieje dla nas tylko jedna możliwość: musimy zawrzeć pokój z Nivardamil — zamknął oko, przyciskając pięść do czoła. — I wyobrażam sobie, jakie będzie jedno z żądań Rusanu - parsknąwszy gorzko, potarł kark. - Wtedy mogę nawet sam odwieźć Lijanas do Anschary i dobrowolnie położyć głowę na pieńku — powiedzmy, na znak dobrych zamiarów mojego ludu.*

Trzymając wciąż jeszcze dłoń na karku, odchylił głowę w tył.

Muszę wezwać Cordena z jego centuriami ze wschodu do Turasu! Musi objąć dowództwo nad wojownikami. Corden to roztropny człowiek. Z odpowiednimi legatami u boku da sobie radę. A kiedy wszystko będzie już uregulowane, zamiozę Lijanas i jej narzeczonego do Anschary. Rusan się ucieszy... - jeszcze raz zacisnął powieki, potem podszedł do młodej uzdrowicielki,

która siedziała na ziemi, kilka kroków od niego, skryta częściowo przez potężny skalny blok, trzymając na kolanach głowę wciąż jeszcze nieprzytomnego nivardzkiego księcia. W żołądku czuł bolesne drżenie, kiedy podszedł do niej powoli.

Nie ma innej możliwości! Potrzebujemy pokoju z Astracharem.

Lijanas podniosła wzrok. W jej oczach widać było zatroskanie.

- Jak się czujesz? - zapytał cicho.

Na jego pytanie odpowiedziała słabym uśmiechem.

- Co z nim? — skinął na mężczyznę na jej kolanach.

- Mam nadzieję, że niebawem odzyska przytomność. Co teraz będzie?

Przez bolesną chwilę przyglądał się, jak jej dłonie głaskały delikatnie czoło narzeczonego.

Nie musi wiedzieć.

- Jest jeszcze kilka rzeczy do załatwienia, ale potem odwiozę cię do domu, tak jak obiecałem. Razem z nim - jeszcze raz spojrzal na leżącego bez ruchu księcia.

Bądź dla niej dobry!

Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i skierował w stronę miejsca, gdzie Brachan czuwał osłonięty pękniętą kamienną kolumną, nad królową Naisee. Nie zdążył jeszcze pokonać połowy drogi, gdy przytłumiony odgłos końskich kopyt na ścieżce zapowiedział jeźdźców. Czy to ludzie Jerdta wrócili, teraz, kiedy już było po wszystkim, po tym, jak najzwyczajniej w świecie uciekli, gdy góra zaczęła się trząść? Czujnie podszedł do muru, spojrzal w dół — i przygryzł zębami przekleństwo, rozpoznawszy jeźdźca na czele.

Ona nie może dostać się w ich ręce. Chcę pokoju dla mego ludu! Żadnej niewoli więcej! — podbiegł do Brachana.

- Szybko! Nivardowie! Wjeżdżają na górę! Zabierz stąd królową! - ponaglając, pomógł wojownikowi podnieść wiotkie ciało i położył mu je na ramionach.

Ten spojrzal pytająco.

- Co z tobą?

Mordan pokręcił głową.

- Powstrzymam ich, jak długo zdołam. A potem... - nie musiał kończyć zdania, Brachan i tak zrozumiał. Wyciągnął swój miecz z pochwy i podał mu. Bez słowa ich dłonie skrzyżowały się, ostatnie krótkie ski-

nienie. Stary wojownik poniósł nieprzytomną królową w kierunku wąskiej ścieżki, którą dostali się tu niepostrzeżenie nocą.

Milcząc, Mordan stanął na środku placu, oczekując Nivardów.

Ktoś inny musi zamiast mnie zadbać o pokój. Przynajmniej umrę z mieczem w dłoni jak wojownik, a nie z głową na pieńku jak rzeźne bydło - na krótką chwilę jego wzrok skierował się ku Lijanas.

Więc tak to się skończy, Elljen!

Eliazanar jechała na czele swych ludzi. Kiedy go zauważyła, przystanęła, rozglądając się szybko dokoła, nie dostrzegła jednak Lijanas i księcia. Dała swym ludziom znak.

— Bierzcie go!

Dokładnie tego się spodziewał!

Kiedy usłyszała ostre: - Bierzcie go! - Lijanas podniosła zdumiona wzrok. U wejścia na płaskowyż stali jeźdźcy, rozpoznała Eliazanar. Właśnie kilku wojowników Nivard zsiadło z koni, dobywszy broni, zbliżali się do Mordana, który trzymał obnażony miecz w dłoni. Zaniepokojona podniosła się.

Co to ma znaczyć? On uratował Abmeerowi życie!

Wojownicy zaczęli go okrążyć, on cofał się, krok za krokiem. Potem mężczyźni rzucili się na niego. Stał zazgrzytała, dźwięk odbijał się echem od skał. Nieubłaganie Nivardowie napierali na niego, przesuając się w stronę skały. Jeden miecz skierował się w jego bark - i został odparty. Znowu to Mordan decydował o przebiegu walki. A mimo to Lijanas miała wrażenie, jakby się tylko bronił, jakby trzymał tych ludzi na dystans, oszczędzając siły. Właśnie odepchnął od siebie jednego człowieka, ten zatoczył się, uderzając w towarzysza, i razem upadli na ziemię. Mordan wskoczył na pozostałość po murze i uciekł pozostałym. Lijanas wyciągnęła szyję, rozejrzała się.

Gdzie jest Brachan? - nie widziała go nigdzie. Dźwięczny śpiew mieczy nie chciał się skończyć. Mordan schylił się, unikając ciosu, broń Nivarda wbiła się w ciało jednego z jego towarzyszy, potem klinga „jej” Kiera przeszła ciało tego człowieka. W następnej chwili zablokował swym mieczem broń dwóch kolejnych wojowników, prześliznął się między nimi, tak że stanął za ich plecami, i uderzył błyskawicznie dwa razy, odpychając innego wojownika, po czym wskoczył lekko na skałę, drwiąc z wyszczerzonymi zębami z Nivardów w ich własnych języku.

— Chcę mieć go żywcem! Strzelajcie w nogi! — Lijanas zamarła, usłyszawszy zimny rozkaz Eliazanar. Szybko ułożyła głowę Ahmeera na ziemi — i krzyknęła przerażona, kiedy belt trafił w udo Mordana, ciemny wojownik potknął się w pół kroku i o mały włos by się nie przewrócił. Jakiś miecz musnął jego rękę, przelożył klingę do drugiej ręki, gotowy do dalszej walki, po przelożeniu ciężaru ciała na drugą nogę. Obok niego, od kamiennego bloku, odbił się kolejny belt, odprysły kawałki kamienia.

— Nie! — Lijanas przeszła szybko przez przewróconą kolumnę. Jeden z wojowników, którzy otoczyli jej Kiera, odwrócił się, objął ją wpół i podniósł z ziemi. Nie rozumiała, co do niej krzyczał. Dziko machała nogami, trzymana przez niego, chcąc się uwolnić. Przyglądała się, jak Mordan zachwiał się, uniknął kolejnego belta, potem zmusił Nivardów, wymachując mieczem, by odsunęli się w ryl, zatoczył się, gdy kolejny belt trafił go tuż nad kolanem, w tę samą nogę - i skierował czubek miecza w siebie samego.

— Nie! — wbiła paznokcie w dłoń wojownika, poczuła, jak, przekławszy, rozluźnił chwyt, rzuciła się do przodu, przedarła przez Nivardów, rzuciła Mordanowi w ramiona w chwili, gdy chciał się pchnąć mieczem, i zderzając się z nim tak gwałtownie, powaliła go z nóg. Zdążyła jeszcze dostrzec wściekły wyraz jego oczu i groźnie wyszczerzone zęby, a potem poczuła ogień w barku, kiedy razem upadli na ziemię, a jej zmysły rozmyły się na długi czas.



Powoli odzyskiwał świadomość. Leżał na kocach i skórah zwierzęcych. Słychać było trzaskające płomienie. W czaszce czuł tępe dudnienie. Jęknąwszy, dotknął głowy, próbując jednocześnie otworzyć oczy. Nad sobą zobaczył kołyszące się łagodnie korony drzew. Od czasu do czasu przeblyskiwała przez nie pojedyncza gwiazda. Ostatnią rzeczą, którą pamiętał, byli Kierowie, którzy brutalnie włali mu do gardła jakiś napój o zgnilym smaku, po tym, jak przez wiele dni trzymano go uwięzionego w tych ruinach. Z trudem wsparł się na łokciach, przytrzymał koców, szukając oparcia.

— Powoli, Ahmeerze! Pozwólcie, że wam pomogę! - w następnej chwili podeszła do niego Eliazanar, podając mu dłoń. Z jej pomocą udało mu się usiąść. Teraz usłyszał także ciche mamrotanie. Minał wzrokiem dowódczynię wojsk swego wuja i zobaczył grupę wojowników Nivard siedzących wokół małego ogniska.

— Gdzie jesteśmy? Co się stało? — kręciło mu się w głowie.

— Na polanie, jakiś dzień drogi konno od Turasu, w drodze do An-schary. Jak się czujecie? Jesteście dość silni na niespodziankę?

— Niespodziankę? — spojrzał na nią ze zdumieniem. — Co to takiego? Eliazanar cmoknęła karcąco.

— Gdybym wam powiedziała, nie byłoby niespodzianki, Ahmeerze. Ubierzcie się i przyjdźcie potem! Pokażę wam, co dla was mam - puściwszy do niego oczko, podała mu koszulę i spodnie, skinęła jeszcze raz w jego stronę, nim odwróciła się do niego plecami, i podeszła do mężczyzn przy ognisku.

Niedługo potem stanął w świetle drugiego ogniska i pochodni, pod koronami dwóch potężnych drzew. Uśmiech zadowolenia pojawił się na ustach Eliazanar, gdy zobaczyła wyraz jego twarzy.

— Jak widzę, niespodzianka się udało, Ahmeerze.

— To naprawdę niespodzianka, Eliazanar! Jak wam się to udało?

Ciemne oko błysnęło w świetle płomieni. Napięte liny przywiązane były z jednej strony do nadgarstków i kostek, z drugiej do obydwu drzew. Podeszedł bliżej. Pod rozerwaną tuniką wyraźnie napięły się na mgnienie oka pokryte czarną sierścią mięśnie.

— Po części zawdzięczamy to waszej malej narzeczonej, że udało nam się go dostać żywcem. Przeszkodziła mu, kiedy chciał skierować na siebie miecz. Niestety, sama znalazła się na linii strzału i jeden z moich ludzi trafił ją beltem w ramię.

— Jak ona się czuje?

— Na razie dobrze. Daliśmy jej maku, żeby spała i przez resztę drogi nie czuła bólu. Ostrożnie, Ahmeerze. Wprawdzie jest związany, ale wciąż niebezpieczny. Kiedy go pochwyciliśmy, bronił się jak dzikie zwierzę — chwyciła czarną czuprynę Kiera, pociągnęła jego głowę do tyłu, pokazując księciu podbiegłe krwią ślady duszenia na gardle jeńca. - Widzicie? Najpierw skrepowaliśmy mu tylko dłonie i założyliśmy sznur na szyję, który zarzuciliśmy na grubą gałąź i naciągnęliśmy, żeby go poskromić. Ledwie zdążyliśmy się odwrócić, rzucił się całym swym ciężarem na linę, próbując się udusić albo złamać sobie kark. Strażnicy w porę to zauważyli, w przeciwnym razie moglibyśmy zawieźć waszemu wujowi jedynie jego ścierwo. Cokolwiek zamierzacie z nim zrobić, Ahmeerze: możecie być pewni, że znowu będzie próbował odebrać sobie życie, jeśli tylko nadarzy się taka okazja.

Ahmeer skinał głową.

— Już ja go poskromię, Eliazanar. Nim dotrzemy do Anschary, będzie się przede mną czolgał i jadł mi z ręki. Nie dostanie wody ani jedzenia! Jeśli wśród waszych ludzi są jacyś, którzy mieli krewnych w Tejidannarze albo Sajidarrah, postawcie ich na straży i nie przeszkadzajcie, jeśli będą chcieli się z nim policzyć. Nie wolno im tylko go zabić.

Zbliżył pochodnię do twarzy więźnia, spodziewając się, że cofnie się przed żarem, jednak Kier ani drgnął, patrząc na niego dalej z zimnym opanowaniem. Ahmeer ściągnął z oburzeniem brwi — i wbił „Krwawemu Wilkowi” pięść w brzuch. Jedynie na krótką chwilę jego jeniec spał się, potem na twarzy Mordana pojawił się pogardliwy uśmiech. Powarkując wściekle, Ahmeer zamierzył się po raz drugi - i odetchnął ciężko, by opanować swój gniew, cofając się jednocześnie.

— Nie! Nie tutaj. Kiedy przekroczymy granice Astracharu, będzie jeszcze dość czasu. Wtedy zajmę się tobą w spokoju. A kiedy z tobą skończę, będziesz żałował, że kiedykolwiek postawiłeś nogę na ziemi Astracharu, nie mówiąc już o rym, że usłyszałeś imię mojej narzeczonej, bestio!

W barku czuła ból. W gardle paliło ją pragnienie, a na języku czuła zgnily smak. Z ledwością udało jej się rozchylić nieco powieki. Otaczała ją ciemność, w niej poruszały się jakieś cienie, jeden z nich pochylił się nad nią. Jego dłoń delikatnie dotknęła jej czoła.

- Wody! — zaskrzeczało słowo, które wydobyło się z jej gardła. Usłyszała głęboki głos, jakby gdzieś z daleka. Wiedziała, że zna człowieka, do którego ten głos należy. Z trudem uczepiła się tej myśli, próbując otrząsnąć się z lepkiego ciężaru spoczywającego na jej myślach i przypomnieć sobie jego imię. Dłoń wróciła, wsunęła się pod jej barki. Jęknęła cicho.

- Pst! Już dobrze! - szepnął głos. Jej ust dotknął brzeg kubka. Piła chciwie, ułożono ją z powrotem na posłaniu. Lepka ciężkość znowu przyćmiła zmysły Lijanas, spychając je głębiej w ciemność. Nagle zdało jej się, że ziemia pod nią porusza się, krzyknęła przestraszona, szukała po omacku oparcia, znalazła dłoń, chwyciła się jej. Poczula głaszczące ją palce.

— Nie odchodź! — poprosiła cicho, pogrążając się w narkotycznym śnie. — Zostań, Mordanie!

Obok niej książę Ahmeer zamarł bez ruchu.

Po bólu w barku zostało już tylko lekkie pieczenie. Jedyne w głowie czuła ciche dudnienie; była wciąż jeszcze słaba od maku, który podawano jej przez cztery dni. Lijanas siedziała, milcząc, przy oknie gospody, i wyglądała na dziedziniec. Wojownicy Eliazanar rozłożyli się tam, na dole, wokół ogniska i grali w kości. Jedna z dziewcząt pracujących w gospodzie przyniosła właśnie dwa kolejne dzbany piwa i nalewała mężczyznom w kubki do pełna. Jeden z nich uderzył ją w pośladki, aż pisnęła. Ryczący śmiech dotarł aż na górę, do Lijanas.

Przedwczoraj przekroczyli granicę Astracharu i Eliazanar, i Ahmeer przestali ją odurzać makiem. Minionej nocy, po długiej, gorącej kąpieli, spała wreszcie znowu w łóżku. Od kiedy obudziła się na dobre z narkotycznego snu, miała wrażenie, że boli ją całe ciało. Bolały ją ręce i nogi, miała wrażenie, jakby jej plecy pokryte były ranami, nawet szczęka ją bolała. Nocami budziła się, dokuczalo jej pragnienie nie do zniesienia i czuła się tak, jakby ktoś ją zbil. I z dnia na dzień zdawało się być coraz gorzej, choć nie była w stanie wytłumaczyć sobie dlaczego.

Ostrożnie poprawiła rękę zawieszoną na temblaku, który miał odciążać jej bark. W świetle świec pierścionek na jej palcu mienił się zielenią i złotem — i za każdym razem, gdy o nim myślała, zdawał się parzyć jej ciało. Ahmeer założył go jej, jak tylko odzyskała przytomność. - „*Prezent dla mojej dzielnej narzeczonej...*” — zamknęła oczy i odetchnęła kilka razy głęboko. To był pierścionek, który Mordan nosił na szyi na skórzanym rzemyku — Ahmeer ukradł mu go. Tak samo jak sznur czarnych perel, który zdobił teraz jego szyję. W pierwszej chwili chciała rzucić mu ten pierścień pod nogi, lecz potem postanowiła, że odda go Mordanowi, jak tylko będzie miała taką możliwość. Zanurzyła palce w delikatnym jedwabiu sukni, którą Ahmeer dał jej kilka godzin temu. Jeśli miałyby wierzyć jego słowom, Mordana czekało w Anscharze w najlepszym wypadku to, że zakują go w kajdany i poślą do kamieniołomów. Jednak Ahmeer był przekonany, że jego wuj ukarze go dla przykładu i każe stracić „Bestię z Sajidarrah”.

Nie dopuszczę do tego! Rusan jest moim dłużnikiem! Poproszę go o łaskę dla Mordana! — Ale kamieniołomy nie byłyby łaską, a jeśli wtrąca go na resztę jego życia do lochu... — na myśl, że Mordan musiałby wieść życie w łańcuchach, zamknięty w ciemnym lochu, głęboko pod ziemią, bez światła słonecznego, przeszedł ją dreszcz. - *Gdybym mu nie przeszkodziła...*

Po drugiej stronie dziedzińca otworzyły się drzwi stajni i wyszedł stamtąd Ahmeer. Tam trzymali Mordana.

Choć, odkąd się ocknęła, wciąż prosiła - nie, raczej żądała - by mogła zobaczyć się z Mordanem, Ahmeer nie pozwolił. Przed jej drzwiami stała nawet straż, która miała pilnować, by nie zakradła się do niego potajemnie. Ale widziała Mordana! Dwa razy! Ahmeerowi nie udało się do tego nie dopuścić. Przez dwa ostatnie poranki obserwowała, jak woźnicy wyciągali go z jego nocnego więzienia i sadzali na konia. Dłonie miał skrupowane na plecach, nakładali mu worek na głowę i obwiązywali

pierś ciasno sznurem. Zawsze prowadziło go między sobą dwóch ludzi Ahmeera - za pierwszym razem jego kroki były już ciężkie i chwiejne, jednak za drugim razem miała wrażenie, że nie był w stanie sam ustać na nogach. Ze stopami związanymi pod brzuchem konia, siedział przez cały dzień w siodle pochylony do przodu, a wojownicy nie dawali mu wody ani nic do jedzenia.

Pod drzwiami rozległy się kroki. Rozpoznała głos Ahmeera, kiedy zamienił kilka słów ze strażnikami, nim wszedł do pokoju. Uśmiech, z którym chciała go przywitać, zgasł, gdy zobaczyła krew na jego kaftanie - i to, co trzymał w ręku.

Nie! Łaskawa, miej litość! Nie to! Nie mógł mu tego zrobić!

— Jak się masz, kochanie? - Ahmeer pochylał się nad nią, pocałował ją delikatnie w czoło i mówił dalej, jakby nie zauważył jej przerażenia. — Jak widzę, znalazłaś już swój prezent. Podoba ci się? Możesz kazać zrobić sobie z tego pasek, kochanie. Jest dość długie.

W gardle poczuła nagle dławienie, siedziała jak sparaliżowana, wpatrując się w gruby ogon ciemnych włosów, związanych szorstkim rzemieniem, który Ahmeer właśnie położył jej na kolanach. Ahmeer jeszcze raz się nad nią schylił.

— Źle się czujesz, kochanie? Tak pobladłaś...

Mimowolnie jej palce poruszyły się, głaszcząc jego straszny podarunek, zacisnęły się nad nim w pięści.

— Chcę go zobaczyć! — podniosła się zdecydowanie.

— Bestię Kier? Kochanie, dlaczego chcesz się dręczyć jego widokiem, po tym wszystkim, co ci zrobił.

— On mi nic nie zrobił, Ahmeerze! Kiedy to wreszcie do ciebie dotrze? Wręcz przeciwnie! Uratował mi życie — i tobie też! I cokolwiek powiesz, pójdę teraz do niego.

Ahmeer zastąpił jej drogę.

— Zostaniesz tutaj! Zabroniłem ci go widzieć! I posłuchasz mnie!

— Nie pozwolę się dłużej traktować, jakbym była więźniem! Przepuść mnie, Ahmeerze, albo przysięgam: będę krzyzczyć tak, że zbiegnie się tu cała gospoda i pół wsi.

— Masz czelność grozić mi? — zmierzył ją wzrokiem, mrużąc gniewnie oczy.

— Tak! — Lijanas odpowiedziała zimno na jego spojrzenie.

Po chwili, która zdawała się trwać wieczność, zacisnął usta i skinął lekko.

— Jak chcesz! Chodź! — otworzył gwałtownie drzwi, podając jej ramię. Lijanas minęła go, nie zwracając na niego uwagi, zeszła po schodach do szynku i wyszła, odprowadzona zdziwionymi szeptami Eliazanar i jej wojowników, na dziedziniec, kierując się w stronę stajni. Kiedy otworzyła drzwi, zaskoczeni strażnicy podnieśli wzrok znad gry w kości. Lijanas znieruchomiała, ujrawszy obraz roztaczający się przed nią w świetle lamp.

Wydawało się, że jedynie lina, którą związane były jego ręce, i którą przerzucono przez belkę podpierającą dach stodoly, trzymała Mordana jeszcze na nogach. Jego tunika zwisała w strzępach. Pod spodem jego skóra była ciemna od maltretowania i krwi.

Ahmeer przyciągnął ją i postawił tuż przed nim, stanął potem obok swego jeńca i szarpnął jego głowę, przytrzymując ją za resztkę czarnych włosów w górze.

— Masz odwiedziny, bestio! Zobacz, kogo ci przyprowadziłem.

Z okrzykiem przerażenia zasłoniła ręką usta. Twarz Mordana była spuchnięta od uderzeń, jedna brew była pęknięta, w kącikach ust i pod nosem widać było zaschniętą krew. Oddychał płytko, jakby sprawiało mu to ból, i zmrużył z trudem oczy, jakby nie mógł jej poznać. Jego głowa opadła znowu bezwładnie, kiedy Ahmeer go puścił.

— Dlaczego, Ahmeerze? - jej głos drżał.

— Dlaczego? — pchnął swego jeńca tak, że zachwiał się na linie. — Ponieważ odważył się sięgnąć po coś, co należało do mnie: moją narzeczoną!

— Nie należę do ciebie, Ahmeerze! Rozwiąż go! Nie można tak...

— Nie można? Jak myślisz, co te zwierzęta robiły ze mną w swym obozie...

— Nie „te” zwierzęta! Jerdt! I tylko Jerdt! Mścisz się na niewinnym człowieku!

— Niewinnym? Zapomniałaś o Sajidarrah i Tejidannarze?

— Tylko twój wuj ma prawo osądzić go za Sajidarrah i Tejidannar! Rozwiąż go! Choć na parę godzin! Proszę! A może jesteś tak samo okrutny jak Jerdt?

Patrzył na nią, uderzenie serca, dwa — potem sięgnął za plecy i jednym szarpnięciem rozwiązał węzeł, który trzymał linę. Mordan upadł na kolana i przewróciłby się do przodu, gdyby Lijanas go nie złapała. Wisiał na niej ciężko. Jego oddech mamrotał coś tuż nad jej uchem. Zdażyła usłyszeć

te wyszeptane z trudem słowa, nim Ahmeer chwycił ją za ramię i ze wściekłym:

— Do jutra rana nikt go nie tknie, masz moje słowo. Chodź teraz! — odciągnął ją od niego i postawił na nogi. Straciwszy podporę, Mordan przewrócił się na bok i leżał tak, ciężko dysząc. Nie mogła oderwać od niego wzroku, kiedy Ahmeer pociągnął ją do drzwi stajni i wypchnął na zewnątrz.

To zaszczyt dla mnie, że mogłem cię kochać!

Jak odurzona pozwoliła, by Ahmeer odprowadził ją z powrotem do pokoju. Nie czuła bólu w barku.

Z założonymi na piersi rękoma Ahmeer stał oparty o drzwi i patrzył na swą narzeczoną, z trudem powściągając gniew. Jak mogła mieć czelność, postawić się jemu, wstawiając za tą bestią. Potrząsnął z obrzydzeniem głową. Jej suknia była zniszczona, zbroczona krwią Kiera. A ten zakup kosztował go sporo pieniędzy i zachodu. Znowu siedziała bez słowa na krześle, jej oczy skierowane były cały czas na Ahmeera, ale nie widziała go, tymczasem jej dłonie trzymały wiązkę włosów, jakby było to coś niewymownie cennego. Dwa kroki i już był przy niej, wyrwał jej to z ręki i wrzucił do ognia. Podskoczyła z krzykiem, przez moment zdawało się, że chce wyciągnąć te nieszczęsne włosy z ognia, jednak było już oczywiście za późno. Włosy Kiera splonęły natychmiast, a teraz gryzący zapach wypełnił pomieszczenie. Nie zważając na przerażenie na jej twarzy, przeszedł przez pokój i otworzył okno. Na dole, na dziedzińcu, ludzie Eliazarów grali w kości.

— Podjęłam decyzję, Ahmeerze: nie mogę zostać twoją żoną — choć Lijanas mówiła cicho, nie było nawet śladu słabości w jej głosie. Odwrócił się do niej, marszcząc czoło. Wzrok Lijanas utkwniony był w wąskim pierścionku ze szmaragdem, który odebrał bestii i podarował jej.

— Słucham?

— Dobrze mnie zrozumiałaś! — podniosła oczy.

— Czy wiesz właściwie... — z wyciągniętymi uspokajającym gestem rękoma, szedł w jej stronę. - Kochanie, jesteś w szoku! Tylko jedna Bogini wie, co ta bestia ci...

Odsuwala się od niego, aż znalazła się niebezpiecznie blisko ognia w kominku.

— Nie jestem w szoku, Ahmeerze. Dobrze wiem, co robię.

— Jesteś moją narzeczoną!

— Nie, nie jestem! Zapytałeś mnie, czy zechcę zostać twoją żoną, nim twój wuj wysłał cię na początku lata na południowe wybrzeże z powodu napadów Edari. Poprosiłam o czas do namysłu do twojego powrotu — pamiętasz? Teraz daję ci moją odpowiedź: nie! Nie zostanę twoją żoną!

— Ale myślałem..., że mnie kochasz! — czuł narastający w sobie gniew.

— Ja też tak myślałam, Ahmeerze. I miesiąc temu odpowiedziałabym na twoje pytanie z radością „tak!”, ale w międzyczasie... tyle się wydarzyło — jej palce głąskaly pierścionek.

— Czy to dlatego, że siłą zaciągnął cię do swego łóża? Kochanie, powiedziałem ci, że ci wybaczam. Nie musisz udawać, że mnie nie kochasz, tylko dlatego, by mnie oszczędzić.

Pokręciła energicznie głową.

— Ahmeerze! Ja już cię nie Kocham! Zrozum to!

Jego oczy naraz zrobiły się wąskie.

— A skąd ta zmiana? Z powodu tego Kiera? — parsknąwszy gorzko, zrobił kolejny krok w jej stronę. Była uwięziona między nim a kominkiem. — Z powodu tego zwierzęcia chcesz się ode mnie odwrócić? — chwycił jej ramiona, ignorując, jak z przerażeniem wciągnęła powietrze. — Czy naprawdę sądzisz, że pozwolę zrobić z siebie pośmiewisko? Przyszły książę Astracharu zostawiony przez narzeczoną dla jakiegoś Kiera, zwierzęcia? O nie, moja droga! Należysz do mnie! Nie oddam cię!

— Nie, Ahmeerze! Nie należę do ciebie! Nie możesz mnie zmusić, bym za ciebie wyszła! — bez skutku próbowała się bronić przed jego rękoma. — Puść mnie, to boli!

Na chwilę ścisnął mocniej, potem niespodziewanie zabrał ręce i zrobił krok w tył.

— O wręcz przeciwnie, mogę! — spojrzał krótko z zimnym uśmiechem w stronę okna, potem znowu na nią. — I ty o tym wiesz — jakby nigdy nie jego głos stał się nagle łagodny. — Jesteś oszołomiona, Kochanie. Każda kobieta byłaby w szoku, spędziwszy wiele tygodni, uwięziona przez rękę bestię. Balaś się o swe życie. W końcu wmówiłaś sobie nawet, że nie jest bestią, za którą mają go wszyscy; że go lubisz — tylko po to, by nie oszaleć ze strachu i wstydu. A teraz wciąż jesteś pod wpływem jego czarów i wydaje

ci się, że jesteś w nim zakochana — wyraz jego oczu zadawał kłam jego słowom. - Kochanie, rozumiem cię i nie jestem zły na ciebie. Nie będę na ciebie naciskał, mówiąc o naszym weselu, aż on zostanie stracony. Zapomnisz o tym wszystkim dopiero, gdy będzie martwy i zobaczysz jego zwłoki — powoli oddalał się, plecami w kierunku drzwi. — Twój biedny, zagubiony umysł potrzebuje spokoju. Myślę, że będzie najlepiej, jeśli oprócz mnie nie będziesz widywać nikogo, aż ci się poprawi — szybko opuścił pomieszczenie, zamykając za sobą drzwi na klucz. Daremnie jej ręce bębniły w nie od środka. Wojownik, którego postawił tutaj na straży, zaraz jak tu przybyli, patrzył na niego z zaskoczeniem. Jakby zasmucony Ahmeer pokręcił głową.

- Nie powinienem był jej pozwolić, żeby zobaczyła tego Kiera. Jest roztrzęsiona po tym, jak stanęła znowu przed nim... Jakich potworności musiała doświadczyć z jego strony, że jej biedny umysł wciąż tak cierpi. Jest w szoku. Dlatego będzie lepiej, jeśli oprócz mnie, nie będzie widziała nikogo, aż się lepiej poczuje. Nie wpuszczaj więc do niej nikogo!

Wojownik przytaknął i rzucił współczujące spojrzenie na drzwi, zza których dochodziły jeszcze pojedyncze uderzenia.

- Biedna istota! — mruknął, co Ahmeer usłyszał jeszcze, kierując się ku schodom.

Biedna istota? Ba! Była kierską dziwką i nie była warta tyle, ile on mógł jej dać. Czy naprawdę sądziła, że pozwoliliby, żeby go zostawiła? Skompromitowała przed całym światem? Upokorzyła przed szlachetnie urodzonymi, jego przyjaciółmi? Nigdy! Już on jej pokaże, gdzie jest jej miejsce. Zatrzyma ją. Jakoś zniesie jej widok z tymi bliznami na twarzy. Zagryzł zęby. Była małą, plugawą dziwką. A teraz on zajmie się tą kierską bestią.

Eliazanar stała przez chwilę w drzwiach, jakby uderzyła się w głowę i patrzyła na to, co miała przed sobą.

- Dość! - długim krokiem przemierzyła stajnię i chwyciła nadgarstek księcia Ahmeera, nim zdołał zadać Kierowi kolejny cios pięścią.

Wściekły odwrócił się do niej.

- Co wy sobie wyobrażacie? - krzyknął na nią ostro i wyrwał się.

- Co „wy” sobie wyobrażacie, Ahmeerze? Chcecie zawieźć wujowi trupa? Puśćcie go! - ten rozkaz skierowany był do dwóch wojowników, którzy trzymali między sobą „Krwawego Wilka”, kiedy Ahmeer częstował go kolejnymi ciosami. Mężczyźni szybko wykonali polecenie i położyli Kiera na podłodze. Eliazanar kucnęła przy nim, obróciła go na plecy. Syknąwszy, przekleła przez zęby, patrząc ze wściekłością na księcia. — Co to ma znaczyć?

Ten założył ręce na piersi, oddając go jej wyniośle.

- To nie wasza sprawa, Eliazanar.

— Mylicie się, Ahmeerze! — groźnie, powoli, podniosła się i podeszła do niego. — To jak najbardziej moja sprawa, jeśli najwyraźniej chcecie zatłuc na śmierć jeńca, którego na rozkaz mego księcia mam dostarczyć żywego do Anschary — zmierzyla go wzrokiem z lodowatą miną. — Od tej chwili „Krwawy Wilk” jest moim jeńcem! Macie się od niego trzymać z daleka!

— Jak macie czelność, wydawać mi rozkazy? — syknął Ahmeer w odpowiedzi.

Eliazanar złapała go za kamizelkę i przyciągnęła do siebie.

— Mam czelność wydawać wam rozkazy, ponieważ jestem dowódcą wojsk Astracharu i odpowiadam tylko przed waszym wujem. I ponieważ wy - książę — jesteście jedynie jednym z mych oficerów, macie słuchać moich rozkazów, czy wam się to podoba, czy nie! - popchnęła go w kierunku drzwi. — A teraz zabierajcie się stąd! Jeśli jeszcze raz zobaczę was w pobliżu „Krwawego Wilka”, dowiedcie się, co znaczy mnie zdenerwować!

Przez chwilę książę patrzył na nią z wściekłością, potem jego pełne nienawiści spojrzenie powędrowało jeszcze raz w stronę jeńca, nim odwrócił się butnie i wyszedł ze stajni. Dopiero, gdy drzwi się za nim zamknęły, Eliazanar zwróciła się do obydwu mężczyzn i jeńca — i znowu zakleła. W tym stanie nawet nie zdoła siedzieć na grzbiecie konia.

- Na pierś Bogini, nie stójcie tak i nie patrzcie - krzyknęła na wojowników. — Ty! Przynieś wodę! — A ty! Pomóż mi zanieść go tam, w kąt, i położyć na słomie.

Mężczyźni pospiesznie przystąpili do wykonania jej rozkazów.

Z bijącym mocno sercem Lijanas przycupnęła w nocnym cieniu, kryjąc się u stóp ściany domu, pod swym oknem, na pierwszym piętrze,

i poczuła na karku chłodny dotyk bluszczu, po którym właśnie zesła na ziemię. Jej bark płonął i dziękowała w duchu Łaskawej Bogini, że rana nie otworzyła się, kiedy schodziła. Temblak, w którym przez cały dzień nosiła rękę, zostawiła w pokoju. Z napięciem obserwowała wojowników Nivard, którzy rozłożyli się wygodnie wokół ogniska. Niektórzy z nich chrapali już, zawinięci w swe koce, większość z nich jednak dalej podawała sobie dzbany z piwem. Lijanas spojrzała w stronę stajni. Nie licząc głosów wojowników i sporadycznych odgłosów nocnych ptaków, było cicho.

Szybko upewniła się raz jeszcze, że spódnica jest mocno zatknięta za pasek, potem zaczęła się ukradkiem przemykać do stajni, cały czas poza okręgiem światła rzucanym przez ognisko, gdzie przygłnęła do szorstkiej ściany z desek. Za kamiennym murem, który otaczał dziedziniec, usłyszała ciche stąpanie konia, potem parsknięcie. Po drugiej stronie muru była mała zagroda, gdzie wojownicy zostawili na noc swe zwierzęta. Zagryzła wargę. Żołnierze tak poturbowali Mordana, że w tym stanie nie zajdą daleko piechotą. Będzie musiała ukraść jednego z koni. Omiotła wzrokiem kamienie w murze. W odległości jakichś pięciu kroków brakowało części muru i był wysoki zaledwie do bioder — ale akurat do tego miejsca sięgało światło ognia. Na chwilę jej dłonie zacisnęły się w pięści. Jeśli chce pomóc Mordanowi w ucieczce, to jest to jedyna droga. Nie pozostawało jej nic innego, jak zdać się na szczęście i łaskę Bogini. Zatrzymała się, usłyszawszy głosy wewnątrz stajni.

Straż! Psiakren! Czy ja naprawdę myślałam, że nie będą go pilnować? - jeszcze raz zerknęła w stronę ludzi przy ognisku, potem przemknęła, schylona, wzdłuż ściany stajni, aż znalazła szparę w deskach, przez którą udało jej się zajrzeć do środka. Natychmiast dostrzegła obydwu wojowników siedzących na przewróconych do góry nogami wiadrach i rzucających kośćmi, ale potrzebowała kilku chwil, by dojrzeć Mordana leżącego na słomie, w kącie, z tyłu stajni. — *Nie!* — Lijanas przycisnęła pięść do ust. - *O Łaskawa! Nie!* - zamknęła oczy, oparła czoło o drewno. Spóźniła się! Ostrożnie położyła dłoń obok szpary, jakby było to coś innego niż martwe drewno. Myślała, że nie można go już bardziej zbić, a tymczasem... W jej gardle uwiązał szloch. Nawet gdyby udało jej się odwrócić uwagę strażników, nawet gdyby udało się go wydostać... Drząc, nabrała powietrza. Ci ludzie i pewnie sam Ahmeer, zadbali ostatecznie o to, by nie mógł już nigdzie pójść. Nawet z jej pomocą. Za jej plecami kamień uderzył z loskotem o kamień. Znowu parsknął koń. - *O Łaskawa,*

miej litość. Co teraz będzie? Oni go zabijają! A z każdym dniem, z którym oddalamy się coraz bardziej od granicy...

Czyjaś dłoń złapała ją tak nagle za ramię, szarpnęła, odwróciła się i uniosła do góry, że aż krzyknęła z przerażenia i bólu.

— Kiedy nie znalazłem cię w twoim pokoju, wiedziałem, co zamierzasz! Obiecuję ci, kochanie: pożałujesz tego! - kiedy Ahmeer syknął te słowa przez zęby takim tonem, po plecach przeszły ją ciarki. Ścisnął ją coraz mocniej. Bezsukutecznie Lijanas próbowała się uwolnić, zamiast tego cisnął nią o ścianę stajni tak mocno, że jej głowa uderzyła tępo w drewno. Wokół niej zrobiło się ciemno. Jak przez mgłę docierało do niej, że niosą ją między wojownikami Nivard, którzy zbiegli się zaalarmowani do gospody, po schodach w górę, do jej pokoju. Potem poczuła nagle pod sobą poduszki i koce. Rozległo się ciche bulgotanie, szuranie. Zmrużyła oczy, próbując odzyskać ostrość widzenia. Z kubkiem w ręku Ahmeer podszedł do niej od stołu i zatrzymał się przy łóżku. Ciągle dziwnie oszolomiona, Lijanas próbowała odsunąć go, gdy pochylił się nad nią. W jej barku szalał ból.

- Wypij to, poczujesz się lepiej - jego słowa były poleceniem i zarazem próbą przymilania się. Poznała ten zapach, dochodzący z kubka, potrząsnęła z przerażeniem głową. Rysy Ahmeera zrobiły się nagle surowe, jego palce chwyciły podbródek kobiety. Brutalnie przycisnął ją do łóżka. — Pij! — przymilanie zniknęło z jego głosu. Z całej siły Lijanas próbowała odepchnąć go, jednak Ahmeer rozchylił jej usta i wlał do nich wino. Na języku pojawił się nagle gorzki smak maku.

Nie! — broniła się, chcąc wypłuć narkotyk. Znowu wino wypełniło jej gardło. Lijanas dławiła się, kasłała, biła Ahmeera pełna rozpacz. Kubek rozbił się z loskotem na podłodze. Nagle puścił ją. Próbowała zejść z łóżka, zatoczyła się w stronę drzwi. Szara pustka ogarnęła jej umysł, zdusiła jej wolę i zostawiła ją samą i bezradną.

Wrzawa rozgorzała, kiedy otwarto bramę. Oślepiiony zamknął na chwilę oko. Po całkowitej ciemności w lochu, która towarzyszyła mu przez ostatnie tygodnie, światło było boleśnie jaskrawe. Ktoś pchnął go w plecy, potknął się, o mały włos by się przewrócił. Żelazo na jego przegubach zadzwoniło. Rozległ się szyderczy śmiech. Zaciśnął usta. Żołnierze Rusana

zrobili się odważni, od kiedy wyrwali „Krwawemu Wilkowi” Haffrena pazury i zęby. Szarpnięcie łańcuchów; burknięte: - Naprzód, bestio! - Tym razem poczul na plecach drzewce włóczni. Powoli Mordan wyszedł przez bramę morskiego więzienia i zmrużył oczy od jaskrawego światła słonecznego. Za nim wznosił się na szczycie wysokiej skały pałac Anshary, a w rafę uderzało z hukiem morze. Wrzask tłumu był ogłuszający. Poleciały pierwsze kamienie, jeden trafił go w brew - krew popłynęła po oku, oslepiając go na krótką chwilę. Otarł ją skutymi dłońmi. Żołnierze, którzy utworzyli wokół niego krąg, z trudem powstrzymywali rozwścieczoną masę. Pociągęli go brutalnie do przodu, potknął się, ponieważ kajdany na nogach pozwalały jedynie na małe kroki, ludziom Rusana spieszyło się jednak, by przekazać więźnia w ręce kata.

Nie wiedział, jak długo czekał na ten dzień. Na początku oprawcy Rusana próbowali jeszcze wyciągnąć z niego informacje na temat oddziałów Kierów, ich posterunków i liczebności. Jednak, gdy ani żelazo, ani pejcz, ani żadna z ich metod nie poskutkowały, w pewnym momencie odpuścili. W mroku swego zimnego i mokrego więzienia stracił poczucie czasu. Cisza przerywana była jedynie kąpiącymi równomiernie kroplami wody i hukiem fal, które rozbijały się o skały, gdzieś na jego głowę. W pewnym momencie zaczęło go cieszyć, kiedy szczury dotrzymywały mu towarzystwa.

Sześciu ludzi wyprowadziło go wreszcie z lochu po niezliczonych stopniach, do czegoś w rodzaju wartowni, dookoła której było kilka maleńkich cel. Chłodny powiew powietrza sphywał z góry po wąskich schodkach. Tutaj niemal utopili go w kadzi gorącej wody, kiedy zmywali z niego największy brud. Najwyraźniej Rusan rozkazał, by zaprezentowano go Nivardom podczas egzekucji jako groźnego wojownika, a nie zaniedbaną kreaturę. Resztę nocy spędził w jednej z tych małych cel na twardej podłodze, gdzie nad ranem obudzono go kopniakami. Zaskoczenie kilku żołnierzy, że ma, jak widać, tyle zimnej krwi, by spać spokojnie w obliczu czekającej go egzekucji, wywołało drwiący uśmiech na jego twarzy. Nie chciał dać po sobie poznać, że boi się śmierci jak każdy inny. Pokonało go wyczerpanie — na pokrytej wodą podłodze jego poprzedniego więzienia sen był niemal niemożliwy.

Już kiedy ludzie Eliazanar obezwładnili go w ruinach Galan, wiedział, że w Ansharze czeka go śmierć i że nie ma co się ludzi nadzieją. Parsknął gorzko. Nadzieja była uludą głupców i była tak samo bez sensu jak żal.

— Dlaczego w takim razie nie chciał mu przejść ten tępy ból w piersi, że los nie pozwolił mu spędzić więcej czasu z Lijanas?

Znowu pchnięto go w plecy, potknął się, łądując tym razem na czworakach, żołnierze postawili go z powrotem na nogi i ciągnęli dalej. Dokola niego falował tłum. Potrząsano pięściami, ktoś próbował przedrzeć się przez szereg żołnierzy, odepchnięto go jednak.

Kiedy zobaczył szafot, zatrzymał się. Na kamiennym prostopadłościu, na którym zwykle odbywały się egzekucje w Anscharze, wznosiła się pionowo w niebo belka, wysoka przynajmniej jak dwóch ludzi. Cofnął się mimowolnie.

Nie! Nie tak!

Gwizdy tłumu dźwięczały w jego uszach jak wycie masy pożeraczy dusz.

— Strach cię obleciał, Kierze? - żołnierze chwycili go za ręce, żeby pociągnąć go do przodu. Zobaczył uśmiech na twarzy jednego z nich, tuż przed sobą.

- Kat pochodzi z Sajidarrah. I zna się na swoim fachu.

Mordan przeniósł wzrok z mężczyzny z powrotem na belkę. - *O duchy, miejcie litość!* — zamknął na chwilę oko, zdusił w sobie przerażenie, przelknął ślinę i strząsnął dłonie żołnierzy. - *Nie! Nie zobaczycie, jak się trzęsę! Duchy zemsty, dajcie mi siłę! Dajcie mi dobrą śmierć!* — ku zaskoczeniu żołnierzy, szedł dalej sam, nie musieli go już ciągnąć. Ryk tłumu zamienił się w odległy szum; zorientował się, że doszli do szafotu dopiero, kiedy pchali go po stopniach w górę.

Odwrócili go, żeby tłum mógł go zobaczyć. Patrzył ponad nimi, nie zwracając uwagi na ich wrzaski. Spoglądał w stronę bogato zdobionej trybuny, gdzie siedział Rusan ze swą świtą. Kiedy zdejmowano mu kajdany, szukał Lijanas, pragnąc zobaczyć ją po raz ostatni. I jednocześnie miał nadzieję, że jej tu nie ma, że nie będzie patrzeć, jak powieszą go na krzyżu. Zauważył ją obok księcia Ahmeera w chwili, gdy żołnierze zerwali z niego wśród wycia ludu ubrania i zmusili, by położył plecy na ziemi, a ramiona na poprzecznej belce. Słońce paliło bezlitośnie, osłepiając go.

Zapomnij o mnie, Elljen! Bądź szczęśliwa!

Kat i jego pomocnicy pochylili się nad nim, rozciągnęli brutalnie jego ręce - Mordan nie był w stanie nad tym zapanować, jego dłonie zacisnęły się w pięści, mięśnie napięły, aż zaczęły drżeć — owinęli jego przeguby szorstkim sznurem i zaciągnęli go mocno, nim przywiązali liny do belki.

Potem chwycili Mordana i postawili na nogi. Gorący ból przeszył jego ręce i ramiona, kiedy podnosili go na czubek krzyża.

Dłoń na jej ramieniu zdawała się być jedyną prawdziwą rzeczą w świecie z gęstej mgły. Miała wrażenie, że świat przykryty jest jakąś zasłoną, wszystko dokoła niej było stłumione i zarazem wykrzywione. Głosy docierały do niej jakby z oddali, krzyki i gwizdy. Bardzo powoli jej wzrok nabierał ostrości, na brzegach wciąż wszystko było rozmyte. Przypomniła sobie służące, które ją ubierały, Ahmeera, miękką skórę jego rękawiczek, kiedy wyprowadził ją za rękę z pokoju, głos Rusana, który zatroskany pytał, jak się czuje - i odpowiedź Ahmeera, że wciąż cierpi z powodu tego, co uczyniła jej kierska bestia. Oszolomiona i bezwolna szła za ręką, która przyprowadziła ją tutaj i posadziła na miękkim siedzeniu. Potrząsnęła głową, zaciskając raz po raz powieki — mgła nie chciała uwolnić jej zmysłów; powoli zaczęła poznawać, gdzie się znajduje. Po drugiej stronie placu ujrzała szafot, wysoką, strzelającą w jaskrawoniebieskie niebo belkę. Starła się oddychać spokojnie i głęboko. Ubrana na czerwono, zniekształcona postać kata poruszała się powoli.

Zmrużyła oczy, raz, i drugi... - *Nie!* - jej dłonie ścisnęły poręczę krzesła. Przerazenie przewiało mgłę, dopuściło wspomnienia. Zwróciła się w stronę Ahmeera, zacisnęła pięści i odsunęła od niego, stanęła z trudem na nogi, uniknęła jego ręki, kiedy wyciągnął ją w jej stronę, zachwiała się i uchwyciła jednego z drążków podtrzymujących przeplatany złotą nicią baldachim nad trybuną, by nie upaść. — *Nie! O Łaskawa, proszę! Nie!* - pełna przerażenia obserwowała, co robił kat i jego pomocnicy; jak postawili Mordana na nogi, by potem podnieść go wraz z belką w górę i przymocować do podłużnej belki. Pałący ból przeszył jej ramiona, aż po barki, i wybuchł w czaszce, kiedy cały jego ciężar wisiał już tylko na linach, którymi jego przeguby przywiązane były do poprzecznej belki. — *Nie! Proszę! Nie!* - świat wokół niej wirował. Ostrza sztyletu zdawały się przesywać jej nadgarstki. Na placu tłum gwizdał. Obraz zniekształcił się, krzyk o łaskę zamarł w jej gardle, kiedy ból nagle pochłonął zmysły Lijanas i pogrążyła się w czerni.

Nigdy by nie pomyślał, że Kierowie mogą być tak bezczelni! Jednak dwa tuziny wojowników przyjechało dziś konno, nad ranem, z białą flagą do Anshary i poprosiło, by ich przyjął. Kazał im czekać, już dawno minęło południe — a teraz patrzył na nich wyniośle.

Kier, który podszedł do niego na czele małego oddziału, był już zadowolony jak na wojownika. Jego włosy były siwe, jednak w żółtych oczach, które przypominały Rusanowi oczy jastrzębia, nie było śladu starości ani słabości. Podszedł do niego pokornie i ukląkł na jedno kolano. Za nim pozostali Kierowie postawili na podłodze sali audiencyjnej pięć potężnych skrzyń.

Rusan zmarszczył czoło i oparł się w swym krześle.

- Czego chcecie? - nie starał się, by jego głos zabrzmiał przyjaźnie ani chociażby uprzejmie.

Stary Kier spojrzal na niego.

— Jesteśmy tu, by prosić za jednym z naszych, który znajduje się w waszych rękach, księżę Rusanie.

- Jeśli macie na myśli tego, którego zwa „Krwawym Wilkiem"... Cóż, spóźniliście się. Od dwóch dni wisi na krzyżu.

Przez szeregi wojowników przeszedł szmer. Jeden z nich, szczupły chłopak, którego twarz skryta była pod kapturem płaszcza, zrobił krok naprzód, jednak potem zatrzymał się.

— Czy on jeszcze żyje, wielki księżę? — wojownik o oczach jastrzębia poklonił się.

— Przed południem jeszcze tak było. Wasze prośby są daremne! Dla tego człowieka nie ma litości w Astracharze.

- Nawet, gdy zapłacimy za nią złotem i szlachetnymi kamieniami? - wydał krótki rozkaz i otwarto skrzynię. Wśród obecnych tam, szlachetnie urodzonych Nivardów, dało się słyszeć wielogłosowe westchnienie. Rusan poprawił się na swym tronie. Złoto lśniło między połyskującymi rubinami, szmaragdami i szafirami. Perły błyszcząły delikatnie pośród lśniących diamentów, niektóre z nich były bardzo duże, nie widział jeszcze nigdy kamieni takiej wielkości. Jedna skrzynia była po brzegi wypełniona lodowymi gwiazdami, kamieniami, które można znaleźć jedynie w Skalach Mglistych na północy królestwa Kierów, z których zimnym płomieniem i lodowatym pięknem nie mogły się mierzyć nawet diamenty.

— Okup wart króla. Ale moja laska nie jest na sprzedaż. Zostanie tam, gdzie jest! A kiedy nie będzie już w nim życia, jego zwłoki zostaną wydane ludowi Astracharu! — na jego słowa wielu Kierów pokazało swe kły i zaciśnęło pięści.

— Może wasza laska nie jest na sprzedaż, książę Rusanie - to przemówił ten chłopak. Kierowie uklonili się, kiedy wystąpił do przodu, odrzucając przy tym kaptur. Wojownik o oczach jastrzębia podniósł się. - Ale czy naprawdę chcecie dopuścić, by wasz bratanek zginął nędznie na krzyżu, a hołota zbezczęściła jego ciało?

Przez chwilę panowała martwa cisza.

— Wiedzmo! — ryknąwszy z wściekłości, Rusan zerwał się, chcąc się na nią rzucić. Kierowie błyskawicznie stanęli między nim a „chłopakiem”. Jego straż przyboczna dobyła mieczy, a komendant zmusił Rusana, by się cofnął, podczas gdy pozostali jego ludzie trzymali Kierów w szachu.

— Nie, panie! Przybyła z białą flagą, ma prawo do bezpieczeństwa, jeśli je złamiecie, nie będziemy lepsi od nich — zaklinał go wojownik.

Rusan wyrwał się z jego rąk.

— Kierska wiedźma! Jak możesz mieć czelność przybywać tutaj... - spojrzał z nienawiścią na kobietę, która stała przed nim: królową Naisee. Dopiero potem dotarło do niego, co powiedziała. — *Mój bratanek*. — parsknął pogardliwie. - Naprawdę jesteście tak szalona, jak mówią, kobieto - z zaciśniętymi pięściami starał się opanować emocje, kiwnął na swych ludzi, by odstąpili od Kierów. Wykonali polecenie z wahaniem. Komendant jego straży miał rację. Przybyła z białą flagą. Nie zbezczęści pamięci o Kedarze, kalając honor jego rodziny. Zemści się. Ale nie teraz. - Znikajcie stąd, kobieto. Macie moją odpowiedź. Odejdźcie, nim zmienię zdanie i każę was powiesić obok waszego „Krwawego Wilka” — wyrzucił z siebie.

Kobieta stojąca naprzeciwko niego, nie odrywała od niego wzroku.

— Ozy słyszeliście, co powiedziałam? Ten człowiek na krzyżu to wasz bratanek! — także Kierowie cofnęli się nieco.

— Tak, oczywiście. A ja powiedziałem, że jesteście tak szaloną, jak powiadają — odparł z pogardliwym gestem.

Nadal się nie poruszała.

— Jestem tak samo szalona jak wy, Rusanie, i pytam was po raz kolejny: chcecie dopuścić, by człowiek, który jest synem waszego brata Kedara, umarł na krzyżu, a hołota zbezczęściła jego ciało?

— Mój brat nie miał syna! A już na pewno nie z Kierką! — splunął.

— Mylicie się! — czy jej głos drżał?

Zaśmiał się nieczule.

— Udowodnijcie to!

Przechyliła lekko głowę, wyciągając coś zza kołnierza swej szaty i robiąc krok w jego stronę.

— Myślę, że pamiętacie to, Rusanie.

Jego śmiech zamarł, kiedy rozpoznał, co trzymała w dłoni. W półpiersicieniu ze złota lśnił płaski szafir. Przez chwilę, która zdawała się trwać wieczność, nie mógł oderwać oczu od amuletu — amuletu, którego drugą połowę nosił on sam, potem wściekły podniósł wzrok.

— Skąd to macie?

— Wasz brat dał mi to dla swego syna w dniu, kiedy opuścił Turas, by wrócić do Anschary. Chciał...

— To kłamstwo! — przerwał jej ostrym gestem. — To, że posiadacie połowę amuletu, należąca kiedyś do Kedara, to żaden dowód! Mój brat został zamordowany z waszego rozkazu. Pewnie jeden z jego morderców przyniósł go wam — jako dowód swego czynu. Jeśli nie macie innych dowodów, kobieto...

— Wasz brat miał znamię, w miejscu, gdzie ręka przechodzi w bark. Miało kolor czerwonego wina. Wy macie takie samo znamię, tak jak wasz ojciec, jego ojciec i jego ojciec przed nim, aż po przodków waszego rodu. Syn Kedara też je ma.

— Skąd...? — przerwał sam sobie, kręcąc głową. — To kłamstwo!

— Poślijcie jednego z waszych ludzi, by się przekonał, że mówię prawdę — albo idźcie sami! Ale zróbcie to szybko!

Sposób, w jaki odpowiedziała tym razem na jego spojrzenie, spowodował, że poczuł dreszcz między łopatkami.

— Skąd wiecie o tym znamieniu? — opadł z powrotem na swoje poduszki.

— Wasz brat mi o tym opowiadał i widziałam je wielokrotnie na własne oczy. A jeśli chodzi o syna waszego brata... Trzymałam go w ramionach, kiedy po raz pierwszy zapłakał. Jak miałabym nie znać znamienia, które było dowodem, że jest synem swego ojca i stało się przyczyną mej zguby. Proszę was, Rusanie, cokolwiek chcecie zrobić, zróbcie to szybko! Ponieważ, podczas gdy my tu rozmawiamy, mój syn może właśnie umierać na waszym krzyżu.

— Wasz...? — przez chwilę patrzył na nią oszołomiony, potem znowu zaczął się śmiać. — Przez moment byłem gotów wam naprawdę uwierzyć, kobieto. Rzeczywiście postradaliście zmysły. Przecież wy nie macie syna! Zamordowaliście swe własne dziecko zaraz po jego narodzinach. Chcecie mieć swego dowódcę, to wszystko! Dlatego opowiadacie mi tę bujdę.

— Nie kłamię! Kłamstwem było to, że zamordowałam me własne dziecko - kłamstwem wymyślonym przez mego męża Haffrena - potrząsnęła głową. - Uwierzcie mi, Rusanie! Mój syn żyje, a jego życie spoczywa w waszych rękach, jeśli mi nie wierzycie, to proszę was na waszego brata: poślijcie jednego z waszych wojowników, by sprawdził, czy człowiek, którego kazaliście powiesić na krzyżu, nosi znamię, z którym przychodzi na świat każde dziecko płci męskiej wywodzące się w męskiej linii bezpośrednio od waszego przodka Iskadara.

Znowu spojrzal na nią badawczo, potem skinął na jednego z oficerów swej straży przybocznej.

— Zrób, co mówi! I pospiesz się! — nie potrafił tego wyjaśnić, ale w jego piersi pojawiło się nagle dziwne uczucie.

Mężczyzna sklonił się i szybko opuścił salę.

Zapadło milczenie, ciężkie i bezlitosne, przerywane jedynie cichym szeptem arystokratów i szelestem ich szat. Wojownicy Kier czekali bez ruchu. Rusan przypatrywał się wnikliwie władczyni Kierów. Jedynie jej dłonie, szarpiące zwisający koniec jej paska, zdradzały, co się działo w duszy tej kobiety. Chwile zdawały się przeciągać w wieczność — aż nie mógł już znieść tej ciszy.

— Jeśli faktycznie on jest synem mego brata i waszym, dlaczego nic mi o tym nie powiedział, kiedy stał przede mną? - zapytał, przerywając milczenie.

— Ponieważ nie wie nic o swym prawdziwym pochodzeniu — teraz dostrzegł, jak zaskakująco jej szare jak burza oczy przypominały oko „Krwawego Wilka”.

— Jak to?

— Czy naprawdę spodziewacie się, że opowiem wam w obecności całego dworu rzeczy, które nawet w Turasie są tajemnicą, książę Rusanie?

Przez chwilę milczał, po to tylko, by potem — sam nie wiedząc dlaczego — przytaknąć.

— Macie rację! Wyjść!

Rozległy się oburzone szepty.

- Ależ panie...! - protestował komendant jego straży przybocznej. Rusan spojrział krótko na Kierów, potem znowu skinął.

- Możesz poczekać ze swymi ludźmi na końcu sali, tak samo, jak zrobią to Kierowie. Wszyscy pozostali: wyjść!

Jeden gest królowej Kierów i jej wojownicy wycofali się z respektem. Ludzie Rusana wykonali rozkaz po chwili wahania, jednak wreszcie on i Naisee zostali sami. Gestem zaprosił ją, by usiadła na poduszkach. Odmówiła, kręcąc głową.

- A teraz wytłumaczcie mi, dlaczego następcą tronu Kierów nie wie nic o swym prawdziwym pochodzeniu.

- Ponieważ jest synem waszego brata. Mój mąż Haffren szalał z zazdrości, kiedy dowiedział się, że kocham Kedara. To on wydał rozkaz, by zabić go w drodze do Anschary. Kiedy urodziło się moje dziecko i znamię zdradziło, czym był synem, Haffren zabrał mi go i dał je służącej. Nie wiem, dlaczego nie kazał go od razu zabić. Mój syn żył cały czas w przekonaniu, że jest bękartem mojego męża, którego splodził z niewolną kobietą, z pochodzenia pół-Edari.

- A dlaczego wy nie powiedzieliście mu prawdy?

- Haffren kazał mnie zamknąć w wieży jako wariatkę i dzieciobójczynię. Nikt oprócz niego nie miał do mnie wstępu. Darował memu synowi życie w zamian za moje dobre zachowanie. Nie miałam innego wyjścia, jak podporządkować się jego woli i pozwolić mojemu dziecku żyć w tym przeświadczeniu — jej palce zacisnęły się na połówce amuletu, należącej do Kedara.

Mimowolnie Rusan sięgnął ręką, dotykając drugiej części amuletu, którą nosił ukrytą pod szatą. Jego dłoń naraz zadrżała. Niech Rabini ma nad nim litość — jeśli to wszystko prawda, skazał swego własnego bratanka na potworną śmierć.

Kiedy kroki obwieścili wreszcie powrót wojownika, którego posłał, by sprawdził to, co twierdziła, pochylił się do przodu. Wojownik dyszał ciężko, kiedy padł przed nim na kolano.

- I?

- Jest tak, jak ona mówi, panie. Ma znamię. Widziałem je na własne oczy. Ale już za późno, mój książę. Strażnicy powiedzieli mi, że od południa się nie rusza. Kier nie żyje!

- Od południa, mówisz? — gdyby nie kazał Kierom czekać... — *Syn Kedara...* — podniósł wzrok i napotkał spojrzenie królowej Naisee. Jej

wojownicy poruszali się w końcu sali, jakby tylko czekali na rozkaz, żeby rzucić się na Nivardów.

Wyprostowała się bardzo powoli.

- Pozwólcie moim ludziom go zdjąć. Zgódźcie się przynajmniej, abym mogła zabrać zwłoki mego syna do domu. — jej dłoń wskazała na skarby, które przywiozła, by wykupić żywego księcia Kierów. — To powinno wystarczyć, by pocieszyć pospólstwo, że nie będzie miało okazji zbeznać jego martwego ciała.

Rusan przelknął ciężko ślinę, pokręcił głową.

- Zabierzcie je ze sobą! Pospólstwo będzie się musiało zadowolić w inny sposób. Idźcie, królowo Naisee! Ciało waszego syna należy do was!

Skloniwszy w milczeniu głowę, przyjęła jego słowa, odwróciła się i dała swym ludziom krótki znak. Bez słowa zamknęli skrzynie i wynieśli je z sali.

- Dopilnuj, aby otrzymali wszystko, co im potrzeba, żeby zdjąć ciało, a jeśli będzie to konieczne, odprowadź ich pod eskortą za mury miasta — rozkazał wojownikowi, który wciąż jeszcze przed nim klęczał. Mężczyzna skinął głową i pospiesznie opuścił salę.

Martwy! Niewidzącym wzrokiem patrzyła w górę, na belki, z których zwisały już tylko resztki szorstkich sznurów, ciemne od krwi.

Martwy! To słowo opanowało jej umysł, odganiając wszelkie inne myśli i pozostawiając po sobie jedynie zimną pustkę. A mimo to był tam głos, który z rozpaczliwym uporem powtarzał jej: to niemożliwe!

Powoli podeszła bliżej do krzyża, wyciągnęła dłoń i po chwili wahania dotknęła go.

Martwy! Coś w niej nie chciało w to uwierzyć. Ale czy jest jakieś inne wyjaśnienie dla tak nagłego końca jego męki?

Czy nie powinno bardziej boleć, gdybym faktycznie straciła część mojej duszy? Co teraz będzie?

Miała ochotę oprzeć czoło o szorstkie drewno, ale powstrzymała tę chęć, mając świadomość, że dookoła niej stoją ludzie i przyglądają się jej. Ludzie, których знаła, których leczyła. Ludzie, którzy obrzucali go jeszcze kamieniami i błotem, kiedy już wisiał na krzyżu.

Lijanas zacisnęła usta. Do końca nie udało im się go zmusić, by wydał z siebie jakiś dźwięk.

Teraz jednak oparła czoło o belkę. Tak jak Aslajin czuła ból Norasara i Zejidana, kiedy zabijano jej kochanków w górach, po drugiej stronie Wąwozu Kassen, czuła jego mękę, rwący ból w rękach i barkach, ciężką walkę o każdy oddech, kiedy jego siły zanikały nieubłaganie i żelazne pasy zdawały się coraz mocniej i mocniej zaciskać na jego piersi.

Rozpacзлиwa walka Mordana trwała wiele godzin, które spędziła skulona w swej izbie w salach kapłanek Rabini, pogrążona w bezradności i rozpacz, ponieważ wiedziała, że na końcu tej walki czekało tylko jedno — w Astracharze nie było laski dla człowieka, którego zwano „Bestią z Sajidarrah”.

A potem chwila, kiedy ból go pokonał, a ciało zdradziło. Ostatnie, bezsilne spięcie mięśni, ostatnia próba zaczerpnięcia powietrza, chwila, kiedy się poddał, powital koniec. — Chwila, kiedy Lijanas próbowała go jeszcze podtrzymać; chwila, kiedy...

— Słyszałam same złe rzeczy o „Krwawym Wilku”, ale człowiek, któremu moja córka podarowała swe serce, nie mógł być aż tak zły, jak opowiadano - głos jej przybranej matki Niegry wyrwał ją z zamyślenia, odwróciła się powoli. — A jeśli on też cię kochał, na pewno nie chciałby, żebyś go oplakiwała akurat tutaj. Chodźmy do domu, dziecko! - niewidoma, stara kobieta wyciągnęła do niej rękę, pomarszczone palce odnalazły jej dłoń i ścisnęły. Nagle Lijanas poczuła w gardle lzy. Przelknęła je z uporem i ścisnęła mocniej dłoń przybranej matki. Po tym, jak, podczas ukrzyżowania, Lijanas straciła z przeraźliwym krzykiem przytomność i upadła u stóp Rusana, Niegra wymogła na nim, by zanieść ją do sal kapłanek Rabini, a nie z powrotem do pałacu. I w ten sposób — nie mając wtedy o tym pojęcia — uwolniła ją z rąk Ahmeera. Od kiedy stara kobieta dowiedziała się, co książę zrobił Lijanas, wykorzystywała swą władzę pierwszej kapłanki Łaskawej Bogini, by chronić przed nim swą przybraną córkę. Ale nie ograniczyła się tylko do tego, by nie dopuścić do niej Ahmeera, uległa nawet jej błaganiom i poszła do Rusana, by prosić o łaskę dla ukrzyżowanego. Bez skutku! A od wczoraj słychać głosy, że może niedługo nastąpi pokój między Kierami a Nivardami - nawet jeśli wielu nie chce się z tym pogodzić. Wpiła palce w suknię. Nawet jeśli będzie pokój, dla niej nie ma to znaczenia. Dla Mordana jest już za późno.

Jeszcze raz Lijanas spojrzała na szorstką belkę.

Po co to wszystko? Tylko po to, żebyś nie musiał spłacić długu za przegrany zakład? — przycisnęła dłoń do ust, żeby zdusić rozpaczliwy śmiech. Co to za myśli? Z radością zrezygnowałaby z tego długu, gdyby to była cena za jego życie.

Dłoń Niegry odnalazła jej policzek, pogłaskała go ze współczuciem.

— Nie dręcz się tak, dziecko. Zachowaj go w sercu, ale nie dręcz się. Jeśli cię kochał, nie życzyłby sobie tego. Chodźmy.

Lijanas przytaknęła bez słowa, pogłaskała po raz ostatni popękane drewno. To Kierowie zdjęli jego ciało z krzyża — odkupili je od księcia za fortunę, złoto i drogie kamienie, jeśli wierzyć plotkom. Zamknęła na chwilę oczy. Świadomość, że zostanie pochowany przez swój lud, była jej jedyną pociechą. Zaciśnęła usta, odetchnęła głęboko, starając się znowu uciszyć część swej duszy, która nadal uparcie powtarzała: - *On nie umarł!* — potem wsunęła dłoń Niegry w załamanie swego łokcia i ruszyła wraz ze starą kobietą w drogę powrotną do sal kapłanek. Widziała, jak mieszkańcy Anschary klaniali się z szacunkiem przed jej przybraną matką, choć ona nie mogła tego zobaczyć, tak samo jak widziała ich spojrzenia i słyszała współczujące szeptki, które dotyczyły jej samej.

— „Biedna dziewczyna” - „Szalona!” - „Została tak strasznie potraktowana, że ucierpiał jej umysł”. — słyszała te wszystkie słowa. Pewnie Ahmeer kazał rozpuścić tę plotkę, żeby ją zmusić, by do niego wróciła - nie uda mu się.

Kiedy wreszcie skręcili za ostatnim rogiem domu, zatrzymała się na widok tuzina wojowników stojących przed bramą sali kapłanek. Dało się słyszeć gniewne głosy klótni. Lijanas rozpoznała głos Ahmeera — i Bra-chana. Nagle jej serce zaczęło mocno bić z nadzieją. Puściła dłoń Niegry i podeszła niepewnie do obydwu mężczyzn. Kier o rudych jak ogień włosach odwrócił się, gdy ją usłyszał - Raulen. Powiedział coś do siwo-włosego wojownika, na co ten odwrócił się i spojrzał na nią.

Ahmeer minął ich szybko i podszedł do niej.

— Gdzie byłaś? Od kilku dni próbuję się z tobą zobaczyć. Powiedzieli mi, że nie chcesz mnie widzieć.

— Powiedzieli prawdę. Czego chcesz ode mnie? — chciała go minąć, jednak on przytrzymał ją za ramię. Coś zmieniło się w postawie Kierów. Jakby zrobili się czujni.

— Zobaczyć, jak się czujesz, kochanie!

— Nie nazywaj mnie tak! - *Morderco!*

— Powiedzieli, że jesteś chora!

To ty dawalesz mi mak!

— Czuję się dobrze!

— To mnie cieszy! A dzisiaj wracam z polowania, chcę cię odwiedzić, a te zwierzęta stoją pod bramą i chcą z tobą rozmawiać. Jakby nie wystarczyło, że byli na tyle bezczelni, by prosić mego wuja, by dał im ścierwo tej bestii...

Plask!

Ahmeer zamilkł oszołomiony i podniósł powoli dłoń do policzka, który właśnie zaczynał się czerwienić.

— Nigdy więcej się nie waż tak o nim mówić! — Lijanas zostawiła Ahmeera, nie zwracając uwagi na to, że otworzył usta, i podeszła do Kierów.

Brachan przyglądał się jej spokojnie, Raulen powitał ją skinieniem głowy i uderzeniem w pierś, podczas gdy pozostali Kierowie za nimi skłonili się z szacunkiem. Rozpoznała Elgena, Kardana i Denna. Reszty wojowników nie знаła, ale patrzyli na nią, jakby stali przed wcielonym cudem. Natomiast młodzi nivarzdzy arystokraci, którzy najwyraźniej towarzyszyli Ahmeerowi podczas polowania, wyglądali na zaszokowanych.

Lijanas chwyciła palcami faldy swej sukni. Nie miała odwagi zapytać, dlaczego ci Kierowie tu przybyli. W końcu Brachan przerwał ciszę, spojrzawszy przedtem krótko na Nivardów i Ahmeera.

— Czy chcecie pojechać z nami i po raz ostatni oddać hold zmarłemu? — zapytał zwyczajnie.

Zachwiała się, wydawało się jej, że czuje, jak pryska w niej resztką nadziei. — *On nie umarł!*

— Tak, chcę! — usłyszała swą odpowiedź.

— Nie! Nie pójdziesz z tymi zwierzętami! Zabraniam ci! — Ahmeer podszedł do nich wścickły.

Gniew pojawił się tak nagle, że zaskoczył nawet samą Lijanas — a z nim pojawiło się coś jeszcze. Powietrze wypełnił cichy szmer, nie wiadomo skąd pojawił się wiatr, skubiąc jej włosy.

— Nie możesz mi niczego zabronić, Ahmeerze! — w jej głosie słychać było dziwne echo.

— Mogę, mogę, moja droga! Jestem twoim narzeczonym...

— Jesteś niczym!

Łagodny wiatr przybrał na sile, szarpiąc płaszcze i włosy. Konie zarżały. Widziała, jak pobladł.

- Ktoś taki jak ty nie mógłby być moim narzeczonym! Jestem córką wiedzmy dusz i jednego z kapitanów Edari. Jestem spadkobierczynią Aslajin, Białej Żmii! A człowiek, którego ty i twój wuj kazaliście zamordować na krzyżu, był moim *cogenem*!

Naraz zapadła cisza. Nawet wiatr zamilkł. Ahmeer patrzył na nią onieśmiały, jego przyjaciele cofnęli się.

— *Co ja zrobiłam?* — bojąc się sama siebie, patrzyła od jednego do drugiego. Nagle poczuła się tak, jakby w każdej chwili mogły się pod nią ugiąć nogi. Poczuła dłoń Brachana na swym ramieniu i była mu nieskończenie wdzięczna, że podparł ją dyskretnie. Krótki rozkaz i jeden z Kierów przyprowadził dla niej konia — nie, nie konia. Ognisto-czarnego *ashentai*, który parsknął na jej widok — Ired. Siwowłosy wojownik pomógł jej usadowić się w siodle, za plecami usłyszała, jak Raulen powiedział coś, co zabrzmiało jak: — Macie coś, co nie należy do was, Nivardowie! - lecz kiedy się odwróciła, szedł już do nich od strony Ahmeera. Właśnie wyciągnął dłoń ze swej sakiewki przy pasku. Bezradnie spojrzała na Niegře. Kilka kapłanek Bogini pojawiło się przed bramą, zaciekawionych, co robią tu Kierowie. Teraz skupiły się wokół starej kobiety i patrzyły na Lijanas z takim samym przerażeniem, jak pozostali Nivardowie. Dokoła niej Kierowie wsiedli na swe konie, wzięli ją w środek i opuścili z nią Anscharę, eskortowani przez oddział jeźdźców, których tarcze zdobił astracharski smok morski. Kiedy minęli bramy miasta, Lijanas odwróciła się w siodle i spojrzała za siebie. Było jej ciężko na sercu. Teraz, gdy Ahmeer wiedział, że jest Edari i wiedźmą dusz, nie będzie mogła już nigdy wrócić do domu!

Bez słowa wojownicy Kier pogodzili się z obecnością eskorty, jadąc drogą w dół, na północ, by po jakimś czasie skrócić w wąską, bitą drogę, wiodącą przez mały lasek. W końcu otworzyła się przed nimi dolina, w której rozbili swój obóz. Nivardowie zatrzymali się na skraju doliny, gdzie czekał już drugi oddział ich towarzyszy, obserwując niespokojnie, co dzieje się między namiotami Kierów.

Lijanas pojechała dalej z pozostałymi, aż na plac w środku obozu, gdzie milczący krąg wojowników czuwał przy zwłokach ułożonych na stosie. Nie czekając, aż ktoś jej pomoże, zsunęła się z siodła i podeszła do stosu. Nikt jej nie powstrzymał, kiedy przeszła przez pierścień Kierów i podeszła do drewnianego stosu, na którym spoczywała mumia. Dłoń, którą położyła na nasączonym oliwą płótnie, zadrżała. Dziwne, ale wydawało jej się, że Mordan był dużo większy, kiedy jeszcze żył. Popatrzyła

na wojowników, którzy ją otaczali. Nie znalazła żadnego z nich. Przez uderzenie serca zastanawiała się, dlaczego to nie Brachan, Raulen i pozostali ze straży przybocznej oddają hold swemu dowódcy, potem jeden z Kierów dotknął jej ramienia i wyprowadził ją z szacunkiem poza krąg. Tak jak podczas pogrzebu Corfara, czterech Kierów stało po każdej stronie stosu, każdy powiedział kilka słów i położył monetę na mumii — potem ciśnięto w drewno pochodnie i stos natychmiast jasno zapłonął. Nad placem zawisła cisza, przerywana jedynie sykiem płomieni i trzaskiem bierwion.

Po chwili znowu poczuła na ramieniu czyjąś dłoń. Obok niej stał Brachan.

- Chodźcie! - tylko tyle.

Potem poprowadził ją do potężnego namiotu, stojącego na brzegu placu, wokół którego ludzie ze straży przybocznej Mordana skradali się jak wygłodniały pożeracz dusz. Oszolomiona spojrzała na Brachana, lecz ten popchnął ją tylko lekko, każąc wejść do środka. Wnętrze oświetlone było ogniem w misach, miękkie dywany i skóry wyścielały podłogę, a okazałe wyposażone, okrągłe wnętrza wypełniał delikatny zapach kwiatów. Siwowłosy wojownik poprowadził ją środkiem, aż do zasłony z delikatnie utkanej wełny, przed którą się zatrzymał i chrząknął. Chwilę później rozległ się ciszszy szelest szaty, potem zza zasłony wyszła kobieta i Lijanas stanęła oko w oko z władczynią Kierów. Chwila wahania, krótkie spojrzenie w część namiotu, ukrytą za zasłoną, i królowa Naisee zbliżyła się do niej. W niczym nie przypominała nieprzytomnej kobiety wiszącej u kamiennej kolumny. Jej ciemne jak burza oczy spojrzały na Brachana, który skinął głową bez słowa. Na jej ustach pojawił się ciepły uśmiech, kiedy chwyciła dłonie Lijanas i je delikatnie ścisnęła.

- Witajcie, dziecko! Cieszę się, że mogę was poznać - i to nie tylko dlatego, że dzięki wam mój lud nie dostał się w niewolę boga demonów.

— Dziękuję, Brachanie, możesz odejść!

— Chodźcie! Ale bądźcie cicho, on śpi!

Lijanas spojrzała na nią niepewnie, zerknęła krótko w stronę, z której zdawało się słyszeć trzask płomieni trawiących stos - potem minęła powoli królową, która odchyliła jej zasłonę. Także tę część namiotu oświetlał ogień w misach. Na moment zatrzymała się, potem podbiegła do łóżka stojącego po jej lewej stronie i upadła przy nim na kolana. Czowała w gardle mocne uderzenia serca i musiała przycisnąć dłoń do ust, by nie krzyknąć.

- Mam nadzieję, że wybaczyście nam tę szaradę tam, na zewnątrz. Ma zmylić Nivardów — usłyszała za plecami królową Naisee, tymczasem nie mogła oderwać wzroku od mężczyzny, który leżał na boku, na poduszkach i miękkich skórach — i spał. Jego ręce owinięte były fachowo od palców aż po łokcie delikatnym płótnem i unosił się nad nimi zapach ziół. Pod oczami widniały ciemne cienie, kości policzkowe wystawały przerażająco ostro.

On żyje! — jak odurzona wyciągnęła do niego dłoń — i cofnęła ją, bojąc się, że nawet najmniejsze dotknięcie mogłoby sprawić mu ból.

- Myślałam, że on nie żyje! — z jej ust wydobył się jedynie drżący szept.

- My też - na początku. To Kardan zauważył, że jeszcze oddycha, kiedy go zdjeliśmy. Ponieważ przez dłuższy czas się nie ruszał, Nivardowie uznali, że nie żyje. Nie wyprowadzaliśmy ich z błędu i przywieźliśmy go tutaj. Mój uzdrowiciel natychmiast się nim zajął, ale przez pierwsze godziny baliśmy się... - pokręciła głową, patrząc na śpiącego na łóżku mężczyznę z zadziwiającą czułością, nim znowu spojrzała na Lijanas. — Pytał o was, nie wiedząc nawet, gdzie się znajduje. Dlatego kazałam Brachanowi i Raulenowi jechać po was. Ci dwaj powiedzieliby wam już wcześniej, że on żyje, jednak nie mogli tego zrobić w obecności Nivardów. — Zostawię was samych! Jeśli będziecie czegoś potrzebować albo coś się będzie działo, wołajcie. Cały czas ktoś jest w pobliżu.

Zasłona zamknęła się za nią. Lijanas patrzyła zdziwiona za tą kobietą, podnosząc się z podłogi. - *Czyż cały świat nie twierdził, że ona jest szalona? Jej umysł jest tak samo zdrony jak mój.*

Usiadła na krześle obok posłania Mordana, próbując zebrać myśli, bo najwyraźniej królowa Naisee przez cały czas siedziała przy nim sama, czuwając. Po jej lewej stronie stał zdobiony srebrem stolik, a na nim gliniany dzban z wodą, kubek, kilka płaskich tygli i płótno - oraz cienka fiolka, w której polyskiwała ciemna ciecz. Ostrożnie powąchała zawartość i poznała ten zapach: gorzki anad zmieszany ze słodkim miodem - o znieczulającym działaniu.

- Pić! - to słowo było jedynie ochryplym tchnieniem, któremu towarzyszyło słabe jęknięcie. Lijanas szybko odstawiła fiolkę, chwyciła zamiast tego kubek i pochylili się nad Mordanem. Ostrożnie uniosła jego głowę z poduszki i zaczęła mu wlewać po troszkę wody przez pokryte strupami usta, dopóki nie zauważyła, że już wystarczy i na nowo ułożyła go delikatnie na poduszce. Jej dłonie zacisnęły się na chłodnej glinie, jeszcze raz

popatrzyła na jego ciało, cienkie, jedwabne nakrycie, naciągnięte aż po żebra; skóra była spieczona od słońca; ślady głodu, bicia i jeszcze gorszych rzeczy.

O Laskawa, co oni mu zrobili!

Znowu z gardła Mordana doszedł cichy, bolesny dźwięk i Lijanas chwyciła pospiesznie fiolkę, by wlać kilka kropli do kubka, lecz nim zdążyła podać mu lekarstwo, podniósł, westchnawszy ciężko, powiekę.

— Lijanas? — jedynie wyszeptał jej imię. Po jego twarzy przemknęło coś jakby ulga. — Ty... jesteś? - jego głos łamał się.

— Oczywiście! Ale musisz spać! Możemy później...

— Ty... nie pozwoliłaś mi odejść!

Lijanas od razu wiedziała, co ma na myśli — przez chwilę zdawało jej się, że usłyszała w tych słowach żal i oskarżenie, aż wymamrotał cicho:

— Dziękuję!

Ostrożnie pogłaskała go po tak strasznie krótko ostrzyżonych włosach, naraz poczuła, jak coś ściska jej gardło.

Po chwili, która zdawała się ciągnąć wieczność, Mordan znowu się odezwał.

— Ja... czułem cię. — jego palce, leżące na jedwabnym prześcieradle, drgnęły niespokojnie. Położyła na nich ostrożnie dłoń. — Czasem... tam, na górze, na... krzyżu. Kiedy... myślałem, że..., że nie dam rady... - przełknął z trudem. - Czułem..., jakbyś była tuż..., tuż obok.

— Wiem - Lijanas pogłaskała delikatnie jego krótkie włosy. — Ja też cię czułam. Przez cały czas! — palce pod jej dłonią znieruchomiały. Mówiła powoli dalej. — Mam dla ciebie złą wiadomość. — Jesteś *cogenem* wiedzmy dusz. Moim *cogenem*!

Przez dłuższą chwilę leżał zupełnie bez ruchu, jednak potem jego ramiona zaczęły drgać. Spojrzała na niego oszołomiona. On się śmiał. Sądząc po stękaniu, jakie dochodziło z jego gardła, musiało mu to sprawiać ból, ale najwyraźniej nie mógł przestać. W końcu atak śmiechu minął i leżał teraz z wykrzywioną z bólu twarzą, dysząc ciężko. Lijanas przystawiła mu do ust kubek z napojem łagodzącym cierpienie, nie pytając, czy chce się napić. Znowu podtrzymała ostrożnie jego głowę, kiedy pił, a potem opadł na poduszki. Jeszcze chwila wahania, potem odstawiła lekarstwo na bok i znowu się nad nim pochyliła.

Słaby zwrócił twarz w jej stronę.

- Co Ahmeer... powiedział na to, że... musi mnie znosić... blisko..., blisko ciebie? - jego spojrzenie było mętne z wyczerpania.

- On nie ma już nic do powiedzenia!

Znowu leżał przez kilka ciężkich oddechów bez ruchu.

- Co się... stało? - zapytał potem. Lijanas usłyszała zatroskanie w jego głosie.

- Ahmeer nie jest już moim narzeczonym. Wyrzekłam się go — niepewnie położyła znowu swą dłoń na jego dłoni. - Zrozumiałam, że kocham innego.

Powróciła cisza. Jego wzrok spoczywał na jej dłoni. A potem zdała sobie sprawę, na co dokładnie patrzył: na wąski pierścionek z zielonego kamienia i złota, który miała na palcu, pierścionek, który ukradł mu Ahmeer. Poczula, jak coś ścisnęło ją w żołądku.

- Ahmeer go... Ja... — zamilkła bezradnie.

Mordan zdawał się wcale jej nie słuchać.

- Wie... wiedziałem, że..., że będzie... pasować. Czy możliwe, żeby ten inny... był może..., może... Kierem?

Widziała, jak zmagą się daremnie ze swym zmęczeniem.

Jej serce zaczęło bić mocniej, czuła się tak, jakby miało zaraz pęknąć. Znowu pojawiła się w jej brzuchu fala gorąca. Większa niż kiedykolwiek do tej pory.

- Mógłby! Gdyby..., gdyby to był ten właściwy, tak!

- Oni... zabiorą mnie... do domu..., do Turasu - zawahał się, oblizal z trudem usta i spojrzał jej znowu w oczy. — Może chciałabyś... pojechać z nami - jako moja... żona! — mówił dalej, nim zdążyła odpowiedzieć. — Nie musisz podejmować... decyzji... natychmiast — zmrużył kilkakrotnie oczy. — Wiesz, kogo..., kogo... otrzymasz. Jestem... arogancki..., wybuchowy..., nieokrzesany..., zarozumiały..., uparty..., uparty... i...

- T a k !

Zaskoczony zmarszczył czoło.

- Tak, jesteś arogancki, wybuchowy, nieokrzesany, zarozumiały, uparty i wyniosły - ale mimo to: tak, pojedę z tobą do Turasu!

Długo wypuszczał powietrze.

- Na pewno?

- Tak! Pod jednym warunkiem.

Jego dłoń znieruchomiała pod jej palcami. Znowu oblizal usta.

- Jakim...?

Lijanas pochylila się bliżej niego, wsunęła ostrożnie palce w to, co zostało z jego włosów.

- Pozwolisz, żebym zajęła się twoim okiem!

Zmarszczki na jego czole pogłębiły się. Przez chwilę zdawało się, jakby nie rozumiał, potem na jego twarzy pojawiło się ubolewanie.

- Czy... z jednym okiem... jestem dla ciebie... jestem aż tak odrażający?

- Łaskawa, ależ nie! - Lijanas pokręciła szybko głową. Potem zagryzła wargę. Naraz poczuła w sobie drżenie. Ledwie zebrała w sobie odwagę, by zadać to pytanie.

- A ty nie uważasz, że ja jestem odrażająca? Mam na myśli... te... - nie udało jej się dokończyć zdania. Zamiast tego, uniosła rękę, żeby mógł zobaczyć jej łuski.

Mordan przysunął się nieco do niej, wyraźnie starając się nie zasnąć. Dotknął delikatnie kciukiem wierzchu jej dłoni. Nie miał paznokcia. Co oni mu zrobili?

- Jesteś... przepiękna... tak błyszczą... w blasku ognia... moja mała żmijo — jego głos zamienił się w mamrotanie. — Pocałuj mnie.

- Co? — Lijanas oderwała z przerażeniem wzrok od jego dłoni. Mimo- wolnie jej oczy powędrowały ku jego ustom - nawet najmniejszy dotyk... — Nie, nie chcę ci sprawić bólu.

Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Ty? Nie. Nigdy.

Słaby próbował podnieść głowę. Jego ciało przeszedł skurcz bólu.

- Nie! - Lijanas wsunęła szybko rękę pod jego kark, by go podtrzymać. Opadł z jękiem.

- Proszę! — nie miał już siły otworzyć oka, a mimo to znowu spiął mięśnie, by się unieść. Szybko pochylila się nad nim jeszcze bardziej.

- Jesteś upartym draniem! — skarciła go. — *I Kocham cię.*

- Mhm... I? - oddychał szorstko i z trudem. Każdy kolejny oddech wydawał się trudniejszy od poprzedniego. Jego dłonie poruszały się po prześcieradle, jakby szukały oparcia.

Nie podda się, dopóki nie dostanie, czego chce.

Pokręciła czule głową.

- Żaloszny szantażysta - pogłaskała go delikatnie po włosach i pochylila się nad nim.

Jego usta były szorstkie. Miały smak anadu i miodu. Odpowiedział na jej pocałunek. Ten dotyk był delikatny, czuły, badawczy - zupełnie

inny niż tamten pocałunek w Cavallinie. Był darem, w zamian za który niczego się nie oczekiwało.

Westchnąwszy, zanurzył się głębiej w poduszki, kiedy Lijanas się wreszcie odsunęła. Na jego ustach pokazał się znowu uśmiech, tym razem dziwnie rozmarzony. Jego pierś opadała i podnosiła się o wiele za szybko, tak że Lijanas pomyślała, iż nawet zwykły pocałunek to dla niego za dużo. Powoli jego ciało zaczęło się odprężać. Lijanas spojrzała na niego z góry, obserwując cienie, które misy z ogniem rzucały na jego twarz, dalej ostrożnie głaskała jego włosy. Także wzrok Mordana utkwiony był cały czas w niej, jednak widziała, jak stopniowo tracił ostrość, choć wydawał się z tym walczyć.

— Zmęczony... — szepnął wreszcie po kilku chwilach, westchnąwszy znowu.

Lijanas skinęła łagodnie.

— Śpij. Będę przy tobie, kiedy się obudzisz — nie była pewna, czy ją usłyszał, choć mamrotał jeszcze coś niezrozumiale, kiedy powieka już mu opadła. Kilka uderzeń serca później równy oddech dał znak, że przegrał ostatecznie walkę ze snem.

Lijanas siedziała przy nim i patrzyła cały czas na niego. Na ustach Mordana wciąż widniał uśmiech.

Tak, wiem, co otrzymam! Dokładnie to, czego chcę! Mężczyznę, którego kocham!